

CZŁOWIEK NIE COFNIE SIĘ PRZED NICZYM,  
ABY ZAWŁADNĄĆ ŚWIATEM...

# TESTAMENT DARWINA

EMILIA NOWAK

NOVAE RES



EMILIA NOWAK

# TESTAMENT DARWINA



NOVAE RES

Wątpię, czy książka ta powstałaby, gdyby nie Robert M., który miał dla mnie wystarczająco dużo cierpliwości, abym zrobiła pierwszy krok w stronę wody. Za to pozostanę mu wdzięczna do końca życia.

*Testament Darwina*

Wydanie pierwsze, ISBN: 978-83-8147-674-4

© Emilia Nowak i Wydawnictwo Novae Res 2019

Wszelkie prawa zastrzeżone. Kopiowanie, reprodukcja lub odczyt jakiegokolwiek fragmentu tej książki w środkach masowego przekazu wymaga pisemnej zgody wydawnictwa Novae Res.

REDAKCJA: Monika Kasperek-Rucińska

KOREKTA: Bartłomiej Kuczkowski

OKŁADKA: Grzegorz Araszewski

FOTO: Veneratio / depositphotos.com

vitaliy\_sokol / depositphotos.com

ILUSTRACJE: Emilia Nowak

KONWERSJA DO EPUB/MOBI: [Inkpad.pl](http://Inkpad.pl)

WYDAWNICTWO NOVAE RES

ul. Świętojańska 9/4, 81-368 Gdynia

tel.: 58 698 25 19, e-mail: [sekretariat@novaeres.pl](mailto:sekretariat@novaeres.pl), <http://novaeres.pl>

Publikacja dostępna jest w księgarni internetowej [zacytani.pl](http://zacytani.pl).

# **SPIIS TREŚCI**

[Strona tytułowa](#)

[Karta redakcyjna](#)

[ROZDZIAŁ 1](#)

[ROZDZIAŁ 2](#)

[ROZDZIAŁ 3](#)

[ROZDZIAŁ 4](#)

[ROZDZIAŁ 5](#)

[ROZDZIAŁ 6](#)

[ROZDZIAŁ 7](#)

[ROZDZIAŁ 8](#)

[ROZDZIAŁ 9](#)

[ROZDZIAŁ 10](#)

[ROZDZIAŁ 11](#)

[ROZDZIAŁ 12](#)

[ROZDZIAŁ 13](#)

[ROZDZIAŁ 14](#)

[ROZDZIAŁ 15](#)

[ROZDZIAŁ 16](#)

[ROZDZIAŁ 17](#)

[ROZDZIAŁ 18](#)

[ROZDZIAŁ 19](#)

[ROZDZIAŁ 20](#)

[ROZDZIAŁ 21](#)

[ROZDZIAŁ 22](#)

[ROZDZIAŁ 23](#)

[ROZDZIAŁ 24](#)

[ROZDZIAŁ 25](#)

[ROZDZIAŁ 26](#)

[ROZDZIAŁ 27](#)

[ROZDZIAŁ 28](#)

[ROZDZIAŁ 29](#)

[ROZDZIAŁ 30](#)

[ROZDZIAŁ 31](#)

[ROZDZIAŁ 32](#)

[ROZDZIAŁ 33](#)

[ROZDZIAŁ 34](#)

[ROZDZIAŁ 35](#)

[ROZDZIAŁ 36](#)

[ROZDZIAŁ 37](#)

[ROZDZIAŁ 38](#)

[ROZDZIAŁ 39](#)

[ROZDZIAŁ 40](#)

[ROZDZIAŁ 41](#)

[ROZDZIAŁ 42](#)

[ROZDZIAŁ 43](#)

[ROZDZIAŁ 44](#)

[ROZDZIAŁ 45](#)

[ROZDZIAŁ 46](#)

[ROZDZIAŁ 47](#)

[ROZDZIAŁ 48](#)

[ROZDZIAŁ 49](#)

[ROZDZIAŁ 50](#)

[ROZDZIAŁ 51](#)

[ROZDZIAŁ 52](#)

[ROZDZIAŁ 53](#)

[ROZDZIAŁ 54](#)

[ROZDZIAŁ 55](#)

[ROZDZIAŁ 56](#)

[ROZDZIAŁ 57](#)

[ROZDZIAŁ 58](#)

[ROZDZIAŁ 59](#)

[ROZDZIAŁ 60](#)

[ROZDZIAŁ 61](#)

[ROZDZIAŁ 62](#)

[ROZDZIAŁ 63](#)

[ROZDZIAŁ 64](#)

[ROZDZIAŁ 65](#)

[ROZDZIAŁ 66](#)

[ROZDZIAŁ 67](#)

[ROZDZIAŁ 68](#)

[ROZDZIAŁ 69](#)



[ROZDZIAŁ 70](#)

[ROZDZIAŁ 71](#)

[ROZDZIAŁ 72](#)

[ROZDZIAŁ 73](#)

[ROZDZIAŁ 74](#)

[ROZDZIAŁ 75](#)

[ROZDZIAŁ 76](#)

[ROZDZIAŁ 77](#)

[ROZDZIAŁ 78](#)

[ROZDZIAŁ 79](#)

[ROZDZIAŁ 80](#)

[ROZDZIAŁ 81](#)

[ROZDZIAŁ 82](#)

[ROZDZIAŁ 83](#)

[ROZDZIAŁ 84](#)

# ROZDZIAŁ 1

Ocean Atlantycki, zachodnie wybrzeże kontynentu afrykańskiego przy Zwrotniku Raka, rok 420 p. n. e.

Pionowe drzewce masztu ledwo utrzymywały żagle wyrywające się pod napierającą siłą wiatru. Beczki z solą pędziły w szaleńczym tempie, odbijając się od jednej burty do drugiej, a wielkie skrzynie ze świeżym połowem, ważące nawet kilka tysięcy uncji rzymskich, sunęły gładko po wypucowanym o poranku pokładzie z taką łatwością, z jaką kilkuletnie dziecko potrafi bawić się owocem oliwnym, turlając nim lekko po blacie stołu. Poszycie było poważnie uszkodzone, przez co większość pozostających na nim przedmiotów przepadła w toni lub – jeszcze dryfując – oddalała się od statku niczym maleńkie wysepki na bezkresnym Atlantis thalassa<sup>1</sup>.

Anesstor czuł, jak gruba gejtawa wżyna się w jego obolałe dłonie, gdy resztką sił próbował podciągnąć żagiel. Wnet ujrzał, jak jedna reja łamie się z trzaskiem lekko niczym trzcina i frunie w stronę gigantycznych fal, waląc prosto w jednego z rybaków i porywając jego ciało w otchłań. Chciał krzyknąć, ale wirujący wkoło ocean pochłaniał każdy, nawet najgłośniejszy dźwięk, tak więc nie był w stanie pokonać jego ryku. Mężczyzna czołgał się z trudem przed siebie, po czym uchwycił się mocno leżącej tuż u jego stóp na wpół odłamanej od rufy rzeźby i wbity niemal w deski pokładu odprowadzał wzrokiem kolejną znajomą twarz, widząc, jak załoga niknie w potwornych falach, nie zdążywszy nawet dźwignąć

ręki na ratunek.

Nie mogło być dalej niż południe, lecz sztorm przyćmił niebo na tyle, że ledwo strużka słońca przebijała się przez kopułę chmur; wkoło panował istny mrok. Kurczowo zaciskając dłonie wokół szyi kobiety wyciosanej w drewnie, Anesstor odchylił głowę i zerknął na jej oblicze. Pieczołowicie wygładzony drzewiec stworzono niegdyś na podobieństwo ludzkie. To była ostatnia rzecz, jaką ujrzał żeglarz. Zanim wyzionął ducha, rozpoznał, iż to nie żaden kawał drewna, na który spoglądał. To były przenikliwe na wskroś oczy żądne krwi. Największy wróg każdego żeglarza znajdował się już na pokładzie...

---

<sup>1</sup> Najstarsza znana nazwa Oceanu Atlantyckiego, pochodząca z Dziejów Herodota z około 450 roku p.n.e. (przyt. red.).

## ROZDZIAŁ 2

Żar południowego słońca pokrywał niemal każdy skrawek wysuszonej ziemi. Nawet odrobina trawy, której udało się skryć pod leżącą tuż u wejścia na ganek ceramiczną misą, nieszczędzona przez wszechobecny skwar lejący się z błękitnego nieba, pożółkła na całej powierzchni i prawie wyschła na popiół. Ptaki szukały schronienia to w pobliskim gaju oliwnym, to w koronach drzew przetrzebionych ludzką ręką w poszukiwaniu owoców na pojedynczych gałęziach wyrastających tu i ówdzie, niczym przybysze z odległej planety, którzy osiedli na powierzchni jałowego lądu w nadziei na znalezienie schronienia i przyzwoitej strawy.

Kraina ta, choć pozornie niezycziwa, kryła liczne dobrodziejstwa, zsyłane przez Baal Hammona, naczelnego boga Kartaginy. Kartanis była wyspą o różnorodnym krajobrazie, a zwłaszcza bogatej florze. Tuż u wybrzeży przypominała piekielny przedsiónek: wąskie i nieliczne plaże wysypane były szarym i ostrym piaskiem, który bardziej wyglądał jak popiół niż miękki, złoto-biały pył. Niewiele było takich miejsc na wyspie, gdzie choćby drobny stateczek mógł bezpiecznie zacumować, by nie osiąść na mieliźnie. Toteż jedynie łódki rybackie przyływały do zatoczek, które wcinały się w głąb nadbrzeża od strony północnej, nadając mu z lotu ptaka wygląd falbaniastej tkaniny. Większy statek, a rzadko taki się tu zjawiał, cumował tuż między strzelistymi skałami, wyrastającymi z morza niczym masyw Olimpu. Miejsce to, jakby góra, oddalone od linii brzegu o ponad tysiąc stóp, nazwano Gradezi

i wierzono, że u jego szczytu zasiada sam Baal Melkart – pan mórza i oceanów, który troszczył się o żeglarzy oraz ich ładunki, gdy powracali z dalszych wypraw, a tu jedynie szukali chwilowego schronienia.

Im bardziej podążało się w głąb wyspy, tym bujniejsza stawała się roślinność. Teren tworzył siatkę dróg, ścieżek i mniejszych drózek, regularnie uczęszczanych przez ludność osiadłą niemal dziesięć stuleci temu. Kartanijczycy przybyli tu z wielu stron świata, w większości za sprawą przypadku i w nadziei rychłego opuszczenia tej ziemi, która na pierwszy rzut oka nie zachęcała do osiedlenia się. Lecz, poznając bliżej skrywane przez wyspę cuda, tak pokochali to miejsce, że kto by tu nie zawitał, na zawsze już pozostawał. W niewielkiej zatoce nazywanej Goddani, leżącej bardziej na północno-wschodnim krańcu Kartanisy, skąd rozpościerał się najlepszy widok na Gradezi, swój dom wybudował Anesstor. Był on żeglarzem i choć starość coraz bardziej mu doskwierała, to za każdym razem, gdy się tu zjawiał po długiej żegludze, szum i zapach morza przypominały mu, gdzie jest jego prawdziwe miejsce.

W centralnej części wyspy wyrastał potężny Barridi – najwyższy szczyt Kartanisy, będącej niczym innym jak ogromnym wulkanem tarczowym wznoszącym się ponad dnem morza. Góra ta o charakterze wulkanicznym, zewsząd porośnięta bujną i soczystą roślinnością, unosiła się majestatycznie ponad widnokrąg, niczym zawieszona między niebem a ziemią. Kartanijczycy wierzyli, że na samym jej szczycie, w gnieździe uśpionego od tysiący lat wulkanu, zasiada potężny Baal Szamim – pan nieba i przestworzy, zaklinacz sztormów i tajfunów. Według legendy Szamim był bratem Melkarta. Obaj narodzili się z łona bogini Triniadis o urodzie, której pozazdrościć mogły najpiękniejsze rafy koralowe, najcudniejsze zachody słońca czy najbarwniejsze pióra rajskich ptaków. A mądrości jej nie dorównywał żaden z mędrców świata śmiertelników. Bracia kochali matkę i siebie nawzajem, a po rodzicielce odziedziczyli przystojność i wiedzę.

Lecz pewnego razu zazdrosny o doskonałość Szamima

i Melkarta bóg wojny Anderrun, który sam urodą nie grzeszył, rozgniewany do granic obłędu, zesłał na braci i matkę nieszczęście. Tak potężnie wstrząsnął skorupą świata, że stały ląd, będący niegdyś jednością, pękł na dwie części, powodując spiętrzenie gór i wybuch wulkanu. Tak oto piękną Triniadis porwała spływająca, wrząca lawa i pchnęła ją na zawsze w czeluść ziemi. Szamim i Melkart pozostali na dwóch odrębnych górach, rozdzielonych przez owo okrutne trzęsienie. Od tej pory zerkają czasem na siebie ze szczytów Gradezi i Barridi, obarczając się wzajemnie winą za śmierć matki. Mądrość, jaką po niej odziedziczyli, nakazuje im jednak żyć w pokoju. Tylko czasem, w chwili słabości, gdy wspomnienia powracają, a rana po utracie matki ponownie zaczyna krwawić, Szamim i Melkart rozpoczynają kłótnię i tak władca nieba i zaklinacz wiatru, jak i pan mórz i oceanów, dowodzą swych racji i sprowadzają sztormy i burze na niewinnych Kartanijczyków, a także na błędzących po morzach żeglarzy.

Biatarri, żona Anesstora, długo wyczekiwała powrotu męża, wypatrując codziennie, czy aby na widnokregu nie wyłania się statek rybacki. Tegoż popołudnia także zasiadła na jednym z chłodzonych morską falą głazów i zerknęła w stronę Gradezi. Siedziała tak już trzy godziny, lecz słońce zdawało się zupełnie jej nie przeszkadzać. Przywykła do tego. Podwinąwszy nieco szatę, zanurzyła stopy w przyjemnie chłodnej wodzie i rozmyślając o mężu, wyplatała kosz z gibkich jeszcze źdźbeł świeżo zerwanej rośliny gęsto porastającej teren wokół ich skromnego domu. Mijał czas, a gdy ostatnią gałązką zamknęła krąg plecionki, zorientowała się, że nieopodal przypatrują jej się dwie kobiety, przybyłe tu z dziećmi w oczekiwaniu na swoich małżonków, którzy o świcie wypłynęli na połów. W zatoczce Goddani wielu rybaków pozostawiało swe łódki po skończonej pracy. Kobiety milczały, jednak po chwili jedna jakby coś szepnęła do drugiej tak, by nie doszło to do uszu Biatarri. Słowa ich dodatkowo zagłuszały dzieci biegające żwawo po wodzie, przez co hałaśliwie pluskały. Biatarri odwróciła głowę w stronę morza. Na horyzoncie dostrzegła chmury.

Niczym kropla atramentu, która wpuszczona do szklanki wody powoli rozlewa się po jej brzegach, tak ciemne jak czernidło z kałamarnicy chmury pokrywały coraz większą połąć sklepienia, nadciągając od północy.

- W nocy będzie żer - odezwała się nagle Biatarri, licząc, że obecne tam niewiasty usłyszą ją.

Stojące na brzegu kobiety zauważyły, że staruszka coś szepcze, ale nie rozumiały sensu jej wypowiedzi. Zapytały więc niemal jednocześnie:

- Co tam mówisz pod nosem?

- Znowu szykuje się żer - powtórzyła. - Idzie sztorm, wtedy się zjawia.

- Kto się zjawi? - zapytała jedna z nich, domyślając się, jaką może uzyskać odpowiedź.

Biatarri wiedziała, że ludzie z niej kpią, ale nie zważała na to.

- Zobaczycie, będą tu, gdy rozpęta się piekło. Jak się już wszyscy pochowacie do swoich nor. Nie wierzycie? To przyjdźcie, jedna z drugą, nocą do zatoki i zobaczcie, co się wyprawia. Módlcie się lepiej, żeby wasi mężowie do tej pory powrócili, bo biada im, oj biada! Ludzkie mięso nie gorsze od tłustej ryby.

- Niech już ten twój żeglarz wróci, bo żeś zmysły postradała, stara wariatko! - krzyknęła jedna z kobiet. - Dzieci przestań straszyć, bo nieszczęście sprowadzisz, jak się bogowie rozgniewają.

Staruszka powoli zeszła z kamiennej półki, zabrała koszyk, pozostawiając tylko resztki gałązek, które szybko zmyła morska fala. Minęła stojące na brzegu kobiety i obrzuciła je pogardliwym spojrzeniem.

- Dionar, Merbabe, chodźcie tu, widać dwie łódki, ojcowie już płyną! - krzyknęły ucieszone, zwracając się do swoich pociech.

Gdy matki niecierpliwie przebierały nogami w nadziei, że niebawem ich mężowie bezpiecznie dotrą do brzegu, chłopcy uspokoili się na moment, ale gdy Biatarri odchodziła powoli w górę skarpy, poczuła, jak małe kamyczki ciskane przez dzieci uderzają ją w plecy. Gdy się odwróciła, ci nagle przestali, jakby przestraszeni

złowieszczy i przeszywającym na wskroś wzrokiem staruszki. Wróciła do domu. Zerknęła w stronę morza. Niewielka grupka rybaków wyciągała już na brzeg kilka małych koszów z rybami. Głównie były to sole i dorady, których łuski mieniły się niczym klejnoty w blasku ostatnich promieni słońca przed zbliżającą się nawałnicą. Rybacy wraz ze swoimi rodzinami w mgnieniu oka uwinęli się z rozładunkiem. Dzieci pomagały nieść połów. Jeden z chłopców ciągnął za sobą szarą misę, a drugi, nieco starszy, mężnie dzierżył w rękach nabite na hak dwie ośmiornice.

Jakże tęskniła Biatarri za swoim poczciwym, brodatym żeglarzem. Przywykła już do samotności. Kiedy jej Anestor wypływał po raz pierwszy, miała kruczoczarne włosy sięgające ledwie do ramion i brązowe oczy pełne życia i radości. Po dwudziestu pięciu latach długie włosy poszarzały, a oczy, choć nadal brązowe, swą radość zamieniły w obojętność. Ileż to razy Biatarri żegnała męża, by po długich miesiącach znowu go witać, i tak przez ćwierć wieku. Zawsze towarzyszył jej ten sam strach, gdy wypływał i to samo szczęście, gdy jego statek cumował w bezpiecznym Gradezi, a niewielka łódka z załogą płynęła w stronę wyspy. Widząc nadciągający coraz szybciej sztorm, domknęła okiennice i schowała misternie wykonane kosze z plecionki, które – jak zwykle – miała sprzedać okolicznym mieszkańcom w zamian za jajka, olej czy owoce. Po godzinie zapadł zmierzch i rozszalała się potworna wichura. Gdy przybrała na sile, rozrzucając w powietrzu gałęzie i dosłownie wszystko, co dało się poderwać, każdy mieszkaniec wyspy znajdował się już w bezpiecznym kącie swego domostwa, czekając, aż sztorm wreszcie zelżeje.



## ROZDZIAŁ 3

Wyspę spowiła całkowita ciemność. Szalejące krople deszczu wbijały się niczym pociski armatnie w postarzałą skórę twarzy Biatarri, pędząc w szaleńczym wirze, a jej srebrno-czarne włosy targał przeraźliwy wiatr, wrywając co chwila następne kosmki, mimo iż były starannie upięte. Deszcz spływał strużkami w dół jej oblicza, pokonując skomplikowany labirynt bruzd, które sędziwy wiek kobiety pozostawił na jej policzkach. Mrużyła oczy, ale ani trochę nie drgnęła. Szaty przemokły jej doszczętnie, ale nie czuła zimna ani zmęczenia. Wytrwale wyczekiwała, aż rozpocznie się „uczta”. W czasie sztormu ławice ryb masowo wpływały do zatoki, szukając spokojniejszych wód. Działo się tak od lat i tak też stało się tej nocy. Rzecz jasna, nie dało się ich dostrzec, będąc na lądzie, ale lada chwila miało zdarzyć się coś, co zdradzi ich obecność w Goddani. Oto nadpływały... Biatarri nieraz je widziała. Nie bała się. Przeciwnie – czasem odczuwała nieodpartą chęć, żeby rzucić się w sam środek krwawej batalii. Jakaś dziwna siła sprawiała, że stała tam niczym zaczarowana jakby otępiała. Wiatr potężnie dął, a grzmoty nie ustawały. Całe niebo zasnuwane było grubą warstwą chmur, lecz z każdą błyskawicą, rozświetlającą zatokę wyraźnie dostrzegała zarys ich sylwetek, na wpół wynurzających się z wody.

Pięć, dziewięć... chyba jest ich tu z tuzin – pomyślała.

Srebrne łuski migotały w blasku piorunów i co chwila widać było wyskakującą nad wzburzone lustro wody grubą rybę. To, co dopiero będzie widoczne o świcie, Biatarri dostrzegała oczami

wyobraźni. W mroku można ujrzeć błysk na niebie, ale tego, czego ciemność nie pokazuje, to mieszająca się z morską wodą krew. Gdyby tylko staruszka wiedziała wtedy, że tym razem to także krew Anesstora nadała morzu karminową barwę...

Jeszcze wiele lat przyjdzie jej o tym wspominać, płacząc za mężem. Bo z tej wyprawy Anesstor nigdy już nie powrócił.

## ROZDZIAŁ 4

Anglia, wrzesień, 1831

- Doprawdy, doceniam pana życzliwość, kapitanie, lecz nie śmiałybym marnotrawić pańskiego jakże cennego czasu - tłumaczył Karol, ledwo nadążając za żwawym marszem FitzRoya, i z trudem próbując utrzymać równowagę na drewnianej belce, wciąż oczekującej swego właściwego miejsca na okręcie.

- Darwin, niech cię o to głowa nie boli, jakobym czas swój marnotrawił - odpowiedział po chwili mężczyzna. - Wszak mnie także potrzebne będą porządne zapasy amunicji, a przy okazji służę dobrą wojskową radą. Zalecam, byś zaopatrzył się w porządną strzelbę.

Zmierzali brukowaną uliczką w górę miasta. Nieśmiałe jesienne słońce łaskotało przyjemnie w nos. Karol, wyszedłszy z zacienionej bramy, poczuł, jak delikatne promienie szaleją łobuzersko na jego nieco bladej twarzy, aż w końcu ledwo zdążył sięgnąć po chusteczkę i wnet za uszami kapitana rozbrzmiało gromkie kichnięcie.

- Na zdrowie, Darwin! - rzekł zdecydowanie. - Obyś nie okazał się taki wrażliwy na pokładzie. Jeśli już samo słońce przyprawia cię o katar, to co dopiero sztorm na otwartym oceanie?!

W słowach FitzRoya nie było jednak złośliwości, zatem Karol odebrał to stwierdzenie jako swoisty żart. Osoba kapitana nie nosiła wszak śladów surowości, co jednak okazało się nieco złudne na dalszym etapie wspólnej podróży.

Kapitan okrętu „Beagle” był mężczyzną szczupłym i wysokim, można rzec, o nadzwyczaj patrycjuszowskim wizerunku. Sporą uwagę każdego rozmówcy przykuwały jego uszy, mięsiste i kształtne, lecz niezbyt duże, które ściśle przylegały do czaszki. Do tego miał wyraziste spojrzenie, ciemną oprawę oczu i równie ciemne włosy, nieznacznie kręcone, które tworzyły starannie zaczesane do przodu pasmo, a których całkowitym dopełnieniem były eleganckie bokobrody i nienaganne w swoim wyglądzie wąsy. Całość wyglądała tak klasycznie, iż istotnie zgarbiony nos zdecydowanie nie pasował do reszty, będąc jednakże ważnym elementem wyglądu kapitana, nadającym mu nietuzinkowego wizerunku. FitzRoy, jako nieprawy potomek króla Karola II i Barbary Villiers, księżny Cleveland, nosił się stosownie do swojego szlacheckiego pochodzenia.

- Podczas długiej podróży docenisz luksus, jakim jest możliwość spożycia świeżego mięsa, a tego nie uraczysz bez strzelby - odezwał się ponownie kapitan, wyrywając Karola z ciszy, którą ten zdawał się delectować.

Pod koniec długiego dnia wędrówek od jednego rusznikarza do drugiego, młody Darwin był już dość zaopatrzony w nowo zaprojektowaną broń, za którą dał pięćdziesiąt funtów, oraz całe pudło z porządnymi pistoletami i akcesoriami do czyszczenia sprzętu. FitzRoy także powrócił na pokład z kolejną przyzwoitą strzelbą, których to miał już wiele w swojej kajucie mieszczącej się na okręcie. To jednak, w oczach Karola, było aż nadto powiedziane, bo okręt przypominał raczej wrak statku. Miał on wypłynąć wraz z całą załogą dziesiątego października z Plymouth. Tymczasem, pozbawiony masztów i grodzi, wyglądał niczym wydobyty z dna morza szkielet czekający na ostateczne unicestwienie.

- Widzę, Darwin, że twoje dobre maniery nie pozwalają na komentarz, na który pewnie byś sobie pozwolił, gdybym tego nie słyszał - powiedział niespodziewanie kapitan, ledwo tłumiąc śmiech, co wprowadziło Karola w lekkie zakłopotanie. - Nie martw się, on tylko tak nieobiecująco wygląda. Niebawem brzydkie kaczątko

przemieni się w pięknego łabędzia.

Jeszcze jakiś czas stali tak w świetle znikającego za horyzontem słońca, które nie tak dawno przyjemnie ogrzewało ich skronie, a teraz zdawało się pewną zapowiedzią nadchodzącej jesieni. FitzRoy tłumaczył Karolowi, jak zamierza zmodyfikować pokład, a ten słuchał z zainteresowaniem, podczas gdy z każdym słowem kapitana jego oczy nabierały pewności i przekonania. W górnej części zyska osiem dodatkowych cali na rufie, a na przodzie aż dwanaście, co poprawi komfort pracy, spożywania posiłków, no i snu. W dolnej części zostanie umieszczona gruba warstwa jodłowych desek, a na niej filc i miedź. Okręt zyska nowy ster, kuchnia nowy piec, a każdy okrętowy maszt zostanie zaopatrzony w piorunochron. Kapitan zapewnił Karola, że liny i żagle „Beagle’a” zaliczyć można do najlepszych, jak również mahoniowe wykończenie wszystkich kajut dla zapewnienia bezpieczeństwa i komfortu podróży. Okręt pomieści także sześć wytrzymałych łodzi ratunkowych, a na najwyższym pokładzie zostanie umocowana dodatkowa łódź żaglowa i dwa welboty.

Kilka godzin spędzonych w Londynie na poszukiwaniach odpowiedniej broni, niekończący się monolog kapitana i nadmiar wrażeń związanych z oczekiwaniem, na dzień, w którym „Beagle” wypłynie w niezapomnianą podróż sprawiały, że Karolowi kręciło się w głowie. Jedyne, o czym marzył, to ułożyć się do snu i obudzić kołysany morskimi falami.

## ROZDZIAŁ 5

Po długiej i niespokojnej nocy wypełnionej ostrymi grzmotami, tępym szumem wiatru i zdającym się nigdy nie kończyć kołysaniem, nastał przyjemny świt. W kajucie Karola panował lekki zaduch, lecz gdy wysunął nogę spod koca, wnet tego pożałował, tuląc się ponownie do poduszki. Zerknął w małe, okrągłe okienko, jedyne, jakie było w tej kajucie. Za szybką dostrzegł przemykającą sylwetkę jakby ptaka. Padające ostre światło z zewnątrz uniemożliwiało precyzyjne odgadnięcie, czymże było owo stworzenie. Zamglonym jeszcze, sennym spojrzeniem rozpoznał mewę, choć przez moment sądził, że to jednak rybitwa. Po chwili Karol otworzył szerzej oczy i przetarł je kilkakrotnie. Okno wcale nie było już okrągłe, a mewa wnet okazała się czarnym kosem szukającym ciepłego kąta, który uderzał delikatnie dzióbkiem w kryształ. Pomieszczenie, w którym się znajdował, także nie było kajutą, lecz wynajmowaną tuż niedaleko portu kwaterą. Karol już tak bardzo chciał wyruszyć, że pragnienie to bywało mylące nawet dla jego zmysłów. Im bardziej przeciągał się dzień wypłynięcia, tym częściej nawiedzały go nocą sny o podróży. Wszystko zdawało się związane na ostatni guzik i cieszył się jak dziecko, wiedząc, że to już raptem za kilka dni jest przewidziany wielki start. Tym bardziej poczuł się zawiedziony, gdy po śniadaniu na dźwięk pukania otworzył drzwi i dostrzegł w nich Augustusa Earle'a.

- Dzień dobry - powiedział Earl, czując lekkie zakłopotanie, gdy zrozumiał, co wyraża mina Karola. - Wybacz, że niepokoję cię o tak

wczesnej porze, ale wysłała mnie kapitan z ważną wiadomością. Zapewne spodziewałaś się tu zobaczyć kogoś innego, jednak...

Mężczyzna zamilkł na kilka sekund, czekając może, aż twarz Karola nieco się rozchmurzy i będzie mógł swobodniej kontynuować rozmowę. To jednak nie nastąpiło. Karol przygryzł lekko górną wargę i, patrząc na mężczyznę niczym seter irlandzki na kaczkę krzyżówkę, po chwili dał upust emocjom, sapnął głośno jakby zasmucony, czując wstyd, że tak nieelegancko przywitał gościa.

- Wybacz, Augustus. - Chwycił się kciukiem i palcem wskazującym za górną część nosa i zmarszczył nieznacznie brwi, dając do zrozumienia, że boli go głowa. - To przez to niekończące się oczekiwanie. Czasem budzę się rano i zastanawiam, czy to aby dzieje się naprawdę. Ileż razy przesuwiał się termin wyprawy...

Earl miał blisko czterdzieści lat, choć cerę chłopcę i gładką. Został zatrudniony przez FitzRoya jako obiecujący malarz okrętowy. Jego starannie ogolona twarz klóciła się nieco z gęstymi czarnymi brwiami wiszącymi nad powiekami. Ubiorem przypominał marynarza: szerokie luźne spodnie, wielka jasna koszula z licznymi wygnieceniami oraz brudne buty, byle jaki czarny halsztuk, a także okazałych rozmiarów kapelusz z szerokim rondem. Karol zaprosił go gestem ręki do środka, ten jednak odmówił, twierdząc, że ma robotę do wykonania, cokolwiek miało to oznaczać.

- Rozumiem twoje zakłopotanie - rzekł na odchodne - ale sądzę, że zbliżamy się już wielkimi krokami do tego dnia. Słyszałem przypadkiem rozmowę kapitana ze Stokesem. Podobno wyruszamy tuż po Wigilii.

Dokończywszy zdanie, wykonał nieznaczny ruch ręką nad głową, jakby salutował, i oddalił się, idąc zwawo wzdłuż ulicy prowadzącej w stronę nadbrzeża. Karol zamyślił się i zmrużył oczy. W oddali dostrzegł rybitwę siedzącą na krawędzi falochronu. Mierzył cal po calu jej wysmukły kształt ciała, dużą głowę z prostym, ostro zakończonym dziobem i krótkie nóżki, za którymi wirował długi, rozwidlony ogon szarpany podmuchami chłodnego wiatru. W końcu ptak odleciał w stronę morza.

## ROZDZIAŁ 6

29 stycznia 1832

Tej nocy Karol nie mógł zasnąć i, wbrew pozorom, przyczyną tego nie była choroba morska. Około siódmej rano zsunął się niezgrabnie z hamaka, który to starannie zmodyfikowano jeszcze przed wyprawą, by spełniał funkcję w miarę wygodnego miejsca wypoczynku dla człowieka o tak pokaźnym wzroście. Po pierwszych kilkunastu nocach opanował do perfekcji wchodzenie i schodzenie z tego nietypowego legowiska, na którym przyszło mu spędzić setki, jeśli nie tysiące kolejnych nocy. Postawił nogi na drewnianej podłodze i rozejrzał się po wnętrzu kajuty. John Lord Stokes wyglądał dość zabawnie z nosem niemal wbijającym się w stół, gdy próbował rozszyfrować jakiś drobny napis na jednej z map. Gdy zorientował się, że jego towarzysz nie śpi, energicznie dźwignął głowę, chcąc się przywitać i uderzył z całą siłą w wiszącą nad nim drewnianą tubę, mimo iż należał do mężczyzn raczej średniego, by nie rzec, niskiego wzrostu.

- Jasny gwint! - zdołał z siebie wydusić. - Przeklęty mapownik.

Karol pożałował przyjaciela, ale całe zajście wyglądało tak komicznie, że mimo ogromnego daru, jakim było posiadanie dobrych manier, nie potrafił stłumić gromkiego śmiechu.

- Dzień dobry, Stokes. Wcześniej zacząłeś pracę...

John Stokes miał przyjazny i szczerzy wygląd, choć teraz nieco zdegustowany nieoczekiwanym i bolesnym zdarzeniem. Oczywiście, choć



ciemnoszare, zdawały się zawsze radosne. Na ogół też wykazywał miłe usposobienie, dlatego już po chwili pojawił się serdeczny uśmiech na jego twarzy i zapomniał o siniaku, gładząc swoje gęste czarne włosy, które precyzyjnie na pół rozdzielał przedziałek.

- Pomyślałem, Darwin, że wykorzystam czas i popracuję przy mapach, zanim się przebudzisz, w obawie, że niedługo przywleczesz tu swoje słoiki i pudła z obrzydliwymi morskimi dziwactwami - zaśmiał się, wiedząc, że żart ten zostanie zrozumiany.

- Nie zmrużyłem oka - odparł współlokator, lecz nie chcąc tłumaczyć powodu takiego stanu rzeczy, od razu wymownie odwrócił głowę i zaczął się ubierać.

Kajuta, którą razem zajmowali, znajdowała się na rufie i miała ponad jedenaście stóp szerokości, pośrodku duży stół kreślarski służący także Karolowi do badania i przygotowywania próbek, oraz liczne półki na książki, przyrządy i szuflady na ubrania, a także rzeczy osobiste. Do tego dwa wiszące w przeciwległych kątach hamaki i sporo przestrzeni wokół stołu, co dawało dość komfortowe warunki bytowania. Karol sięgnął po pędzel do golenia, mydło i brzytwę. Wcześniej przygotował sobie gorącą wodę w metalowej misce i rozpoczął procedurę golenia, które to jeszcze na tym etapie wyprawy sprawiało mu sporo kłopotów, przez co nie raz chodził z licznymi skaleczeniami, jakie powstawały przy próbie użycia brzytwy i jednoczesnym kołysaniu statku. Tym razem obeszło się bez tragedii. Przeczesał starannie włosy i zabrał się za ubieranie, które zajęło mu niemal pół godziny. Wiedząc, że śniadanie podawane jest w kajucie kapitana punktualnie o ósmej, nie śmiał się spóźnić ani chwili, tak więc pośpiesznie założył białą koszulę z wysokim kołnierzem i eleganckim ciemnobrązowym halsztukiem, następnie aksamitną kamizelkę i zanim nałożył frak, na nogi wsunął wyglansowane, lśniące buty.

Gdy wychodził z kajuty, zmierzając na śniadanie z kapitanem FitzRoy'em, natknął się na Earle'a. Obaj mężczyźni jakby zamarli na ułamek sekundy. Augustus pierwszy schylił głowę, ujmując jednocześnie swój dziwaczny kapelusz.

- Dzień dobry, Karolu. Czy dobrze spałeś? - zapytał i w dużym napięciu oczekiwał twierdzącej odpowiedzi.

Karol poczuł przyspieszone tętno pod skórą. Miał wrażenie, że ręce mu się trzęsą, a na czole pojawiły się kropelki potu.

- Tak, dziękuję, mam nadzieję, że ty również - skłamał.

Jeszcze przed chwilą, zanim spotkał Earle'a, gotów był uwierzyć, że to, co zobaczył, opuszczając archipelag Wysp Zielonego Przylądka, albo raczej to, co wydawało mu się widzieć, było jedynie wytworem wyobraźni, jakimś kaprysem okoliczności wynikającym ze zmęczenia, choroby morskiej lub też niestrawności. Jednak teraz miał pewność, że rzecz ta wydarzyła się naprawdę i zarówno on, jak i Earl, byli tego świadkami. Problem polegał na tym, że ani jeden, ani drugi, nie bardzo wiedzieli, co z tą wiedzą począć. Karol oparł się na moment o mahoniową ścianę korytarza prowadzącego do kajuty kapitana, wyciągnął bawełnianą chusteczkę i przetarł nią czoło. Następnie wziął głęboki oddech, schował kawałek materiału z powrotem do kieszeni i zebrał siły, by zapukać do drzwi FitzRoya. Słyszając entuzjastyczne zaproszenie, nacisnął na klamkę i znalazłszy się naprzeciw kapitana, uściskał mu dłoń, po czym, zachęcony gestem jego ręki, usiadł do stołu.

- Błado wyglądasz, Darwin. Martwię się o twój stan zdrowia - powiedział dość szczerze kapitan. - Wszystko w porządku?

- Tak, kapitanie, to tylko choroba morska. Pojawia się i znika, niedługo mi przejdzie. Dziękuję.

- W takim razie smacznego. Dziś mam sporo pracy, szkoda każdej chwili. Jedzmy.

Śniadania serwowano na pokładzie naprawdę obfite. Wprawdzie, zamiast świeżego pieczywa tym razem podano suchary, ale i tak w połączeniu z pozostałymi posiłkami stanowiły one niemal ucztę. Sadzone jajka z bekonem na maśle, do tego marynowane grzyby, fasola i pomidory z puszki. Na koniec do sucharów dżem ze słoika, mleko, owoce i doskonałą herbatę. Jedli w milczeniu, co jakiś czas zerkając na siebie dyskretnie. W końcu odezwał się FitzRoy, biorąc uprzednio porządny łyk herbaty:

- Odkryłeś coś ciekawego na St. Jago?

Karol omal nie udławił się mlekiem. Nagle zaczął się dusić, a wyglądało to tak poważnie, że kapitan wstał z miejsca i ruszył mu na pomoc, aby klepnąć go po plecach i pomóc złapać oddech.

- Spokojnie, Darwin, mleka mamy aż nadto, możesz je spokojnie wypić bez obaw, że ktoś je zabierze - zażartował po chwili.

- Przepraszam, byłem zamyślony i nagle to pytanie... zachłysnąłem się przypadkiem. Już w porządku - to mówiąc, sięgnął po chustkę i otarł nią usta, odczuwając lekkie zmieszanie.

Minęła znowu chwila, po której kapitan, nie rozumiejąc związku tej sytuacji z poprzednim pytaniem, rzekł:

- Chodziło mi o twoje dotychczasowe zdobycze. Wiem, że nie próżnowałeś tam, na wyspach, i chętnie posłucham, cóż to za ciekawe okazy zabrałeś na pokład z archipelagu. - Odłożył porcelanową filiżankę i spojrzał niecierpliwie na Karola, krzyżując palce dłoni i podpierając się nimi o brodę.

- No tak, faktycznie, udało mi się nazbierać sporo próbek skał, różne gatunki roślin, w tym wiele wodorostów - to mówiąc, przełknął ślinę, jakby mówił niestrudzenie przez dobrą godzinę, a minę miał taką, jakby przed chwilą zobaczył ducha, do tego pobladł i zadrżały mu dłonie.

Kapitan zupełnie nie rozumiał jego zachowania, a wręcz zaczął się poważnie martwić o pokładowego naturalistę, zwłaszcza zaś o to, jak Darwin zniesie dalszą podróż. Tym bardziej, że droga, którą pokonali dotychczas, była niczym w porównaniu z tym, co ich dopiero czekało.

Dokończył herbatę i, tłumacząc się wzywającymi go obowiązkami, przeprosił Karola, po czym wyszedł na pokład. Gdy ten skończył posiłek, również udał się na zewnątrz, by zaczerpnąć świeżego powietrza. Wokół panował gwar jak w ulu. Tu i ówdzie przechodzili marynarze, zajęci bez reszty swoją pracą. Karol był trochę przerażony poziomem rozmów, jakie toczyła między sobą załoga, a raczej ilością żargonu i slangu marynarskiego, przez co miał wrażenie, że mówią oni w nieznanym mu języku. Dostrzegł

kapitana stojącego na pokładzie rufowym nad kołem sterowym, wpatzonego w horyzont z lornetką w rękę. Nie śmiał mu jednak przeszkadzać. Zamierzał szybko zabrać się do swoich obowiązków, licząc, że dzięki temu uda mu się zapomnieć o wydarzeniach ostatnich dni. Wiedział, że Stokes niedługo odstąpi od stołu kreślarskiego, bo miał spotkać się z kapitanem i porucznikiem Johnem Wickham'em, pełniącym funkcję pierwszego oficera odpowiedzialnego za żeglugę, w celu omówienia pewnych ważkich kwestii, dlatego postanowił na ten czas rozłożyć tam – jak to żartobliwie nazywali członkowie załogi – swoje „zabawki”. Odszukał wzrokiem żaglomistrza, by ten pomógł mu w wykonaniu specjalnego worka, mającego pełnić funkcję czerpaka, którym to Darwin chciał wylawiać morskie stworzenia. Przyrząd ten wykonali wspólnie ze sporego kawałka wełnianej tkaniny oraz drewnianej obręczy w formie półokręgu. Materiał przycięto i przymocowano niemi do drewna. Następnie Karol przywiązał ów dziwny twór do rufy przy pomocy lin długich na dwadzieścia pięć stóp. Wszyscy cierpliwie oczekiwali na próbę generalną, kiedy to zanurzono czerpak w Atlantyku na głębokość kilku stóp. Gdy wyciągnięto go z powrotem na pokład, okazało się, że jest pełen nowych oceanicznych zdobyczy. Karol wykonał kilkakrotnie całą procedurę, po czym zebrał wylowione okazy i udał się do kajuty w celu przygotowania ich do pierwszej wysyłki dla Henslowa. To właśnie profesor John Henslow, mentor i wielki przyjaciel, wyraził zgodę i ogromną chęć na przyjmowanie próbek z nowymi, nieznanymi dotąd w środowisku naukowym okazami roślin, zwierząt i skał. Wszystko, co Karol zdołał zebrać ze sobą w czasie podróży, spreparować i odpowiednio zabezpieczyć, miał obowiązek wysłać kolejnymi przekazami pocztowymi z najbliższego portu, gdzie stacjonowała załoga „Beagle’a”. Wszystko przygotowywał zgodnie ze ścisłymi zaleceniami profesora Henslowa: skamieliny czy okazy geologiczne owijał skrupulatnie w papier, a następnie w pakuły z włókna konopi, które zakupił jeszcze przed podróżą w Londynie. Zgodnie z zapewnieniem Henslowa Karol bez problemu uzupełniał

ich braki w kolejnych portach, do których dobijał statek. Każdą próbkę dokładnie opisywał, uwzględniając miejsce i czas pobrania, a także krótką notatkę na podstawie wstępnych oględzin. Co się zaś tyczy bezkręgowców, z uwagi na ich miękkie ciała, okazy były zanurzane w alkoholu bądź też spirytusie winnym, w proporcjach: siedemdziesiąt do trzydziestu, gdzie trzydzieści procent stanowiła woda. Karol dbał o tę zasadę sumiennie, gdyż wiedział, że zbyt słaby roztwór może doprowadzić do zniszczenia spreparowanych tym sposobem okazów. Natrafiając na większe zwierzęta, najpierw musiał rozciąć im brzuch i osobno zakonserwować organy wewnętrzne. Równie cenne okazały się wskazówki Henslowa dotyczące wyboru pojemników do przechowywania zbiorów. Zdecydowanie rzadziej korzystał z kamionek czy drewnianych pojemników, a częściej używał słoików ze szkła, gdy tylko miał taką sposobność. Słoje zapewniały bowiem większą szczelność, a także zabezpieczały przed parowaniem roztworu. Jako uszczelki Karol stosował pęcherze. Ryby wymagały silniejszych roztworów, dzioby i nogi ptaków porządnie nacierał sublimatem, a owady pakował do małych pudełek, wcześniej owinąwszy je szmatkami.

W ten sposób, dzień po dniu, powstawała imponująca kolekcja nietuzinkowych okazów przyrodniczych. Karol niestrudzenie poszukiwał interesujących gatunków, by następnie spędzać całe godziny na organizowaniu kolejnych skrzyń dla Henslowa. Jeśli akurat nie pracował w terenie lub przy swoim stole w kajucie, swój wolny czas przeznaczał na czytanie fachowej literatury z zakresu geologii i nauk przyrodniczych. Jak też poradził mu jego mentor, Karol zakupił na tę podróż lekturę *Zasady geologii* autorstwa Charlesa Lyella - dzieło dość odważnie przedstawiające teorię dotyczącą geologicznego czasu ziemskiego globu, którą określał na co najmniej kilka milionów lat, co z kolei kłóciło się z biblijną Księgą Rodzaju i, tym samym, z całym kościołem anglikańskim.

Nieuchronnie zbliżał się zmierzch. Słońce powoli ginęło za bezkresnym horyzontem wielkiego błękitu. Uciekające promienie rozpląwały się miękko po błyszczącej tafli, migocząc wśród

delikatnych fal i zatapiając w słonej głębinie. Uczucie maleńkości i bezradności towarzyszyło Karolowi, który usiadł na drewnianej beczce wypełnionej po brzegi szarym piaskiem, rozkoszując się pięknym widokiem zachodzącego słońca. Niczym niezmaconą ciszę przerwał nagle okrzyk przelatującej fregaty wielkiej oraz nagły dźwięk toczącej się po pokładzie metalowej puszk. Na chwilę serce Karola zabiło mocniej, odkrywszy jednak źródło hałasu, z powrotem oddał się rozmyślaniom. Odprowadzał wzrokiem toczący się pojemnik, obserwując, jak kołysany ruchem statku przemieszcza się to w lewo, to w prawo, by w końcu przetoczyć się w stronę burty. Skupił wzrok i dostrzegł, że jest to puszka fasoli, która najpewniej wypadła kucharzowi z rąk, gdy ten przynosił część zapasów na kolejne śniadanie. Lecz oto niespodziewanie zza winkła ukazał się Earl we własnej osobie. Karol przełknął ślinę, bo czuł się jak dziecko, zmieszany i niepewny siebie, ale wiedział, że należy się odezwać. Wtedy Augustus ruszył w stronę leżącej puszk i powoli ją podniósł, ratując napiętą sytuację, co dało Karolowi pretekst, by coś powiedzieć:

- Zastanawiałem się, jak to możliwe, że się tu znalazła.

- Nie jadłem dziś kolacji, bo od rana mnie mdli. Kucharz dał mi na wypadek, gdybym zgłodniał w nocy - wyjaśnił Earl, uciekając wzrokiem.

Na moment zapadła krępująca chwila, po czym Karol odezwał się ponownie:

- Słuchaj, Augustus... - przełknął ślinę - całkiem możliwe, że tam, na St. Jago, to było zwykłe przywidzenie. Sądzę, że nie należy przywiązywać do tego większej wagi. Może należałoby zapomnieć i nie wracać do tego zdarzenia. Tak będzie rozsądnie.

Powiedział, lecz wcale nie brzmiało to przekonująco. Jego głos pełen był rozterek i niepewności. Sądził, że Earl już tego nie skomentuje, lecz ten nie wytrzymał i rzekł:

- Obojgu nam się... przywidziało, Darwin?

Nic już nie powiedział. Earl zabrał puszkę fasoli i odszedł na spoczynek. Karol poszedł w jego ślady. Nim zszedł pod pokład,

rzucił raz jeszcze podejrzliwym spojrzeniem w stronę oceanu.

# ROZDZIAŁ 7

Montevideo, listopad, 1833

Poranek przywitał załogę przejrzystym powietrzem i wilgotną bryzą, ta zaś przywiała nowinę, która Darwinowi ni to w smak była, ni to nie w smak. Kiedy w uszach rozbrzmiały słowa kapitana, jeszcze długo echem odbijały się one w jego głowie, błędząc gdzieś pomiędzy ulgą a smutkiem.

Karol przycupnął na szerokim głazie wbitym w łagodny brzeg, który z jednej strony lekko wpadał do oceanu, a za jego plecami ostrzej wrastał w portowe miasto leżące na północnym brzegu regionu La Plata. Jego mieszkańcy dawno już się pobudzili, co bardziej wytrwali zdołali nawet powrócić z połowu i lwiaż jego część sprzedać na rynku. Od północy dobiegał gwar targowych przepychanek, rozmów, śmiechów i kłótni. Nieopodal zacumowanych statków bawiła się zgraja dzieci, biegając z grubymi patykami w rękach, które najwyraźniej miały symulować miecze tudzież innego rodzaju broń. Karol przyglądał się im uważnie, próbując zrozumieć sens zabawy. Po chwili ogromna różnobarwna ważka usiadła na pobliskim kamieniu. Lecz nie, to nie był kamień – to starannie wyglancowany but oficerski. Lśnił w porannym słońcu niczym tafla wody w samo południe. But się poruszył, a owad odleciał. Karol dzwignął głowę, marszcząc brwi od jaskrawych promieni. Przed nim, niczym posąg, stał kapitan, dostojny, lecz zakłopotany.



- Odpoczywasz? - wydusił w końcu FitzRoy. - Na twojej twarzy maluje się satysfakcja z wyprawy. Cieszę się, że Urugwaj przydał ci nowych zdobyczy geologicznych.

Karol docenił te pochlebne słowa, jednak zmartwił go pochmurny nastrój FitzRoya. Domyślił się, że chodzi o sprawę grubszego kalibru i że kapitan nie przyszedł tu tylko dla grzecznościowego „jak się dzisiaj masz?”. Nie zważając więc na utartą etykietę, zapytał wprost:

- Wszystko w porządku, kapitanie? Po pańskiej minie można wywnioskować, że coś się wydarzyło - powiedział i zamilkł w oczekiwaniu.

- Darwin, gdybym cię nie lubił, ugasiłbym wnet twą nieokrzesaną ciekawość i oddalił do swoich obowiązków. Ale żywię do ciebie wyjątkową sympatię. - Uśmiechnął się i dodał: - Przyznaję, twoja interpretacja jest słuszna, niestety.

Karol, z jednej strony dumny, iż udało mu się przejrzeć myśli kapitana na wskroś, z drugiej niepokieszony z faktu, że coś niepokojącego zaprzęta głowę FitzRoya, nie chcąc być posądzonym o dalszą zuchwałość i wścibskość, odczekał chwilę, aż ten sam zdradzi powód swojego zmartwienia.

- Admiralicja zakwestionowała moje dotychczasowe decyzje.

Mało brakło, by Karol zerwał się z miejsca, gdy tylko skojarzył, że takie wieści mogły pochodzić jedynie ze świeżej dostawy poczty, na którą tak bardzo czekał, jednak mimo podekscytowania zdołał powstrzymać emocje i kontynuował rozmowę:

- W jakich kwestiach, jeśli można spytać?

- W kwestiach finansowych, głównie. Skrytykowano zakup dodatkowego statku, jakiego potrzebujemy, aby móc dokonywać szczegółowych pomiarów - a widząc ślady niedowierzania na twarzy swojego rozmówcy, kontynuował: - Muszę pozbyć się większości zakupionego sprzętu, bo inaczej zostaną osobiście obciążony jego kosztem.

- W jaki więc sposób ma pan wykonać pomiary Ziemi Ognistej, wybrzeży Chile i tak licznych wysp na Pacyfiku? Jak prawidłowo

przeprowadzić obserwacje chronometryczne bez odpowiedniego wyposażenia? – Karol nie krył zdumienia. – Czy admiralicja nie bierze pod uwagę pańskich argumentów?

– Cóż, z przykrością stwierdzam, że nie. To jednak nie koniec złych wieści. Dziś o świcie zakomunikowałem Augustusowi, że muszę odwołać go z funkcji. Nie mogę ryzykować, że całkiem straci zdrowie albo nawet życie.

Karol przełknął ślinę. Powoli, choć dość intencjonalnie, zapytał z nutką niepewności w głosie:

– Chodzi o Earle’a, Augustusa Earle’a?

– Tak, niestety. Chodzi o twojego ulubieńca.

– Kapitanie – pośpieszył z wyjaśnieniami – on nie jest moim ulubieńcem, tylko...

– Daj spokój, Darwin, wiem, że go polubiłeś. Od dawna macie jakieś swoje sekrety – skwitował FitzRoy, rzucając zaledwie szybkie spojrzenie na swojego pokładowego naturalistę, lecz widząc, że się lekko zmieszał, postanowił ukrócić tę dyskusję jednym zdaniem. – W każdym razie, decyzja już zapadła, Earl opuszcza dziś pokład. Zdążysz się jeszcze z nim pożegnać, nim odpłynie statkiem pocztowym. Ach, właśnie! Wybacz, na pokładzie „Duke of York” była też paczka dla ciebie, kazałem dostarczyć ją do twojej kajuty.

To mówiąc, kiwnął ręką prawie jakby salutował, po czym odwrócił się na pięcie i monotonnym krokiem, pozbawionym werwy, odszedł w stronę portu z wyglądem człowieka, który stracił motywację. Karol odprowadzał go wzrokiem, dopóki ten nie zniknął za rogami wąskiej uliczki.

Słońce przybrało na sile, a po orzeźwiającyim świetle nie pozostało już śladu. Spojrzał w lewo i w oddali dostrzegł ptaki wirujące nad horyzontem wielkiego błękitu. Zaciekało go to dziwne zbiorowisko. Najwidoczniej doszło do jakiejś krwawej masakry na oceanie, która przyciągnęła zwolenników łatwej zdobyczy. Spróbował skupić wzrok i odróżnić poszczególne gatunki. Z łatwością rozpoznał albatrosy i fregaty, które swoimi gabarytami i dość charakterystycznym upierzeniem zdradzały obecność

w czasie powietrznej batalii o żer. Wiedział, że musi odnaleźć Earle'a, zanim opuści statek, więc ruszył w stronę okrętu, starając się nie spuszczać z oka niezwykłego widowiska na horyzoncie. Pragnął też otworzyć jak najprędzej nadaną do niego z Anglii paczkę, licząc, że znajdą się tam listy od rodziny i Henslowa. Był tak zamyślony, że nim to spostrzegł, kroczył już po pokładzie „Beagle'a”. Nagle, niczym dąb, wyrósł przed nim Augustus.

- Czyli już wiesz? - Ze smutną miną uprzedził słowa przyjaciela.

- Dosłownie przed chwilą dowiedziałem się od kapitana - odpowiedział Darwin, spuszczać głowę.

- Nie martw się, ja sobie jakoś poradzę. Nie żywię urazy do nikogo. Tak będzie lepiej. Zobacz tylko, jak zmarniałem. Najwyraźniej długie podróże mi nie służą, skoro od kilku dni ledwo starcza mi sił, by wstać z hamaka, a do tego gorączka mnie nie opuszcza. - Zdołał się uśmiechnąć mimo woli. - Darwin, ja...

- Dajmy spokój, Earle, nikt i tak nie uwierzy w to, co się wydarzyło. Zapomnijmy już o St. Jago.

- Tobie nie wypada, Darwin. Jesteś naturalistą, badaczem! Jak możesz przemilczeć tę kwestię? Na twoim miejscu nie mógłbym spać po nocach, gdybym sprawy nie wyjaśnił do końca - wtrącił Earle, zwalając z nóg Karola.

Karol Darwin odczuł napierające ciśnienie, i to, jak krew dopływa mu do potylicy i krąży wzburzona. Ten prosty i pocieszny człowiek miał absolutną rację. Był tylko albo aż artystą, lecz w przeciwieństwie do człowieka nauki i wiedzy, za którego Darwin się uważał, miał wystarczająco dużo odwagi, żeby narazić się na ośmieszenie, mówiąc wprost o tym, co siedzi w jego głowie. To słowo dudniło w uszach Karolowi: „ośmieszyć”. Widział już oczami wyobraźni, jak całe dostojne towarzystwo naukowe, na czele z Henslowem, Sedgwickiem czy choćby samym ojcem Karola, drwią na wieść o jego szokującym odkryciu. W zasadzie trudno to nawet nazwać odkryciem, prędzej przywidzeniem jakimś. Niemniej jednak, owo złudzenie było o tyle frapujące, że przydarzyło się dwóm osobom naraz. Czy to możliwe... Czy to przypadek, czy fakt?

- Bądź zdrow, Augustusie - wyjąkał i uściśnął silnie dłoń pocziwego malarza.

- Czas na mnie. Obyś ukończył szczęśliwie tę podróż, Darwin, i oby... starczyło ci odwagi.

Earle, nie chcąc przeciągać dłużej tej niezręcznej sytuacji, zniknął niczym zjawą. Zdażył jeszcze pośpiesznie wepchnąć Karolowi w dłoń tubę na rysunki, po czym rzucił przenikliwe, jakby proszące spojrzenie. Więcej go nie zobaczył. Uchylił wlot tuby i stwierdziwszy, że kryje w sobie jakieś szkice i malunki, które zapewne Earle zostawił mu w prezencie, natychmiast udał się do swojej kajuty. Omal nie upadł, rzucając się na leżącą na blacie korespondencję zaadresowaną na swoje nazwisko, starannie opakowaną w dodatkowy szary papier. Odłożył na hamak tubę z rysunkami Augustusa. Jak się okazało, przesyłka z Anglii zawierała nie tylko listy, lecz także dwie książki. Jedna była prezentem od Henslowa, drugi tom *Zasad geologii* autorstwa Lyella, traktujący o zmianach w rozwoju stworzeń ożywionych. Karol rzucił pobieżnie okiem na treść, lecz bardziej ciekawy zawartości listów, odłożył ją na bok i zerknął na drugą książkę wyglądającą dość znajomo. Tym wielkie było jego zdziwienie, gdy przeczytał jej tytuł i autora - *Odyseja*. Homer.

- Po jakie лихо Henslow przesłał mi Homera? - wyszeptał pod nosem, lecz wyjaśnienie było inne... Nadeszło wraz z lekturą listu od rodziny:

Drogi Karolu,

czas płynie tak wolno, gdy jesteś tak daleko. Dziękujemy za list, który nadesłałeś. Wiedz, że to niezwykle fascynujące móc czytać o tych wspaniałych miejscach, które odwiedzasz, i chłonąć oczami wyobraźni wszystkie niesamowite opisy, jakich dokonujesz w swej korespondencji. Z niecierpliwością oczekujemy wszelkich wieści od Ciebie. Potem zasiadamy razem w salonie i czytamy je na głos, rozkoszując się ciepłym kominka i racząc doskonałą herbatą malinową. Nadeszła już wczesna jesień, dni są krótsze i niebo

częściej zachmurzone, ale nadal miewamy słoneczne popołudnia. Jest cudownie, bo drzewa obsypały się złotem suchych liści, lecz jakże przyjemniej byłoby, gdybyś był obok. Wszyscy czujemy się świetnie, ojciec nie daje po sobie tego poznać, ale sądzę, że jest z Ciebie dumny. Ostatnio nieco szybciej się męczy i dlatego ograniczył ilość wizyt w ciągu tygodnia, chłodne poranki i wietrzne wieczory spędza w oranżerii, czytając książki. Któregoś dnia odwiedziła nas Fanny. Wiem, że to, co napiszę, nie spodoba Ci się, ale sądzę, Karolu, że powinienes o niej zapomnieć. Niespecjalnie była żadna wieści o Tobie. Gdyby Catherine nie zaczęła opowiadać o Twojej podróży, zapewne nigdy by sama o to nie zapytała. Wybacz moją bezpośredniość. Liczę, że moje słowa nie zranią Cię aż tak bardzo, jak się tego obawiam. Kiedy powrócisz, staniesz się szanowanym w kręgach naukowych przyrodnikiem i z pewnością poznasz w Londynie kobietę wartą Ciebie. Tymczasem bądź dzielny i pracuj wytrwale. Dołączyłam do listu *Odyseję*. Pewnie dziwisz się, po co? Przypomniałam sobie, jak lubiłeś ją czytać w młodości. Ciekawa jestem, czy nadal potrafisz recytować jej fragmenty na pamięć.

Przesyłamy Ci wiele ciepła i ściskamy gorąco. Ojciec radzi, byś się nie przemęczał, a w chwilach osłabienia pamiętał o natarciu klatki i pleców spirytusem. Gdy do tego wymoczysz nogi w gorącej wodzie i od razu położysz się spać, z pewnością każde przeziębienie szybko minie. Bądź zdrow, Karolu.

Caroline

Zawsze cenił szczerość swojej ukochanej siostry, ale część listu dotycząca Fanny wyjątkowo go zasmuciła. Zerknął na prezent od Caroline. Dotknął dłonią miękkiej obwoluty swojej ulubionej lektury z dawnych lat. Uchwycił książkę tak, by kciukiem kartkować kolejne stronicę, aż w końcu palec się zatrzymał. Otworzył ją szeroko i przeczytał powoli na głos:

- Szalenciec, kto się zbliży i tych śpiewy usłyszy. On nie ujrzy nigdy, póki żywy, ni małżonki, ni dzieci, ni ziemi rodzinnej: tak go

oczaruje śpiew tych... - Karol przełknął ślinę.

## ROZDZIAŁ 8

Charles, Wyspy Galapagos, 18 września 1835

- Co sądzisz o tym miejscu, Darwin?

Nicolas Lawson był średniego wzrostu mężczyzną w wieku około czterdziestu lat pełniącym na wyspach funkcję brytyjskiego gubernatora. Spod gęstej czupryny ciemnobrązowych włosów spoglądały poczciwe oczy o niezbyt wyraźnej oprawie. Wąskie usta na pierwszy rzut oka przypominały grymas, który tracił na sile dzięki miękko zakończonemu nosowi i dużym, lekko odstającym uszom. Lawson miał w swej naturze raczej przyjacielskie nastawienie.

- Sądzę, że jest tu tylko trochę ładniej niż w piekle - odpowiedział Darwin z całą powagą, co jednak nie powstrzymało gubernatora od śmiechu.

- Pewnie masz rację, jednak śmiem twierdzić, że teren ten okaże się wyjątkowo łaskawy dla ciebie, Karolu.

- Co to oznacza?

- Mimo niezbyt przekonującego pierwszego wrażenia, ziemia ta ma bogato rozwiniętą faunę i florę. Tobie, jako naturaliście, powinna dostarczyć ciekawych okazów. Gdy będziesz przemierzał kolejne wyspy archipelagu, zwróć uwagę na fakt, iż zwierzęta różnią się od siebie - powiedział enigmatycznie.

- Rozumiem, że występują tu liczne gatunki, czy tak? - dopytał, nie będąc pewny, o co chodziło Lawsonowi.

- Owszem. Jednak mówiąc, że się różnią, mam na myśli, iż zmiany występują u tych samych zwierząt, tych samych gatunków. Tak sądzę, ale nie jestem specjalistą w tej dziedzinie - odparł. - Spędziłem tu wystarczająco dużo czasu i potrafię rozpoznać, z jakiej wyspy pochodzi dany żółw.

Słowa te wyjątkowo zaciekały Karola, czego nawet nie starał się ukryć.

- Czy możesz wyjaśnić dokładniej, o jakie różnice chodzi? - poprosił uprzejmie, przełknąwszy kolejny łyk herbaty.

- Zauważyłem, że ich skorupy, kształt, a nawet kolor, różnią się między poszczególnymi wyspami. Jedne są bardziej szare, inne żółte albo żółto-zielone. Niektóre są wypukłe, a na innych wyspach płaskie. Sam się przekonasz. Gdybyś potrzebował dodatkowych informacji, służę pomocą - zaoferował Lawson.

Gubernator odszedł na moment od stołu, zbliżył się do biurka i sięgnął po znajdującą się w szufladzie teczkę. Wracając, podał ją Karolowi.

- Proszę, weź.

- Co to takiego? - zdziwił się Karol.

- Przez lata wykonałem wiele rysunków żółwi. Starałem się dokładnie oddać wszelkie różnice i oznaczyłem niektóre osobniki po miejscu ich zamieszkania.

- To niesamowite! - krzyknął zdumiony - Dziękuję, jeżeli pozwolisz, wykonam kopie i natychmiast zwrócę ci oryginały.

- Nie śpiesz się. - Sięgnął po imbryk. - Jeszcze herbaty?

Zbliżała się szósta po południu, jednak słońce świeciło mocno niczym latarnia, przez co na czole Karola ukazały się liczne krople potu. Przystanął na chwilę, wspierając nogę o głaz. Spod klapy ubrania wyciągnął bawełnianą chusteczkę i przetarł nią skroń, po czym przysłonił ręką oczy, by móc lepiej zobaczyć horyzont. Jak okiem sięgnąć, ląd przypominał przedsiónek piekieł. Wulkaniczny krajobraz rozweselał jedynie dodatek pomarańczowej barwy skał i żółtego piasku usypanego u stóp błękitnego oceanu. Dalej były tylko ciemnoszare wzniesienia, gdzieniegdzie okraszone zielenią



lokalnej roślinności.

- Będziemy mieli dużo pracy - odezwał się nagle Syms, domyśliwszy się, że Karol szacuje bogactwa terenu.

Karol doceniał pomoc Symasa od pierwszego dnia, gdy ten został jego oficjalnym asystentem. Syms Covington był chłopcem okrętowym na pokładzie „Beagle’a”. Zawsze można było na niego liczyć. Mimo młodego wieku, mając zaledwie siedemnaście lat, był bardzo pracowity, wytrwały i odpowiedzialny. Przy tym skromny i dobrze wychowany. Podczas wyprawy przez ląd Ameryki Południowej, znaleźli z Darwinem nić porozumienia i stworzyli wyjątkowo zgrany zespół. Karol podjął decyzję, że po powrocie do Anglii zamierza zatrudnić Symasa, na co ten chętnie przystał.

Był prawą ręką Karola, a często wręcz wykazywał inicjatywę w funkcji przyrodnika. Sumiennie i starannie pomagał choćby w takich pracach, jak wydobywanie, zabezpieczenie i przygotowanie do wysyłki szkieletów megaterium w Bahía Blanca. Wyglądem przypominał Karolowi chłopca z lat szkolnych: gęste, ciemne włosy z widocznym przedziałkiem po lewej stronie, wyraźnie zaznaczone łuki brwiowe, inteligentne spojrzenie i nonszalancki uśmiech. Jedyne nos wyglądał nader zabawnie, jako że był nieznacznie większy niż pozwalałyby na to proporcje.

- Zaczynamy jutro z samego rana - odezwał się Karol. - Dzisiaj możesz pokręcić się po okolicy i odpocząć po podróży.

## ROZDZIAŁ 9

Upał był nieznośny. Darwin i Covington natrafili na bardzo ciekawe skały. Stało się to za sprawą zupełnego przypadku, gdy obaj przeczesywali jedną z wysp archipelagu. Ugasiwszy pragnienie sporą ilością aromatycznej herbaty, Syms oddalił się nieco od Karola, gdyż poczuł ogromne parcie na pęcherz. Jak się okazało, miejsce, które wybrał do tego celu, odkrywało wnętrze gleby o interesujących barwach. W taki oto sposób odnaleźli złoża o skomplikowanym składzie i pochodzeniu geologicznym. Począwszy od godziny dziewiętej rano, pracowali nieustannie do południa, gdy poczuli obaj potworny głód.

- Gdybym mógł teraz zajrzeć do swojego wnętrza, zapewne zobaczyłbym, jak ściana żołądka przykleja mi się do kręgosłupa - stwierdził Syms, na co Karol odpowiedział gromkim śmiechem.

- Cieszę się, że mimo nadmiaru pracy i niezbyt sprzyjających warunków pogodowych, nadal dopisuje ci humor. Odpocznijmy, ja także jestem wyczerpany.

Ponieważ z nieba lał się istny żar i nic, absolutnie nic nie zapowiadało nadejścia choćby najmniejszej chmurki, pozostawili narzędzia tam, gdzie pracowali, i oddalili się nieznacznie, by zjeść przygotowany uprzednio posiłek i odpocząć trochę od upału. Odnaleźli zacienioną część wzniesienia i tu urządzili sobie piknik. Karol posiadał w swoich zasobach sporą ilość herbaty i wody, za to Syms niósł w skórzanej torbie posiłek dla siebie i swojego przełożonego. Jedli w ciszy pieczywo, kawałki suszonego mięsa

i przegryzali pomidorami z puszki. Gdy przyszła pora na deser, jakim były lokalne owoce, którymi zostali obdarowani przez gubernatora Lawsona, poprzez zupełną nieuwagę Syms oparł dłoń o pobliski kamień, na którym spokojnie wygrzewał się wąż. W ułamku sekundy ukąsił chłopaka i czmychnął za skałę. Na domiar złego, ani Syms, ani Karol nie mieli czasu przyjrzeć się mu dokładnie, przez co nie byli pewni, czy należał on do zwierząt jadowitych. W obecnej sytuacji i tak nie było ratunku, więc zostali skazani na łaskawość losu. Syms kurczowo trzymał się za rękę po tym, jak Karol kazał mu wyssać, a następnie wypluć krew w miejscu ukąszenia. Posiadali przy sobie jedynie podstawowy niezbędny na wypadek zranienia. Karol oczyścił ranę i spróbował ją opatrzyć. Nie pozostało nic innego, jak niezwłocznie wracać na pokład i zawiadomić McCormicka, pełniącego funkcję lekarza okrętowego. Na domiar złego upał dawał się mocno we znaki, a Syms tracił siły z każdą minutą. Wreszcie udało im się przemierzyć drogę powrotną do łodzi, lecz Darwin był mocno zaniepokojony o przyjaciela. Gdy tylko dotarli na statek, lekarz zajął się chłopakiem.

- Co to był za wąż? - zapytał McCormick.

- Niestety nie wiemy, działo się to zbyt szybko i zdążył czmychnąć - odpowiedział ze skruchą Darwin.

- Ile czasu upłynęło od ukąszenia?

Karola zaskoczyło to pytanie, ale spojrzał w górę i szybko policzył:

- Nie więcej niż dwie godziny.

Robert McCormick rzucił spojrzenie, które trudno było zinterpretować. Dało się wyczuć w nim zarówno przerażenie, jak i zaskoczenie oraz ulgę. Ciemne, lekko kręcone włosy opadły mu na spocone czoło. Był trzydziestokilkuletnim chirurgiem i sprawiał wrażenie, że wie, co robi. Swoimi miękkimi dłońmi o zgrabnych i białych jak mąka palcach, powoli odsunął opatrunek i obejrzał ranę. Następnie nakazał przeprowadzić Symasa do swojego gabinetu, ponieważ chłopak sam ledwo stał już na nogach. Mimo niepokojącego wyglądu Symasa, McCormick wydawał się

opanowany.

W tym czasie, czekając na wieści o stanie zdrowia asystenta, Karol udał się na chwilę do swojej kajuty, by odpocząć. Kiedy udało mu się na chwilę zamknąć oczy, zbudził go jakiś ruch. To Stokes kręcił się niezdarnie wokół stołu kreślarskiego.

- Wybacz, Darwin, starałem się, by cię nie zbudzić, ale przez tę przeklętą belkę uderzyłem się w czoło, a potem wypadła mi miarka.

- Stokes, śmiem twierdzić, że od początku podróży twoja głowa wyjątkowo często natrafia na coś zwisającego z góry - zażartował. - Pamiętam, jak kilka lat temu wyrwałeś mnie ze snu po tym, jak uderzyłeś nią o mapownik.

- Darwin, wybaczam ci te złośliwości. Ty zaś, mimo tylu lat spędzonych na pokładzie, nadal nie potrafisz ogolić się bez zacinania, gdy kołysz statkiem.

Obaj zaśmiali się głośno.

- To prawda, muszę przyznać ci rację. A mówiąc o ranach, masz może wieści od McCormicka?

- Spotkałem kapitana, gdy zmierzałem do kajuty i wspomniał coś o wężu. Wygląda na to, że to nic poważnego. Inaczej kapitan byłby znacznie bardziej zaniepokojony.

Karol odetchnął z ulgą, lecz wnet przypomniał sobie, że wszystkie narzędzia zostały niezabezpieczone na wyspie i będzie musiał po nie wrócić. Stokes zaoferował pomoc, jednak Darwin nie zamierzał burzyć rytmu pracy innych członków załogi. Postanowił sam udać się po sprzęt, gdy tylko się dowie, że Syms ma się dobrze.

Opuścił kajutę i skierował się wprost do gabinetu, gdzie McCormick badał swoich pacjentów. Niestety zastał tam jedynie drzemającego Syma. Już miał opuścić pomieszczenie, gdy zorientował się, że jego przyjaciel otworzył oczy.

- Jak się czujesz? - zapytał. - Wyglądasz, jakby przejechał po tobie parowóz.

- Miło, że żartujesz, Darwin. Na szczęście to nic poważnego. McCormick twierdzi, że obrzęk jest zwykłą reakcją na ukąszenie, ale wąż nie mógł być jadowity, bo najprawdopodobniej już bym nie

żył, skoro upłynęło tyle godzin od tego feralnego zdarzenia. Gdy tylko gorączka ustąpi, wrócę do swoich obowiązków.

- Nie wygłupiaj się, Syms, dopóki nie odzyskasz pełni sił, nie chcę słyszeć, że myślisz o pracy. Sam udam się na miejsce znaleziska, a ty dołączysz do mnie, jak już całkiem wyzdrowiejesz. A teraz wybacz, zostawię cię samego. Potrzebujesz czegoś? Jesteś głodny?

- Dziękuję, po prostu spróbuję zasnąć.

Opuściwszy gabinet, Karol postanowił odszukać FitzRoya i oznajmić, że raz jeszcze zabiera łódź, by wrócić po narzędzia i próbki skał.

- Darwin, jesteś pewien, że to dobry pomysł? Lepiej przydzielę ci kogoś do pomocy. Nie chciałbym, żeby i tobie coś się stało.

- Spokojnie, kapitanie. To niedaleko, poradzę sobie. Lepiej, żeby każdy pilnował swoich obowiązków. Postaram się być z powrotem przed zmrokiem.

- Darwin, nie zezwalam, żebyś nocował sam na wyspie. To jest rozkaz.

Dalsze tłumaczenia nie miały sensu. Kapitan miał rację, bez choćby odpowiedniego obozowiska nocleg pod gołym niebem w takich warunkach nie był najlepszym pomysłem. Należało się śpieszyć.

Dotarłszy na miejsce, Karol zastał cały sprzęt w stanie nienaruszonym. Owoce, którymi mieli się z Symsem uraczyć, obległy wielkie mrówki, zapewne ze względu na zawartą w nich dużą ilość cukru. Do zmierzchu pozostało kilka godzin. Postanowił pracować tylko tyle, na ile pozwoli mu czas i w porę ruszyć w drogę powrotną, by nie narażać się na gniew FitzRoya. Najpierw zabezpieczył i przygotował do transportu próbki, które już udało się pobrać. Potem wykonywał rysunki i szkice terenu. Robił także na bieżąco notatki, by ponownie zabrać się za kopanie w dość piaszczystej glebie. W pewnym momencie mały dłubak natrafił na coś twardszego. Początkowo sądził, że to skorupa żółwia. Gdy jednak zaczął kopać głębiej, zorientował się, że to kość. Na wyspach

żyje wiele dużych zwierząt, począwszy od długowiecznych żółwi, przez wielkie jaszczurki i ptaki pokaźnych rozmiarów, jednak okazało się, że kości te raczej nie należały do żadnego z wymienionych. Powoli odkrywał cały szkielet. Ponieważ teren był miękki, przyszło mu to bez większych oporów. Przez cały czas próbował rozpoznać, do jakiego stworzenia należą kości. Na chwilę przestał i odszedł od szkieletu, by przyjrzeć się mu z większej odległości. Kontemplował tak jakiś czas i w końcu uznał, że to pozostałość po dużej focie.

- Co robią kości fokki tak daleko od brzegu? - powiedział sam do siebie, drapiąc się po głowie.

Coś jednak nie dawało mu spokoju. Już miał zamiar zrezygnować z dalszej pracy, gdy łupnął kilofkiem w coś większego. Pomyślał, że to kamień. Tym większe było jego zdziwienie, gdy ów przedmiot okazał się dalszą częścią szkieletu.

- Co, do licha! - krzyknął, nie będąc pewny tego, co zobaczył.

Spośród innych narzędzi wydobył szczotkę służącą do delikatnego oczyszczania znaleziska z ziemi i piasku oraz drobnych kamyczków. W miarę jak usuwał osad, odsłonił całość dużej, płaskiej kości i zorientował się, że jeszcze jedna część ogona spoczywa nieco niżej w ziemi. Zastanawiał się, czy to może być kręgosłup. Zupełnie stracił orientację, musiał ponownie oddalić się i ocenić szkielet z perspektywy. Im dłużej się w niego wpatrywał, tym większe stawały się jego oczy, a usta rozwierały z niedowierzania. Kilofek, który trzymał w ręce, wysunął mu się z wrażenia i opadł z brzdęką, natrafiając na gładki kamień. Karol poczuł się nieswojo i stał jakby sparaliżowany. Nagle w jego głowie rozeszły się słowa wspomniane przez Augustusa: „...oby starczyło ci odwagi, Darwin...”

- Nie, to niemożliwe... - wyszeptał.

Zrobiło mu się niedobrze, a jego plecy oblał zimny pot. Ręce trzęsły się jak wychudzony chart na mrozie. Czuł, że nogi stają się miękkie niczym wata, a oddech przyśpieszył. Osunął się na ziemię i poczuł zawroty głowy. To był ten moment, którego obawiał się od

czasów St. Jago. Myśl o tym spędzała mu sen z powiek od kilku lat, a teraz ten koszmar ponownie stał się rzeczywistością. Próbował pozbierać myśli i opanować wątpliwości, które nim targaly. I znowu usłyszał Earle'a: „Odwagi, Darwin” – powtarzał w myślach.

Zacisnął pięści i poczuł, jak powracają mu siły w nogach. Pomyślał o Henslowie; nie był pewny, czy jest z siebie dumny, czy powinien odczuwać wstyd. W tej chwili niczego nie mógł być pewny. Zerknął na zegarek. Miał jeszcze czas, by wydobyć cały szkielet i wrócić przed zmrokiem. Nie tracąc już ani chwili, zabrał się do pracy. Był przerażony. Kiedy szkielet ukazał się w całości, chwycił za rysik i starannie naniósł szkic na papier. Drżały mu ręce, gdy skończył. Teraz musiał szybko zabezpieczyć znalezisko i wrócić na łódź. Zaczął od kości płetwy, gdy zaś wziął w ręce ostatni element, jakim była czaszka, po raz pierwszy w życiu dopadła go absurdalna myśl o tym, że niegdyś miał zostać duchownym. Pomyślał o Bogu: „Co Bóg może mieć z tym wspólnego?”.

- No, wreszcie! - burknął FitzRoy. - Zaczynałem się martwić.

Karol nie był w stanie nic powiedzieć. Uśmiechnął się tylko uprzejmie w stronę kapitana, dając mu do zrozumienia, że wszystko w porządku, tak by nie wzbudzić żadnych podejrzeń. Pozwolił załodze przenieść ciężki sprzęt i drewniane skrzynki na statek. Cały czas ukradkiem zerkał w ich stronę w obawie, czy któraś ze skrzyń się nie otworzy i jej zawartość nie znajdzie się nagle na pokładzie. Ta napięta sytuacja trwała niewiele ponad dziesięć minut i kosztowała Karola sporo stresu, co nie uszło uwadze kapitana:

- Jesteś pewien, że dobrze się czujesz? Może jednak idź do McCormicka, niech cię zbada, bo blado wyglądasz.

- Doprawdy, nie ma takiej potrzeby. To zapewne przez upał i zmęczenie. Pójdę do kajuty i zaraz poczuję się lepiej. A co z Symsem? - przypomniał sobie o przyjacielu.

- Śpi - odpowiedział FitzRoy. - Uparł się, żeby na ciebie poczekać, ale tak długo się nie zjawiał, że kazałem mu odpocząć. Jutro porozmawiacie, a teraz zalecam, abyś i ty poszedł w jego ślady. Zostaw te skrzynie tutaj, wyjątkowo na to zezwalam z uwagi

na późną porę. Jednak gdy wstaniesz o poranku, nie chcę tego tu widzieć. Zrozumiano?

Karol wiedział, że kapitan nie znosił jego próbek, skrzyń i martwych szczątków zwierząt na pokładzie. Tym razem były to żarty, ale Karol nie zamierzał pozostawiać szkieletu na noc bez zabezpieczenia. Wiedział jednak, że jeśli nie opanuje swoich emocji, wzbudzi podejrzenia członków załogi i, kto wie, może jeszcze pomyślą, że znalazł jakieś złoto?! Musiał wyważyć słowa tak, by stworzyć pozory obojętności, a zarazem wykazać stanowczość:

- Dobrze, kapitanie, niech te łopatk i kilofy zostaną tu do jutra, jestem niezmiernie wdzięczny za wyrozumiałość - uśmiechnął się, co też podłapał kapitan - zabiorę tylko tę jedną skrzynię, bo mimo zmęczenia muszę przygotować te paskudztwa tak, żeby się nie zmarnowały. Szkoda by było moich trudów. Dobranoc!

W tym momencie Karol od razu objął uchwyt drewnianej skrzyni, nie czekając na reakcję FitzRoya. Sztuczka się udała. Kapitan nie miał czasu zaprotestować, a widząc, jak Darwin targa skrzynię, nakazał, by mu pomóc. Wnet ktoś uchwycił ją z drugiej strony i tak oto oddalił się powoli w stronę swojej kajuty. Gdy znalazł się sam w pomieszczeniu, otarł ręką pot z czoła.

- Trzeba było powiedzieć, pomógłbym z tą skrzynią, gdybym wiedział, że się tak namęczysz!

Karol aż podskoczył z wrażenia. Dostrzegł Stokesa leżącego w hamaku.

- Dziękuję, przyjacielu. Nie było takiej potrzeby, nie przywlokłem tego sam, pomógł mi Whiliam. Przepraszam, że cię zbudziłem. Niestety, muszę jeszcze popracować nad tymi próbkami, zanim zasnę, ale ty śpij, pewnie padasz z nóg.

- Śmiało, Darwin, stół jest cały twój! Ja dziś jestem zbyt zmęczony, muszę odpocząć. Dobranoc.

- Dobranoc.

Karol postanowił odczekać jednak dłuższą chwilę, aż Stokes zacznie chrapać. Gdy uznał moment za odpowiedni, przeniósł skrzynię w pobliże stołu kreślarskiego. Zerknął na współlokatora.



Wydawało się, że śpi jak kamień. Uchylił powoli wieko i wyjął ostrożnie jedną kość, kładąc ją delikatnie na stół. Zwiększył płomień lampy i nachylił się nad nią, kierując źródło światła tak, by móc się jej dobrze przyjrzeć. Omal nie wypuścił lampy z rąk, gdy Stokes przewrócił się z jednego boku na drugi, robiąc przy tym sporo hałasu. Alarm okazał się nieuzasadniony, bo Stokes w dalszym ciągu smacznie spał, jednak Karol postanowił nie kusić losu. Czuł takie napięcie, że nie byłby w stanie pracować. Umieścił kość z powrotem w skrzyni, po czym przesunął ją tuż pod swój hamak. Następnie przebrał się do snu i zgasił płomień. Dużo czasu minęło, nim usnął. Zbyt wiele myśli krążyło w jego głowie i nie potrafił ich uporządkować.

## ROZDZIAŁ 10

Ciepła bryza wdzierała się przez szpary wejścia do kajuty i niosła ze sobą cudowny zapach smażonego boczku i aromatycznej kawy, który wdzierał się do nozdrzy Karola. Niechętnie otworzył oczy i ocenił, która może być godzina. Biorąc pod uwagę zapachy dobiegające z kuchni i fakt, że Stokes zniknął z hamaka, uznał, że to już zdecydowanie pora śniadaniowa. Przetarł oczy. Wtedy w drzwiach zjawił się Stokes.

- Nie śpisz już? - zapytał.

- Jak widać, Stokes, jak widać...

- Kapitan nie czekał na ciebie, kazał przekazać, żebyś zjadł śniadanie sam.

- Już po ósmej?! - krzyknął Karol.

- Prawie dziewięta na zegarku. Wszyscy już pracują, tylko ty śpisz.

Karol zerwał się z hamaka tak szybko, że nieopatrznie nadepnął na krawędź jakiegoś przedmiotu leżącego na podłodze i ledwo utrzymał równowagę. Zerknął pod nogi. Okazało się, że to tuba, którą dostał w prezencie od Augustusa. Musiała przeturlać się tutaj, gdy kołysało statkiem. Podniósł ją i niezwłocznie zaczął się ubierać. Zawahał się, nim opuścił kajutę, przypomniawszy sobie o skrzyni ze szkieletem. Zastanawiał się, czy ktokolwiek może tu wtargnąć i odkryć jego tajemnicę. Gdyby to wyszło na jaw, zapewne straciłby wszelkie poważanie, a kto wie, może nawet zostałby wydalony ze statku i oddany w ręce wymiaru sprawiedliwości za zbezczeszczenie

ludzkich szczątków? Ta myśl wydała mu się potworna. Nie miał wątpliwości, że skrzynię trzeba zabezpieczyć. Zajęło mu to dłuższą chwilę, ale w końcu udało się ją szczelnie zamknąć i, jak sądził, uchronić przed niepożądanym wzrokiem.

Na pokładzie panował gwar. Karol mijał kolejno poruszających się żwawo członków załogi. Zmierzał w kierunku miejsca, gdzie zeszłego wieczoru pozostawił sprzęt do pracy i kilka innych pojemników z próbkami skał. Niestety, niczego takiego nie znalazł. Rozejrzał się wkoło, ale po rzeczach nie było śladu. Zapytał pierwszego napotkanego człowieka, gdzie może spotkać FitzRoya, jednak okazało się, że kapitan tymczasowo opuścił statek, by udać się na rozmowę z gubernatorem. Wrócił do kajuty, aby pozbierać myśli. Tym większe było jego zdziwienie, gdy zastał drzwi na w pół otwarte. Spodziewał się, że Stokes jest w środku. Jednak ponownie się zdumiał, ujrawszy Symsa ciągnącego zapieczętowaną skrzynię w stronę wyjścia.

- Czy możesz mi wyjaśnić, co, do diabła, robisz?! - krzyknął Darwin w jego stronę.

Chłopak omal nie podskoczył pod sufit, tak się wystraszył.

- Przepraszam, Karolu, szukałem cię, ale zastałem tylko Stokesa. Kapitan mówił, że wieczorem zabrałeś jakieś, jak to nazwał, „paskudztwa” do kajuty, żeby w nocy zrobić próbowki. Stokes potwierdził, że miałeś pracować do późna i wskazał mi tę skrzynię. Niebawem po tym wyszedł. Pomyślałem, że skończyłeś przygotowywać materiał, skoro skrzynia jest zamknięta. Chciałem ją zabrać i przygotować do następnej wysyłki do Anglii. Przepraszam, nie chciałem cię zdenerwować, Karolu.

Darwinowi zrobiło się głupio, że tak naskoczył na chłopaka. Poza tym w dalszym ciągu musiał stwarzać pozory. Powiedział więc tylko:

- To ja przepraszam, Syms. Wcale mnie nie zdenerwowałeś. Krzyknąłem, bo zobaczyłem, że sam dźwigasz tę ciężką skrzynię, a przecież powinieneś nadal odpoczywać - to mówiąc, podszedł bliżej i wyjął mu ją z rąk.

Symsowi ulżyło, bo nie chciał widzieć swojego zwierzchnika podirytowanego. To by mogło wpłynąć na ich dalsze relacje, ale i tak pożałował, że wszedł do kajuty Karola i bez jego pozwolenia chciał zabrać pakunek.

- Czuję się już znacznie lepiej. Właściwie to nie mam ochoty leżeć dłużej pod obserwacją McCormicka. Sądzę, że wyzdrowiałem, bo rano aż rozpierała mnie energia. Sprzątnąłem nawet resztę rzeczy, które zostały na noc na pokładzie, bo kapitan kazał to zrobić - powiedział, chociaż obawiał się, że i to może rozzłościć Darwina.

- Tobie kazał? Nie wierzę...

- No, w zasadzie to nie mnie, ale ja się tym zająłem. Mam nadzieję, że to nie problem? - Zerknął błagalnym wzrokiem na Karola.

- Nie, skąd. Dziękuję ci za pomoc. Ale tej skrzyni nie zabieraj, jeszcze nie skończyłem wszystkiego spreparować.

Chłopak ledwo powstrzymał się od kolejnego komentarza, ale trudno było mu opanować zdziwienie. Na jego twarzy pojawił się grymas i otworzył szerzej oczy. Dziwne wydało mu się to, że skrzynia jest dokładnie zamknięta, mimo że - jak twierdził Darwin - materiał nie jest gotowy. Zaczęło go zastanawiać, co takiego znajduje się w skrzyni. Karol wiedział, że należy coś powiedzieć. Na dodatek musiało to być nieliczne kłamstwo, żeby ugasić ciekawość przyjaciela. Jedyne, co przyszło mu do głowy, brzmiało:

- To szkielet małego megaterium.

Zapadła cisza. Gdyby byli na lądzie, zapewne dałoby się usłyszeć bzyczenie muchy. Teraz jednak Karol miał wrażenie, że słuchać bicie jego serca. Czekał, co powie Syms.

- Megaterium? Tutaj? Czy to nie dziwne, Darwin?

- Bardzo dziwne, Syms, bardzo! Dlatego postanowiłem, że ten szczególny okaz zabiorę ze sobą, gdyż muszę mu się dobrze przyjrzeć.

- Jak to, ze sobą? Nie zamierzasz tego wysłać do Anglii?

- Zamierzam, ale skrzynia wróci tam ze mną. Może nawet zachowam ten szkielet dla siebie, do dalszych badań. Nie mogę

pozbywać się wszystkich okazów.

To mówiąc, uśmiechnął się, dając do zrozumienia, że nie ma ochoty na dalszą dyskusję. Syms uszanował to, jednak zanim wyszedł z kajuty ponaglony gestem ręki Karola, zerknął ukradkiem na skrzynię. Dostrzegł jakiś napis wyryty na jednej z desek tuż obok uchwytu. Trudno go było odczytać z tak dużej odległości, wytężył więc wzrok i przeliterował w myślach:

O-DY-SE-JA.

Tuż przed południem wrócił kapitan i udał się wprost do Karola.

- Dzień dobry, kapitanie. Najmocniej przepraszam, że nie towarzyszyłem panu dziś podczas śniadania w mesie. Zbyt późno doszedł mnie ten cudowny zapach boczku - zażartował.

- Nie szkodzi, Darwin. Każdy ma swój rytm pracy. Zdaje się, że do późna przygotowywałaś te paskudztwa, czyż nie?

- Tak, zgadza się. Zapewne przez to zasnęłam. Kapitanie, ja...

- Nie przejmuj się, najważniejsze, że masz to, po co tu przybyłaś.

Słowa kapitana brzmiały równie dziwnie, co podejrzenie. Karol zupełnie nie wiedział, co odpowiedzieć. Wybawienie nadeszło samoistnie, gdy FitzRoy dodał:

- Niemniej jednak, cokolwiek wywieziesz z tej wyspy, będzie to już ostatnia rzecz, ponieważ odpływamy. Dziś rano udałem się z wizytą do gubernatora, żeby się pożegnać. Uprzejmie prosił o zwrot notatek, które jakiś czas temu podobno oddał w twoje ręce. Chciał, żebym ci to przekazał, nim opuścimy wyspy.

Karol ocknął się z dziwnego letargu. Domyślał się, że chodzi o rysunki żółwi, które Lawson użyczył mu tuż po tym, jak zawitali na archipelag.

- Oczywiście, kapitanie. Oddam je niezwłocznie - odpowiedział.

- Kiedy wyruszamy w dalszą drogę?

- Jutro, z samego rana. Bądź gotowy.

Droga do gubernatora upłynęła młodemu Darwinowi pod znakiem wielu niewiadomych i pytań snujących się po jego głowie. Zastanawiał się, czy Syms uszanuje jego prośbę i odczepi się od

skrzyni? Żeby ją otworzyć, musiałyby zniszczyć wieko. Czy poskromi ciekawość? A jeśli nie, co wtedy? Jak zostanie odebrany fakt ukrywania czegoś takiego? Co zrobi kapitan? Może wrzucą go do oceanu? Oby nie, wtedy załoga okazałaby większe barbarzyństwo niż to, co zrobił on sam. Po raz kolejny pomyślał o czymś dziwnym. O Bogu.

- Karolu! - Ucieszył się Nicolas Lawson. - Dobrze, że jesteś. Rozumiem, że kapitan przekazał ci moją wiadomość. Proszę, nie miej mi tego za złe, ale żywię sentyment do tych rysunków i...

- Gubernatorze, nie żywię urazy. Absolutnie nie zamierzałem zabierać pańskich szkiców ze sobą. Tak się składa, że wszystkie przekopiowałem i z pewnością lada dzień bym je oddał. Wiadomość kapitana o wyjeździe zaskoczyła mnie równie jak pana. Oto notatki - wręczył je mężczyźnie. - Bardzo dziękuję, to cenny materiał dla moich badań i obserwacji.

- Cała przyjemność po mojej stronie. Ucieszyłem się, widząc pana, Karolu, ponieważ mam jeszcze coś dla kapitana. Dziś rano zapomniałem mu przekazać tych oto ostrzałek do noży, a on, zdaje się, nie zamierza tu przychodzić kolejny raz. Czy będzie pan tak uprzejmy i przekaże je FitzRoyowi?

- Oczywiście, tak uczynię.

- Proszę, niech pan wejdzie, może jeszcze zdążę ugościć pana moją wyborną herbatą z sokiem owocowym.

- Nie odmówię takiej przyjemności. - Ucieszył się Karol.

Usiedli na pięknym tarasie z widokiem na interior. Na kamiennym murze wygrzewały się małe jaszczurki, które co chwila przekręcały łebki, wytyczając czujnie wzrok, czy aby nie zagraża im jakieś niebezpieczeństwo. Południe było gorące, ale na szczęście ich twarze muskała lekka bryza dająca odrobinę orzeźwienia. Cała wyspa wydawała się milcząca do tego stopnia, że Karolowi zdało się słyszeć zwawe odgłosy marynarzy dobiegające z „Beagle’a”, którzy czynili ostatnie przygotowania przed dalszą podróżą. Podano herbatę. W powietrzu unosił się intensywny aromat cierpkich liści połączony ze słodyczą soku owocowego.

- Doskonała - przerwał milczenie Karol, rozkoszując się smakiem trunku, który tak lubił.

- Cieszę się, że ci smakuje. Zanim mnie pan opuści, Karolu, proszę przypomnieć, żebym dał panu butelkę tego soku.

- Doprawdy, to aż nadto z pana strony, gubernatorze - odparł.

- Absolutnie nalegam, sam doskonale wiem, co oznacza długa wędrówka po morzach i oceanach. Człowiek wtedy tęskni za zwykłymi rzeczami. Oby ta odrobina soku umiliła panu ten czas rozłąki z domem. Poza tym jest tu gigantyczna dawka witamin, co uchroni pana przed szkorbutem.

- Dziękuję, to niezmiernie uprzejme.

Wziął ponownie łyk herbaty.

- Wracając jeszcze do żółwi - kontynuował Karol - czy zastanawiał się pan, co powoduje owe zmiany i jak to jest w ogóle możliwe?

- Być może to nie są te same zwierzęta? Może miały innych... jak to powiedzieć... rodziców?

Karol podrapał się po głowie. Jego i tak wielkie czoło zdawało się puchnąć.

- Tego nie wiemy, jednak biorąc pod uwagę fakt, że samych rysunków wykonał pan kilkadziesiąt, oznaczałoby to, że w obrębie tego samego gatunku żółwia wytworzyły się dziesiątki albo nawet setki linii rodzinnych. Zapewne, nie widział pan wszystkich, więc... brzmi to dość nieprawdopodobnie. Chyba że...

- Tak?

- Te zwierzęta pochodzą od tych samych rodziców, jak pan się wyraził, ale w czasie swojego życia ich budowa - choćby kształt czy kolor skorupy - uległy zmianom. Przecież taki żółw jest starszy od pana czy ode mnie. Kto wie, może żyją sto lat?!

- A wie pan, Darwin, że to możliwe. Wszak gdy tu przybyłem, rozmawiałem z tubylcami i co poniektórzy, zwłaszcza ci w sędziwym wieku, twierdzili, że żółwie były tu przed nimi.

Karol słuchał i myślał. Głównował intensywnie. Niemal dało się słyszeć jego zapytania i wątpliwości. Przełknął kolejny łyk herbaty.

- W tak długim czasie mogły się zmienić... przystosować. To niesamowite! Jeśli to prawda, oznacza to, że organizmy mogą się zmieniać w zależności od potrzeb środowiska.

- Hmm - jęknął Lawson. - To faktycznie brzmi nieprawdopodobnie. Proszę pomyśleć, Darwin, co by było, gdyby to ludzie mogli się zmieniać. Ha! Może jak bardzo będę tego pragnął, to wyrosną mi skrzydła?!

Gubernator najwyraźniej nie traktował tej części rozmowy poważnie, w przeciwieństwie do Karola. W jednej chwili rozchylił usta i wytrzeszczył oczy, po czym energicznie wstał od stołu, niemal przewracając dzbanek z herbatą.

- Przepraszam, gubernatorze, najmocniej przepraszam, ale właśnie coś mi się przypomniało. Obawiam się, że muszę pana pożegnać, obowiązki wzywają.

To mówiąc, Karol wyglądał jak obłąkany, ruchy jego stały się chaotyczne i jąkał się między kolejnymi słowami. Uścisnął rękę Lawsona, podziękował za pomoc i gościnę, a następnie - niczym strzała - pobiegł w stronę „Beagle’a”, w ostatniej chwili zabierając butelkę soku i ostrzałkę do noży dla FitzRoya.



# ROZDZIAŁ 11

Londyn, 24 listopada 1838

Zapowiadało się na zmianę pogody. Szare, listopadowe niebo przybrało barwę atramentową, tylko gdzieś jeszcze słońce próbowało przebić się przez sklepienie, a jego oślepiające promienie sięgały fragmentów brukowanej ulicy przy Upper Gower Street 12. Karol nie miał wątpliwości, że to będzie właściwe miejsce dla niego i dla Emmy, gdy tylko się pobiorą. Mieszkanie jest obszerne, zdoła więc zapewnić komfort ukochanej, da odrobinę prywatności Symsonowi, a także pomieści wszystkie graty i – jakby to powiedział FitzRoy – „paskudztwa” Karola. Okna domu wychodziły wprost na ulicę, ale wewnątrz było tak dobrze zaaranżowane, że większość hałasów, jakie mogły powstać przez choćby nadjeżdżający zaprzęg konny, były skutecznie tłumione już na poziomie małego ogródka znajdującego się przed wejściem. To tu rosły trzy młode dęby wzdłuż bruku i to one sprawiały, że uliczny zgiełk nie docierał do uszu lokatorów domu, chociaż teraz nerwowo kołysały gałęziami poruszane coraz silniejszym wiatrem.

– Syms, dobrze, że już jesteś. – Ucieszył się Darwin. – Oto nasz nowy dom, będziesz zadowolony. A teraz prędko, zanim lunie z nieba!

Syms Cavington przybrał dostojną pozę, lecz jakieś troski wyraźnie dało się dostrzec na jego twarzy. Zmarszczył czoło i uniośł lekko wewnętrzne kąci brwi, tak że wyglądały, jakby na środku

wyrósł mu wulkan. Nic nie mówił. Ruszył tuż za Karolem w stronę powozu czekającego przed frontem budynku. Wspólnie zaczęli przenosić pudła, skrzynki, torby i worki zawierające rzeczy osobiste Karola, a także część ubrań jego przyszłej małżonki. Uwijali się niczym mrówki i tuż przed ulewą zamknęli drzwi, stawiając ostatnie pudło na podłodze hallu.

- Najważniejsze, że szyfonowe woalki Emmy nie uległy zalaniu - zażartował Karol, ściągając płaszcz.

Syms nadal milczał. Wiedział jednak, że prędzej czy później Darwin zauważy jego stan ducha i zapyta o przyczynę. Postanowił stłumić negatywne emocje i zabrał się do rozpakowywania paczek pod ścisłą kontrolą Karola:

- Te rzeczy postaw w rogu, tamte później przeniosę, to może poczekać, a tym zajmiemy się natychmiast.

Minęły dwie godziny; za oknem huczał niepokojąco wiatr, a na okiennych szybach pojawiły się liczne krople deszczu. W końcu, pod stertą bawełnianych prześcieradeł i ciepłych koców, Syms natrafił na coś, co przywróciło wspomnienia sprzed lat. Stał tak chwilę jak wryty, nie mogąc oderwać oczu od drewnianej skrzyni. W dalszym ciągu pozostawała zamknięta i jedynie deski zmieniły nieco barwę, systematycznie chłonąc wilgoć z angielskiego powietrza. Nachylił się i przesunął prawy bok skrzyni w lewo, ukazując tym samym widniejący przy drewnianym uchwycie napis: ODYSEJA. Syms poczuł, że Karol mu się przygląda. Odwrócił wzrok i oczekiwał.

- Zawsze byłeś lojalnym pracownikiem, Syms - powiedział Darwin. - Należą ci się wyjaśnienia. Po tych wszystkich trudach podróży...

- Karolu - przerwał mu - nie musisz nic mówić, to twoja sprawa i nic mi do tego. Powiedz tylko, gdzie mam przenieść tę skrzynię. Reszta mnie nie interesuje.

Taka postawa Symsa była na rękę Darwinowi, chociaż w głębi czuł, że winny jest przyjacielowi wyjawienie prawdy. Ponieważ jednak Cavington uszanował sekret Karola, nigdy więcej nie wrócili do tego tematu. Skrzynia wylądowała wraz zresztą w „Muzeum” na

poddasz, za zamkniętymi drzwiami o takim właśnie szyldzie. Po skończonej pracy Karol zaproponował Symsowi rozgrzewającą herbatę z imbirem. Był to dobry moment na rozmowę w cztery oczy.

- Karolu... - zaczął nieśmiało Syms. - Ja...

- Czy coś cię trapi, przyjacielu? - zapytał. Od rana jesteś jakby nieobecny. Co się stało?

- Nie, właściwie nic się nie stało. Chciałem tylko zapytać, jak sobie radzisz w nowej roli przyszłego męża. Mam nadzieję, że podjąłeś słuszną dla siebie decyzję.

- Ach, więc o to chodzi. - Ucieszył się Karol. - Ślub zaplanowaliśmy na początek przyszłego roku. Ceremonia odbędzie się zapewne w rycie anglikańskim. Nie wyobrażam sobie, Syms, żeby miało tam ciebie zabraknąć, przyjacielu...

- Dziękuję, Darwin, cieszę się z twojego szczęścia i z przyjemnością wezmę udział w tej uroczystości. Mam nadzieję, że Emma wyleczy cię z tych ataków osłabienia i dziwnych przypadłości zdrowotnych. Podobno kobiety to potrafią - żażartował, co zdecydowanie przypało do gustu Karolowi.

- Podobno tak, podobno...

## ROZDZIAŁ 12

Marzec 1839

Po chłodnej posadzce kroczył w pośpiechu mężczyzna w wieku około pięćdziesięciu kilku lat. Sapał co kilka kroków. W ręce trzymał kurczowo brązową teczkę z cielecej skóry. Emma prowadziła go przez rozległy hall do gabinetu znajdującego się we wschodnim skrzydle domu. Marcowe promienie nie były w stanie ogrzać budynku, dawały jedynie wrażenie przyjemnego ciepła rozplywającego się po kątach pomieszczenia, w którym leżał Karol Darwin.

- Tędy, doktorze. Mąż poczuł się źle z samego rana i od tamtej pory odpoczywa w gabinecie z nosem w książkach - powiedziała Emma, nie kryjąc zmartwienia.

Na widok lekarza Karol odłożył książkę na biurko.

- Emmo, to naprawdę nie było konieczne - powiedział. - Czuję się znacznie lepiej. Nie trzeba było fatygować doktora.

- Nie chcę słuchać tych bredni, Karolu. Doktorze, proszę go zbadać. Dziś rano dostał ataku gorąca i silnego kołatania serca. Ledwo zdołałam go tu przyprowadzić.

- Zaraz zajmiemy się pacjentem. Panie Darwin, proszę zdjąć koszulę z łaski swojej, osłucham pana...

Emma natychmiast pomogła rozebrać męża, bo wiedziała, że sam może nie mieć wystarczająco dużo sił. Doktor zbadał ciśnienie, tętno, oczy, zajrzał do gardła, zmierzył temperaturę ciała. Zadawał

przy tym mnóstwo pytań, które zaczęły drażnić Karola. Nieco podirytowany ubrał z powrotem koszulę i czekał na diagnozę.

- Nie oszczędza się pan, panie Darwin. Wygląda na to, że jest pan przemęczony i na wskroś przejęty pracą - odezwał się lekarz. - Proszę poważnie pomyśleć o wypoczynku. Dobrze to panu zrobi. Sądzę, że i małżonka będzie spokojniejsza, gdy zregeneruje pan siły. Przepiszę panu proszek na zawroty głowy, ale więcej korzyści przyniesie panu zdrowa dieta: chudy rosół, warzywa i absolutnie, pod żadnym pozorem, nie spożywać alkoholu. Wieczorem przed snem proszę moczyć nogi w naparze z tych ziół, a z pewnością pan wydobrzeje.

To mówiąc, wręczył Karolowi niewielką kartkę, jednak widząc niechęć pacjenta, odłożył ją na stolik. Emma czuła lekkie zażenowanie jego zachowaniem. Odprowadziła doktora do drzwi frontowych.

- Proszę wybaczyć mężowi, przez ten swój stan jest nieco zgorzkniały i niezbyt skory do rozmów.

- Rozumiem, pani Darwin. Życzę zdrowia i kłaniam się uprzejmie.

I odszedł.

Gdy zbliżała się czwarta po południu, Emma postanowiła zaparzyć Karolowi rozgrzewającą herbatę i udała się z dzbankiem do gabinetu. Tam jednak go nie zastała. Odłożyła tacę i wyszła na korytarz. Jakies dźwięki dochodziły z górnego piętra. Ruszyła po schodach „Domku Ary”, jak zwykli go nazywać z mężem ze względu na krzykliwą kolorystykę wnętrza, i po chwili znalazła się na ostatnim piętrze. Drzwi do „Muzeum” były lekko uchylone. Weszła do środka. Karol klęczał na podłodze, trzymając w dłoni jakieś notatki w czerwonej obwolucie. Początkowo myślała, że zasnął, ale szybko zorientowała się, że nic mu nie jest.

- Karolu! - niemal krzyknęła. - Lekarz kazał ci odpoczywać. Żadnej pracy, pamiętasz? A ty co wyprawiasz?

- Emmo, cały dzień odpoczywam, a przypomniałem sobie, że będzie mi potrzebny notatnik. Oto i on w całej swej okazałości.

- Przestań żartować, martwię się o ciebie. Cóż jest w nim takiego, co jest ważniejsze od twojego zdrowia?

Karol nie był pewien, czy Emma pyta poważnie, czy tylko demonstruje swoje niezadowolenie. Milczał przez chwilę, ale Emma rzeczywiście zerknęła to na niego, to znów na notatnik. Czuł, jak krew napływa mu do głowy. Na jego czole pojawiły się kropelki potu. Emma chwyciła go pod ramię i wymownym gestem dała znać, że pora wyjść z dusznego i ciemnego pomieszczenia „Muzeum”. Pomogła mężowi zejść po schodach. Droga do salonu nie trwała dłużej niż kilka minut, ale w odczuciu Karola przeciągała się w nieskończoność. Wiedział, że za chwilę będzie musiał coś z siebie wydusić. Co powie żonie? Czy Emma jest gotowa na taki szok? Może uzna go za wariata? Co będzie, jeśli wyzna prawdę i dojdzie to do uszu Henslowa, Lyella, Owena i całego Royal Society...? Zapewne wycofają jego członkostwo. Co na to Rada Towarzystwa Geograficznego? Jego reputacja osiędzie na wieczność na dnie, tak jak spoczywają wraki okrętów u podłoża oceanów. Niezmiennie rozbrzmiewały w głowie Karola słowa Earle'a: „Oby starczyło ci odwagi, Darwin”.

- Odwagi... - wyszemrał.

- Co mówisz? - zapytała Emma.

- Nic, najdroższa. Usiądźmy na chwilę. Jestem ci winien pewne wyjaśnienia.

Emmie zakręciło się w głowie i pobladła.

- Nie obawiaj się, to nie ma nic wspólnego z tobą, ale jeśli ci tego nie wyznam, to już nigdy nie zasnę spokojnie.

Brzmiało to nie tylko poważnie, lecz także złowrogo. Emma skinęła głową gotowa na najgorszą prawdę. Wskazała Karolowi fotel znajdujący się tuż za nim i oznajmiła, że zaraz wróci z herbatą, którą zostawiła w gabinecie. Ta chwila wystarczyła Karolowi, żeby zebrać siły i odwagę. Pomyślał, że nie może mieć przed żoną sekretów. Musi jej zaufać.

Wtedy zjawiała się z tacą i porcelanowym imbrykiem. Odłożyła go na stoliku i usiadła. Udając, że jest spokojna, rozlała gorący

napój do filizanek. Wzięła do ręki jedną z nich i zamarła w oczekiwaniu.

- Wczoraj spotkałem się z Symsem Cavingtonem. Z wielkim żalem oznajmił, że nie może z nami zamieszkać i rezygnuje z funkcji mojego pomocnika.

- To chciałeś mi powiedzieć?

- Nie, ale to również musiałem ci zakomunikować. Emmo... wiem, że mogę ci zaufać. Wierzę, że zachowasz w tajemnicy, cokolwiek ci powiem. - Zaczął.

Emma przytaknęła, pozwalając mu mówić dalej.

- Nie wiem, od czego zacząć, więc zacznę od początku. Chodzi o podróż na pokładzie statku „Beagle” oraz odkrycia, jakiego wtedy dokonałem. Do tej pory nie mogłem podzielić się z nikim tą wiedzą, bo... sam nie wiem, czy mam rację. Sam nie wiem, czy to, co widziałem na własne oczy, działa się naprawdę. Nie wiem, czy dane jest mi o tym opowiedzieć przed całym światem, ale jedno jest pewne: teoretycznie mogę to zrobić i wtedy całe środowisko naukowe mnie wysłucha. Jednak na samą myśl, jak zareagują na to wszyscy szanowni przyjaciele, przyprawia mnie o kołatanie serca. Nie mogę spać, nie mogę jeść, miewam koszmary.

- To wszystko przez ten notatnik? - Przerwała Emma.

- Zgadza się. Wszystko... prawie wszystko jest tu zapisane. Reszta znajduje się w jednej ze skrzyń w „Muzeum”.

Karol zatrzymał się na chwilę i skierował wzrok na czerwoną obwolutę. Bez namysłu podał go żonie. Wyciągnęła rękę i położyła go na kolanach.

- Nie wiem, czy jestem gotowa, żeby to teraz przeczytać, Karolu. Przeraziłeś mnie, nie ukrywam.

- Rozumiem. Nie śpiesz się.

- Czego mam się spodziewać?

- Emmo, jesteśmy małżeństwem zaledwie od kilku miesięcy. Jeżeli skrywałbym to przed tobą, mogłabyś pewnego razu dowiedzieć się przypadkiem, a kto wie, jak byś wtedy zareagowała. Jako mąż nie powinienem mieć przed tobą tajemnic, nawet jeżeli to

nie jest zgodne z...

- Moją wiarą? - dokończyła.

- Czytasz w moich myślach.

Emma знаła poglądy Karola i wiedziała, jak sceptycznie podchodził do tematu Boga, stworzenia Świata i prawd Kościoła.

- To chyba nie może mnie aż tak bardzo zaskoczyć?

Przełknął ślinę i spojrzał żonie głęboko w oczy, po czym powiedział z powagą:

- Jeśli uruchomimy wyobraźnię i założymy, że człowiek dzieli swoje pochodzenie ze zwierzętami dzięki istnieniu wspólnego przodka, to może się okazać, że jesteśmy... wymieszani.

- Karolu! - niemal krzyknęła z oburzeniem jego żona.

- Emmo, ja nie kwestionuję istnienia Boga. Uważam jedynie, że Bóg stworzył pewne prawa, które to na przestrzeni setek, tysięcy, a nawet milionów lat doprowadziły do zmian w rozwoju wszystkich gatunków istot na świecie, w tym także człowieka. Jakkolwiek przerażająco brzmi to dla ciebie, wiedz, że natrafiłem na dowody tej teorii. Sama ocenisz...

Tego popołudnia nie rozmawiali. Karol postanowił wyjechać na dzień, może dwa, do rodzinnego domu The Mount, by dać Emmie czas na zapoznanie się z treścią notatnika i stosowne przemyślenia. Gdy wyjeżdżał, pełen był obaw.



## ROZDZIAŁ 13

Down House, 5 września 1842

- Jesteś pewien, że chcesz tu zostać sam? - zapytała Emma.

- Tak, jedźcie do Maer Hall beze mnie. Te prace budowlane ci nie służą, Emmo, ze względu na kurz i hałas. Lada chwila możesz urodzić, a w domu zajmą się tobą moje siostry. Sądzę, że William i Anne także poczują się lepiej na wsi. Ja dopilnuję, żeby murarz sprawnie dokończył, co trzeba, byśmy mogli się wprowadzić tuż po narodzinach dziecka.

- Karolu, co dokładnie chcesz przebudować? Dom jest cudowny, nie wymaga większej odnowy. Widziałam cegły w salonie. Chyba nie zamierzasz zamurować tego wspaniałego okna?

- Nic takiego nie przyszłoby mi nawet do głowy. Trzeba poprawić tylko konstrukcję kominka.

- Komi... - zająkała się Emma.

- Nie traćmy czasu na dyskusje. Obiecuję, że za kilka dni do was dołączę. Chodźmy do wozu.

Ucałował czule dzieci i żonę, a następnie dał znać woźnicy, by ruszał w drogę. Czekał, dopóki nie zniknęli mu z oczu.

Ozłoczone drzewa zapowiadały nadchodzącą jesień. Alejki buków mieniły się w odcieniach czerwieni. Tu i ówdzie jeszcze zielona trawa powoli pokrywała się naleciałymi liśćmi, tworząc nakrapianą brązową pokrywę. Tuż obok domu, w gaju przylegającym do ogrodu, rozpierzchły się szpaki. Na żywopłocie otaczającym

podwórze radośnie szczebiotały sikory i mysikróliki w poszukiwaniu okrągłych owoców, które ostały się jeszcze po lecie. Niebo stapało się z ładem, a w oddali, na niżej położonych łąkach, zalegały jeszcze poranne mgły. Pierwszym, co uczynił Karol, było odesłanie murarza do domu. Ten zdziwił się niezmiernie, tym bardziej że usłyszał wcześniej, jakoby należało naprawić kominek.

- Poradzę sobie. Proszę przyjść jutro przed południem.

Natychmiast udał się do salonu. Snopy światła wpadały do pomieszczenia i odbijały się rykoszetem od dość jasnej podłogi, zahaczając po drodze o ciężkie aksamitne zasłony w trójdzielnych oknach, które zyskiwały przez to ciepłą poświatę i dawały przyjemne odczucie. Przycupnął tuż przed paleniskiem i uważnie przyjrzał się całej konstrukcji. Nie mógł ryzykować przebicia ściany, więc postanowił wykorzystać dość obszerne wnętrze kominka po prawej i lewej stronie. Cokolwiek zamierzał, musiał zachować pozorną symetrię, dlatego małą ściankę trzeba było wymurować zarówno z jednej, jak i drugiej strony. Jedyne, co mogło wzbudzać potencjalne podejrzenia, to odmienny kolor cegieł. Ale i to nie powinno stwarzać problemów, tym bardziej, że przy regularnym używaniu kominka wszystkie ścianki prędko pokryją się sadzą i zleją w idealną całość. Karol miał świadomość, że palenie w świeżo wymurowanym kominku nie jest wskazane, dlatego cieszył się, że odesłał Emmę z dziećmi do rodziny. Zyska na czasie, nim sam do nich dołączy i zanim wszyscy wrócą do Down House, a wtedy zaprawa będzie już sucha.

Wszedł po schodach do „Muzeum”, skąd wydobył skrzynię. Z wielkim trudem przywłókł ją na parter, choć wcale nie była duża. Jęczał przy tym i co chwila chwycił się za plecy. W końcu się udało. Odczekał moment. Zastanawiał się, czy powinien raz jeszcze otworzyć skrzynię i poskładać szkielec. Lecz co, jeśli nagle ktoś zapuka do drzwi? Wolał nie ryzykować. Poszedł po notatnik w czerwonej oprawie, który również skrzętnie trzymał w ukryciu. Otworzył na pierwszej stronie i odczytał: Notatnik C. Transmutacje gatunków. Zmrużył oczy, jakby rozwiązywał zagadkę. „Nie starczyło

mi odwagi, Earle” – pomyślał. Owinął notatnik najpierw w szary papier, a potem w kawałek bawełnianej tkaniny. Przetarł palcem wyryty w drewnie napis ODYSEJA, który krył zaszyfrowane znaczenie, znane tylko jemu. Już nie tylko... teraz także jego żonie. Dźwignął skrzynię i umieścił ją w skrajnie prawym rogu wnętrza paleniska. Następnie wetknął za nią zawiniątko z notatnikiem tak, by nie wypadło i zabrał się do pracy. Milczał. Gdy po trzech godzinach skończył, obie strony były jednakowo zamurowane. Nieco obolały i ze ścierpniętą nogą odłożył kielnię na bok i spróbował wstać. Udało mu się to dopiero, gdy wsparł się o ścianę. Rozmasował krzyż i odszedł dwa metry od kominka. Rzucił okiem na swoje dzieło. Nie sądził, że jako przyrodnik podoła takiemu zadaniu, ale nie był dumny z tego, co zrobił. Stchórzył. Czuł, że ucieka od odpowiedzialności. Odpowiedzialności wobec ludzkości, wobec gatunku ludzkiego.

Posprzątał wiadra i ostatkiem sił pozamiatał podłogę z resztek ziemi i piasku. Tej nocy spał dobrze. Nazajutrz, gdy przyszedł murarz, oddał mu narzędzia i zapłacił za wcześniej wykonane prace. Niczego więcej nie wymagał. Spakował czyste koszule, ciepły surdut i kilka par spodni, jakąś bieliznę i proszki przeciwbólowe, po czym ruszył w drogę do Maer Hall, by dołączyć do ukochanej Emmy i dzieci.

## ROZDZIAŁ 14

- Jak się czujesz, Emmo?

W jasnej pościeli w sypialnianym łóżku leżała brzemienna małżonka Karola. Jedyne, co utraciła po kilku latach małżeństwa, to blask w oczach. Nadal miała porcelanową cerę bez jednej nawet zmarszczki, a delikatne blond włosy, przedzielone równo na pół, figlarnie kręciły się po bokach, opadając na zaróżowione policzki. W jej spojrzeniu panowało w dalszym ciągu dużo cierpliwości i empatii do innych, chęć niesienia pomocy i potrzeba opieki. Teraz to jednak ona wymagała troski ze strony bliskich. Bóle, które towarzyszyły Emmie na długo przed porodem, stawały się nieznośne i uporczywe. Ten stan odbierał radość w jej spojrzeniu. Twarz niewzruszona i gładka okazywała zmartwienie właśnie poprzez oczy - dwie ciemne perełki wetknięte w oczodoły i okraszone gęstymi rzęsami - zerkwały obojętnie na Karola, jakby to on był winny tego cierpienia. Emma pragnęła, by dziecko już się urodziło i zakończyło ten napięty stan ciała i ducha.

- Poleżę tu jeszcze, a ty, proszę, zajmij się Williamem, gdyż ostatnio więcej czasu spędzasz przy moim łóżku niż z dziećmi. Potrzebują cię.

Na te słowa oboje skierowali głowy w stronę wejścia. W drzwiach pokazał się niespełna trzyletni chłopczyk, a tuż za nim zjawiała się opiekunka. Dziecko uśmiechało się radośnie, dzierżąc w ręku jakiś przedmiot. Karolowi wydał się on znajomy. Gdy podeszli bliżej, Karol dostrzegł, że to tuba na rysunki.

- Jak to trafiło w ręce Williama? - zapytał, kierując te słowa do niani.

- Znaleźliśmy ją przypadkiem w twoim gabinecie, kiedy szukałam czystych arkuszy papieru. Tuba leżała na półce obok książek i figurki z brązu. Williamowi od razu przypadła do gustu. Wyciągnęłam więc ze środka malunki i pozwoliłam, żeby się nią pobawił - odpowiedziała Emma, nie czekając na wyjaśnienia opiekunki. - Mam nadzieję, że nie masz nic przeciwko?

- Ależ skąd. Może się tym bawić do woli.

Karol zamyślił się. Na chwilę powrócił do tego dnia, kiedy zegnał się z Augustusem, gdy ten opuszczał statek „Beagle”. Pamiętał, że przyjaciel wręczył mu wtedy zwój malunków. Nigdy ich nie przejrzał.

- Swoją drogą, dziwi mnie, że nigdy ich nie zawiesiłeś na ścianie. Są piękne - powiedziała Emma.

- Co takiego?

- Te obrazy. Mogę spytać, skąd je masz?

- Ach, malunki. To prezent od Earle'a, naszego pokładowego malarza. Dał mi je, zanim odpłynął do Anglii jednym ze statków pocztowych. Przyznam, że nigdy im się nie przyjrzałem.

- Żałuj, warte są obejrzenia. Mają niezwykłą paletę barw i nadają się do ekspozycji. Tylko jeden z pewnością chciałbyś ukryć. Odłożyłam wszystkie z powrotem na półkę. Leżą tam zwinięte w rulon. Sam zobacz.

Karol zerknął z zaciekawieniem na Emmę. Puścił jej rękę i na moment zniknął w korytarzu. Chłopczyk nadal bawił się niewielką tubą.

Gabinet był naprawdę duży i posiadał ozdobny marmurowy kominek. Tuż nad nim wisiało lustro w ciężkiej ramie w kolorze mosiądzu. Wszystkie ściany gabinetu były wykorzystane na przechowanie jakichś przedmiotów: książek, periodyków, notatek, pudełek, skrzynek, pamiątek z wyprawy i przeróżnych figurek. Karol rzucił okiem na wspomnianą przez żonę półkę. Obok figury przedstawiającej kobietę odnalazł prace Earle'a. Po chwili wrócił do

małżonki, usiadł w fotelu i rozwinął pierwszy malunek. Przedstawiał pejzaż morski. Zwyczajny pejzaż. Rozwinął kolejny – to samo. Dopiero przy następnym nieco spoważniał.

- Właśnie ten miałam na myśli – odezwała się Emma, lecz słyhać było w jej głosie osłabienie.

Teraz zrozumiał słowa żony, dlaczego rzekomo miałby pragnąć ukryć ten malunek. Popadł w nostalgię. Oddychał powoli, lecz ciężko. Emma patrzyła, jak żabot na koszuli męża to unosi się, to opada. Dostrzegła zaniepokojenie na jego twarzy. Żałowała, że nie zniszczyła go wcześniej. Skąd jednak mogła wiedzieć, że Karol nigdy nie oglądał podarunku od zaprzyjaźnionego malarza?

- Co zamierzasz z tym zrobić? – zapytała.

Karol milczał. Skierował wzrok na syna, który w dalszym ciągu pod czujnym okiem niani rozrabiał na pięknie wyplatany bordowym dywanie.

- Zastanowię się – wydusił w końcu. – Pójdę do siebie, muszę skończyć raport dotyczący części pozyskanych zbiorów. To mi się właśnie nie podoba w pracy – ma tendencję do rozrastania się. Czy potrzebujesz czegoś, Emmo?

- Nie, spróbuję zasnąć.

- Odpoczywaj.

Ucałował Williama w czoło, uśmiechnął się w stronę Emmy, po czym oddalił się, zamknąwszy za sobą drzwi sypialni. Udał się wprost do salonu. Wiedział, że w jego stanie nie powinien tykać alkoholu, jednak czuł, że musi napić się choćby łyka whisky. Nalał odrobinę do kryształowej szklanki i wypił na raz. Skrzywił się przy tym nieco, ale poczuł przypływ wszechogarniającego ciepła. Odwinął raz jeszcze akwarelę i przyjrzał się jej uważnie. Prześledził każdy szczegół. Żałował, że nie obejrzał ich już wtedy, na statku. Pewnie skończyłyby swój żywot w morskiej otchłani, zwłaszcza ta jedna. Teraz czekała ją nie lepsza „śmierć”. Uklęknął. Poczował ulgę, gdy patrzył, jak sylwetki zanurzone do połowy w wodzie giną w płomieniach. Co jeszcze muszę zniszczyć? Co jeszcze muszę ukryć? – pomyślał.

# ROZDZIAŁ 15

Rok 1856

To, co zostało spisane przez Karola w notatniku „C”, jedynie pogłębiało jego pragnienie, by dowieść swych racji w sposób, jak to nazywał, akceptowalny dla społeczeństwa. Chodziło głównie o niewygodne dla Karola prawdy i wierzenia Kościoła, których w żaden sposób nie był w stanie pogodzić ze swoimi teoriami. Mimo to jego działania pozbawione były wyrzutów sumienia. Jedyne, czego pragnął uniknąć, to sprawienie zawodu Emmie, która przecież tak głęboko wierzyła w dotychczasowe rozumienie stworzenia Świata. Wiara Karola w koncepcję zmian i sposobu przystosowania się pierwotnej formy życia w odniesieniu do wszelakich gatunków dodawała mu skrzydeł. Był tak zdeterminowany, że niestrudzenie uzupełniał swoje zapisy. Postanowił rozwiązać także wszelkie wątpliwości dotyczące kwestii geograficznego rozmieszczenia zwierząt i roślin na całym globie. W tymże celu zaprosił do Down wszystkich tych, których uważał za osoby szczególnie ważne w jego odczuciu. W kwietniu, w domu państwa Darwin, zjawili się goście, wśród których był sam Charles Lyell, Joseph Dalton Hooker oraz Thomas Henry Huxley. Z całej trójki wyróżniał się Lyell, głównie ze względu na wiek. Zarówno Hooker, jak i Huxley, byli od Karola młodsi, co nie oznaczało, że pozbawieni stosownej wiedzy. Równie wysocy, byli do siebie nawet podobni. Taki sam kolor i długość włosów nieco poniżej ucha, taki

sam przedziałek z lewej strony, nawet broda była identyczna. Żaden z nich nie posiadał wąsa, a środek twarzy był dokładnie wygolony. Pierwszy był botanikiem i zawziętym podróżnikiem, drugi zaś specjalistą w dziedzinie zoologii i paleontologii. Karol miał wielkie szczęście, poznając całą trójkę na przestrzeni wielu lat swojej dotychczasowej kariery zawodowej.

Herbatę podano w salonie, gdyż tam było najwygodniej prowadzić dyskusję, bez konieczności ucieczki całego towarzystwa w przypadku wystąpienia nagłej ulewy, gdyż dzień był wyjątkowo pochmurny i w powietrzu dało się odczuć zbliżające się rychło opady. Emma w tym czasie wyjechała do Maer, uznając, iż prowadzone przez przyjaciół męża dyskusje nie tylko jej nie służą, lecz także sprawiają, że staje się wręcz nerwowa i odczuwa silniejszą potrzebę modlitwy.

- Panowie - zaczął Karol - liczę na wiele ciekawych przemyśleń z waszej strony. Wierzę, że wszelakie pytania i odpowiedzi, które dzisiaj się pojawią, utwierdzą mnie w dotychczasowych przekonaniach i pomogą doprecyzować te kwestie, nad którymi w dalszym ciągu pracuję.

- Darwin, przyjacielu, możesz na nas liczyć - odezwał się Lyell, zwracając jednocześnie uwagę na wyśmienicie podaną herbatę.

Niespełna sześćdziesięcioletni Charles całkiem utracił włosy w górnej części czoła, ale te pozostające w innych partiach głowy były wyjątkowo bujne. Nieco przydługawe, wcinały się ostro w policzki i dalej w żuchwę, zarastając twarz gęstymi bokobrodami. Z jego czoła nigdy nie zniknęła charakterystyczna fałda nadająca mu wygląd wiecznie zamyślonemu i zdziwionemu. Zachowywał przy tym dostojność oraz inteligentny wygląd. To dzięki Lyellowi Karol po raz pierwszy spotkał się z teorią mówiącą o wieku Ziemi liczonym w tysiącach, a nawet milionach lat, o czym Charles Lyell pisał w swoich *Zasadach geologii*, które towarzyszyły mu od początku podróży na okręcie Beagle.

Rozmawiali bezustannie niemal dwie godziny. Poruszono temat gadów, które niegdyś latały, oraz ptaków żyjących wspólnie,



których zjawisko zatraćania pierwotnej funkcji skrzydeł dotyczyło chociażby pingwinów.

- Zapoznałem się z materiałem, który mi dostarczyłeś - powiedział nagle Hooker, przeciągając palcami po swoich niezwykle krzaczastych brwiach. - Cały czas nawiązujesz do zwierząt, a co z ludźmi?

Karol czuł, że to pytanie w końcu padnie podczas spotkania. Nie był jednak do końca przygotowany na takie rozważania. Z drugiej zaś strony, pragnął porozmawiać o tym (o czym sam się już przekonał) z kimś, kto zrozumie, albo przynajmniej spróbuje zrozumieć. Nie liczył na stuprocentowe poparcie, ale był ciekaw, z jaką spotka się reakcją. Postanowił więc zdawkowo poprowadzić ten temat.

- W czym rzecz, Joseph?

- Czyż nie są częścią świata zwierząt? Nie są... gatunkiem?

- Nie wchodźmy na pole religii. Człowiek to obszar, którego nie powinniśmy traktować na równi ze zwierzętami - odpowiedział spokojnie Darwin.

- Gdybym cię nie znał, Karolu, pomyślałbym, że żartujesz. - Zaśmiał się Huxley.

- Owszem, mam pewną teorię na ten temat, ale potrzeba jeszcze wielu informacji i badań, by to potwierdzić. Jak zareagowałby Kościół, gdybym ośmielił się stwierdzić, że przodkiem ludzi jest... dajmy na to, szympan!

Czekał. Wziął łyk herbaty i sięgnął po słodkiego herbatnika.

- Na cóż więc czekasz, przyjacielu? - odezwał się ponownie Hooker. - Zbieraj, co chcesz, pisz, co chcesz, ale zrób to szybko. Bo ktoś cię ubiegnie i lata twej pracy spoczną na dnie. Jak znam ciebie, jestem pewny, że coś trzymasz w zanadrzu. Odwagi, Karolu, odwagi!

Karol upuścił filiżankę z rąk. Runęła na podłogę i rozbiła się na drobne kawałki. Szybko zjawił się służący i posprzątał, podając nowy komplet. W jednej chwili wszystko powróciło. Przez moment Karol znowu był na statku „Beagle”. Spoglądał na Hookera i widział

w jego oczach oczy Earle'a.

- Wszystko w porządku? - zapytali niemal jednym chórem goście.

- Tak, przepraszam. To przez te bóle głowy, miewam silne nawroty.

Cała trójka wymownie, acz z zaniepokojeniem zerknęła po sobie. Nie było wątpliwości, że będą wspierać przyjaciela i zachęcać go do dalszej pracy nad wspomnianymi zagadnieniami, lecz martwili się o jego zdrowie.

- Hooker ma rację, Karolu - powiedział Lyell. - Ja również radzę ci z dobrego serca, żebyś zaczął pisać o doborze naturalnym. Nie tylko krótkie eseje, ale poważną pracę. To bardzo ważny temat i niezwykle istotny dla nauki. Życie gatunków to walka o przetrwanie, przystosowanie do zmian zasobów pokarmowych, drapieżników i czynników klimatycznych. Nie zmarnuj tego.

Karol Darwin rozpoczął mozolny proces składania wszystkich dotychczasowych myśli i pojedynczych notatek w jedną spójną całość. Pod koniec roku miał w swoim dorobku już trzy rozdziały, w tym jeden zatytułowany: *O możliwości krzyżowania wszystkich organizmów*. W roku kolejnym powstał czwarty: *Zmienność w stanie natury*, a zaledwie trzy miesiące później dokończył rozdział piąty: *Walka o byt*. W sumie przed końcem tysiąc osiemset pięćdziesiątego siódmego roku praca zawierała już siedem rozdziałów. Kolejnymi były: *Dobór naturalny* oraz *Prawa zmienności*. Jego stan zdrowia determinował szybkość tworzenia dalszej części i opracowywania kolejnych tematów. Następnym, zdumiewającym etapem było rozpoczęcie w kolejnym roku rozdziału: *Władze umysłowe i instynkt u zwierząt*. W ten sposób, zmęczony chorobą i ciągłą pracą, w połowie kolejnego roku Karol posiadał już dość pokaźną pracę liczącą prawie dwa tysiące stron. Wreszcie dwa lata później ukazał się pierwszy nakład książki: *O powstaniu gatunków drogą doboru naturalnego, czyli o utrzymaniu się dalszych ras w walce o byt*. Jeszcze przez kilka kolejnych miesięcy po jej publikacji Karol dokonywał poprawek, by ostatecznie skończyć swoją pracę we

wrześniu. Zwieńczeniem tych działań było wydanie w listopadzie pięćdziesiątego dziewiątego roku dzieła zatytułowanego: *O powstaniu gatunków*. Od tego czasu spływały do Down House liczne listy, nie zawsze łaskawe. Jednym z tych, które najbardziej rozczarowały Karola, był list od FitzRoya wyrażającego swoje oburzenie teorią, jakoby człowiek pochodził od małpy. Choć nie było to łatwe, Karol musiał się z taką krytyką pogodzić. Na szczęście wśród licznej korespondencji docierały także słowa pochlebne. Między innymi list od Johna Edwarda Graya z British Museum, będącego wielkim autorytetem w dziedzinie zoologii, który bardzo wychwalał pracę Karola. Zawirowania z powodu opublikowanego dzieła w świecie naukowym, lecz nie tylko, były tak silne, że pojawiło się nawet pojęcie „darwinizmu”. Stało się ono bardzo popularne również poza Anglią, ot, choćby niemieccy uczeni wyrażali ogromne zafascynowanie pracą Karola.

## ROZDZIAŁ 16

Down House, 18 kwietnia 1882

Jakże piękny nastał kwiecień. Darmo już było szukać śladów zimy. Przyroda na nowo budziła się do życia. Już pierwsze pąki ozdobiły drzewa i krzewy, ptaki uwiły gniazda, a w niektórych samiczki wysiadywały jaja. W ogrodzie pojawiły się motyle i pszczoły, które leniwie przelatywały między hiacyntami i wielobarwnymi tulipanami. W tym uroczym obrazku było też coś tragicznego. Emma siedziała na drewnianej ławie i przyglądała się temu z werandy Down House. Zastanawiała się, ileż Boga jest w tym wszystkim. Myślała też o dorobku męża. Czy miał on choć trochę racji? Ileż lat życia poświęcił na to, w co tak zawzięcie wierzył? W imię czego? Co teraz zrobi z tą wiedzą w chwili śmierci, przed obliczem Boga?

- Emmo, Karol prosi, byś przyszła do niego.

Caroline zawsze troszczyła się o swego ukochanego brata. Jakże bolesny musiał być dla niej ten czas oczekiwania na sądny dzień, który zdawał się zbliżać prędko. Lata jej nie oszczędziły, mimo iż w dalszym ciągu była dość smukła, to jednak sylwetka przygarbiła się przez niemal osiemdziesiąt dwa lata. Niegdyś subtelna, filigranowa, dziś była zmęczoną staruszką, której twarz poszarzała i pokryła się licznymi bruzdami na czole i w kącikach ust, a włosy całkiem posiwiały, tak jak długa broda u Karola. Caroline okryła się wełnianym swetrem i położyła dłoń na ramieniu Emmy, gdy ta

przechodziła obok. Popatrzyła wtedy na bratową, tak jakby chciała jej powiedzieć: „To już zaraz się stanie”.

Emma weszła powoli do pokoju, gdzie Karol walczył ostatkiem sił ze swoim cierpieniem. Nie dawał tego po sobie poznać. Wyraz twarzy miał obojętny, oczekujący. Nikogo nie obwiniał za swój stan, do nikogo nie żywił urazy. Tylko jedna rzecz zaprzętała mu głowę. Gdy Emma usiadła obok niego i chwyciła go za rękę, powiedział ociężale:

- Jest takie hebrajskie powiedzenie: „Nie musisz skończyć swego dzieła, ale nie możesz się całkiem od niego uwolnić”. - Zacisnął mocniej dłoń.

Emma patrzyła litościwie na konającego męża.

- Karolu, zrobiłeś, co należało. Dokończyłeś to, co zaczęło się pięćdziesiąt lat temu. Świat zapamięta cię jako człowieka nauki. Masz swój wkład w to, w co wierzyłeś. Odpuść...

- Emmo, ja nie boję się umierać, ale umieram jako tchórz.

- Nie mów tak, zabraniam! - niemal krzyknęła. - Będę się modlić za twą duszę, jesteś dzielny i zawsze dla mnie taki pozostaniesz. Czy pomyślałeś o mnie, o dzieciach? Jeśli jest coś, co powstrzymywało cię przed ujawnieniem sekretu, to widocznie tak miało być. Widocznie Bóg tego nie chciał dla ciebie, dlaczego więc chcesz teraz tego dla nas?

- Nie mów o Bogu, proszę. Bóg nie ma z tym nic wspólnego.

- Owszem, ma. Teraz się przed nim rozliczysz z całego życia. To on oceni, czy postępowałeś słusznie, czy występnie.

Karol uśmiechnął się na te słowa.

- Nasze cnoty przynoszą nam identyczne cierpienie jak nasze występki, Emmo - po czym kontynuował poważnym tonem - Proszę cię, obiecaj, że przekażesz notatnik „C” w ręce Lubbocka wraz z zawartością skrzyni.

Emma nie chciała tego słuchać, aż łzy pociekły jej po policzkach. Karol nalegał.

- To moja jedyna i ostatnia wola przed śmiercią. Bez tego nie spocznę w pokoju. Świat musi się dowiedzieć... Skrzynia jest

zamurowana w salonie, w kominku po prawej stronie. Jeśli nie starczy ci sił, poproś Johna o pomoc. Emmo, słyszysz?

- Słyszę, Karolu. Mogę ci obiecać, że ta skrzynia trafi we właściwe posiadanie. Przysięgam.

- Dziękuję. - Zamknął oczy z ulgą przekonany, że stanie się właśnie tak, jak tego oczekiwał.

Karol Darwin zmarł nazajutrz w Down. Życzeniem Emmy było pochowanie męża w rodzinnej posiadłości. Na wieść o tej decyzji John Lubbock odwiedził wdowę po swoim nieżyjącym przyjacielu, by nakłonić ją do zmiany stanowiska w tej sprawie. Następnego dnia po śmierci Karola zjawił się w Down House. Emma go oczekiwała.

- Proszę, wejdź, John - powiedziała cicho cała okryta czernią.

Lubbock był dostojnym dżentelmenem. Wiele lat temu poszedł w ślady Karola, którego okazała broda tak bardzo mu zaimponowała, że sam postanowił zapaść własną. Broda Johna nie była jednak tak spektakularna, do tego znacznie mniej gęsta, wykręcała się tu i ówdzie na boki. Za to pięknie prezentowały się jego ciemne bokobrody. Czoło miał dość niskie, włosy mocno przerzedzone były uczesane zawsze w ten sam sposób: z przedziałkiem na lewy bok. Przez całe czoło biegła mu wyraźnie zarysowana zmarszczka poprzeczna. Nawet gdy opuszczał brwi, ta nie znikwała.

- Przyjmij, Emmo, moje najszczerze kondolencje - powiedział z pełną powagą, kładąc dłoń na jej ramieniu, co Emma przyjęła w milczeniu. - Wybacz, proszę, że śmiem odzywać się w takiej sprawie, lecz biorąc pod uwagę ogrom pracy, jaki mąż twój, a mój wielki przyjaciel Karol włożył w swoje badania, muszę prosić, byś zgodziła się na pochówek w miejscu o wiele bardziej honorowym niż Down. Karol Darwin powinien być pochowany w Opactwie Westminsterskim, tak uważam ja i całe środowisko naukowe.

Emma milczała. Słyszała, co mówił, ale nie słuchała. Chciała zebrać się na odwagę i wykonać ostatnią wolę męża. Patrzyła na Johna i biła się z myślami. Lubbock uznał to za chwilę namysłu bądź

zawahania.

- Emmo, ja wiem, że w takiej chwili...

- Rozumiem - przerwała - Karol Darwin należał do Down, ale jego praca należy do wszystkich. Co mogę zrobić, by pochówek odbył się w Westminster?

John się ucieszył i pośpieszył z odpowiedzią.

- To wspaniale, że tak uważasz. Karol by to docenił. Emmo, nic się nie martw, zadbam o wszystkie formalności. Jeszcze dziś napiszę petycję do dziekana Westminster, doktora Bradleya, jestem pewien, że się zgodzi. - Nie chcąc dłużej przeszkadzać wdowie w żałobie, chwycił za kapelusz na znak, że wychodzi.

- Poinformuj mnie o decyzji. Muszę zająć się przygotowaniem trumny męża do ceremonii pogrzebowej.

- Emmo, czy potrzebujesz jakiejś pomocy? - zapytał przed wyjściem.

Kobieta, słysząc te słowa, przypomniała sobie, co mówił Karol przed śmiercią: „Skrzynia jest ukryta w kominku, jeśli będziesz potrzebować pomocy, poproś Johna”.

- Nie, już wiele pomocy od ciebie dostałam, John. Dziękuję. Będę czekać na wieści. A teraz, wybacz, ale...

Lubbock zrozumiał. Uchylił kapelusza na pożegnanie i wyszedł.

Wszyscy przyjaciele, krewni i rodzina zdążyli już złożyć kondolencje i odwiedzić zmarłego ostatni raz przed pogrzebem. Emma życzyła sobie pozostać sama.

- Jesteś pewna, że dasz sobie radę? - zapytał już czterdziestoletni William, kierując te słowa do matki. - Będziemy się martwić.

Emma kiwnęła ręką na znak, że nic jej nie jest.

- Synu, śmierć ojca, choć bolesna, nie była dla nas zaskoczeniem. Cierpię, ale w tej chwili chcę być sama. Będę się modlić. Ja również chcę pożegnać męża jako kochająca żona. Proszę, uszanujcie moją wolę...

Nie było dalszej dyskusji na ten temat. Rodzeństwo opuściło dom rodzinny, pozostawiając matkę w spokoju i zadumie.

Minęła kolejna godzina. Karol Darwin spoczywał w trumnie ubrany w śnieżnobiałą koszulę, grafitową kamizelkę i surdut w nieco jaśniejszym odcieniu. Emma zadbała, by miał na sobie eleganckie spodnie kaszmirowe. Pomyślała też o detalach: spinkach do mankietów, jedwabnym żabocie i białych rękawiczkach. Modliła się o jego duszę od chwili, gdy dzieci opuściły Down. Jedną ręką drżącą od użycia kilofa trzymała różaniec, drugą zaś, chwyciwszy dłoń nieboszczyka, wyszeptała długi monolog:

- Tak wiele znosiłam od dnia naszego ślubu, bo jakże odmienne były twe poglądy względem moich. Ile zamętu wniosła do mojego życia lektura notatnika, który mi przekazałeś. Nie mam już siły, Karolu. Muszę się od tego uwolnić, nie chcę tego pamiętać. Obiecałam, że skrzynia trafi w najlepsze posiadanie, i tak też się stanie. Te kości nieszczęsne spoczną na zawsze wraz z tobą w trumnie. Przywędrowały z tobą z dalekiej podróży i teraz ty zabierzesz je w swoją ostatnią podróż. Inaczej nie potrafię. Boję się gniewu Boga, Karolu.

Wzięła głęboki oddech. Zmusiła się do ostatniego wysiłku tego dnia. Chwyciła ponownie kilof i z całej siły uderzyła w wieko skrzyni. Ani drgnęło. Uznała, że w ten sposób jej nie otworzy, tylko się bardziej zmęczy. Potrzebowała ostrego narzędzia. Zabrała kilof i poszła do szopki znajdującej się na tyle ogrodu, tuż za domem. Tam znalazła średniej wielkości siekierkę. W milczeniu wróciła do pomieszczenia, w którym leżały zwłoki. Była już stara, ale mimo trudu wzięła silny zamach i uderzyła, po czym jedna z desek pękła na pół. Uderzyła drugi raz i skrzynia rozłupała się niczym orzech, ukazując całą swą zawartość. Emma się przeżegnała. Niechętnie, lecz pośpiesznie układała każdą kość pod aksamitnym materiałem wyściełającym wnętrze trumny. Gdy skończyła, przybiła gwoździami materiał tak, by nikt nie zdołał odkryć narzuty i ujrzeć, co się pod nią kryje. Wtedy przypomniała sobie o notatniku. Gdzie był schowany? Co Karol mówił na temat notatnika? Próbowała sobie przypomnieć słowa męża, ale nie potrafiła. Porzuciła w końcu tę myśl, licząc, że znajdzie go w gabinecie w dokumentach należących



do nieżyjącego męża.

## ROZDZIAŁ 17

Dwa dni później przybył John Lubbock z informacją o zgodzie na pochowanie Karola Darwina w Opactwie Westminsterskim. Poczyniono odpowiednie przygotowania. Gdy najbliższa rodzina ostatni raz pożegnała zmarłego, trumnę zamknięto. Pogrzeb odbył się dwudziestego szóstego kwietnia. Zwłoki, które spoczywały w trumnie, nieśli najżyczliwsi przyjaciele Darwina, w tym także John Lubbock. Orszak pogrzebowy otwierała Korona, za nią duchowieństwo, następnie trumna, rodzina, naukowcy, politycy, a nawet służba Darwinów. Emma nie żałowała swej decyzji – wierzyła, że postąpiła słusznie. Po ceremonii udała się z powrotem do Down House, gdzie wraz z dziećmi zamierzała opłakiwać śmierć męża. Wóz zaprzęgnięty w dwa konie podjechał od frontu. Najpierw wyszedł William, a za nim matka i reszta rodziny. Dzień był dość ciepły jak na kwiecień, ale pod wieczór dało się odczuć chłód, zwłaszcza w murach ogromnego domu. Emma zleciła służbie napalić w kominkach, ale najpierw w salonie. Gdy syn pomagał jej zdjąć płaszcz, w drzwiach garderoby zjawił się służący:

- Pani Darwin, może usiądą państwo w gabinecie pana i tam każę podać herbatę...

- Dlaczego?

- Nie wiem, czy można rozpalić w kominku salonowym. Wygląda na to, że...

W tej chwili Emma przypomniała sobie, że w kominku nadal wykuta jest dziura. Służącego nie było przez ostatni tydzień, więc

nie był świadomy, co się stało.

- Możesz tam rozpalić ogień, nic się nie stanie. W kominku jest co prawda dziura, ale w niczym ona nie przeszkadza.

Jak sobie zażyczyła, tak też służba zrobiła. Przy herbacie rodzina zapytała raz jeszcze o ten dziwny epizod, gdyż wydawało się to nie tyle ciekawe, co dziwne.

- Właściwie dlaczego Karol właśnie w kominku schował testament? - odezwała się Caroline.

- Twój brat zawsze zadziwiał swoimi pomysłami. Cóż mam ci powiedzieć, moja droga... - odpowiedziała niechętnie Emma, ciesząc się, że rodzina uwierzyła w historię o skrywanym testamencie, licząc jednocześnie, że już nigdy nie będzie musiała do tego tematu powracać.

- Niemniej jednak dziurę należy zamurować. Nie wygląda to dobrze - odezwał się William. - Dopilnuję, żeby tak się stało jutro z samego rana.

Następnego ranka zjawił się murarz, który pod czujnym okiem Williama załatał wyrwę, dobudowując fragment ścianki w zniszczonym wnętrzu kominka. Jedynym powodem, dla którego William nie odstępował mężczyzny na krok, był zamiar dopilnowania, aby praca została wykonana poprawnie. Żaden z nich nie zdawał sobie sprawy z tego, co pozostało w zamurowanej wnęce.

## ROZDZIAŁ 18

Down House, 1927

Tuż przed dziesiątą rano pod Down House podjechał czterocylindrowy samochód Austin 7 w kolorze czerwono-czarnym. Chwilę po zatrzymaniu wysiadł z niego siedemdziesięciosiedmioletni mężczyzna, lekko przygarbiony, o nieco jajowatym kształcie głowy. Charakterystyczną cechą jego wyglądu był gęsty, sumiasty wąs w kolorze niemal białym od siwizny. Niewielkie zakola świadczyły o sędziwym wieku. Nie kierował pojazdem, podróżował jako pasażer. Gdy postawił obie nogi na utwardzonym podejździe, wyprostował się, objął wzrokiem cały teren, po czym założył kapelusz i ruszył w stronę domu. Szedł powoli, podziwiając pięknie przystrzyżony trawnik o soczystej szmaragdowej barwie, który bardziej przypominał dywan. Przed wejściem czekała jakaś kobieta. Doktor George Buckston Browne uchylił kapelusza i ucałował dłoń stojącej przed wejściem Evelyn Charlston. Niewyróżniająca się urodą pani Charlston zaprosiła doktora gestem ręki do budynku.

Cieszę się, że pan się zdecydował, panie Browne – powiedziała, przekręcając w dużych białych drzwiach klucz.

Doktor milczał. Uważnie przyglądał się wnętrzu. Jego wyraz twarzy nie zdradzał emocji: ani zadowolenia, ani rozczarowania. W głębi cieszył się z dokonanego zakupu. Kobieta oprowadziła go po całym domu, wskazując na najważniejsze elementy konstrukcji

i zachwalając jego funkcjonalność, przestronność i urok. Weszli do gabinetu.

- Nie muszę panu powtórnie przypominać, jacy szczególnie właściciele znajdowali się w posiadaniu Down. To jest miejsce, gdzie zapewne powstawała lwia część pracy Karola Darwina.

Doktor Browne stanął na środku pomieszczenia i obracając głowę, dokładnie zlustrował całe wnętrze. Zwrócił uwagę na znajdujący się w części centralnej kominek z dekoracyjnym lustrem zawieszonym tuż nad nim. Wyżej dostrzegł wiszące portrety w pięknych ramach. Ściany pokryte były czymś w rodzaju tapety, a od połowy w dół wykończone boazerią. Na środku pokoju, lecz nieco bliżej kominka, stało biurko, jeden duży i wygodny fotel, drewniane krzesło z oparciami oraz podnózek. Po bokach każdy kąt był umeblowany półkami, regałami, szafkami i komodami - jednym słowem wszystkim, co zdołało pomieścić niezwykle przedmioty: książki, mapy, obrazki, zastawę etc.

- Dziękuję, pani Charlston - odezwał się w końcu milczący Browne. - Nie będę dłużej pani fatygował. Poproszę o klucze do domu. Ja, niestety, muszę już opuścić Down, wzywają mnie obowiązki.

Kobieta nie nalegała. Dom już od kilku dni znajdował się w posiadaniu chirurga, więc przekazanie kluczy było tylko dopełnieniem formalności związanych z zakupem. Wręczyła ich cały pęk i oboje wyszli. Pan Browne zaproponował podwiezienie w stronę Londynu, jednak kobieta nie skorzystała pod pretekstem kolejnego spotkania w okolicy. Pożegnali się i chwilę potem lśniący od lakieru Austin odjechał i zniknął za najbliższym rogami.

Następnego dnia na zlecenie doktora Browne rozpoczęto prace remontowe budynku, które trwały ponad rok i pochłonęły dodatkowe dziesięć tysięcy funtów, co było sumą pokaźną, biorąc pod uwagę, że sam Down House kosztował chirurga połowę mniej.

- Czy skończyli panowie remont salonu? - zapytał doktor George.

Rozmówca miał niewiele ponad trzydzieści lat. Ściągnął czapkę

i na znak doktora usiadł na wskazanym krześle. Miał duże brązowe oczy i lśniące włosy nonszalancko rozczochrane dłonią. W tym momencie weszła do gabinetu niska dziewczyna z fryzurą podobną do Kleopatry.

- Najmocniej przepraszam, doktorze - powiedziała ze skruchą. - Czy przyjmie pan dziś jeszcze jednego pacjenta?

- Tak, Florence. Poproś, żeby poczekał. To nie zajmie wiele czasu - odpowiedział.

Siedzący naprzeciwko chłopak także liczył na rychłe rozliczenie pracy.

- Zapytam raz jeszcze, bo zdaje się, coś nam przerwało. Czy skończyliście panowie renowację salonu?

- Tak, panie Browne. Wszystko jest gotowe. Skończyliśmy wczoraj, ale jeszcze dziś rano osobiście sprawdzałem, czy nie pozostało nic więcej, i...

Przerwał na moment. Lekarz spojrzał na niego w oczekiwaniu.

- ...Mam coś dla pana - dokończył.

W tej chwili sięgnął pod marynarkę i wyciągnął zza kłapy jakieś zawiniątko.

- Cóż to takiego? - zdziwił się Browne.

- Nie wiem, doktorze. Prosił pan, żeby poszerzyć kominek, tak też zrobiłem. W środku znalazłem właśnie to - wskazał palcem na ów przedmiot.

George Browne odwinął ostrożnie szmatkę i ujrzał stary, brudny zeszyt.

Mam nadzieję, że się pan nie pogniewa. Byłem ciekaw, co to i przekartkowałem notatnik. To są jakieś bzdury, sądzę, że nie mają większej wartości, ale pomyślałem, że to panu pokażę, może uzna pan inaczej...

- Dziękuję, Thomas, to rzeczywiście dziwne znalezisko. Niemniej jednak doceniam twoją lojalność. Zaufam też, że dom jest wykończony. Niestety, dopiero jutro najwcześniej uda mi się tam pojechać i ocenić wykonany zakres prac. Sądzę jednak, że rozsądnie będzie, jeśli wypłacę ci dziś osiemdziesiąt procent

wynagrodzenia. Pozostałe dwadzieścia dostaniesz dopiero wtedy, gdy udam się do Down. Myślę, że to dżentelmeński układ...

To mówiąc, spojrzał pytająco na mężczyznę, uchylając nieco okularów. Ten nie protestował. Z nieskrywaną radością przyjął zapłatę, po czym wyszedł z gabinetu doktora. W drzwiach pojawił się zapowiedziany pacjent, ale doktor Browne nie mógł oderwać oczu od bordowego notatnika. Na środku obwoluty widniała duża litera „C”.

## ROZDZIAŁ 19

Anglia, Zamek Windsor, 1931

Ciepłe promienie słońca wpadały do obszernego hallu, który sprawiał wrażenie, jakby był obsypany złotym pyłem. Wszechobecny na ścianach, meblach i dekoracjach złotawy odcień chłonał naturalne światło i rozpraszał go po wnętrzu, dodając jeszcze większej szlachetności czerwonym dywanom ciągnącym się na całej długości korytarza. Strona południowa była oszklona, za to na północnej ścianie spoglądały z góry postaci rodziny królewskiej uwiecznione na przepięknych portretach wiszących obok licznych zbroi rycerskich. Premier poruszał się szybko i pewnie. Zmierzał do jednej z komnat znajdujących się na końcu korytarza po lewej stronie. Służba otwierała i zamykała za nim drzwi. Gdy wchodził do sali, był już uprzednio zapowiedziany u króla.

- Wasza Królewska Mość wybaczy, że niepokoję. Jednak składam tę wizytę z uwagi na problem, który powoli wymyka się spod kontroli.

Król zrobił gest ręką na znak, by jego rozmówca usiadł. O ile wyraz twarzy króla Jerzego pozostawał neutralny, głównie ze względu na gęstą brodę i wąsy, o tyle wiele dało się wywnioskować z oczu: ciemnych niczym czekoladowy pudding, kształtnych jak migdały i surowych jak spojrzenie smoka. Tuż nad nimi kreśliły się dwa grube łuki brwiowe. Król odłożył gazetę na znajdujący się obok mahoniowy sekretarzyk i poprawił klapy płaszcza, w którym lubił



przesiadywać, gdy czytał periodyki. Oczekiwał na informacje.

- Jeżeli nie przestaniemy redukować zasiłków dla bezrobotnych, dojdzie do rozłamu. Protestują już nie tylko robotnicy, lecz także niektórzy członkowie rządu. Wasza królewska Mość... jeśli sytuacja nie ulegnie zmianie, zamierzam podać się do dymisji - skwitował i zamilkł w oczekiwaniu na reakcję monarchy.

- Tego byśmy nie chcieli, panie premierze - rzekł. - Pochopne kroki nie są tu wskazane. Radzę, by wstrzymał się pan z ostateczną decyzją do momentu, aż sprawa się nie wyjaśni.

- Z całym szacunkiem, Wasza Królewska Mość, ale sytuacja jest już wystarczająco napięta...

Król dźwignął szybko rękę na znak, że ma świadomość tego, co się dzieje. Gest ten był jednocześnie dość uspokajający.

- Poproszę o zwołanie specjalnego posiedzenia i spotkanie liderów partii opozycyjnych - powiedział stanowczo. - Dialog to jedyna szansa na porozumienie.

Ramsay MacDonald pełnił funkcję premiera Anglii od dwóch lat. W tym czasie król niejednokrotnie gościł go w Windsorze, nierzadko też spotykali się na ważnych uroczystościach krajowych. Bywał także gościem króla na spotkaniach w najbliższym gronie rodziny królewskiej. Dający się lubić James Ramsay MacDonald borykał się od dwudziestu lat z samotnością, o której świadomie zdecydował po utracie ukochanej żony. Od tamtej pory MacDonald nie związał się z żadną kobietą i nie zamierzał tego stanu rzeczy zmieniać.

- Obiecuję, że zajmę się tym natychmiast, James - król Jerzy zwrócił się już nieoficjalnie do premiera. - Nie chcę, żeby to spędzało ci sen z powiek. Jak twoje zdrowie? Mam nadzieję, że te uporczywe nudności ustąpiły...

MacDonald odetchnął. Odstawił powagę na bok i oddał się nieco przyjemniejszej rozmowie z monarchą. Obawiał się tylko, że król ponownie zejdzie na tematy ewentualnych kandydatek na małżonkę dla niego, czego sobie nie życzył.

- Spokojnie, nie zapytam o małżeństwo, bo już dość jasno wyraziłeś swoje zdanie na ten temat - powiedział król Jerzy. - Ale

gdybyś zmienił zdanie...

Ramsay MacDonald był wysokim i nadal szczupłym sześćdziesięcioletkiem o przystojnych rysach twarzy i przenikliwym, aczkolwiek łagodnym spojrzeniu. Całe życie dumnie nosił pod nosem wąsa, lecz resztę zarostu zwyczajowo golił. Nigdy też nie stracił gęstości włosów i trudno było zauważyć jakkolwiek siwiznę.

- Domyślam się, że księżę Edward mógłby mi udzielić porad w tym zakresie - odezwał się premier i krótko po tym pożałował wypowiedzianych słów. - Przepraszam, Wasza Wysokość, to było niestosowne z mojej strony.

- Daj spokój, James. Nie sposób ukryć nietuzinkowych zainteresowań mojego syna. Co jednak martwi mnie najbardziej, to nie sam fakt, że spędza czas na ciągłych romansach. Niepokojące jest jego stanowisko wobec sytuacji na zachodzie, a dokładnie mam na myśli to, jak entuzjastycznie wyraża się o działaniach Hitlera. To nie podoba się nawet angielskiemu społeczeństwu...

Król najwyraźniej się zmartwił. Pragnął wierzyć, że jego następca kiedyś mądrze będzie reprezentował kraj. Po chwili przemówił ponownie, tym razem zmieniając nieco temat:

- Liczę, że zjawisz się na uroczystości przyznania tytułów szlacheckich? To już za dwa dni. Kto wie, może mój syn znowu nas czymś zaskoczy...

- Oczywiście, Wasza Wysokość. Z radością przyjmuję zaproszenie, bez względu na to, jak potoczy się kwestia protestów. Jednocześnie pragnę podziękować za dzisiejsze przyjęcie. Pozwoli Wasza Królewska Mość, że się teraz oddalę. Obowiązki...

Król pożegnał premiera, po czym udał się na spacer do ogrodu. Zbliżała się godzina czternasta. Na zewnątrz powietrze było rześkie mimo pełnego słońca rozlewającego się po ogrodzie. Nawet jeden kłębuszek chmury nie zmącił klarowności nieba. Król Jerzy wszedł na wybrukowaną ścieżkę tuż przy wysokim murze obronnym zamku wiodącą w głąb ogrodów. Minął gęste bluszcze porastające skalniak, w którym rozkwitły floksy, naparstnice, dzwonki i nacyłki. Dalej, nieco w cieniu, pięknie rozwinęły się delikatne

maki i ozdobne źdźbła trawy. Dominująca zieleń przeplatała się z soczystą czerwienią, spokojnym fioletem i romantyczną żółcienią. Między krzewami i bujnym żywopłotem z berberysu radośnie zawodziły rudziki i wróble. Prawie można było usłyszeć w tym świergocie słowa jakiejś przestrogi, jakby te małe ptaszyny chciały powiedzieć coś więcej, coś, co miało się wydarzyć w nie tak odległej przyszłości...

## ROZDZIAŁ 20

- Cieszę się, że pan jednak dotarł, panie premierze - oznajmił z radością król Jerzy. - Mojego syna doskonale pan zna, jednak pozwoli pan, że przedstawię wybrankę księcia... pani Wallis Simpson, którą to sami dopiero co poznaliśmy.

Król mówił dostojnie, ważąc każde słowo, ale nie dało się ukryć pewnego przekąsu w głosie. U jego boku uśmiechała się wymownie małżonka, królowa Maria. Sprawiała wrażenie nieco wyższej, a to ze względu na wysoko postawione uczesanie oraz wpiętą we włosy subtelną koronę, która dodawała jej kilka centymetrów wzrostu. Ciemne włosy uczesane starannie i spięte z tyłu głowy nadawały jej powagi. Równie wyniosła była twarz królowej: dystygowana i bezkompromisowa. W rzeczy samej, premier już poznał osobiście księcia Edwarda, z jego nonszalanckim uśmiechem i dość lekkodusznym spojrzeniem. Również teraz emanował wyjątkową beztroską, najwidoczniej dumny ze swojej wybranki, która stała tuż obok. Premier spojrział uprzejmie na kobietę i ukłonił się w geście powitania. Kobieta wyciągnęła rękę, na co Ramsay MacDonald zareagował delikatnym uściskiem i nic nieznaczącym pocałunkiem w aksamitną rękawiczkę naciągniętą na jej szczupłą dłoń. Dwukrotna rozwódka, pani Simpson, urzekła magnetycznym spojrzeniem. Trzydziestopięcioletnia kobieta przyciągała spojrzenia bladością swej skóry i ostrymi rysami twarzy, a także nieco pretensjonalnym grymasem spotęgowanym przez wąskie usta okraszone szminką o bardzo intensywnym odcieniu czerwieni. Dało

się odczuć, że rodzina królewska nie do końca zadowolona jest z obecności nowej wybranki księcia Walii. By załagodzić napiętą atmosferę, król odezwał się po chwili:

- Może zostawimy damy, by mogły porozmawiać na osobności, a ja porwę panów na słowo - zwrócił się zarówno do syna, jak i premiera.

Król wskazał na znajdujący się tuż przy wysokich kolumnach stół z wygodnymi kanapami w kolorze ciemnego turkusowego, do którego podano wyborne wino.

- Obawiam się, że z powodu dalszych cięć, moja dymisja jest nieunikniona, Wasza Wysokość - oznajmił MacDonald.

- Sądzę, że nie wszystko stracone - odpowiedział król. - Liczę na pana, premierze...

- Jedynym rozwiązaniem, jakie widzę, jest powołanie rządu narodowego. Trzeba rozpocząć negocjacje z konserwatystami i liberałami. Inaczej nie wyjdziemy z kryzysu...

Edward jedynie przysłuchiwał się rozmowie. Dopijał kolejny kieliszek wina i sprawiał wrażenie, jakby jego myśli krążyły jedynie wokół osoby pani Simpson, czego nawet nie próbował ukryć. W tejże chwili zjawił się ktoś ze służby:

- Proszę wybaczyć, Wasza Wysokość. Uhonorowany dziś Sir George Buckston Browne pragnął przekazać ten oto przedmiot w ręce Jej Wysokiej Mości - to mówiąc, wyciągnął wyszywaną aksamitem płaską poduszkę ze znajdującą się na niej książką, a raczej opasłym notatnikiem.

Panowie spojrzeli z zaciekawieniem. Król wykonał gest mówiący, by ów przedmiot odłożyć na rzeźbionym stole, po czym odesłał służącego. Nikt nie śmiał sięgnąć po notatnik, widząc, że król zwleka z jakąkolwiek reakcją. Po chwili jednak ciekawość wzięła górę i uznał, że może rzucić okiem na jego zawartość. Książkę Edward i Ramsay MacDonald zaobserwowali, jak prawa brew króla unosi się ze zdumieniem.

- Cóż to za herezje! - wydusił z siebie w końcu, po czym wezwał ponownie służbę. - Czy sir Browne znajduje się jeszcze w pałacu?

- Nie, Wasza Królewska Mość.

- A czy mówił coś więcej w związku z tym... prezentem?

- Tak, Wasza Wysokość. Pragnął poinformować, że ów przedmiot znalazł ukryty w posiadłości Down House, którą to właśnie przekazał wraz z przyległym terenem na rzecz Royal College of Surgeons. Jak sam twierdzi, podejrzewa, że mogą to być oryginalne zapiski samego Karola Darwina, czego jednak nie jest w stanie potwierdzić. Uznał przy tym, że nie wykorzysta tego tekstu, a jeśli jego domniemania co do pochodzenia notatnika okazałyby się prawdą, wtedy oczywistym jest oddanie tak cennego dokumentu w ręce monarchy.

- Dziękuję, możesz odejść.

Król odłożył dziwny notatnik na bok, nie wiedząc, co o nim sądzić. Księżę zapytał, czy może mu się przyjrzeć. Gdy król skinął głową, Edward otworzył zeszyt na pierwszej stronie. W przeciwieństwie do ojca nie wyraził zdumienia. Wręcz przeciwnie - kartkował notatnik i chłonał tekst słowo po słowie, zdanie po zdaniu. Zapanowało milczenie, które w końcu przerwał król.

- Edwardzie, gdybym cię nie znał, pomyślałbym, że ten zeszyt interesuje cię bardziej niż narzeczona.

To najwidoczniej nie spodobało się księciu, ale przynajmniej zamknął notatnik i zakończył jego lekturę.

- Czy mogę zabrać te notatki i przeczytać je później w spokoju?

- Przecież to jakieś bzdury - odpowiedział król Jerzy. - Nie sądzę, żeby coś takiego mogło wyjść spod pióra takiej wybitnej postaci, jaką był Darwin. Chyba w to nie wierzysz?

- Nalegam, ojczcze...

Król ciężko westchnął, lecz nie wyraził sprzeciwu. Bardziej interesowały go teraz losy rządu Anglii, choć wątpił, by ten temat znalazł ostatecznie uznanie w oczach Edwarda.

# ROZDZIAŁ 21

Berghof, czerwiec, 1936

Po widnym krużganku kroczyło dwóch mężczyzn. Ich mroczne sylwetki zupełnie nie pasowały do radosnego nastroju, w którym się znajdowali. Joachim von Ribbentrop sprawiał wrażenie zadowolonego z wizyty. Mierzący niemal sto osiemdziesiąt centymetrów wzrostu blondyn raz po raz przeczesywał włosy dłonią i gestykulował dynamicznie podczas toczącej się rozmowy. Pokonawszy podjazd i dużą sień, zmierzali teraz w stronę rozległego salonu, z którego okna zachodniej części wychodziły na rozciągające się pasmo gór i licznych pagórków. Zbliżała się godzina dwudziesta. Mimo późnej pory czerwcowe słońce tliło się nadal za horyzontem, kładąc mocno pomarańczową poświatę na leżące u stóp wzniesienia dachy zabudowań i wysokie sosny rosnące na przyległym terenie.

- Podobno ma pan nowego przyjaciela, ambasadorze - zażartował Führer, klepiąc swojego gościa po ramieniu. - Usiądź, wzmocnij się czymś porządnym...

Przeszli przez pierwszą część salonu, a następnie, pokonawszy trzystopniowe schody, znaleźli się w górnej jego strefie, jakby na podeście. Usiedli przed ogromnym marmurowym kominkiem: Ribbentrop pośrodku większej kanapy, Hitler na pojedynczym fotelu naprzeciwko.

- Zdaje się, że mamy swojego człowieka w Londynie? -

kontynuował.

- Anglicy zgodzili się nawet na zwiększenie naszej floty do wielkości jednej trzeciej floty brytyjskiej, mimo że to wbrew postanowieniom traktatu wersalskiego.

- Za to cię cenię, jesteś urodzonym dyplomatą! - Ucieszył się. - Dzięki temu będziemy mogli w końcu oficjalnie rozpocząć budowę Bismarcka i drugiej jednostki. A przecież o to nam chodziło.

Obaj wygodnie oparli się o zagłówki i relaksowali. Ribbentrop skosztował ciemnobordowego trunku podanego w kryształowej karafce, zaś Hitler uraczył się ulubioną wodą Fachingen, jako że nie znosił alkoholu. Po chwili rozmyślań Hitler wpadł w trans i wyrecytował jakby zahipnotyzowany:

Ale to jest nic, Ribbentrop. Zbuduję nie tylko statki, lecz także stworzę coś znacznie lepszego: broń idealną, niezawodną, precyzyjną, inteligentną, taką, jakiej świat nie widział. Sprzęt jest wadliwy, niedokładny, awaryjny. Ja stworzę maszynę do unicestwiania.

Ribbentrop zerkał zaciekawiony tym wywodem na Hitlera, ale nie ośmielił się mu przerwać.

- Stworzę armię gotowych na wszystko, niezniszczalnych i wytrwałych żołnierzy, którzy wytrzymają chłód, brak powietrza, a nawet ogromne ciśnienie. Żołnierzy specjalnie przeszkolonych do podkładania i detonowania ładunków pod statki nieprzyjaciela, gdy ci nie będą mieli o tym bladego pojęcia. Taki człowiek, ba! - taka ryba pozostanie niewykrywalna dla radarów. Czyż to nie brzmi jak broń doskonała?

Ribbentrop odczuł, że to nie było pytanie retoryczne, a wręcz wskazane było wyrazić swoją opinię na ten temat, który jednak wydawał mu się nieco absurdalny.

- Brzmi to rzeczywiście niesamowicie. Skąd weźmiemy takich ludzi, mein Führer?

Hitler się zmarszczył. Nadal był w transie.

- Jak to skąd? Stworzymy ich! Ha, ha, ha. - Roześmiał się, a śmiech ten brzmiał przerażająco. - Połączymy człowieka z rybą. Właśnie



tak!

Ribbentrop przełknął spory łyk alkoholu. Gdyby nie fakt, że Hitler brzydził się alkoholem, pomyślałby, że zamiast wody w szklance Führera znajduje się wódka, po wypiciu której postradał zmysły. Ale w tej właśnie chwili nasza go pewna myśl. Chociaż do tej pory puszczał pewną sprawę mimo uszu, tak teraz uznał za stosowne, by wspomnieć o pewnej zasłyszanej historii.

- Sądzę, że mam coś, co może pana zaciekać, mein Führer. - Zaczął. - Nie wiem, na ile te informacje są prawdziwe, ale może warto się temu przyjrzeć z bliska. Sprawdzić nie zaszkodzi...

- Zamieniam się w słuch...

- Otóż, król brytyjski...

- Twój przyjaciel... - wtrącił żartobliwie Hitler.

- Otóż właśnie... Edward VIII wyjawiał mi podczas spotkania w Londynie, że trafił w jego ręce pewien bardzo dziwny dokument autorstwa samego Darwina.

- Karola Darwina? - Upewnił się.

- Zgadza się, tego Darwina. Podobno jest to jakaś skrywana w czeluściach jego dawnego domu praca, której nigdy nie zdecydował się opublikować. Mianowicie...

Ribbentrop dawkował informacje, ponieważ sam nie do końca był przekonany o autentyczności wspomnianego dokumentu, a poza tym obawiał się reakcji Führera, że ten uzna, iż z niego kpi. Ku swojemu zdziwieniu, Hitler nie tylko się nie zdenerwował, lecz także wyraził ogromne zainteresowanie dokumentem, o którym wspomniał jego jakże oddany człowiek.

- Zdobądź go! Muszę do mieć!

To nie była prośba. To był rozkaz.

## ROZDZIAŁ 22

Tuż po abdykacji, dziesiątego grudnia tysiąc dziewięćset trzydziestego szóstego roku, zaledwie niespełna rok po objęciu tronu po niedawno zmarłym królu Jerzym, Edward VIII udał się z wizytą z Francji, gdzie osiadł z niedawno poślubioną Wallis, a następnie do siedziby Adolfa Hitlera na jego specjalne zaproszenie. Dużo z tym wspólnego miał Ribbentrop, który wiele obiecał abdykowanemu królowi, pod warunkiem jednak, że ten przekaże tajemniczy dokument, w którego posiadaniu znajdował się od kilku lat. Jako że Edward był wielkim zwolennikiem działań III Rzeszy, nie trzeba go było nakłaniać do tej podróży.

Jakże odmienny był krajobraz Alp Salzburskich w porze zimowej. Niebo, choć tak samo przejrzyste, zyskało chłodny odcień. Promienie słońca, opadając na teren leżący u podnóża szczytów, nadawały mu nie złoty, jak latem, lecz rażąco biały blask, zamieniając tę krainę w migoczący od śniegu, jakby odizolowany od reszty świata karcer, do którego tylko nieliczni mają wstęp, a prawie nikt nie może się z niego wydostać. Skute lodem drogi, nieprzejezdne ścieżki zasypane grubą warstwą puchu, przejścia, które całkiem zniknęły pod śmiernionośną pokrywą i chłód – dochodzący do kości chłód, który nigdy nie dawał za wygraną i zawsze zwyciężał. Już po południu obłądnie transparentne niebo zaczęło zasnuwać się chmurami. Nie były to białe obłoczki dodające uroku scenerii, lecz masywne, brudnoszare połacie kłębiących się nimbostratusów.

Kręta droga prowadząca do Berghof była przejezdna, ale pilnie strzeżona. Wojskowy Mercedes W31 gładko sunął po zamrożonym podłożu, pokonując kolejne zakręty. Sto piętnaście koni mechanicznych wielocylindrowego silnika o pojemności pięciu litrów rozbrzmiewał niskim warkotem między śnieżnymi zaspami. Dzięki napędowi na wszystkie osie bez trudu przejeżdżał przez każde wzniesienie. Czterotonowa salonka zbliżała się do wjazdu głównego i po chwili kilku uzbrojonych mężczyzn otoczyło pojazd. Jeden z oficerów podszedł do samochodu od strony kierowcy. Ktokolwiek znajdował się w środku, musiał być kimś ważnym, ponieważ z tego samochodu korzystał sam Führer lub ktoś z jego gości. Oficer rozpoznał kierowcę, z którym wymienił informacje w języku niemieckim. Następnie zajrzał przez uchylone okno do środka, by stwierdzić, kto siedzi na fotelach pasażerów. Bez żadnego wahania nakazał otworzyć szlaban i bramę wjazdową, by samochód mógł swobodnie przejechać. Pojazd pokonał kolejne kilkadziesiąt metrów i w końcu zatrzymał się na dziedzińcu. Po chwili wyskoczył z niego oficer i otworzył drzwi tylne, z których wyłonił się książę Windsoru. Najwidoczniej nie był zadowolony z niesprzyjającej aury wysokich Alp, niezwykle odmiennej od warunków panujących w Anglii czy choćby Francji, w której aktualnie przebywał. Ogarnął wzrokiem widnokrąg. Miejsce przypominało niedostępną twierdzę. Na schodach prowadzących do wejścia frontowego dostrzegł postać, której towarzyszyły dwie osoby. Hitler osobiście wyszedł na powitanie swojego gościa.

- Witam, książę Edwardzie - powiedział, rozkładając przyjacielsko ramiona. - Jakże mi miło, że zechciał książę przyjąć moje zaproszenie.

Edward bez wahania dwukrotnie uniósł rękę w hitlerowskim pozdrowieniu, co najwidoczniej spodobało się Führerowi.

- Jakże mógłbym odmówić... - skwitował, uściśnawszy w drugiej kolejności dłoń Hitlera.

Bez dłuższej zwłoki opuścili dziedziniec, kierując się od razu do wnętrza budynku. Tu książę poczuł się zdecydowanie bardziej

komfortowo, jako że temperaturę otoczenia podgrzewały znajdujące się w niemal każdym pomieszczeniu kominki. Idąc korytarzem, książę Edward z zainteresowaniem przyglądał się sporadycznym obrazom i wstrzemięźliwym dekoracjom ścian. Wszechobecne drewno stanowiło dominujący element wystroju. Zapewne dlatego, że dawało przyjemne wrażenie ciepła. To, co jeszcze przykuło uwagę przybysza, to spektakularne żyrandole koliste z niezliczoną ilością zawieszonych na obręczach kryształów. Poruszały się delikatnie, gdy grupa mężczyzn przechodziła tuż pod nimi, by w końcu trafić do ulubionego salonu Hitlera. Na piętnastą zaplanowano wykwintny obiad, lecz zanim podano do stołu, uprzednio wszyscy rozsiedli się w fotelach, by uraczyć się wybornym winem pochodzącym z wyjątkowej kolekcji znajdującej się w piwnicach posiadłości Berghof.

- Muszę przyznać, że to wielka szkoda, że na tronie brytyjskim nie zasiada już sprzymierzeniec III Rzeszy - oznajmił Hitler. - Mam jednak nadzieję, że o ile Anglia straciła króla, tak III Rzesza nie straci przyjaciela.

- Zawsze byłem i będę pełen podziwu dla pańskich działań, Führer. Co się zaś tyczy tronu... cóż, tak bywa, kiedy w grę wchodzi wyjątkowa kobieta...

Hitler doskonale wiedział, jaki był powód ustąpienia z tronu Edwarda VIII. Bawił się jednak tą sytuacją. Zależało mu tylko na jednym...

- Wszyscy coś wiemy na ten temat. - Zaśmiał się, co spowodowało salwę śmiechu wszystkich mężczyzn przebywających w sali. - Życie toczy się dalej, trzeba zeń korzystać!

Czas na chwilę się zatrzymał. Towarzystwo było wyjątkowo mało rozmowne, co delikatnie krępowało księcia. Obecni tu oficerowie przyglądali się uważnie Edwardowi i tylko zuchwale uśmiechali. Hitler nie chciał wprawić w zakłopotanie swojego gościa, wołał od razu przejść do sedna sprawy...

- Czy oby dobrze zrozumiałem, że ma pan coś dla mnie, książę Edwardzie?

Edward przez moment zbity z tropu podniósł brwi. Wnet przypomniał sobie, o czym mowa, gdy spojrzał na siedzącego naprzeciwko Ribbentropa. Oprzytomniał i wstał z fotela. Podeszedł do komody, na której zostawił tuż po przyjsciu skórzaną torbę. Sięgnął do niej głęboko, by następnie wrócić do stolika. Nim usiadł, wręczył Hitlerowi notatnik.

- Zapewne chodzi o to - powiedział.

Atmosfera zrobiła się lekko napięta, gdyż wszyscy oczekiwali na rozwój wydarzeń. Hitler ułożył dokument przed sobą i przez moment przyglądał się samej obwolucie, nieco twardszej niż zwykły papier, w kolorze bordowym - chociaż możliwe, że niegdyś był bardziej jaskrawy - oraz ze znajdującą się w centralnej części dużą literą „C”. Führer z kamienną twarzą przewracał kolejno kartki, pochłaniając zawartość notatnika. Minęło dziesięć długich minut, kiedy to wszyscy w milczeniu przyglądali się mu i nikt nie śmiał przerwać ciszy. Nagle Hitler zamknął dynamicznie notatnik, powodując silne klapnięcie, które wyrwało towarzystwo z letargu.

- To jest doskonałe! Błyskotliwe! Absolutnie niesamowite! - krzyczał. - Czy pozwoli książę, że zachowam to do czasu, aż poznam całą treść owej pracy?

To pytanie brzmiało tak absurdalnie, jakby lew zapytał antylopę, czy ta zezwoli, by ją pożarł. Edward od początku miał świadomość, że został tu zaproszony ze względu na ten notatnik. Do końca łudził się jednak, że zaskarbił sobie jakąś sympatię Hitlera. Coś jednak kazało mu podejrzewać, że sprawy zmierzają w innym kierunku. Poczł się nieswojo, ale nie miał innego wyjścia, jak dotrwać do końca spotkania. Podczas obiadu był spięty i nie był przekonany, czy postąpił do końca słusznie. Co się jednak stało, już się nie odstanie, więc czekał. Obiad, a właściwie wczesna kolacja, dłużył się w nieskończoność. Edward miał wrażenie, że rozmowa prowadzona jest zgodnie z jakimś przemyślanym scenariuszem, gdyż nie poruszano żadnych istotnych kwestii, tak jakby ktoś skrętnie to spotkanie wyreżyserował. Wymiana informacji była jałowa. Cieszył się, że nie przyjechał z Wallis, tak jak uprzednio

zamierzał.

Gdy opuszczał progi rezydencji Berghof, czuł ulgę, co nadal nie było jednoznaczne z wyjściem ze strefy zagrożenia. Poczłł się pewnie dopiero wtedy, gdy wrócił do pałacu w La Croë.

## ROZDZIAŁ 23

Dachau, listopad, 1942

- Panie komendancie - zaszalutował żołnierz SS - list z polecenia wielce szanownego kanclerza Rzeszy do pana komendanta.

Martin Gottfried Weiss skinął głową i wymownie wskazał blat swojego biurka. Żołnierz odłożył pośpiesznie zapieczętowaną kopertę, po czym ponownie zaszalutował i oddalił się. W pomieszczeniu mierzącym około sześciu metrów długości i niewiele mniej szerokości panował półmrok. Nad biurkiem unosiła się gęsta chmura dymu, która stopniowo rozchodziła się na inne części pokoju, zaraz po tym, jak żołnierz wywołał ruch powietrza, otwierając i zamykając drzwi. Dwie poprzeczne bruzdy po obu stronach twarzy znajdujące się na wysokości ust nadawały jej podłego wyglądu. Przeczesał lewą ręką ciemne włosy, po czym prawą chwycił list i przeczytał jego treść, częściowo w myślach, częściowo półgłosem:

- „... rozumiem chęć uzyskania jak najwyższych ekonomicznie zysków z pracy więźniów, jednak... i rezygnowanie z bicia nie mieści się w moim... bezwzględnie nakazuję powrót do metod... które tylko przedstawicielowi gorszej rasy mogą się wydać okrutne, jednak jest on przecież wyłącznie ograniczoną istotą, nie człowiekiem... wybitni biolodzy i lekarze dowiedli, iż krew i tkanki Żydów są zupełnie odmienne od aryjskiej rasy Panów... celem prowadzonych w Dachau badań ma być stworzenie istoty, która...

bez względu na temperaturę czy inne niekorzystne warunki atmosferyczne... tu niezbędne jest Pana zaangażowanie...”

Doczytał w ciszy list zawierający głównie szczegółowo opisane badania i działania, jakie miały zostać podjęte w obozie wobec przetrzymywanych więźniów. Zakończenie listu zawierało jasną informację, że do obozu Dachau został przydzielony SS Standartenführer Brandt Rudolf, któremu Führer osobiście powierzył prowadzenie specjalnych eksperymentów, a także referent medycyny lotniczej Becker-Freyseng Hermann, odpowiedzialny za doświadczenia nad właściwościami wody morskiej i jej wpływem na organizm ludzki. Mieli się zjawić niebawem.

Sala była duża, ale panował w niej absolutny nieład. Jedynie kitle, w które byli ubrani Wilhelm Beiglböck i SS Oberstrumführer Karl Babor, sprawiały wrażenie czystych. Jeden z nich stał przed hermetycznie wyizolowaną kabiną i bezdusznie przyglądał się zamkniętemu tam Żydowi. Uwięziony mężczyzna, całkowicie pozbawiony ubrania, rzucał się chaotycznie po ścianach komory, waląc rękami, głową i całym ciałem, podczas gdy lekarz notował coś skrętnie w kartotece, raz na jakiś czas dając znak asystującemu interniście, żeby zmniejszył ciśnienie w komorze. Gdy kreska dobiła do lewej strony ciśnieniomierza, nagi mężczyzna wytrzeszczył oczy i zaczął rwać sobie włosy wraz z kawałkami skóry, co spowodowało krwawienie z jego głowy. Po chwili lekarz dał znać i wskazówka zaczęła przesuwając się w prawo. Podczas gdy ciśnienie rosło, obserwowany człowiek wstał, chwiejąc się na nogach. Krew sączyła się coraz bardziej. Lekarz odnotował, że mężczyzna ma silne zaburzenia przytomności. Niedługo po tym zaczęła mu lecieć krew z nosa, a następnie uszu, aż w końcu zwałił się z nóg w czerwonej, lepkiej cieczy. Oczekano chwilę, po czym jeden z lekarzy wyszedł, by wrócić w towarzystwie drugiego mężczyzny. Ten także był ubrany w kitel, ale na jego powierzchni trudno było odnaleźć choćby jedno białe miejsce, gdyż cały zalany był krwią. W przedniej części fartucha miała dość jasny odcień, błyszcząc jeszcze od wilgoci, zaś w pozostałych miejscach wyschła, przybierając barwę



brązową. Oberstrumführer kazał asystentowi pozbyć się ciała i przynieść kolejnego Żyda. Zwłoki umieścił na dość niskim wózku, który pierwotnie raczej nie służył do transportu ludzi czy nawet ciał, ale w tym przypadku nie miało to żadnego znaczenia. Korpus leżał przerzucony przez część centralną. Ponieważ wózek był niedostatecznie długi, zarówno głowa z kończynami górnymi, jak i nogi, zwisały bezwładnie po przeciwnych jego stronach, zostawiając za sobą strużkę krwi na całej długości drogi do pomieszczenia sekcyjnego. Była nim drewniana komórka wyposażona w stół z litych desek i jedno krzesło. Obok stołu stała skrzynka, a raczej pudło z narzędziami do wykonywania sekcji zwłok oraz duże wiadro, gdzie trafiały wnętrzności. Niejednokrotnie zdarzało się, że asystent zaczynał kroić jeszcze żywego człowieka, bo ten nagle odzyskiwał przytomność. Dla asystenta nie miało to znaczenia. Każdego dnia wykonywał kilkanaście takich sekcji. Jego zadaniem było pokroić ciało i ewentualnie pozyskać niektóre narządy do konserwacji, w tym mózg, płuca, wątrobę oraz nerki.

W notatce medycznej projektu o kryptonimie „DARWIN C” znalazły się następujące wnioski: „Reakcja ustroju na wysokie ciśnienie - w wyniku rozlewu krwi do płuc następuje agonia i, w konsekwencji, śmierć. W celu uniknięcia niepożądanych następstw, aby człowiek mógł przebywać na dużej głębokości bez urazu płuc, należy wyeliminować z ustroju płuca oraz wszystkie przestrzenie powietrzne, a następnie zastąpić je organem, który nie wymaga użycia powietrza, zdolnym do pobierania tlenu przy pomocy naczyń krwionośnych”.

## ROZDZIAŁ 24

Fürstengrube, podobóz KL Auschwitz, grudzień, 1943

- Wszystko idzie zgodnie z przewidywaniami - powiedziała kobieta, podając towarzyszącemu oficerowi szarą teczkę. - Nasi się nie nadają, są zbyt słabi. U tego przeszczep przyjął się tydzień temu, więc dobrze rokuje.

- Tylko jeden? - zdziwił się mężczyzna, nie kryjąc rozczarowania.

- Skąd! Mamy w sumie dziesięciu, wszyscy z Auschwitz. W teczce ma pan szczegółowe informacje, poruczniku.

Przechodzili obok wejścia do sali, z której dobiegały potworne odgłosy, jakby komuś żywcem zdzierano skórę. Oboje doskonale wiedzieli, co działo się za drzwiami. Trwało to jeszcze chwilę. W tym czasie oficer przystanął, by zerknąć na dokumenty. Po chwili drzwi sali otworzyły się i dwóch mężczyzn ubranych w lekarskie kitle wyniosło człowieka, któremu uprzednio związano ręce i nogi, by nie mógł się oswobodzić. Był cały mokry i siny. Do oficera i kobiety podszedł lekarz. SS-Standartenführer Rudolf Brandt, został tu oddelegowany z obozu Dachau, w którym pełnił nadzór nad doświadczeniami dla potrzeb lotnictwa, prowadząc badania nad wytrzymałością pilotów, którzy po katapultowaniu się trafiali do zimnych wód na otwartym morzu. Jego jajowaty kształt głowy jeszcze bardziej podkreślała charakterystyczna fryzura, mocno odsłaniająca czoło. Na nosie miał okulary z dużymi, okrągłymi

szkłami.

- Heil Hitler - przywitał ich nazistowskim pozdrowieniem.

- Gdzie go teraz zabieracie, doktorze Brandt? - zapytał oficer.

- Posiedzi na mrozie godzinę, może dwie - odpowiedział. -

Zależy, ile wytrzyma. Poprzedni dostał tak silnego paraliżu, że po piętnastu minutach nastąpił zgon. Nie takich szukamy, nie takich...

## ROZDZIAŁ 25

Zatoka Lubecka, 27 kwietnia 1945

Luksusowy transoceaniczny liniowiec oczekiwał na przeładunek ze zmierzającego w jego kierunku frachtowca Thielbek. Sześć kilometrów od brzegu, na pełnym morzu, cierpliwie czekał na decyzję kapitana. Zarządzeniem wyższego dowódcy SS i policji w Hamburgu, Georga-Henninga Grafa von Bassewitz-Behra, na Cap Arcona zaokrętowano cztery i pół tysiąca więźniów ewakuowanych głównie z obozu w Neuengamme, w tym kilkuset z podobozu Fürstengrube. Dwudziestoosmioletni Józef Passenhauer poruszał się swobodnie po pokładzie dzięki opasce założonej na ramię z napisem „Häftlingsarzt”. Jako więzień pełniący funkcję lekarza najpierw w obozie Dachau, potem w Neuengamme, znalazł się na pokładzie statku razem z tysiącami innych Żydów, których przetrzymywano zamkniętych w ładowniach. Na dnie luku panował smród nie do zniesienia. Więźniowie tłoczyli się wraz z ciałami zmarłych na niewielkiej dla tylu osób powierzchni. Większość miała poważne schorzenia, w tym wielu zostało zakażonych dudem wysypkowym i ropowicą jeszcze podczas przebywania w obozach. Pod nogami wały się zwłoki tych, u których infekcja zaatakowała narządy wewnętrzne, powodując ich niewydolność i w rezultacie śmierć, a u innych doszło do ogólnoustrojowej reakcji zapalnej, która również doprowadzała do zgonu. Dno luków pokrywała warstwa fekaliiów, a wokół panował zaduch, spotęgowany

odrażającym smrodem, wywołując u reszty wymioty i omdlenia.

- Chodź tu! - krzyknął młody lekarz do sanitariusza. - Ukryj to!

Chłopak był zdezorientowany, ale gdy Józef Passenhauer potrząsnął go silnie za ramię, ten oprzytomniał i wykonał polecenie. Zabrał kilkanaście kamizelek ratunkowych i pośpiesznie udał się do jednej z kajut, gdzie schował je, wciskając pod jedną z szerokich desek skrzyni. Józef złapał ile mógł tabletek przeciwbiegunkowej tanalbiny z zamiarem rozdania jej więźniom tak, by esesmani się nie zorientowali. Na jego czole pojawiły się krople potu. Zszedł pod pokład, a ponieważ był bardzo wysoki, co jakiś czas musiał się schylać, żeby nie uderzyć głową o jakąś belkę czy ramę. Jeszcze przed chwilą mógł swobodnie oddychać, ale tu, pod pokładem z trudem powstrzymywał nawracające torsje. Nadciągnął rękaw i zakrył nim twarz. Obrócił się za siebie, aby się upewnić, że żaden oficer nie stoi za jego plecami. Pomyślał jednak, że żaden esesman nie zechciałby spędzić nawet minuty w takim śmierdzącym bagnie.

Zawołał jednego z więźniów i podał mu część lekarstw, nakazując, żeby je rozdzielił dla tyłu, ilu się da. Poszedł dalej. Rozdał wszystkie leki, jakie miał w kieszeniach, chcąc jak najszybciej wyjść na zewnątrz. Po drodze mijał liczne zwłoki, ale jedno szczególnie przykuły jego uwagę. W kącie leżał mężczyzna, zapewne martwy. Drugi chyba konał, bo jego klatka piersiowa jeszcze minimalnie się poruszała. Obaj mieli krwawiące rany po bokach szyi. Ten, który nadal utrzymywał się przy życiu, nieznacznie poruszał ustami. Józef popatrzył też na blizny znajdujące się na jego rękach i nogach. Doskonale wiedział, co to były za ślady. Pracował w Dachau jako asystent SS-Oberstrumführera Karla Babora. Omal nie wypadł za burtę, gdy rzucił się przed siebie, by zwrócić treść żołądka. Niewiele w nim było, ale odruch był tak silny, że nie potrafił się opanować.

- Halt! - krzyknął ktoś za jego plecami.

To jeden z esesmanów, który zwrócił uwagę na zachowanie lekarza. Nakazał mu stanąć prosto, a następnie go przeszukał. Józef wiedział, że gdyby zatrzymał go wcześniej, zastrzeliłby go za pomoc

więźniom. Tym razem pozwolił mu odejść. Passenhauer wytarł ręką wymiociny i oddalił się. Idąc po pokładzie, dostrzegł grupę oficerów kręcących się przy szalupach. Początkowo pomyślał, że chcą się ewakuować. Jak się jednak okazało, Niemcy sprawdzali tylko ich stan. Czuł, że wkrótce coś się wydarzy. Pomyślał o kamizelkach, które ukryli wraz z sanitariuszem.

## ROZDZIAŁ 26

Zatoka Lubecka, 3 maja 1945, godz. 13:45

Na morzu zapanowała cisza. Tylko przez chwilę świat wstrzymał oddech. Coś się zbliżało. Na horyzoncie ukazała się nieco mniejsza jednostka, która także czekała. Lustro wody, niemal płaskie, pozbawione było jakichkolwiek fałdek. Jedynie u samych stóp statku woda delikatnie chlupotała, obijając się o kadłub. Józef wybiegł na pokład i wśród zebranych ludzi starał się odnaleźć sanitariusza. Zerknął w lewo. Słońce go oślepiło, więc zasłonił oczy ręką. Zobaczył esesmanów tym razem nerwowo poruszających się przy szalupach. Cały czas wykrzykiwali jakieś rozkazy i gorączkowo biegali przy burcie. Nikt nie zwracał uwagi na stojącą grupę, która jedynie przypatrywała się niezrozumiałej sytuacji. W końcu Józef dostrzegł chłopaka:

- Gdzie są kamizelki?! - krzyknął, szarpiąc go za rękę.

Chłopak otworzył szeroko oczy, uchylił usta i gapił się bezmyślnie na niego, nie będąc w stanie nic z siebie wydusić.

- Gdzie je ukryłeś?! Mów szybko!

Zrozumiał. Pobiegli razem. Zobaczył to stojący nieopodal oficer i wystrzelił z karabinu kilka razy w niebo. Obaj upadli na pokład i zakryli głowy. To samo zrobiła reszta gapiów. Gdy zorientowali się, że oficer wszedł do jednej z łodzi ratunkowych na rozkaz dowódcy, podnieśli się z kolan i znowu ruszyli biegiem. Sanitariusz prowadził, a Józef ślad w ślad za nim. Dotarli do skrzyni, gdzie leżały

kamizelki. Chwycili wszystkie naraz i wracając, wciskali je napotkanym więźniom. Na pokładzie nadal panowała cisza. Józef obserwował, jak szalupy odpływają. Nikt nic nie mówił, nikt nic nie robił. Stali jak posągi. Wnet z oddali dobiegł dźwięk. Dudniący, niski. Zbliżał się w ich stronę. Na niebie zamigotały skrzydła myśliwców Hawker Typhoon należących do dywizjonu Royal Air Force. Do ostatniej chwili pozostający na pokładzie Cap Arcona mieli nadzieję. Nadzieja jednak zniknęła w chwili, gdy usłyszeli świst. W przestrzeni powietrznej zawirowały pociski bombowe. Gdy pierwszy z nich dosięgnął statku, rozpętało się piekło. Od samej eksplozji wyrzucało ludzi w powietrze. Wpadali do morskiej toni i znikali niczym kamienie rzucone przez dzieci do jeziora. Wokół rozchodził się czarny dym, syczały pod ciśnieniem uszkodzone rury, poszczególne fragmenty statku ginęły w otchłani, a kolejne pociski trafiały w okręt. Naliczono ich czterdzieści. Zewsząd wybiegali ludzie, nieświadomi zagrożenia. Widząc rozgrywające się na ich oczach dantejskie sceny, rzucaли się w panice do wody. Cały czas słyszano krzyki i jęki. Statek tonął. Jedyłą szansą na ratunek był skok za burtę. Józef biegł przerażony w stronę dzioba, gdzie jeszcze było niewiele zniszczeń. Nagle bomba padła tuż przy kluzie kotwicznej. Uderzenie i podmuch wiatru były tak silne, że Józefowi wydawało się, że stracił rękę. W rzeczywistości upadł na plecy, a nadlatujący metalowy element uderzył w jego ramię, sprawiając ogromny ból. Nie mógł wstać. Czuł, że statek się przechylił. Resztką sił chwycił się poręczy, lecz na nic się to zdało. Wraz ze wszystkim, co znajdowało się na pokładzie, zsunął się wprost do morza. W pierwszej chwili poczuł ulgę. Nagle żar płonącego okrętu ugasila zimna fala słonej wody. Po chwili oprzytomniał, uzmysławiając sobie, że nie ma kamizelki, bo rozdał wszystkie innym więźniom. Poczuł chłód. Zdawał sobie sprawę, że musi dobić do jakiejś większej dryfującej części statku.

Ktoś nagle chwycił go za nogę tak mocno, że ściągnął mu buta, lecz chwilę potem przepadł w toni. Józef usłyszał, jak ostatni jęk wydobywa się z jego gardła. Zapamiętał szeroko otwarte oczy tego



człowieka, na wskroś przerażone. Cały czas słyszał strzały. To kolejne bomby. Nie, to był karabin maszynowy! Ledwo uchwycił się kawałka drewnianej skrzyni i zobaczył, jak stojący na szalupie oficer strzela do więźniów w wodzie. Tuż za jego plecami stał inny i krzyczał: „Kein Häftling darf lebendig in die Hände des feindes fallen!”<sup>1</sup>.

. Teraz dostrzegł także jego. Oficer wskazał, by łódź podpłynęła w jego stronę. Już się zbliżali. Żegnał się z życiem, ale jeszcze wyciągnął prawą rękę i również uchwycił się skrzyni. To go uratowało. Esesman zobaczył opaskę na jego ramieniu i krzyknął:

- Guck mal, das ist ein Arzt<sup>2</sup>.

Podpłynęli i wyciągnęli go z wody. Józef nie wiedział, co się dzieje. Ukryli go i jeszcze chwilę krążyli wśród topiących się ludzi. Wykonali salwę strzałów, po czym skierowali łódź w stronę brzegu. Pomknęła po rozszalałej toni, zostawiając po sobie jedynie pianę wzburzonej wody.

Józef Passenhauer stał się wolnym człowiekiem trzeciego maja tysiąc dziewięćset czterdziestego piątego roku. Dotarłszy do miasteczka Neustadt, znajdującego się dwadzieścia kilometrów na północny zachód od Lubeki, dostał się w ręce czternastego korpusu brytyjskiego. Jeszcze tego samego roku został przewieziony do Krakowa, gdzie odnalazł ciotkę, jedyną osobę, która ocalała z całej jego rodziny. Tu osiadł na stałe i założył rodzinę. Rok później przyszedł na świat jego syn Daniel. W roku tysiąc dziewięćset pięćdziesiątym piątym zmarł w wyniku powikłań zaniedbywanej przez wiele lat w czasie okupacji niemieckiej choroby nerek. Na krótko przed śmiercią opowiedział swojemu synowi historię, która mu się przydarzyła, prosząc, by nigdy o tym nie zapomniał. Daniel złożył ojcu pewną obietnicę.

Po roku pięćdziesiątym szóstym władze w Polsce zezwoliły na emigrację Żydów. Daniel wraz z matką wyjechali do Stanów Zjednoczonych, gdzie zmienili nazwisko na angielsko brzmiące Passrowher.

---

<sup>1</sup> (niem.) Żaden więzień nie może trafić żywy w ręce wroga! [tłum. autora].

<sup>2</sup> (niem.) Spójrz, tam jest lekarz! [tłum. autora].

## ROZDZIAŁ 27

Sesimbra, 11 sierpnia 2013

Od tygodnia południową część kraju zalewało gorące zwrotnikowe powietrze. Mimo iż temperatura przekraczała trzydzieści pięć stopni Celsjusza, nie odnotowano zbyt wielu przypadków omdleń czy zasłabnięć z powodu upału, ponieważ wysokiej temperaturze towarzyszył dość silny wiatr, który dawał poczucie orzeźwienia.

Niedzielny poranek nie rokował zbyt dobrze. Od godziny szóstej plaża Praia do Ouro bardziej przypominała plan filmowy do amerykańskiego thrillera niż urokliwy skrawek lądu, gdzie można odpocząć, leżąc beztrosko na piasku. Na odcinku mierzącym kilkadziesiąt metrów długości tylko jedna osoba mogła swobodnie się opalać, nie przejmując się biegającymi wokół funkcjonariuszami. Była to kobieta w wieku około dwudziestu sześciu lat. Jak na Portugalkę miała dość jasne włosy, ale blondynką nazywać jej nie wypadało. Jej twarz pokrywały liczne piegi. Przed chwilą można było także ocenić kolor jej oczu, dopóki nie zjawił się komisarz Silva Campos – zdecydowanie były brązowe. Na zdjęciu wyszły całkiem ładnie. Właściwie cała była piękna: włosy romantycznie poplątane, lekko zmoczone morską wodą, przez co jeszcze bardziej się falowały. Luís dostrzegł w nich białą muszelkę. Ciało kobiety było wręcz posągowe, ale nie rubensowskie, choć przypominało figurę wyrzeźbioną w marmurze przez samego Michała Anioła. Małe, kształtne piersi, niezbyt wcięta talia, umięśniony brzuch i uda

świadczące o uwielbieniu sportu. Porcelanowa cera i jędrne usta dodawałyby jej uroku, gdyby nie dziwny grymas, który je mocno zniekształcał. Jedyne, co zaburzało jej urodę, to liczne rany w okolicach brzucha i czarny plastikowy worek, w którym po chwili ją zamknięto.

- Co robią tutaj ci ludzie?! - wrzasnął widocznie podirytowany komisarz. - Powiedziałem: cała plaża ma być zamknięta! CAŁA!

Rzucił papierosa pod nogi, przydeptał go, po czym schylił się, żeby podnieść i schować kipa - taki miał dziwny zwyczaj. Czasem po tygodniu znajdował kilkanaście takich petów. Nie palił dużo. Z oddali widział, jak ludzie, najprawdopodobniej turyści z okolicznych hoteli, pieklą się na wieść, że plaża nie będzie dostępna przez najbliższą dobę - w takim czasie zamierzał uwinąć się z robotą.

- Gdybym zamykał plażę za każdym razem, gdy znajdziemy trupa, nie mielibyśmy tu ani jednego turysty - stwierdził z pewną nostalgią, patrząc na niższego stopniem funkcjonariusza. - Która to już w tym miesiącu?

Czwarta, szefie - odpowiedział stojący obok dwudziestoparoletni sierżant.

- Trzeba przeszukać dokładnie cały teren, popytajcie ludzi, może coś wiedzą. Widzisz tamten bar? - zapytał komisarz, nie czekając na odpowiedź. - Stamtąd jest dobry widok na plażę, może ktoś coś widział? Siedzą do późna przy piwie...

- Tak jest.

Luís Silva Campos pochodził z dość biednej rodziny. Jako jedyny z dwóch synów zdobył wykształcenie i, jak sam twierdził, dobry zawód. Ojciec zmarł kilka lat temu, a matka przeprowadziła się do swojego drugiego potomka, nadal kawalera. Lubił swoją pracę, ale nie lubił ludzi. Może to dlatego tak dobrze mu szło w wydziale kryminalnym. Miał za sobą co najmniej kilkanaście rozwiązanych spraw, głównie dotyczących zabójstw. Z gwałtami nie miał wcześniej do czynienia - ta sprawa była jego pierwszą. Nic nie trzymało się kupy: gwałcone i zabijane kobiety nie były ze sobą

powiązane, pochodziły z zupełnie różnych środowisk, miały nawet różne obywatelstwa. Miejsca, w których znaleziono dotychczasowe ofiary, były oddalone od siebie nawet o kilkadziesiąt kilometrów, zaczynając od Almady, na całym zachodnim wybrzeżu, a skończywszy na Sesimbrze. Początkowo nie łączono wszystkich przypadków w jedną sprawę. Pierwsze ciało znaleziono ponad miesiąc temu w okolicach Costa da Caparica, następnie dwie kobiety zgwałcono i zabito na Praia do Meco. Od tamtej pory w sumie zginęło dwanaście kobiet; ta była trzynasta. Komisarz Silva Campos pracował przez ostatnie kilka lat w Algés, gdzie trafił do niego pierwszy przypadek gwałtu z południowych krańców Lizbony. Ponieważ kolejne zabójstwa zaczęto łączyć w jeden wątek, sprawa seryjnych zabójstw pozostała w rękach komisarza i został on tymczasowo oddelegowany do Sesimbry, dość urokliwej osady rybackiej, gdzie taki scenariusz trudno było wpisać w ten bajkowy krajobraz. A jednak sprawca tych mordów, perfidny zabójca, grasował wśród krętych, malowniczych uliczek miasteczka, a on musiał go dopaść.

Luís Silva Campos przetarł oczy ze zmęczenia. Na samą myśl o kolejnej kawie robiło mu się niedobrze. Podejrzewał, że kofeina już sobie nie radzi z jego ciśnieniem. Po trzech kubkach robił się rozdrażniony, bolała go głowa, nie potrafił skupić myśli, częściej sięgał po papierosa, i wprawdzie nie był senny, ale kawa nie pobudzała go tak, jakby chciał. Zmarszczył na moment czoło. Jego czarne jak ziemia brwi niemal stykały się w jedną pofalowaną linię. Skupił wzrok, patrząc na ocean, a następnie przeniósł wzrok na prawo. Plaża została ogrodzona policyjną taśmą tuż przy murach dawnych fortyfikacji zwieńczonych charakterystyczną wieżyczką z jasnego kamienia. Wysoki mur skutecznie chronił przed wejściem nieproszonych turystów. Taśma ciągnęła się aż do schodów, na których stał komisarz, i potem jeszcze około dwadzieścia metrów w lewo. Wszędzie kręcili się policjanci próbujący zebrać jak najwięcej materiałów w nadziei natrafienia na jakiegokolwiek ślady. Odwrócił głowę w lewo. Tu już zaczynały się liczne skały i plaża nie

była tak atrakcyjna, jednak wcinający się w ląd ocean tworzył przyjazną zatoczkę, gdzie lustro wody było spokojne, a płaski kształt skał umożliwiał opalanie. Luís Silva Campos stracił swoją bujną czuprynę ponad dziesięć lat temu. Zacząłłysieć już po trzydziestce. Dzisiaj na jajowatej, porządnie zgolonej głowie pozostał tylko ciemny nalot po bokach i z tyłu. Łysina mocno kontrastowała z zarostem i ciemną oprawą oczu. Dał znak jednemu z policjantów, że odchodzi, i ruszył w stronę samochodu z miną zbitego psa.

## ROZDZIAŁ 28

Lizbona, 21 października 2013

- Nie mogłaś wybrać głupszego tematu pracy. - Zaśmiała się Marie do swojej przyjaciółki. - Co to w ogóle jest „wodna mała”? Od razu kojarzy mi się z profesorem od biologii. Maceira wygląda jakby dopiero co zszedł z drzewa. Ha, ha, ha!

- Sama spadaj na drzewo! To dobry temat. Nie masz pojęcia, jak ciekawa jest ta hipoteza. - odpowiedziała Carina. - Wiedziałaś, że na jednej z wysp Oceanu Indyjskiego odkryto kamienne narzędzia, których powstanie datuje się na kilkaset lat? Były wykonane przez przedstawiciela gatunku Homo erectus.

- Wielkie mi halo! To żadne odkrycie - odpowiedziała Marie.

- Owszem. Nie byłoby w tym nic dziwnego, gdyby nie fakt, że wyspy te oddziela od lądu niezwykle głęboki rów, którego szerokość sięga prawie dwadzieścia kilometrów. Żyjący w tamtych czasach pitekanthrop raczej nie potrafił skonstruować łodzi, a nawet prostej tratwy. Cokolwiek to było, musiało doskonale pływać i... myśleć.

- Carina, daj spokój. Rozumiem, że jesteś w stanie napisać tę pracę na piątkę, ale... chyba w to nie wierzysz?

- Wierzę, nie wierzę, co za różnica. To tylko teoria, a właściwie hipoteza. Zaś co do piątki, masz rację - ucieszyła się - mam zamiar powalić naszego ulubionego pitekanthrop na kolana. Muszę tylko zdobyć pewne informacje, żeby dokończyć ostatni rozdział.

- To jakiś problem?

- Raczej tak, bo literatura fachowa na ten temat jest dość ograniczona. Jest tylko jeden człowiek na świecie, który mógłby mi pomóc, ale... mieszka w Stanach Zjednoczonych i powiedzmy, że kontakt z nim jest nieco utrudniony.

- W dobie Internetu i telefonów komórkowych? - zdziwiła się Marie.

- Napisałam do niego e-maila, nawet nie raz. Z moich informacji wynika, że pracuje dla OAMO, to jest amerykańskie Biuro Nadzoru Oceanicznego i Atmosferycznego. Udało mi się natrafić na jego adres, ale do tej pory nie odpowiedział.

- To zadzwoń, chyba mają tam telefony?

- Dzwoniłam. Rozmawiałam z nim chwilę, ale... twierdzi, że już się tym tematem nie zajmuje i rozłączył się. Nawet nie dał mi szansy, żeby cokolwiek powiedzieć.

- Próbuje do skutku.

Dziewczęta ruszyły w stronę uczelnianego bufetu. Usiadły przy jedynym stoliku, który nie był zajęty i skonsumowały wczesny lunch, umilając sobie czas rozmową na temat niektórych osobników płci przeciwnej, jak same ich określały - „brzydakach”. Marie pochodziła z Francji, przyjechała do Lizbony na studia i dzieliła pokój z dwiema innymi studentkami w akademiku. Carina mieszkała z matką niedaleko Porto Brandão. Obie były bardzo ładne, ale Carina w przeciwieństwie do swojej koleżanki nie wykorzystywała posiadanych wdzięków. Na roku wśród rówieśników nosiła etykietkę „niedostępnej”. Nigdy nie próbowała wyjaśniać braku zainteresowania płcią przeciwną, ale też nikt jej o to nie pytał. Była podobna do mamy. Ponad sto siedemdziesiąt centymetrów wzrostu, smukła sylwetka, śniada cera, czarne włosy i niebiańsko szafirowe oczy. Jej kręgosłup był jakby wydłużony, nieproporcjonalnie wyciągnięty, a przy tym miała także długie palce u rąk i dość duże stopy. Nigdy się nie malowała, przez co jej buzia wyglądała jak twarz „grzecznej dziewczynki”.

Po skończonym posiłku Marie miała się udać w okolice znajdującego się nieopodal Wydziału Nauk parku Jardim Mário



Soares, gdzie miał czekać jej „narzeczony” – niezbyt wysoki kolega z wydziału filologicznego, którego poznała kilka tygodni temu podczas corocznych zjazdów studentów uczelni europejskich. Carina żartowała, że chłopak nie grzeszy urodą, ale za to nadrabiał intelektem. Marie nie zwracała na to uwagi, tym bardziej że zdawała sobie sprawę, iż to tylko niewinne złośliwości, wszak Pedro sprawiał wrażenie dobrze wychowanego i odpowiedzialnego osobnika. Na pożegnanie uściskała Carinę i z niegasnącym błyskiem w oczach pomknęła na spotkanie z ukochanym. Tymczasem Carina dopiła resztkę soku pomarańczowego i w milczeniu przeszła długi dziedziniec łączący wejścia główne do Wydziału Chemii i Biochemii, a także Meteorologii i Oceanografii. Posępny i skromny na zewnątrz budynek uniwersytecki zmieniał swoje oblicze, gdy tylko przekroczyło się jego progi. Zewsząd słychać było rozmowy studentów, dźwięk otwieranych i zamykanych drzwi, stukanie do gabinetów, szepty egzaminowanych, śmiech przy stolikach kawiarnianych, złowrogie kroki profesorów, których nazywano tu „skorpenami” lub „posejdonami”. Czasem przewiska były bardziej wyszukane, ale wtedy też stanowiły wielką tajemnicę. Carina zbliżała się do drzwi, na których wywieszona była tabliczka z numerem trzydzieści sześć, a poniżej widniał napis DZIEKANAT. Zapukała trzy razy. Słyszając zachęcający głos sekretarki, weszła do środka. Pani Casados zaliczana była do najstarszych pracowników uczelni. Nikt do końca nie był pewien, ile ma lat, ale mimo iż pewnie dobiegała sześćdziesiątki, studenci żartowali, że ma lat co najmniej dziewięćdziesiąt, bynajmniej nie ze względu na jej fizyczność, ale raczej na prehistoryczne podejście do życia. Carina należała do nielicznej grupy osób, które lubiły panią Casados.

- Dzień dobry.

- Wejdz, dziecko – powiedziała kobieta. – Ty w jakiej sprawie?

- Chodzi o pozwolenie na wyjazd. Dziekan miał podpisać... – Nie dokończyła zdania, gdyż kobieta przerwała jej ruchem ręki.

- Wiem, wiem – chrząknęła. – Wszystko przygotowane. Proszę.

Wyciągnęła jedną z kilku kartek znajdujących się w tekturowej

teczce z gumką i podała Carinie. Dziewczyna przybliżyła ją do siebie, zapoznawszy się z treścią dokumentu. Poniżej widniał podpis dziekana.

- Dziękuję bardzo. Czy pan dziekan jest u siebie?

- Niestety nie. Wyjechał rano na zjazd do Porto i wróci dopiero w poniedziałek - odpowiedziała spokojnym tonem kobieta.

- Szkoda. Mam kilka pytań dotyczących wyjazdu.

- Możesz pytać mnie. Znam wszystkie szczegóły wymiany i raczej będę w stanie ci pomóc - zaproponowała pani Casados.

Carina chwilę się zastanawiała, próbując pozbierać myśli i przypomnieć sobie, jakich dokładnie informacji potrzebuje, tak żeby nic jej nie umknęło. Sekretarka udzieliła jej szczegółowych wyjaśnień i najwidoczniej rozwiązała wszystkie jej wątpliwości. Międzyuczelniana wymiana była zorganizowana dla studentów Wydziału Oceanografii mieszczącego się w Lizbonie, a także Wydziału Inżynierii i Nauk Morskich znajdującego się w mieście Praia na Wyspach Zielonego Przylądka, które niegdyś były portugalskimi koloniami. Wymiana zakładała pobyt jednotygodniowy i niemal wszystkie koszty z tym związane pokrywał budżet uczelniany pochodzący ze środków unijnych. Jedyne, za co Uniwersytet w Lizbonie nie płacił, to zakwaterowanie. Miało się ono jednak odbyć na zasadzie wymiany. Rodzina, której student wyjeżdżał, brała na siebie obowiązek przyjęcia na ten czas studenta z drugiego kraju. Carina już znacznie wcześniej uprzedzała mamę, że na czas podróży będzie gościć dwudziestoletnią Kabowerdenkę. Jako że nie miała nic przeciwko, była to jedynie kwestia dopytania o ewentualne wymagania co do warunków zamieszkania. O to jednak pani Gisela Costa martwić się nie musiała, gdyż warunki mieszkalne posiadała bardzo dobre. Przyjeżdżająca studentka miała zająć pokój znajdujący się obok pokoju Cariny na pierwszym piętrze.

- O nic się nie martw - powiedziała sekretarka na pożegnanie. - Wszystko jest zapięte na ostatni guzik. Pamiętaj tylko o paszporcie. Na lotnisko pojedziecie spod uczelni, wasze bilety ma profesor

Agostinho. Wyjeżdżacie punkt ósma.

Carina podziękowała i ruszyła w drogę powrotną do domu. Wyjazd już za dwa dni, a ona nie była jeszcze spakowana. Na szczęście należało zabrać tylko rzeczy osobiste i ewentualnie leki, bo cały sprzęt nurkowy zapewniał ośrodek na wyspie Boa Vista, w miejscowości Sal, gdzie miały mieć miejsce warsztaty i wykłady dotyczące fauny i flory oceanu Atlantyckiego. Całą drogę powrotną Carina spędziła na rozmyślaniach o „małpie wodnej” i o tym, jak może skontaktować się z profesorem Passrowherem, bo tylko w nim pokładała swoje nadzieje na spektakularne zakończenie pracy licencjackiej. Po powrocie okazało się, że mamy nie ma w domu. Carina dostrzegła żółtą karteczkę leżącą na stoliku kawowym w salonie. Przeczytała w myślach: „Umówiłam się z cicią Isabel i Lurdes. Wrócę po południu”. Wyjście na miasto z koleżankami nie należało do częstych wydarzeń w przypadku mamy Cariny, dlatego też ucieszyła się, że w końcu ktoś namówił ją na odrobinę rozrywki poza domem. Od śmierci ojca wszystko się zmieniło. W domu było spokojniej, ale mama zupełnie straciła chęć do życia. Zamiast się nim cieszyć, kiedy żaden tyran nie narzucał jej swojej woli, zamknęła się w sobie z zamiarem osiągnięcia późnej starości w bujanym fotelu z kotem na kolanach. Carina nie miała kota, chociaż zawsze o tym marzyła. Niestety, uczulenie na sierść było tak poważne, że na zawsze pogodziła się z tym, iż nie będzie posiadać w domu futrzaka. Za to w głowie od dawna kiełkował jej niecny plan - zamierzała wyprowadzić się po studiach z domu i sprawić mamie małego kotka, albo nawet dwa. Mogłaby je czasem odwiedzać bez nadmiernego uszczerbku na swoim zdrowiu... no i oczywiście, mamę także.

Tymczasem udała się do swojego pokoju na pierwszym piętrze. Ogarnęła wzrokiem całe wnętrze. Wyglądał nieco jak scena po bitwie, na dodatek przegranej. Należało w końcu posprzątać, zanim ewolucja tego pobojuwiska osiągnie taki etap, że ze stosów ciuchów, skarpetek i porozrzucanych notatek samoistnie wylęgnie się jakieś prymitywne życie. Zanim rozpoczęła walkę z bałaganem,

usiadła do laptopa i sprawdziła pocztę. Na dolnym pasku monitora znajdowała się ikona z kopertą, a obok cyfra dwa. Podekscytowana, kliknęła w ikonę, licząc, że to odpowiedź, na którą czekała. Na ekranie rozlało się okno poczty elektronicznej wraz z nieodczytanymi wiadomościami po lewej stronie. Pierwsza z nich mała ją obchodziła, już sam tytuł wskazywał, że to raczej spam. Od razu usunęła ofertę czyszczenia dywanów. Kolejny e-mail przyprawił ją o kołatanie serca. W temacie odczytała „RE: teoria mały wodnej”, a nadawcą był d.passrowher@oamo.org.com. Najechała strzałką na pogrubioną wiadomość i otworzyło się kolejne okno. Serce zabiło jej szybciej. Czytała na głos fragmenty:

- „Szanowna pani... uprzejmie informujemy, że pan... aktualnie przebywa na zwolnieniu... w związku z czym nie jest możliwy dalszy...” Co to ma znaczyć? - oburzyła się. - To z kim rozmawiałam przez telefon, skoro tego człowieka nie ma w Instytucie od miesięcy? Coś tu śmierdzi. Przecież ja tylko chcę zasięgnąć pewnej informacji do pracy licencjackiej, nic więcej.

Odechciało jej się sprzątać, wiedziała jednak, że musi się spakować, więc ogarnięcie pokoju i tak było nieuniknione. Nie mogła zabrać brudnych ubrań, które od tygodnia kisiły się na podłodze. Westchnęła ciężko i zaczęła porządki. Właśnie wstawiła pranie, gdy usłyszała mamę w salonie.

- Jesteś?!

- Tak, już idę. Daj mi chwilę - odpowiedziała.

Mama była rozpromieniona, pierwszy raz od dłuższego czasu taką ją widziała. Na stole kuchennym położyła siatkę z zakupami; widocznie wstąpiła po drodze do marketu.

- Mogłaś powiedzieć, to bym zrobiła zakupy po zajęciach.

- Ach, jesteś! - ucieszyła się Gisela. - Nic nie szkodzi, na większe zakupy pojedę przed twoim wyjazdem, a to tylko trochę warzyw i jajka. Musisz dać mi dokładne instrukcje, co ta dziewczyna jada...

- To akurat najmniejszy problem. Pojadę z tobą jutro i zrobimy zapas na dwa tygodnie. Myślę, że Karou nie zaszkodzi nasza

portugalska kuchnia.

- Tak ma na imię, Karou? - Zaciekawiała się mama. - Trochę dziwnie brzmi.

- Sądzę, że ma jakieś kreolskie pochodzenie - skwitowała. - Lepiej powiedz, jak cioci udało się wyciągnąć cię z domu?

Gisela uśmiechnęła się lekko. I tylko nieco spuściła wzrok, dając do zrozumienia, że doskonale zdaje sobie sprawę, jak bardzo się zaniedbuje. Cieszyła się, dzisiejsze wyjście na kawę dało jej nieco energii i motywacji.

- Ciocia w ogóle się nie zmieniła - odpowiedziała. - Te same ciepłe, brązowe oczy, ten sam malutki nosek i przemiły uśmiech. Nadal taka troskliwa i kochająca, a jednocześnie szalona. No, ale bardziej szalona jest bez wątpienia Lurdes! Ha, ha! Ta to dopiero jest agentka...

Gisela wręcz promieniała. Krzątała się po kuchni, układając zakupy na swoje miejsce. Co chwila odgarniała długie czarne włosy i zarzucała je na plecy z prawej strony. Matka z córką były niemal jak dwie krople wody. Gisela mówiła tak dłuższą chwilę, nie zwracając uwagi na córkę. Była nakręcona jak katarynka - Isabel to, Lurdes tamto. Nie zorientowała się nawet, że myjąc warzywa pod kranem, sięgnęła także po bułeczki. Już chciała je wsadzić pod wodę, gdy rozbawiona Carina krzyknęła:

- Czekaj! To jest pieczywo...

- Co ja robię, tak się rozgadałam.... przepraszam. - Uśmiechnęła się znowu.

- Nie przepraszaj, cieszę się, widząc cię taką radosną. Powinnaś częściej spotykać ciocię.

- Chciałaś powiedzieć: ciocie - mruwnęła okiem mama. - Jak byłaś mała, nazywałaś je obie ciociami.

- Daj spokój, już z tego wyrosłam. Lurdes nie jest naszą krewną. W dzieciństwie to co innego, ale teraz nie zwrócę się tak do niej, bo to dziecinne.

- Myślę, że by się nie obraziła - powiedziała mama. - Ach, zapomniałam o najważniejszym!

Carina rozpostarła szeroko oczy, czekając, co powie mama.

- Gdzie ty lecisz na te warsztaty?

- Wyspy Zielonego Przylądka, mamo.

- To wiem, ale jaka wyspa?

- Boa Vista. Dlaczego pytasz? - zacięła się.

- Wyobraź sobie, że one też tam lecą na urlop!

- Kto?

- No jak to, kto? Isabel i Lurdes! Zupełnie przypadkiem się dowiedziałam. Pytały co u ciebie i powiedziałam, gdzie studiujesz oraz że jedziesz na wymianę. I tak, od słowa do słowa, okazało się, że one także się tam wybierają. Czyż to nie cudowny zbieg okoliczności?

- Mamo, przecież to niczego nie zmienia. Ja tam będę tylko tydzień i nie mam czasu, żeby z nimi siedzieć. Nawet nie wiadomo, czy mamy ten sam lot... Ale faktycznie, dość zaskakujący przypadek - przyznała Carina. - Idę do oceanarium, muszę zabrać stamtąd kilka rzeczy przed wyjazdem.

- Nie zjesz obiadu?

- Zjem po powrocie. Nie czekaj na mnie. Pa!

Mimo dość późnej godziny popołudniowej słońce nie traciło na sile. Droga była długa. O ile mijała dość szybko, gdy Carina jeździła na uczelnię w weekendy, tak bardziej zdawała się nie mieć końca, gdy zdążała do pracy. Najpierw pokonywała Most 25 Kwietnia i jadąc autobusem, docierała do zielonej stacji metra Cais do Sodr , następnie na stacji Alameda przesiadała się na linię czerwoną i od piątego przystanku Cabo Ruivo kierowała się pieszo do oceanarium. W zasadzie całą drogę myślała o dziwnym e-mailu, który odczytała kilka godzin temu. Była bardzo zamyślona. W końcu ukazał się przed nią kosmiczny szkielet jednej z największych atrakcji regionu. Konstrukcja oceanarium przywoływała nieco na myśl jakieś futurystyczne wizje architekta, który ją zaprojektował. Mocno industrialny i nie mniej nowoczesny budynek dawał Carinie źródło utrzymania od ponad roku. Szła przed siebie. W ogóle nie zdziwił jej fakt, że nawet teraz było tu pełno turystów i odwiedzających.

Carina dziś nie pracowała, miało tak pozostać aż do powrotu z wymiany studenckiej. Szybko mknęła pomiędzy ludźmi, czując się tu jak przysłowiowa ryba w wodzie. Znała każdy zakamarek tego miejsca. Udało jej się przebić przez ścianę turystów i zniknęła w jednym z bocznych korytarzy dla personelu.

- Cześć, Carlos. - Uśmiechnęła się na widok kolegi po fachu, na co ten przywitał ją skinieniem ręki.

- Kiedy lecisz?! - krzyknął po chwili, zanim Carina się oddaliła.

- Pojutrze. Marco jest u siebie?

Chłopak nie odpowiedział, tylko kiwnął głową. Carina chciała się upewnić, że ten krótki urlop nie zagrozi jej utratą pracy.

- Nie wygłupiaj się - powiedział szef. - Gdzie my znajdziemy drugiego takiego świra, który usuwa nam usterki w basenie z rekinami, ha!

Marco sprawiał wrażenie poczciwego i miłego. Starał się utrzymywać koleżeńskie relacje ze swoimi pracownikami. Miał taką teorię, że okazywanie wyższości w miejscu pracy czy nadużywanie władzy nie tylko nie sprzyja dobrej atmosferze, lecz także wpływa negatywnie na wyniki pracy personelu. Poza tym był mistrzem ciętego dowcipu, chociaż tylko czasem ujawniał się ze swoim wyjątkowym talentem.

- Wracam za tydzień, poradzicie sobie beze mnie.

- Nic się nie przejmuj, udanej podróży i wracaj w jednym kawałku.

- Jasna sprawa. - Uśmiechnęła się, ale nadal dziwnie patrzyła na swojego przełożonego.

- Mogę coś jeszcze dla ciebie zrobić? - zapytał w końcu.

- Tak sobie myślę, Marco, że może mógłbyś wykonać jeden telefon w moim imieniu.... to znaczy, dla mnie.

- Telefon? - zdziwił się.

- Trochę mi głupio, że cię o to proszę, ale potrzebuję potwierdzić pewne informacje, jednak kiedy próbuję porozmawiać z kompetentnym w tej dziedzinie człowiekiem, napotykam na ścianę i odbijam się od niej. Może ty, jako dyrektor takiego oceanarium,

mógłbyś wykorzystać swój autorytet i poprosić do telefonu tego człowieka?

Zamilkła i wyszczerzyła zęby, czekając na reakcję szefa. Nagle Marco się zaśmiał.

- Ale mnie przestraszyłaś, bałem się, że złożysz mi jakąś bardziej nedorzeczną propozycję, ha, ha! Słuchaj, Carina, nie ma problemu, jeden telefon to żaden kłopot, o ile oczywiście mój - jak to sama nazwałaś - autorytet okaże się wystarczający. Chcesz to załatwić teraz?

Carina odetchnęła z ulgą, chociaż zaczęła się zastanawiać, o jakiej nedorzecznym propozycji pomyślał Marco. Nie chcąc drażnić tematu, odpowiedziała:

- Może zostawmy to na później, gdy wrócę. Zgłoszę się do ciebie i wyjaśnię, o co dokładnie mi chodzi.

- Świetnie. To zmykaj już, bo nie chciałbym, żebyś sama szlajała się wieczorem po stacjach metra.

Marco miał rację. Wprawdzie jeszcze było widno, ale biorąc pod uwagę fakt, ile zajmie droga powrotna, faktycznie może się ściemnić, zanim Carina dotrze na drugą stronę mostu łączącego Lizbonę z Almadą. Zwykle po pracy zabierał ją znajomy. Tym razem nie zamierzała na niego czekać. Zabrała książki, po które tu przyjechała, i ruszyła w drogę powrotną. Po wyjściu z budynku przystanęła na moment, myśląc: „Nedorzeczna propozycja... co on miał w głowie?”

Wybiegła z pociągu i pognęła schodami w górę. Droga do stacji linii zielonej nie była długa, ale i tak pociąg umknął jej sprzed nosa. Carina pomyślała, że w takim razie wróci na górę i kupi w jednym z pawiloników w przejściu handlowym jakiś drobny upominek dla Karou. Była pewna, że się ucieszy. W przejściu obok bramek wpadła na jakąś kobietę.

- Przepraszam panią - powiedziała zamyślona.

- Carina?

Wnet ocknęła się z letargu i spojrzała przed siebie. Jej oczy nagle się rozjaśniły.



- Ciocia! Co za spotkanie... a jeszcze nie tak dawno rozmawiałam o tobie z mamą. - Uradowała się, widząc Isabel. - Co ty tu robisz?

- Ja? Jestem tu prawie codziennie, gdy wracam z laboratorium. Na tej stacji przesiadam się na zieloną linię, stąd już tylko pięć przystanków do Telheiras. Pytanie brzmi: co ty tu robisz?

- Faktycznie, zapomniałam, że tam mieszkasz. Tyle lat się nie widziałyśmy. Tak w ogóle, to chciałam podziękować, że zabrałyście z Lurdes mamę na kawę. W końcu się trochę rozerwała.

Isabel uśmiechnęła się życzliwie.

- Nie zmieniaj tematu, ha, ha!

- Co? Nie, nie zmieniam tematu. To żadna tajemnica, zwykle jeżdżę do pracy samochodem z kolegą, ale dziś musiałam skorzystać z metra. Podobno także wybieracie się na Boa Vista? Mama tak mówiła.

- Tak, to prawda. Syn Lurdes jest tam na wolontariacie. Pomaga wytwarzać tani opał z resztek organicznych, czyli z liści, łupinek i kory. Fajna sprawa. Leci go odwiedzić. A ponieważ byliśmy tam razem jakieś dwadzieścia lat temu, zaproponowała mi, żebym jej towarzyszyła. To dla nas pewnego rodzaju podróż sentymentalna i powrót do czasów studenckich. Lecimy jutro.

- Szkoda, bo ja mam lot pojutrze wraz z ekipą uniwersytecką. Ale może zobaczymy się na miejscu? Gdzie się zatrzymacie?

- Znasz Lurdes, to prawdziwa księżniczka, musi mieć iście arystokratyczne otoczenie. - Zaśmiała się Isabel. - Zatrzymamy się w dużym kompleksie hotelowym Riu Korondoba. A ty?

- Ja nie, ale wiem, gdzie to jest. Hotel macie niedaleko lotniska. Wychodząc na plażę, będziecie mieć pod nosem moje centrum nurkowe. Tam mam wykłady i zajęcia praktyczne. W takim razie na pewno się zobaczymy! - Ucieszyła się Carina. - Ciociu, muszę lecieć, bo mi kolejny pociąg odjedzie. Podaj mi swój numer telefonu, w ten sposób będziemy w kontakcie.

- Słuchaj, może jedź ze mną, podrzucę cię samochodem. Nie powinnaś sama błąkać się w okolicach wybrzeża.

- Nie trzeba, ciociu, jeszcze jest widno. Szkoda fatygi, a ty na pewno musisz się przygotować do podróży.

- No to biegnij na ten pociąg, a numer telefonu weźmiesz od mamy.

- Dobrze, do zobaczenia!

Cmoknęła Isabel w policzek i pobiegła. W ostatniej chwili wsiadła nim drzwi się zamknęły. Do domu wróciła tuż przed zmierzchem.

## ROZDZIAŁ 29

Boa Vista, lotnisko Rabil, 23 października 2013

W związku z opóźnieniem na lotnisku w Lizbonie planowany czas przylotu do Sal Rei zmienił się z dwunastej w południe na godzinę trzynastą. Ekipa uniwersytecka zajęła miejsca obok siebie w tylnej części pokładu, w dwóch rzędach. Jeden z foteli przy okienku należał do Cariny. Była spokojna i chętnie obserwowała, jak wszyscy wokół gaworzą, śmieją się, próbują spać, kołysze im się głowa, proszą obsługę o wodę, piwo, chusteczkę, pytają, kiedy samolot wyląduje, uśmiechają się, krzywią twarz, są znudzeni, zmęczeni, zniecierpliwieni, podekscytowani, sięgają po czasopisma znajdujące się w kieszeni fotela przed nimi, czekają. Carina zastanawiała się, czy mama polubi Karou i na odwrót, czy się będą dogadywać (bynajmniej nie w kwestii językowej, bo taka bariera nie istniała, gdyż dziewczyna - oprócz mieszanki krioulo i języka lokalnego, mówiła także dobrze po portugalsku). Mama nie była raczej osobą konfliktową, wręcz przeciwnie, najchętniej przytuliłaby cały świat i zagłaskała na śmierć, jednak to, co zastanawiało Carinę, to czy znajdą nic porozumienia i będą czuć się dobrze w swoim towarzystwie przez najbliższy tydzień. Z drugiej strony, to przecież tylko siedem dni, więc jakoś dadzą sobie radę. Nad głowami pasażerów zapaliła się lampka informująca o konieczności zapięcia pasów, a to był dobry znak, bo zapowiadał rychłe lądowanie. Po chwili z głośników rozległ się głos personelu informujący, że

samolot rozpoczął zniżanie lotu, a za około piętnaście minut maszyna powinna wylądować.

Zgodnie z przewidywaniami kilka minut po pierwszej po południu Carina stała w kolejce do okienka, gdzie wydawano wizy. Wprawdzie ona, jako obywatelka Portugalii, nie potrzebowała jej, ale wśród studentów byli reprezentanci innych krajów europejskich, tak więc cała grupa trzymała się razem i cierpliwie oczekiwała na wydanie pozwolenia, za które trzeba było zapłacić dwadzieścia pięć euro. Lotnisko było dość specyficzne, typowe dla krajów, gdzie nikt nie wie, co to takiego zima. W zasadzie cały budynek był pokryty dachem z wieloma prześwitami, tak więc ptaki mogły swobodnie wlatywać do środka. Coś takiego byłoby nie do pomyślenia w Europie. Jednak otwarty dach miał także swoje plusy, gdyż dzięki licznym dziurom w konstrukcji na teren lotniska wpadało cudowne powietrze, jedyne źródło ochłody. Temperatura na zewnątrz znacznie przekraczała trzydzieści stopni Celsjusza, ale na szczęście wiatr nie tracił na sile i skutecznie orzeźwiał rozgrzane ciała podróżnych. Ekipa składała się łącznie z dziewięciu osób, w tym siedmiu studentów i dwóch profesorów. Natasha i Marie pochodziły z południa Francji, Anne, Rosy oraz Benny byli Anglikami. Wśród uczniów tylko Carina i Gabriel mieli portugalskie korzenie. Nad studentami czuwał profesor Maceira oraz doktor Oliveira. Kiedy miesiąc temu wszyscy poznali skład grupy tegorocznej wymiany studenckiej, zaczęto żartować, że najważniejszym kryterium było posiadanie nazwiska brzmiącego jak nazwa jakiejś rośliny lub owocu. Sprawdzało się to głównie w przypadku obydwu profesorów.

Na belkach wysokiego stropu zadaszenia ćwierkały radośnie ptaki. Carina spojrzała w górę, słysząc znajomy dźwięk i uśmiechnęła się. Na świecie istniało tylko jedno takie stworzenie, które docierało w niemal każdy zakątek planety. Carina miała do niego ogromny sentyment, a był nim wróbel. W pewnym sensie sprawiał, że gdziekolwiek by się nie znalazła, on przypominał jej o domu.

Ostatnia wiza została wydana, mogli więc ruszać dalej. Po

wyjściu ze strefy przylotów dostrzegli czarnoskórego mężczyznę trzymającego w ręce kartkę z napisem: „Uniwersytet w Lizbonie”. Nikt nie wątpił, że to ich kierowca, który, jak się niebawem okazało, miał na imię Patricio. Posiadał przestronnego minibusa, w którym zmieściła się cała dziewiątka wraz z bagażami. Już przy wyjściu głównym z lotniska Rabil rozpościerał się surowy krajobraz tego zakątka należącego do archipelagu Republiki Zielonego Przylądka. W jego skład wchodziło dziesięć wysp głównych i szesnaście mniejszych. Wbrew temu, co można by sądzić, kraj ten nie zawdzięczał swej nazwy bujnej roślinności, co akurat widać było gołym okiem. Jak okiem sięgnąć tylko piasek, sucha gleba, kamienie i znikoma flora przetrzebiona przez pasące się tu wolno osły i kozy. Nazwa kraju pochodziła od sąsiadującego kilkaset kilometrów na wschód Przylądka Zielonego będącego z kolei jednym z najbardziej wysuniętych zachodnich punktów kontynentu afrykańskiego.

Patricio ruszył, kierując się na północ w stronę Sal Rei. Poruszali się jedyną istniejącą na wyspie drogą asfaltową łączącą tylko kilka najważniejszych miasteczek. W pewnym momencie droga rozwidlała się na prawo i lewo, ale kierowca skręcił w lewo, do portu. To właśnie tuż przy samym porcie znajdował się dom, w którym studenci mieli zatrzymać się na cały tydzień. Mimo że busik nie był pojazdem terenowym, wyjątkowo sprawnie poradził sobie z wyboistą drogą, gdy pod kołami zabrakło asfaltu i dalej należało jechać po żwirowatym gruncie. Wokół biegały dzieci, barwnie ubrane kobiety szły poboczem, niosąc wielkie kosze na głowach, tuż pod murami domków siedzieli w cieniu sklepikarze ze swoimi towarami, jakaś kobieta obierała owoce ze skórki i wydłubywała miąższ, w oddali młody mężczyzna bez koszulki filetował świeżo złowione ryby, a w rogu ulicy czekał cierpliwie kot, licząc zapewne na jakiś smakowity kąsek. Czasem przemknął wychudzony pies - wyglądało na to, że było tu sporo bezpańskich zwierząt. W samochodzie nie działała klimatyzacja, dlatego wszystkie szyby były maksymalnie opuszczone. Z zewnątrz dolatywały przeróżne aromaty, które przyprawiały o zawrót głowy.

Pachniało papają i mango, rybimi łuskami, kocim moczem, gotującym się obiadem i kawą. Kobiety roztaczały wokół siebie zapach budyniu waniliowego z owocami, zaś mężczyźni... Carina wyteżyła zmysły, próbując rozpoznać, czym pachniał ich kierowca. Uniosła nieco nos, zamknęła oczy i poczekała na powiew wiatru. Patricio pachniał... wolnością i szczęściem.

Nagle samochód zatrzymał się.

- Jesteśmy na miejscu - powiedział wolny i szczęśliwy Patricio, otwierając drzwi.

Wtedy też cała ferajna opuściła pojazd, zabierając także swoje torby podróżne. Profesor Maceira wręczył kierowcy banknot o nominale tysiąca escudos, co było równowartością około dziesięciu euro. Patricio poczekał, aż zjawi się właścicielka domu, a gdy zobaczył Rosanę, machnął ręką i odjechał. Kobieta zbliżała się do furtki, zachęcając gości do wejścia, ale nikt nie odważył się ruszyć, widząc warującego przy bramie ogromnego psa. Była to dwuletnia suka rasy rhodesian ridgeback, wykorzystywanej w szesnastym wieku przez europejskich osadników, którzy zasiedlali wówczas Afrykę Południową, do polowań na lwy. W tym momencie nikt z przyjezdnych nie zastanawiał się nad jej pochodzeniem, każdy stał jak sparaliżowany, zerkając ukradkiem na „bestię”. Doktor Oliveira skupił wzrok na zbliżającej się właścicielce, wyszczerzył nienaturalnie zęby i przełknął z przerażenia ślinę. Zapewne w tym momencie żałował, że zgodził się na tę podróż, gdyż nie znosił psów. Najgorsze było to, że psy to wiedziały. Na szczęście Mera, bo tak wabiła się psina, była dobrze ułożona. Doskonale zdawała sobie sprawę ze swojej siły i nie musiała nadmiernie demonstrować swych atutów, przez co nie była zbyt natarczywa dla nowych gości. Kilka razy zaszczekała niskim tonem, zaciągnęła nozdrzami powietrze, po czym odeszła jakby znudzona, poruszając się w nonszalanckim stylu. Każdy wbił spojrzenie w jej wyraźnie umięśnioną sylwetkę. Mera była zjawiskowa: szeroka głowa, płaska między dużymi oklapniętymi uszami, długi pysk zakończony czarnym nosem, okrągłe ślepia

wysoko osadzone o barwie ciemnego piwa, potężna szczęka, korpulentna postawa i długi, mięsisty ogon. Jej cynamonowo-miedziana sierść błyszczała w promieniach palącego słońca jak tafla wody. Dopiero gdy zniknęła za rogiem domu, wszyscy dostrzegli Rosanę. Kobieta stała tam cały czas, ale przyzwyczajona była do wrażenia, jakie Mera wywiera na gościach, więc cierpliwie czekała, aż nasycą nią oczy.

- Witajcie - rzekła, uśmiechając się. - Nie trzeba się jej bać, to bardzo grzeczny pies i spokojny jak na swój wygląd.

- Proszę wybaczyć, ale jakoś mnie pani nie przekonała, ha, ha! - Roześmiał się Maceira. - Jest za to jeden plus, możemy spać spokojnie!

Młodzież także się roześmiała i tylko Oliveira nie widział w tym nic zabawnego. Zaczął się pocić niemiłosiernie, aż kropelki spływały po jego wysokim czole.

- Zapraszam - powiedziała Rosana. - Pokażę wam pokoje.

Była Portugalką, wyglądała na czterdzieści lat i była bardzo szczupła. Miała długie czarne włosy, spięte w gruby kok i w ogóle nie była umalowana. Ciemna oprawa oczu wystarczyła, żeby nadać wyrazistości jej twarzy. Cała grupa szła krok w krok za Rosaną. Zatrzymali się przed gankiem. Okazało się, że wszystkie fotele są zajęte przez innych lokatorów. Każdy z nich miał jedną cechę wspólną - nosił futro. W domu było dużo zwierząt, oprócz Mery mieszkał tu także drugi pies wabiący się Olivier oraz cztery koty: dwa stare kocury, jedna dorosła kotka i zupełnie młode kociątko, które było największą atrakcją dla gości, jako że bez przerwy lubiła się bawić i psocić.

- To istny zwierzyniec! - burknął Oliveira. - Czy my wiedzieliśmy o tym przed rezerwacją noclegów?

Słowa te skierował do profesora, ale powiedział to wystarczająco głośno, żeby inni też się dowiedzieli. Rosana udawała, że nic nie słyszała, ale już teraz wiedziała, że Oliveira nie będzie należał do grona jej ulubionych gości. Dom był duży, zbudowany na skalnej skarpie tuż przy głównej drodze do portu,

z widokiem na ocean. Carina, Natasha i Marie zajęły jeden przestronny pokój, a pozostałe dwie dziewczyny dostały nieco mniejszą sypialnię. Bennyemu i Gabrielowi również przydzielono wspólny pokój, natomiast Maceira i Oliveira dostali oddzielne pomieszczenia. Część sypialni zlokalizowana była na parterze, reszta zaś na piętrze. Carina stwierdziła, że dom przypomina Casa Batlló, ale był to raczej komplement. Budynek był dziwny, zawiły, z licznymi przybudówkami, tarasikami, balkonami, schodami i całość sprawiała wrażenie jakby z krainy czarów. Do tego te wszechobecne koty, mnóstwo nietuzinkowych dekoracji na ścianach i wewnątrz pomieszczeń: obrazy, rękodzieła, muszle, kamienie, elementy łodzi, wiosła, jakieś figurki, lampy, książki i nawet długa na dwa metry kość żebrowa wieloryba, którego podobno ocean wyrzucił wiele lat temu na plażę. Rosana zakomunikowała, że śniadania serwowane są od godziny ósmej. W restauracji także można było zjeść obiad, jednak w przypadku tak licznej grupy należało o tym uprzedzić przynajmniej kilka godzin wcześniej. Poza tym w miasteczku było kilka naprawdę dobrych jadalni serwujących lokalne dania.

Carina miała niewielki bagaż, więc szybko rozłożyła swoje rzeczy na wydzielonej półce w szafie i wyszła na balkon. Było bardzo ciepło, ale wiatr nie przestawał wiać. Oparła się o barierkę i spojrzała na linię horyzontu. Znajdująca się tuż u stóp skarpy plaża była częściowo porośnięta niskimi roślinami o krzaczastym charakterze, a podłoże przybierało nieco ziemistą barwę. Dosłownie kawałek dalej piasek stawał się delikatny, niemal biały. Nie dostrzegła żadnych turystów, a rdzenni mieszkańcy nie tracili czasu, aby chodzić po plaży. Zobaczyła jedynie kilku mężczyzn stojących na czarnych skałach, które otaczały brzeg oceanu. Byli to rybacy, szukali zdobyczy gdzieś w małych lagunach, które powstały dzięki kamieniom. Zapewne znajdowało się tam sporo ryb i skorupiaków stanowiących główne źródło białka na tutejszych stołach. Carina spojrzała w dal; ocean był niespokojny, duże fale bez przerwy uderzały o półki skalne, tworząc grubą warstwę piany.



Zastanawiała się, czy wszędzie taki jest, bo jeśli tak, to warunki do nurkowania będą raczej trudne. Zamyśliła się, wyobrażając sobie, cóż jeszcze kryje ten ogrom bez dna. Wróciła do pokoju, a po drodze spotkała Maceirę.

- Odpocznijcie po podróży, bo za godzinę przyjedzie kierowca i zabierze nas na Praia das Dunas. Tam spotkamy się z instruktorem nurkowym i zjemy obiad - powiedział. - A jak tam wasze pokoje, wszystko w porządku?

Tak, panie profesorze. Jest czysto i ładnie. Niczego więcej nie trzeba - odpowiedziała i po chwili dodała: - Czy mogę mieć jedno pytanie?

- Oczywiście.

- Jest jakaś szansa, żeby między wykładami a lunchem zrobić sobie przerwę? Pytam, bo moja ciocia mieszka w hotelu zaraz obok naszego ośrodka i pomyślałam, że mogłabym zamienić z nią kilka słów.

- Prawdę powiedziawszy, nie wiem jeszcze, jak wykładowca to zorganizuje, ale sądzę, że możesz po prostu zjeść z ciocią lunch, gdyby się okazało, że przerwy nie ma. Ja nie mam nic przeciwko, pod warunkiem, że mnie o tym poinformujesz.

- Wspaniale! - Ucieszyła się. - Tak zrobię. Dziękuję.

Rozeszli się do swoich pokoi. Carina posłuchała rady profesora i położyła się na wygodnym łóżku, korzystając z okazji, aby zregenerować siły. Jej współlokatorki, pochłonięte bez reszty zabawą z małym kotkiem, nie wyglądały na zmęczone. Carina odszukała w torbie telefon i zaczęła pisać do Isabel: „Jestem na miejscu, za godzinę będę na waszej plaży, mam wykłady, a potem możemy zjeść razem lunch. Dajcie znać, czekam”. Odpowiedź nadeszła po kilku minutach: „Jesteśmy w hotelu, chętnie się spotkamy. Doña Lurdes korzysta z masażu. Napisz pół godziny wcześniej, zanim będziesz wolna. Do zobaczenia!”.

## ROZDZIAŁ 30

Algés, 23 października 2013

Do pokoju pełnego dymu wszedł szczupły mężczyzna z grzywką ulizaną na czole. Silva Campos podniósł głowę.

- Komendant chce z tobą pilnie rozmawiać - zakomunikował i wyszedł, nie czekając na reakcję.

Komisarz zmarkotniał i sposepniał na twarzy jeszcze bardziej. Odłożył szarą teczkę na biurko i od razu ruszył korytarzem do pokoju szefa. Drzwi były uchylone.

- Chciał mnie pan widzieć - powiedział, wściubiwszy głowę między drzwi a futrynę.

- Wejdz i zamknij drzwi - odezwał się oschle komendant.

Luís posłusznie wykonał polecenie przełożonego i usiadł na krześle wskazanym przez komendanta.

- Mów, czego potrzebujesz, tak dalej być nie może - to mówiąc, komendant rzucił teczkę na biurko, która gładko sunęła po jego blacie i omal nie spadła na kolana komisarza. - Osobiście nawet cię lubię, Luís, ale tego już za wiele. Mam ci kogoś przydzielić? Potrzebujesz więcej ludzi, pieniędzy, czego?

Komisarz wiedział, co to za teczka, ale należało ją otworzyć, żeby jeszcze bardziej nie zdenerwować szefa. Spuścił wzrok.

- No, powiedz coś... Pieprzysz się z tą sprawą już kilka miesięcy! Trzeba w końcu złapać tego popaprańca!

- Z całym szacunkiem, szefie, ale nie ma pewności, że te sprawy

są ze sobą powiązane.

- Nie wkurwiał mnie, Luís! Jak to nie są powiązane?! - wrzasnął komendant i zmienił kolor twarzy na purpurowy. - Jak nie zobaczę jakichś postępów, będę musiał cię odsunąć od tej sprawy, a wiesz, co to oznacza? Postaraj się bardziej. Kolejna ofiara, kolejna kobieta zgwałcona i zabita, znaleziona na plaży, a ty mi pierdolisz, że te wydarzenia nie są powiązane?!

Luísowi wydawało się, że szef zaraz zmieni nie tylko kolor twarzy, lecz także stan skupienia. Miał wrażenie, że leci mu para z uszu i zaraz eksploduje. Był wkurwiony, ale musiał mu coś powiedzieć.

- Miałem na myśli to, że między poszczególnymi miejscami, w których znaleziono ofiary, istnieje spora odległość, więc może sprawców jest więcej niż tylko jeden.

- Tak, i nagle na południu Portugalii zapadła moda na gwałcenie i zabijanie kobiet, więc wielu mężczyzn postanowiło zmienić swoje hobby. Daruj sobie, stać cię na więcej. Nie rozumiem, czemu nadal stoisz w miejscu? Czemu ta sprawa się nie posuwa? Możesz coś w końcu powiedzieć do rzeczy?

- Komendancie, nie śpię po nocach, czytam raporty, zeznania, szukam, myślę, już nawet kawa na mnie nie działa... i choćbym się zesrał, stoję w miejscu. Nie wiem, jak to ugryźć. Gdybym mógł mieć jakiś punkt odniesienia, gdyby ofiary coś łączyło, można by było stworzyć profil zabójcy, ale kurwa mać, nie ma żadnego elementu wspólnego. Jak nie Francuzka, to Arabka, jak nie młoda, to stara, jak nie katoliczka to żydówka, brzydka, ładna, dziewica... Kurwa, NIC wspólnego te baby ze sobą nie mają. Ktoś je po prostu morduje.

- A materiał genetyczny?

- On je gwałcił przedmiotami, ofiary nie mają na sobie śladów nasienia. Tylko jednej zebraliśmy wymaz z pochwy i okazało się, że była tam sperma. Tylko nie mamy jeszcze z czym jej porównać.

- Te kobiety z pewnością się broniły, muszą mieć pod paznokciami jakiś martwy naskórek, krew, cokolwiek! Sprawdziliście wyskrobiny?

- Szefie, aż takimi durniami nie jesteście, oczywiście, że to sprawdziliśmy.

- I co?

- W żadnym przypadku nie wykazano, że kod genetyczny materiału pokrywa się z tym, który pobrano od innej ofiary. Żadnego wspólnego mianownika.

- A świadkowie?

- We wszystkich tych przypadkach mamy bardzo niewielu świadków, chociaż trudno ich tak nazwać, bo niczego konkretnego nie wnoszą do sprawy. Do gwałtów zawsze dochodziło w nocy, kiedy nikt rozsądny nie szlaja się po plaży.

- No właśnie, a te kobiety z jakiegoś powodu się tam szlajały, jak mówisz. Nie zastanowiło cię to?

- Owszem, ale sądzę, że ofiary zostały tam sprowadzone, lub zaciągnięte siłą, a sprawca musiał je spotkać w innym miejscu, nie tak ustronnym i podejrzanym.

- Skąd wiesz, że je tam zaciągnął? Są jakieś ślady? Przecież taka ofiara trochę waży, nie wziął kobiety przez ramię, tylko musiał ją ciągnąć kawał drogi. Natknęliście się na cokolwiek, co by o tym świadczyło?

- W niektórych przypadkach tak. Istniały wyraźne ślady szarpaniny i ciągniętego ciała.

- Nie mówimy o śladach, które znajdują się przy samej ofierze, tylko o takich, które zaczynałyby się znacznie wcześniej. Były takie?

Zapadła cisza. Komendant wytrzeszczył gały i czekał na odpowiedź.

- No, były, do jasnej cholery, czy nie?!

- Badaliśmy najbliższą okolicę...

- Czyli tego nie sprawdziliście?! Mam cię uczyć podstawowych czynności?

- Ale, komendancie, jak sobie komendant wyobraża, że rozpoznamy takie ślady na brukowanej albo asfaltowej uliczce? To niemożliwe.

- Sam przed chwilą powiedziałeś, że do zbrodni dochodziło

w oddalonych miejscach, więc raczej daleko od jakiegokolwiek asfaltowej drogi. A skoro tak, to jakieś ślady w promieniu kilkudziesięciu metrów musiały być, czyż nie?!

- Właśnie rzecz w tym, że zabijał je na plaży, gdzie przy dużej fali woda potrafi zmyć wszystko w odległości kilkunastu czy kilkudziesięciu metrów.

- Powiedziałeś, że przy niektórych ofiarach były ślady szarpaniny. Cóż to za dziwna woda, która zmywa wszystko w odległości kilkudziesięciu metrów, a zostawia jedynie ślady szarpaniny przy ofierze. Co, omija ją bokiem? Jak na moje oko, ta sprawa cię przerosła, Luís. Pomijając kwestie formalne i to, że raczej nie dostaniesz premii, pozostaje jeszcze rzecz o wiele ważniejsza - kolejne ofiary, na które nie możemy sobie pozwolić, a które mogą się pojawić, bo ty nie potrafisz się przyznać, że sobie z tym nie radzisz.

- Szefie...

- Daję ci czas do przyszłej środy, czyli masz tydzień, żeby się czymś popisać. Potem odsunę cię od tej sprawy... i nie patrz tak na mnie, jakbym ci zabił psa i uprowadził dziecko, bo ja też mam nad sobą ludzi. Możesz już iść i nie wracaj bez konkretów.

# ROZDZIAŁ 31

Siedziba Biura Nadzoru Oceanicznego  
i Atmosferycznego (OAMO), Seattle, 18 października  
2013

Metalowe konstrukcje wież monitorujących warunki pogodowe wyglądały jak Terakotowa Armia cesarza Qin Shi czekająca na rozkazy. Majestatycznie wyrastały z ziemi i nadawały krajobrazowi pewnego rodzaju kosmiczny charakter. Budynek regionalnego biura OAMO był niewielkich rozmiarów. W zasadzie nikt by się nie domyślił na podstawie jego wyglądu, że należy on do rządowej agencji, nad którą bezpośredni nadzór sprawuje Departament Handlu. Z frontowej strony przylegał do niego rozległy trawiasty plac z widokiem na Zatokę Pontiac Bay, a tuż za nim rósł gęsto mieszany las. Dzień był wyjątkowo przyjemny, wprawdzie temperatura nie przekraczała pięćdziesięciu stopni w skali Fahrenheita w ciągu dnia, ale za to niebo było przejrzyste i słońce przyjemnie świeciło nad Seattle.

- Mary, dopilnuj, żeby doktor Passrowher wstąpił do mnie po powrocie do biura - odezwał się do słuchawki dyrektor James Galton Smith.

Pięćdziesięciodwuletni mężczyzna koordynował prace regionalnej agencji od ponad dziewięciu lat. Znał tu każdy zakamarek, przez jego ręce przeszło wiele ważnych dokumentów, a jego uszy słyszały niejedną ściśle tajną historię. Mierzył niecałe

sześć stóp wzrostu, był przeciętnie zbudowany, a barwą włosów przypominał nieco wikinga. Cały czas marszczył czoło od myślenia albo od zmartwienia. Tym razem był raczej czymś zaniepokojony.

- Oczywiście, panie dyrektorze - odpowiedziała sekretarka. - Pan doktor właśnie przyjechał z asystentem, poproszę, żeby do pana przyszedł.

W końcu korytarza trzech mężczyzn rozkładało jakieś skrzynki. Dwóch wyglądało na studentów, a jeden wydawał polecenia. Ściągnęli kurtki i ruszyli w stronę recepcji.

- Danny - szepnęła Mary. - Szef chce z tobą rozmawiać. Jest u siebie.

Danny kiwnął głową. Kierując się w stronę gabinetu, minął szafę stojącą w przejściu, w której zamontowano sporej wielkości lustro. Ledwo twarz mignęła mu w odbiciu, gdy cofnął się, by się jej przyjrzeć. Po prawej stronie był brudny od jakiejś sadzy na policzku. Wytarł twarz chusteczką i zastanawiał się, czemu Mary mu nie powiedziała... może nie zauważyła.

- Dzień dobry, panie dyrektorze. Mary mówiła, że...

- Wejdz, Danny. Muszę zamienić z tobą słowo.

- Domyślam się, o co chodzi. - Uśmiechnął się Danny, co trochę zaskoczyło dyrektora.

- Czyżby?

Danny'ego nie opuszczał dobry nastrój.

- Chłopcy jeszcze się uczą, są dopiero na trzecim roku. Myślę, że możemy to potraktować jako nieszkodliwy i zabawny incydent i puścić w niepamięć.

- O czym ty mówisz?

- O tych próbkach z glonami, które... - Zamilkł. - Więc nie o to chodzi?

- Nie mam zielonego pojęcia, cóż to za śmieszna historia miała miejsce z udziałem twoich asystentów, ale skoro twierdzisz, że była nieszkodliwa, to mało mnie ten temat obchodzi. Nie o tym chciałem rozmawiać.

Zrobiło się odrobinę drętwo, a Danny przestał się uśmiechać.

Był bardzo ciekaw, co się stało.

- Kim jest ta kobieta o nazwisku Costa?

Danny nadal milczał. Słyszał, co mówił dyrektor, ale zupełnie nie umiał się skupić ani zebrać myśli.

- Że co, proszę? - wydusił z siebie. - Nie rozumiem, jaka kobieta?

- Carina Costa, mówi ci to coś? Skup się.

Danny czuł presję. Nie znał takiej osoby. Szperał w pamięci, przeczesał ostatnie wydarzenia i w końcu coś mu zaświtało.

- Moment, faktycznie! Coś kojarzę, niedawno dostałem wiadomość na e-maila, tak chyba przedstawił się nadawca. Czy to o nią chodzi?

- Strzał w dziesiątkę.

- Nie rozumiem, co z tą kobietą? Ja jej nie znam, szczerze mówiąc, nie miałem nawet czasu, żeby jej odpisać. Niech pan poczeka, pójdę po laptopa i pokażę tę wiadomość...

- Zaczekaj - powiedział stanowczo dyrektor Smith. - Nie fatyguj się, już jej nie masz na skrzynce.

- Jak to, dlaczego?

- Pragnę ci przypomnieć, że pracujesz w agencji rządowej, Danny.

Danny odczekał kilka sekund, ale nadal nie był do końca pewny, czy ktoś go o coś oskarża, czy stało się coś złego. Próbował to sobie poukładać w głowie.

- Panie dyrektorze, ja nie wiem, co powiedzieć. Nie pamiętam dokładnie treści e-maila. Z tego, co wiem, ta dziewczyna jest studentką ostatniego roku wydziału oceanografii i potrzebowała jakichś pomocy naukowych. Czy o to chodzi?

- Danny, spójrz na mnie. Pomocy naukowych? Jeśli jakaś studentka z Lizbony potrzebuje pomocy do pracy, to nikt jej nie broni pójść do biblioteki. A jeśli się okaże, że nie znajduje tam potrzebnych informacji, to znaczy że być może są one niedostępne dla przeciętnego człowieka. Nie piszesz do pracownika placówki podległej Departamentowi Stanów Zjednoczonych, kiedy nie wiesz,



jak napisać ostatni akapit pracy naukowej. Rozumiesz?

- Z całym szacunkiem, dyrektorze, ale to niedorzeczne. Chyba nie sądzi pan, że jakaś dziewczucha napisała do mnie e-maila, chcąc wykraść ściśle tajne informacje rządowe?! Na litość boską... Z tego, co pamiętam, pytała o pewną teorię dotyczącą ewolucji człowieka, a skoro mój e-mail kontaktowy podany jest do wiadomości publicznej na stronie naszego biura, to nie rozumiem, skąd to nagłe poruszenie. Każdy może napisać i zapytać o to, czy huragan nadciąga nad Europę, czy populacja mintaja w Oceanie Spokojnym ma się dobrze albo czy temperatura wody nie jest zbyt wysoka dla koralowców na Wielkiej Rafie. Więc albo ja tu czegoś nie rozumiem, albo pan mi czegoś nie mówi.

Ton jego głosu był dość spokojny, ale dyrektor widział, że Danny jest podirytowany. I słusznie.

- Masz rację. Zamknij, proszę, drzwi.

Danny wstał i zrobił to, o co poprosił go przełożony.

- Bardzo szanuję twoją pracę, uważam, że jesteś jednym z najlepszych naszych pracowników. Może aż zbyt dobrym. - Zaczął powoli Smith. - Powiedzmy że miałem wizytę z góry i powiedzmy, że ta właśnie wiadomość bardzo ich zaniepokoiła. E-maila już nie zobaczysz na skrzynce. Mam do ciebie prośbę, w ogóle zapomnij o tym temacie i nie wracajmy do tego.

- Dobrze, pod warunkiem, że dowiem się, czego mam unikać i do czego mam nie wracać. Czy może w ogóle zabierzecie mi skrzynkę pocztową i odbierzecie prawo głosu?

- Daj spokój, nie przesadzaj. Wiesz, że tego nie chcę. Ale jeśli historia sprzed kilku lat się powtórzy, to kto wie, może będziesz zmuszony pożegnać się z OAMO i bynajmniej nie będzie to moja decyzja.

- Historia sprzed lat? Chyba nie mówimy o...

- Tak, właśnie o tym. Sam widzisz, do czego doprowadziła twoja dociekliwość. Gdybyś wtedy zachował tę wątpliwą wiedzę dla siebie, nie byłoby całego zamieszania.

- Panie dyrektorze, my mieliśmy niezbite dowody, powtarzam,

niezbite! To nie była jakaś tam „wątpliwa wiedza”, tylko naukowo poparte argumenty.

- No i widzisz, co się stało. Departament miał w tym interes i zadbali o to, żeby cię oddalić na długi czas od obowiązków i skompromitować na oczach całego świata. Znowu tego chcesz? Chcesz się bawić w kotka i myszkę i ponownie ich rozdrażnić?

- Przecież ja nic nie zrobiłem.

- Owszem, bo nie udało ci się odpowiedzieć na wiadomość. Danny, proszę cię, nie rozdrapuj starych ran. Lubisz swoją pracę, wykonuj ją tak dobrze jak do tej pory i zbytnio nie drąż. Jeśli to się powtórzy, drugiej szansy nie dostaniesz, a i ja mogę mieć kłopoty.

Danny milczał. Brakowało mu słów, żeby opisać swoją frustrację i rozczarowanie. Wiedział, że dyrektor rządowej placówki nie może być po jego stronie, nawet jeśli prywatnie go lubił. Musiał zrobić dobrą minę do złej gry, jednak wyszedł z gabinetu z podłą miną. Przypomniały mu się wydarzenia z nie tak odległej przeszłości. Znowu zaczął rozmyślać nad sensem swojej pracy, skoro ludzie, którzy zlecają mu sumienne i rzetelne wykonywanie badań, są jednocześnie tymi, którzy zabraniają mu dzielenia się ich wynikami i wnioskami z resztą świata. Tym bardziej, jeśli wnioski te są rewolucyjne i tak wiele mogą wnieść do rozwoju ludzkości.

Wsiadł do samochodu i wrócił do domu. Spojrzał na torbę z laptopem i ze smutkiem stwierdził, że cały czas ktoś czuwa nad każdym jego ruchem. Męczyła go ta odwieczna inwigilacja.

## ROZDZIAŁ 32

Sal Rei, baza nurkowa Scuba Fun World

Mimo upływu czasu pogoda na wyspie nie ulegała zmianie. W dalszym ciągu było gorąco i nadal wiał silny wiatr. Zgodnie z tym, co mówiła Rosana, na tej wyspie nigdy nie przestaje wiać, dlatego powinna się ona nazywać Ilhéu do Vento, czyli Wyspa Wiatru, albo Wietrzna Wyspa. Wykład miał być krótki, ponieważ pierwszego dnia po przylocie nikt nie zamierzał męczyć studentów, nie planowano także nurkowania z racji dopiero co przebytego lotu.

Na miejscu zjawił się pochodzący z Brazylii Mauricio, który był tutaj swego rodzaju guru nurkowym, oraz pan Keneth Zimbue, odpowiednik profesora Maceiry na tutejszej uczelni. Mauricio był śniadej karnacji brunetem po czterdziestce, mówił chyba w dziesięciu językach i to do tego stopnia, że czasem jego wypowiedź przypominała poliglotyczny popis, a w rzeczywistości była dowodem na to, że instynktownie używał słów, które najszybciej przychodziły mu w danym momencie do głowy, bez względu na ich przynależność lingwistyczną. Poza tym posiadał ciepłe, budzące zaufanie spojrzenie oraz co najmniej dziesięć kilogramów nadwagi, co jednak zupełnie nie przeszkadzało mu w profesjonalnym nurkowaniu. Z kolei pan Zimbue wywodził się z lokalnej społeczności, i w przeciwieństwie do swojego przyjaciela, nie miał ani grama zbędnego tłuszczu. Sprawiał wrażenie życzliwego i sympatycznego mężczyzny, około pięćdziesiątki,

chętnego, by udzielać wszelkich porad i wszelkiej pomocy. Mimo przyjacielskiej aparycji posiadał w sobie element wymuszający na innych pewną podległość, zwłaszcza w relacji student- profesor. Był szanowanym i uznanym wykładowcą, wysokiej klasy specjalistą w swojej dziedzinie.

- Witajcie - przywitał ich serdecznie pan Keneth. - Mam nadzieję, że podróż minęła wam spokojnie.

Uścisnął dłoń profesorowi Maceirze oraz doktorowi Oliveira, a następnie podszedł do każdego ze studentów.

- Dzień dobry, profesorze - powiedział Maceira. - Na szczęście lot minął bez zakłóceń.

- Pewnie jesteście zmęczeni. Ile to godzin? Pięć?

- Nieco ponad, ale za to przywitała nas piękna pogoda.

- Ha, ha - zaśmiał się pan Keneth. - Tu zawsze jest piękna pogoda. I zawsze wieje! Ale cieszę się, że jesteście w dobrych humorach. Przedstawiam wszystkim Mauricio, który jest szefem tego ośrodka. To on zadba o wasze bezpieczeństwo podczas nurkowania. Wejźmy do środka. Zapraszam.

Baza, w której się znajdowali, nie była zbyt duża, ale panował tu doskonały porządek i świetna organizacja. Po lewej stronie budynku zlokalizowane było zaplecze ze sprzętem do napełniania butli mieszkankami powietrza. Tuż obok - przestronne pomieszczenie, a w nim kompletny asortyment nurkowy: pianki, jackety nurkowe, kamizelki BCD, automaty, płetwy, pasy balastowe, buty, rękawiczki, maski, jednym słowem - wszystko, czego potrzebował pletwonurek. Idąc dalej, trafiało się do recepcji, a po prawej stronie budynku mieściła się sala, w której miały odbywać się wykłady z teorii. W zasadzie bardziej przypominała taras, ponieważ było to otwarte pomieszczenie bez okien. Wszyscy usiedli na drewnianych ławkach. Mauricio wskazał dystrybutor z wodą pitną na wypadek ataku pragnienia i usiadł przed całą grupą. Najpierw jednak przemówił profesor Zimbue:

- Cieszę się, że bierzecie udział w tegorocznej wymianie studenckiej. Jak wiecie, nasz uniwersytet nie ma tak wieloletniej

tradycji jak ten wasz, w Lizbonie, ale każdego roku jest coraz lepiej. Staramy się korzystać z możliwości, jakie daje nam rząd, a także współpraca i wsparcie ze strony portugalskiej. – Wziął duży oddech. – Ja jestem tu po to, żebyście czuli się dobrze nie tylko podczas wykładów, lecz także w czasie wolnym. Więc jeżeli mogę w czymkolwiek pomóc, śmiało pytajcie.

Twarze wszystkich promieniały, choć powodem tego nie był jedynie upał. Panowała wspaniała atmosfera. Do tego wszechobecny szum fal i szelest piasku oraz wiszących nad ich głowami liści palmowych. Profesor mówił o programie ochrony gatunków zagrożonych wyginięciem, o rybach i innych zwierzętach morskich, które występowały wyłącznie u wybrzeży wyspy Boa Vista, a także o wyjątkowej florze tutejszych wód oceanicznych. Po krótkiej przerwie Mauricio zrobił wstęp do zasad nurkowania, aby przed jutrzejszym dniem zorientować się, czy wszyscy mają odpowiednie uprawnienia oraz właściwe nastawienie. Z grupy siedmiu studentów tylko czwórka mogła nurkować, to jednak w ogóle nie zaburzało programu szkoleń, gdyż wszyscy z założenia mieli pracować na powierzchni, korzystając z próbek pobranych pod wodą. Do tego zadania wystarczyło kilka osób. Szczęśliwcami okazali się Benny, Natasha, Gabriel oraz, oczywiście, Carina.

– Pamiętajcie, wcale tego nie musicie robić, równie dobrze próbki mogę pobrać sam i dostarczę je wam na powierzchnię. Jeśli ktokolwiek źle się czuje albo nie chce nurkować, nie będziemy nikogo zmuszać. To ma być dla was miły pobyt, a przede wszystkim bezpieczny.

Grupa skinęła głową na znak, że wszystko jasne. Carina nie miała wątpliwości, że zanurkuje. Benny również nie mógł się doczekać. Natasha z kolei zaczęła panikować i wymyślać niestworzone historie, twierdząc, że nie ma kondycji i musi to przemyśleć. Gabriel nic nie mówił, chyba zamierzał po prostu wykonać przydzielone zadanie. Na szczęście czas szybko minął i wykład inauguracyjny dobiegł końca. Wszystkim kiszki grały marsza.

- Teraz zapraszamy was do restauracji przyhotelowej. Dyrekcja została poinformowana o waszym przyjeździe, więc czekają na nas z obiadem.

To była długo oczekiwana informacja, którą studenci przyjęli z radością. Mimo że w samolocie zaserwowano dość obfite śniadanie, a po drodze zdążyli przekąsić coś w pokojach, to na wieść o ciepłym posiłku, który nie był tylko odgrzany „czymś” w aluminiowej tacce, ucieszyła także Maceirę i nie lubiącego psów doktora. Carina wykorzystwała moment, żeby napisać do cioci. Bardzo dobrze się złożyło, że restauracja, do której się właśnie wybierali, była tą samą przyhotelową restauracją obiektu, w którym przebywała Isabel oraz Lurdes. Ustaliły, że zjawią się na miejscu za dwadzieścia minut. Od bazy do restauracji dzieliło ich pięć minut spacerkiem po piasku. Profesor Zimbue zamienił z kelnerką słowo, po czym wykonała ona gest głową na znak, że jest zorientowana w temacie. Podeszła do gości i zaprosiła grupę do wspólnego stolika. Jak się okazało, zasady były takie, że każdego dnia mniej więcej o tej samej porze czekał na nich posiłek, za który nie musieli płacić. Menu przygotowano specjalnie dla nich, tak żeby mogli skosztować zarówno czegoś lokalnego, jak i pozostać przy daniach bardziej europejskich. Tym razem większość zdecydowała się na lokalny makaron z owocami morza w sosie ostrym, reszta wybrała rybę zasmażaną z warzywami i ryżem. Nim zaserwowano posiłek, zjawiły się krewne Cariny.

- Ciocia! - krzyknęła z radości, wstając od stołu. - Miło was widzieć.

Oczy wszystkich skierowane były na Carinę witającą się ze znajomymi.

- Dzień dobry wszystkim - powiedziały niemal jednocześnie.

- Nie pogniewacie się, jeśli was opuszczę na czas posiłku? - zapytała Carina, spoglądając na swoich przyjaciół.

Rzecz jasna, nikt nie miał nic przeciwko, usiadły więc przy następnym wolnym stoliku. Isabel i Lurdes zamówiły coś dla siebie, a nieco wcześniej podano danie Carinie.

- Jedz, nie czekaj na nas, bo ci wystygnie.

- Na pewno?

- Śmiało, my uraczymy się tym świetnym sokiem - powiedziała Isabel. - Lurdes, co to właściwie jest?

Siedząca obok przyjaciółka ze znaną sobie gracją najpierw zbliżyła nos do szklanki, powąchała, oceniła kolor i konsystencję, po czym skrzywiła się i rzekła z niesmakiem:

- Nie jestem pewna, czy chcę to wypić.

Isabel spojrzała na swoją krewniaczkę w wymowny sposób i obie buchnęły śmiechem.

- Cała Lurdes, księżniczka doña Lurdes, ha, ha!

Lurdes nie tylko się nie obraziła, lecz także bawiła się tą sytuacją. Doskonale wiedziała, że to żarty i świetnie czuła się w roli księżnej na gobelinach, jak zwykły ją nazywać przyjaciółki. Mimo oporów wypić dziwny trunek stwierdziwszy, że nawet jest smaczny. W końcu kelnerka doniosła kolejne dania.

- Mów, co u ciebie, kochana - odezwała się Isabel. - Teraz my będziemy jeść, a ty opowiadaj. Sto lat cię nie widziałam.

Carina uśmiechnęła się życzliwie. Wprawdzie była lepszym słuchaczem niż mówcą, ale w obecnej sytuacji nie chciała, by ciocia i jej przyjaciółka przerywały posiłek, zaczęła więc mówić, co jej ślina na język przyniosła.

- Może nie sto lat, ale kilka z pewnością tak. Widziałyśmy się przed pogrzebem ojca.

Na moment zapadła cisza, ale Isabel nie dostrzegła ani grama zdenerwowania czy skrepowania na twarzy Cariny, więc słuchała dalej.

- Poszłam na studia, i jak widzicie, wybrałam kierunek na wydziale oceanografii. Interesuje mnie wszystko to, co związane jest z morzem i oceanem, czyli życie podwodne, fauna i flora. Chciałam pomóc mamie i nie obciążać jej swoimi wydatkami, więc znalazłam pracę w naszym lizbońskim oceanarium. Łączę więc przyjemne z pożytecznym. To częściowy etat, więc kokosów nie ma, ale starcza mi na wydatki osobiste i jeszcze dorzucam się do

rachunków w domu. - Wzięła duży łyk wody. - Odkąd zrobiłam licencję pletwonurka, mogę czyścić nasze zbiorniki z ewentualnych zanieczyszczeń, a nawet usunąć jakąś drobną usterkę. Kiedyś, na przykład, zatkała się dysza filtra wody, więc pozwolili mi zejść na dno i usunąć brud.

- Nie bałaś się? - zapytała Lurdes z niedowierzaniem.

- No coś ty, Lurdes, ja się nie boję wody.

- Ale tam są jakieś potwory głębinowe, widziałam na własne oczy. Mogły cię zaatakować!

- Przestań, ty wszędzie widzisz niebezpieczeństwo - zażartowała Isabel i zwróciła się do Cariny. - Wyobrażasz sobie, że wczoraj chciała wzywać lekarza, bo napiłam się trochę wody z butelki, która, uwaga, nie była fabrycznie zamknięta?! Ha, ha!

- Śmieję się, śmieję, ale mogłaś dostać jakiegoś duru brzuszego. Skąd wiesz, czy ta woda była czysta? - Broniła się Lurdes.

- No już dobrze, dobrze. Pozwólmy Carinie mówić dalej...

Carina zapomniała już, na czym skończyła, ale po chwili sobie przypomniała.

- Zwierzęta nie są niebezpieczne same z siebie, to ludzi trzeba się bać, Lurdes... złych ludzi. W każdym razie, mieszkam nadal z mamą i może gdy obronię pracę i przejdę na pełny etat, to uda mi się wprowadzić.

- Kiedy się bronisz? - zapytała Isabel.

- Mam nadzieję, że na wiosnę. Muszę jeszcze dopracować niektóre rozdziały i w zasadzie jestem gotowa.

- Na pewno zdasz wszystkie egzaminy śpiewająco, nie ma innej opcji - zawyrokowała Lurdes.

- Mam nadzieję, chociaż zawartość pracy stoi pod znakiem zapytania, bo chcę napisać jeszcze o czymś, co nie jest ogólnodostępne... - Nie wiedziała, czy powiedzieć na głos, czego dotyczy problem, gdyż obawiała się reakcji Lurdes, gdy usłyszy o wodnej małpie, dlatego szybko zmieniła temat. - Poza tym nie mam narzeczonego i nie zamierzam tego zmieniać, ha, ha!

Prowokacja się udała. Isabel i Lurdes nakręciły się na temat



idealnego partnera dla Cariny i snuły już plany o ślubnym kobiercu. Ponieważ wszyscy skończyli posiłek i należało wracać, znajome zaprosiły Carinę na wycieczkę w dniu jutrzejszym, o ile plan szkolenia na to pozwoli. Niestety wycieczka wzdłuż wybrzeża północnego wymagała przynajmniej kilku godzin, więc postanowiły, że poczekają do weekendu, kiedy Carina będzie miała dwa dni wolne od zajęć.

- Koniecznie musisz się z nami wybrać - uradowała się Lurdes - poznasz Ayli.

- Kto to jest?

- Podróżuje sama, przyjechała z Polski, pisze książki, mam przecucie, że się polubicie - powiedziała Isabel. - Jest od ciebie starsza, ale równie mocno zakręcona, ha, ha!

- Cóż, chętnie się z wami wybiorę na zwiedzanie wyspy. Teraz muszę już uciekać, bo grupa mi odjedzie. Do zobaczenia! Pa, pa!

Wszyscy rozeszli się każdy w swoją stronę. Wiatr nadal przybierał na sile, im bardziej zbliżał się wieczór, tym bardziej był on niepokojący. Profesor Maceira zjawił się na głównej werandzie, zanim wybiła dziewiętnasta, i zakomunikował, że grupa ma czas wolny. Sam postanowił zostać i napisać notatkę dla rektora, ale poprosił swoich podopiecznych, żeby zabrali Oliveirę na jakiś spacer lub kolację, bo przez psa zaszył się u siebie jak mysz w kącie i w ogóle nie zamierzał wyjść. Szczerze mówiąc, nikomu poza Oliveirą nie było to na rękę, bo młodzież wołała się nieco rozerwać zamiast niańczyć doktora, ale jak mus to mus. Nawet im zrobiło się go żal. W tym samym momencie zjawiła się Mera. Carina dostrzegła w niej coś niezwykłego, czego wcześniej nie zauważyła. Pies miał na grzbiecie dziwną pręgę.

- Co to takiego? - zapytała, widząc, że Rosana wyszła im na powitanie.

- Każdy pies na lwy posiada taką pręgę, to ich znak szczególny - odpowiedziała.

- Co?! Pies na lwy? Żartujesz? - wrzasnął szczerze zdumiony Benny. - Jest w ogóle coś takiego?

- Owszem, to taka rasa. Tych psów naprawdę używano do polowań na lwy. Są bardzo waleczne i silne, jak widać. Ale spokojnie, Mera to dobry psiak...

Carina była zachwycona. Im dłużej patrzyła na sukę, tym bardziej zyskiwała w jej oczach. Odważyła się i dotknęła jej grzbietu. Teraz dopiero poczuła, jaka potęga drzemie w tym zwierzu. Przejechała ręką od karku po ogon i zrobiła to ponownie, przez co Mera zaczęła merdać ogonem.

- Ale ona silna! Niesamowite. Jest zjawiskowa!

- Cicho, Carina, bo doktor usłyszy i wtedy już nawet koparką nie wyciągniemy go z pokoju, ha, ha!

Wszyscy ryknęli śmiechem. Doktor się nie zjawił, więc należało po niego pójść. Wysłali Gabriela. Chłopak zapukał do drzwi doktora Olivieri i gdy ten otworzył, zaproponował wspólne wyjście do miasteczka. Niestety, ku niezadowoleniu młodzieży, doktor się zgodził.

- Gabriel, zaczekaj na mnie. Tam jest ta bestia, obawiam się o swoje życie.

Gabriel nie wiedział, co powiedzieć; nie rozumiał, jak można tak bardzo bać się psa. Podejrzywał, że doktor musiał mieć wcześniej jakieś traumatyczne doświadczenia, może kiedyś pogryzł go pies i teraz żadnemu nie ufał? W każdym razie zachowanie wykładowcy wydało mu się żałosne. Gdy w końcu zeszli na dół, wszyscy już czekali. Ekipa ruszyła powoli w stronę centrum, jeśli tak to można nazwać. Teraz dopiero ludzie wyszli na ulicę, gdy słońce powoli zachodziło i już tak nie męczyło. Na placu głównym znajdował się kościół, dwa banki, coś w rodzaju marketu i mnóstwo sklepików. Było też lokalne targowisko, o tej porze, niestety, zamknięte, ale z rana można tu było kupić prawie wszystko.

Natknęli się na miejsce, które wyglądało dość smakowicie, a wokół roztaczał się cudowny zapach. Nie wszyscy byli głodni, ale każdy miał ochotę napić się zimnego piwa. Nawet doktor się skusił, co akurat pomogło mu się rozluźnić, jako że od przyjazdu chodził jakby połknął kij i oczy przewracały mu się jakby wyszły z orbit, gdy

tylko usłyszał szczekanie. Po dwóch piwach zaczął nawet żartować i zyskał nieco w oczach ekipy.

- Czemu pan się aż tak boi psów? - palnął nagle Benny.

Natasha szturchnęła go pod stołem i obrzuciła karcącym spojrzeniem, ale doktorowi nawet ulżyło, że ktoś w końcu przejął się jego problemem.

- Zawsze kochałem psy. Miałem kiedyś pięknego owczarka niemieckiego, dobre psisko. Po kilkunastu latach zachorował tak, że trzeba go było uśpić. Cała rodzina przez pół roku płakała po jego stracie. Dobre psisko... Potem przez kilka lat mieliśmy żałobę w rodzinie, nikt nie myślał o nowym psie, bo jeszcze o tamtym nie mogliśmy zapomnieć. W końcu trzeba było przerwać tę żałobę. Nie chcieliśmy kupować psa, tylko adoptować. No więc pojechałem z córką i żoną do schroniska... - wziął łyk piwa i kontynuował - tam był taki fajny, czarny pinczer. W sumie żadna rasa, tylko pomieszanie wszystkiego. Miał krótką sierść i był dość chudy, taki normalny pies. Gapił się na nas zza krat tymi swoimi ślepiami, no to go zabraliśmy. I to był błąd. Rosło bydle w oczach, obroża pękała w szwach, tak mu kark napęczniał. Wszystko było dobrze, aż tu pewnego dnia coś mu odbiło i rzucił się na mnie. Na szczęście, udało mi się w porę odskoczyć za ogrodzenie, bo by mnie rozszarpał. Stał tak po drugiej stronie i szczyrzył zębiska, a w jego oczach widziałem samo zło. Pozbyłem się tego potwora i od tamtej pory boję się psów. Nie ufam im... nigdy nie wiesz, kiedy takie bydlę rzuci się na ciebie i cię pożre...

- Teraz się nie dziwię, czemu się pan tak boi Mery. Tym bardziej, że to pies na lwy...

Tym razem Carina rypnęła go w głowę.

- No co?! Tak mi się powiedziało...

Doktorowi było już wszystko jedno, nawet go to rozbawiło. Wrócili około jedenastej. Pies już spał. Wiatr cały czas dął.

## ROZDZIAŁ 33

- Jak ty zmieściłaś cały sprzęt w tak małej walizce? - zdziwiła się Marie.

- Po pierwsze, nie cały sprzęt, po drugie, walizka nie jest taka mała - odpowiedziała Carina. - Nie lubię zakładać pianki po kimś i brzydzą mnie maski, do których ktoś pluł albo charkał.

- Kto dzisiaj pluje do maski?

- Ja pluję, ha, ha!

- Wariatka, są specjalne płyny, żyjemy w dwudziestym pierwszym wieku!

- I kto to mówi?! Ta, co pisze pisma do urzędu na starej maszynie do pisania, ha, ha!

Dziewczęta miały ubaw po pachy. Pozostało pięć minut do wyjścia. Równy o dziewiątej czterdzieści pięć miał się zjawić kierowca. Zazwyczaj Kabowerdeńczykom nigdzie się nie śpieszyło i dlatego często się spóźniali, ale w tym przypadku grupie został przydzielony stały szofer, który wiedział, że nie może sobie pozwolić na zwłokę, więc przez kolejny tydzień codziennie zjawiał się punktualnie.

- Jesteś pewna, że nie chcesz nurkować? - Carina zwróciła się do Natashy.

- Tak, jestem pewna. Już wczoraj wiedziałam. Wiesz... ja nie nurkowałam nigdy w oceanie, w ogóle na wodach otwartych. Do tej pory zdarzało mi się to tylko na jeziorach czy innych akwenach zamkniętych. Boję się, że mi się coś stanie, automat przestanie

podawać powietrze, octopus nawali, dostanę narkozy azotowej, epilepsji... nie ma mowy, za bardzo się stresuję.

- Właśnie dlatego powinnaś spróbować! Zawsze musi być ten pierwszy raz. No, nie daj się prosić...

- Widziałas te fale? Nie ma takiej opcji, nie nurkuję, koniec, kropka.

- Jak chcesz, ominie cię dużo fajnych rzeczy.

Marie nie miała zielonego pojęcia, o czym mówią koleżanki; ona nigdy nie nurkowała, gdyż nie miała takiej potrzeby. Praca oceanologów czy geologów dna mórz i oceanów nie musi wiązać się z nurkowaniem, jest szereg czynności, które można wykonywać w tym zakresie, pozostając na powierzchni, gdzie ciśnienie wynosi tylko jedną atmosferę, a nie kilka czy.... kilkanaście.

- Szybko, do wozu, kierowca już na nas czeka - zarządził Maceira.

Pobiegli do samochodu. Mera, jak zwykle ciekawska, również ruszyła w stronę bramy. Mogła ją bez problemu przeskoczyć, a jednak nigdy tego nie robiła. To była naprawdę grzeczna psina. Usiadła przy furtce, patrząc, jak drużyna pakuje się do furgonetki. Nagle wszyscy zamarli. W samochodzie było osiem osób, czyli jednej brakowało. Twarze wszystkich skierowane były w stronę domu. Na werandzie stanął doktor Oliveira. Był sam. Miał do pokonania dwadzieścia metrów placu, ale... przy furtce czekała Mera. Carina odpięła pas, chcąc wyjść z samochodu. Zamierzała pomóc doktorowi, ale Benny ją powstrzymał; chwycił ją za rękę i powiedział:

- Zaczekaj! Niech spróbuje, daj mu szansę...

Oliveira był daleko, ale nawet stąd widzieli, jak błyszczą krople potu na jego wielkim czole. Ba! Omal dało się usłyszeć bicie jego serca. Ale po chwili zrobił krok; widzieli, jak ciężko oddycha. Chcieli go jakoś wesprzeć.

- Da pan radę! Dalej, śmiało! - krzyczeli.

Mera nadal siedziała jak posąg; zupełnie nic nie robiła sobie z faktu, jaką tragedię przeżywał doktor, i to z jej powodu.

Rozczapierzyła paszczę i dwa razy ziewnęła. Oliveira przez moment się zawahał i znowu ruszył do przodu. Był spięty jak nurek w podwójnym neoprenie siedmiomilimetrowym. W dłoni dzierzył stos teczek, które teraz mocno przycisnął do klatki i w dalszym ciągu posuwał się do przodu.

- Już blisko, doktorze, tylko spokojnie...

Wtedy to się stało - Mera wstała. Pies tak naprawdę stał spokojnie z głową opuszczoną jakby nigdy nic, ale w oczach Oliveiry była to bestia, która przybrała pozycję do ataku, aż ślina ciekła jej z pyska. Faktycznie, ciekła, bo Mera wyjątkowo mocno się śliniła. Wtedy pies jakby zrozumiał, że jest powodem niepokoju i usiadł, dając tym samym doktorowi zielone światło. Przeszedł obok niej, zamknął za sobą furtkę, powoli odwrócił się do swojej drużyny i wydał okrzyk radości

- Udało się! - krzyczeli studenci - Brawo, doktorze!

Przybijali sobie piątki, a Oliveira był tak dumny, jakby zdobył Mont Everest.

- No, dalej, nie ociągamy się, doktorze, musimy już jechać - odezwał się Maceira.

I odjechali.

- Wszyscy sprawdzili swój sprzęt? - zapytał Mauricio. - Żeby nie było niespodzianek.

Na łodzi znajdowało się w sumie sześć osób: instruktor, divemaster o imieniu Greg, Carina, Benny, Gabriel i, oczywiście, kapitan Nandu. Pogoda była piękna, a fale dość spore. Powodem tak wzburzonej wody był, rzecz jasna, silny wiatr, który nigdy nie zdawał się cichnąć. Nurkowie siedzieli po obu stronach łodzi, BCD wraz z butlami i zamontowanymi automatami leżały w specjalnych przegrodach tuż za nurkami, które zabezpieczały przed ich wypadnięciem czy nagłym osunięciem się na bok. Płetwy czekały w dużym kalfasie, a pasy balastowe pod nogami nurkujących. Każdy miał już na sobie piankę.

- Dobra, słuchajcie, briefing<sup>1</sup>! - oznajmił Mauricio. - Rozdzielamy się na dwie grupy. Grupa pierwsza to Carina i Benny -

wy nurkujecie z Gregiem w punkcie pierwszym. Reszta, czyli grupa druga, to Gabriel i ja - nurkujemy w punkcie drugim. Najpierw płyniemy do punktu drugiego, gdzie czeka inna łódź. Wchodzimy z Gabrielem do wody, a wy płyniecie z kapitanem do punktu pierwszego. Spotykamy się już w bazie, bo przy płyniemy dwiema łodziami. Wszystko jasne? Czy są jakieś pytania?

- To nie będziemy wszyscy razem? - zdziwił się Gabriel, nieco przestraszony tym, że zostanie sam z instruktorem.

- Bez obaw, jesteście w dobrych rękach. Chyba że jest coś, co chcesz mi powiedzieć, Gabriel?

- Nie, nic, tak tylko chciałem się upewnić, czy dobrze zrozumiałem.

- Słuchaj, lepiej jeśli nie będziemy mieli przed sobą tajemnic, pod wodą już nie będziesz mógł nic powiedzieć...

- Naprawdę, wszystko w porządku. Na sto procent.

- OK. W takim razie, dodam jeszcze, że dziś nie zbieramy próbek z dna. Najpierw chcę się upewnić, czy radzicie sobie pod wodą. Nie znamy się, nie wiem, jak nurkujecie. Jeśli wszystko pójdzie dobrze, to po południu płyniemy drugi raz i wtedy zabieramy próbki. Zaraz dopływamy do punktu drugiego. Gabriel, przygotuj maskę, wchodzę pierwszy, a ty po mnie. Nandu pomoże ci z płetwami i pasem.

Już tylko kilkadziesiąt metrów dzieliło ich od drugiej łodzi. Po chwili odległość znacznie się zmniejszyła i kapitan wyłączył silnik. Łódź dobiła do drugiej, sięgając białych odbojów. Czekał tam tylko jeden człowiek. Machnął ręką na przywitanie. Spodziewał się kolejnych nurków, bo wszystko było uprzednio dogadane.

Mauricio był już przygotowany. Usiadł na krawędzi burty, dopompował inflatorem kamizelkę, sprawdził automat i zrobił fikołka w tył. Po sekundzie wypłynął na powierzchnię, wyciągnął automat z ust i chwycił się obiema rękami burty.

- Gabriel, gotowy? - krzyknął z wody. - Pomóżcie mu z tym pasem, żeby był porządnie dopięty, a obciążniki równomiernie rozłożone.

Chwilę to trwało, aż w końcu chłopak mógł wskoczyć do wody. Kapitan założył mu płetwy i przyciągnął paski. Po sprawdzeniu, czy wszystko działa, student przechylił się do tyłu i wpadł wprost do oceanu. Patrząc z boku, Mauricio miał wrażenie, że Gabriel trochę się szamota. Już miał zareagować, ale chłopak wypłynął i pokazał umowny znak „OK”. Mauricio nie chciał, żeby Gabriel pozbywał się automatu, bo fale były dość duże, więc powiedział:

- Jeśli wszystko gra, to pokaż „OK”. Dobra, nasza łódź odpłynie, gdy będziemy już pod wodą. Wynurzymy się potem po linii kotwicznej przy drugiej łodzi. Wtedy też powinno tu być więcej nurków. Wszystko jasne?

Gabriel nie miał ochoty wyjmować automatu; najwyraźniej jeszcze nie przyzwyczał się do wysokich fal, które co chwila zalewały mu twarz. Dlatego kiwnął jedynie głową na znak, że rozumie i trzymając się liny poręczowej łodzi, ruszył tuż za Mauricio. Gdy dotarli do bojki liny kotwicznej, na znak „OK” rozpoczęli zanurzanie. Coś jednak było nie tak, bo Gabriel tkwił przy bojce. Mauricio, widząc to, dopompował BCD i gdy się wynurzył, zapytał:

- Co się dzieje?

Gabriel musiał wyciągnąć automat.

- Nie mogę się zanurzyć, mam chyba za mało balastu.

Kamizelki, których używano tutaj, nie miały zintegrowanego systemu balastowego, więc nie można było dodać więcej „złomu” do kieszeni. Wymiana pasa balastowego z dołożeniem kolejnego obciążnika zajęłaby sporo czasu, więc Mauricio postanowił wypróbować inną metodę.

- Słuchaj, spróbujemy tak, jak jest. Maksymalnie wypuść powietrze i przyciągaj się po linie, schodząc powoli w dół. Ja ci pomogę, potem twoja pływalność będzie mniejsza i powinno być OK, dobra?

- Dobra.

- Tylko pamiętaj, żeby za mocno nie dodawać inflatorem, bo może cię wyrzucić, skoro masz mało balastu.



Spróbowali raz jeszcze zgodnie z instrukcjami. Tym razem się udało. Zniknęli pod wodą. Kapitan odczekał chwilę, po czym odbił od sąsiedniej łodzi i zaczął wiosłować wraz z obecnym na pokładzie divemasterem.

- Co my robimy? - zdziwił się Benny. - Zabrakło paliwa?

- Oj, coś mi się, kolego, wydaje, że nie zanurkujemy dzisiaj - powiedział Greg.

- Jak to nie? To po co nam sprzęt?

- Nam będzie potrzebny, ale tobie niekoniecznie.

- Dlaczego?

- Ty mi zadajesz pytania, na które odpowiedzi dawno powinienes już znać, bo to podstawa bezpieczeństwa, i jeszcze się dziwisz, czemu nie pozwolę ci nurkować? - Zdenerwował się nieco Greg. - Młoda damo, może ty wytłumaczysz koledze, dlaczego wiosłujemy?

Carinie było głupio za swojego kumpla. Teraz to nawet ona zastanawiała się, czy chce z nim nurkować. Co będzie, jeśli popełni jakąś gafę pod wodą?

- Nie możemy włączyć silników, ponieważ przepisy mówią, że łodzie muszą znajdować się nawet ponad trzydzieści metrów od jednostki, która ma wywieszoną flagę nurkową. Moglibyśmy z nich zrobić miazgę.

- I to mi się podoba. Piątka z plusem - powiedział i kolejne słowa skierował do Gabriela. - Tobie daję ostrzeżenie, pierwsze i ostatnie. Skup się, bo jeśli nie będziesz myślał logicznie, to możemy mieć przez ciebie kłopoty.

- Przepraszam, to było głupie, przyznaję. Obiecuję, że nie będę sprawiał problemów.

Gdy znaleźli się w bezpiecznej odległości, kapitan uruchomił silnik. Carina patrzyła, jak kadłub przecina fale i mknie mimo napierających ton wody. Pomyślała, że mają dobrą łódź. Po chwili jednak zmieniła zdanie - to nie łódź była dobra, tylko człowiek, który stał za jej sterem. Nandu był przystojny, ale niezbyt wysoki, mniej więcej tego samego wzrostu, co ona. Już wcześniej

zauważyła, że jej się przygląda. Gdy Carina była w bazie i czekała, aż reszta założy pianki, on podszedł do niej i cały czas z nią flirtował. Nie był natrętny, raczej grzeczny, choć bardzo monotematyczny. Wypytywał, jak spędza czas wieczorem, czy ma tu rodzinę, czy chciałaby pójść z nim potańczyć. Odpowiedziała, że interesuje ją tylko woda, wtedy Nandu zaproponował, że weźmie dzień wolny i zabierze ją łodzią, gdzie tylko będzie chciała. Nie zdążyła odpowiedzieć na kolejną propozycję, bo zjawiała się reszta grupy i temat się skończył. Tu jednak na łodzi miała wrażenie, że nie spuszcza jej z oczu. W sumie to nawet było miłe. W końcu dotarli do punktu pierwszego; był to wrak statku Taliarte znajdujący się na niewielkiej głębokości niespełna jedenaście metrów pod powierzchnią wody. Jak poinformował Greg, statek mierzący trzydzieści metrów zatonął w roku dwa tysiące drugim i od tamtej pory spoczywa na skalistym dnie przedzielony na pół. Zapewnił, że miejsce to obfituje w bogatą faunę i florę, o czym mieli się przekonać już za chwilę. Kapitan dosięgnął bojki i gdy dał znak, że łódź jest zabezpieczona, Greg przemówił:

- Słyszeliście wcześniej Mauricio - będziemy tu nurkować w trójkę i spotkamy się z pozostałymi dopiero w bazie. Zasady są identyczne jak dla poprzedniej grupy: ja wchodzę do wody pierwszy, potem Benny i na końcu Carina. Nandu pomoże wam dopiąć płetwy. Kontrolujcie ciśnienie, a kiedy zapytam, macie mi pokazać, ile wam zostało powietrza. Setkę pokazujemy w ten sposób, pięćdziesiątkę tak, a każdy kolejny palec to dziesięć barów. Są pytania?

Milczeli; wszystkie znaki pamiętali. Carina była spokojna, ale Benny nabrał trochę obaw po wcześniejszej wpadce. Nie chciał popełnić kolejnego głupstwa, ale czuł presję i miał wrażenie, że Greg cały czas czeka na jego potknięcie. Wziął głęboki oddech i sięgnął po swój pas balastowy. Gdy wszyscy byli już w wodzie, na sygnał rozpoczęli zanurzanie. Wszystko szło dobrze; dało się odczuć lekki prąd, ale był on na tyle delikatny, że nie utrudniał ruchów. Kolejno i powoli schodzili po linie, wyrównując ciśnienie w uszach.

Dotarłszy na dno, Greg upewnił się, że u jego podopiecznych wszystko w porządku i gestem ręki zachęcił, by za nim podążyli. Carina żałowała, że nie zabrała aparatu. Wokół co chwila zjawiała się jakaś ciekawa ryba, a nawet żółw. Ależ tam, na dnie, tętniło życie! Wrak był raczej niewielki, w każdym razie mniejszy niż te, które widziała do tej pory, mimo to bardzo jej się podobało. Carina starała się płynąć w parze z Bennym i co chwila na niego zerkała. Mimo wszystko była bardziej doświadczonym nurkiem i czuła się odpowiedzialna za kolegę. Czasem dotykała jego ręki i pytała, czy wszystko w porządku. Odpowiadał twierdząco, ale ona widziała w jego oczach niepewność. Tak, jakby chciał powiedzieć: „Zanurkowałem, jestem twardzielem, ale chodźmy już stąd”. Greg także co chwila odwracał głowę w ich stronę, sprawdzając, czy nic złego się nie dzieje. Okrążali wrak i podziwiali zwierzęta: wielobarwne żaglowce, przepiękne niebieskie pokolce królewskie, przedziwne fistularie, kraby, homary, węgorze i złowieszcze mureny. W oddali dostrzegli nawet barakudy i wielką seriolę, a gdzieś tam na dnie spoczywały niebezpieczne skorpeny, których stanowczo należało unikać.

Carina płynęła po zewnętrznej i nagle sielanka się skończyła. Benny trzymał się zbyt blisko wraku; w pewnym momencie siła wody, która cały czas kołysała nimi to w jedną, to w drugą stronę, pchnęła go mocno na kadłub. Greg zorientował się w porę i kazał chłopakowi zachować odległość. Jednak na domiar złego Benniemu wzbudził się automat i wywołał w nim panikę. Greg, widząc, że chłopak nie jest w stanie płynąć, oddał mu swój octopus i upewniwszy się, że Carina ma jeszcze dużo powietrza, a poza tym wyraziła zgodę, żeby pozostać jeszcze przy wraku, zdecydował wynurzyć się z Bennym i wrócić jak najszybciej do dziewczyny. Na szczęście głębokość była niewielka, a i czas spędzony pod wodą był bardzo krótki, więc nie było konieczności wykonania żadnych przystanków dekompresyjnych. Po chwili Greg i Benny znaleźli się na powierzchni. Wtedy dostrzegł ich Nandu i podszedł do burty.

- Zajmij się nim, pomóż mu wejść na łódź i poczekajcie na nas -

krzyknął Greg i zapytał Benniego: - Dasz radę?

- Chyba tak - odpowiedział chłopak, trzymając się kurczowo liny poręczowej.

Greg zwątpił. Nie mógł go tak zostawić, bo widział, że chłopak jest przerażony. Zbliżyli się razem do wysuwanej drabinki.

- Najpierw odepnij pas balastowy. Spróbuj.

To nie był szczęśliwy dzień dla Benniego. Ręce tak mu się trzęsły, że nie był w stanie odpiąć sprzączki. Greg, widząc to, zanurzył się nieznacznie i odczepił pas, który następnie podał do rąk Nandu.

- Teraz odepnij kamizelkę i podaj ją kapitanowi.

Tym razem poszło łatwiej. Benny chciał już być na łodzi.

- Podpłyn do drabinki, tylko uważaj, żebyś nie dostał nią w zęby, bo widzisz, jak się kołysze. Chwyć za nią mocno i ściągnij płetwy, dopiero wtedy wejdź na łódź - dokończył Greg.

Cała akcja doprowadzenia chłopaka trwała około siedmiu minut. Greg musiał wracać do Cariny. Jeszcze tego by brakowało, gdyby jej się coś stało. W czasie kiedy dziewczyna została sama na dnie, postanowiła podpłynąć nieco bliżej liny kotwicznej. Coś nagle przykuło jej uwagę. Zatrzymała się i pozwoliła, by ciało swobodnie poddało się ruchom wody. Obserwowała. Zachowując wrak jako punkt odniesienia, miała pewność, że nie zmienia swojej pozycji. Widoczność była dość ograniczona; wszystko wydawało się czytelne do dziesięciu, może dwunastu metrów, potem wyobraźnia płatała figle. Początkowo myślała, że to rekin. Wbrew pozorom nie bała się. Uznawała te zwierzęta za jedne z najpiękniejszych i marzyła, by spotkać te ryby w naturalnym środowisku, a nie tylko w gigantycznym akwarium lizbońskiego oceanarium. Oddychała powoli i rytmicznie, zerkając co chwila na manometr - wskazywał sto czterdzieści barów. Gdy z powrotem dźwignęła głowę, dostrzegła sylwetkę jakiejś dużej ryby, ale nie był to rekin. Zwierzę poruszało się ostrożnie w jej kierunku. Carina odetchnęła z ulgą stwierdziwszy, że to inny nurek. Przeszło jej przez myśl, że to Greg. Ale potem zorientowała się, że ona sama znajdowała się przy linie

kotwicznej, więc Greg nie mógł nadpłynąć z tamtej strony. Postanowiła się zbliżyć; wyciągnęła przed siebie obie ręce i zaczęła delikatnie machać płetwami, nie odrywając wzroku od płetwonurka. Pomachała ręką na znak przywitania, jednak nie doczekała się żadnego gestu z jego strony. Nagle omal nie wypuściła automatu z ust. Przestała poruszać nogami, wycofała ręce i zawisła w toni wody, wytrzeszczając maksymalnie oczy. Nagle omal nie doznała ataku serca, gdy ktoś chwycił ją za nogę. Spanikowana odwróciła się nerwowo, po czym zobaczyła Grega. Zapytał znanym gestem, czy wszystko w porządku, ale widząc, że dziewczyna nie reaguje, tylko patrzy na niego dziwnie, sięgnął po jej manometr. Miała bardzo dobre zużycie powietrza, ale zaniepokoił go dziwny stan Cariny. Pokazał więc kciukiem do góry, informując w ten sposób, że pora się wynurzyć. Tak zrobili. Gdy wszyscy siedzieli już w łodzi, Greg zapytał:

- Carina, co to było? Dobrze się czujesz?

Nie wiedziała, co powiedzieć. Rzecz jasna czuła się dobrze, ale nadal nie mogła otrząsnąć się z tego, co ją spotkało na dnie oceanu.

- Tak, Greg, jest OK, tylko....

- Tylko co?

- Może to głupio zabrzmieć, ale dopadła mnie chyba narkoza azotowa...

- Na dziesięciu metrach? - zdziwił się Greg. - To raczej niemożliwe, poza tym byłaś tam krótko. Dlaczego tak sądzisz?

Carina ugryzła się w język. Wiedziała, że jeśli powie to, co zobaczyła, nie tylko ją wyśmieją, ale może nawet zabronią dalej nurkować. Wybrnęła z sytuacji tak sprytnie, jak tylko potrafiła.

- Sam widziałeś, byłam jakaś taka... nieobecna. Taka oszołomiona.

- To fakt, wyglądałaś, jakbyś wypila butelkę wina. Może zastanów się, czy chcesz nadal nurkować...

- Greg, daj spokój, ja nurkuję od pięciu lat, moja praca na tym polega. Nic mi nie jest, po prostu byłam pod wrażeniem tego pięknego wraku.

Na tym poprzestała. Greg najwidoczniej to „kupił”. Prawdę powiedziawszy uważał, że dziewczyna świetnie nurkuje, a przebywanie pod wodą może przyprawić czasem o lekki zawrót głowy. Cali i zdrowi ruszyli w stronę bazy. Tylko Carina nie była pewna, czy to halucynacje, czy rzeczywiście widziała...

---

<sup>1</sup> Briefing (ang.) - odprawa.

## ROZDZIAŁ 34

Kolejnego dnia grupa pojechała na wykłady do tego samego centrum, tuż obok hotelu Riu Korondoba, przy czym ekipa nurkowa zmniejszyła się o kolejną osobę. Po ostatnich zajęciach Benny zrezygnował. Teraz już tylko Carina i Gabriel w towarzystwie Mauricio wypływali dwa razy dziennie na otwarty ocean w celu pobrania próbek, które następnie były badane przez wszystkich studentów w specjalnie przygotowanym do tego pomieszczeniu znajdującym się w niewielkim centrum Scuba Fun World. Jak zawsze kapitanem był Nandu. Nic się nie zmieniło także w kwestii jego stosunku do Cariny. Była już nieco zmęczona tymi podrywami, gdy pewnego razu wpadła na pomysł, żeby go wykorzystać. W zasadzie Nandu sam zaproponował jej kiedyś, że zabierze ją łodzią w jakieś romantyczne miejsce i chociaż romantyzm był ostatnią rzeczą, jakiej potrzebowała, najważniejsze było to, że miała możliwość, aby samodzielnie wybrać się w pewne miejsce. To, które od minionego czwartku spędzało jej sen z powiek. Jako że dziś była sobota, studenci byli zwolnieni z wykładów. Mimo to każdy, kto zechciał, mógł nurkować w ramach zajęć. Ze wszystkich osób tylko Carina była chętna. Miała ku temu kilka powodów. Po pierwsze, reszta grupy udała się na wycieczkę po południowym wybrzeżu, a ona obiecała cioci Isabel i Lurdes, że wybierze się z nimi na taką wyprawę w niedzielę, nie było więc sensu dwa razy robić tej samej trasy. Po drugie, musiała się z nimi spotkać i dokładnie omówić co, gdzie, jak, o której i tak dalej. Skorzystała więc z możliwości, że od

bazy dzieli ją kilka kroków do hotelu, a dodatkowo mogła ponownie zanurkować. Tym razem wybrała się z Mauricio. Popłynęli na North Rocks. Jak w każdym dotychczasowym miejscu nurkowym, także i tu roiło się od pięknych ryb, które zachwycaly bogactwem kolorów i kształtów. Tym razem była to wyprawa rekreacyjna, więc nie zbierali materiałów do próbek, a jedynie rozkoszowali się pięknem natury. Carina liczyła, że ponownie spotka to niezwykle stworzenie...

- Jak się podobało? - zapytał Mauricio podczas powrotu do bazy.

- Wspaniałe miejsce. Dziękuję, że mnie tu zabrałeś.

- Widziałem, że robiłaś dużo zdjęć.

- Pewnie nie wszystkie wyjdą idealnie, ale sądzę, że większość będzie dobrej jakości.

- Chcesz, żebym zadzwonił po kierowcę, czy zostaniesz na plaży?

- Dziękuję, Mauricio, wprawdzie opalać się nie zamierzam, ale zostanę dłużej. Umówiłam się z ciocią i jej przyjaciółką, potem odwiozą mnie do kwatery. W każdym razie dziękuję za pomoc.

Gdy ujrzeli brzeg, Mauricio kazał Carinie przytrzymać się mocno. Była nieco zdziwiona, że nie wyskakują z łodzi, tak jak to zwykle bywało po każdym nurkowaniu. Tym razem było inaczej. Najpierw Nandu wyłączył silnik, powiedział coś do Mauricio po kreolsku, następnie na jego znak ponownie uruchomił silnik i z całym impetem wskoczyli dosłownie na plażę. Wyglądało to tak spektakularnie, jakby żywcem wyjęte z filmu o Jamesie Bondzie. Oczy wszystkich plażowiczów skierowane były na nich.

- Ha, ha! To się nazywa wejście smoka! - rozbawiła się Carina.

Po wyjściu z łodzi należało najpierw ściągnąć pianki, wypłukać cały sprzęt w słodkiej wodzie i przebrać się w „normalne” ubranie. Słowo „normalne” było i tak nieco przesadzone. Od mokrej bielizny przesiąkły także spodenki i koszulka - wszystko było pełne piasku, a w poplątanych od słonej kąpieli włosach roiło się od drobniutkich roślinek i szczątków organicznych. Zanim ruszyła w stronę hotelu,



Carina miała jeszcze jedno zadanie do wykonania. Podeszła do Nandu.

- Czy twoja oferta wyprawy łodzią jest nadal aktualna? - zapytała.

Chłopak wyraźnie się ucieszył. Na jego twarzy zawitał śnieżnobiały uśmiech.

- Oczywiście, że tak. Chciałabys gdzieś popłynąć?

- Tak, ale tylko we dwoje.

Na te słowa uśmiechnął się jeszcze szerzej.

- Dobrze, popłyniemy tylko we dwoje. Pokażę ci ładne miejsce...

Nandu chciał zapewne opowiedzieć o jakiejś romantycznej zatoczce, z której mogliby podziwiać zachód słońca, ale Carinę mało to interesowało, więc mu przerwała:

- Właściwie to chciałabym, żebyś mnie zabrał do Taliarte.

Nandu milczał. Nie był pewien, czy dobrze rozumie.

- Do tego wraku?

- Tak.

- Ale tam nic nie ma.

- Jest wrak.

- Chcesz nurkować?

- Tak.

- Niemożliwe, bo jeśli popłyniemy tylko we dwoje, to łódź zostanie całkiem bez opieki. Nie mogę tego zrobić. Ciebie także nie puszcę samej, to niebezpieczne.

- Nandu - zrobiła kocie oczy - proszę, tak bardzo bym chciała tam popłynąć. Nikt się nie dowie. Jestem doświadczonym nurkiem, wiem, co robię. No, proszę...

- Nie rozumiem, po co ci to? Przecież już tam byłaś.

- Tak, ale nie zrobiłam zdjęć. To jedyne miejsce, gdzie nurkowałam bez aparatu. Chciałabym nadrobić tę stratę.

- Jeśli weźmiesz drugiego nurka, to cię tam zawiozę. Inaczej nie ma mowy.

Trzeba było coś wymyślić, bo sytuacja wymykała się spod kontroli. Im dłużej nalegała, tym Nandu był bardziej przeciwny.

- Jeśli się zgodzisz, pójdę z tobą potańczyć.

Popatrzył na nią uważnie. Pomyślał.

- Skąd weźmiesz sprzęt?

- Mam swoją piankę, buty i maskę - ciocia zgodziła się przetrzymać je w hotelowym pokoju - a resztę wezmę z bazy. Pomożesz mi? - znowu zrobiła maślane oczy, co najwyraźniej poskutkowało.

- Ale obiecujesz, że pójdziemy potańczyć?

- Słowo honoru! - Ucieszyła się.

Rybka złapała haczyk. Ustalili, że tuż po powrocie z planowanej na jutro wyprawy wzdłuż południowego wybrzeża Carina spotka się z Nandu przy bazie. Zamierzała wrócić z Isabel i Lurdes do Riu Korondoba i przebrać się w ich pokoju, żeby nie tracić czasu na dojazd. Poza tym nie chciała natknąć się w porcie na kogoś ze swojej grupy, bo oficjalnie miała spędzić cały dzień w podróży. Gdy wszystko było ustalone, ruszyła wolnym krokiem w stronę hotelu. Dostała wiadomość od Isabel, która prosiła, by Carina poczekała w recepcji. Wnętrze hotelu było piękne, nie miało nic wspólnego z otaczającą go resztą wyspy. Taka wyspa na wyspie. Stąd nie widać prawdziwego życia Kabowerdeńczyków. Turyści odbierani byli z lotniska, przyjeżdżali klimatyzowanym samochodem do hotelu, wychodzili codziennie na plażę tuż przed hotelem, gdzie mogli skorzystać z atrakcji w postaci przeróżnych sportów wodnych, a w restauracji serwowano im doskonałej jakości dania, których lokalna ludność nie widziała nigdy na oczy. Od czasu do czasu korzystali z płatnych wycieczek, ale wszystko to owiane było obsesyjnym zakazem samodzielnego wtapiania się w tłum. Przewodnicy ostrzegali przed handlarzami nagabującymi do kupowania towarów, przed jedzeniem potraw przygotowywanych w warunkach niezgodnych z zasadami higieny, co mogło skończyć się poważnymi dolegliwościami żołądkowymi, a najgorsze było to, że turyści w to wierzyli. Słono więc płacili „odpowiednim” ludziom, żeby ci zapewnili im zwiedzanie okolic w „bezpiecznych” warunkach.

Na szczęście Isabel taka nie była. Ufna wobec ludzi, życzliwa i spontaniczna, zawsze chętnie poznawała prawdziwe życie miejsc, do których się udawała. Jej zapał i brak strachu skutecznie hamowała kochana Lurdes, doña Lurdes. W odróżnieniu od Isabel, Lurdes z ogromną dozą niepewności i niedowierzania oceniała, co mogą, a czego nie powinny robić. Ta różnica zachowań często doprowadzała do bardzo zabawnych sytuacji, tak groteskowych, że trudno było powstrzymać się od śmiechu. Przyjaźniły się odkąd sięgały pamięcią i zawsze były nierozłączne. Za każdym razem, gdy spotykały się przy kawie, opowiadały z sentymentem o swoich wozach odbytych w młodości. Właściwie nic się nie zmieniło, bo mimo upływu lat obie zachowywały młodzieńczy wigor i radość życia, których mógł im pozazdrościć niejeden nastolatek. Podróż na Boa Vista była właśnie taką podróżą sentymentalną. Pierwszy raz przyleciały tu, gdy jedyne lotnisko znajdowało się na wyspie Sal, z której następnie należało przepłynąć się promem. Było to jakieś dwadzieścia lat temu. Od tamtego czasu wiele się zmieniło, ale nie na tyle, żeby zanikł lokalny klimat i tradycyjny folklor.

Carina usiadła na ratanowej kanapie we wnętrzu chłodnego holu i oparła się wygodnie o miękką poduszkę w kolorze soczystej zieleni. Zerknęła na wystrój mający chyba przywoływać czasy dawnych posiadłości możnych kolonizatorów, którzy niegdyś uczynili Cape Verde bazą wypadową do Afryki. Jedną z wysp archipelagu, Santiago, między rokiem tysiąc pięćsetnym a tysiąc sześćset dwudziestym była głównym centrum światowego handlu afrykańskimi niewolnikami. Musiało upłynąć ponad dwieście pięćdziesiąt lat, by ostatecznie zakazano handlu ludźmi. Po walkach zbrojnych toczonych od połowy dwudziestego wieku wyspy odzyskały niepodległość i tak piątego lipca tysiąc dziewięćset siedemdziesiątego piątego roku ogłoszono proklamację niepodległości. Gdy Carina siedziała zapatrzona w marmurowe kolumny, barwne kafelki ceramiczne, ogromne palmy w donicach i eleganckie fotele w strefie barowej, nagle zjawiała się ciocia z przyjaciółkami, wyrywając ją z głębokiego zamyślenia.

- Jesteś! Przepraszam, że musiałaś czekać, ale Lurdes kończyła zabiegi pielęgnacyjne i trzeba było czekać, aż ściągną jej maseczkę z twarzy - powiedziała nieco żartobliwie Isabel.

- Nie szkodzi, siedziałam tu dosłownie chwilę. Wracam prosto z nurkowania... przepraszam za mój strój. Wy takie piękne, a ja wyglądam jakby mnie wyłowiono z zatopionego wraku, ha, ha! Ciociu, jeśli będziesz tak miła... tu jest mój strój, włożyłam go do specjalnego worka, nie powinien cieknąć, ale na wszelki wypadek zostaw go w wannie.

Isabel wzięła torbę.

- Przedstawiamy ci naszą przyjaciółkę, artystkę i podróżniczkę, Mili Comer.

- Lurdes - zaśmiała się Isabel - przestań się wygłupiać. Wszystko się zgadza poza imieniem i nazwiskiem. Doña Lurdes ma jakąś wizję odnośnie naszej koleżanki. Poznaj Aylime.

- Przecież sama zastanawiała się nad pseudonimem artystycznym. - Oburzyła się Lurdes. - Toteż go wymyśliłam.

- Zaczekajcie na mnie pięć minut, zaniosę tylko tę torbę do pokoju i zaraz wracam - powiedziała Isabel i nie czekając na odpowiedź, ruszyła w stronę windy. - Do tej pory zdążycie się poznać...

Ayli polubiła dwie szalone przyjaciółki, spędziła z nimi już prawie tydzień i z każdym dniem nabierała do nich większej sympatii. Wyciągnęła rękę na przywitanie. Carina odpowiedziała tym samym. Przyglądała jej się uważnie, ale tak, by nie poczuła się skrzepowana. Ciocia wspominała podczas pierwszego lunchu, że Ayli jest znacznie starsza od niej, ale zupełnie nie było tego po niej widać. Mierzyła jakieś metr siedemdziesiąt wzrostu, była szczupła, chociaż ręce i nogi miała dość umięśnione, tak jakby uprawiała jakieś sporty walki. Nie miała makijażu, a w każdym razie był tak dyskretny, że wręcz niezauważalny. Nie dostrzegła ani jednej zmarszczki, nawet na szyi. Skórę miała miękką i łatwo się rumieniła. Niebieskie oczy zdradzały radość życia i wewnętrzną harmonię. Zupełnie nie pasowało to do roli artystki. Carinie zawsze

wydawało się, że artysta musi być cierpiący, sfrustrowany, zamyślony, nieobecny i powinien nosić ślady nieprzespanych nocy mocno zakrapianych alkoholem, koniecznie z papierosem w ustach.

- Witaj, sporo o tobie słyszałam - odezwała się Ayli. - Cieszę się, że mogę cię poznać.

- Doprawdy? Ciocia raczej niewiele o mnie wie. Ciekawe, co ci naopowiadała, ale weź na to sporą poprawkę. - Zaśmiała się.

- Najważniejsze, czego się dowiedziałam, to że pracujesz w oceanarium i nurkujesz, podobnie jak ja.

- Też pracujesz w oceanarium?

- Nie, miałam na myśli nurkowanie.

- To świetnie, może uda nam się wspólnie zwiedzić jakiś wrak?  
- zaproponowała Carina.

- Chętnie, jeśli tylko znajdziesz czas. Ja jestem na wyspach prawie dwa tygodnie i nurkowałam piętnaście razy, ale są jeszcze miejsca, których nie odwiedziłam. Możemy o tym później porozmawiać. Z tym, że ja mam lot powrotny już we wtorek, więc jedynie jutro możemy coś zaplanować, w poniedziałek wolę już nie nurkować ze względu na różnicę ciśnień podczas lotu.

Przez moment Carina ucieszyła się, że może Ayli będzie towarzyszyć jej jako partner w jutrzejszym nurkowaniu. Szybko jednak przypomniała sobie, że to niemożliwe ze względu na okryty tajemnicą cel, w jakim miała udać się do Taliarte. Uśmiechnęła się więc tylko i wtedy wróciła Isabel.

- Nie wiem, jak wy, dziewczęta, ale ja umieram z głodu - odezwała się ciocia Cariny. - Może usiądziemy w restauracji i przy dobrej rybce poczynimy pewne ustalenia co do jutra?

Nikt nie oponował, bo unoszące się w holu zapachy pobudzały zmysły i uaktywniały kubki smakowe. Usiadły przy stoliku z widokiem na ocean i przejrzały kartę. Zaczęły od napojów, po czym cała czwórka za namową kelnera skusiła się na „specjalność dnia”. Była nią skorpena z warzywami w sosie piniowym. Brzmiało to tak niesamowicie, że jej musiały skosztować.

- Więc jesteś tu już dwa tygodnie? - Carina zwróciła się do Ayli.

- Tak, pierwsze kilka dni spędziłam na Santo Antão, zrobiłam tour po wzniesieniach wyspy i przyleciałam na Boa Vista, bo oprócz Sal, tylko tu znajduje się w miarę przyzwoita baza nurkowa - odpowiedziała.

- Czyli poznałyście się w hotelu? - dociekała dalej Carina.

- Nie, ja tu nie mieszkam. Nie lubię hoteli, zatrzymałam się w Sal Rei u pewnej starszej kobiety, która mieszka tuż przy porcie. Może kojarzysz - Casa do Pescador? Mieszkam zaraz obok.

- Tak, jedliśmy tam kiedyś kolację z moją grupą. Ładne miejsce.

- Moje drogie - rzekła Isabel. - Musimy ustalić, co robimy jutro. Carina, z tego co mówiłaś, dzisiaj twoja ekipa zwiedza południe wyspy, czy tak?

- Zgadza się.

- Szkoda, żeby cię to ominęło. Jeżeli mam być szczerą, to uważam, że lepiej wybrać się właśnie na południe niż na północ. Zajmie nam to nieco mniej czasu, a widoki są piękniejsze. Ale to jest moje zdanie, możemy zdecydować się na inną opcję. Co wy na to?

- Jestem za - odpowiedziała Carina.

Ayli również pokiwała głową, gdyż północne wybrzeże zdążyła już zobaczyć. Taki wybór wszystkim był na rękę. Gdy kelner przyniósł dania, oniemiały z zachwytu. Były nie tylko pięknie podane, ale i doskonale przyrządzone. Jadły, gaworząc, śmiejąc się i wspominając stare czasy, a także przeróżne perypetie z ostatnich kilku dni. W pewnym momencie odezwała się Aylime, przeżuwając spory kęs ryby, z niezwykle poważną miną:

- Dziewczyno, ja jednak popełniłam błąd. - Przerwała na moment, spuszczać wzrok i dodając powagi sytuacji. - Przemyslałam to przez noc i... teraz już jestem pewna, że muszę wrócić do Joao Galego i kupić ten materac.

Lurdes i Isabel nie mogły powstrzymać się od śmiechu. Ciocia Isabel omal się nie udławiła, a Lurdes śmiała się tak długo, że aż ochrypla i łzy pociekły jej po policzkach. Carina domyśliła się, że miało to związek z jakąś sytuacją, która je spotkała podczas wspólnej wyprawy po wyspie. Gdy tylko się uspokoiły, wyjaśniły

szczegóły tej przezabawnej historii, chociaż był to raczej komizm sytuacyjny i z perspektywy czasu nie bawił już tak jak wtedy. Kilka dni temu wybrały się razem w rejony północno-wschodnie wyspy. Ayli koniecznie chciała sobie coś kupić na pamiątkę, ale nie mogła się na nic zdecydować. Doña Lurdes, która sama obłowiła się w piękne tkaniny, zaproponowała w żartach, że Ayli powinna kupić jeden z materacy, leżących obok pod sporą warstwą kurzu i pyłu w cenie siedmiuset siedemdziesięciu escudos.

Czas mijał im przyjemnie. Po posiłku zamówiły jeszcze kawę i poczyniły ostateczne ustalenia. Zaufany przewodnik Titi miał się zjawić po Carinę w porcie o godzinie dziewiątej. Ponieważ Ayli mieszkała bardzo blisko, zaproponowała, że podejdzie w okolice jej kwatery i wsiądą razem. Następnie miały przyjechać do hotelu i zabrać Isabel oraz Lurdes. Carinie zależało, żeby wrócić maksymalnie o piętnastej do hotelu, a najlepiej jeszcze wcześniej. Nie chciała, żeby Nandu na nią czekał. Obawiała się tylko, że Ayli dowie się o jej zamiarze i będzie chciała dołączyć do nurkowania. Na szczęście, jej obawy były nieuzasadnione. Ayli, owszem, dowiedziała się o planowanym nurkowaniu, ale miała niesamowite wyczucie, chciałoby się powiedzieć nawet - „taktu”, chociaż bardziej wyglądało to na dodatkowy szósty zmysł.

Carina prędko przekonała się, że Ayli skrywa wiele tajemnic. Trudno to było określić. Wystarczył jeden dzień spędzony razem, żeby zmienić zdanie, jakie miała o niej po pierwszym spotkaniu, gdy zostały sobie przedstawione. Ona... po prostu wiedziała o rzeczach, które nie były nawet powiedziane. Z jednej strony, imponowało to Carinie, z drugiej zaś sprawiało, że się jej... bała. Mimo to zyskała zaufanie Cariny. Oczy, które początkowo wyglądały niewinnie i kipiały radością, teraz emanowały dziwną przenikliwością, pewnością siebie i tajemniczością. Mrużyła je jak sowa i nieznacznie przy tym uśmiechała. Właściwie nie był to uśmiech, tylko delikatne dźwignięcie kącika lewej wargi. Ten wyraz twarzy wyglądał zarówno demonicznie, jak i uśmierzająco. Była jak świetlik, który znika w mroku lasu spowitego nocą, za którym masz ochotę

podążyć. Brakowało jej tylko... papierosa.

Do Sal Rei wróciły wspólną taksówką.



## ROZDZIAŁ 35

Tuż przed dziewiątą Carina była już po śniadaniu; siedziała na tarasie znajdującym się od północno-zachodniej części budynku z widokiem na plażę i ocean, z nogami opartymi o drewnianą balustradę.

- Tu jesteś - usłyszała głos za plecami - wszędzie cię szukam.

To była Marie. Wyglądała komicznie. Dopiero co wstała, bo oczy miała podkrążone i cały czas ziewała. Do tego słońce mocno ją spaliło podczas wczorajszej wyprawy i od czubka głowy mniej więcej do pasa wyglądała jak homar.

- A tobie co? - krzyknęła Carina. - Trzeba było powiedzieć, że nie masz kremu z filtrem, to bym ci użyczyła.

- Miałam. Nawet kapelusz. To słońce opała wiatrem, nie wystarczy być w cieniu.

- Ale jak było? Podobało się wam?

- No pewnie, szkoda, że nie pojechałaś z nami. Maceira wszedł tylko raz po kolana do wody i akurat pływała tam jakaś meduza. Trochę go poparzyła, ha, ha! Tylko sobie nie myśl, że wywiniesz się od poniedziałkowej imprezy. Mam nadzieję, że tym razem z nami pójdziesz?

- O jakiej imprezie mówisz?

- Nie pamiętasz? Rozmawialiśmy o tym. Po przylocie do Lizbony robimy posiadówkę na plaży. Rektor wyraził zgodę na wolne od wtorkowych zajęć, więc skorzystamy z tego przywileju i jeszcze zabalujemy wieczorem. Przyjdiesz? - Usilnie dopytywała

Marie.

- Tak, przyjdę, chociaż nie przepadam za tego typu imprezami. Póki co dzisiaj zrobię tę samą trasę co wy. Umówiłam się z cicią. Pojedziemy w czwórkę, a właściwie w piątkę, wliczając kierowcę.

- Sądziłam, że są tam tylko we dwie - zdziwiła się Marie.

- Otóż nie. Jest jeszcze Ayli, Ayli Cavon. Poznały się tu, na wyspie, i przez ostatni tydzień spędzają czas razem. Nawet ją polubiłam.

- Pamiętaj, żeby zabrać krem i porządnie okryj ciało, jeśli nie chcesz się zjarać na czerwono.

- Dzięki, już spakowałam. Najważniejsza jest kamera - odparła, otwierając wodoodporną obudowę, którą trzymała w ręce.

- Obudowa chyba będzie zbędna - zaśmiała się Marie. - Na deszcz się nie zanosi, ha, ha!

O mały włos Carina wygadałaby się, że zamierza nurkować. Musiała jakoś z tego wybrnąć.

- Pomyślałam, że gdy będziemy na jakiejś pięknej plaży, to wejść do wody i zrobię krótki film. Podobno Santa Mónica jest piękna. - Celowo zmieniła temat.

- O, tak! Cudowna. Istny raj na ziemi. Wszyscy byli zachwyceni. Nie ma tam żywej duszy, tylko ty i cudownie lazurowa woda. Piasek jest tak biały, że w promieniach słońca wygląda jak śnieg i słychać tylko szum fal. Koniecznie tam jedźcie.

Carina skończyła przegląd kamery. Upewniła się, że uszczelka prawidłowo przylega do obudowy, i zatrzasnęła porządnie klips. Zbliżyła się dziewiąta; postanowiła poczekać na kierowcę od frontu domu, tak żeby mieć widok na podjazd. Marie poszła za nią. Usiadły na werandzie, po czym zjawiła się gospoia, która serwowała śniadania. Miała na imię Estrela i była rodzoną Kabowerdenką. Przyniosła serwetkę wraz z zastawą i świeżym pieczywem, a następnie poszła do kuchni po resztę produktów.

- Macie jakieś plany na dziś? - zapytała Carina.

- Owszem, odpoczywać. Każdy ma dość. Wczoraj słońce dało nam nieźle popalić. Spędziliśmy w sumie prawie dziewięć godzin

w podróży, choć co jakiś czas zmienialiśmy się: jedna grupa do środka, drudzy na pake, a potem na odwrót. A ty, o której wracasz?

Carina musiała skłamać.

- Będę dopiero wieczorem. Po powrocie pewnie spędzę czas z ciocią i jej współtowarzyszkami.

- Wszystkie mieszkają w hotelu? - Zaciekawiała się Marie.

- Nie, Ayli zatrzymała się niedaleko tej restauracji Casa do Pescador. Podobno nie lubi hoteli.

- Tak jak ty - Zauważyła Marie.

Kierowca podjechał i zatrąbił klaksonem. Carina sięgnęła po plecak, pomachała na pożegnanie i zanim dobiegła do furtki, poprosiła, żeby Marie przekazała profesorowi, że wróci późno. Zatrzasnęła za sobą metalowe drzwiczki, żeby psy nie uciekły i podeszła do kierowcy. Przedstawił się jako Titi. Miał około czterdziestu kilku lat i krępą budowę ciała. Ubrany był w śnieżnobiałą koszulę wciągniętą w bawełniane spodnie z paskiem. Był bardzo grzeczny, i jak się później okazało, także nieco nadopiekuńczy. Zanim Carina zdążyła powiedzieć, że muszą poczekać na koleżankę, Ayli już kroczyła ścieżką od strony poczty. Z oddali pomachała ręką. Titi znał ją, wielokrotnie w ciągu ostatnich dni zabierał ją, Isabel oraz Lurdes na wyprawy dalsze lub bliższe. Był świetnym przewodnikiem i bardzo dobrym kierowcą.

- Przepraszam za spóźnienie - tłumaczyła Ayli - chciałam jeszcze kupić wodę na drogę. Witajcie.

Uścisnęła ich dłonie, po czym, nie chcąc dłużej zwlekać, wsiadły do samochodu i odjechały w stronę hotelu, bo tam czekały dwie pozostałe pasażerki. Na miejscu zastali je siedzące pod wielką palmą. Lurdes, ubrana w długą i zwiewną spódnice oraz bluzkę odsłaniającą ramiona i znaczną część pleców, kończyła właśnie procedurę wklepywania kremu z filtrem przeciwsłonecznym. Isabel wybrała bardziej praktyczny strój: lniane spodenki do kolan i sportową koszulkę z krótkim rękawkiem. Po szybkiej wymianie uścisków i rozmaitych grzeczności, ruszyli przed siebie. Najpierw Praia de Chaves, Praia do Curralinho, Praia de Santa Mónica, aż do

Curral Velho. To były główne punkty wyznaczające trasę dzisiejszej wyprawy. Wcześniej jednak skorzystały z możliwości i podjechały do znajdującej się całkiem niedaleko, na obrzeżach miasteczka Rabil, wytwórni prawdziwych, lokalnych souvenirs.

- Tak naprawdę jest to jedyne miejsce, gdzie można kupić rękodzieło wykonane przez rdzennych mieszkańców tej wyspy. Wszędzie indziej znajdziecie wyroby senegalskich przyjezdnych - oznajmił Titi.

Wjechali na niewielką górę, z której rozciągał się przepiękny widok na okolicę, chociaż był to krajobraz raczej pustynny, jakby marsjański. Wysiedli z samochodu. Zakładem produkcyjnym, gdzie wyrabiano lokalne rękodzieło, okazał się niewielki budynek w kolorze piaskowym posiadający dwoje drzwi. Jednymi się wchodziło, a drugimi wychodziło. W środku panował przyjemny chłód i było dość ciemno. Na półkach leżały półprodukty, które zapewne czekały na ostateczną obróbkę. Z tego pomieszczenia można było wyjść na małe patio. Były tam jakieś stare maszyny służące do rozrabiania masy glinianej, drewniane kalfasy, beczki i narzędzia. Wrócili do środka i dostrzegli wielki piec służący do wypalania figurek z gliny. W tej chwili stał nieużywany. Za piecem znajdowało się kolejne przejście - tu można już było podziwiać gotowe wyroby. Na wielu półkach leżały równo poukładane pamiątki. Najwięcej było żółwi - wszystkie ręcznie malowane. Przy dwóch stołach siedziały kobiety, które kończyły zdobienia nowej partii figurek. Tuż przy wyjściu była kasa, gdzie stał starszy mężczyzna i pakował zakupione produkty w kawałki gazet, a następnie wkładał do foliowych woreczków. Każdy coś kupił, tylko Ayli podziękowała za woreczek; uważała, że na świecie jest zbyt wiele plastiku, ponieważ ludzie dla wygody pakują wszystko w folię zamiast korzystać z torebek wielokrotnego użytku. Jedną z takich miała zawsze przy sobie. Nie powiedziała ani słowa, ale z jakiegoś powodu Carinie to zaimponowało, a wręcz poczuła wstyd, że sama przyczyniła się do produkcji jednego plastikowego woreczka więcej.

- Pora ruszać, jeśli chcecie wrócić przed trzecią - przypomniał

Titi.

Czas mijał szybko. Carina na zmianę siadała w przyczepie, gdzie mogła poczuć wiatr we włosach, a gdy słońce ją zmęczyło, wracała do samochodu. Poruszali się właściwie tylko po bezdrożach. To znaczy tak to wyglądało z punktu widzenia dziewczyn. Titi doskonale zdawał sobie sprawę z aktualnego położenia. Czasem jechał w kierunku, który wyglądał dość dziwnie, i wtedy pasażerki myślały, że pomylił drogę, jednak po chwili dojeżdżali do cudownego skrawka ziemi, gdzie miały wrażenie, iż nikt tu wcześniej nie postawił swojej stopy. Interior wyspy wykazywał zawsze te same cechy: piaszczyste lub kamieniste podłoże, gdzieniegdzie mocno gliniaste, innym znów razem pokryte grubą warstwą soli. Titi tłumaczył, że kiedyś ten rozległy teren pokrywała laguna, ale gdy woda się cofnęła lub wyparowała, pozostawiła po sobie jedynie białą warstwę solną, którą ludzie wykorzystywali jako przyprawę w kuchni.

Dostrzegli stado osłów, które po chwili zbliżyły się do samochodu. Widok był tak kosmiczny, że prawie nierealny: ogromna połać białej, słonej „łąki”, w oddali palmy, za nimi skaliste wzniesienia pozbawione jakiegokolwiek roślinności... i te osły. Co one piją? Czym się odżywiają? – zastanawiały się dziewczęta. Dla odmiany, wybrzeża wyspy były bajecznie przyjemne – rajskie plaże, miękkie i czysty piasek oraz niekończący się ocean sięgający po sam horyzont, i ani jednej żywej duszyczki. Żadnej mewy, albatrosa, rybitwy – niczego! Nawet wróbla. Bo niby co miały tu robić wróbel?

Carina weszła do wody po kostki i zapatrzyła się w dal. Silne fale, które co chwila nadciągały w stronę brzegu, budziły ją z zadumy. Ayli także była zamyślona; wyobrażała sobie, jak pięknie musi tu wyglądać sklepienie nocą, kiedy żadne, nawet najmniejsze światełko nie przyćmiewa blasku gwiazd. Carina spojrzała w jej stronę. Wokół Aylime roztaczała się aura. Wtedy odwróciła głowę i przyłapała Carinę, jak ta się jej przygląda. Uśmiechnęła się z satysfakcją, a Carina poczuła zażenowanie. Oblała się rumieńcem,

tłumacząc się, że jest jej gorąco i ruszyła w stronę samochodu. Było jeszcze wiele miejsc do zobaczenia, tak więc reszta podążyła w jej ślady. Lurdes znowu kremowała ciało balsamem z filtrem i próbowała wmasować go także w skórę Isabel, chociaż przyjaciółka dobrze znosiła silne promieniowanie. Gdy dotarły do samochodu, Carina siedziała już z tyłu, opierając się jedną ręką o dach.

- Mogę ci towarzyszyć? - Usłyszała słowa Ayli.

- Tak, proszę. - Nie wiedziała, jak inaczej może odpowiedzieć.

Ruszyły. Przemierzając piaszczysty teren, Ayli i Carina często mrużyły oczy, robiąc przy tym skwaszone miny. Carina chciała coś powiedzieć, na przykład wyjaśnić, czemu jej się tak przyglądała na plaży, ale nie wiedziała jak. W sumie, nawet nie wiedziała, dlaczego na nią patrzyła. Kobieta, widząc zakłopotanie dziewczyny, odezwała się w końcu:

- Kiedy wracasz do Lizbony?

- Jutro. A ty?

- Za dwa dni, we wtorek.

- Ach tak, przepraszam, mówiłaś.

- Nie szkodzi.

Znowu cisza.

- Nie lubisz tłumy... zupełnie jak ja - dodała, a Carina tylko na nią zerknęła, czekając na ciąg dalszy. - Mogę ci jakoś pomóc?

Wtedy Carina oniemiała. Zastanawiała się, co sprawiło, że kobieta zaproponowała pomoc. Czyżby potrzebowała pomocy?

- Nie rozumiem. W czym chciałabyś mi pomóc?

- W tym, co sprawia, że jesteś spięta i nieobecna.

- Tak ci się wydaje?

- Nie wydaje mi się, widzę to. Czekasz na coś, ale się tego boisz.

Carina przestraszyła się. Czy ona coś wiedziała? Mogła coś usłyszeć? Może była jasnowidzem? Chyba raczej czarownicą! A jednak sprawiała, że Carina chciała jej wszystko wykrzyczeć. Musiała być ostrożna. Ayli była pisarką, aż strach pomyśleć, że mogłaby opisać tę historię. Ale jaką historię? W zasadzie były to

tylko domysły Cariny. Z każdymi dziesięcioma metrami pod wodą ciśnienie zwiększa się o kolejną atmosferę, a wraz z kolejną atmosferą znajdujące się w butli powietrze staje się bardziej toksyczne. Tlen wywołuje atak podobny do epilepsji, nurek raczej na pewno kończy śmiercią pod wodą. Azot z kolei działa jak narkotyk, wprowadza w stan podobny do upojenia alkoholowego, przez co też jest śmiertelnie niebezpieczny. Może to żadna historia, tylko zwykłe przywidzenie? Carina chciała jej powiedzieć, ale broniła się ze wszystkich sił, żeby tego nie robić. Bała się reakcji, no i konsekwencji.

- W porządku, nie będę naciskać. Gdybyś zmieniła zdanie, możesz liczyć na dyskrecję - powiedziała Ayli.

- Skąd wiesz?

- O czym?

- Że czegoś się obawiam i na coś czekam.

Kobieta uśmiechnęła się. Nie był to śmiech szydery, raczej życzliwy.

- Powiedzmy, że bardzo interesuję się psychologią. Posiadając pewną wiedzę na ten temat, łatwo zinterpretować ludzkie zachowania i wyciągnąć z nich klasyczne wnioski.

Carina trochę się uspokoiła. Myślała przez moment.

- Dlaczego tu przyjechałaś?

- Co znaczy, „tu”? Masz na myśli tę wyprawę z wami?

- Nie, mam na myśli Cape Verde.

- Bo chciałam. Ot, cała filozofia.

- Zawsze robisz to, co chcesz?

- Tak. Zawsze.

- A gdybyś nie mogła czegoś zrobić?

- Co miałyby mnie powstrzymać?

- Na przykład pieniądze. Albo twoja kondycja fizyczna... chociaż to głupi przykład, bo widzę, że kondycję masz bez zarzutu. - Zarumieniła się.

Ayli znowu się uśmiechnęła.

- To niemożliwe, a wiesz dlaczego? Bo zawsze mierzę swoje

cele względem sytuacji, w jakiej się aktualnie znajduję. Nie chodzi o udowodnienie komuś czegokolwiek, a już zwłaszcza samej sobie. Podejmuję decyzje zgodne z możliwościami i z tym, co dyktuje mi serce. Ktoś, kto powiedział, że chcieć znaczy móc, był bardzo mądrym człowiekiem. Bo to jest takie proste. Stawiam sobie w życiu cele, gdzie za każdym razem poprzeczka jest coraz wyżej, ale zawsze w zasięgu moich rąk, bo muszę wiedzieć, że gdy wyciągnę wysoko ręce, dotknę tej poprzeczki. A jeśli to nie wystarczy, to stanę na podwyższeniu. A jeśli i to okaże się za mało, wtedy podskoczę. Wszystko da się osiągnąć, ale niektóre rzeczy wymagają większego wysiłku. Wyobraź sobie, że wędrujesz. Zmierzasz przed siebie, bo masz cel. Nagle dochodzisz do przepaści; stajesz nad nią i uświadamiasz sobie, że nie widać jej końca. Nieco dalej przed tobą znowu znajduje się ład. Wiesz, co decyduje o tym, czy dasz radę przeskoczyć na drugą stronę?

Carina nie chciała odpowiadać; czekała.

- Wcale nie odległość, jaka dzieli oba rozdzielone lądy. Może ona wynosić tylko półtora metra, ale to i tak wciąż zbyt wiele, jeśli... się boisz. Bo to poziom strachu decyduje o tym, czy skoczysz. Nie twoja kondycja czy warunki fizyczne, długość rozbiegu ani siła wybicia. Więc ten, kto powiedział: „Chcieć, znaczy móc” miał rację, lecz powinien był dodać: „a móc, to się nie bać”. Nieważne, czy mam pieniądze i czy moja fizyczność wystarcza. Ważne, że się nie boję.

Mówiła to z takim hipnotyzującym spokojem, że Carina zapomniała nawet o piasku, który wirował w powietrzu i muskał po twarzy. Oczy miała otwarte; prawie nimi nie mrugała. Patrzyła na Ayli z zazdrością. Była oczarowana, ale musiała zadać to pytanie:

- Chcesz więc powiedzieć, że nie znasz uczucia strachu?

Kobieta spodziewała się tego pytania. Kontekst jej wypowiedzi automatycznie je wymuszała. Odpowiedziała równie zawile, jak do tej pory:

- Strach jest umowny, to też kwestia nazewnictwa. Dam ci przykład. Ilekroć pytam kogoś, czy boi się pajaków, śmiać mi się



chce, gdy odpowiada: „Nie, nie boję się pajaków, tylko się nimi brzydzę”. Jeśli tak mówi, to znaczy, że się boi. Ale chyba jeszcze bardziej boi się do tego przyznać, a przecież to nic złego. Można się brzydzić rozbebeszonym jeżem, którego przejechał samochód, gdy próbował przejść przez ulicę, przez co wszystkie flaki wylały się na jezdnię. Brzydzić możesz się muchą, która siadła na twoim ciastku z kremem, wiedząc, że przed chwilą siedziała na gównie w trawie. Brzydzić możesz się obślizgłej rury ściekowej, pełnej odchodów, brudu, podejrzanie wyglądającej pianistej i śmierdzącej substancji, w której pływają, na przykład, resztki pochodzące z pobliskiej ubojni. Aż w końcu brzydzić możesz się widokiem goryla, który z nieskrywaną przyjemnością wcina sobie kupę, którą niedawno zrobił, ale jako że znaczna jej część składa się w dalszym ciągu z niestrawionych pędów bambusa, w jego oczach pozostaje ona nadal smaczna. Tak więc tym można się brzydzić. Natomiast pajaka po prostu się boisz.

Carina słuchała z rozdziawionymi ustami, chłonąc z namaszczeniem każde słowo. Miała nadzieję, że jeszcze przez dłuższy czas nie będą musiały się zatrzymywać. Chciała, żeby Ayli mówiła i mówiła.

- Po co ja ci to wszystko opowiadam? - Zamyśliła się na moment Ayli, postanowiła jednak kontynuować: - Wracając do strachu... Możesz się bać pajaka i nie ma w tym nic złego. Umówmy się, że te pajęczaki budzą odwieczny strach. Ale to, że się ich boisz, nie oznacza, że nie dasz rady wziąć słoika, złapać do niego pajaka, zakręcić wieko, wynieść na zewnątrz, położyć na trawie, odkręcić słoik, odsunąć się i poczekać, aż pajak z niego wyjdzie. Chcę przez to powiedzieć, że można się bać, ale nie można pozwolić, żeby ten strach decydował o twoim życiu i o tym, gdzie jesteś oraz co robisz. On nie może cię paraliżować. Strach jest dobry, warto go odczuwać, ale tylko po to, żeby stał na straży bezmyślnych decyzji. Musisz mieć świadomość niebezpieczeństwa, bo - znowu powiem coś starego jak świat - tylko głupi się nie boi. Ale musisz nauczyć się czerpać ze strachu siłę i zamieniać ją w pozytywną energię, taką,

która da ci motywację, zachęci, zaciekawi, wzburzy krew w żyłach i sprawi, że szybciej zabije ci serce, że wywoła gęsią skórę, że popłyną ci łzy szczęścia...

Carina płakała. Gdy się zatrzymały, Isabel krzyknęła przerażona:

- Matko jedyna, co się stało?!

Carina otarła łzy. Była szczęśliwa. Szczęśliwa, że poznała Ayli.

- Nic, ciociu, muszę się przesiąść do środka, bo piasek zaproszył mi oczy i tarłam je bez przerwy.

Ostatnim punktem wyprawy był obiad w restauracji o przewrotnej nazwie As Duas Cabras, czyli Dwie Kozy. Faktycznie serwowano tam lokalną kuchnię; jednym z polecanych dań było kozie mięso, bardzo soczyste i dość tłuste od środka, a chrupiące na zewnątrz. Udało się wrócić do hotelu kwadrans przed piętnastą. Isabel początkowo martwiła się o Carinę, jednak uspokoiła się, widząc, że oczy dziewczyny przestały łzawić. Podziękowali wspaniałemu Titi, który jak zwykle dołożył wszelkich starań, aby wycieczka była udana. Panie były bardzo zadowolone. Lurdes wraz z Isabel postanowiły wziąć prysznic i odpocząć, Carina zaś była najedzona i pełna sił, więc od razu zamierzała iść do bazy. Ayline skorzystała z możliwości i poprosiła, aby Titi zawiózł ją do portu.

- Powodzenia - powiedziała do Cariny, wręczając jej wizytówkę, po czym wsiadła do samochodu. - Pisz, gdybyś kiedyś czegoś potrzebowała. I pamiętaj, niech strach pomoże ci podejmować tylko dobre decyzje.

Dziewczyna odwdzięczyła się szerokim uśmiechem i pobiegła na plażę z plecakiem. Z oddali dostrzegła Nandu. Miała wrażenie, że się wystroił. Kiedy podeszła bliżej, poczuła także perfumy, których nigdy dotąd nie używał.

Boże, ten biedak sądzi, że mamy randkę - pomyślała.

I chyba się nie myliła. Nandu wyciągnął rękę na przywitanie, a gdy Carina zrobiła to samo, schylił nieco głowę i pocałował ją w dłoń. To było dość dziwne w jego wykonaniu. Dziewczyna chciała obrócić to w żart i szybko zabrać się do dzieła.

- Dla kogo się tak wystroiłeś? Rybkom jest chyba obojętne, co masz na sobie - zaśmiała się - równie dobrze mógłbyś nie mieć niczego. - Natychmiast pożałowała tych słów.

- Jeśli wolisz, mogę się rozebrać - odpowiedział Nandu dziwnym tonem.

Carina po raz pierwszy poczuła wahanie. To było bezczelne i dość jednoznaczne. Wyobraziła sobie, co będzie, jeśli znajdzie się z nim sam na sam na środku oceanu. A co, jeśli mu odbije i się na nią rzuci? Od początku dawał jej do zrozumienia, że mu się podoba. Poczuła wstręt, ale Nandu nie dał jej czasu do namysłu, przechodząc od razu do konkretów:

- Mam cały sprzęt, tak jak prosiłaś. Przebierz się, a ja poczekam. Tylko się pośpiesz, bo nie chcę, żeby zobaczył nas Mauricio. Wszyscy divemasterzy są zajęci, a on w niedziele nie pracuje. Zjawia się jedynie pod koniec dnia, żeby przed zamknięciem sprawdzić, czy wszystkie papiery się zgadzają.

Teraz zrobiło się naprawdę niemiło. Czuła, że on ją wręcz zmusza do zanurkowania, a nawet wydaje rozkazy. Zabawne, jeszcze niedawno myślała, że go perfidnie wykorzysta, a teraz się bała. Nandu to zauważył. Było coś jeszcze - z tego pośpiechu Carina zapomniała odebrać swoją piankę z pokoju cioci.

- Słuchaj, właśnie sobie uświadomiłam, że przecież ja jutro mam lot powrotny do domu i... powinna minąć doba po ostatnim nurkowaniu. Boję się, że... Jakby tego było mało, zapomniałam pianki, mam na sobie tylko kostium kąpielowy...

- Płyniemy czy nie? Jeśli ci się coś stanie, to ja za to oberwę. Albo ruszamy teraz, albo w ogóle. Pianką bym się nie przejmował, a do kalfasu oprócz płetw włożyłem też buty. Woda ma dwadzieścia cztery stopnie, strój kąpielowy jest wystarczający. Decyduj.

W uszach Cariny zabrzmiały echem słowa Ayli: „Niech strach pomoże ci podejmować tylko dobre decyzje”. To, że obleciał ją strach, było pewne, ale czy pomoże jej podjąć słuszną decyzję? Płynąć czy nie? Tego przecież chciała. Trudno, oby tego nie żałowała. Jeśli chodzi o ciśnienie, nie powinno być problemów,

w końcu nurkowanie będzie krótkie, a do godziny odlotu zdąży wypocząć.

- Płyniemy!

Jeszcze nie wiedziała, jak bardzo pożałuje tego wyboru i jak bardzo wpłynie on na całe jej życie...

Razem wepchnęli łódź do wody. Carina wskoczyła pierwsza, a Nandu jeszcze chwilę odpychał łódź od brzegu, po czym także wskoczył na pokład. Gdy było wystarczająco głęboko, uruchomił silnik. Ocean był nieco wzburzony, ale nie bardziej niż krew Cariny. Cały czas czuła na sobie spojrzenie Nandu. Udawała, że jest niewzruszona, ale to nie była prawda. Mknęli przed siebie; było jeszcze jasno, ale o tej porze w niedziele nie organizowano zazwyczaj nurkowań, więc na horyzoncie nie dostrzegła żadnej innej łodzi. Gdzieś w oddali majaczyła postać wielkiego statku, który podobno należał do wojska. Był bardzo daleko.

- Zaczynaj zakładać sprzęt! - krzyknął Nandu, zagłuszany przez silnik łodzi.

Serce Cariny waliło jak oszalałe. Bała się, co będzie, jak zacznie się rozbierać do kostiumu kąpielowego, a Nandu w końcu puści ster. Była bezbronna. Stąd nie ma ucieczki, nic jej nie da, jeśli będzie krzyczeć. Musiała szybko założyć kamizelkę i płetwy, a następnie wskoczyć do wody, żeby nie dać mu czasu do ewentualnego działania. Nigdy w życiu nie była w takiej sytuacji; nie wiedziała, jak się zachować. Nagle silnik zamilkł. Carina była już prawie gotowa do wejścia do wody. Uniosła głowę, żeby sprawdzić, czemu się zatrzymali. Dostrzegła bojkę. Pomyślała, że po prostu dotarli do Taliarte. Tak właśnie było.

- Denerwujesz się? - zapytał Nandu i pochylił się nad nią.

Poczuła jego perfumy. Były nieznośne; stał zdecydowanie zbyt blisko. Odsunęła się nieco w bok.

- Nadal uważam, że nie powinnaś nurkować sama. Może ściągniesz ten sprzęt i posiedzimy sobie tutaj? Będzie miło...

Zniżył ton głosu, mówił coraz wolniej i dotykał jej nóg. Czuła obrzydzenie. Żałowała, że się tu znalazła. Teraz nie było wyjścia.

Jeśli nie wskoczy do wody, to nie zdoła się obronić.

- Przestań, Nandu! - powiedziała stanowczo, ale to jeszcze bardziej go nakręciło. - Muszę zanurkować, po to tu przyплыliśmy. Obiecałam ci tańce, ale dopiero później, więc pozwól, że wykonam swoją robotę. Jeśli dotrzymasz swojego słowa, to ja dotrzymam swojego.

Kłamała, ale udało jej się uniknąć największego życiowego dramatu. Wtedy tak jej się przynajmniej wydawało, choć najgorsze dopiero miało nadejść. Już omal zapomniała, po co tu przyплыła.

- Uważaj na siebie - powiedział Nandu. - Nie chciałbym, żeby coś ci się stało.

Brzmiało to dość niedorzecznie z ust kogoś, kto przed chwilą sam próbował wyrządzić jej krzywdę. Sprawdziła automat, octopus, manometr, dociągnęła pas i dopompowała BCD. Upewniwszy się, że zabrała kamerę, dała znak i wykonała fikołka w tył. Nandu czekał, aż się wynurzy. Wyciągnęła automat i zakomunikowała:

- Schodzę.

Woda była ciepła, ale Carina dziwnie czuła się w tak skąnym stroju. Ten mężczyzna nie powinien jej widzieć tak ubranej, bo bardziej była rozebrana niż okryta. Powoli opuszczała się po linie, zastanawiając się, co zrobi, gdy wynurzy się z powrotem na powierzchnię. Do głowy przychodziły jej absurdalne pomysły. Rozważała nawet, że oddali się wystarczająco daleko, by Nandu jej nie dostrzegł i na dopompowanym BCD przyплыnie do brzegu, unosząc się na wodzie. Pomysł był tak samo głupi, jak to, że w ogóle wsiadła z Nandu do łodzi. Choć było to przerażające, nie pozostawało nic innego, jak czekać na nieuniknione. Dotarła na dno, rozejrzała się wkoło, zerknęła na komputer i manometr. Przedmuchała lekko maskę, bo czuła, że woda dostaje jej się do środka. Podejrzewała, że przyczyną mogło być użycie kremu przeciwsłonecznego, którego zapomniała zmyć, przez co maska ślizgała się po skórze. Ruszyła w stronę wraku. Powoli. Cały czas rozglądała się na boki. Przypomniała sobie chwile, które spędziła w oceanarium. Wiele razy nurkowała w zbiorniku z rekinami, gdy

konieczna była jakaś drobna interwencja techniczna. Te piękne, choć niebezpieczne ryby w każdej chwili mogły ją zaatakować. W oceanarium była spokojna. Tutaj nie. Serce waliło jej mocno. Była pewna, że jeśli w pobliżu są jakieś pływające drapieżniki, to w mgnieniu oka wyczują jej przyspieszony puls i zjawią się na żer. Przestała ruszać płetwami; zawisła w toni i złożyła ręce. Czekwała. W zasadzie przeszło jej przez myśl, że lepiej zginąć tu, niż doczekać ponownego spotkania sam na sam z Nandu. Po chwili coś zamigotało. Uniosła głowę. Cisza. Nic. Słyszała tylko jak pracuje jej automat. Ciśnienie: sto osiemdziesiąt barów. Znowu coś przepłynęło, tym razem wolniej, ale nadal niczego nie widziała. Uruchomiła czołówkę. Upewniwszy się, że kamera nagrywa, złożyła ją z powrotem na głowę i czekała dalej. Postanowiła podplłynąć bliżej wraku. Jeśli uda jej się nakręcić film, prawdopodobnie zostanie uznana za najbardziej odważną osobę na świecie. Albo za najgłupszą. Kto przy zdrowych zmysłach świadomie pakuje się tarapaty tylko po to, żeby sfilmować....

Rany boskie! – pomyślała, gdy to dostrzegła.

Omam nie wypluła automatu. Teraz się bała. Patrzył na nią. Zaczął się zbliżać, ale ostrożnie ją ominął. Czowała się niekomfortowo. Próbowwała nadążyć za nim, ale jej ruchy były zbyt niezdarne w porównaniu z jego obłym, smukłym i gibkim cielskiem. Miała nadzieję, że kamera wszystko nagrywa, ale nie było czasu sprawdzić, czy nadal działa. Zataczał wokół niej koła i uważnie obserwował. Ewidentnie się nią zainteresował. Promień koła był coraz mniejszy, a on był coraz bliżej. Kiedy musnął ją zimną płetwą, poczuła, że nie jest dobrze. Stał się natarczywy i agresywny. To był koniec albo raczej początek koszmaru. Wszystko, co działo się od tego momentu, było na wskroś obrzydliwe i przerażające...

Nie pamiętała, jak znalazła się na łodzi, ale zapamiętała, że Nandu ją dotykał tam, gdzie nie powinien. Coś do niej mówił, właściwie krzyczał, przeklinał. Była cała obolała, nie miała siły się poruszyć, bolały ją płuca. W chwili, gdy Nandu chaotycznie zakładał jej spodenki i bluzkę, straciła przytomność. Ocknęła się, leżąc na

plaży. Obok niej stał Nandu. Chciało jej się wymiotować. Wyrzygała na piasek wszystko, co miała w żołądku. Nie chciała na niego patrzeć. Próbowwała wstać. Przytrzymał ją, a ona zaczęła się szarpać. Mamrotała, żeby jej nie dotykał. Pomacała swoje ciało. Była ubrana. Czołówka osunęła się na jej szyję, ale nigdzie nie było widać sprzętu, nawet na łodzi. Nie musiała nic mówić. Z trudem doczłapała się do bazy i odszukała plecak. Zajrzała do środka; niczego nie brakowało. Była słaba. Osunęła się na ziemię i zaczęła płakać. Chciała iść do Isabel, ale wtedy prawda wyszłaby na jaw. Nandu nie czekał; zadzwonił po taksówkę, która szybko przyjechała. Kierowca o nic nie pytał, rzucił tylko jakieś porozumiewawcze spojrzenie w stronę Nandu, coś tam do siebie powiedzieli po kreolsku, po czym pomógł Carinie wsiąść do samochodu i zawiózł ją prosto do kwatery.

Nikt na nią nie czekał. Wszyscy gdzieś zniknęli. Tylko Mera podbiegła do bramy, bo wyczuła krew. Szła za Cariną, węsząc, dopóki ta nie zniknęła w swoim pokoju. Nikogo w nim nie było; przypuszczała, że grupa wybrała się wspólnie na obiad do miasteczka. Rzuciła plecak na podłogę, położyła się na łóżku, nakryła kocem i zasnęła.

## ROZDZIAŁ 36

- Carina, obudź się - powiedziała Marie, szarpiąc delikatnie jej ramię. - Masz, załóż to, bo zabrudzisz całą pościel.

Carina zerknęła na koleżankę mętnym wzrokiem. Czuła się jak po spożyciu narkotyków. Widziała, że koleżanka porusza ustami, słyszała, że coś do niej mówi, ale zupełnie nic do niej nie docierało. Marie wciskała jej do ręki jakiś przedmiot. Carina skupiła wzrok; dostrzegła, że to paczka tamponów. Chwyciła mimo woli i rozejrzała się wokół. Leżała na łóżku owinięta kocem, a pod nią ukazała się plama krwi. Chciała wstać, ale poczuła silny ból i aż zacisnęła zęby. Wtedy podeszły obie współlokatorki i pomogły jej się podnieść.

- Nie przejmuj się, mnie się też to czasem zdarza, niestety - powiedziała Natascha.

- Co? - wymamrotała Carina.

- Mówię, że czasem też dostaję okres w nocy i brudzę pościel. - Wyjaśniła, niczego nieświadoma. - No, wstawaj i idź pod prysznic, a ja spróbuję to zaprać.

Carina zajęczała, po czym osunęła się z powrotem na łóżko.

- Carina, musisz wstać, za trzy godziny mamy samolot. Nie chciałyśmy cię budzić, ale teraz to już przesada. Jak nie wstaniesz, to nie zdążysz...

Carina spojrzała na nią w cierpieniu.

- Boli...

- Aż tak cię boli? - Zdziwiła się Marie. - Zaczekaj, mam tabletki przeciwbólowe, na pewno ci pomogą.



Wstała z łóżka i podeszła do swojej torby. Dziewczyny najwyraźniej zdążyły się spakować, bo ich walizki stały już gotowe przy drzwiach. Trwało to dobrą chwilę, zanim Marie znalazła pigułki; musiała przy tym wypakować połowę rzeczy, co niespecjalnie jej się podobało, ale w końcu się udało. Idąc w stronę Cariny, chwyciła stojącą na półce butelkę wody i ponownie pomogła jej się dźwignąć. Wydobyła z plastikowego pudełeczka białą tabletkę i podała koleżance. Ta jednak spojrzała na nią i chwyciła opakowanie. Zanim Marie zdążyła ją powstrzymać, Carina wysypała na rękę co najmniej tuzin i szybko połknęła, popijając wodą.

- Zwariowałaś?! Nie możesz tyle wziąć naraz, nawet śniadania nie zjadłaś. Teraz będzie cię bolał żołądek.

- Jeżeli dzięki temu przestanie mnie boleć to, co mnie boli teraz, to nie mam nic przeciwko. Żołądek mało mnie w tej chwili obchodzi - odpowiedziała przepełniona smutkiem.

- Dobra, idź pod prysznic, a ja zajmę się prześcieradłem. Lepiej, żeby Rosana tego nie widziała, bo jeszcze obciąży nas kosztami.

Carina z wielkim trudem wstała z łóżka. Szła wolno, powłócząc nogami, i lekko przygarbiona trzymała się za brzuch. Koleżanki patrzyły na nią pełne współczucia. Carina to dostrzegła i pomyślała, że gdyby znały prawdziwy powód jej bólu, wtedy ich miny przypominałyby twarz cierpiącej pod krzyżem Chrystusowym Marii. Ból był jednak niczym w porównaniu z tym, co siedziało w jej głowie. Dałaby wszystko, żeby o tym zapomnieć.

Zbliżała się godzina jedenasta czasu lokalnego. Po kilkunastu tabletkach przeciwbólowych, które wzięła doustnie, Carina czuła się nieco lepiej, ale było to dalekie od komfortu. Każdy zauważył jej kiepski stan, ale wszyscy uczestnicy wymiany studenckiej przypuszczali raczej, że Carina zabawiła zeszłej nocy i teraz ma kaca. Nikt nie zadawał zbędnych pytań. Wkrótce miała rozpocząć się odprawa lotu do Lizbony. Na monitorze znajdującym się nad jedyną bramką w strefie odlotów w dalszym ciągu wyświetlał się napis „SID, Ila Sal”, który pozostawał niezmienny od kilku godzin, kiedy to odprawiano pasażerów na lotnisko Amílcar Cabral, jednej

z sąsiednich wysp archipelagu. Port lotniczy na Boa Vista był tak niewielki, że o zagubieniu podróżnych nie było mowy, dlatego najwidoczniej aktualizacja wyświetlanych na ekranie informacji nie była priorytetem; nawet nie była konieczna. Między pasażerami siedzącymi na szerokich i bardzo wygodnych ławkach krążyła kobieta ubrana w sięgającą za kolano granatową spódnicę i bluzkę w tym samym kolorze, na którą narzuciła odblaskową kamizelkę o barwie jaskrawożółtej, która przed każdym odlotem, a więc średnio co godzinę, nawoływała kolejnych podróżnych do odprawy. W końcu wybiła „godzina zero”. Z głośników rozległ się komunikat: „Szanowni państwo, rozpoczynamy odprawę lotu do Lizbony. Pasażerów podróżujących z dziećmi prosimy o ustawienie się w pierwszej kolejności”. Wszyscy wstali żwawo, tylko Carina ledwo podniosła się z siedzenia. Marie ujęła ją pod ramię; przez moment każdy zerknął w ich stronę, ale prędko odwrócili głowy, udając, że nie są tym zainteresowani. Carina nie tylko zaaplikowała sobie tampon od Maire, lecz także założyła podpaskę, którą z kolei zaproponowała jej Natasha. Bała się, że podczas kilkugodzinnego lotu przydarzy jej się to, co w nocy. Czuła ogromne zażenowanie; była spięta i zestresowana. Wydawało jej się, że wszyscy ją obserwują, i tak w zasadzie było. Chciała, żeby to się już skończyło; marzyła, żeby wrócić do domu i zaszyć się w swoim pokoju. To było naiwne.

Nie mogła wiedzieć, że to, co przydarzyło jej się wczoraj, zamieni resztę jej życia w istny koszmar...

Samolot wystartował mimo silnego wiatru. Początkowo profesor wyraził obawy, że przy takich warunkach atmosferycznych na pewno odwołają lot, ale najwidoczniej Kabowerdeńscy byli przyzwyczajeni, że wiatr zawsze wieje, i gdyby mieli wstrzymać loty z tego powodu, to pewnie żaden samolot nie opuściłby płyty lotniska przez większą część roku. Jeszcze tylko chwila kołysania, zatkanie uszy, by po chwili sunąć jednostajnie na pułapie dziesięciu tysięcy metrów. Wyłączono sygnalizację zapiętych pasów i w niemal jednej chwili spora grupa pasażerów wstała z foteli, by sięgnąć po

bagaż umieszczony w przedziale nad głowami lub pójść do toalety.

Carina siedziała niemal nieruchomo, marszcząc czoło. Przyglądała się innym. Zastanawiała się, jak to możliwe, że dopiero co wystartowali, a ci wszyscy ludzie mają tyle rzeczy do zrobienia. Siedzieli na lotnisku nawet dwie godziny, mieli toalety pod nosem, jedli w barze, kupowali pamiątki, rozmawiali ze swoimi współtowarzyszami i mimo to tuż po starcie znowu muszą korzystać z toalety, zamieniać się miejscami, wstawać i wykonywać serię dziwnych ruchów, tak jakby siedzieli co najmniej dziesięć godzin w jednej pozycji. Prosił obsługę o niestworzone rzeczy: „a może to, a może tamto, a może podnózek, zagłówek, gazetka, piwko, woda, słuchawki...” Obserwowała ich z lekkim niesmakiem. Chciała, żeby w końcu usiedli na swoich dupskach, przestali wrzeszczeć, szeleścić, chodzić wte i wewte, przestali przeszkadzać... Chciała zasnąć. Zapamiętała tylko moment, gdy spojrzała w okienko. Na zewnątrz rozpościerała się kraina szczęśliwości - niekończący się dywan utkany z zawiesiny mikroskopijnych cząstek cieczy, który niczym puchowa pierzynka otulał świat znajdujący się pod nimi; świat, gdzie w tej chwili ktoś siedzi na tarasie w blasku promieni słonecznych i popija mojito, ktoś inny przebywa w dusznym i ciemnym pokoju przy biurku pełnym teczek i papierów, trzymając w ustach papierosa i łyka kolejną tabletkę na ból głowy, a jeszcze inny tańczy, rodzi się lub umiera. Ten świat był teraz daleko, ale myśl o nim - uciążliwa. Po raz pierwszy w życiu doświadczyła zawodu. Coś, co było piękne, okazało się brutalne. Zamknęła oczy. Spała do końca lotu.

## ROZDZIAŁ 37

- Jak było? - zapytała Gisela, uradowana na widok córki.

Podeszła i objęła ją, całując w policzek. Zauważyła, że humor niekoniecznie jej dopisuje, ale zgoniła to na długą i męczącą podróż. Było już późne popołudnie; radośnie cykający zegar w kuchni wskazywał siedemnastą.

- Dobrze. Lot mnie wykończył. Padam z nóg - odpowiedziała niechętnie. - A jak tobie minął czas z... zapomniałam, jak jej na imię...

- Karou. Bardzo miła dziewczyna. Zabrałam ją nawet do twojego oceanarium, spodobało jej się. Szkoda, że jej nie poznałaś, mogłybyście się zaprzyjaźnić. Masz jutro zajęcia czy odpuścili wam? Ach, i słyszałam, że spędziłaś trochę czasu z Isabel i Lurdes. Podobno była tam jeszcze jakaś znajoma... A może masz ochotę na makaron z tuńczykiem? Jesteś głodna? Carina, czy ty mnie w ogóle słuchasz?

Matka gadała jak najęta, zupełnie nieświadoma cierpienia, przez które przechodziła córka. Nie było sensu z nią dyskutować.

- Pójdę do siebie, muszę się położyć.

Powłócząc nogami, wspięła się po schodach na piętro i zniknęła w czeluściach swojego pokoju. Gisela nie protestowała. Sama nie przepadała za podróżami, a co do tego, że dzisiejszy lot nie wpłynął korzystnie na córkę, nie miała żadnych wątpliwości.

Równo o siódmej wieczorem rozległ się dzwonek do drzwi. Gisela siedziała w salonie z książką w ręce; zdjęła okulary, odłożyła

je na półkę i podeszła do wejścia. Przed domem ujrzała koleżankę Cariny.

- Marie!

- Dzień dobry, zastałam Carinę?

- Tak, wchodź, proszę...

Weszły do środka. Gisela nie była pewna, czy córka zechce przyjąć gościa; podejrzewała, że śpi, ale wpuściła dziewczynę z pewnym zamiarem.

- Wiesz, Carina wróciła bardzo zmęczona i dość smutna. Od przyjazdu śpi w swoim pokoju. Czy ona... Zastanawiam się, czy może coś jej się...

Marie uśmiechnęła się i machnęła ręką.

- Niech się pani nie martwi, to nic poważnego. Akurat przed lotem dostała okres i... skutecznie odebrało jej to siły. Nie dziwię się, że postanowiła się zdrzemnąć. Przyszłam, bo jeszcze będąc na wyspach, umówiliśmy się na wieczór. Mamy taką studencką imprezę. Carina obiecała, że przyjdzie.

- Ach, tak - odrzekła Gisela, uspokojona tymi słowami. - W takim razie pójdę po nią. Usiądź, proszę, i zaczekaj.

Kobieta udała się na górę i zapukała delikatnie do drzwi. Nie doczekała się odpowiedzi, więc zapukała mocniej. Zdawało jej się, że córka coś mówi. Uchyliła drzwi.

- Kochanie, śpisz?

Usłyszała westchnienie. W pokoju panował lekki mrok. Carina leżała na łóżku w ubraniu. Gdy dźwignęła głowę, Gisela zobaczyła, że na lewym policzku odcisnęły jej się guziki od poduszki.

- Spałam. Co się stało?

- Jest tu Marie. Przyszła po ciebie, bo podobno byłyście umówione...

- Umó... co? Ach, tak... chyba tak... Która godzina?

- Po siódmej. Zejdiesz do niej, czy mam powiedzieć, że...

- Sama jej powiem - ucięła krótko Carina.

Gisela zeszła na dół, nie chcąc, by koleżanka jej córki długo czekała sama w salonie. Gdy się tam zjawiała, Marie wstała z fotela

z pytającą miną.

- Carina zaraz zejdzie. Chyba zapomniała o waszym spotkaniu. - Uśmiechnęła się, na co dziewczyna odpowiedziała tym samym.

Siedziały tak dłuższą chwilę w zupełnej ciszy. W końcu ze schodów dobiegł dźwięk kroków. Na dole zjawiała się Carina. Wyglądała koszmarnie i tak też wykrzyknęła na jej widok Marie:

- Jak ty wyglądasz! Chyba nie chcesz tak pójść? Jak cię Conrado zobaczy w takim stanie...

- Kto? - powiedziały niemal jednocześnie matka i córka.

- Nasz kolega z roku - odpowiedziała, kierując słowa do Giseli.

- Carina bardzo mu się podoba i...

- Czy możesz się zamknąć? Po co mówisz takie rzeczy, przecież to bzdura. Mamo, nie słuchaj jej, to jakiś baran. Nie mam ochoty go oglądać.

- Jaki baran, jaki baran! Fajny chłopak. Tobie, jak zwykle, nic się nie podoba - zażartowała Marie, lecz Carina nie była w nastroju.

- No, dobrze już, nie gniewaj się. Nie chcesz z nim rozmawiać, to nie. Ale obiecałaś, że ze mną pójdziesz. Będą wszyscy, zobaczysz, spodoba ci się. Trochę relaksu dobrze ci zrobi.

Dziewczyna nie przestawała namawiać Cariny, aż w końcu ta uległa, bo w zasadzie było jej wszystko jedno. Musiała zająć czymś głowę, żeby nie myśleć o tym, co ją spotkało.

- No dobrze, pójdę, ale tylko na chwilę. Nie myśl, że będę tam siedzieć do rana - odezwała się niechętnie.

- Super! Tylko się pomaluj, bo wyglądasz, jakby cię autobus przejechał...

- Chciałabym, żeby to był autobus - wymamrotała cicho pod nosem.

- Co tam bełkoczesz?

- Nic. Nie zamierzam się przebierać ani malować. Idę tak albo wcale.

W końcu odezwała się Gisela, jak zwykle nadopiekuńcza wobec córki.

- Jeśli źle się czujesz, to może faktycznie sobie odpuść -

zasugerowała. – Gdzie ma być ta impreza? Może was podwiozę?

Mimo starań dziewczęta niewiele zdradziły na temat planowanej zabawy. Jedyne, czego się dowiedziała, to że wybierają się na plażę i zamierzają rozpalic ognisko. Gdy wyszły, Marie zapytała:

– Nie gniewaj się, że cię namówiłam, ale naprawdę uważam, że powinnaś się trochę rozerwać. Będzie piwko, gitara... od razu poczujesz się lepiej.

– Taa...

– Ale tak serio, jak się czujesz?

– Nie mówmy o tym, Marie. To był ciężki tydzień...

Koleżanka nie chciała dalej drążyć tematu. Wierzyła, że świeże powietrze dobrze zrobi Carinie. Po drodze wstąpiły do marketu po alkohol, który wylądował w plecaku. Carina upierała się, że nie ma na nic ochoty, ale Marie profilaktycznie kupiła więcej piwa.

Umówili się przed wejściem do restauracji Porto Belho. Na miejscu czekała już reszta ekipy. Był wśród nich także Conrado. Carina czuła, że się jej przygląda. Na szczęście zrobiło się nieco ciemniej, więc prawdopodobnie jej worki pod oczami i podpuchnięte powieki nie były dostrzegalne w świetle zachodzącego słońca. Jedyne, czego nie dało się ukryć, to grymasu na jej twarzy.

Zanim całkiem się ściemniło zdążyli rozpalic ognisko. Znaleźli dogodne miejsce, dość daleko od drogi, by pozostać niedostrzegalnymi dla przejeżdżających samochodów, ale jednocześnie wystarczająco blisko, żeby mieć kilka minut pieszo do przystanku autobusowego. Rozsiedli się na przewalonych dawno pniach drzew, chociaż raczej należało przypuszczać, że to woda wyrzuciła je na brzeg, porywając uprzednio ze stromych brzegów porośniętych lasem po drugiej stronie Tagu. Zrobili z nich coś na kształt ławek i ustawili wokół ogniska, które płonęło u stóp skarpy, jaka powstała przez osunięcie się w tym miejscu brzegu. Podłoże było tu na wpół piaszczyste i mieszało się z ziemią.

– Stąd nie zobaczą nas gliny – odezwał się najwyraźniej

wstawiony chłopak o bardzo szczupłej budowie ciała.

- Jeśli będą chcieli, to i tak nas znajdą. Słyszałem, że w okolicy krąży po nocy mnóstwo patroli - ktoś inny odpowiedział, patrząc w stronę płomieni.

- Czego szukają?

- Nie słyszeliście? - zdziwiła się jedna ze studentek siedząca na kolanach swojego chłopaka, sącząc wino wprost z butelki. - Podobno grasuje tu morderca.

Wszyscy parsknęli śmiechem, tylko Carina pozostała bez reakcji.

- Skąd to wiesz?

- Bo moja ciotka pracuje po cywilnemu na komendzie i uprzedziła mnie, żeby unikać nocą chodzenia po plaży - odpowiedziała.

- No to ładnie się słuchasz ciotuni, ha, ha! - Naraz zaśmiała się spora grupka chłopaków.

Conrado, który siedział w milczeniu z puszką piwa w ręku, nagle zmienił temat i powiedział, biorąc porządny łyk:

- Kto ma ochotę na kąpiel?

Nikt się nie odezwał. Sylwetka chłopaka majaczyła w blasku palącego się drewna; był bardzo dobrze zbudowany. Sam najwyraźniej nie żartował. Jednym haustem dokończył trunek i ruszył w stronę wody. Po drodze zbliżył się do Cariny.

- Ty też wymiękasz? - zapytał cicho. - Uratuj honor wydziału oceanografii... chyba potrafisz pływać?

- Stary, nie masz szans. Nasza Carina pływa z rekinami! - wrzasnął ktoś pijanym głosem.

Conrado zbliżył do niej twarz i spojrzał jej w oczy.

- Nic nie pijesz?

- Nie - odpowiedziała oschle.

- To może ja wskoczę do wody i popływam, a ty mnie uratujesz, jakbym zaczął się topić, co? Skoro tak dobrze pływasz i jesteś trzeźwa...

Prowokacja była raczej tandetna, ale skuteczna. Carinie nie



zależało, żeby iść z Conradem popływać, ale stanie przed bandą pijanych kolegów też niekoniecznie ją zadowalało, więc z dwojga złego wybrała towarzystwo chłopaka, jeśli faktycznie zamierzał się topić. Ruszyła powoli w stronę rozlewającej się szerokim korytem w kierunku oceanu rzeki Tag.

- Tylko uważajcie, żeby was rekiny nie zjadły, ha, ha!

Nie reagowali na zaczepki. Szli powoli w blasku księżyca będącego w pełni.

- Fajnie, że przyszłaś...

- Wcale nie chciałam tu przychodzić - powiedziała po chwili milczenia.

- Wybacz, że to powiem, ale wyglądasz okropnie. Widać, że ledwo trzymasz się na nogach... na pewno nic nie piłaś? - zapytał Conrado.

Po raz pierwszy Carina poczuła się niekomfortowo w jego towarzystwie. Do tej pory wydawał jej się nieszkodliwym, napakowanym dziwakiem, który mało ją obchodził, ale teraz jego obecność była stresująca. Tym bardziej, że jego pytania wydały jej się podejrzane; jakby chciał się przekonać, na ile jest trzeźwa i na ile ma siłę. Co zamierzał? Zorientowała się, że odeszli dość daleko od ogniska. Stąd już ledwo dało się usłyszeć, o czym rozmawiali imprezowicze, mimo że na tym etapie upojenia alkoholowego komunikowali się zdecydowanie na wyższych tonach.

- Wracajmy już - powiedziała nerwowo.

Conrado spojrzał na nią i musnął jej rękę swoją dłonią.

- Co się stało? Przestraszyłaś się tych opowieści o mordercy?

To, co mówił, zupełnie odebrało jej chęć do jakiegokolwiek dalszej rozmowy z nim. Przerażona ruszyła z powrotem. Wtedy Conrado podbiegł i chwycił ją za rękę.

- Puść mnie! - krzyknęła przerażona.

- Carina, nie bój się, tylko żartowałem. Ja naprawdę chcę się wykapać, proszę, nie odchodź. Wejść do wody. Poczekaś na mnie pięć minut? - zapytał. - Proszę...

Carina patrzyła na niego zmieszana. Teraz sprawiał wrażenie

milego. Nawet głupio jej się zrobiło, że posądziła go o jakieś nieczne zamiary. Gdy nieco się uspokoiła, usiadła na plaży, dając tym do zrozumienia, że poczeka. Conrado uśmiechnął się i ściągnął koszulkę. Carina nie patrzyła teraz w jego stronę. Dawała mu jasny sygnał, że nie jest nim zainteresowana i jedynie łaskawie poczeka, aż się wykąpie. Po chwili usłyszała plusk wody. Chłopak zanurzał się coraz bardziej w wodzie, aż zaczął niemal bezszelestnie dryfować.

- Chodź, woda jest cudowna! - krzyknął, lecz nie doczekał się odpowiedzi. Widział tylko, że Carina nadal siedzi w blasku księżyca.

Nie minęło kilkanaście sekund, jak znowu zaczął się wygłupiać i wrzeszczał, że go coś wciąga. Szamotał się przy tym okropnie. Przez moment Carina pomyślała, że faktycznie coś mu się dzieje, ale zorientowała się, że to kolejna durna zagrywka, by zmusić ją do wejścia do wody. Wtedy jednak przypomniała sobie o straszliwym wydarzeniu na środku oceanu przy Boa Vista i aż wzdrygnęła się na myśl, że miałyby do niej wskoczyć.

- Wychodź już, zimno mi. Wracamy!

Odczekała moment, aż w końcu Conrado zaczął powoli płynąć w stronę brzegu. Ona stała i czekała na niego nieco zła. Dosięgnął nogami dna i dalej już szedł. Ona nadal stała niewzruszona, udając, że patrzy w dal. Dopiero, gdy był dwa metry od niej spostrzegła, że jest całkiem nagi. Oburzyła się i odwróciła w drugą stronę.

- Nie mów, że nie widziałeś nigdy nagiego faceta, ha, ha! Taka cnotka z ciebie, Carinko? - drwił.

Ruszyła przed siebie, lecz on szybko zdążył się ubrać. Odwróciła głowę i zobaczyła, że chłopak podbiega do niej. Ona też zaczęła biec. Chwycił ją w talii.

- Przed chwilą twierdziłaś, że ci zimno. Chodź, ogrzeję cię...

- Przestań, puść mnie natychmiast! - krzyknęła.

Popatrzyła w stronę reszty grupy. Byli nadal dość daleko. Wyciągnęła rękę, dając znak, by się nie zbliżał, i powoli szła tyłem. Nie miała już siły biec, była cała obolała. Zaczęła płakać i błagać, żeby jej nic nie robił. Wtedy zbliżył się i chwycił ją, obejmując

dłońmi jej twarz. Poczwała jego alkoholowy oddech...

Czuła ogromny ból w podbrzuszu, ale mimo to biegła ze łzami w oczach. Stopy wbijały jej się głęboko w piasek, co utrudniało ruchy i jeszcze bardziej potęgowało ból, zmuszając mięśnie do wytężonej pracy. Kierowała się w stronę ulicy, na nic nie bacząc. Z oddali dostrzegli ją studenci. Marie zaczęła krzyczeć do niej, ale Carina nie reagowała.

- Co się tam dzieje? Czemu ona ucieka? - zapytała Marie i ruszyła za nią.

Carina upadła tuż przed jezdnią i zwinęła się w kłębek, płacząc. Wtedy zauważył ją kierujący pojazdem mężczyzna i zatrzymał się. Kilka sekund później zjawiała się Marie i rzuciła na ziemię w stronę przyjaciółki.

- Carina, co ci jest?! Słyszysz mnie? Boże, ty cała krwawisz...

- Co tu się dzieje?! - krzyknął mężczyzna prowadzący białego opła.

- Nie wiem, koleżanka na moment zniknęła nam z oczu, a teraz widzi pan, leży zakrwawiona.... Carina! Powiedz coś!

Mężczyzna, słysząc te słowa, rozejrzał się po okolicy i wtedy zauważył palące się w oddali ognisko i grupę ludzi. Domyślił się, że ma tu miejsce jakaś popijawa. Chwycił za telefon. Marie widząc to, zapytała:

- Co pan robi?

- Dzwonię po pogotowie.

- Nie ma czasu, zanim tu przyjadą, ona się wykrwawi. Proszę, niech pan nas zabierze do szpitala... Błagam... Nie ma czasu!

Wtedy przy samochodzie znalazło się kilka innych osób, mocno wstawionych. Marie kazała im wracać.

- Idźcie tam, ja się nią zajmę. Poszukajcie Conrada... - mówiła, a ręce cały czas jej drżały.

Zapakowali się do samochodu; Carinę położyli na tylnej kanapie, a Marie usiadła obok niej. Mężczyzna ruszył przed siebie, kierując się w stronę najbliższego szpitala. Przez całą drogę milczał, tylko zerkał w lusterku na siedzące z tyłu dziewczyny. Droga do

szpitala nie zajęła więcej niż kilka minut, ale Marie wydawało się, że minęła cała wieczność.

## ROZDZIAŁ 38

Zrobiło się chłodno, ale sytuacja była tak dramatyczna, że skutecznie podnosiła ciśnienie. Mężczyzna, który je tu przywiózł, już odjechał. Marie biegła za lekarzami, którzy transportowali Carinę na noszach. Nagle ktoś zastawił jej drogę.

- Pani należy do rodziny poszkodowanej? - Ubrana w niebieski kitel kobieta zapytała oschle, czując od dziewczyny piwny oddech.

- Co? Nie, to znaczy... jestem przyjaciółką, przyjechałam z nią.

- Proszę tu poczekać. Dalej nie może pani pójść. Teraz lekarze zajmą się pani koleżanką.

Zamknęła przed nią szerokie, szare drzwi i odeszła. Marie usiadła na krześle, które stało tuż obok. Czekwała ze spuszczoną głową. Nagle poczuła jakieś mrowienie. Zorientowała się, że to telefon w kieszeni kurtki, który wibruje. Na wyświetlaczu pojawiło się nazwisko Natashy.

- Halo?

- Gdzie wy jesteście?! Co się stało?! - krzyczała.

- Uspokój się. Nie wiem, co się stało, pojechałam do szpitala z Cariną. Bóg wie, co oni tam robili. Była cała zakrwawiona.

- Matko jedyna! Może to ten palant coś jej zrobił? Pamiętasz, co mówili o mordercy? Może to on?

- Mówię ci, uspokój się i wracaj do domu! Nie wiemy, co się stało. Czekam, aż ją zbadają, wtedy dam ci znać. Gdzie jesteś?

Nastała cisza, jakby urwał się sygnał. Po chwili znowu odezwała się w słuchawce Natasha.

- Halo? Słyszysz mnie? Natasha!

- Jestem. Przez moment nic nie było słychać. Po co wezwałaś gliny?

- Co? To nie ja. Przyjechali tam?

- Tak. Wszystkich zgarnęli. Mnie już spisali i wypuścili. Przesrane! Teraz jestem w policyjnym rejestrze!

- Uspokój się! Ile razy mam powtarzać, żebyś wracała do domu? Tylko nie szlajaj się nigdzie sama po drodze. Słyszysz?

- Matka mnie zabije, jak się dowie.

- Idź do domu! Rozumiesz? Zadzwoń do ciebie, gdy tylko czegoś się dowiem.

Dotykając czerwonej ikonki słuchawki, przesunęła palcem w lewo i zakończyła rozmowę. Skuliła się na krześle.

To wszystko moja wina, mogłam jej nie wyciągać na tę imprezę - pomyślała.

Czas płynął wolno. Marie dostała jeszcze kilka wiadomości od znajomych z imprezy, którzy także zostali przewiezieni na komisariat, po czym wyszli poinformowani o możliwości wezwania w celu złożenia dalszych zeznań. Po godzinie w korytarzu pojawił się lekarz. Mężczyzna zatrzymał się przy Marie:

- Co z nią?

- Pani przyjechała z poszkodowaną?

- Tak. Co jej jest?

- Przykro mi, ale z tego co mi wiadomo, nie jest pani spokrewniona z pacjentką, więc nie mogę pani udzielić żadnych informacji. Skontaktujemy się z rodziną, a pani może wracać do domu - wyrecytował na jednym wdechu i dodał na koniec - Aha, tamten pan chciałby jeszcze zamienić z panią słowo.

To mówiąc, wskazał na stojącego w końcu korytarza typa. Marie nie dyskutowała z lekarzem, i tak miała marne szanse, żeby się czegoś dowiedzieć. Pomyślała, że pojedzie do domu Cariny i sama powie jej mamie, że córka jest w szpitalu. Ruszyła w stronę wyjścia. Mężczyzna czekał tam celowo; nie było możliwości, żeby go ominąć. Nie знаła go. Zapięła kurtkę i wsunęła ręce do kieszeni, czekając,

co jej powie ten facet.

- Pani Gomes, jak mniemam?

- Kim pan jest?

- Komisarz Silva Campos z wydziału kryminalnego. Chciałbym pani zadać kilka pytań. Zapraszam do radiowozu, pojedziemy na komisariat. - Wskazał ręką w stronę drzwi.

- Czy to konieczne?

Uśmiechnął się.

- Raczej tak. Proszę nie marnować czasu, im szybciej złoży pani zeznania, tym prędzej wróci do domu.

Komisarz był zadowolony. W końcu coś konkretnego. Jak dowiedział się od lekarzy, dziewczyna ewidentnie została zgwałcona. Należało się śpieszyć, jej stan nie pozwalał na przesłuchanie, ale liczył, że rano mu się to uda i nakłoni ją do pobrania materiału z jej ciała. Pierwsza ofiara zgwałcenia, która nie została zabita. To mógł być kamień milowy w sprawie serii zabójstw na tle seksualnym. Tymczasem udali się do jego samochodu. Silva Campos poruszał się nieoznakowanym wozem.

- Myślałam, że to radiowóz. - Zatrzymała się na schodach Marie. - Skąd mam wiedzieć, że jest pan z policji, a nie tym zabójcą?

Komisarz przystanął na moment, po czym westchnął z niedowierzaniem, bo nigdy nie spotkał się z taką sytuacją. Nawet go to rozbawiło.

- Droga pani - zaczął spokojnie - pokazałem pani odznakę. Jestem komisarzem w wydziale kryminalnym i nie jeżdżę radiowozem jak patrol drogowe. Jeśli jednak nadal mi pani nie ufa, mogę wezwać radiowóz i pojedzie pani z umundurowanymi funkcjonariuszami.

Ona także nigdy nie była w takiej sytuacji. A co, jeśli każe wezwać radiowóz? Wkurzy się? Pomyślała, że chyba zaczyna mieć schizy po tej opowieści przy ognisku.

- Nie trzeba, pojedę z panem.

Komisarz zaparkował w bocznej ulicy odchodzącej od budynku

komisariatu. Wysiadł. Marie poszła w jego ślady. Posłusznie dreptała za mężczyzną, marząc o tym, żeby ten koszmar się skończył. Bała się o Carinę. Przemierzywszy korytarz główny, udali się po schodach na pierwsze piętro. Tam Silva Campos poprosił, by usiadła na krześle znajdującym się tuż obok jego biurka. Odsunął na bok popielniczkę pełną petów i zgarnął z blatu stosy jakichś żółtych kartek, zamykając je w szufladzie. Następnie przygotował notes i otworzył laptopa.

- Poproszę pani dokument tożsamości - powiedział, wyciągając rękę do Marie.

Jakie szczęście, że w ogóle zabrała ze sobą dowód. Miała go w futerale na komórkę i tylko dlatego wzięła go na plażę, inaczej nie widziałaby takiej potrzeby. Podała mu go do ręki, cały czas milcząc. Komisarz wpisywał zapewne jej personalia do bazy danych, bo od kilku minut tylko klikał na klawiaturze. Niestety nie widziała, co znajdowało się na policyjnym monitorze. Czekwała, gapiąc się na jego dość mozolne ruchy. W końcu oddał jej dokumenty.

- A zatem... Marie Gomes, co mi pani powie o dzisiejszym zdarzeniu?

- Czy ja jestem o coś oskarżona? - zapytała nieco naiwnie Marie, co także rozbawiło komisarza.

- Jeszcze nie. Ale niewykluczone, że tak się stanie, jeśli będzie pani utrudniać śledztwo - powiedział złowieszczo. - Póki co chciałbym, żeby pani pomogła mi zrozumieć, kto i dlaczego wyrządził krzywdę pani koleżance. Zamieniam się więc w słuch.

- Nie wiem, od czego zacząć...

- Najlepiej od początku.

Wzięła oddech, zamrugła oczami i po chwili namysłu powiedziała:

- Dzisiaj wieczorem umówiliśmy się z kolegami ze studiów, że pójdziemy na plażę. Tak też się stało. Kilka godzin temu część z nas wróciła z tygodniowego pobytu na wyspie Boa Vista, więc chcieliśmy porozmawiać i spędzić wspólnie czas, zanim wrócimy na zajęcia.



- I mam rozumieć, że poszliście tam posiedzieć i pozartować?

- Tak.

- Pijąc herbatę?

- Nie. Piliśmy alkohol. Każdy coś miał ze sobą.

- Wie pani, że picie w miejscu publicznym, a plaża do takich należy, jest zabronione?

- Nie wiedziałam. Wcześniej mi się to nie zdarzało. Jeśli piję alkohol, to tylko w jakiejś knajpie przy kolacji. Nie sądziłam, że komuś to będzie przeszkadzać.

- No dobrze... i co było dalej?

- Carina, moja koleżanka, źle się czuła już przed wylotem z wyspy, bo...

- Bo co?

- To krepujące i chyba nie ma znaczenia...

- Słucham panią.

- Dostała okres w noc poprzedzającą wyjazd i rano czuła się fatalnie. Bolał ją brzuch. Wzięła środki przeciwbólowe. Podróż była dla niej bardzo męcząca, więc kiedy przyleciałyśmy do kraju, Carina wróciła do domu i od razu poszła spać. Zjawiłam się u niej wieczorem, ale nie sądziłam, że nadal jest w kiepskim stanie. Ostatecznie sama stwierdziła, że chce iść na tę imprezę, więc poszłyśmy. Na plaży było w sumie kilkanaście osób, może dwadzieścia. Rozpaliliśmy ognisko i grzecznie sobie siedzieliśmy. - Zrobiła krótką przerwę. - Jeden z kolegów chciał się wykapać w rzece, choć nikt nie wyraził na to chęci. Wtedy podszedł do Cariny i zaczął ją bajerować.

- W jakim sensie?

- Coś tam jej powiedział na ucho. Pytał, czy umie pływać i czy wejdzie z nim do wody.

- I co ona na to?

- Nie zamierzała wchodzić do wody, ale poszła z nim, żeby w razie czego się nie utopił, bo była jedyną trzeźwą osobą w towarzystwie.

Komisarz cały czas notował i zerkał na Marie, pozwalając jej

mówić dalej.

- Wtedy oboje się oddalili, aż zniknęli nam z oczu. Minęło może pół godziny, gdy zobaczyłam, że kawałek dalej ktoś biegnie. Rozpoznałam Carinę. Kierowała się w stronę ulicy i tam potem upadła. Ruszyłam za nią i wtedy zatrzymał się jakiś samochód, który zabrał nas do szpitala.

- Zauważyła pani coś niepokojącego u koleżanki?

- Najbardziej niepokoiła mnie ta krew na spódnicy. Myślałam, że dostała jakiegoś krwotoku przez ten okres. W pierwszej chwili nie pomyślałam, że...

- Że co?

- Że to może ten chłopak coś jej zrobił.

- No właśnie, jak on się nazywa?

- Conrado, ale nie znam nazwiska. On studiuje na innym wydziale, ale od jakiegoś czasu wypytywał o Carinę i ta impreza miała być pretekstem, żeby się spotkali. Chociaż Carina nie była nim w ogóle zainteresowana.

- Proszę opisać, jak on wygląda.

- Wysoki, wyższy ode mnie, dobrze zbudowany. Półdługie, ciemne włosy założone za ucho, a twarz jak u Kena.

- Kogo?

- Taka lalka... kojarzy pan Barbie? To jej chłopak.

- Proszę sobie ze mnie nie kpić.

- Nie kpię. On ma taką lalusiową twarz.

- Dobrze, proszę kontynuować. Czy dostrzegła go pani, gdy koleżanka biegła po plaży?

- Nie. Nie było go tam. Gdy rozmawiałam potem przez telefon z koleżanką, siedząc w szpitalu, powiedziała, że zjawił się dopiero po chwili. Zdziwiony pytał, gdzie jest Carina.

Komisarz nadal notował.

- Myśli pani, że mógłby być zabójcą?

- Słucham? - zapytała jakby nie dosłyszała pytania.

- Pytam, czy według pani mógł próbować zabić pani koleżankę?

- Czemu pan o to pyta? Skąd ja mogę wiedzieć? To chyba dość

poważne oskarżenie... Nie znam tego chłopaka.

- I chce pani powiedzieć, że nawet przez chwilę nie przeszło pani przez myśl, że to może być ten zabójca?

- Ten, czyli który?

- Nie wiem. Pani o nim wspomniała, gdy jeszcze rozmawialiśmy w szpitalu. Wyraziła się pani dokładnie tak: „Skąd mam wiedzieć, że jest pan z policji, a nie tym zabójcą” - wyrecytował. - Teraz sobie pani przypomina?

Marie zbladła.

- Faktycznie, tak powiedziałam. - Spuściła wzrok.

- Kogo miała pani na myśli?

- Gdy siedzieliśmy sobie przy ognisku, jedna z koleżanek powiedziała, że jej ciotka pracuje na komisariacie i podobno ostrzegała ją, że w okolicy grasuje morderca.

- Powiedziała coś więcej na ten temat?

- Nie. Zmieniliśmy temat. A właściwie...

- Co takiego? - Zaciekawiał się komisarz.

Spojrzenie Marie jakby rozbłysło. Usilnie szukała czegoś w pamięci, mrużąc przy tym oczy.

- To ten Conrado od razu zmienił temat! Wtedy wstał i zaproponował, żeby popływać. Tak, teraz sobie przypominam!

Silva Campos podrapał się po czole. Ostatni fakt wniósł coś nowego, ale cała reszta zgadzała się z zeznaniami innych osób biorących udział w imprezie na plaży.

- Czy jest jeszcze coś ważnego, o czym powinienem wiedzieć?

Marie pokręciła głową.

- W takim razie bardzo dziękuję. Jest pani wolna. Proszę jednak pozostać w najbliższym czasie na miejscu. Niewykluczone, że poprosimy jeszcze panią do nas w celu złożenia dodatkowych zeznań.

Brzmiało to jak w scenie żywcem ściągniętej z popularnego serialu kryminalnego. To nie wyglądało dobrze. Nadal nie wiedziała, co z Cariną. Chciała pojechać do domu koleżanki i osobiście poinformować jej mamę o szpitalu, ale komisarz odradził jej to,

sugerując, że pracownicy szpitala już to zrobili i najlepiej będzie, jeśli wróci do domu. Tej nocy nie mogła spać.

## ROZDZIAŁ 39

Kolejny dzień przyniósł ból głowy i kaca. O ile w przypadku Marie nie wynikał on z nadmiaru alkoholu, to, niestety, swoista jego mieszanka wpłynęła niekorzystanie na samopoczucie dziewczyny. Spotęgowane było ono dodatkowym stresem i nieprzespaną nocą. Wstała z łóżka i spojrzała w lustro po obu skrzydłach szafy. Na jej twarzy pojawił się grymas; ten widok przyprawiał o wstręt. Podpuchnięta buzia, podkrążone oczy z widocznymi workami i szary odcień skóry świadczący o „udanej” imprezie mocno zakrapianej... Zamknęła się w łazience i zmyła pod prysznicem cały ten wstręt. Patrzyła, jak spływa po jej skórze i ginie w czeluściach aluminiowej kratki odpływowej. Niecierpliwiła się. Zdażyła wyjść jeszcze przed ósmą rano, uprzednio robiąc mocny makijaż, którego zadaniem było zamaskowanie śladów libacji. Niemal biegła, przemierzając kolejne przecznice, by w końcu dotrzeć do przystanku i pojechać do szpitala. W zasadzie nie pamiętała drogi; wszystko, co robiła, wykonywała automatycznie, myślami będąc daleko stąd. Nim się zorientowała, stała u wejścia na izbę przyjęć. W poczekalni było dość tłoczno; rozejrzała się i dostrzegła obolałych, nieszczęśliwych i cierpiących ludzi. Ich twarze były tak smutne i pełne bólu, że szybko odwróciła wzrok.

- Dzień dobry - powiedziała, zbliżając się do okna w recepcji. - Szukam mojej koleżanki, nazywa się Carina Costa i wczoraj wieczorem trafiła tu...

Kobieta sprawiała wrażenie dość sympatycznej; nie patrząc na

Marie, sięgnęła po jakąś listę i przemierzyła ją wzrokiem od góry do dołu.

- Chwileczkę - odezwała się i znowu zanurzyła nos w papierach.

- Tylko krewni mogą odwiedzać pacjentkę. Jest pani z rodziny?

Marie zrobiła błagające o pozwolenie oczy i wydusiła litościwym głosem:

- Jestem dla niej jak rodzina, muszę zobaczyć, co z nią...

Po chwili zawahania pielęgniarka uległa, widząc, że dziewczynie bardzo zależy na odwiedzeniu przyjaciółki.

- Do końca korytarza i na prawo, pokój trzydzieści osiem. - Wskazała ręką.

Marie ruszyła przed siebie zgodnie z instrukcją. Opuściła salę poczekalni i znalazła się w długim korytarzu, który zdawał się nie mieć końca. Próbowwała sobie przypomnieć, czy była tu wczoraj, ale uznała, że to zupełnie inna część szpitala. Potem zorientowała się, że faktycznie zeszłej nocy trafiła do budynku od strony, w której znajduje się podjazd dla karetek. Gdy znalazła się na końcu korytarza i zobaczyła kolejną odnogę ciągnącą się do drugiego wyjścia, pamięć wróciła jej całkowicie. Rozpoznała też krzesło znajdujące się przy ścianie, na którym wczoraj siedziała, czekając na lekarza. Przypomniała sobie także, że tamtym wyjściem opuszczała budynek z komisarzem policji. Co dziwne, wydawało jej się, że ma déjà vu - na końcu korytarza stał ten sam mężczyzna, a w każdym razie bardzo do niego podobny. Stała jak wryta, a wtedy on musiał dostrzec jej zdziwienie, co wykorzystał, ruszając w jej stronę.

- Witam, miło panią znowu widzieć - odezwał się nieco zachrypniętym głosem. - Co panią tu sprowadza?

Marie nie miała wątpliwości, że to ten sam człowiek, z którym rozmawiała zeszłej nocy.

- Przyszłam odwiedzić przyjaciółkę - odpowiedziała.

- Kto tu panią wpuścił? Pozwolenie ma tylko najbliższa rodzina.

Te słowa zmroziły Marie; mimo iż nie zrobiła nic złego, poczuła się jakby popełniała przestępstwo.

- Przepraszam... nie wiedziałam... - wyjąkała.

- Daj spokój, nieważne - burknął pewny siebie. - Teraz jest tam jej matka, zapukaj, czy możesz wejść, bo zaraz moja kolej. Pacjentka jest już wystarczająco silna, żeby złożyć zeznania.

Dziewczyna, nie zwlekając, pośpiesznie zapukała. Ktoś odezwał się zza drzwi, więc wsunęła głowę do środka.

- Marie! - Ucieszyła się Gisela. - Wejdz, proszę, śmiało.

Podeszła, nie spuszczając z Cariny oczu.

- Dzień dobry. Jak się czujesz?

Nim odpowiedziała, matka zdążyła się wtrącić:

- Mówi, że zasłabła. Dziewczyny, ja rozumiem, że jesteście młode i lubicie się zabawić, ale żeby tak pić i to jeszcze na plaży? Przecież mogło się wam coś stać... - lamentowała.

- Mamo, przestań - odezwała się Carina. - Przecież nic się nie stało. Zasłabłam, bo mam okres, i tyle. Nie martw się, zaraz stąd wyjdę. Proszę, zostaw mnie na moment z Marie, dobrze?

- No dobrze, pójdę po kawę, ale na twoim miejscu zostałabym na obserwacji...

- Nie ma takiej potrzeby. Poproszę lekarza, żeby mnie wypisał. A teraz idź już, mam, napić się kawy.

Uśmiechnęła się, żeby dodać matce otuchy, ale jej oczy nadal były przepełnione smutkiem. Marie czekała, aż Gisela opuści salę i wtedy w końcu zapytała:

- Mów, co się dzieje? To ten głupek coś ci zrobił? Carina, to wyglądało okropnie, myślałam, że umierasz. Co on ci zrobił, co tam się wydarzyło?

- Spokojnie, Marie - powiedziała powoli. - Jeśli chodzi ci o Conrado, to nie jest tak, jak myślisz. Nic mi nie zrobił..

- Daj spokój, przede mną nie musisz udawać, przecież widzę, że coś się stało. Skąd ta krew?

- Przecież wiesz, że mam okres, zaczął się tuż przed wylotem z wysp. Już zapomniałaś?

- No tak, ale chyba nie sądzisz, że uwierzę w bajeczkę o zapomnianym tamponie? - Zrobiła przerwę, po czym z trudem

zapytała. - Powiedz, czy on cię próbował... zgwałcić?

Carina jakby pobladła. Wzięła głęboki oddech i odwróciła wzrok.

- Nie wstydź się, możesz mi zaufać.

- Wiem, Marie, ufam ci. Ale wiem, co mówię. Conrado nic mi nie zrobił. Przysięgam.

Ostatnie słowo brzmiało zapewniająco. Mimo to Marie uważała, że przyjaciółka nie mówi jej całej prawdy. Była jakaś dziwna, nieobecna. W zasadzie już od powrotu do Lizbony zachowywała się podejrzanie. Nie pozostało jednak nic innego, jak jej uwierzyć. W tym momencie do sali wszedł lekarz.

- Dzień dobry. Pani... Costa - przeczytał z dokumentu, który trzymał w ręku, po czym zerknął na tabliczkę znajdującą się tuż przy łóżku - jak się pani czuje?

W tej samej chwili Marie wstała i ruszyła w stronę drzwi:

- Nie będę przeszkadzać, poczekam na zewnątrz - powiedziała.

Gdy w sali pozostał już tylko lekarz, Carina odezwała się do niego:

- Dobrze, czuję się dobrze. Właściwie, panie doktorze, chciałabym prosić pana o wypisanie ze szpitala.

Zapadła cisza. Mężczyzna w jasnoniebieskim kitlu spojrzał na nią wzrokiem proszącym o zrozumienie.

- Pani Carino, czy pani wie, co się stało?

- Tak. Oczywiście, że wiem.

- Z przeprowadzonego badania wynika, że nosi pani na ciele ślady gwałtu. Domyślam się, że trudno pani o tym mówić, ale proszę o rozsądek, mogę przysłać psychologa, żeby z panią porozmawiał. Sądzę, że powinna pani...

- Mam nadzieję, że nie mówił pan tego mojej mamie? - Oburzyła się.

- Spokojnie, personel jest dyskretny, nie ma takiej potrzeby, ponieważ jest pani świadoma tego, co się stało... tak myślę.

- Panie doktorze, wiem, co mi się stało. Nikt mnie nie zgwałcił. To... dość skomplikowane, ale nie umiem panu tego wytłumaczyć.



W każdym razie czuję się znacznie lepiej. Chcę wrócić do domu – to mówiąc, skierowała spojrzenie na lekarza w nadziei na jego aprobatę.

Mężczyzna westchnął i zerknął raz jeszcze na kartę pacjenta. Musiał coś szybko wymyślić; chciał dotrzymać danej obietnicy.

- Rozumiem, jeżeli taka jest pani decyzja i nie chce pani pomocy, uszanuję to. Uważam jednak, że powinna pani to zgłosić na policję.

- Nie mam zamiaru – skwitowała. - Czy mogę wyjść?

- Nie zmuszę pani do zgłoszenia gwałtu, ale nie wypuszczę pani ze szpitala bez pewności, że jest pani wystarczająco zdrowa. Zrobimy jeszcze jedno badanie kontrolne i jeśli wszystko będzie w porządku, wypuścimy panią do domu. W porządku? – zapytał, starając się być jak najmiłszy, by dziewczyna się nie spłoszyła.

- Zgoda. – Spuściła głowę.

- Poproszę pielęgniarkę, żeby panią przygotowała do badania.

To mówiąc, wyszedł. Na korytarzu ujrzał znajome twarze: matkę z kawą w ręce i koleżankę dziewczyny. W tej chwili podszedł także komisarz Silva Campos. Doktor uśmiechnął się i odezwał do matki:

- Niedługo wypiszemy córkę do domu, jeszcze tylko jedno badanie kontrolne.

Kobieta wyraźnie się ucieszyła. Za to Marie patrzyła na nią z politowaniem; sądziła, że Carina wszystkich oszukuje, ukrywając jakąś straszną tajemnicę. Pomyślała, że może faktycznie ten Conrado nic jej nie zrobił, ale nie dawała jej spokoju myśl o krwi. Bała się, że może prawda jest straszniejsza niżby się mogło wydawać, może Carina ma raka albo jest nieuleczalnie chora i stąd to krwawienie. Może faktycznie chłopak jest niewinny. A co, jeśli ją zgwałcił? Może jej groził i dlatego nie chce się przyznać? Mimo wszystko była bezradna. Tylko Carina i Conrado wiedzą, co się wydarzyło na plaży. Postanowiła, że z nim porozmawia i sama to z niego wydusi. Lekarz się oddalił. Marie zobaczyła, że komisarz podąża w ślad za nim, a następnie wymieniają jakieś informacje, tak

żeby nikt inny nie słyszał, o czym rozmawiają. W pewnym sensie wyglądało to podejrzanie, ale biorąc pod uwagę fakt, że policja przesłuchiwała wszystkich uczestników imprezy oprócz Cariny, możliwe, że pytał lekarza o stan zdrowia pacjentki. Stwierdziła, że zaczyna wariować i musi się uspokoić. Marzyła o miękkiej poduszce; musiała odespać wydarzenia ostatnich kilku godzin.

- I co, zgodziła się?

- Nic z tego. Twierdzi, że sprawy nie zgłosi, bo żadnego gwałtu nie było. I w ogóle chce już stąd wyjść...

- Mogę z nią teraz porozmawiać?

- Zaczekaj, namówiłem ją jeszcze na badanie kontrolne, bez tego możesz się pożegnać z próbkami. Gdy ją zbadamy, to wystarczy ci czasu, żeby ją jeszcze przesłuchać.

- Jestem ci naprawdę wdzięczny, gdyby nie ty...

- Słuchaj, tylko ja nie chcę żadnych problemów, rozumiesz?

- Spokojnie, nie wykorzystam tego w sprawie, masz moje słowo. Zachowam to do własnej wiadomości, ale muszę to sprawdzić, bo inaczej utknę w tym gównie po uszy i wyślą mnie na ulicę do wlepiania mandatów za złe parkowanie...

Lekarz zniknął w jednym z gabinetów, a komisarz podszedł obok drzwi z numerem trzydzieści osiem. Do sali weszły dwie kobiety, ginekolog i pielęgniarka, która rzuciła na policjanta karcące spojrzenie, dając do zrozumienia, że na ten czas widzenie z pacjentką jest niemożliwe. Odsunął się więc pod przeciwną ścianę i oparł się o nią lewym ramieniem. Po chwili odezwała się Gisela.

- Panie komisarzu, czy to konieczne, żeby córkę dziś męczyć? Może ja przyjadę z nią jutro na posterunek, jak już odpocznie trochę...

- Rozumiem pani obawy, ale skoro już tu jestem, przesłucham córkę. Potem będzie mogła odpoczywać do woli. Szkoda, żeby się pani jeszcze jutro fatygowała, a tak sprawę będziemy mieli z głowy - odpowiedział stanowczo i pewnie.

Gisela odwróciła głowę i nic więcej nie mówiąc, wzięła ostatni łyk kawy, po czym wyrzuciła kubek bo kosza.

- Komisarz ma rację - odezwała się Marie. - Może akurat Carinie coś się przypomni? Porozmawiać nie zaszkodzi.

Marie liczyła, że mężczyźnie uda się nakłonić jej przyjaciółkę do wyznania całej prawdy, póki Carina wykazuje jakąkolwiek chęć do zwierzeń. Lepiej kuć żelazo póki gorące.

W pomieszczeniu zrobiło się trochę duszno. Carina była już ubrana, wstała więc z łóżka i podeszła do okna; udało jej się uchylić jedno skrzydło. Poczowała powiew ciepłego powietrza. Mimo iż zegar wskazywał dopiero dziewiątą czterdzieści, termometry na zewnątrz odnotowały już ponad dwadzieścia stopni i temperatura wciąż rosła.

- Obiecuję, że nie zajmę pani dużo czasu - powiedział komisarz.  
- Pani zeznania mogą okazać się w tej sprawie kluczowe.

Carina nie do końca wiedziała, o czym mówi policjant.

- W jakiej sprawie? - zapytała nieco oschle.

- Przepraszam, być może nie wyraziłem się jasno. Pani Carino, ja rozumiem, że wydarzenia ubiegłej nocy były dla pani bardzo przykre, ale chciałem z panią porozmawiać, ponieważ mam pewne przypuszczenia.

- Nadal nic nie rozumiem. Proszę mówić jaśniej.

- Może zaczniemy od początku. Proszę opowiedzieć, co dokładnie wydarzyło się w nocy na plaży.

- Panie... komisarzu. Przepraszam, nie wiem, jak mam się do pana zwracać... Jeżeli pan także zamierza wmawiać mi, że ktoś mnie zgwałcił, to szkoda czasu.

- Niczego takiego nie powiedziałem. Ale skoro pani sama zaczęła, zapytam, czy tak właśnie było?

- Nie, nie było.

- To proszę odpowiedzieć na moje poprzednie pytanie.

Carina wiedziała, że prędzej czy później policjant będzie chciał ją przesłuchać, więc lepiej, gdy zakończy ten cyrk teraz i pozbędzie się natręta. Wzięła głęboki oddech i zupełnie bez emocji wyrecytowała:

- Późnym popołudniem poszłam z koleżanką na imprezę. To miała być studencka zabawa. Wieczorem wszyscy poszliśmy na

plażę, gdzie mieliśmy wypić coś mocniejszego przy ognisku. Ja nie zamierzałam pić alkoholu, bo źle się czułam. Byłam chyba jedyną trzeźwą osobą w całym towarzystwie. Gdy zrobiło się ciemno, jeden z kolegów zaproponował kąpiel w rzece. Nie było nikogo chętnego, więc poszłam z nim, bo był dość pijany i pomyślałam, że będę go pilnować, na wypadek gdyby zaczął się topić po pijaku. On wszedł do wody, ja czekałam na plaży. Gdy wrócił, zaczął się do mnie przystawiać, ale nic mi nie zrobił, zupełnie nic. Jednak poczułam się gorzej i chciałam wracać. Zaczęłam więc biec w stronę ogniska, bo nie miałam ochoty szarpać się z tym pijanym chłopakiem. Niestety po drodze zaczęłam dość mocno krwawić i zakreśliło mi się w głowie. Pamiętam tylko, że zasłabłam i upadłam. Potem ocknęłam się w szpitalu. To wszystko.

Komisarz odczekał jeszcze chwilę, licząc, że dziewczyna powie coś więcej. To jednak nie nastąpiło, więc się odezwał:

- Z jakiego powodu źle się pani czuła już przed wyjściem na imprezę?

- To dość osobiste pytanie, ale odpowiem na nie, żeby dał mi pan spokój: tak się składa, że dostałam okres dzień wcześniej i byłam osłabiona. Na dodatek lot powrotny był dość męczący i całkiem odebrał mi siły. Pewnie dlatego zemdlałam.

- Lot powrotny...

- Z Wysp Zielonego Przylądka. Wracaliśmy z innymi studentami i ekipą uniwersytecką z wymiany międzynarodowej. Domyślałam się, że już ktoś panu o tym wspomniał...

- Tak, rzeczywiście, teraz sobie przypominam. W każdym razie była pani zmęczona i z powodów zdrowotnych zemdlała pani na plaży. Niestety muszę zadać pani kolejne niewygodne pytanie i proszę na nie szczerze odpowiedzieć: czy w ciągu ostatnich dwóch dni współżyła pani z kimś?

Carina zaczerwieniła się, mimo iż spodziewała się tego pytania.

- To nie ma żadnego znaczenia. - Oburzyła się.

- Owszem, ma, i to większe niż pani sądzi, pani Carino. Proszę odpowiedzieć.

- Tak. - Spuściła wzrok i zacisnęła zęby.

Komisarz widział, że dziewczyna ma już dość i zaraz zezłości się na tyle, że zechce wyjść. Musiał wyważyć kolejne słowa, tak by nie zdenerwować jej jeszcze bardziej, a jednocześnie zmusić do szerszych wyznań.

- Czy doszło do tego zgodnie z pani wolą?

- Nikt mnie nie zgwałcił! - krzyknęła.

- Pani Carino, za drzwiami siedzi pani mama, więc jeśli zależy pani na dyskrecji, to proszę nie krzyczeć. Ja naprawdę nie chcę pani niczego wmawiać. Chcę poznać prawdę, to moja praca. Obiecuję, że zadam pani tylko tyle pytań, ile to konieczne, a potem dam pani spokój. Proszę się skupić jeszcze na kilka minut...

Celowo mówił to dość łagodnym tonem i udało mu się osiągnąć to, co zamierzał. Carina nieco się uspokoiła i poszła po przysłowiowy rozum do głowy. Też miała dość tej sytuacji, pragnęła stąd wyjść i odpocząć... zapomnieć. Pomyślała, że da komisarzowi to, czego chce, by ten zostawił ją w spokoju. Wymyśliła na szybko jakąś historię:

- Faktycznie, doszło do czegoś między mną a znajomym. On się trochę zagalopował i zrobił się... natarczywy. Przez moment próbowałam go odepchnąć, ale potem się uspokoił. Nikt mnie do niczego nie zmusił, więc jak dla mnie sprawy nie ma.

- Powiem tak: nawet mnie pani przekonała tą historią, założmy, że ją „kupiłem”. Ale chcę, żeby ostatecznie potwierdziła pani, czy chłopak, z którym poszła pani pływać...

- Pilnować go, nie pływać - sprostowała.

- No tak, z którym była pani sam na sam na plaży - czy on, pani zdaniem, zachowywał się zupełnie w porządku? Zanim pani odpowie, wyjaśnię, skąd ten upór. Być może pani nie wie, ale... to, o czym państwo sobie rozmawiali wczoraj w nocy, to znaczy o rzekomym zabójcy grasującym po okolicy, jest prawdą - zmienił ton głosu na poważny i doniosły. - Policja szuka sprawcy wielu napaści na tle seksualnym, które doprowadziły do śmierci ofiar. Po raz pierwszy od dawna mamy podejrzenie próby zgwałcenia

kobiety, która nie doszła do skutku, a w każdym razie nie zakończyła się śmiercią. Mówię o pani.

Carina słuchała z uwagą i przez chwilę poczuła odrazę. Przeszło jej przez myśl, że tym zabójcą-gwałcicielem faktycznie mógł być Conrado, o którym przecież prawie nikt nic nie wiedział. Jeśli to prawda, może się okazać, że dalej będzie próbował ją zabić. Już sama myśl o tym była przerażająca. Zrobiło jej się niedobrze. Nie wiedziała, jak ma postąpić. Nie mogła wyznać prawdy, ponieważ spowodowałaby na siebie ciąg strasznych zdarzeń; nie chciała się wstydzić. Poczula, jak jej oczy napełniają się łzami; dostrzegł to także komisarz i ucieszył się, że dziewczyna pęka.

- Carina - zwrócił się do niej po imieniu - możesz ocalić kolejne ofiary. Nie zależy ci?

Dziewczyna się rozpląkała. W sytuacji, w której się znalazła, nie zależało jej na ocaleniu kogokolwiek. Czuła się bezsilna, czuła, że nikt jej nie zrozumie, czuła wstręt do siebie za to, co ją spotkało, czuła, że zaraz zemdleje, jeśli nie wyjdzie z tego szpitala...

- To wszystko, co mam do powiedzenia. Ten chłopak mnie nie zgwałcił, powtarzam raz jeszcze. Proszę wybaczyć, ale chcę stąd wyjść. Powiedziałam wszystko, co wiedziałam.

Wstała ostentacyjnie, oczekując, aż mężczyzna wyjdzie z pokoju. Uszanował jej decyzję. Jedynym powodem jego zadowolenia był fakt, że zdobył próbki. Prawda i tak wkrótce wyjdzie na jaw.

## ROZDZIAŁ 40

Ruch uliczny nieco zelżał o tej porze dnia, a było jeszcze przed południem. Silva Campos poruszał się w kierunku budynku wydziału kryminalnego. Po drodze sporo rozmyślał. Zastanawiało go, jaki może być powód milczenia dziewczyny. Alberto się nie mylił, ktoś z całą pewnością zgwałcił dziewczynę. Gdyby było to dla niej traumatyczne wydarzenie, nie potrafiłaby tak żywiołowo się tego wypierać. Zupełnie bez emocji opowiedziała, co zaszło tamtej nocy i koniec, kropka. A te łzy? Wyćwiczone czy prawdziwe? Co ukrywa i w jakim celu? Może kogoś kryje?

Potrzebuję snu - przeszło mu przez myśl.

Przekroczywszy próg budynku, nieco się zmartwił. Zrobiło się gwarno jak w ulu. Nie znosił, gdy ktoś przeszkadzał mu w pracy, a przy takim tłoku na pewno nie będzie mógł się należycie skupić. Z trudem odnalazł swojego asystenta.

- Santos! - krzyknął - Co tu się, do diabła, dzieje? Co to za ludzie?

Młodszy aspirant Antonio Santos wyglądał jak przerażony student pierwszego roku studiów. Był niewysoki, na długim nosie spoczywały okulary z dość grubymi szklami w czarnych oprawkach. Włosy miał gęste i czarne, starannie zaczesane do tyłu. Mimo to Luís go lubił, bo wbrew pozorom był bardzo skuteczny i szybki.

- Ta banda na korytarzu to jakieś typy od Carlosa. Zgarnął ich na gorąco i teraz trzeba ich przesłuchać. Poza tym mamy kilku nieproszonych gości. Interpol zrobił nam wjazd na chatę. Łysy jest

wkurzony...

- Chodź, mam dla ciebie pilną robotę - powiedział, po czym poprowadził go do swojego gabinetu.

W środku, jak zwykle, panował zaduch. Przez dziurę w zamontowanej moskitierze wleciała wielka mucha i latała półprzutomna pod sufitem, wydając głośny dźwięk, coś jakby bzyczenie połączone z chrapaniem. Komisarz spojrzął w górę:

- Mówiłem, żeby zakleić tę pieprzoną dziurę! Teraz mi ta franca będzie latać po pokoju...

- Długo nie pożyje w tym smrodzie - zażartował Antonio. - Jakby coś tu zdechło.

- Dobra, dobra, dowcipnisiu. Masz - powiedział, podając mu mały przedmiot. - Zabierz to do laboratorium. Pilnie potrzebuję wyników. Będzie to trzeba porównać z innym materiałem, ale... jeszcze go nie mam. Najpierw oddaj to do analizy. Resztę postaram się dostarczyć jutro.

- Masz zgodę?

- Tak, tak, łysy wie. Nie przejmuj się, biorę to na siebie - dodał. - Załatw to szybko. A teraz jazda mi stąd, mam kupę roboty, a wciąż jestem w czarnej dupie.

Usiadł za biurkiem. Potrzebny był jakiś plan działania. Łeb mu pękał w szwach. Przetarł dłońmi twarz. Wiedział, że zanim zacznie pracę, musi zrobić jedną rzecz... Chwytał jakąś gazetę i stwierdziwszy, że nie jest mu potrzebna, zwinął ją w rulon. Długo trwało, zanim to tłuste i upierdliwe muszysko przestało latać i utkwilo nieruchomo na ścianie. W końcu się doczekał. Podszedł najbliżej, jak mógł, i przyczaił się. Pięć sekund, cztery, trzy, dwa i... pac! Skrzywił się na widok gęstej cieczy po spasionym owadzie, która rozmazała się na poźółkłej od dymu papierosowego ścianie. Z obrzydzeniem wyrzucił gazetę; na muchę wolał nie patrzeć. Pierwsze, od czego należało zacząć, to zdobycie próbki materiału genetycznego niejakiego Conrado. Dla Silvy był on już potencjalnym podejrzanym, który mógł stanowić jego kartę przetargową w rozmowie z komendantem, swojego rodzaju „być albo nie być”.



Do pokoju na pierwszym piętrze przemykały dyskretnie promienie popołudniowego słońca. Na stoliku obok łóżka leżał talerz, a na nim kawałek zapiekanki. Carina zerknęła obok i dostrzegła coś kolorowego. Przetarła oczy i skupiła wzrok – to był owoc. Tylko jaki? Sięgnęła po niego i zbliżyła do nosa, powąchała... pachniał jak... jakoś znajomo. Co to było? Mango? Wyglądało jak mango. Mama zadbała o to, żeby owoc był starannie obrany i gotowy do zjedzenia. Carina odłożyła go z powrotem na stół. Usiadła, spuściła głowę i chwyciła się za brzuch. Niedobrze. Czuła się tak, jakby ktoś wsadził jej rękę przez pochwę i sięgnął aż do gardła. Wszystko, co znajdowało się od pasa w dół, bolało, a wszystko co znajdowało się od pasa w górę... chciało wyjść – i to natychmiast! Czuła, że zaraz zwymiotuje. Resztką sił zerwała się z łóżka i pobiegła do łazienki. Miała wrażenie, że cały dom aż huknął, gdy upadła kolanami przed toaletą i objęła muszlę klozetową obiema rękami. Tu wcale nie pachniało lepiej, ale mogła się wyrzygać bez obaw, że coś zapaskudzi.

- Carina, wszystko w porządku? - dobiegło zza drzwi.

Gisela zawsze wszystko widziała i wiedziała. Być może dlatego, że zawsze znajdowała się w odpowiednim miejscu i czasie, a może dlatego, że była po prostu wścibska.

- Nic mi nie jest - odpowiedziała Carina dla świętego spokoju.

Odczekała chwilę, upewniwszy się, że za drzwiami nie ma już mamy, po czym raz jeszcze poddała się temu obrzydliwemu pragnieniu, żeby pozbyć się wszystkiego, co mogło zalegać jej w żołądku. Chociaż chwilami wydawało jej się, że wypluwa jednocześnie trzustkę, płuca i śledzionę. Gdy było po wszystkim, przeczołgała się do kabiny prysznicowej. Po drodze zdejmowała kolejne części garderoby, a na koniec zrzuciła bieliznę. Powoli zasunęła drzwi, zerknęła w górę, jak małe plastikowe kółeczka poruszają się wewnątrz wąskiej prowadnicy i zamykają się w półokręgu. Zamontowany w krawędziach drzwi magnes przyciągnął oba skrzydła, aż dało się słyszeć charakterystyczne klik. Usiadła w brodziku skulona w kłębek i sięgnęła jedną ręką do

kurka, kręcąc nim w lewo. Po chwili poczuła, jak pierwsze krople chłodnej wody spadają na jej delikatne ciało. Krople zmieniły się w strużkę, a następnie mały wodospad. Nalała odrobinę żelu na zagłębienie dłoni. Roztarła go po szyi, dekolcie, piersiach, zataczając koła na ramionach. Pachnąca egzotycznie piana spływała po brzuchu i nogach. Delikatnie rozprowadzała ją po zranionych miejscach. Nie chciała patrzeć; czuła, że jeszcze lekko szczypie. Zamyśliła się; słuchała szumu spadającego strumienia wody. Odchyliła głowę do tyłu, pozwalając, by krople odbijały się rykoszetem od jej twarzy, zostawiając na ściankach ślady. Setki, miliony kropelek tańczyły wokół niej... Wyobraziła sobie ocean. Niemal poczuła słony smak wody; była na środku oceanu, wokół tylko fale, a tuż pod nią niezbadany świat, błękitna głębia wołająca do niej. Głębia, która nie wybacza błędów i nie prosi o wybaczenie. Otchłań, w której panuje tylko jedno prawo - prawo bycia. Masz prawo w niej być, jeśli potrafisz poradzić sobie ze wszystkim, co tam napotkasz. Carina nie potrafiła sobie poradzić tylko z jednym... z własną głupotą. Przeczuwała najgorsze; na samą myśl o tym dostawała mdłości. Minęły zaledwie dwie doby, a czuła, że zaszły w niej ogromne zmiany, co gorsza - ewoluowały w zawrotnym tempie. Nie mogła zwlekać, musiała rozwiązać te wątpliwości. Ubrała się, chwyciła dokumenty i pieniądze, po czym wyszła, patrząc na mamę, która odprowadzała ją litościwym wzrokiem.

- Muszę się przewietrzyć, spacer dobrze mi zrobi.

Zamknęła drzwi frontowe, a po minucie zniknęła już za rogiem ulicy.

# ROZDZIAŁ 41

Lizbona, Centrum Badań Medycznych, Laboratorium  
DNA

- Umówiłaś się z tym przystojniakiem?

Przez moment Isabel nie wiedziała, że słowa te skierowane są do niej. Gdy się zorientowała, omal nie osunęła się z wrażenia z krzesła, na którym siedziała.

- Czyś ty zwariowała?! - zaśmiała się. - Mam ciekawsze rzeczy do robienia niż marnowanie czasu na takich podejrzanych amantów z niejasnym bagażem doświadczeń, ha, ha!

- A mianowicie? - dopytywała koleżanka, z którą Isabel pracowała od kilkunastu lat.

- Idziemy z Lurdes na premierę tego nowego filmu z Bradleyem Cooperem, a potem mamy zarezerwowany stolik, ale nie zgadniesz gdzie.

Julieta, bo tak miała na imię koleżanka Isabel, błyskawicznie zareagowała na zaczepkę.

- Żartujesz?! Chyba nie w Três Fadas?

- Właśnie tam! - Uśmiechnęła się dumnie Isabel.

- Jak to zrobiłaś? Tam mają rezerwacje na kilka miesięcy napród!

- Ha, ha! Owszem, ale, jak widać, można sobie z tym poradzić. Chcesz się z nami wybrać?

- Dziś nie dam rady, mój stary zaprosił znajomych i jemy u nas.

Ale następnym razem bardzo chętnie.

- Będę pamiętać. Baw się dobrze.

- Dzięki, ty też - powiedziała na pożegnanie Julieta, dodając na koniec: - Ach, zapomniałabym. Na biurku leżą wyniki analizy z dzisiaj. Są już zapieczętowane i gotowe do wydania policji. Będziesz tak miła i dasz je Serafimowi?

- Jasne, zajmę się tym. Idź już i nie marudź.

Isabel została jeszcze chwilę dłużej, bo w związku z minionym urlopem nagromadziło jej się kilka spraw i chciała je jak najszybciej pozamykać. Dokończyła kilka zdań raportu i zamknęła komputer. Ściągnęła swój fartuch i odwiesiła na swoje miejsce. Wygrzebała z torebki klucze do samochodu i objęła stos teczek i kopert obiema rękami. Następnie uderzyła ich dolnymi krawędziami dwa razy o blat biurka, tak by ułożyły się równo w stos. Wtedy jedna z kopert wypadła na podłogę.

- Cholera jasna - zakłęła Isabel i schyliła się, by po nią sięgnąć.

Wszystkie teczki i dokumenty ponownie poskładała na biurku. W tym momencie dostrzegła coś, co wydało jej się znajome. Faktycznie, na jednej z zalakowanych kopert odczytała imię i nazwisko: Carina Costa.

Czyżby to zbieg okoliczności? - pomyślała.

Poniżej przeczytała: „Wyniki analizy materiału genetycznego. Spermia”. Przeraziła się. Nie mogła otworzyć koperty, ponieważ byłoby to niezgodne z procedurami. W zasadzie nie było takiej potrzeby, bo cokolwiek by się tam nie znajdowało, to i tak najistotniejsze już wiedziała - policja badała próbki spermy pobranej od kobiety o takim samym imieniu i nazwisku jak córka Giseli. Już sama myśl o tym wydawała się przerażająca i nieprawdopodobna.

Co się stało, do licha?! - pomyślała.

Chwyciła pośpiesznie dokumentację i zaniósła koledze, który zwykle wydawał wyniki analizy do wydziału kryminalnego. Serafim podziękował i pożegnał się z Isabel. Myśl o tym nie dawała jej spokoju. Zanim ruszyła w drogę do domu, musiała chwilę ochłonać.

Postanowiła, że jutro z samego rana zadzwoni do Giseli i zapyta, czy wszystko w porządku. Może to tylko zbieg okoliczności. Taką miała nadzieję.

W gabinecie było aż nadto sterylnie: wszystkie ściany pomalowane na biało, szafki i stoły w kolorze białym, zasłonki również białe, fartuch pani doktor także, a nawet dwa krzesła. Carina pomyślała, że może jest już w niebie. Próbowwała się rozluźnić; patrzyła w sufit... on też był biały.

- Proszę oprzeć stopy o te podpórki - odezwała się młoda kobieta w uniformie z wyszytym nazwiskiem, który poprzedzały dwie literki dr. - Teraz proszę, żeby pani się zrelaksowała, zaraz rozpocznę badanie, dobrze?

Carina kiwnęła lekko głową, ale to, co lekarka miała na myśli, przyszło jej z ogromnym trudem. Po chwili się udało. Czuła, jak dziwny, obły i trochę zimny przedmiot penetruje jej wnętrze, sprawdzając stan jej pochwy. Tu akurat nie było złudzeń - nie wyglądało to dobrze. Należało tylko ocenić stopień zniszczeń. Badanie trwało nie więcej niż pięć minut, ale dla Cariny była to cała kosmiczna wieczność. Gdy kobieta skończyła, podziękowała i poprosiła, żeby Carina ubrała się w małym pokoiku przylegającym do gabinetu lekarskiego. Bała się chwili, gdy będzie musiała usiąść naprzeciwko lekarki i usłyszeć wyrok. Tak, to było dobre określenie - wyrok...

- Proszę usiąść. - Uśmiechnęła się, wskazując Carinie krzesło. - Pani... Carino, nie ukrywam, że trochę niepokoi mnie to, co zobaczyłam. Czy pani potrzebuje pomocy psychologa?

- Nie, nie potrzebuję - odpowiedziała żwawo i z dozą irytacji. - Już mnie o to pytano, wiem, jak to wygląda, ale to nie tak, jak pani myśli.

- Spokojnie, nie chcę pani zdenerwować. Sądzę jednak, że ktoś, kto wyrządził pani krzywdę, powinien zostać za to ukarany.

- Nikt mi nie wyrządził krzywdy. Błagam panią, ja tylko chcę wiedzieć, czy jestem zdrowa. Możemy przejść do konkretów?

Zapadła cisza. Lekarka nie była zdziwiona takim zachowaniem;

wiele pacjentek reaguje alergicznie w sytuacji, w której znalazła się Carina. Pociuszające było to, że starczyło jej odwagi, by się zbadać.

- Rozumiem. W takim razie powiem to tylko raz, żeby pani nie niepokoić. Pominę fakt, że, moim zdaniem, doszło w pani przypadku do przemocy seksualnej. Zdaję sobie sprawę, że z jakichś względów nie chce pani wskazać sprawcy i tym samym oddać go w ręce sprawiedliwości. Pani wybór. Ale w obecnej sytuacji musi pani wiedzieć, że do takich... nie wiem, jak to nazwać - incydentów, nie może dochodzić. Jeżeli poczęte dziecko jest wynikiem gwałtu na kobiecie, może pani taką ciążę usunąć, ale taka procedura trwa. Płód można usunąć tylko do pewnego poziomu zaawansowania ciąży. Biorąc pod uwagę, że mamy tu do czynienia już z trzecim lub czwartym tygodniem, a pani będzie z tym nadal zwlekać, obawiam się, że aborcja będzie niemożliwa. Wtedy będzie trzeba ciążę donosić, a jedyne, co pani pozostanie, to oddać dziecko do adopcji.

Carina chciała krzycheć, chciała, żeby ta kobieta się zamknęła, chciała, żeby to był tylko zły sen... Nie czuła nóg, jakby krew odpłynęła jej z całego ciała; zbladła, a jej usta zrobiły się sine.

- Czy pani się dobrze czuje? - zapytała lekarka. - Pani Carino, proszę coś powiedzieć. Halo! Słyszysz mnie pani?

Ocknęła się. Spojrzała lekarce prosto w oczy; już chyba wolałaby być martwa. Krew zaczęła ponownie w niej krążyć, bo odczuła mrowienie w stopach i najwidoczniej odzyskała kolory na twarzy.

- Już się bałam, że mi pani zemdleje - odetchnęła z ulgą kobieta. - Dam pani wody...

Wstała zza biurka i podeszła do dystrybutora, chwyciła plastikowy kubeczek i napełniła go do połowy wodą.

- Proszę. - podała go Carinie. - Wszystko będzie dobrze, znam gorsze przypadki, z których kobiety wychodziły bez szwanku i dzisiaj cieszą się macierzyństwem. Trzeba tylko pozwolić sobie pomóc...

Carina dźwignęła rękę na znak, żeby lekarka przestała mówić i zapytała:

- Co pani powiedziała? Który to tydzień?

- Przynajmniej trzeci, a raczej sędzę, że czwarty.

- To niemożliwe.

- A jednak...

- Nie, pani nic nie rozumie, ja... miesiąc temu... To niemożliwe - powtarzała pod nosem - czy pani mogła się pomylić?

- Słucham? - Oburzyła się kobieta.

- Czy możliwe, że źle pani oszacowała stadium ciąży?

- Nie, proszę pani, oglądałam już tysiące płodów i potrafię rozróżnić komórkę jajową od blastocysty i rozwiniętego zarodka w pierwszym miesiącu.

- Przepraszam, nie chciałam pani urazić, po prostu... wydaje mi się to niemożliwe.

- Chce pani powiedzieć, że nie współżyła miesiąc temu? - zapytała lekarka, choć dało się wyczuć nutkę kpiny w jej głosie.

Carina nie mogła odpowiedzieć. Co ta kobieta by sobie pomyślała? Sama nie wiedziała, co o tym myśleć.

- Czy mogę dostać jakieś zdjęcie tego... zarodka?

- Oczywiście. Zaraz je dla pani wydrukuję.

W czasie, gdy lekarka klikała bezprzewodową myszką, obserwując monitor, Carina zastanawiała się, co dalej począć. Jeśli to się tak szybko dzieje, nie może dłużej zwlekać. Przypomniała sobie, co obiecał jej Marco, zanim wyjechała na wymianę studencką. Musiała się z nim zobaczyć. Pani ginekolog próbowała jej jeszcze coś tłumaczyć, wręczając wydruk z wynikiem badania, ale ona nie słuchała. Ta lekarka niczego nie rozumiała. Wzięła dokumenty i podziękowała, twierdząc, że się śpieszy. Zapłaciła za wizytę w recepcji i wybiegła z budynku. Nie było czasu; podeszła do pierwszej stojącej w kolejce taksówki i wsiadła:

- Do oceanarium proszę, jak najszybciej.

- Masz to? - zapytał komisarz.

Santos wręczył mu teczkę, a uśmiech nie schodził z jego twarzy.

- Co jest? Co tak rżysz? Mnie tam nie jest do śmiechu. Dawaj to, potrzebne mi wyniki...

Antonio Santos z nieskrywaną przyjemnością czekał na reakcję swojego przełożonego.

- Współczuję ci, Luís. Same pojebane przypadki ci się trafiają...

- Dzięki, tego właśnie potrzebowałem, takich słów otuchy - burknął komisarz. - Postaram się jeszcze dzisiaj spotkać z tym podejrzanym i może wyrwę mu jakiś włos do zbadania...

- Nie fatyguj się.

- Co? Co to ma znaczyć?

- No, otwórz w końcu tę kopertę, to się dowiesz - powiedział i odszedł z głupkowskim uśmiechem. - Ta panna wcale nie jest brzydka, a chłopca sobie nie może znaleźć jak normalni ludzie, ha, ha...

Komisarz wlepił wzrok w kartkę i czytał, aż papieros, którego właśnie zamierzał odpalić, wypadł mu z ust.

- Co do... ja pierdołę! - wrzasnął i wrócił wkurzony do swojego gabinetu. - Jak nie urok, to sraczka. Jak nie nekrofil, to jebnięta baba z ukochanym psem... skubana!

Długo jeszcze przeklinał. Stresującą sytuację potęgował dodatkowo fakt, że wtorek chylił się ku końcowi. Środa była dniem ostatecznym na dostarczenie szefowi dowodów w sprawie... teraz mógł sobie to wszystko wsadzić w dupę.



## ROZDZIAŁ 42

- Ale było śmiesznie, mówię ci, to kocurzynsko doprowadza nas do łez. Jest niesamowity. Wyobraź sobie, że on wszystko rozumie. Wczoraj bolały mnie plecy i mówię do córki, że muszę się położyć na brzuchu. Kładę się więc i jęczę z bólu. A tu nagle kocur wskakuje mi na plecy i robi mi masaż, ha! To znaczy nie taki klasyczny masaż, tylko po prostu chodził po mnie. Pomimo bólu tak się zaczęłam śmiać, że go zrzuciłam, bo trzęsłam się jak galareta, zupełnie jak na tym filmie. A właśnie, podobał ci się? Nic nie mówisz. Czy ty mnie w ogóle słuchasz? Halo!

Lurdes zdawała się nawijać bez końca. Zorientowała się, że Isabel jest jakaś nieobecna.

- Wszystko w porządku? - zapytała.

Isabel westchnęła i spojrzała na nią.

- Coś mnie gryzie...

- To widać. Mów.

- Nie wiem, czy powinnam.

- Nie ufasz mi?

- Przestań, wariatko, oczywiście, że ufam, ale...

- Ale, co?

- Obiecałam sobie, że najpierw porozmawiam z Giselą.

- Giselą? Matko jedyna, co z nią? - Zaniepokoiła się przyjaciółka.

- No dobrze, ale to musi pozostać między nami.

Nie musiała czekać na potwierdzenie; po ponad trzydziestu

latach przyjaźni ufały sobie bezgranicznie.

- Ona ma chyba kłopoty. To znaczy nie Gisela, tylko Carina.

- Skąd to podejrzenie?

- Dzisiaj w pracy wyjątkowo zostałam chwilę dłużej. Akurat Julieta się śpieszyła, więc poprosiła mnie, żebym oddała wyniki dzisiejszych zleceń policyjnych. I wśród nich... była koperta z nazwiskiem Cariny.

Lurdes milczała i patrzyła na nią. W końcu odezwała się zaciekawiona:

- Co tam było?

Isabel przełknęła ślinę.

- Wyniki badań spermy.

Lurdes omal nie udławiła się winem. Próbowwała opanować odruch kaszlu, ale było już za późno. Wino wpadło do krtani, powodując, że się zachłysnęła. Ledwo zdołała odstawić kieliszek i po chwili opanowała dławienie.

- Co ty mówisz? Co to znaczy?

- Cóż... pracuję w tym zawodzie całe życie i z doświadczenia wiem, że spermę pobraną od kobiety oddaje się do badania tylko w jednym przypadku - kiedy zostanie zgwałcona.

- Matko przenajświętsza - wydusiła Lurdes. Czy to prawda? Może to jakaś pomyłka. Skąd masz pewność, że to córka Giseli?

- Koperta była podpisana „Carina Costa”. Ile jest osób o takim nazwisku?

- Nie wiem, chyba sporo - zaryzykowała Lurdes. Nie wyciągaj pochopnych wniosków. Może to zbieg okoliczności.

- Masz rację, ale jutro zadzwonię do Giseli i zapytam, czy wszystko w porządku. Ona mi powie, jeśli faktycznie coś się dzieje z Cariną...

- Świetnie! - Ucieszyła się Lurdes. - A teraz delektuj się smakami. To najlepsza caldeirada, jaką w życiu jadłam. W końcu, jesteśmy w Três Fadas. Następna taka okazja może się zdarzyć dopiero za rok.

Dania smakowały rzeczywiście wybornie. Mimo to Isabel czuła

gorycz spowodowaną domysłami, że to jednak Carinie przytafiło się coś niedobrego. Uczucia tego nie był w stanie stłumić nawet niezwykle klimat panujący w lokalu. Sala wypełniona była po brzegi, zewsząd dochodziły rozmowy i wrzawa, które obiegały stoły gości. W powietrzu pachnącym oceaniczną bryzą mieszały się cudowne aromaty perfum, pieczonej ryby, zapiekanych warzyw i budyniowych ciasteczek pasteis de nata, których dopełnieniem był aromat świeżo parzonej kawy.

## ROZDZIAŁ 43

- Nie do końca rozumiem, co miałbym dla ciebie zrobić?

Marco oparł się o regał przymocowany do ściany pokoju socjalnego. Wyczuł, że Carina jest zdenerwowana.

- To tylko jeden telefon, proszę. Mnie się nie udało, ale może gdy się przedstawiś, to będzie chciał z tobą porozmawiać. Proszę...

Wbiła w niego swoje błagalne spojrzenie i czekała, co powie. Po kolejnej nieprzespanej nocy nie wyglądała zbyt korzystnie; zdawała sobie z tego sprawę.

- Carina, czy ty masz jakieś problemy? Muszę przyznać, że zaczynasz mnie martwić. Zachowujesz się trochę absurdalnie, jesteś rozdrażniona, zamykasz się w sobie. Co się dzieje? Weź jeszcze kilka dni urlopu, nie musisz teraz wracać. Jakoś sobie poradzimy. To przez tę pracę dyplomową tak się stresujesz?

Jakiegokolwiek tłumaczenie nie miało sensu. Carina czuła się tak, jakby brała udział w pościgu. Wydawało jej się, że zamieniła się z lisem na łby, a za nią pędzi stado wyźłów. Musiała uciąć temat; zależało jej tylko na jednym.

- Tak, mam stresujący semestr. Może faktycznie zostanę jeszcze na urlopie. Tylko proszę, zadzwoń tam, bardzo mi zależy.

Marco nie miał wyjścia, obiecał jej to przed wyjazdem na Boa Vista.

- Dobrze, spróbuję. Daj mi ten numer i powiedz, co mam mówić...

Gdy wyjaśniła mu, w czym rzecz, usiadł przy biurku z karteczką

w ręce i wybrał wskazany numer. Carina siedziała tuż za nim, zaciskając wargi. Po kilku sekundach zaczął rozmowę po angielsku z dobrze słyszalnym akcentem:

- Dzień dobry, moje nazwisko Marco Lopes Pinto, jestem dyrektorem oceanarium w Lizbonie. Mamy pewien problem, chcielibyśmy zasięgnąć opinii jednego z państwa specjalistów. Czy mogę rozmawiać z doktorem Passrowherem?

- Proszę chwileczkę poczekać - powiedział mężczyzna, wciskając guzik mute.

- Czego chce?

- Sprawdź ten numer, szybko...

Po chwili asystent podbiegł do swojego współpracownika i podał mu karteczkę, na której było napisane: „Lizbona, oceanarium przy ulicy Esplanada Dom Carlos I”. Mężczyzna przy słuchawce kiwnął głową i wcisnął ponownie guzik mute.

- Halo? Dziękuję, że pan poczekał. Niestety, doktora nie ma. W jakiej sprawie pan dzwoni?... Niestety, to niemożliwe. Czy mogę panu jakoś pomóc?... Przykro mi, w takim razie niewiele mogę dla pana zrobić. Dziękuję... Ja również... Żegnam.

Odłożył słuchawkę. Siedzący obok kolega pokiwał głową i powiedział stanowczo:

- Mówię ci, Brue, to nie jest przypadek. Coś tu śmierdzi. Powinniśmy go wziąć pod lupę.

- Jeszcze bardziej niż do tej pory? Może lepiej oddelegować go na Kamczatkę?

Kolega parsknął śmiechem.

- Ja nie żartowałem.

Tamten przestał się śmiać. Brue Sander wyglądał jak adwokat diabła, cokolwiek to miało oznaczać. Kojarzył się jednak ze złą postacią. Był wysoki, raczej normalnie zbudowany, a z jego oczu były przebiegłość i brak skrupułów. Jeszcze nikt nie widział go uśmiechniętego. Zawsze ubrany w taką samą marynarkę w kolorze czarnym, zawsze tak samo zaczesywał gęste, czarne włosy. Nos miał drobny, ale szpiczasty, zakończony okrągłą kuleczką

z niewielkimi nozdrzami. Kiedyś nosił wąsy, ale zgolił je, bo... żona go o to prosiła. Spojrzał na kolegę.

- Zajmij się tym. On musi zniknąć, dopóki nie wyjaśnimy, o co tu chodzi. Oddeleguj go w jakieś parszywe miejsce. Jeśli będzie sprawiał kłopoty, to zastosujemy odpowiednie środki zapobiegawcze.

Wyszedł z pokoju. Było w nim coś odpychającego. Stojący za nim kolega obserwował, jak się oddala, i dałby sobie głowę uciąć, że gdy Sander przechodził korytarzem, rozsiewał jakąś upiorną aurę, tak że nawet rośliny, które mijał, zdawały się więdnąć. I bynajmniej nie z powodu burrito, które jadł na lunch.

- I co powiedział? - niecierpliwiła się Carina.

Marco pokręcił głową.

- Nic z tego, odebrał ktoś inny, twierdzi, że doktora nie ma.

- A kiedy będzie?

- Carina, nie wiem, do czego ci potrzebny ten gość, ale on jest chyba... nieosiągalny.

Ze smutku osunęła się po ścianie i usiadła na podłodze, chowając głowę między kolana.

- Daj spokój, poradzisz sobie bez niego. Jestem pewien, że w bibliotekach...

- Nic nie rozumiesz - przerwała mu - tylko on może mi pomóc... Nieważne. Dzięki za chęci, wiem, że się starałeś, doceniam to.

- Mogę coś jeszcze dla ciebie zrobić?

Spojrzała na niego, dźwigając się z podłogi. Chciała mu jeszcze powiedzieć, że powinien strzelić do niej z karabinu maszynowego, ale to mogłoby się skończyć wysłaniem jej do zakładu psychiatrycznego na obserwację. Dlatego ograniczyła odpowiedź do skromnego:

- Nie, dziękuję. Pójdę już.

- Trzymaj się. Weź tyle wolnego, ile potrzebujesz. Ostatnio nie ma dużo roboty, gorzej jest latem.

- Żegnaj.

Marco uśmiechnął się krzywo, bo zabrzmiało to jak pożegnanie.

Ale nie chciał już denerwować Cariny. Nie mógł przecież wiedzieć, co się niebawem wydarzy...

## ROZDZIAŁ 44

Środa, 30 października 2013

- Cześć, Gisela! Nie przeszkadzam? - odezwała się w słuchawce Isabel.

- Skąd, fajnie że dzwonisz. Co tam słyszeć? Odpoczęłyście na urlopie?

Isabel zdziwił nieco entuzjazm koleżanki. Spodziewała się, że raczej będzie smutna i przygnębiona, a było wręcz przeciwnie. Z drugiej strony, trochę jej ulżyło, bo wyglądało na to, że był to faktycznie niefortunny zbieg okoliczności. Chyba że... chyba że Gisela o niczym nie wiedziała...

- Tak, już zdążyłam zapomnieć, czas tak szybko leci. W pracy obrzucili mnie dodatkową robotą. A co u was?

- U mnie bez zmian, tamten tydzień minął jak błyskawica. Była u mnie ta dziewczyna z wymiany, całkiem miła, jakoś się dogadywałyśmy.

- To dobrze. A Carina, jak się ma?

- Carina? Cóż, odkąd wróciła, jest jakaś dziwna. Od trzech dni nie może odpocząć. I jeszcze...

- Co takiego?

- Daj spokój, stracha mi narobiła - powiedziała, zniżając głos, po czym zamknęła drzwi do kuchni, żeby nie było jej słyszeć. - Teraz mogę swobodnie rozmawiać, nie chciałam, żeby Carina słyszała, że o niej plotkuję...



- A co się dzieje? - zapytała Isabel, zaniepokojona, że jednak miała dobre przeczucia.

- W poniedziałek po przylocie była padnięta. Rzuciła swoje rzeczy na podłogę, zamieniłyśmy tylko kilka słów i poszła spać. Zasnęła jak kamień. Ale wieczorem przyszła po nią koleżanka z roku. Podobno umówiły się na imprezę. Słuchaj, gdybym wiedziała, jak to się skończy, w życiu bym jej nie puściła.

- Nie strasz mnie, no mów...

- Oni zrobili sobie ognisko na plaży i pili alkohol. Niby nic, jak to studenci. Ale Carina była tak osłabiona po podróży, że zemdląta tam. Jak się okazało, dostała okres. Wylądowała w szpitalu z krwotokiem, więc spędziłam całą noc, czuwając przy jej łóżku.

- Co ty mówisz? Krwotok? Ale jak to?

- No wiesz, może wypiła coś, ale nie chce się przyznać. Trzeba o siebie dbać, a nie tak na łapu-capu. Zamiast wypocząć, porządnie zjeść, to zachciało jej się tańców na plaży...

- Gisela... - Przerwała jej nieśmiało Isabel. - Ty jesteś pewna, że to okres?

- Nie rozumiem. A niby co innego?

- No, nie wiem, może się wstydzi powiedzieć. Może jest inny powód takiego krwawienia. Pogadaj z nią, co?

- Ale, że co? Że jest chora? Nie rozumiem, o co ci chodzi.

- Nie, ja niczego nie sugeruję, nie jestem lekarzem, ale... to nie żarty, powinna się zbadać i, tak jak mówisz, zadbać o siebie.

- Masz rację, nie chciałam jej dręczyć, ale może faktycznie spróbuję z nią porozmawiać. Musimy się kiedyś spotkać, ostatnim razem świetnie się z wami bawiłam.

- Jasne, pójdziemy w trójkę. Dobrze, w takim razie nie przeszkadzam, chciałam tylko sprawdzić, jak się macie.

- Dzięki, moja droga, i pozdrów Lurdes!

- Przekażę. Do zobaczenia.

Giseli wydawało się, że słyszy szmer za drzwiami. Kiedy jednak je otworzyła, nikogo tam nie było. Zerknęła w stronę schodów. Bała się, że Carina mogła słyszeć część rozmowy i tym bardziej zamknie

się w sobie. Postanowiła jednak zaryzykować. Podreptała na górę i zapukała do pokoju córki.

- Proszę - usłyszała.

- Mogę wejść? Nie przeszkadzam?

- Wejdz, wejdz, czytam artykuł do pracy. Co się stało?

- Nic, tak tylko chciałam sprawdzić, czy dobrze się czujesz. Właściwie nie rozmawialiśmy od twojego przyjazdu. Potem ten szpital...

- Wszystko OK. Czuję się już znacznie lepiej.

- To dobrze. Pomyślałam, że może powinnaś zrobić jakieś dodatkowe badania...

- Po co? - Zdenerwowała się córka.

- Nie musisz od razu rzucać we mnie kamieniami. Ja tylko mówię, że nie zaszkodzi przyjrzeć się uważniej...

- Czemu?

- No, tobie. Nie masz już piętnastu lat...

- I nie mam jeszcze czterdziestu, więc nie przesadzajmy. Nic mi nie jest. Mamo, muszę wrócić do pracy, pogadamy innym razem, dobrze?

Gisela przytaknęła, ale nie ukrywała zaniepokojenia.

- Zejdz chociaż na zupę. Zrobiłam twoją ulubioną.

Kiedy zamknęła za sobą drzwi, Carina otworzyła okno przeglądarki, które przed chwilą ukryła w dolnym pasku. Przeskrolowała do góry, sprawdziła, czy wszystko się zgadza, i gdy była pewna, kliknęła guzik „Zapłać”. Po chwili system wygenerował wiadomość, w której pojawiło się potwierdzenie płatności i bilet elektroniczny. Przeczytała raz jeszcze z uwagą: „Wylot: Lizbona Humberto Delgado (LIS), przylot: lotnisko Seattle-Tacoma (SEA)”. Zamknęła komputer i zaczęła się pakować.

- Łysy chce cię widzieć - wychodzący z budynku mężczyzna zwrócił się do komisarza, gdy ten znalazł się w korytarzu. - I lepiej się pośpiesz.

Nie brzmiało to dobrze. W zasadzie, wiedział, co usłyszy od komendanta. Zapukał i wszedł do pokoju numer osiemnaście.

- Jestem, szefie.

Lúcio Moreira Sousa nie bez powodu otrzymał swój przydomek. Jego głowa świeciła się jak pochodnia w grobowcu Tutanchamona. Brakowało tylko sarkofagu z mumią. Taki też zagościł klimat w jego gabinecie. Dźwignął jedną ze swoich czarnych jak skała wulkaniczna brwi i machnął ręką na znak, żeby Luís wszedł do środka.

- Szkoda czasu, siadaj, to nie potrwa długo... Wiesz, co dziś za dzień? Środa.

- Wiem, miałem dostarczyć...

- Masz coś?

Milczał.

- No tak, głupie pytanie. Kto wydał zgodę na badania genetyczne próbek niejakiej... Cariny Costy?

Komisarz zbladł. Nie spodziewał się tego, co właśnie usłyszał, bo zupełnie wypadło mu to z głowy.

- Ja wszystko wyjaśnię... Myślałem, że...

- To źle myślałeś. Nie przypominam sobie, żebyś mnie o to pytał. A dopóki ja tu pracuję, każda taka ekspertyza ma przejść przez moje ręce, bo ja odpowiadam za budżet. Czy czegoś tu nie rozumiesz?

Luís był najwyraźniej podirytowany. Uprzedni stres, który towarzyszył mu od kilku dni, żeby się wykazać, zupełnie minął. Wstąpiła w niego dzika furia i obezwładniający bunt. Czuł, że coś jest nie tak, że potrzebuje przerwy, najchętniej kopnąłby w dupę komendanta i cały ten gówniany komisariat. Nie pamiętał, kiedy ostatnio się wyspał, nie wspominając już o zjedzeniu jakiegoś zdrowego posiłku albo spędzeniu choćby jednego weekendu z najbliższymi. Nie wytrzymał i poniosły go nerwy.

- Ja pierdołę! Proszę, śmiało, potrąć mi z pensji. Jakbym za każdym razem czekał na twoją zgodę, tobym dzisiaj wahał od spodu kwiatki.

- Uspokój się, nie pogarszaj swojej sytuacji.

- Mojej sytuacji? No fakt, siedzę po uszy w gównie, nie śpię, nie

dojadam, łączę za jakimiś zbrodniami i użeram się z bandą zoofilów, psychopatów i wyrzutków społecznych, żeby zgadzały ci się, kurwa, statystyki... Już zapomniałeś, jak było dobrze, co? Jak dzięki mnie zbierałeś pochwały i włązili ci w dupę na konferencjach? Ale że raz nie zapytałem o zgodę na ekspertyzę, to już wielka afera!

- Luís, wystarczy. Siadaj! - powiedział stanowczo komendant. - Masz...

Wyciągnął papierosy i podał je komisarzowi. Skorzystał. Komendant odczekał, aż zapali i sztachnie się porządnie.

- Jakbym miał batona, tobym cię poczęstował, podobno działa...

Obaj zaczęli się śmiać. Komisarzowi dygotał cały wielgachny brzuch. Po chwili się uspokoił.

- Pamiętam, jak pracowałeś, ale widzę, że się wypaliłeś. Może już dawno powinienem był cię wysłać na urlop. Kiedy miałeś ostatnio wolne?

- Nie pamiętam - burknął.

- Tak myślałem... Od jutra nie chcę cię tu widzieć. Wybierasz cały zaległy urlop i jeszcze tydzień z bieżącego.

- Zwariowałeś? Nazbiera się tego dobrze ponad miesiąc!

- No i bardzo dobrze. Wreszcie odpoczniesz.

- Dobra, nie róbmy scen. Doprowadzę tę sprawę do końca i pójdę na urlop.

- Nie ma takiej potrzeby - odpowiedział komendant.

- Bo?

- Bo właśnie nam ją odebrali. Miałem tu ostatnio nalot, nie widziałeś ważniaków z Interpolu?

Przypomniał sobie. Zrobił smętną minę i wytrzeszczył z niedowierzania oczy.

- Poważnie? Tak po prostu ją przejmują?

- Nie „tak po prostu”, bo ciągnie się to od miesięcy jak smród w gaciach, Luís. Ale nieważne, przecież nie mam do ciebie pretensji. Było, minęło, nie pierwszy i pewnie nie ostatni raz, więc się nie przejmuj. Niech się z tym sami użerają. Przekazałem im

wszystkie akta sprawy...

Komisarz trzymał między palcami resztkę papierosa. Zanim go zgasił, machnął się jeszcze dwa razy. Potem spojrzał na szefa i powiedział:

- Mogłem się bardziej postarać...

- To nie twoja wina. Zabieraj dupsko i nie chcę cię tu widzieć przynajmniej do grudnia, rozumiano?

Nie odpowiedział. Wiedział dobrze, że było to pytanie retoryczne.

## ROZDZIAŁ 45

Porto Brandão było małym, urokliwym miasteczkiem. Carina szła powoli ulicą Pierwszego Maja, kierując się w stronę Kościoła Chrystusowego znajdującego się na niewielkim placu. Minęła ulubioną kawiarenkę Café au Lait i skręciła w lewą odnogę skweru. Stąd już można było dostrzec rząd palm wieńczących teren zabudowany. Dalej ulica skręcała w prawo, a tuż za nią znajdowała się plaża i niewielki port, skąd odprawiane były promy do Belém. Lubiała tu przychodzić, kiedy była małą dziewczynką.

Usiadła na kamiennym krawężniku, który opadał stromo półtora metra w dół do poziomu piasku na plaży. Spuściła swobodnie nogi i oparła dłonie na wystających głazach. Rzeka była spokojna; niedawno odpłynął prom z samochodami w kierunku drugiego brzegu, pozostawiając z tyłu dwie nitki pieniającej się wody, która stopniowo niknęła, rozpuszczając się w toni. Zbliżało się południe. Carina obserwowała nadpływające fale, delikatnie rozchodzące się po piasku jak glazura, którą cukiernik wylewa na migdałowy biszkopt. Tuż nad głową przelatywały rybitwy, wrzeszcząc wniebogłosy podczas podniebnych potyczek o resztki pokarmu. Odwróciła głowę w lewo, uniosła lekko podbródek i zamknęła oczy, chłonąc nadciągającą bryzę. Liczyła, że gdzieś tam, za oceanem, znajdzie pomoc. Tylko jeden człowiek był w stanie pojąć, co się stało... i może uwolnić ją od tego ciężaru. Tylko czy zechce? Poczwała głód, co w ciągu ostatnich kilku dni było rzadkością. Przeszło jej przez myśl, że to - szukała odpowiedniego słowa - ono się doprasza

o jedzenie. Bała się nawet pomyśleć o dziecku; nie chciała dziecka, nie obchodziło jej, czy jest rodzaju męskiego czy żeńskiego, jak się będzie nazywać, czy w ogóle będzie się nazywać. Nie chciała o tym słyszeć, a jednak to coś było w niej. Zaczęło jej się kręcić w głowie, więc wstała i ruszyła z powrotem do domu. Nie zastała nikogo. O tej porze mamy zwykle nie było. Na kuchennym stole znalazła banany, pomarańcze, jabłka i awokado, ale wolała zrobić sobie kanapkę. W lodówce były jeszcze kawałki jej ulubionej alheira, wzięła więc jeden i pokroiła w plasterki. Następnie przekroiła bagietkę, posmarowała masłem i zaczęła tworzyć kompozycję: plasterki wędzonej kiełbasy z kurczaka, pomidor, cebula oraz papryczki z zalewy olejowej, które dodawały lekko ostrego smaku. Gdy zjadła, poczuła się dobitnie syta i nawet ogarnęła ją senność, ale musiała się wysilić, żeby przygotować walizkę – lot był już za trzy dni.

- Wróciłam! - zakomunikowała Gisela, wszedłszy do domu. - Carina, jesteś tu?

Chwilę trwało, zanim córka jej odpowiedziała; pośpiesznie wsadziła do niewielkiej walizki bluzkę, którą akurat składała w kostkę. Musiała wymyślić dobre wytłumaczenie, gdyby mama spytała, dokąd się wybiera.

- Jestem! - krzyknęła.

Niewiele jej to dało, bo Gisela zdążyła już wejść po schodach i wsunęła się połową ciała do pokoju Cariny, przytrzymując drzwi jedną ręką.

- Gdzie ty się znowu wybierasz, córciu? - Zdziwiła się na widok torby podróżnej.

- Rektorowi tak się spodobały efekty wymiany studenckiej, że wysyła nas na kolejną wyprawę... - Zmyśliła na poczekaniu i spuściła wzrok, żeby nie spojrzeć mamie w oczy.

- Poważnie? - spytała Gisela tonem pomiędzy zaskoczeniem a radością. - Gdzie tym razem? Będę mieć kolejnego gościa?

- Nie, mamo, teraz jedzie tylko niewielka grupa, właściwie tylko trzy osoby, między innymi ja. Będziemy nurkować na Atlantyku. Mamy do zebrania wiele próbek. Potem trzeba je będzie zbadać. To

w ramach akcji ratowania... - zamyśliła się - jednego z gatunków delfina.

Gisela usiadła na krawędzi sofy zaciekawiona tym, co właśnie powiedziała córka.

- Tak szybko znowu was wysyłają? Nie powinnaś odpocząć?

- Mamo, znów zaczynasz. Takie studia, nie ma czasu na odpoczynek.

- No dobrze, już dobrze. Nic nie mówię. Skoro musisz, to jedź - odpowiedziała nieco speszona.

Gisela zerknęła na niewielkich gabarytów walizkę.

- Zmieściłaś się do tego? A twoje neopreny? Przecież się z nimi nie rozstajesz...

Teraz Carina nieco zaskoczona dociekliwością ze strony mamy musiała odpowiedzieć wystarczająco przekonująco, żeby uciąć temat delikatnie, nie pokazując przy tym zdenerwowania.

- Na tych wodach jest znacznie zimniej, więc nie ma sensu zabierać neoprenów, bo i tak bym z nich nie skorzystała. - Zmusiła się do uśmiechu.

- Aż tak zimno? To gdzie dokładnie będziecie nurkować?

Teraz z kolei w pośpiechu analizowała mapę świata, żeby udzielić rozsądnej odpowiedzi.

- Mamo, nieważne gdzie, z pewnością będzie to Atlantyk, więc żeby wykonać dłuższe nurkowanie trzeba zaopatrzyć się w „suchar”.

- Dadzą ci?

- No oczywiście, że mi dadzą. Już przestań, nie martw się, nic mi nie będzie...

Gisela zrezygnowała z dalszych pytań. Spojrzała na Carinę jeszcze raz.

- To kiedy jedziecie?

Cisza. Carina liczyła w głowie.

- Za cztery dni.

- Czyli... w poniedziałek?

- Tak, nurkować będziemy najwcześniej następnego dnia, ze



względu na różnicę ciśnień.

Mama wstała z sofy i ruszyła do drzwi.

- Zrobię makaron. Zjesz ze mną?

- Zjem. - Czuła w środku, że musi spędzić z mamą czas, choć nie wiedziała jeszcze, skąd bierze się to uczucie.

Gisela uśmiechnęła się, ale zanim zamknęła drzwi, rzuciła jeszcze do córki:

- Marie dzwoniła, podobno masz wyłączoną komórkę. Pytała, jak się czujesz.

- Pewnie bateria mi się rozładowała i telefon się wyłączył.

- Mówiła, że próbuje od wtorku...

Carina dźwignęła wzrok, dając do zrozumienia, że pojęła, do czego zmierza mama. Posmutniała i odpowiedziała z lekkimi wyrzutami sumienia:

- Zadzwońię do niej dziś.

Wykłady okazały się nudne i męczące. Wszyscy studenci myślami byli przy piątku, wtedy też miała się odbyć kolejna impreza dla wybranych. Marie siedziała w jednym z pierwszych rzędów na dole auli skrajnie po prawej stronie. Od ponad trzydziestu minut trzymała nerwowo długopis, obracając go między palcami, raz po raz stukając o blat wąskiej ławy. Obejrzała się w tył. W przedostatnim rzędzie siedział Conrado. Dostrzegł, że dziewczyna się na niego gapi, nie było to jednak przyjemne spojrzenie. Speszył się i udawał, że słucha uważnie wykładu o specyfikacji krajobrazu wyżyny Gujańskiej w południowo-wschodniej Wenezueli. Zbliżała się godzina czternasta, gdy profesor wypowiedział długo wyczekiwane słowa:

- Moi drodzy, na dziś to wszystko. Radzę przyswoić sobie ten materiał, bo w przyszłym tygodniu czeka was kolokwium.

Rozległy się jęki po całej sali, a następnie wszyscy pośpiesznie zaczęli zbierać notatki, telefony i torby, kierując się do wyjścia. Marie nie musiała się śpieszyć; czekała, aż Conrado zejdzie do drzwi. Ani przez chwilę nie spuszczała go z oczu.

- Czego chcesz, wariatko? - powiedział zirytowany. - Odczep

się.

- Dobrze wiesz, o co mi chodzi - parsknęła. - Jeśli coś jej zrobiłeś...

- Nic jej nie zrobiłem, pogięło cię? Masz jakieś urojenia, tak jak ona. I przestań za mną chodzić, bo to zgłoszę... wariatka!

Marie niewiele mogła zrobić. Prawdę powiedziawszy, trudno jej było uwierzyć, że Conrado miał coś wspólnego z dramatem jej koleżanki. Carina rzeczywiście ostatnio zachowywała się dziwnie. Co gorsza, było to zaraźliwe. Potrząsnęła głową, chwyciła swój plecak i jako ostatnia opuściła aulę.

## ROZDZIAŁ 46

Niedziela, 3 listopada 2013

Ściany w mieszkaniu zdawały się nachylać i mówić. Jakby zamierzały „stanąć murem” i zablokować Carinie drogę do wyjścia. Miała wrażenie, że zegar w kuchni zaraz spadnie na podłogę – wskazywał ósmą pięć. Za chwilę miał się zjawić kierowca. Trzymała w ręce kartkę; był to list do mamy. Niezbyt długi. Wyobrażała sobie, co zrobi mama, gdy go przeczyta: czy usiądzie z wrażenia na krześle? Zrobi jej się słabo? Zadzzwoni na policję, gdy wpadnie w panikę, że telefon Cariny jest poza zasięgiem? Rozplącze się? Zdenerwuje?

Było jej przykro z tego powodu, ale nie mogła postąpić inaczej. Gisela by tego nie zrozumiała, nawet będąc mamą. Zerknęła raz jeszcze na treść, złożyła papier w pół, po czym odłożyła w widocznym miejscu na stoliku. Dla pewności postawiła na niej pilota do telewizora. Wtedy usłyszała klakson; taksówka czekała już przed domem. Nie mogła w to uwierzyć... wszystko działo się tak szybko. Jednak chwyciła za klamkę, w drugiej ręce trzymając niewielką walizkę podręczną. Zamarła. Objęła wzrokiem cały salon, powoli, od lewej strony do prawej. Zerknęła na owoce leżące w oddali na stole kuchennym, spojrzała na schody i wyglądające ukradkiem z zaułka drzwi jej pokoju. Popłynęły jej łzy. Nie było jednak odwrotu. Nie było tu dla niej miejsca. Musiała już iść.

I przepadła w otchłani.

- Nie wiem, o której, ale raczej wieczorem, co ty na to? - powiedziała do słuchawki telefonu komórkowego Gisela.

- O, świetny pomysł! W takim razie do zobaczenia.

Gisela była w doskonałym nastroju. Nie spodziewała się najgorszego. Wygrzebała z torby klucze do domu i weszła do przedsiionka. Zezłościła się na siebie za nieporządek w torebce. Każdego dnia obiecywała sobie, że w niej posprząta, ale codziennie stwierdzała, że nie ma to sensu, bo i tak zaraz wróci do stanu pierwotnego. Weszła do salonu w pantoflach, uprzednio wytarłszy buty o wycieraczkę znajdującą się przy futrynie.

- Carina! Chodź, kupiłam ci tego tuńczyka zapiekanego w cieście. Weźmiesz sobie jutro na drogę.

Odłożyła rzeczy na komodę stojącą w najbardziej newralgicznym punkcie salonu, tuż pod wielkim lustrem i poszła do kuchni, niosąc niewielką siatkę z zakupami. Część rzeczy włożyła do lodówki, inne odstawiła na blat.

- Carina? - krzyknęła ponownie, po czym pomyślała - Czyżby wyszła?

Już zamierzała wejść po schodach, gdy dostrzegła kartkę. Podeszła dość szybko i odczytała zawartość listu. Nastąpiła taka cisza, że dało się słyszeć dziecko płaczące w domu sąsiada. Gisela stała jak zamurowana.

- Co do licha?

## ROZDZIAŁ 47

W hali przylotów terminalu centralnego panował ogromny ruch. Gdy większość pasażerów czekała na swój bagaż, który lada chwila miał zacząć spadać na czarny, gumowy taśmociąg, Carina mogła od razu ruszyć w stronę wyjścia. Jej bagaż podręczny wzbudził jednak zainteresowanie straży granicznej. Jako obywatelka Portugalii, Carina nie musiała posiadać wizy, przekraczając granicę Stanów Zjednoczonych, ponieważ jej kraj objęty był programem ruchu bezwizowego od tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiątego dziewiątego roku. Jednak okazawszy paszport i bilety, na których widniało lotnisko początkowe oznaczone symbolem „LIS”, najwidoczniej stwierdzili, że nie jest zjawiskiem normalnym, żeby osoba podróżująca z Europy do Ameryki miała ze sobą wyłącznie niewielką torbę podręczną. W związku z tym została poproszona o wyjaśnienia.

- Pani Costa, jaki jest pani cel podróży do Stanów Zjednoczonych? - zapytał tęgi mężczyzna o nieco azjatyckiej urodzie.

- Jestem studentką Wydziału Oceanografii w Lizbonie - odpowiedziała spokojnie. - Część mojej pracy dyplomowej dotyczy tematu ochrony Pacyfiku. Zamierzam zaczerpnąć tu nieco wiedzy, korzystając ze źródeł tutejszych bibliotek i uczelni...

Ostatnia część zdania zabrzmiała z nutą zawahania, mimo to mężczyzna przepuścił Carinę bez dodatkowych pytań, życząc udanego pobytu. Bilet kosztował ją nieco ponad pięćset euro, bo

zależało jej, żeby lot był jak najkrótszy, z możliwie niewielką liczbą przesiadek. Ostatecznie udało jej się znaleźć lot z Lizbony do Londynu oferowany przez narodowe linie lotnicze, skąd przesiadła się na samolot amerykańskich linii, który następnie wylądował bezpośrednio w Seattle-Tacoma. Mimo to była wyczerpana, w sumie spędziła w powietrzu prawie dwadzieścia sześć godzin. Miała jasny plan co do tego, z kim musi się spotkać. Uprzednio zarezerwowała pokój w dość przyzwoitym motelu – tak jej się przynajmniej wydawało – który znajdował się całkiem niedaleko instytutu OAMO. Nosił zachęcającą nazwę Stay-here Motel. Musiała załatwić swoje sprawy przed wylotem, a czasu było niewiele, bo zaledwie kilka dni. Lot powrotny wypadał na przyszły piątek, ósmego listopada. Tutaj dzień dopiero co się zaczynał; w Lizbonie mama pewnie już gotowała obiad... albo płakała przed jakimś policjantem przyjmującym od niej zgłoszenie o zniknięciu córki – w samodzielną ucieczkę z pewnością nie uwierzyła. Pozostało jej zatem pięć dni, by odnaleźć doktora.

- Tak, miałam rezerwację na nazwisko Costa.

Kobieta około czterdziestki, ubrana zupełnie niegustownie, a nawet można powiedzieć – niechlujnie, sprawdzała coś to na kartkach, to na ekranie swojego komputera, marszcząc przy tym czoło, jakby coś się nie zgadzało. Wokół było dziwnie. Recepcja znajdowała się na parterze budynku, przy czym przypominała bardziej małą kłitkę, w której trzyma się zapasy papieru toaletowego, lub składzik środków czyszczących, niż pomieszczenie do przyjmowania gości, ale Carina nie spodziewała się luksusów; nie za taką cenę.

- Mogę pani dać pokój dwuosobowy.

- Słucham? Ja mam potwierdzenie, proszę – wyciągnęła nieco pomiętą kartkę papieru – tu jest wyraźnie napisane, że miał być pokój pojedynczy.

Kobieta spojrzała na nią bez przekonania.

- Jest też napisane, że nie gwarantujemy utrzymania rezerwacji z przyczyn od nas niezależnych.

- W którym miejscu?

- Tutaj - odpowiedziała recepcjonistka, wskazując tłustym od pączka palcem na drobny druczek u dołu kartki.

- Co ja mam teraz zrobić? - zmartwiła się Carina.

- Nic, wziąć dwójkę. Przecież mówię, że mamy pokój.

- Ale zapłacę jak za jedynekę? - Upewniła się Carina.

Kobieta skrzywiła się i przewróciła oczami. W końcu jednak pozwoliła Carinie zatrzymać się w dwuosobowym pokoju za cenę widniejącą na potwierdzeniu.

- Niech stracę...

Jak się potem okazało, była to właścicielka motelu. Zapewne mogła sobie pozwolić na tego typu zaniedbania z jednej strony i pozwolenia z drugiej. Carina dostała w końcu klucz, taki zwykły, nie jakąś kartę elektroniczną, po czym została skierowana na pierwsze piętro schodami po prawej. Musiała jednak najpierw wyjść z recepcji, gdyż z tego pomieszczenia było tylko wyjście zapewne do klopa, w którym najpewniej przesiadywała właścicielka w przerwie między przyjmowaniem gości a jedzeniem kolejnego pączka.

Na dworze było dość zimno, co nie przeszkadzało jednak Carinie znacząco, biorąc pod uwagę fakt, że nie przyjechała tu na urlop. Bez problemu weszła z lekką torbą na górę po wąskich schodach. Ku jej zdziwieniu przejście było bardzo solidnie wykonane, podest porządnie obity deskami i pomalowany na brązowo. Drzwi jej pokoju otworzyły się łatwo i nie skrzypiały jak w jakimś amerykańskim horrorze. W środku również nie zastała żadnego psychopaty z siekierą w ręku ani węża na poduszce. Z przyjemnością przyjęła fakt, że w niewielkiej łazience nie siedzi niedźwiedź. Zdała sobie sprawę, jak bardzo przesiąkła nieprawdziwą wizją amerykańskiego świata, której dostarcza telewizja i kino. Upewniła się, że drzwi są zamknięte na klucz. Położyła walizkę na jednym z łóżek. Do spania wybrała to po prawej od strony łazienki, bo jakoś obawiała się spać przy oknie. Nie pamiętała, kiedy zasnęła.

## ROZDZIAŁ 48

Jak to zniknęła? Tak, po prostu, bez słowa?

Gisela zdawała się być mocno zaniepokojona. W zasadzie wiedziała, że córka wyjeżdża, ale już sam fakt, że okłamała ją co do daty wyjazdu sprawiał, że czuła się - delikatnie mówiąc - niekomfortowo.

- Niezupełnie... to znaczy... - zająknęła się - mówiła, że ponownie jedzie ze studentami, ale nie mówiła gdzie. Poza tym celowo mnie okłamała, wyjeżdżając dzień wcześniej. No i ten list...

- Jaki list? - zapytała Isabel.

- Zostawiła kartkę na stole.

- Co w nim jest? Przeczytaj.

Gisela wzięła kartkę papieru z wiadomością od córki. Usiadła na stołku i przeczytała drżącym głosem:

- „Mamo, musiałam wyjechać wcześniej. Przepraszam, że tak wyszło. Proszę, nie dzwoń, wyłączę komórkę. Wracam za tydzień. Czekał, aż się odezwę. Carina”. - Skończyła i zapadła chwila ciszy.

- Tylko tyle?

- Tak.

- No to chyba nie jest źle. - Pocieszyła ją Isabel. - Czemu się martwisz? Może faktycznie musiała wcześniej jechać, skoro była z większą grupą... Ciebie nie było w domu, więc zostawiła kartkę. I tyle.

- Ale dlaczego wyłączyła komórkę?

- Może nie będzie miała czasu albo tam, gdzie jadą, nie ma



zasięgu? Nie pozostaje ci nic innego, jak czekać. Za tydzień wróci.

- Coś mi tu nie pasuje... Po co tak nagle wyjechała? Może coś ukrywa? Dzwoniłam do Marie, jej przyjaciółki, ona twierdzi, że nie wie nic o kolejnym wyjeździe z uczelni... Już całkiem nie wiem, co o tym sądzić...

Ponownie zapadła krępująca cisza. Isabel słyszała, jak Gisela lekko pochlupuje. Domyślała się, że płacze. Czuła, że musi jej to powiedzieć... nawet jeśli ta informacja będzie dla niej szokiem, to przynajmniej zrozumie, dlaczego i w jakim celu jej córka wyjechała. Sądziła, że pomoże jej to przetrwać tydzień oczekiwania.

- Gisela... ja... - zaczęła nieśmiało - muszę ci coś powiedzieć. Ale nie wiem, jak...

- Rany boskie! Ty coś wiesz?! - krzyknęła. - Tak myślałam, byłaś jakaś dziwna, gdy rozmawiałyśmy kilka dni temu przez telefon. Mów, co wiesz! Proszę!

- Dobrze, ale spotkajmy się gdzieś. Powiem ci to osobiście.

- Aż tak źle?

- Nie, sądzę, że mogło być gorzej. Ale takich rzeczy nie zamierzam mówić przez telefon. Przyjadę do ciebie po pracy, wychodzę za godzinę, czyli powinnam być w Porto Brandão najpóźniej około szóstej.

- Dobrze, czekam. Tylko pośpiesz się, bo tu umrę.

To były najdłuższe dwie godziny w życiu Giseli... jak do tej pory.

Nie wiedziała jeszcze, że przyjdzie jej długo czekać na rozwiązanie tej historii...

Od strony schodów dochodziły jakieś hałasy, które wyrwały Carinę ze snu. Nie wiedziała, o czym śniła, ale był to bardzo męczący sen. Poczowała, że ma mokre plecy, także na dekolcie pojawiły się duże krople potu. Twarz miała lekko zarumienioną. Dotknęła czoła; wydawało jej się, że ma lekką gorączkę. Podeszła do okna i schowała się za firanką. Na schodach jakaś para szarpała się za ubrania; wyglądali na skłóconych kochanków, tudzież nieudane małżeństwo. Postanowiła nie zwracać na nich uwagi. Zerknęła na zegarek stojący na nocnej szafce, ale nie była pewna, czy wskazuje

poprawną godzinę. Przystawiła go do ucha, żeby sprawdzić, czy tyka; ponieważ nie posiadał wskazówki sekundnika, trudno było stwierdzić gołym okiem, czy w ogóle działa. Dało się słyszeć ciche tykanie, stwierdziła więc, że musi mu zaufać i przyjąć do wiadomości, że lokalnie wybiła godzina czternasta. Szybko przeliczyła w głowie, że spała około pięć godzin. Odnalazła w walizce bluzkę i spodnie, po czym wzięła prysznic. Zdziwiło ją, że w łazience ma do dyspozycji nawet żel i suszarkę. Swojej i tak nie zabrała, dlatego ta informacja bardzo ją ucieszyła. Na zewnątrz było raczej zimno i deszczowo. Z mokrą głową dostałaby zapalenia płuc, a tylko tego jej teraz brakowało. Gdy wyszła spod prysznica, poczuła się o niebo lepiej. Wysuszywszy włosy, ubrała się. Starannie zapięła bluzkę na wszystkie guziki i założyła bawełniane skarpetki. Na szczęście miała ze sobą dwie pary grubych spodni i ocieplaną kurtkę. W Lizbonie nie była jej potrzebna, ale już po przesiadce w Londynie bardzo się przydała. Około czternastej dwadzieścia była gotowa do wyjścia. Kierunek: East Hamilton Street 450.

- Halo! - Usłyszała za plecami. - Nie powiedziała pani, co ze śniadaniem?

- Nie rozumiem. - Zdziwiła się Carina.

- Można dopłacić trzy dolary za śniadanie. Chce pani? Muszę to wiedzieć wcześniej.

Carina pomyślała uszczypliwie, że kobieta musi wiedzieć wcześniej, żeby nie zeżreć wszystkich pączków i zostawić część dla gości.

- A co jest na śniadanie?

Zapytała, chociaż nie miało to tak naprawdę znaczenia. Nawet gdyby się okazało, że to pączek z kawą.

- Jajko na bekonie i pączek z kawą. Czasem podajemy kanapkę z tuńczykiem... i pączek z kawą.

- Biorę.

To mówiąc, od razu ruszyła w drogę. Kobieta jeszcze zdążyła krzyknąć, że śniadanie podają od ósmej do dziewiątej rano i trzeba zapłacić z góry. Zamierzała to zrobić po powrocie.

Droga do instytutu nie była długa, wręcz zadziwiająco szybko minął jej czas. Postanowiła za pierwszym razem wziąć taksówkę; gdyby się okazało – na co liczyła – że doktor Passrowher zechce spotkać się ponownie, będzie już знаła drogę, więc trafi tam choćby na piechotę.

Seattle szykowało się do zimy. Cały czas siąpiło, z nieba leciała chłodna mżawka, a słońce schowało się za warstwą gęstych chmur, choć chwilami prześwitywało przez sklepienie i rzucało błądy promyk na przemoczoną ziemię. Ta część miasta była dość zielona; wszędzie wokół wyrastały parki, a wrażenie bliskości z naturą pogłębiała dodatkowo obecność zatoki. Mimo że ogólnie było ponuro i pochmurnie, to jednak na lustrzanej tafli wody migotały przyjemnie iskierki światła i wprawiały w uroczy nastrój, dając uczucie spokoju. Taksówka zatrzymała się przed niewielkim budynkiem ogrodzonym wysoką siatką przyczepioną starannie do grubych, metalowych słupów. Zapłaciła kierowcy banknotem pięciodolarowym i otrzymała jeszcze resztę, co trochę ją zdziwiło, ale nie protestowała. Wsiadła i przystanąła na moment. Nie miała zielonego pojęcia, co powie doktorowi – oby tylko zechciał z nią porozmawiać. Ruszyła do wejścia. Minąwszy długi podjazd wyłożony wielkimi, szarymi płytami, znalazła się przy drzwiach głównych. Bez problemu przez nie przeszła. Dopiero w środku zatrzymał ją mężczyzna z ochrony.

- Słucham, pani do kogo? - zapytał.

- Dzień dobry. Nazywam się Carina Costa, jestem studentką z Portugalii. Piszę pracę naukową i chciałabym porozmawiać z panem Dannym Passrowherem - wyrecytowała. - Czy zastałam go może?

Czarnoskóry mężczyzna spojrzał na nią podejrzliwie:

- Była pani umówiona? Nic mi nie wiadomo o żadnej wizycie.

- Niestety, nie byłam umówiona, ale...

- Mogę prosić o pani dowód tożsamości? - Wyciągnął rękę i Carina podała mu dowód osobisty. - Proszę tu zaczekać.

Portier, czy raczej pracownik ochrony, odszedł do swojego

biurka znajdującego się za szklaną przegrodą. Dość długą chwilę trwało, zanim wrócił. W tym czasie wykonywał dynamiczne ruchy ręką podczas prowadzenia rozmowy telefonicznej. Jak się mogła domyśleć, rozmawiał z doktorem. Teraz nastąpiła chwila prawdy. Mężczyzna podszedł do niej i zwrócił jej dowód. Bała się, że odeśle ją z kwitkiem. Tak się jednak nie stało.

- Proszę przejść do pokoju numer sześć i zapukać. - Mężczyzna wskazał przed siebie.

- Dziękuję. - Odetchnęła z wielką ulgą, choć nadal czuła się spięta.

Odeszła, kierując się do wyznaczonych drzwi. Zapukała dwa razy i natychmiast usłyszała krótkie i oschłe: „wejść”. Otworzyła powoli drzwi i zobaczyła dość spore pomieszczenie, a w nim dwóch mężczyzn. Nie miała pojęcia, kim byli, ale nie wyglądali sympatycznie. Pomyślała, że jeżeli to jednemu z nich ma powierzyć swój los, to woli już chyba umrzeć.

- Zapraszam - powiedział po chwili jeden z nich. - Proszę usiąść. Podobno chciała pani rozmawiać z doktorem Passrowherem.

- Tak, właśnie tak - odpowiedziała, siadając na wskazanym krześle. - Rozumiem, że to któryś z panów?

Mężczyzna uśmiechnął się, lecz był to uśmiech szyderczy; nie wiedziała, co było tego powodem.

- To ja, słucham panią - odparł jeden z nich.

Carina straciła ochotę, aby zwierzyć się doktorowi ze swojego problemu, ale to właśnie było powodem jej wizyty, dlatego postanowiła przekonać się, że ta rozmowa ma jakiś sens i uwierzyć, że doktor jest odpowiednim człowiekiem, by jej pomóc.

- Bardzo mi miło - zaczęła - przyleciałam aż z Lizbony. Nie wiem, czy pan mnie kojarzy. Nazywam się Costa, Carina Costa. Jakiś czas temu pisałam do pana e-maila i nawet dzwoniłam, ale był pan nieuchwytny, więc...

- Więc postanowiła pani przylecieć aż tutaj? - Przerwał jej mężczyzna. - Musi mieć pani poważny powód, żeby fatygować się ponad pięć tysięcy mil, aby ze mną porozmawiać.

Carina chciała się uśmiechnąć, ale powód, dla którego tu się znalazła, nie miał nic wspólnego z radością, więc odpowiedziała ostrożnie i z powagą:

- Ja bardzo przepraszam, że tak bez zapowiedzi pana nachodzę...

- Nie szkodzi - odpowiedział ku jej zdziwieniu. - W czym mogę pani pomóc?

Dziewczyna zebrała się w sobie i w końcu powiedziała:

- Właściwie to dość nietypowa sprawa.... Ja pisałam o tym w e-mailu, ale ostatecznie nie dostałam żadnej odpowiedzi. Chodzi o... teorię mały wodnej...

- Tak, pamiętam. Pisze pani pracę na ten temat, czy tak?

Carina ucieszyła się, że doktor kojarzył, o czym mówi, co jeszcze bardziej zmobilizowało ją do rozmowy.

- Dokładnie tak. Jest to temat dość niestandardowy i przyznam, że brakuje mi części materiałów. A pan... w moim odczuciu jest specjalistą w tej dziedzinie, więc pomyślałam, że...

- Droga pani.... Carino - zaczął, nie pozwoliwszy dokończyć jej zdania - to istny miód na moje uszy i przyznam, że podziwiam panią za determinację. Już sam fakt, że pani przyleciała aż z Lizbony tylko po to, żeby porozmawiać ze mną, jest godny pochwały, jednak muszę panią rozczarować. Ja nie zajmuję się już, jak to pani ładnie nazwała, tą dziedziną, więc obawiam się, że nie dowie się pani niczego więcej, niż do tej pory udało się pani dowiedzieć.

Zabrzmiało to jak wyrok. Carina poczuła się tak, jakby wylano na nią wiadro lodowatej wody, która spływała po jej okaleczonym, obolałym ciele. Tym bardziej, że przecież nie chodziło o pracę naukową. Miała wrażenie, że ziemia rozstępuje się pod jej krzesłem, a ona zaraz wpadnie w przepaść.

- Nie rozumiem...

- Czego pani nie rozumie? - zapytał mężczyzna, krzyżując dłonie oparte na biurku.

Był oschły i odrażający. Carina zastanawiała się, jak taki człowiek może zajmować się badaniami i ochroną środowiska -

przecież to istny potwór bez serca. Teraz jednak nie miało to znaczenia. Wyglądało na to, że doktor Passrowher to bezduszna kreatura pozbawiona taktu i szacunku do innych. Miażdżące spojrzenie obu mężczyzn uświadomiło jej, że pora stąd wyjść. Uniosła lekko głowę, wstała i powiedziała cicho:

- Przepraszam. Nie będę panu więcej zabierać czasu. Do widzenia.

O ile droga do instytutu wydała jej się krótka, o tyle teraz, przemierzając korytarz o długości dziesięciu metrów, myślała, że nigdy nie dotrze do drzwi. Minęła strażnika, który patrzył na nią równie oziębłe, aż w końcu nacisnęła na klamkę i wyszła z budynku. Gdy poczuła zimny wiatr, zaczęła płakać. Na jej twarz lały się krople deszczu zmieszane ze łzami.

- To była ona? - zapytał asystent.

- Teraz to się wkurzyłem nie na żarty - zakomunikował złowieszczo Sander. - Masz dopilnować, żeby odechciało jej się dalszych działań. Upewnij się, że wsiądzie do samolotu i wróci do Europy.

- Tak jest, szefie - odpowiedział stojący obok mężczyzna, wykonując przy tym gest podobny do salutowania.

- I jeszcze jedno - dodał - zajmij się Passrowherem. Niech weźmie jutro dzień wolny i nie pokazuje się w pracy.

## ROZDZIAŁ 49

Gdy Isabel parkowała przed domem, Gisela stała już na zewnątrz, nie mogąc doczekać się, co takiego przyjaciółka ma do powiedzenia na temat jej córki. Z niecierpliwością przebierała nogami, gdy Isabel wychodziła z samochodu. Ucałowała ją na przywitanie.

- Wejść do środka, zaraz chyba zniosę jajko - powiedziała Gisela.

Gdy były już w salonie, Isabel usiadła na kanapie. Nie liczyła, że Gisela w tym stanie pomyśli o zaproponowaniu czegoś do picia, więc od razu przeszła do konkretów.

- Proszę, usiądź, Gisela. Nie stój tak nade mną.

- Dobrze, już dobrze. Mów, co wiesz. - Niecierpliwiła się Gisela.

- Kilka dni temu natrafiłam w pracy na kopertę z analizą dotyczącą osoby o nazwisku Carina Costa.

- Nie rozumiem, jaką analizą? Krwi? Moczu? - Zdziwiła się.

- My wykonujemy także inne badania. - Zaczęła powoli Isabel.

- To znaczy?

- Dostajemy do analizy także te próbki, których zbadanie zleca nam wydział kryminalny.

- Co? Jak to wydział kryminalny? Chcesz powiedzieć, że Carina jest przestępcą?

- Nie, uspokój się. Odwrotnie. Sądzę, że ktoś jej wyrządził krzywdę.

Na moment zamilkły.

- Co masz na myśli? - dopytywała Gisela.

- Nie mam pewności, bo to tylko domysły, ale wszystko to, co mówiłaś i co zobaczyłam, wskazuje na to, że... - połknęła ślinę - ktoś mógł zgwałcić Carinę.

Na te słowa Gisela zamarła. Powoli docierały one do jej uszu i znikwały gdzieś w głowie.

- Zgwałcić? - wymamrotała. - To niemożliwe... Jak... Gdzie?

- Na tej kopercie było napisane: „analiza spermy”.

- Jezus, Maria! - krzyknęła. - I to krwawienie na plaży, dlatego trafiła do szpitala! To się wtedy stało!

- Uspokój się, krzyk nic tu nie da - powiedziała i przytuliła Giselę, widząc, że przyjaciółka płacze.

- Mogłam jej tam nie puszczać. To moja wina...

- Co ty wygadujesz? Nic nie mogłaś zrobić, Carina jest dorosła i może robić, co chce. - Pocieszała ją Isabel.

- Muszę jej jakoś pomóc... zaraz do niej zadzwonię - to mówiąc, zaczęła nerwowo grzebać w torebce, najprawdopodobniej w poszukiwaniu telefonu.

- Gisela - powiedziała Isabel i powtórzyła - Gisela, spójrz na mnie.

Przyjaciółka usiadła i popatrzyła na nią.

- Ja myślę, że ona nie bez powodu napisała do ciebie ten list. Na pewno wyłączyła komórkę, bo wiedziała, że będziesz chciała zadzwonić. Ja myślę, że ona nigdzie nie wyjechała...

- Jak to?

- Skłamała, żebyś nie próbowała jej szukać. Moim zdaniem ona jest niedaleko.

- Gdzie?

- Nie wiem gdzie, ale podejrzewam, że Carina chce usunąć ciążę. Wszystko na to wskazuje. Przykro mi...

Gisela była załamana. Chciała, żeby to był tylko koszmar. Nic jednak na to nie wskazywało. Rozpłakała się na dobre, a Isabel cały czas przy niej siedziała, obejmując ją ramieniem. Wyszła dopiero wtedy, gdy ta się uspokoiła, upewniwszy się, że może ją zostawić samą.



- Jesteś pewna, że chcesz być teraz sama? Może zostanę? Albo zabiorę cię do siebie, chcesz?

- Nie, nie trzeba.

- Gisela, nie ma problemu. Mam wolny pokój. Możesz ze mną zamieszkać do powrotu Cariny.

- Nie chcę. Dam sobie radę, ale dziękuję.

Isabel widziała, z jakim uporem odpowiada Gisela i stąd nabrała przekonania, że jej nie przekona. Odjechała, a matka Cariny mogła tylko czekać. To była jedna z gorszych nocy w jej życiu. Niestety, gorsze miały dopiero nadejść.

O dziwo, w nocy zawitał na niebie księżyc. Ciężkie chmury zginęły gdzieś w atmosferze, ustępując miejsca wielkiej, srebrnej kuli. Tylko tajemnicza poświata pozostała wokół ogromnego ciała niebieskiego po niedawnej pełni. Carina dźwignęła głowę z poduszki; wydawało jej się, że coś słyszy. Obserwowała, co dzieje się za oknem. Coś ewidentnie hałasowało. Nasłuchiwała w skupieniu. Raz, drugi i jakiś dziwny dźwięk. Niby szuranie, potem jakby coś upadło. Po chwili ciszy znowu to samo.

- Co do licha - wyszeptała, a serce waliło jej jak oszalałe.

Usiadła na krawędzi łóżka i patrzyła w okno. Po chwili poczuła chłód na stopach, zerknęła w lewo i omal nie zemdląła, gdy dostrzegła, że drzwi są uchylone. Zaczęła szybko oddychać i wytrzeszczyła ze strachu oczy. Była przerażona do granic wytrzymałości. Chciała się podnieść, żeby je zamknąć, ale na samą myśl, że ktoś już tu wszedł, dostała paraliżu. Pożałowała, że w ogóle tu przyjechała. Nagle znowu coś zachrobotło na schodach; usłyszała kroki, chciała krzyknąć, ale jedyne, co potrafiła zrobić, to skulić się w kącie łóżka i modlić, żeby to było tylko jakieś zwierzę.

To jest na pewno szop pracz - pomyślała. Wtedy coś trzasnęło w łazience. Zerwała się na równe nogi.

- Kto tu jest!?! - powiedziała głośno, po czym zdała sobie sprawę, że mówi po portugalsku, powtórzyła więc w języku angielskim: - Kto tu jest?

Nikt nie odpowiadał, co jeszcze bardziej ją przeraziło. Zaczęła

płakać i kwilić cichutko. To był jakiś koszmar. Zobaczyła leżący na stoliczku nóż, który dołączono do jej lunchu na wynos. Był dość pokaźnych rozmiarów i wyglądał jak metalowy. W każdym razie to była jedyna rzecz pod ręką, której mogła użyć do ewentualnej obrony. Chwyciła go mocno i z zaciśniętą pięścią ruszyła powoli w stronę łazienki. Nigdy wcześniej tak się nie bała. Podeszła do drzwi, zapaliła światło i odchyliła je bardziej. W prawej dłoni na wysokości głowy cały czas trzymała nóż gotowy, by go użyć. Serce biło jej jak oszalałe. W łazience jednak nikogo nie było. W brodziku pod prysznicem dostrzegła plastikową butelkę żelu. Najwidoczniej ześlizgnęła się i narobiła hałasu. Odetchnęła z ulgą. Opuściła nóż i podeszła bliżej, by ją podnieść. Schyliła się i złapała za butelkę. Gdy ją nacisnęła, ze środka uwolnił się piękny kwiatowy aromat. Odłożyła ją na narożną półeczkę. Gdy się odwróciła do wyjścia, zobaczyła sylwetkę mężczyzny stojącego tuż za nią. Krzyknęła z przerażenia, ale ktoś już zatkał jej usta i mocno chwycił, krępując ręce. Szarpała się niemiłosiernie, próbując się oswobodzić. Nic z tego. Zamarła z przerażenia, gdy napastnik zbliżył usta do jej ucha i wysyczał półszepem:

- Dobrze ci radzę, wyjedź stąd jak najszybciej i nigdy nie wracaj.

Po chwili upadła na kolana pchnięta z całej siły przez napastnika. Poczowała ogromny ból, osunęła się na posadzkę i uderzyła twarzą o kafelki. Zajęczała i zwinęła się w kłębek. Leżała tak dłuższą chwilę. Zorientowała się, że została sama. Zaczęła nasłuchiwać. Podniosła się resztką sił i trzymając za podbrzusze, powoli wyszła z łazienki. Ostrożnie ogarnęła wzrokiem pokój. Wyglądało na to, że nikogo nie ma. Cały czas płacząc, zbliżyła się do drzwi. Nagle szybko złapała za klamkę, przyciągnęła skrzydło do siebie i drżącą ręką przekręciła klucz dwa razy. Następnie przyłgnęła do ściany i opierając się o nią plecami, usiadła na ziemi, próbując uspokoić oddech. Gdy największy kryzys minął, położyła się pod kocem i wtuliła mocno w poduszkę. Nie zmrużyła więcej oka. Dopiero gdy nastał świt, poczuła się odrobinę bezpieczniej

i zamknęła oczy.

Obudziło ją pukanie. Zerwała się na równe nogi. Po chwili usłyszała zza drzwi:

- Halo, proszę pani, zamawiała pani śniadanie.

Odetchnęła z ulgą. Podeszła do drzwi i przekręciła klucz. Nacisnęła na klamkę, ale drzwi się nie otworzyły. Przypomniała sobie, że przecież przekręciła klucz dwa razy. Po drugim udało się. Na schodach stała właścicielka. Carina domyślała się, że po tym, co ją spotkało w nocy, musi wyglądać nieciekawie, ale mimo to stwierdziła, że jakkolwiek by nie wyglądała, to z pewnością lepiej niż ta kobieta. Szybko zmierzyła ją od góry do dołu. Zobaczyła, że ma założone buty, a raczej buciory, takie jakby gumowce wyściełane szarym filcem. Na górę narzuciła obszerną kurtkę, ale i to nie zdołało zakryć ciemnoróżowego szlafroka w niebieskie kropki przypominające jakieś owady. Mogłaby też przysiąc, że pod szlafrokiem nic już na sobie nie miała, bo tuż nad butami dostrzegła kawałek gołej nogi, która od bardzo dawna nie widziała maszyny do golenia. Na głowie panował chaos.

- Dzień dobry - powiedziała, jakby brakowało jej sił.

Kobieta wcisnęła jej talerz, a raczej plastikowy pojemnik, który go przypominał, i wyciągnęła drugą rękę, mówiąc:

- Trzy dolary, płatne z góry.

Carina cofnęła się do pokoju i wygrzebała pieniądze. Odliczyła żadaną kwotę i podała właścicielce, po czym zabrała talerz, bo nie chciała dłużej na nią patrzeć. Prawdę mówiąc, to, co ją spotkało, skutecznie odebrało jej apetyt. Odłożyła śniadanie na stolik. Stwierdziwszy, że zestaw składa się z kanapki - jak się można było domyślić - z tuńczykiem oraz pączka i kawy, postanowiła, że przy takiej temperaturze jedzenie nie zepsuje się przez kilka najbliższych godzin. Odnalazła luźny woreczek w torbie i schowała do niego kanapkę. Zastanawiała się, czy pączka także powinna do niego włożyć w obawie, czy nie przesiąknie rybą. Ale było jej już wszystko jedno. Wsadziła obie rzeczy do środka i odłożyła na parapet, gdzie było nieco chłodniej. Chciała wiedzieć, która jest godzina, ale nie

było to konieczne. Mogła wziąć za pewnik, że właścicielka nigdy nie robi wyjątków i nie traci na rozdawanie gościom śniadań więcej czasu niż to konieczne. Musiało więc być między ósmą a dziewiątą rano. Na jednym skrzydle małej szafy zostało zamontowane lustro. Zbliżyła się i omal nie krzyknęła. Dopiero teraz zobaczyła, że od skroni do żuchwy widnieje strużka zaschniętej krwi. To zapewne po tym, jak uderzyła głową o podłogę. Jeszcze dziwniejsze było to, że na właścicielce nie zrobiło to najmniejszego wrażenia. To była dziwna osoba i dziwne miejsce. Wzięła prysznic, choć dość niechętnie, a gdy skończyła, usiadła na łóżku i sięgnęła po jeszcze ciepły kubek. Kawa była wyjątkowo dobra, wręcz doskonała. Właściwie można powiedzieć, że ta kawa uratowała jej życie. Jeszcze przed chwilą na niczym jej nie zależało i najchętniej rzuciłaby się pod pędzący pociąg, ale od momentu, gdy wzięła pierwszego łyka, ponownie nabrała chęci do działania. Może nie była to jakaś euforia, ale przynajmniej znowu zaczęło jej zależeć, żeby zrobić to, po co tu przyjechała. Przypominała sobie słowo w słowo to, co usłyszała wczoraj w instytucie. Coś jej się nie zgadzało. Doktor wcale nie był zaskoczony jej przybyciem; niby się zdziwił, ale mimo to jakby się jej spodziewał. Poza tym, dałaby sobie rękę uciąć, że ten stojący obok mężczyzna, gdy odezwał się do doktora... nie pamiętała, jakiego dokładnie słowa użył, ale z pewnością nie brzmiało to ani jak „doktor”, ani „Danny”, a już tym bardziej „Passrowher”. Rozejrzała się po pokoju. Przypominała sobie sceny z różnych amerykańskich filmów i pomyślała, że musi tu gdzieś być coś, co często się w nich pojawiało: książka telefoniczna. Niczego takiego nie dostrzegła. Wstała więc, wypiwszy ostatni łyk aromatycznej kawy, i otworzyła małą szafkę przy łóżku. Niestety, i tu jej nie znalazła. Postanowiła, że nie odpuści; jakiś wewnętrzny głos podpowiadał jej, żeby nie dała za wygraną. Założyła buty i narzuciła na siebie kurtkę. Stwierdziła, że skoro właścicielka wygląda jak strach na wróble, to i ona nie będzie się przejmować. Z resztą, było jej wszystko jedno. Do kompletu nieszczęść, jakie przydarzyły jej się w ciągu zaledwie jednego tygodnia, brakowało

jeszcze tylko porażenia piorunem. Wyszła z pokoju i schodami zeszła na parter, kierując się do recepcji. Tam zastała właścicielkę, a jakże, obżerającą się lukrowanym pączkiem. Chyba nie spodziewała się odwiedzin, bo omal nie zakrztusiła się swoim przysmakiem.

- O, widzę, że już umyła pani głowę - powiedziała.

W pierwszej chwili Carina nie wiedziała, o czym ta baba mówi, ale potem oprzytomniała i zrozumiała, że chodzi jej o krew.

A jednak zwróciła na to uwagę - pomyślała.

Czuła do niej jakąś ogromną niechęć, a jednocześnie właścicielka wzbudzała w niej litość.

- Czy ma pani może książkę telefoniczną? - zapytała.

Już chyba nic nie było w stanie zdziwić tej kobiety. Bez słowa odwróciła się na pięcie i mozolnie poczłapała w przeciwny kąt recepcji. Gdy wróciła, trzymała w rękach grubą książkę. Położyła ją na blacie przed Cariną i jakby nigdy nic wróciła do konsumpcji pączków.

- Obiecuję, że zaraz ją zwrócę - powiedziała, ale nie spotkało się to z żadnym zainteresowaniem ze strony właścicielki.

Wróciła do pokoju i ponownie usiadła, tym razem na drewnianym krześle, który był jedynym meblem użytkowym w pokoju, nie licząc dwóch łóżek, jednego stolika nocnego i szafy na ubrania. Otworzyła książkę na przypadkowej stronie, a następnie przekartkowała w prawo w poszukiwaniu litery P. Zjeżdżała palcem w dół, przerzucając kolejne strony. W końcu znalazła to, czego szukała: „Passrowher, D. (206) 684-2489-32”.

- Bingo!

Zapisała w swoim małym notatniku numer, a następnie odszukała kolejny. Tym razem potrzebowała numeru informacji telefonicznej. Przerzucała beładnie stronicę, błędząc między częścią reklamową książki, a numerami użytkowymi. Z trudem, ale w końcu się udało. Ten numer także zapisała, po czym sięgnęła po znajdujący się na półce telefon. Nie wiedziała, czy i jak będzie to uwzględnione na jej rachunku, ale mało ją to teraz obchodziło.

Wstukala zapisane cyfry informacji telefonicznej. Po chwili uslyszala sygnal komunikujacy o bledzie. Coś poszło nie tak.

Może ten telefon nie działa? – pomyślała.

Spróbowała jeszcze raz, tym razem się udało.

- Informacja telefoniczna, słucham.

Wyteżyła swoje siły, żeby jak najładniej powiedzieć w języku angielskim:

- Dzień dobry, mam numer telefonu przyjaciela i chciałabym potwierdzić jego adres w Seattle.

- Słucham.

Nastąpiło kilka sekund ciszy; Carina nie wiedziała, czy ma mówić dalej, czy ta pani nie dosłyszała pytania.

- Halo, słucham, proszę podać numer.

- Sześćset osiemdziesiąt cztery, dwadzieścia cztery, osiemdziesiąt dziewięć, trzydzieści dwa.

- Chwileczkę. Miasto Seattle?

- Tak.

- Szukam, proszę czekać.

I tak nie miała nic lepszego do roboty, więc czekała. Na szczęście tylko chwilę.

- Proszę notować, podaję adres w Seattle dla numeru sześć, osiem, cztery, dwa, cztery, osiem, dziewięć, trzy, dwa: Coryell Ct 1402, John D.Square.

- Czy może pani powtórzyć, jaki to Square?

- John Dawson Square.

- Dziękuję. Do widzenia.

Pracownica informacji zakończyła połączenie. Carina stwierdziła, że Ameryka to jednak cudowny kraj. Ubrała rajstopy, ciepłe sztruksy i ciepłą bluzkę. Owinęła szyję szalem i założyła ponownie kurtkę. Jeszcze tylko rzuciła okiem, jak wygląda. Stwierdziła, że nie może iść z taką raną na czole, więc zaczesła włosy na bok i mocno spięła w kucyk, tak że skaleczenie nie było widoczne. Potem przeciągnęła dwa razy po rzesach czarnym tuszem i zadowolona z efektu wyszła, biorąc pod pachę torbę oraz książkę.

Na dole nadal siedziała właścicielka.

- Oddaję książkę telefoniczną. Dziękuję.

Kobieta nic nie odpowiedziała. Carina przypomniała sobie o czymś w ostatniej chwili i zapytała:

- Czy ktoś oprócz mnie ma jeszcze klucze do mojego pokoju?

Właścicielka spojrzała na nią dziwnie.

- O co pani chodzi?

- Chodzi mi o to, czy ktoś jeszcze może wejść do mojego pokoju.

- Oczywiście, że mam zapasowe klucze. Jakby tam pani zemdląca albo nie wróciła któregoś dnia. Co to za pytanie?

- Nic, tak tylko chciałam wiedzieć. Pójdę już. Do widzenia.

Nie usłyszała odpowiedzi. Na głównej ulicy zatrzymała taksówkę.

- Coryell Ct 1402, John Dawson Square, to daleko? - zapytała kierowcę.

- Dawson? Nie, jakieś pięć minut, no może dziesięć, jadąc w korku.

- To proszę mnie tam zawieźć.

- Się robi.

Zdaniem Cariny minęło więcej niż dziesięć minut, prawie piętnaście, gdy dojechali na miejsce, ale nie chciała się czepiać.

- Ile się należy? - zapytała, wyciągając portfel.

Ze zdziwieniem stwierdziła, że taksówki w Seattle nie są tak drogie, jak sądziła. Zapłaciła mężczyźnie i wysiadła. Kierowca nie zatrzymał się tuż przy wskazanym miejscu, ale może to i lepiej. Ruszyła chodnikiem w lewo, zerkając na numery domów. Tysiąc czterysta... tysiąc czterysta jeden...

- Tysiąc czterysta dwa. Jest! - Ucieszyła się.

Dom nie posiadał ogrodzenia, a jedynie trawnik i szeroki podjazd z kostki brukowej. Nie wiedziała, czy może tak po prostu wejść na teren prywatny, ale innego sposobu nie widziała. Zbliżyła się do drzwi, ale nie znalazłszy dzwonka, zapukała. Niestety, bez odzewu. Pomyślała, że ma pecha, bo chyba nikogo nie ma w domu. Zapukała ponownie. Tym razem usłyszała jakieś głosy.

- Nie schodź, tato, ja pójdę.

Drzwi otworzyła młoda kobieta. Była bardzo ładna. Przypominała rodowitą Włoszkę. Jej cera była nieskazitelna, jakby oliwkowa, a jedyny wyjątek od idealnego wyglądu stanowił nos, nieco wydłużony i przygarbiony. W dalszym ciągu była jednak piękna.

- Słucham?

Carina nie spodziewała się ujrzeć kobiety. Właściwie niczego się nie spodziewała, ale nie wiedziała, jak ma zacząć, żeby nie wyjść na wariatkę. To była może córka, a może żona doktora, który wczoraj, delikatnie mówiąc, nie wyraził chęci, żeby z nią porozmawiać. Czemu miałby chcieć teraz? Może wezwie policję? Tylko tego jej brakowało! Ach, i jeszcze gromu z jasnego nieba!

- Dzień dobry. Nazywam się Costa, Carina Costa. Wczoraj rozmawiałam z pani... Czy mogę zobaczyć się z panem Passrowherem?

Trochę zmieszana oczekiwała na reakcję kobiety, ta jednak nie wykazywała wrogich zamiarów.

- Tato, jakaś pani do ciebie - krzyknęła.

- Już idę, Suzi!

W drzwiach zjawił się mężczyzna. Carina myślała, że padnie z wrażenia. Już spodziewała się gróźb i przekleństw, że nachodzi doktora nawet w jego domu, gdy tymczasem ujrzała zupełnie innego mężczyznę, to znaczy na pewno nie tego, z którym wczoraj rozmawiała w instytucie, a który podawał się za Passrowhera.

- Słucham panią? Kim pani jest? - zapytał dość łagodnie.

Jeśli to był doktor Danny Passrowher, to wyglądał właśnie tak, jak to sobie wyobrażała Carina. Był średniego wzrostu, około czterdziestoletnim mężczyzną z lekką nadwagą. Na czole dało się zauważyć delikatne nadkole, chociaż na całej głowie miał dość gęste, ciemnokasztanowe włosy. Wokół piwnych oczu kreśliły się wyraźnie urocze kurcze łapki. Jego spojrzenie było kojące; jego spojrzenie chciało pomagać. Zorientowała się, że gapi się na niego jak jakaś wariatka, więc szybko odpowiedziała:



- Ja... Przepraszam za najście. Nazywam się Costa Carina i...

Mężczyzna zrobił nieco skwaszoną minę, coś pomiędzy lękiem a niechęcią. Już myślała, że każe jej iść w trzy diabły, gdy nagle rzekł:

- Niech pani wejdzie.

Trochę ją to zdziwiło, ale posłusznie przyjęła zaproszenie. Przekroczyła próg domu i stanęła w pięknym salonie. Mężczyzna zamknął drzwi. Rozejrzała się wokół. Salon miał bardzo wysoki strop i dużo drewnianych elementów. Pośrodku sufitu wisiał ogromny żyrandol, a na ścianach dostrzegła mnóstwo obrazów. Carina nie była znawcą sztuki, ale na pierwszy rzut oka nie były to byle jakie prace. Córka zniknęła gdzieś na piętrze, zapewne nie chcąc przeszkadzać im w rozmowie.

- Co panią do mnie sprowadza? - zapytał jakby automatycznie i bez emocji, jednocześnie zerkając dyskretnie przez okno, jakby czegoś wypatrywał.

- Proszę wybaczyć moje zdziwienie, ale kiedy pana zobaczyłam w drzwiach, ujrzałam zupełnie innego człowieka niż wczoraj.

Teraz Danny nie miał już wątpliwości; wiedział, co się stało. Musiał grać.

- Nie rozumiem. Proszę powiedzieć, co panią tu sprowadza.

- Jak już mówiłam... chwileczkę. Wczoraj byłam w pana w instytucie i ktoś inny podał się za pana...

- To niemożliwe. - Zaśmiał się nieco sztucznie. - Coś się pani musiało pomylić.

Carina zauważyła, że mówi dość głośno, zbyt głośno.

- Jestem pewna, że tak było. Nieważne, w każdym razie... może mnie pan pamięta, pisałam do pana e-maila, mieszkam w Portugalii i...

- Mike, ścisz tę muzykę! - krzyknął. - Przepraszam, to mój wnuczek. Proszę, niech pani mówi.

Mężczyzna zachowywał się dziwnie. Carina nie słyszała żadnej muzyki. Gdy próbowała wyjaśnić całą historię, on w tym czasie szukał czegoś na stoliku między gazetami. Carina mówiła coraz

wolniej, gdy nagle zobaczyła, że doktor pokazuje jej kartkę. Odczytała jej treść: „Niech pani mówi, włączę muzykę, proszę iść za mną”. Zrobiła wielkie oczy; czuła się jak w jakimś filmie. Co to ma wszystko znaczyć? Nadal jednak mówiła, tylko nieco trudniej było jej się skupić. Danny włączył muzykę i chwycił ją za rękę. Po cichu wyszli z salonu po schodach w dół. Nie wiedziała, gdzie ją prowadzi. Pomyślała, że to istne szaleństwo. Wyobrażała sobie, że ją teraz zatłucze siekierą w piwnicy. Gdy byli już na dole, włączył światło. Carina rozejrzała się wkoło. Znajdowali się w małym pomieszczeniu, w którym nie było zupełnie nic, tylko puste ściany. Wydawały się jakieś dziwne. Wtedy się odezwał.

- Mamy najwyżej dwie minuty, może mniej. Od dawna jestem na podsłuchu. Wiem, kim pani jest, kojarzę e-maila, ale, niestety, nie dane mi było na niego odpowiedzieć. W życiu nie spodziewałbym się, że pani tu przyleci... i to tylko dla jakiejś pracy dyplomowej na zaliczenie... Czego właściwie pani ode mnie oczekuje?

- Ja... - zająknęła się - ja mam dowód.

- Dowód na co? - zapytał.

Carina wyciągnęła małą kamerkę GoPro i włączyła film. Danny zerknął i omal nie przewrócił się z wrażenia.

- Matko jedyna! Skąd to pani ma?

- To ja nakręciłam ten film. Błagam, muszę z panem porozmawiać!

Doktor szybko pozbierał myśli i bardzo zaintrygowany tym, co zobaczył, powiedział:

- Dobrze, zrobimy tak. Nie możemy tu swobodnie rozmawiać. Zapewne jest pani śledzona, więc proszę zaraz wrócić do siebie. Udamy, że nic pani ze mną nie załatwiła. Niech pani przyjedzie jutro niby na zakupy do marketu Sweet-sweet przy ulicy Marschal Avenue osiemset. Proszę zapamiętać: Marshal Avenue osiemset o godzinie szesnastej. Punktualnie o czwartej będę czekał na panią przy wejściu do toalet. I proszę zabrać tę kamerkę. Niech pani jej pilnuje jak oka w głowie. A teraz wyjdziemy po cichu i udamy, że dalej rozmawiamy. Niech pani idzie. Aha! Jeszcze jedno. Za żadne

skarby niech pani nie włącza telefonu komórkowego, niech pani wyjmie z niego kartę. W hotelu na pewno ma pani już telefon na podsłuchu. Gdziekolwiek się pani zatrzymała, wykona pani telefon do domu i powie, że nic się nie udało załatwić i wraca pani niedługo. Proszę podać datę powrotu i powiedzieć, że jutro wybiera się pani na zakupy po pamiątki. Zapamiętała pani?

Carina kiwnęła głową.

- Jaki jest adres marketu? - Chciał się upewnić, czy dziewczyna dobrze zapamiętała.

- Marszał Avenue osiemset.

- Teraz szybko, na górę. Tylko cicho.

Danny mówił tak pośpiesznie, że z pewnością zmieścił się w dwóch minutach, może trzech, wliczając w to oglądanie filmu, które zajęło kilkanaście sekund. Gdy znaleźli się ponownie w salonie, Danny podszedł do radia, jednocześnie pokazując ręką, żeby Carina coś mówiła.

- Mike, mówiłem ci, ścisź muzykę! Nie widzisz, że rozmawiam?

- Więc jak już mówiłam, chciałam tylko zapytać o kilka rzeczy potrzebnych mi do pracy.

- Pani... przepraszam, nie pamiętam nazwiska?

- Costa... Carina.

- Pani Carino, niestety, ale nie mogę pani udzielić takich informacji. Przykro mi, że aż tak się pani fatygowała, ale obowiązuje mnie tajemnica służbowa. To nie są rzeczy, które mogę rozpowiadać na prawo i lewo. Zresztą nie ma o czym, bo teoria, o której pani mówi, jest... tylko teorią.

- Ale...

- Proszę mnie więcej nie nachodzić, i tak już mam przez panią problemy. Jutro wracam do pracy i wolałbym nie słyszeć od szefa niczego na pani temat. Żegnam.

Otworzył drzwi i czekał, aż Carina opuści jego dom. Gdy wyszła, zaczął się za firanką. Chciał się upewnić, że dziewczyna postąpi zgodnie z jego instrukcjami. Dostrzegł samochód zaparkowany po drugiej stronie ulicy. Wiedział, że to oni. Spodziewał się, co wkrótce

nastąpi. Musiał się przygotować do jutrzejszego dnia. Wiedział, jak to zrobić. Mając pewność, że jego telefon także jest na podsłuchu, wykręcił numer do kolegi z pracy.

- Cześć Ted, tu Danny... no wiem, wiem, tylko jeden dzień miałem wolny, jutro wracam.... Co? Nie, skąd. Była tu ta dziewczyna, która kiedyś do mnie pisała, pamiętasz?... Tak, Portugalka. Słuchaj, ale historia, ona przyjechała aż tutaj... No, mówiłem ci, też się zdziwiłem... tak, ale słuchaj, co ci powiem: gadała jak najęta o tej swojej pracy naukowej, że coś tam pisze i chciała, abym jej pomógł... Co? Nie, daj dokończyć. No i pogoniłem ją w cholerę, po co mi kłopoty? Już dość się nasłuchałem... Tak, dokładnie. Słuchaj, Ted, jesteś teraz w domu?... To dobrze, mogę na chwilę podjechać?... Co? Nic się nie stało, dosłownie na chwilę. Wiem, że ci zależało na tych wynikach badań, mam raport, starałem się dokończyć go jak najszybciej. Będę za jakieś piętnaście minut, do zobaczenia.

Rozłączył się, nie chcąc ryzykować, co powie Ted. Przyjaźnili się od dziesięciu lat, był dla niego jak brat i zawsze mu ufał. W tej sytuacji tylko on mógł mu pomóc. Ubrał kurtkę, czapkę, uprzedził córkę, że niedługo wraca i ruszył do drzwi. W ostatniej chwili zorientował się, że musi mieć jakieś dokumenty ze sobą. Chwył pierwszą lepszą teczkę i wyszedł. Udawał, że nie widzi stojącego przy ulicy czarnego forda i siedzących w nim dwóch ludzi. Wsiadł do swojego beżowego volvo i odjechał z podjazdu. Od domu Teda dzieliły go zaledwie dwie minuty drogi. Zaparkował i zerknął w tylne lusterko - ford nadal go śledził. Wyszedł i udał się prosto do drzwi. Otworzyła żona przyjaciela.

- Cześć, Danny. - Ucieszyła się. - Dawno u nas nie byłeś. Musisz kiedyś wpaść z córką na obiad.

- Pewnie, Rosy, z przyjemnością - odpowiedział, zamykając drzwi. - Jest Ted?

- Tak, już idzie, widział, że przyjechałeś, poszedł tylko... o wilku mowa.

Rosy, wyglądająca jak typowa amerykańska gospodyni, oddaliła

się do kuchni, by kontynuować wyrabianie ciasta na placek z dyni. Mało ją obchodziły sprawy służbowe męża.

- Cześć - przywitał go serdecznie Ted. - Stary, nie mam zielonego pojęcia, o czym ty mówiłeś. Jaki raport? Nic nie...

- Wiem, wiem - przerwał mu Danny - słuchaj, nie mam dużo czasu... muszę cię o coś prosić. To coś, o czym nikt nie może się dowiedzieć.

- Uuu, powiało grozą. Ty to się zawsze w jakieś tarapaty wpakujesz.

- Nie mogłem ci powiedzieć przez telefon, bo jestem na podsłuchu.

- Co takiego!?

- Później ci opowiem. Od dawna o tym wiem. Teraz też mnie śledzą.

- Skubani...

- Dobra, nie ma czasu. Sprawa wygląda tak: mogę cię prosić, żebyś przy Sweet-Sweet zostawił tę starą toyotę?

- Pewnie, stara, ale jara. Po co ci ona?

- Nie pytaj, nie mogę mówić. Tylko ustaw ją z tyłu marketu, tam gdzie podjeżdżają zwykle dostawy i śmieciara, OK?

- Coś ty wymyślił? No, dobra. Zrobię, jak chcesz.

- Wielkie dzięki, kiedyś się jakoś odwdzięczę.

- Daj spokój, możesz na mnie liczyć.

- No, lecę już. Jutro najpóźniej o czternastej żeby tam już stała.

Aha, masz jeszcze to.

Wręczył mu teczkę.

- Co to?

- W sumie to nie wiem. Daj, sprawdzę.

Otworzył ją, by sprawdzić, czy aby przypadkiem nie było w niej ważnych dla niego dokumentów albo jakichś papierów córki. Stwierdziwszy, że są w niej tylko rysunki wnuczka, zostawił ją koledze.

- To dla zachowania pozorów. W końcu przyjechałem tu z ważnym raportem.

Mrugnął okiem. Pożegnał się z Rosy i wrócił do domu ze świadomością, że nadal jest śledzony.

Carina wróciła do motelu. Myśl, że ktoś tu znowu był i podłożył jej podsłuch, sprawiała, że dostawała mdłości. Zamknęła drzwi, ale tym razem podłożyła jeszcze pod klamkę krzesło, tak by nie dało się ich otworzyć z drugiej strony. Może to niewiele, ale dało jej to nieco więcej spokoju. Wzięła z parapetu pojemnik z jedzeniem. Nie minęło aż tak dużo czasu, odkąd go tu położyła, ale teraz była głodna, więc zjadła ze smakiem kanapkę, a następnie pączka na deser. Okazało się, że miał w środku budyń. Był pyszny. Najadła się tym do syta. Wyciągnęła z torby dużą butelkę wody, którą kupiła po drodze i popiła posiłek. Teraz czekała ją najtrudniejsza do wykonania część planu. Musiała zadzwonić do mamy i udawać, że wszystko jest w porządku. Nie było jej łatwo, więc postanowiła wykonać to zadanie jutro. Pozostawiło to w niej niesmak; czuła, że źle postępuje, oszukując ją. Posmutniała. Mimo iż pora była wczesna, postanowiła się zdrzemnąć. Fakt, że w nocy prawie nie zmrużyła oka, a potem prędko obudziła ją właścicielka, sprawił, że oczy jej się kleiły i miała zawroty głowy. Zasnęła. Obudziły ją odgłosy sąsiadów powracających do swojego pokoju. Zapadał już zmrok. Teraz należało zmienić wartę. Nie zmrużyła oka do świtu, długo rozmyślając. Dzisiejszej nocy nikt się nie zjawił.

## ROZDZIAŁ 50

środa, 6 listopada 2013

Kilka minut po ósmej zapukała właścicielka ze śniadaniem schowanym w plastikowym pojemniku. Zestaw nieco odmienny niż poprzedni. Tym razem zamiast kanapki był omlet. Zjadła wszystko ze smakiem, a na koniec popiła pyszną kawą. Zebrała myśli i spojrzała na telefon, który stał dokładnie tak, jak poprzednio. Próbowała oglądać go z każdej strony w poszukiwaniu śladów włamania, jakiegoś dodatkowego kabla, nadajnika czy czegoś podobnego. Nie miała pojęcia, jak wygląda podsłuch. Po kilku minutach zrezygnowała i postanowiła wykonać telefon. Doktor zalecił, by zadzwoniła do rodziny. W jej przypadku oznaczało to mamę. W zasadzie już miała wykręcić znany sobie numer, gdy nagle odłożyła z trzaskiem słuchawkę. Bardzo pragnęła usłyszeć głos mamy i powiedzieć jej, że niedługo wróci, ale na samą myśl, że ta rozmowa może się przeciągnąć w związku z listem, który zostawiła, postanowiła zadzwonić do Marie. O tej porze w Portugalii powinna być godzina szesnasta. Była szansa, że Marie już wróciła z uczelni i jeszcze nie wyszła na miasto. Dźwignęła ponownie słuchawkę i zaczęła wybierać numer: najpierw zewnętrzny, potem kierunkowy do Portugalii, a następnie zapamiętany ciąg dziewięciu cyfr. Czekanie. Jest sygnał. Jeden, drugi, trzeci...

- Halo?... Dzień dobry, czy mogę rozmawiać z Marie? Słucham? Ach, to ty! - krzyknęła radośnie, słysząc koleżankę. - To ja, Carina...

Czekaj, Marie, nie mam dużo czasu, bo zapłacę majątek. Posłuchaj... Tak, jestem w Stanach... No, mówię, że w Stanach... Jak to jakich? Zjednoczonych, w Seattle... Marie, skup się, nie mogę długo gadać. Słuchasz mnie?... Dobrze. Powiedz mamie, że wszystko w porządku, wracam za kilka dni. Niech się nie martwi, słyszysz?... No, ty też się uspokój, musiałam wyjechać, mówiłam ci kiedyś, że muszę spotkać się z tym doktorem... Właśnie u niego byłam, sądziłam, że pomoże mi z ostatnim rozdziałem, ale nic z tego... nieważne... Ach! Dzisiaj pojedę do sklepu i coś wam kupię na pamiątkę. Jeszcze raz przepraszam, że tak wyszło. Uściskaj mamę ode mnie. Muszę kończyć. Pa!

Rozłączyła się, by nie przeciągać tej dziwnej rozmowy. Marie była zdenerwowana, ale i tak wydawało jej się, że lepiej to przyjąć, niż gdyby miała rozmawiać z mamą. Cieszyła się, że ma to za sobą. Do szesnastej pozostało jej wiele godzin. Czuła, że musi wyjść z tej nory. Pogoda nie zachęcała do zwiedzania miasta, ale to najlepsze, co mogła w tej chwili wymyślić. Przez prawie cztery godziny kręciła się po niezbyt dalekiej okolicy. Nie zamierzała się oddalać, bo to wymagałoby większych nakładów, a na takie nie mogła sobie zbytnio pozwolić. Udało jej się natrafić na coś w rodzaju centrum. Po niemal czterdziestominutowej pieszej wędrówce dotarła do jakiegoś placu głównego. Było tu sporo sklepów, jakiś bank, oddział pocztowy, przedszkole i plac zabaw. Na uboczu głównej ulicy dostrzegła duży napis mieniący się czerwono-żółtymi kolorami. Wyteńczyła wzrok i przeczytała w myślach Sweet-sweet. Pomyślała, że to niemożliwe, by akurat trafiła do miejsca, gdzie za kilka godzin miała się spotkać z doktorem.

- Przepraszam - zapytała przypadkowego przechodnia. - Jaka to ulica?

Mężczyzna spojrział najpierw na Carinę, a następnie zamyślił się, jakby szukał w głowie właściwej nazwy.

- Ale mnie pani zaskoczyła! - Zaśmiał się. - Mieszkam tu całe życie i wypadło mi z głowy, ha, ha. Jesteśmy na ulicy Saint Peter Street.



- A tamta? - Wskazała palcem w stronę marketu.

- Tam zaczyna się już, a właściwie kończy, Marschal Avenue.

Na te słowa bardzo się ucieszyła. Ponieważ jednak ulice w okolicy okazały się bardzo długie, o wiele dłuższe niż w Lizbonie, musiała jeszcze potwierdzić, czy numer również się zgadza. Nie chciała więcej przeszkadzać panu, który najwyraźniej się gdzieś śpieszył, podziękowała więc i ruszyła w tamtą stronę, żeby odszukać numer budynku. Był to faktycznie koniec alei, bo w drugą stronę zaczynały się numery od najmniejszego wzwyż. Market natomiast miał tabliczkę z trzycyfrowym numerem osiem, zero, zero. Carina nie wiedziała, czy teraz także jest śledzona. Na wszelki wypadek wybrała jeden ze sklepów przy ulicy Saint Peter i kupiła jakąś drobnostkę, w razie gdyby była obserwowana. Zapłaciła dziesięć dolarów za jakiś tandetny zestaw magnesów na lodówkę z prowizoryczną mapą miasta i najważniejszymi budowlami Seattle. Rzecz jasna wcale tego nie potrzebowała, ale jeśli miało dojść do spotkania i to był jedyny sposób, musiała ponieść takie koszty. Po wyjściu ze sklepu z pamiątkami ruszyła prosto do motelu. Zaczęło coraz mocniej kropić i czuła, że przemokły jej nogawki spodni. Wizja ponad półgodzinnego marszu w deszczu wcale jej się nie uśmiechała, ale wolała oszczędzić na taksówce. Mijała budynki, przejeżdżające samochody i ludzi, cały czas intensywnie rozmyślając. Zastanawiała się, co się stanie, gdy już będzie mogła swobodnie porozmawiać z doktorem. Co mu powie? Czy powinna od razu wyznać prawdę? A może zaczeka? Tylko na co? Bała się, że doktor uzna to za głupi żart i już nigdy go nie zobaczy, że nie potraktuje jej poważnie. Tego by nie zniosła; liczyła, że jej pomoże. Zorientowała się, że jest tuż obok motelu. Przyśpieszyła kroku, by móc jak najszybciej ogrzać się pod kocem. Gdy skręcała w uliczkę, na której stał budynek motelu Stay-here, przypadkiem obróciła głowę w bok. Kątem oka zauważyła, że jakiś samochód jedzie z dość niewielką prędkością. Wolała mu się nie przyglądać, żeby nie zdradzić, iż wie, że jest śledzona. Jak gdyby nigdy nic, dalej poruszała się w kierunku bramy wejściowej. Zastanawiała się, czy

człowiek, który siedzi za kierownicą, to ten sam, który uprzedniej nocy zakradł się do jej pokoju i zaatakował ją. Był wprawdzie biały dzień, ale poczuła strach. Właściwie była bezbronna – gdyby chcieli jej teraz zrobić krzywdę, pewnie nikt by nie zareagował. Stwierdziła, że musi jeszcze zostawić jakiś ślad i udała się do recepcji, licząc, że właścicielka wciąż będzie na swoim stanowisku. No i nie zawiodła się. Co dziwne, nie miała pączków, za to dość okazałych rozmiarów kawał mięsiwa spoczywał leniwie na talerzu tuż obok pilota do telewizora. Kobieta dostrzegła Carinę.

- Coś się stało? – zapytała, jakby spodziewała się reklamacji.

- Nie, nic takiego. Chciałam podziękować za śniadanie i prosić o poradę.

- Poradę? – Zdziwiła się.

- Właśnie wróciłam z centrum miasta...

- Centrum Seattle – zażartowała.

- Być może źle się wyraziłam, przepraszam. Chodziło mi o centrum tej okolicy. To jakieś czterdzieści minut pieszo stąd...

Carina próbowała coś powiedzieć, ale widząc wielkie i zaskoczone oczy właścicielki, nieco się pogubiła. Patrzyła na Carinę, jakby nie wiedziała, o czym dziewczyna mówi. Może nigdy nie szła pieszo do „centrum tej okolicy”? Właściwie to całkiem prawdopodobne. Chciała powiedzieć coś, co miałyby sens.

- Tam są sklepy i... Nieważne. Chciałam zapytać, czy może mi pani doradzić, jakie tu są lokalne produkty, które mogłabym zabrać do Portugalii?

Właścicielka nadal patrzyła na nią jak wielbłąd na kolejną pustynną wydnię. Po chwili zaczęła się śmiać.

- Lokalne produkty? Ha, ha. Może ketchup i hamburger!

Carina była zła na tę babę. Mimo że scena odegrana była dość teatralnie, w związku z czym kobieta mogła traktować jej zachowanie niepoważnie, to jednak uznała, że właścicielka powinna poświęcić więcej uwagi swojemu klientowi. Nie chciało jej się wierzyć, że w okolicy nie produkuje się czegoś regionalnego, choćby to był pasztet z kota! Opanowała złość i powiedziała na

koniec:

- Widziałam jakieś markety po drodze, może tam coś kupię?
- Może - burknęła kobieta.
- Ogrzeję się trochę i pójdę tam znowu...

Właścicielka w ogóle nie była zainteresowana tym, o czym mówiła Carina, ale był to jeden z puzzli tej dziwnej gry-układanki. Carina dała się jej ponieść. Cała ta sytuacja była dość absurdalna - przeleciała pół świata, żeby spotkać się z nieznanym mężczyzną, licząc, że ten okaże jej swoją pomoc i poświęci czas, a na miejscu okazuje się, że oboje są śledzeni, nie wiadomo czemu, a na dodatek, ktoś włamuje się do jej pokoju i każe jak najszybciej wyjechać i nigdy nie wracać. W jej stanie to i tak stosunkowo zbyt wiele emocji. Podejrzewała, że ciąża uaktywniła w niej pewne nietypowe zachowania, myśli i nastroje, bo stwierdziła, że ta gra zaczyna jej się podobać. Nie mogła nawet przypuszczać, jaką lawinę zdarzeń wywoła jej przyjazd do Ameryki i jakie będą miały one konsekwencje...

Cieszyła się, że znowu jest w pokoju. Zamknęła drzwi, podkładając jak uprzednio krzesło pod klamkę. Następnie zrzuciła ubranie, a nieco mokre spodnie przewiesiła przez ramę łóżka w pobliżu małego kaloryfera. Marzyła o gorącym prysznicu. Rozebrała się do rosołu i zniknęła w łazience na kwadrans. Prysznic okazał się zbawienny; nie tyle ją rozgrzał, co dodał sił. Od śniadania minęło już kilka godzin, więc zaczynała odczuwać głód, ale nie zamierzała teraz opuszczać motelu, więc starała się myśleć o wszystkim innym, tylko nie o jedzeniu. Biorąc pod uwagę fakt, że drugi raz także zamierzała dotrzeć do centrum pieszo, miała całe dwie godziny, by ogrzać się pod kocem i trochę odpocząć. Na chwilę zmrużyła oczy... było jej tak dobrze, ciepło... Zasnęła.

- Jak to w Stanach? Co ty mówisz? - zapytała Isabel.

- Przysięgam, dzwoniła do mnie jej koleżanka, podobno rozmawiały chwilę... Twierdzi, że jest w Ameryce! A mówiłaś, że jest na miejscu! Co ona tam robi? Zaraz oszaleję!

- Uspokój się, Gisela. Daj pomyśleć...

- Nie ma o czym myśleć, poleciała do Stanów, i tyle. Tylko za co? Zwariowała! Może ją ktoś porwał?

- To absurd, nie wariuj. Daj mi chwilę, oddzwonię niedługo, dobrze?

- Co zrobisz?

- Zaufaj mi, jest jedna osoba, która może mi coś podpowiedzieć...

- Kto?

- Pamiętasz tę Polkę, o której ci opowiadałam?

- O czym ty mówisz?

- Byłyśmy razem na Boa Vista - wyjaśniła Isabel.

- Ach, ta. Pamiętam, ale co ona ma z tym wspólnego? Myślisz, że maczała w tym palce?

- Gisela, na litość pańską! Nie gadaj bzdur, to wykluczone.

- To po co chcesz z nią rozmawiać?

Isabela pożałowała tych słów, ale nie chciała niczego wyjaśniać, bo wyszłaby na jaw prawda, że nie powiedziała koleżance, co się wydarzyło na wyspie. Wtedy wydawało jej się to nieistotne, chwilowo wyrzuciła nawet ten fakt z pamięci. Jednak w obecnej sytuacji uznała, że warto zapytać Ayli o to, co zaszło tamtego dnia na przyczepie ciężarówki i dlaczego Carina płakała.

- W sumie sama nie wiem. Przeszło mi przez myśl, że może akurat wie coś więcej niż ja. Gdy byłyśmy na urlopie, jednego dnia wybrałyśmy się na wspólną wycieczkę i... Carina chyba zaprzyjaźniła się z naszą polską koleżanką, sporo rozmawiały.... Zresztą, nieważne, może niczego się nie dowiem. Pozwól, że do niej zadzwonię.

- Ale koniecznie poinformuj mnie...

- Tak, Gisela, natychmiast oddzwonię.

- Jak się masz?

- Ja? Dobrze. Miło, że dzwonisz, niedawno o was myślałam.

- Tak? W jakim sensie?

- W przyszłym tygodniu zaczynam cykl spotkań w związku z nową książką, ale już myślę o następnej i... Przyszło mi do głowy,

że zapytam, czy zgodziłobyście się zostać bohaterkami mojej powieści. Ale skoro dzwonisz, to może od razu powiesz, co ty na to?

- Powieści? My, bohaterkami? Brzmi wspaniale! A co to będzie za historia?

- Do końca jeszcze tego nie ustaliłam. To znaczy mam jakiś pomysł, ale nie ma to... serca.

- Serca? - Zdziwiła się Isabel.

- Wiem, o czym ma być książka, wiem, kto ma występować, ale nie wiem, jak się skończy i brakuje mi czegoś, co by pompowało krew do wszystkich rozdziałów i poruszyło cały „organizm”. Rozumiesz?

- Chyba tak.

Aylime zdawała się podekscytowana. Nieco zapętlila się w tych rozważaniach i zorientowała, że może Isabel dzwoni z jakiegoś ważnego powodu. Powstydzila się takiego egocentryzmu i prędko zapytała:

- A co u was, wszystko dobrze?

Przez moment nie słyszała odpowiedzi, a to dlatego, że Isabel zastanawiała się, jak to ubrać w słowa, żeby nie zabrzmiało dziwnie czy głupio.

- W zasadzie tak, ale... Pamiętasz Carinę?

- Twoją krewną? Oczywiście, że pamiętam. Raptem tydzień temu z nią rozmawiałam.

- No właśnie, chciałam o coś zapytać...

- Śmiało, nie krępuj się - odezwała się Ayli, nie kryjąc nutki zaintrygowania w głosie.

- Gdy zwiedzałyśmy wyspę, była taka sytuacja, kiedy wyszłam z samochodu i zobaczyłam ją płaczącą. Powiedziała wtedy, że piasek wpadł jej do oczu, ale przypuszczam, że kłamała... Możesz mi powiedzieć, co wtedy zaszło?

- Ojej, nie sądziłam, że tak się tym przejmiesz. To żadna tajemnica, myślę, że ona nie miałaby mi za złe, gdybym to zdradziła... Właściwie sama nie wiem, dlaczego ona zaczęła płakać... rozmawiałyśmy ogólnie o życiu, już nawet nie pamiętam,

o czym dokładnie... Ja, jak zwykle, snułam jakieś rozmyślenia natury egzystencjonalnej i wyglądało na to, że te moje „mądrości” do niej trafiły. Nagle się rozpląkała. Czemu teraz o to pytasz?

- Ayli, dasz radę sobie przypomnieć, co ją tak wzruszyło? To naprawdę ważne.

Aylime wyczuła, że sprawa jest poważna, a Isabel ma słuszny powód, żeby o to pytać. Skupiła się i wyteżyła myśli, próbując wrócić do tamtej chwili.

- Rozmawialiśmy o celach.

- Celach? Takich jak w więzieniu?

- Nie, celach życiowych. Mówiłam jej, że nie powinna bać się sięgać po to, co sobie sama wyznaczy. Tak, teraz pamiętam. I wtedy zauważyłam, że łzy lecą jej po twarzy.

- Dlaczego? - Drażyla Isabel.

- Nie mam zielonego pojęcia. Naprawdę. Dostrzegłam w niej wrażliwą duszę, chciałam ją wziąć pod włos, żeby się otworzyła, i może tak by się stało, ale... wtedy samochód się zatrzymał i wysiadłaś z niego. Pewnie się spieszyła - wyjaśniła Ayli. - Isabel, co się dzieje? Możesz powiedzieć?

Zastanawiała się, czy może. W sumie... nie musiała zdradzać wszystkiego.

- Carina nagle postanowiła wyjechać do Stanów, a my nie wiemy, z jakiego powodu.

- Do Stanów Zjednoczonych? - omal nie krzyknęła Aylime.

- Też nas to dziwi. Mamy jakieś podejrzenia, ale... wiesz, ona...

O mały włos Isabel wygadałaby coś, co było - rzecz jasna - sprawą rodzinną Costów. Nie znały się na tyle, żeby rozmawiać o szczegółach życia prywatnego Cariny. Na szczęście przerwała jej Ayli:

- Ach, tak! Pamiętam, że mówiła mi też o pracy, którą pisze na zaliczenie studiów. Podobno od dawna próbowała skontaktować się z jakimś specjalistą w tej dziedzinie, ale bezskutecznie. Jeśli dobrze sobie przypominam, to ten człowiek mieszka i pracuje w Stanach. Może do niego właśnie poleciała?

Ta informacja spłynęła na Isabel niczym gorąca lawa po stoku wulkanu, paląc wszystko, co stało jej na drodze. Poczła przypływ ulgi i nadziei, że sytuacja może nie jest aż tak krytyczna. Chciała pilnie rozłączyć się z Aylime i przekazać wieści Giseli. Przeprosiła, że musi już kończyć, obiecując zadzwonić ponownie w najbliższym czasie.

- Bardzo, bardzo ci dziękuję! Nawet nie wiesz, jak mi pomogłaś. Odezwę się niedługo. Aha! Jeśli o mnie chodzi, z przyjemnością zostanę bohaterką twojej nowej powieści. Całuję cię mocno, do usłyszenia!

Rozłączyła się, czując ulgę.

# ROZDZIAŁ 51

## Porto Brandão

W kuchni pachniało smażoną kiełbasą i papryką. To było popisowe danie policjanta z kilkunastoletnim stażem. Luís Silva Campos przygotowywał się do posiłku, gdy nagle zadzwonił telefon.

- Cześć, stary - powiedział do słuchawki najwidoczniej uradowany. - Urlop mi dał, przymusowy, ale to dobrze, muszę odpocząć, bo... Co? Który?... Dobra, już dobra, włączam, coś taki narwany... Na razie.

Wcale nie miał ochoty się śpieszyć; zaledwie od kilku dni przebywał na urlopie, a czuł się tak, jakby odpoczywał już dwa miesiące. Było mu to potrzebne; od przepracowania lasował mu się mózg. Teraz dopiero porządnie się wysypiał i zaczął zdrowo się odżywiać. Chociaż tłustą potrawkę z makaronu, warzyw i chorizo trudno było nazwać zdrowym posiłkiem, to przynajmniej był sycący i gwarantował sporą dawkę energii. Po drodze z kuchni zabrał leżącego na komodzie pilota do telewizora i usiadł wygodnie w fotelu. Jedną ręką trzymał talerz, drugą najpierw chwycił kawałek pieczywa, a potem, wcisnąwszy go do ust, sięgnął ponownie po pilota. Na zapach kiełbasy unoszący się w powietrzu w mgnieniu oka zjawiała się Mercedes. Była to kilkuletnia kotka, którą Luís dostał od swoich znajomych z Vigo, którzy żalowali, że ich kolega mieszka sam, i stwierdzili, że kot będzie odpowiednim dla niego towarzyszem. Z tego też powodu kotka otrzymała hiszpańskie imię.



- Uciekaj, mała - powiedział niewyraźnie, żując nadal kawałek bagietki. - To jest dla ciebie zbyt ostre. Sio!

Kotka była bardzo mądra i nie musiał jej dwa razy powtarzać. Pociągnęła kilka razy nosem, po czym zeskoczyła na podłogę i pobiegła do swojej miseczki pełnej kociej karmy. Luís włączył telewizor i odszukał kanał, o którym wspominał mu przez telefon kolega. Omal się nie udławił, gdy odczytał tekst przewijający się na pasku w dole ekranu. Pogłośnił dźwięk...

- „Dziś Centralne Biuro Kryminalne ogłosiło w oficjalnym komunikacie, że znajdujący się na wolności sprawca licznych napadów na kobiety ze skutkiem śmiertelnym w końcu został schwytany. Blisko czterdziestoletni Edelberto R. znajduje się już w areszcie. Mężczyzna ma na swoim koncie około czternastu przestępstw. Zarzuty usłyszy w najbliższy wtorek. Grozi mu dożywocie”.

Luís przełknął kęs i opadł na oparcie fotela. Zmieniał kanały, szukając dalszych wiadomości na ten temat. Każda stacja zaczynała skrót najważniejszych wydarzeń właśnie od tej informacji. Kłębiły się w nim mieszane uczucia: radość, że to już koniec zabójstw, oraz złość, że to nie jemu udało się rozwiązać tę sprawę, no i - przede wszystkim - że źle typował.

- Czyli to nie ten chłopak... - powiedział do siebie.

- Widziałaś wiadomości? Złapali jakiegoś seryjnego gwałciciela, w całej telewizji o tym trąbią! A jeśli to ten zboczeniec zrobił jej krzywdę?! Boże, jakie to straszne...

- Gisela...

- Czemu to ją spotkało, czemu...

- Gisela, posłuchaj...

- Może polecę do niej? Tylko nie wiem, gdzie jej szukać... Co mam robić?

- Gisela! - krzyknęła. - Przepraszam, ja...

- Nie szkodzi, wszystkich ponoszą nerwy, też mam ochotę wrzeszczeć...

- Nie o to chodzi... Ja... przepraszam, bo... chyba wyciągnęłam

pochopne wnioski.

Gisela patrzyła na nią w bezruchu, tak jak małe dziecko, które chce zapytać: „Jak to, Mikołaj nie istnieje?”. Isabel było wstyd, że być może dokonała niewłaściwej oceny sytuacji. Musiała to odkręcić.

- Niepotrzebnie zrobiłam ci wodę z mózgu. Wydaje mi się, że rozwiązanie jest prostsze, niż można by pomyśleć.

- To znaczy?

- Może wcale jej nikt nie zgwałcił...

- Mówiłaś, że widziałaś jej badania...

- Nie zaglądałam do środka, koperta była zamknięta - tłumaczyła - przeczytałam jedynie imię i nazwisko, które brzmi dokładnie tak samo, ale w samej Lizbonie jest więcej kobiet, które tak się nazywają, niż rodziny w serniku z bakaliami... To mógł być zbieg okoliczności.

- To czemu wyjechała? Nic nie rozumiem.

- Rozmawiałam z tą znajomą z Polski i ona mi coś uświadomiła... że też o tym zapomniałam. Carina wspominała, że pisze pracę i brakuje jej części informacji. Podobno ktoś w Stanach mógł jej pomóc... Ma to sens.

- Według mnie żadnego - stwierdziła Gisela. - Leciałaby aż na drugi koniec świata, żeby spotkać się z kimś, kto by jej pomógł w pisaniu pracy? I to bez słowa uprzedzenia? Nie sądzę...

- A ja myślę, że ona jest do tego zdolna - oznajmiła Isabel. - Może bała się, że będziesz chciała odciągnąć ją od tego pomysłu i dlatego się nie przyznała... Dla niej to bardzo ważne. Aż jej oczy błyszczą, gdy tylko zaczyna mówić o morzach i oceanach. Sama dobrze wiesz, jak lubi nurkować. To całe jej życie.

- Sama już nie wiem, co o tym sądzić - powiedziała z rezygnacją Gisela.

- Poczekajmy na jej powrót, wtedy wszystko się wyjaśni. Jeszcze raz bardzo cię przepraszam.

Gisela nie miała jej tego za złe. Nie obchodziły jej już żadne domysły, chciała jedynie, żeby Carina wróciła.

## ROZDZIAŁ 52

Portland, 4 listopada 2013

Do kuchni wdarł się promyk słońca i od razu zrobiło się przyjemniej. Elizabeth siedziała na wysokim taborecie w kolorze miętowym, trzymając kubek gorącego kakao. Od tygodnia padał deszcz i zrobiło się chłodniej. Prześwit, który pojawił się na niebie, sprawił, że uśmiech zawitał na jej twarzy. Siedziała w ciszy, gapiąc się na horyzont przez ogromne okno wychodzące na taras i obejmowała gorące naczynie, raz po raz popijając ulubiony napój. Była śliczna. Kruczoczarne włosy opadały gęstymi lokami na ramiona i dekolt, otulając po drodze policzki. Jej cera przypominała japońskie porcelanowe figurki, jakby była transparentna. Jako dziecko była nieco anemiczna, co tłumaczyło jej bladą skórę. Z wiekiem pozbyła się choroby, ale mimo to nadal brakowało jej kolorytu. Paul żartował, że przez wiele lat, gdy zabiegał o jej względy, nie mógł odgadnąć, czy podoba się Liz, wszak nigdy nawet nie zaczerwieniła się, gdy próbował ją podrywać. Do tego była małomówna i posiadała miazdzące spojrzenie. Czasem się jej bał. W rzeczywistości była niezwykle ciepłą i wrażliwą osobką, którą los pokarał zbyt demonicznym wyglądem. Z biegiem lat upiorna bladość ustąpiła miejsca pudrowej świeżości, a piorunujące spojrzenie zamieniło w tryskające życiem oczy. Niestety tego życia zabrakło jej w innym sensie. Od kilku lat cierpiała na depresję spowodowaną dwiema niedonoszonymi ciążami. Po pierwszej się załamała. Musiała

chodzić na terapię do psychologa. Gdy stanęła na nogi i udało się zajść drugi raz w ciążę, była najszcześniejszą kobietą pod słońcem. Chuchała i dmuchała na siebie. Paul nie pozwalał jej niczego dźwigać ani się przemęczać. Oboje popadli w obłęd, do tego stopnia, że bała się przenieść garnek z obiadem. Paul był wziętym ginekologiem, prowadził prywatny gabinet Gordon's Medical Center w centrum Portland i codziennie leczył kobiety z podobnymi problemami. Elizabeth była jego skarbem, ukochana żoną, nie mógł znieść, gdy widział ją cierpiącą. Sam nie pragnął potomka tak jak ona, ale wiedział, że posiadanie dzieci było jej najskrytszym marzeniem, dlatego wspierał ją na każdym kroku. Jednak gdy poroniła po raz drugi, świat omal się nie zawalił. Bardzo odbiło się to na jej zdrowiu, zarówno psychicznym, jak i fizycznym. Jej organizm był zmęczony zmianami w gospodarce hormonalnej, zestresowany i pragnący jakiegoś ukojenia. Długo trwało, zanim się z tego podniosła. Elizabeth przestała próbować zajść ponownie w ciążę i wtedy znowu się udało. Od początku była jednak pesymistycznie nastawiona, właściwie to oczekiwała, aż kolejny raz straci płód. Tym razem jednak dotrwała szczęśliwie do trzeciego miesiąca, co nie zdarzyło się wcześniej, więc rokowania były pomyślne. Paul osobiście prowadził ciążę Liz, a ona czuła, że jest w najlepszych rękach.

- Dzień dobry - powiedział Paul, zjawiwszy się w kuchni. - Jak spałaś?

Zbliżył się do Elizabeth i pocałował ją w czoło. Ona jednak przyciągnęła go z powrotem za krawat i pocałowała w usta. Znowu się uśmiechała.

- Wypoczęłam. Teraz na dodatek wyszło słońce i od razu mi lepiej - odpowiedziała, biorąc spory łyk kakao.

- Nie wiem, o której dziś wrócę, bo z gabinetu jadę prosto na wykład na wydział medyczny. Najlepiej będzie, jak zamówisz sobie obiad do domu, na mnie nie czekaj.

- Musisz tam iść?

- Wiesz, że tak, obiecałem Johnowi, że go zastąpię - odparł,

widząc błagalne spojrzenie żony.

- Teraz jego kolej.
- Co masz na myśli?
- Powinien cię zastąpić.
- W jakim sensie?

Liz odstawiła kubek, podeszła do Paula i przykleiła się do jego pleców.

- Słuchaj, pomyślałam, że może gdzieś wyjedziemy? John cię zastąpi, ty cały czas go w czymś wyręczasz.

- Wyjedziemy? Gdzie?

- Na przykład do domku na plaży. Dawno tam nie byliśmy. Ja teraz potrzebuję spokoju i ciszy, a to idealne miejsce, żeby się zrelaksować.

- Hmm, nie ma problemu, poproszę go, żeby zajął się moimi pacjentkami w przyszłym tygodniu i spędzimy kilka dni nad wodą.

- Nie, skarbie. Mówiłam o dłuższym wyjeździe - zaprotestowała Elizabeth - Takim na pół roku. Wrócimy na wiosnę, tuż przed porodem.

Paul spojrzał na nią trochę zaskoczony. Pomysł wydał mu się absurdalny, ale nie chciał jej urazić.

- Tak długo? Z dala od cywilizacji i rodziny?

- Przecież są tam sklepy spożywcze, a poza tym możemy zrobić większe zapasy. A rodzina to akurat ostatnia rzecz, której mi potrzeba. Zwłaszcza twojej matki.

- Liz, nie zaczynaj, ona jest bardzo przejęta tą sytuacją, wierz mi, że...

- Jest złośliwa i bezczelna. Tylko czeka, żebym znowu poroniła.

- Nie mów tak, to nieprawda.

- Właśnie, że tak. Nie wiesz, co mi wczoraj powiedziała...

- Co takiego?

- Nieważne, nie chcę do tego wracać. Zgódź się, proszę, będzie cudownie. Tobie też się przyda urlop. Nic, tylko pracujesz.

Paul westchnął głęboko. Prawdę mówiąc, faktycznie sporo czasu spędzał w gabinecie. Czuł, że zaniedbuje przez to Liz.

- Pomyślę. Wrócimy do tego tematu wieczorem, dobrze?

Nie czekał, aż odpowie. Ucałował ją kolejny raz w czoło, zabrał marynarkę i czarną teczkę, po czym wyszedł. Resztę dnia Elizabeth spędziła, czytając książkę.

## ROZDZIAŁ 53

Zrobiło się nieco chłodniej. Carina zauważyła, że jedna noga wystaje jej spod koca, szybko więc wsunęła ją z powrotem. Znowu było ciepło i przyjemnie. Pomyślała, że cudownie leży się w łóżku, gdy na dworze siąpi deszcz. Teraz, na szczęście, przestało padać, co nie zmieniało faktu, że nie miała ochoty wstawać. Na samą myśl, że czeka ją prawie godzina spaceru, robiło jej się zimno.

- Spotkanie! - wrzasnęła i zerwała się na równe nogi. - Która godzina!? Zasnęłam!

Zakładając, że zegarek nie spóźnia, wskazywał wpół do czwartej. Miotła się nerwowo po pokoju, próbując zebrać potrzebne rzeczy i przede wszystkim ciepło się ubrać.

- Ale jestem głupia, głupia! - przeklinała siebie pod nosem. - Jak mogłam do tego dopuścić... Gdzie jest kamera?... Telefon, dokumenty... chyba wszystko mam.

Pośpiesznie założyła bieliznę, rajstopy i ubrała się na cebulkę. Jeden bezrękawnik, do tego bawełniana koszulka, bluza i kurtka. Jeszcze tylko szalik, czapka i podręczny parasol. Przygotowania zajęły jej ponad dziesięć minut, co oznaczało, że ma zaledwie dwadzieścia minut, by dotrzeć na miejsce. Musiała skorzystać z taksówki. Upewniwszy się, że zabrała film, przekręciła dwa razy klucz w drzwiach i wybiegła przed motel. Chwilę szła wzdłuż chodnika, wypatrując taksówki. Zaczęła się martwić, bo żadna nie nadjeżdżała. Na szczęście po chwili na horyzoncie zjawily się aż dwie. Pomachała desperacko na jedną, omal nie rzuciwszy się przed

maskę. Kierowca chyba zamierzał odjechać, ale Carina zdążyła wsiąść do środka.

- Oszalała pani!? Pod koła mogła mi pani wpaść! - krzyknął.

- Przepraszam, ale bardzo, bardzo się śpieszę...

- Jak każdy - burknął, po czym zapytał: - Gdzie jedziemy?

- Sweet-sweet na Marszala osiemset. - Zapamiętała dobrze adres.

Od tej chwili milczeli. Kierowca jechał dość szybko, najwyraźniej nie pasowało mu towarzystwo szalonej kobiety, która omal nie rzuciła mu się pod koła. Zwolnił dopiero, gdy wjechali w strefę bardziej zabudowaną. Sprawnie pokonywał skrzyżowania, mijając kolejne zakręty i przecznice. Droga zajęła kilkanaście minut. Carina siedziała jak na szpilkach i przebierała nogami. W końcu zatrzymał się tuż przed wejściem do marketu. Carina wybiegła jak poparzona; taksówkarz musiał ją zatrzymać, bo zapomniała zapłacić za kurs. Nerwowo wygrzebała pieniądze i wcisnęła mu banknot, nie oczekując nawet reszty.

- Ma pan zegarek!? - zapytała pośpiesznie.

- Za dwie - odpowiedział.

Było jasne, że jest za dwie czwarta. Biegiem ruszyła do wejścia. Zapomniała, że miała stwarzać pozory turystki kupującej suweniry.

Godzina 15:23

Biuro zaczęło się całkiem wyludniać. Większość pracowników wyszła już po piętnastej, ale niektórzy notorycznie zostawali po godzinach, więc nikogo nie dziwiła obecność garstki ludzi kwadrans po standardowych godzinach urzędowania. Sander obserwował ukradkiem doktora Passrowhera, który jeszcze przekładał jakieś dokumenty z prawej na lewo i odwrotnie, co chwila zerkając na ekran komputera.

- Pilnujcie go z Brianem - powiedział posępnym głosem Brue Sander do swojego asystenta.

Danny wiedział, że śledzą każdy jego krok. Cały czas grał niczym na scenie w teatrze. Musiał obmyślić każdy szczegół, a i tak dzisiejsze spotkanie stało pod znakiem zapytania. Wiele zależało od



dziewczyny. Udając, że pracuje, w rzeczywistości zastanawiał się, co tak naprawdę ją do niego sprowadza, skąd ma nagranie oraz czy jest prawdziwe. Widząc kręcącego się nieopodal asystenta Sandera, zerknął na zegarek i odliczał dyskretnie czas. Jeszcze tylko minuta... trzydzieści sekund... dziesięć... teraz!

- Passrowher, biuro OAMO, słucham?... Cześć, kochanie, zaraz wychodzę, powinienem dojechać na czas. Zjem tylko obiad i zabiorę Mike'a na mecz... Co takiego?... nie ma sprawy, wstąpię po drodze. Kupić coś jeszcze?... a jest mleko?... Dobrze, to będę piętnaście minut później. Do zobaczenia.

Odłożył słuchawkę zadowolony, że w pokoju panowała cisza - Sander i jego asystent musieli to usłyszeć. W końcu zamknął laptopa, uporządkował papiery na biurku, część z nich chowając w szafce na klucz. Potem sięgnął po wełnianą kurtkę na wieszaku i chwycił skórzaną torbę.

- Do jutra, szefie - powiedział do Sandera, który tylko machnął ręką.

Danny spodziewał się ogona przez całą drogę. Mimo usilnych starań nie udało się dwóm pupilkom szefa podążać za nim, pozostając niezauważonymi. Danny bez problemu zlokalizował jadącego trzydzieści, może czterdzieści metrów za nim zielonego chevroleta. Zerknął na komórkę; nadal była włączona. Musiał poczekać na odpowiedni moment. Pomyślał, że będzie miał około dziesięciu minut, by swobodnie porozmawiać z dziewczyną. Znał służbowe wyjście za korytarzem prowadzącym do toalet. Jeśli przyjdzie na czas, powinno się udać czmychnąć spod nosa psom Sandera i zaszyć się z tyłu budynku w starej toyocie kumpla. Jeśli dobrze pamiętał, miała fabrycznie przyciemniane szyby, dzięki czemu będą mogli uchronić się przed niechcianymi spojrzeniami przechodzących tam pracowników marketu - gdyby akurat jakiś wyszedł na „dymka”. Prawie już dojeżdżał na miejsce. Wzdłuż ulicy, przy której zbudowano supermarket, było sporo miejsc parkingowych, ale postanowił zaparkować tuż niedaleko wejścia. Zrobił to celowo. Gdyby zatrzymał się dalej, kapusie Sandera

musieliby zrobić to samo i iść za nim, żeby nie stracić go z oczu. Teraz liczył, że nie będzie im się chciało ruszać z samochodu i po prostu poczekają dziesięć minut na zewnątrz. Zabrał portfel i wysiadł, naciskając guzik w kluczykach samochodu. Kątem oka zerknął na chevroleta, a następnie ruszył żwawym krokiem do ruchomych drzwi, niemal w podskokach. Gdy był już w środku, dyskretnie sprawdził, czy idą za nim. Wyglądało na to, że – tak jak przypuszczał – nie zamierzali ruszać się z samochodu, więc miał odpowiednie pole manewru. Zanim znalazł się w części handlowej, spojrzął w prawo, gdzie znajdowało się wejście do korytarza z toaletami. Dziewczyny nie było, ale miała jeszcze – spojrzął na zegarek – równo dziewięć minut. Pośpiesznie minął bramki zabezpieczające i udał się do działu z pieczywem, potem szybko wsadził do koszyka kilka kartonów mleka, jakiś dżem, gotową mieszankę zważonych owoców, wędlinę zapakowaną próżniowo i sok pomarańczowy. Ponieważ telefon od córki był ukartowany, w rzeczywistości nie musiał niczego kupować, ale nie mógł wyjść z pustymi rękami, żeby nie wzbudzać podejrzeń. Produkty, które znalazły się w jego koszyku, były tymi, które jako pierwsze przyszły mu do głowy. Gdy stanął przy kasie, zegarek wskazywał za sześć czwarta. Zapłacił kartą, zbliżeniowo, ale nie poczekał na paragon – szkoda było czasu. Obejrzał się dyskretnie, próbując zlokalizować swoich szpiegów, nikogo jednak nie dostrzegł. Liczył więc, że nadal siedzą w samochodzie przed sklepem. Ruszył w stronę toalet. Dziewczyny nadal nie było. Postanowił, że wejdzie na korytarz oddzielający z jednej strony toalety damskie, a z drugiej męskie, i tam na nią zaczeka. Na wszelki wypadek zostawił lekko uchylone drzwi, by móc zobaczyć, co się dzieje po drugiej stronie. Torbę z zakupami postawił obok i obserwował.

- Przepraszam. - Usłyszał za plecami.

Jakaś starsza kobieta próbowała wyjść na zewnątrz. Przeprosił, że zasłania jej przejście, mimo to obrzuciła go niemiłym spojrzeniem i poszła.

Wredne babsko – pomyślał.

Zaczął coraz bardziej się niecierpliwić. Zegarek wskazywał już za trzy minuty czwartą.

- Gdzie ona jest? - wyszeptał pod nosem.

Deszcz przybrał na sile. Po chwili szyby zaczęły parować, a po ich zewnętrznej stronie spływały coraz większe strużki wody.

- Cholera, włącz klimę, bo jeszcze chwila i nic nie będziemy widzieć - odezwał się jeden z mężczyzn.

Po kilkunastu sekundach szyby odparowały. Kierowca włączył wycieraczki, by mieć lepszy widok na wejście do marketu.

- Ile czasu można kupować mleko - wkurzył się jeden z tajniaków. - Żreć mi się chce...

- Spokojnie, dajmy mu jeszcze chwilę, przecież nie zasnął tam - odezwał się drugi.

- A może zasnął?

Kierowca spojrzał na niego z drwiną i nie skomentował. Prawą rękę trzymał na kierownicy, a drugą oparł się łokciem o drzwi i otarł dłonią twarz. Obaj gapili się tępo przed siebie. Nagle coś przykuło ich uwagę. Przed wejściem zrobiło się małe zamieszanie. Jakaś kobieta wpadła na dziecko nadbiegające z prawej strony i omal go nie podeptała. Zaraz zjawiała się matka chłopczyka i machnęła ręką na niezdarną kobietę.

- Kretynka - stwierdził facet siedzący za kierownicą.

- Czekał... ja ją znam - powiedział drugi. - To jest ta babka, która przysłała w poniedziałek do biura.

- Jaka babka?

- Mówiłem ci przecież. Chciała się widzieć z naszym doktorkiem. Szef się pod niego podszył i ją spławił.

- Co ona tu robi?

- Kurwa, oni się umówili! - wrzasnął. - Zostań tu i obserwuj!

Wyskoczył jak z procy i pobiegł w stronę ruchomych drzwi.

Danny wychylił głowę zza drzwi, widząc Carinę stojącą obok i rozglądającą się dookoła.

- Pst! - szepnął. - Tutaj, niech pani tu wejdzie.

Carina zorientowała się, że to on i weszła na korytarz.

- Już myślałem, że mnie pani wystawiła - powiedział, zerkając dyskretnie przez uchylone skrzydło przejścia.

- Przepraszam, szczerze mówiąc, zasnęłam i ledwo zdążyłam.

Tu będziemy rozmawiać?

- Ciii! - przystawił palec do ust. - Raczej nie, mamy towarzystwo. Za mną!

Chwycił torbę z zakupami i szarpnął ją za ramię. Carina pobiegła za nim, nie zadając pytań. Minęli wszystkie wejścia do toalet i skierowali się do końca korytarza. Nagle przejście się rozwidłało, czego nie było widać z dalszej perspektywy. Stojąc przy toaletach, wydawało się, że korytarz kończy się ślepą ścianą. Danny też tak sądził, chociaż bywał tu niemal codziennie, bo market znajdował się po drodze z pracy do domu... ale tylko do dnia, w którym jakiś chłoptaş ukradł mu portfel i zaczął z nim uciekać, a on rzucił się za złodziejem w pogoń. Był przekonany, że przycisnie go zaraz do ściany, gdy okazało się, że chłopak czmychnął tylnym wyjściem. Niestety zwiął z portfelem, ale dzięki temu Danny odkrył, że istnieje drugie wyjście z korytarza. Nie sądził, że kiedykolwiek mu się ta wiedza przyda.

- Gdzie my biegniemy? - wyjąkała Carina.

- Tu jest tylne wyjście... niestety, została pani zauważona i jeśli się nie pośpieszymy, znajdą nas! Tędy!

Minęli składzik palet, a następnie dotarli do dużych drzwi oklejonych rażąco czerwonymi pasami. Danny pchnął z całej siły i drzwi się otworzyły. Gdy oboje znaleźli się na zewnątrz, cofnął się o krok i złapał podłużny uchwyt przymocowany do drzwi, bo nagle zrobił się przeciąg i oba skrzydła wypchało na dziedziniec. Zamknął je pośpiesznie. Znajdowali się na placyku po brzegi zawalonym jakimiś beczkami, drewnianymi skrzyniami i kartonowymi pudłami, które mokły na deszczu.

- Co to za miejsce?

- Chodźmy tam. - Wskazał palcem na samochód.

Nieco na lewo od bramy wjazdowej stał zaparkowany ciemnoszary samochód. Danny wyciągnął z kieszeni kluczyki. Nie

miały centralnego zamka; trzeba go było otworzyć ręcznie.

- Proszę, niech pani to potrzyma na moment. Nie za ciężkie?

Carina złapała torbę z zakupami i patrzyła, jak doktor siłuje się z zamkiem. W końcu się udało. Odebrał od niej torbę i rzucił na tylne siedzenie toyoty.

- Do środka! - zarządził, a sam usiadł na miejscu kierowcy. - Mieliśmy tu spokojnie porozmawiać, poza wszelkimi podejrzeniami, ale teraz, skoro nas szukają, musimy się stąd oddalić.

Włożył kluczyki do stacyjki i przekręcił. Silnik zaskoczył za pierwszym razem.

- Kochana, stara toyotka - powiedział, po czym odjechał, kierując się do wyjazdu.

Po chwili znaleźli się na drodze biegnącej równoległe do ulicy Marshalla, skręcili w prawo, po czym zniknęli za rogiem, wtapiając się w ruch uliczny.

- Dokąd jedziemy? - zapytała Carina.

- Chciała pani rozmawiać, czyż nie?

Zerknął na poziom paliwa. Wskazówka pokazywała prawie pełen bak. Zawsze można na ciebie liczyć, Ted - pomyślał.

- Owszem, ale nie sądziłam, że będę musiała w tym celu uciekać cudzym samochodem ulicami Seattle. Dlaczego oni tak pana pilnują? I co to w ogóle za ludzie?

Danny spojrzał na nią, po czym szybko wrócił wzrokiem do kontrolowania drogi za szybą.

- Niech pani wyłączy swoją komórkę.

- Jest wyłączona.

- Proszę wyciągnąć kartę SIM.

Carina zrobiła, jak prosił. On sam tymczasem sięgnął do kieszeni po swoją komórkę i wybrał numer. Odczekał kilka sekund, aż usłyszał w słuchawce znajomy głos.

- Suzi, kochanie, mam tylko minutę, muszę ci coś powiedzieć - mówił pośpiesznie, ale w jego głosie był spokój. - Nie wiem, kiedy wrócę, zaparkowałem samochód przy Sweet-sweet, zabierz go, proszę, stamtąd. Muszę teraz wyłączyć komórkę, ale obiecuję, że

odezwę się, gdy tylko będzie to możliwe, choć to może potrwać. Nie martw się o mnie i ucałuj Mike'a... powiedz, że wyjechałem na kolejne badania dna morza.

Rozłączył się i przycisnął dłużej boczny klawisz. Następnie podał go Carinie.

- Niech pani go otworzy i wyciągnie także moją kartę.

I tym razem zrobiła w milczeniu to, o co prosił. Tymczasem Danny zatrzymał samochód, prosząc, by Carina została w środku. Widziała przez szybę, jak podchodzi do bankomatu. Nie była pewna, czy to się dzieje naprawdę. Wyglądało to tak, jakby nagle znalazła się na planie filmu sensacyjnego z Tomem Cruisem w roli głównej, chociaż doktor Passrowher wcale go nie przypominał. Po chwili wrócił, chowając spory plik banknotów do marynarki. Nic nie powiedział. Znowu ruszyli. Sprawnie przebiegał się przez uliczny zgiełk. Carina miała wrażenie, że oddalają się od centrum, bo krajobraz zrobił się najpierw industrialny, potem bardziej wiejski, a w końcu mknęli po jakiejś szerokiej drodze otoczonej zewsząd lasem.

- Teraz możemy porozmawiać - odezwał się.

- Dokąd mnie pan wiezie?

- Jest takie miejsce, gdzie nas nie znajdą. Obawiam się jednak, że nie wróci pani dziś na noc...

- Jak to?

- Szczerze mówiąc, wiedziałem, że ten dzień kiedyś nadejdzie. Już dawno chcieli mnie usunąć ze stanowiska. Najchętniej zamknęliby mnie w lochach... gdyby tylko mogli.

- Co pan takiego zrobił?

- Rzecz w tym, że nic. Ale posiadam informacje, które są dla nich niewygodne. Albo inaczej - zrobią wszystko, żeby nie trafiły one do wiadomości publicznej.

- Właściwie to o kim my mówimy? Co to za „oni”?

- Rządowi. Wszak OAMO jest agencją rządową. Nie wiedziała pani?

- Wiedziałam, ale sądziłam, że zajmuje się ona badaniem

atmosfery i środowiska naturalnego.

- Przepraszam, ponieważ wygląda na to, że spędzimy ze sobą wiele godzin, może zaproponuję, żebyśmy przeszli na ty. Będzie nam łatwiej rozmawiać...

Carina kiwnęła głową. Zastanawiała się tylko, co miało oznaczać to „wiele godzin”.

- Wracając do twojego pytania - kontynuował Danny - owszem, głównym zadaniem OAMO jest prognozowanie pogody, ostrzeganie przed sztormami i innymi ekstremalnymi zjawiskami. Ale zajmujemy się także zbieraniem danych naukowych. To jest głównie moje zadanie. Bezpośredni nadzór nad naszą agencją sprawuje Departament Handlu Stanów Zjednoczonych. Ten z kolei jest jednym z resortów rządowych USA. Jak pani - przepraszam - jak zapewne wiesz, rząd potrafi dbać o swoje interesy, a każdy, kto wejdzie w posiadanie cennych informacji na temat działalności rządu, stanowi potencjalne zagrożenie. A jak wiadomo, zagrożenia są po to, by je eliminować.

Zakończył dość długi monolog, choć to było dopiero wprowadzenie do dalszej rozmowy. Deszcz przestał padać; temperatura nieco spadła. Danny włączył ogrzewanie. Poruszali się drogą numer 5. Cel ich podróży w dalszym ciągu był dla Cariny zagadką.

- Mam nadzieję, że zabrałaś wszystkie cenne rzeczy z hotelu?

- Motelu - sprostowała, po czym zerknęła do torby. - Mam w torebce dokumenty, telefon i kamerę z filmem, o którą prosiłeś, a także mój notatnik i bilet powrotny, bo był w nim schowany, kosmetyki do makijażu, i tyle.

- Na kiedy masz zaplanowany lot powrotny? - zapytał.

- Za kilka dni. Czy to oznacza, że nie wrócę do motelu do tego czasu?

Westchnął, szukając odpowiedzi.

- Carina, to co robimy, to istne szaleństwo, zwłaszcza dla ciebie. Nie wiem, kim jesteś, po co tak właściwie tu przyjechałaś i jak wygląda twoje życie prywatne, ale przylatując tu, wpakowałaś się

w nie lada tarapaty. Na dodatek wciągnęłaś w to mnie...

Mówił to tak, że nie była pewna, czy powinna czuć się winna.

- Przepraszam...

- Nieważne. Do czego zmierzam... Ludzie tacy jak ja... albo inaczej: jestem od kilku lat pod tak zwaną lupą. Mimo że od dawna nie zajmuję się tym projektem, to jednak moja działalność sprzed lat nie tylko nie spodobała się przełożonym, lecz także rzuciła cień na moje życie. Już chyba nigdy nie będę mógł normalnie funkcjonować. Albo będę wiecznie śledzony, co nie jest zbyt przyjemne, wierz mi, albo w końcu się mnie pozbędą.

- Co to znaczy, że się ciebie pozbędą? - Przeraziła się.

Danny uśmiechnął się do niej.

- Spokojnie, może nie będzie tak źle, ha, ha.

- To nie jest zabawne - oburzyła się Carina. - Nie żartuj sobie ze mnie.

- Nie żartuję, poważnie mówię. Nie miałem na myśli, że mnie od razu zabiją. Ale może postarają się, żebym skończył w psychiatryku bez możliwości kontaktu ze społeczeństwem... Są różne sposoby.

- Nadal nie rozumiem, co takiego zrobiłeś i gdzie my, do diabła, jedziemy.

- Musisz mi zaufać, i tak już tkwisz w tym po uszy. Dowiesz się na miejscu. A co do pierwszego pytania... Skoro się ze mną skontaktowałaś, to chyba wiesz, co zrobiłem? Czy nie chciałaś rozmawiać o teorii małej wodnej?

Od czasu, gdy wróciła do Lizbony z Wysp Zielonego Przylądka, wydarzyło się tyle rzeczy, że już zapomniła, jaki był pierwotny powód, dla którego postanowiła napisać e-maila do doktora. Wszystko się zmieniło, również powód, dla którego w desperacji kupiła bilet do Seattle.

- Tak, o to właśnie chciałam zapytać - odpowiedziała cicho i nieśmiało.

- W porządku, pytaj. Już i tak wiem, że mnie dopadną i odsuną od tej sprawy raz na zawsze. Ten film... widział go ktoś poza nami?

Carina spuściła wzrok.



- Nie.

- To dobrze. Wiedz jedno, oni i tak go przechwycą i zrobią z ciebie pośmiewisko.

Zabrzmiało to bardzo nieprzyjemnie.

- Dlaczego?!

- Tak jak zrobili ze mnie. Może natknęłaś się przypadkiem na film dokumentalny, który przez długi czas krążył w Internecie? Chyba nadal można go obejrzeć. Nosi tytuł Prawda z głębin czy jakoś tak...

- Tak, widziałam. Ale to nie jest dokument, to znaczy... ktoś się za pana w nim podaje - przepraszam - za ciebie.

- Owszem, bo tak miało być.

- Nie rozumiem, nie chciałeś sam wystąpić? Zabronili ci?

Danny się zaśmiał.

- To właśnie była część planu. Nie mojego, tylko rządowych.

- Możesz mówić jaśniej? - Carina miała mętlik w głowie.

- Nigdy nie zamierzałem nakręcić filmu, a już na pewno nie chciałem go upubliczniać. W czasie jego emisji widać wyraźnie, co jest rzeczywistym materiałem dowodowym, a co uknutą fabułą. To, co zebrałem, miało różną postać: od nagrań i zdjęć, przez raporty i analizy, aż po filmy. Były to jednak inne filmy, takie amatorskie. Kręciłem je zawsze przy pomocy niewielkiej kamery, gdy wraz z moją ekipą trafialiśmy na jakiś ciekawy ślad. Używałem jej także do rejestrowania naszych działań w miejscu, do którego przyjechaliśmy w celu zbadania jakiegoś dziwnego zjawiska w środowisku. Mój zakres badań ograniczał się wyłącznie do mórz i oceanów.

Carina słuchała jak zaczarowana. Danny zrobił chwilę przerwy, bo zaschło mu w gardle.

- Możesz podać mi z torby butelkę soku?

- Proszę.

- Dziękuję. Chcesz się napić?

- Najpierw ty.

- Ha, ha, chyba nie sądzisz, że chcę cię otruć?

- Wszystko mi jedno - odpowiedziała enigmatycznie Carina, co trochę zaskoczyło Danny'ego, bo po raz pierwszy spojrzał na nią z empatią i współczuciem.

Napił się i oddał jej butelkę.

- Co to ja mówiłem... aha, film... Część z nich z premedytacją została wykorzystana w tej śmiesznej inscenizacji, ale tylko nieliczne fragmenty, które w sumie niewiele zdradzają. Cała reszta to fikcja, gra aktorska.

Carina podłapała tok rozmówcy.

- No właśnie, tego nie rozumiem. Potem pojawił się kolejny film, w którym jakiś internauta wyśmiewa poprzedni dokument, między innymi za to, że postacie są fikcyjne i wszystko wygląda jak tandetna bajka science fiction.

- Tak, zgadza się. Ten filmik był również „nagrany”, to znaczy ustawiony. Internauta nie był prawdziwy, tylko grał swoją rolę. Rządowi wyemitowali pierwszą część, a następnie drugą, tylko po to, aby ją wykpić. O to chodziło. Wystarczy, że wyszukasz wspomniany film w Internecie, a przekonasz się, że domenę tej strony przejął Departament Bezpieczeństwa Narodowego. Rozumiesz już? - zapytał podekscytowany.

- Ach tak, chcieli cię w ten sposób sponiewierać?

- I to im się akurat udało. Już nie pracuję przy tych projektach. Kilka lat temu trochę mnie postraszyli, stawiając mi ultimatum: albo całkowicie zrezygnuję z dalszych badań i słowa nie pisnę, albo... - zawahał się - tego drugiego nie sprecyzowali, ha, ha.

- Ciebie to bawi? - Zdziwiła się Carina.

- A co, mam płakać nad rozlanym mlekiem? Dziewczyno, ja z nimi nie wygram. Nie wiem nawet, czy teraz uda nam się ukryć. Musisz być gotowa na wszystko... - powiedział tajemniczo.

- Że niby co mi zrobią? I za co? Tylko dlatego, że chciałam napisać pracę dyplomową na temat jednej z teorii naukowych? To nie przestępstwo. Przyłot do Ameryki też jest legalny, nie przekroczyłam granicy bez dokumentów. To głupie...

- Carina, czy ty oglądasz czasem amerykańskie filmy? - Wcale

nie czekał na odpowiedź. – W większości pokazują prawdę. Rząd nie cofnie się przed niczym, żeby ich machloje nie ujrzały światła dziennego.

– Ale o czym my, do diabła, mówimy?

– Tobie się wydaje, że chodzi o durną bajeczkę rodem z Walta Disneya, a tymczasem ich najmniej interesuje, czy kosmici istnieją albo ryby gadają – powiedział poważnym tonem. – Nie wyobrażasz sobie, co się za tym kryje. Wyszłaby na jaw cała prawda o działaniach instytucji rządowych. A zwłaszcza to, do czego są w stanie posunąć się dla władzy i pieniędzy, ogromnych pieniędzy!

Zapadła cisza. Zjeżdżali właśnie z głównej drogi. Carina stwierdziła, że znajdują się teraz na obwodnicy jakiegoś dużego miasta. Dostrzegła tablice, a na nich napis: Tacoma. Danny nie zjechał jednak w stronę centrum, a kierował się na południe. W dalszym ciągu kontynuowali jazdę drogą numer 5.

– To niech sobie zachowają pieniądze i władzę, a ludziom dadzą poznać prawdę – oburzyła się Carina.

Danny znowu się zaśmiał.

– Nie wierzę, że jesteś taka naiwna, bez urazy. To niemożliwe, bo albo jedno, albo drugie. Wiesz, jaką oznaczałoby to rewolucję? Świat stanąłby na głowie!

– I co z tego? Cały czas dowiadujemy się czegoś nowego, odkrywamy nowe gatunki zwierząt, poznajemy świat skrywany dotąd pod wodą albo pod powierzchnią ziemi. Teraz posiadamy odpowiednie narzędzia, możemy dotrzeć tam, gdzie wcześniej było to niemożliwe. Taki jest porządek tej planety – coś się rodzi, coś umiera. Rozwijamy się.

– Moja droga, życie pokaże ci, że jedyny porządek – jak to sama nazwałaś – tej planety narzucany jest nam przez możnych władców tego świata. To oni mają władzę i pieniądze. A my możemy tylko robić swoje, czyli to, co nam kazali, i cieszyć się co miesiąc wypłatą przelaną na konto, oglądając z rodziną filmy Walta Disneya.

To, co mówił Danny, wydawało się Carinie niesprawiedliwe. Wcale nie była naiwna, jednak miała wrażenie, że on traktuje ją jak

dziecko. To, że była dwadzieścia lat młodsza od niego, nie oznaczało, że może z niej kpić. Coś już o życiu wiedziała... do tego stopnia, że o pewnych życiowych sprawach wolałaby na zawsze zapomnieć. Nie był to moment, żeby powiedzieć mu prawdę. Czuła, że musi jeszcze poczekać.

## ROZDZIAŁ 54

Porto Brandão, 7 listopada 2013

Jeżeli to, co Carina przekazała łaskawie koleżance ze studiów, jest prawdą, od jej powrotu dzieliło Giselę dwa, może trzy dni. Tego też dokładnie nie wiedziała. Ale jeśli kłamała, tak jak poprzednio, mogło się okazać, że wróci wcześniej, lub - co gorsza - później.

Żeby chociaż się odezwała - pomyślała, idąc chodnikiem.

Supermarket był tuż przed nią. Ominęła ulubioną kawiarnię w obawie, że ludzie ją wyśmieją. O Carinie zaczęły krążyć dziwne plotki, które w takim niewielkim miasteczku rozchodzą się szybciej niż makrela w basenie z fokami. Dostrzegła tylko, jak pani Nunes macha do niej ręką, ale nie miała ochoty z nią rozmawiać. Ta wścibska staruszka bez ogródek zapytałaby ją o córkę. Skierowała się wprost do sklepu. Przez prawie pół godziny krążyła między regałami w poszukiwaniu czegoś, co nadawałoby się na obiad. Cały czas miała wrażenie, że wszyscy ją obserwują. To oczywiście nie była prawda, ale Gisela zaczęła zachowywać się w dość absurdalny sposób. Zerknęła na koszyk i pomyślała, że ma już wszystko, skierowała się więc do kas. Po dziesięciu minutach była już przy wyjściu. Pożałowała, że nie przyjechała rowerem, mogłaby szybciej wrócić i nie dźwigać zakupów.

- Podwieźć panią? - usłyszała niespodziewanie.

Obejrzała się za siebie. Na podjeździe przed marketem rozpoznała komisarza, który przesłuchiwał Carinę wtedy,

w szpitalu.

- Nazywam się Silva Campos, jestem...

- Wiem, kim pan jest. Pamiętam - powiedziała obojętnym głosem. - Dziękuję, pójdę pieszo.

- To żaden kłopot, i tak jadę w tamtą stronę...

- Skąd pan wie, gdzie mieszkam?

Komisarz się zaśmiał.

- Pani Costa, jestem funkcjonariuszem wydziału kryminalnego, wiem, gdzie mieszka większość ludzi w tej miejscinie.

Gisela nie miała ochoty rozmawiać z policjantem, ale nie miała też siły taszczyć przez pół - jak to określił - miejsciny ciężkiej torby. Skorzystała więc z jego uprzejmości i pozwoliła się podwieźć. Zapowiadało się na deszcz. Ruszyli z parkingu.

- Jak się czuje córka? - zapytał po chwili komisarz.

Gisela nie wiedziała, czy on jest świadom, że Cariny nie ma. Skąd jednak miałyby wiedzieć?

- Córki nie ma - odpowiedziała krótko, chcąc uniknąć dalszych wyjaśnień i pytań.

Komisarz zerknął na nią.

- Jak to nie ma?

- Wyjechała.

Nastała cisza. Sprawa już dawno się zakończyła, więc nie było powodu, by drążyć temat, ale pozwolił sobie na kolejne pytanie:

- Dokąd? Jeśli można spytać...

- Panie komisarzu, proszę wybaczyć, ale to chyba nie pańska sprawa.

- Przepraszam, słusznie, nie moja. Widzę jednak, że pani jest zakłopotana... może mógłbym w czymś pomóc?

- Nie rozumiem, w czym chciałby pan pomóc? Córka wyjechała, i tyle.

- Pani Costa - zaczął delikatnie, żeby nie urazić swojej rozmówczyni - to faktycznie są wasze prywatne sprawy, jednak chciałbym powiedzieć, że znam takie przypadki i mógłbym skierować Carinę do odpowiedniego ośrodka...

- O czym pan mówi? - zdziwiła się.

- Może pani zaprzeczać, ale faktów pani nie zmieni. Carina ewidentnie ma ze sobą problem, sądzę że jej zachowanie może być spowodowane jakimiś zaburzeniami w relacjach z mężczyznami...

- Słucham?! - oburzyła się.

- Nie chciałem pani urazić, ja naprawdę chcę pomóc. Carina może wykazywać zaburzenia w budowaniu poprawnych związków partnerskich ze względu na brak ojca.

- Panie komisarzu - zaczęła - to, że Carina nie ma chłopaka, nie oznacza, że jest nienormalna. Jej życie osobiste to nie pańska sprawa, więc proszę darować sobie te mądrości. Ani ja, ani córka nie potrzebujemy porad żadnego specjalisty.

W to akurat wątpił. Był przekonany, że zna najczarniejszą stronę życia jej córki. Być może ona sama nie miała pojęcia, czym zajmuje się Carina w zaciszu domowym. Podjechali pod dom Giseli. Na chodniku stał duży pies.

- Ładny. To pani?

- Co takiego?

- Pies.

- Ależ skąd, nie mamy psa.

Był zdziwiony tą informacją. Bardzo.

Odjechał zamyślony.

## ROZDZIAŁ 55

Odkąd opuścili Seattle, minęła godzina. Poruszali się nadal tą samą drogą, ale Carina zauważyła, że zmieniły się oznaczenia. Jeśli dobrze przed chwilą zobaczyła, to trasa numer 5 zmieniła się w 8.

- Daleko jeszcze? Chyba muszę do toalety - powiedziała Carina.

- Jeśli nie wytrzymasz, to zatrzymam się na jakiejś stacji, ale wolałbym nie.

- Nie wiem, ile mam wytrzymać. Dlatego zapytałam.

- Większość drogi już za nami, zostało, powiedzmy, czterdzieści minut. Dasz radę?

- Dam. Czy ty aby nie przesadzasz?

- W jakiej kwestii?

- Wyłączyliśmy komórki, nie wiemy, jakim samochodem się poruszamy, nie wiemy, w którą stronę jedziemy. Naprawdę sądzisz, że jeśli skorzystam z toalety na stacji benzynowej, to zaraz nas znajdą?

- Telefonów rzeczywiście nie zlokalizują, ale mogą sprawdzić monitoring w sklepie i jeśli jakaś kamera nas zarejestruje, to dowiedzą się, jakim samochodem jedziemy. Następnie sprawdzą monitoring dróg krajowych - bo do takich mają dostęp - i prześledzą, jaką trasę jechaliśmy. Na wszystkich stacjach też są kamery. To naprawdę nie jest takie trudne.

- Przerażasz mnie.

- Spokojnie - uśmiechnął się do niej - musimy wierzyć, że z tyłu supermarketu nie było monitoringu.



Krajobraz się zmienił. Wprawdzie była dopiero siedemnasta dziesięć, ale słońce powoli chyliło się ku zachodowi. Niebo zasnuwane całe czas chmurami sprawiało, że zrobiło się znacznie ciemniej. Dookoła otaczały ich pastwiska. Po lewej stronie drogi ciągnęła się sieć elektryczna z wysokimi słupami. Czasem przejeżdżali przez niewielki most, innym razem mijali gąszcz drzew. W oddali gdzieś wyrastały domostwa i średnio co trzy minuty mijał ich z naprzeciwką inny pojazd. Carina zauważyła, że ruch uliczny coraz bardziej się zmniejszał. Zmierzali chyba w stronę wybrzeża.

- Jaki dokładnie tytuł nosi twoja praca naukowa? - zapytał nagle Danny.

- „Współczesne teorie dotyczące rozwoju życia w morzach i oceanach”.

- Ale sobie temat wybrałaś! - zażartował.

- Temat jak każdy inny. Co ci się w nim nie podoba?

- Nie twierdzę, że mi się nie podoba.

- A jednak.

- Przepraszam. To dlatego, że wyobraziłem sobie, jak piszesz o małpie wodnej i czytają to twoi recenzenci, a potem promotor.

- Mówisz tak, jakbyś w to nie wierzył. Dlaczego?

- Carina, to nie jest kwestia wiary. Ja wiem, co widziałem. Ty, zdaje się, również.

- Więc?

- Zostaw to.

- Nie wierzę, że to mówisz! Nie wierzę! Ty?

- Oboje jesteśmy w sytuacji patowej, tego możesz być pewna. To, o czym rozmawiamy, pozostanie tylko między nami.

- Skąd ta pewność?

- Wiem, co mówię. Jeśli opublikujesz ten film, skończysz jak ja. Może oboje trafimy do wariatkowa. Będzie im to na rękę.

- Skończ już z tym wariatkowem. Czemu mnie zniechęcasz? Poddajesz się?

- Chcę ci oszczędzić upokorzenia i społecznego wyalienowania.

- Ja już jestem upokorzona i społecznie wyalienowana.

- Dlaczego tak mówisz?

- Nieważne. Nie unikaj odpowiedzi. Powinno ci zależeć, żeby wszyscy poznali prawdę. A ty się chowasz jak tchórz. Nie masz wyrzutów sumienia?

- Szczerze? Nie. Sto razy bardziej wolałbym siedzieć teraz z moją córką przy dobrej kawie w salonie i oglądać album ze zdjęciami jej matki a mojej żony albo grać z wnuczką w baseball, niż być tu teraz z tobą i uciekać przed pracownikami rządu tylko dlatego, że postanowiłaś zbawić świat i napisać wspaniałą pracę naukową o tym, jak miliony lat temu małpy weszły do wody, żeby tam zostać.

Nastąpiła cisza.

- Wow, to bolało, wiesz?

Danny'emu zrobiło się głupio. Pożałował tych słów.

- Przepraszam, Carina. Nie chciałem tego powiedzieć.

- Chciałeś. Nie szkodzi.

- Masz rację, ukrywam się. Byłem taki jak ty. Spróbowałem raz, dostałem po głowie i stchórzyłem.

- Tak jest wygodniej, prawda?

- Tak jest bezpieczniej. Masz dzieci?

To pytanie ją zmroziło. Rozwarła szeroko oczy.

- Nie. Bo co?

- To nie wiesz, o czym mówię. Życzę ci, żebyś kiedyś miała własną rodzinę, żebyś śmiała się z mężem z sytuacji, która teraz urasta w naszych oczach do prawdziwego dramatu. Mam nadzieję, że wrócisz do swojego kraju bez przykrego bagażu doświadczeń, że będzie to tylko jakiś szalony epizod w twoim życiu.

- Czemu mi tego życzysz? Jesteś pewien, że ja o tym marzę?

- A nie?

- Życie to nie tylko wychodzenie za mąż i rodzenie dzieci. Są też inne przyjemności, inne priorytety. Ja mam swoje. Nie oceniaj mnie przez pryzmat swoich doświadczeń.

- Nie chciałem cię urazić. Możemy zacząć jeszcze raz?

- Co masz na myśli?

- Oczyszczyć atmosferę i spędzić resztę drogi, rozmawiając po przyjacielsku.

- Myślę, że to najlepszy pomysł, na jaki wpadłeś przez ostatnią godzinę, ha, ha.

- Cieszę się. - Uśmiechnął się Danny. - Teraz twoja kolej. Opowiadaj o filmie.

- Hmm, nie ma o czym. Kiedy go kręciłam, byłam w szoku. Teraz stwierdzam, że po prostu znalazłam się w nieodpowiednim miejscu w nieodpowiednim czasie.

- Mówisz, jakby to było coś strasznego. A jeszcze przed chwilą chciałaś zmieniać świat. - Danny nie krył zaskoczenia.

- Pokażę ci go na miejscu, teraz musisz się skupić na drodze. Ja za to chętnie posłucham o twojej pracy. Jak to dokładnie było? Wiesz, cała ta historia, zanim cię odsunęli od badań.

- To będzie długi monolog. Nie wiem, czy chcesz tego słuchać - zażartował.

- W końcu po to tu przyjechałam, ha, ha. Poza tym, jakbyś nie zauważył, zostałam porwana i nie mam nic lepszego do roboty.

Oboje wpadli w dobry nastrój. Danny od dawna z nikim o tym nie rozmawiał, bo nie mógł. W pewnym sensie ucieszył się, że w końcu ktoś wysłucha, jak to było naprawdę.

- Sama tego chciałaś. Nie wiem, od czego zacząć...

- Najlepiej od początku. Kiedy byłem mały... ha, ha!

- Musielibyśmy jechać samochodem do Portugalii, żeby starczyło czasu na tę historię. Pozwól, że ograniczę się więc do: „Gdy zaczynałem w OAMO...”

- Zamieniam się w słuch.

Usłyszana opowieść wcale nie zaskoczyła Cariny. Wprawdzie dowiedziała się nowych faktów, ale dla niej nie było to nic niesamowitego - ona już wierzyła. Słuchała Danny'ego z zaciekawieniem, ale także i dlatego, że była zmęczona rozmową i wolała spędzić ostatnie pół godziny drogi jako słuchacz - pomagało jej to zapomnieć o pełnym pęcherzu, na który ktoś wyjątkowo napierał. Zgodnie ze słowami doktora, w tysiąc

dziewięćset dziewięćdziesiątym siódmym roku na Pacyfiku słyszano dziwny dźwięk, którego pochodzenia nigdy nie zidentyfikowano. Dźwięk ten nazwano ploom. Ówczesny rzecznik Służb Imigracyjnych i Celnych podległych Departamentowi Bezpieczeństwa Narodowego twierdził, że to jedynie mistyfikacja. Temat nieco ucichł, ale naukowcy nadal prowadzili badania. Gdy niedługo po tym Danny ukończył studia i został zatrudniony w OAMO jako pracownik etatowy, z niezwykłą żarliwością oddał się pracom nad tym zjawiskiem. Z jakichś względów na początku dwudziestego pierwszego wieku marynarka wojskowa przeprowadziła wielokrotnie operacje z użyciem broni hipersonicznej pod pretekstem testów sprzętu. Jednak siła rażenia była tak ogromna, że na skutek tychże prób masowo ginęły setki, a ostatecznie tysiące wielorybów. Na plażach całego globu obserwowano, jak umierają, począwszy od stanu Waszyngton, przez Tasmanię w Australii, a nawet wybrzeża Kapsztadu w Afryce. Danny zebrał wystarczająco dużo dowodów, by w dwutysięcznym roku opublikować pracę oskarżającą marynarkę Stanów Zjednoczonych o prowadzenie prób hipersonicznych - wtedy na jakiś czas ich zaprzestano. Proceder ten jednak powrócił po latach i bynajmniej nie chodziło o testy. Do największej zagłady wielorybów doszło w kwietniu dwa tysiące czwartego roku u zachodnich wybrzeży Ameryki. Wtedy to Danny wraz ze swoją ekipą przyjechali na miejsce, by oszacować straty środowiska oraz zbadać ich przyczynę. Ktoś jednak ich wyprzedził. Widzieli ludzi ubranych w kombinezony, którzy zbierali jakieś próbki. W tkankach wielorybów, które ucierpiały, znaleziono coś, co było wspólne dla każdego z tych zwierząt: rozległe zniszczenia spowodowane infradźwiękami. Do takich zniszczeń dochodzi, gdy następuje detonacja broni hipersonicznej. Gdy OAMO zajęła się przesłuchiowaniem nagrań z tych rejonów oceanu, okazało się, że odkryto bardzo złożone wokalizacje zwierzęce. Marynarka nigdy nie wyjaśniła tego zdarzenia. Danny, już jako doktor, był pewien, że chodziło o unicestwienie nieznanego ludzkości gatunku. Badania trwały.

W roku dwa tysiące dwunastym Danny wraz z zaufanym geologiem doktorem Hanstem wyruszył na ostatnią taką wyprawę na pokładzie łodzi podwodnej na Oceanie Arktycznym. Ilość dowodów, próbek i rzeczowych materiałów, jakimi dysponowała ekipa Danny'ego, była już tak duża, że stanowiła spore zagrożenie dla tajnych działań rządowych. Wtedy to projekt, któremu nadal przewodniczył Danny, został wycofany, materiały zniszczone, a Danny wykpiony poprzez wyemitowanie obu filmów: najpierw fikcyjnego, spreparowanego dokumentu, a następnie ośmieszającego materiału nieznanego blogera, który podważył wszelką wiarygodność doktora Passrowhera. Od tamtej pory przełożeni Danny'ego oraz agenci rządowi mają go cały czas na oku.

- Teraz już rozumiesz, dlaczego tak ich rozzłościła twoja wiadomość e-mailowa i upór, z jakim dopytujesz o materiały do swojej pracy.

- Nie wiedziałam, że sprawię tyle problemów...

- Ha, ha! A ty jeszcze tu przyleciałaś! To się musieli dopiero wkurzyć.

Danny zatrzymał samochód. Dojechali na miejsce.

Brue Sander był wściekły. Niemal dało się zauważyć, jak z uszu wychodzi para i zamienia się w żrący gaz.

- Co to znaczy, że zniknęli!? Durnie! Mieliście ich pilnować! Jak ja mam wam powierzać poważne zadania, skoro nie potraficie zająć się studentką i starzejącym się, podrzędnym doktorkiem?!

- Szefie, pilnowaliśmy go! Jechał do domu i wstąpił tylko po zakupy. Sam słyszałem, jak rozmawiał przez telefon z żoną, co ma kupić.

- Idioto! On nie ma żony. To pewnie jego córka, założę się, że rozmowa była ukartowana. Macie ich odnaleźć, nie obchodzi mnie, jak tego dokonacie. Jutro chcę ich mieć na dywaniku. Tę gówniarę wyślemy pierwszym samolotem do Europy i zadbamy o to, aby nigdy więcej nie przekroczyła granicy USA. A doktorem zajmę się w równie należyty sposób.

- Będzie ciężko, szefie, bo...

- Wnoście się stąd! - wrzasnął i chwycił za słuchawkę, żeby wykonać niecierpiący zwłoki telefon.

## ROZDZIAŁ 56

Zgodnie z prognozą pogody temperatura w drugiej części listopada miała ulec poprawie. Gdy Liz oraz Paul Gordonowie pakowali rzeczy osobiste do bagażnika samochodu, zapowiadało się całkiem pogodnie popołudnie. Wybrzeże zrobiło się szare i pozbawione żywych barw, ale mimo to przyjemnie było chłonąć każdy promyk przygaszonego słońca, którym natura zechciała obdarować mieszkańców zachodniego wybrzeża mimo niesprzyjającej pory roku.

- Nawet nie wiesz, jak bardzo się cieszę, że się zgodziłeś - powiedziała uradowana Elizabeth, wsiadając do samochodu.

- Nie jestem do końca przekonany, czy to dobry pomysł, Liz.

- Och, kotku, niepotrzebnie się martwisz. W twoich rękach jestem bezpieczna.

- Liz, jesteś pewna, że tego chcesz? Będziemy ponad pięćdziesiąt mil od najbliższego szpitala. A jeśli...

- Jeśli co? Poronię? Nie pierwszy i nie ostatni raz - powiedziała drżącym głosem.

- Skarbie, nie chcę słyszeć takich głupot. Wszystko będzie dobrze - to mówiąc, przytulił żonę, widząc, że oczy zaczynają jej błyszczeć. - Zobaczysz, tym razem się uda.

- To jedźmy już - westchnęła cichutko, tuląc się w jego ramionach.

- Pomyślmy jeszcze, czy mamy wszystko... Lekarstwa i cały sprzęt zabrałem, ubrania, kosmetyki, dokumenty, zapas jedzenia...

- Z tym jedzeniem to przesadziłeś. - Uśmiechnęła się Elizabeth.  
- Przecież tam są sklepy. Po co nam tyle kartonów makaronu, kukurydzy, puszek pomidorów, orzeszków, fasoli w zalewie...

- No, już przestań, wsiadaj, ruszamy, bo inaczej nie dojedziemy przed zmrokiem. - Zdecydował Paul.

Paul był starszy od żony o kilka lat. Przypominał bardziej drwala niż ginekologa. Wyglądał jak wiking, któremu prehistoryczny smok opalił nieco bujnej brody podczas walecznej potyczki. Broda u nasady miała barwę ciemnego mahoni, która nagle kończyła się w nienaturalny sposób, przybierając znacznie jaśniejszy odcień - dlatego wyglądało to tak, jakby ktoś mu ją przypalił. Mimo to była dość długa. Elizabeth czasem pytała żartobliwie, czy podczas wykonywania badania nie smyra pacjentek tym twardymi kosmkami. Za to oczy były radosne i cierpliwe.

- Którą drogą pojedziemy? - zapytała Liz, zapinając pasy.

- Raczej piątką, na północ. Dlaczego pytasz?

Liz zrobiła smutną minę.

- Pojedźmy wzdłuż wybrzeża, proszę...

- Kochanie, to jest sto osiemdziesiąt mil i cała godzina jazdy dłużej. Dojedziemy bardzo późno.

- Co tam godzina w jedną czy w drugą. Przynajmniej widoki będą piękne - upierała się - No, nie daj się prosić.

Paul dla Liz zrobiłby wszystko. Prawdziwa próba była jednak dopiero przed nim. Wtedy to miało się okazać, do jak wielu poświęceń jest zdolny posunąć się w imię miłości do żony.

Ruszyli w drogę. Westport to dość niewielka miejscowość znajdująca się na małym cyplu przyległym do zatoki North Bay. Gordonowie właśnie tam się poznali, wiele lat temu, a właściwie w pobliskim miasteczku Greyland. Po ślubie rokrocznie wybierali się w tamte rejony, by celebrować kolejne rocznice związku. Uwielbiali spacerować po plaży, która nie zdawała się mieć końca, albo wybierali się na wyprawy konno. Kupili niewielki domek znajdujący się tuż przy plaży, z widokiem na zatokę, i wyremontowali go. Od kiedy jednak zaczęli starać się o dziecko,



przestali odwiedzać miejsce, do którego mieli wiele sentymentu i które stanowiło dla nich źródło najmiłszych wspomnień. Minęło kilka lat, odkąd byli w nadbrzeżnej chatce. Tylko raz zdarzyło się, że Paul kilka miesięcy temu musiał udać się do Westport i sprawdzić, czy domek nie wymaga napraw w związku z dość silnym huraganem, który wówczas nawiedził zachodnie wybrzeże kraju. Dla Elizabeth była to podróż sentymentalna, to miejsce zawsze ją uspokajało, tam poznała przecież miłość swojego życia i zwłaszcza teraz miejsce to wydało jej się najodpowiedniejsze, by doczekać rozwiązania i bezpiecznie donosić ciążę. Ostatecznie Paul wybrał drogę numer 26 na zachód; przez niewielki odcinek wzdłuż wybrzeża na wysokości Cannon Beach wjechali na odcinek numer 101, a następnie skierowali się na północ mostem Astoria-Megler Bridge i gdy dotarli na drugą stronę Kolumbii, która tuż przed ujściem do Oceanu Spokojnego rozlewała się szeroko na tym odcinku, pozostało im niespełna siedemdziesiąt mil i półtorej godziny drogi do celu. Elizabeth przespała część podróży, ale gdy się ocknęła i zobaczyła gęste liściasto-iglaste lasy otulające jezdnię, uśmiech zawitał na jej twarzy i aż cała się rozpromieniła.

- Czy to już North Cove, Paul? - zapytała.

- Już prawie, skarbie. Dwadzieścia minut i będziemy na miejscu.

- Tak się cieszę. - Klasnęła w dłonie. - Koniecznie musimy rozpalić w kominku.

- Zmarzłaś? Ogrzewanie było włączone cały czas... - zmartwił się Paul.

- Nie, skąd. Ale kaloryfer w mieszkaniu to nie to samo co żywy ogień z paleniska. Strasznie za tym tęsknię. - Rozmarzyła się.

Na brak drewna nie narzekali. Gdy Paul był w domku ostatnim razem, zadbał o odpowiednią ilość zapasów. Poza tym wraz z prądem wody na plażę często trafiały dość sporych rozmiarów pnie i większe gałęzie - wystarczyło je tylko osuszyć.

Od tego momentu droga biegła nieco w gąszczu drzew, i tylko gdzieśgdzie można było dojrzeć ocean: ogromny i majestatyczny. Po niemal czterech godzinach jazdy w końcu dotarli na miejsce. Tuż

na wjeździe do miasta rozpoznali budynek niewielkiego hotelu One Thousand Stars Hotel. Wyglądał tak samo od dwudziestu lat, chociaż z tysiącem gwiazdek nie miał nic wspólnego: ten sam betonowy podjazd otoczony rzędem niskopiennych iglaków, ta sama jasnożółta elewacja i stare drewniane okna na froncie. Prawdopodobnie oboje pomyśleli w tym samym momencie, że pewne rzeczy powinny pozostać niezmiennie bez względu na wszystko, tym bardziej, jeśli wywołują miłe wspomnienia.

Dalej poruszali się ulicą Monterro Avenue, aż ujrzeli stację paliw. Tu Paul postanowił uzupełnić bak.

- Masz ochotę na kawę albo jakąś przekąskę? - zapytał Liz.

- Nie, dziękuję, zatankuj, a ja skorzystam tylko z toalety.

Spotkali się przy samochodzie kwadrans później. Za stacją skręcili w lewo i wąską drogą Jenny Hall zmierzali w stronę Point Chehalis. Elizabeth cała promieniała; wyciągnęła wysoko szyję, tak że omal nie uderzyła w dach samochodu i tupąła lekko nogami, tak jakby czekała na wyniki losowania loterii pieniężnej. Zrobiło się nieco bardziej wietrznie, ale w zatoczce wiatr nie był zbyt odczuwalny. Zbliżała się godzina osiemnasta.

- Pójdziemy na spacer? - zapytała Liz podekscytowana samym pomysłem.

- Jest późno, kochanie. Może zostawmy to na rano. Rozpakujemy rzeczy, a zanim zapalę w kominku, to zleci trochę czasu i raptem zrobi się dwudziesta. Jeszcze by tego brakowało, żebyś się przeziębila.

- Dobrze, niech ci będzie, ale rano idziemy do końca Westport Jetty - powiedziała pewnym i stanowczym tonem.

- Obiecuję.

Paul zaparkował niemal przy samym domku. Udało mu się to dzięki nowo utworzonej drodze zwirowej, która miała być ułatwieniem dla wszystkich spacerowiczów chcących dostać się do punktu widokowego. Domek był śliczny, parterowy, z dwuspadowym dachem, w całości wykończony drewnianą elewacją w kolorze mahoniowym. Uroku dodawały mu białe okna

z okiennicami pomalowanymi na kolor piaskowy. Wejście znajdowało się od strony lądu, dzięki czemu okno w sypialni wychodziło prosto na zatokę. Bywały takie dni, kiedy wiatr dął bezustannie, to jednak zupełnie Elizabeth nie przeszkadzało, w przeciwieństwie do Paula, który czasem miewał nastroje depresyjne związane z szumem i gwizdem powodowanym przez ten wiatr. Tuż za domem znajdował się busz niskopiennych krzewów oraz drzew iglastych; gdzieniegdzie wyrastały z niego pojedyncze żółte brzozy, buki oraz olchy, co najmniej dwa razy wyższe. Tylko iglaki zachowały zielonkawy odcień, reszta pogubiła już liście, na które trzeba było poczekać aż do następnej wiosny.

Elizabeth znalazła pęk kluczy w torebce. Ponieważ dawno tu nie była, nie miała pewności, który pasuje do drzwi wejściowych. Był jeszcze wśród nich klucz do garażu oraz niewielkiej szopki, w której przetrzymywali narzędzia ogrodnicze, podziurawiony kajak dwuosobowy, stare toczki do jazdy konnej oraz całe mnóstwo przedziwnych rupieci. W końcu otworzyła drzwi frontowe i pchnęła je delikatnie. Najpierw znajdowała się wydzielona przeszklonymi drzwiami sień, z której bezpośrednio wchodziło się do saloniku. W jego centralnej części zbudowany był kominek przylegający do ściany północnej. Salon połączony był z aneksem kuchennym i mimo iż był jego integralną częścią, został sprytnie oddzielony dzięki kolorowym witrażom, które Liz wykonała wiele lat temu. Witraże przedstawiały motywy morskie i baśniowe; było tu pełno muszelek, rozgwiazd, a nawet Neptun i przedziwne hybrydy morskie. W słoneczne dni słońce wpadające od wschodu napotykało na witraż i w cudownie bajkowy sposób rozświetlało pomieszczenie, nadając mu ciepły odcień złota, beżu i miedzi, gdzieniegdzie wirujący z błękitem. Z salonu przechodziło się do obszernej sypialni, w której znajdowała się również łazienka. To, co najbardziej podobało się Elizabeth, to wyjście na taras wprost z sypialni. Był niewielki, wykończony drewnianymi deskami, ale niczego nie dało się porównać z aromatyczną kawą, którą zwykli delektować się o poranku tuż po przebudzeniu, siedząc na

ratanowych fotelach z kocem owiniętym wokół kolan i wpatrując się w fale oceanu. Gdy skończyli przenosić bagaże, Liz poczuła, że ogarnia ją zmęczenie. Zdecydowali, że tego wieczoru odpoczną po podróży i powspominają dawne czasy, przeglądając albumy zajmujące dwie obszerne półki biblioteczki.

## ROZDZIAŁ 57

- Ładnie tu - stwierdziła Carina. - Co to za miejsce?

- Im mniej wiesz, tym lepiej dla ciebie - odpowiedział Danny, chociaż nie miał nic złego na myśli. - Tu będziemy bezpieczni... tak mi się przynajmniej wydaje.

Carina zabrała torbę, swój jedyny dobytek, a Danny od razu podszedł do drzwi, by je otworzyć.

- Wejdz do środka, ja muszę schować samochód w tej szopce na wypadek, gdyby...

Carina nie protestowała; weszła do środka z wielką ufnością. Cóż gorszego mogło ją spotkać, biorąc pod uwagę dotychczasowe wydarzenia? Domek był malutki, ale nie sprawiał wrażenia ciasnego. Pomyślała, że ten, kto go budował, brał pod uwagę tylko jednego lokatora. Zrobiła szybki rekonesans i okazało się, że chatka posiada łazienkę i dwa odrębne pokoje. Nie było kuchni, ale w jednym z pokoi dostrzegła butlę gazową i stolik, który zapewne służył jako blat kuchenny. Otworzyła szafkę znajdującą się tuż obok stolika - były tam dwie dodatkowe butle. Zwróciła uwagę na dziwne palenisko. Nie był to normalny kominek, ale raczej coś, co służyło zarówno do ogrzewania pomieszczenia, jak i przyrządzania posiłków, bowiem posiadał coś na kształt rusztu, na którym stał osmolony garnek. Domek był urządzony byle jak; żadne z mebli - których zresztą nie było tu wiele - nie pasowały do siebie. Prawdopodobnie pochodziły z tak zwanego odzysku. Carina nie chciała pytać, czy Danny jest właścicielem tego przybytku, bo

spodziewała się, że kolejny raz powie jej, że dla własnego dobra nie powinna być taka dociekliwa.

- Zimno - odezwał się Danny, gdy stanął w drzwiach. - Zaraz rozpalę ogień.

Carina usiadła na starym fotelu obitym tapicerką w brązowe kwiaty i obserwowała, jak Danny krząta się to tu, to tam w poszukiwaniu drewna, zapalek, skrawków starych gazet i przy okazji porządkuje nieco wewnątrz. Po chwili podeszła do małego okienka i zamyśliła się. Niestety zaczęło już zmierzchać, więc niewiele mogła dostrzec. Przetarła oczy ze zmęczenia.

- Więc jak to było? - nagle odezwał się Danny uradowany, że ogień objął już wszystkie pieńki.

- Z czym?

- Z tym filmem. Opowiesz mi o tym?

- Mówisz to tak, jakbym uwieczniła na nim gody maskonurów albo potyczki jeleni na rykowisku - oburzyła się nieco Carina.

- Nie złość się, ja wiem, co tam jest, tylko...

- Tylko co? Czy to właśnie nie jest owoc twoich starań? Dowód tego, czym do tej pory się zajmowałeś, a co siłą ci odebrano?

- Carina, mnie nie musisz do tego przekonywać, ale zrozum, skończysz jak ja.

- Myślałam, że będziesz dla mnie wsparciem, że się ucieszysz, że będziesz skakał do samego sufitu... a ty wydajesz się niewzruszony.

Westchnął ciężko.

- Mogę go jeszcze raz zobaczyć? Tym razem w całości? - powiedział spokojnym tonem.

Carina poczuła niemoc, bezsens całej tej sytuacji, bezradność, pustkę i niechęć.

- Jutro rano, dzisiaj jestem zmęczona. Mogę zająć kanapę?

- Sądziłem, że wygodniej będzie ci w drugim pokoju, tam jest łóżko.

- Ale tu jest cieplej, lubię patrzeć na ogień w kominku.

- Dobrze, oczywiście możesz tu zostać. Przyniosę dodatkowy

koc.

Zniknął w drugim pomieszczeniu, a po chwili wrócił, niosąc grubą wełnianą narzutę układającą się w kolorowe meksykańskie wzory. Podał ją Carinie, a ona okryła się nią cała i kuląc nogi, usiadła na kanapie.

- Masz ochotę na ciepłe mleko albo herbatę? - zapytał. - Dobrze, że zrobiłem te zakupy w markecie. Kto by pomyślał, że będziemy uciekać...

- To wszystkie nasze zapasy?

Danny się uśmiechnął.

- Nie jesteśmy na bezludnej wyspie, do jutra wystarczy, poza tym, prędzej czy później, będziemy musieli oddać się w ich ręce... a ty wrócisz do swojego kraju.

Carina posmutniała, ale nie odezwała się słowem. Ułożyła głowę na małej poduszeczce.

- Opowiedz mi coś o sobie - poprosiła.

- Co takiego chciałabyś wiedzieć?

- Dlaczego pracujesz w OAMO?

- Już ci mówiłem w samochodzie. Nie słuchałaś?

- Słuchałam, ale wyjaśniłeś tylko, czym się zajmujesz. Ja pytam o to, dlaczego akurat wybrałeś OAMO.

- Odbywałem tam staż, a potem mnie zatrudnili.

- To wiem, ale ja pytam o to, co było wcześniej.

- Wcześniej były studia na wydziale oceanografii.

- No właśnie, skąd pomysł na taki kierunek? Mogłeś zostać prawnikiem, bibliotekarzem, maklerem...

- Czemu o to pytasz?

- Po prostu, z ciekawości. Chętnie posłucham jakiejś opowieści przed snem. A ciebie przyjemnie się słucha - mówiąc to, miała nadzieję, że połechtą jego ego i zmusi do zwierzeń.

Danny zamilkł. Patrzył w płomyki tańczące na palenisku. Wstał z fotela i dorzucając jedno drewnienko, zaczął mówić nieco przygaszonym głosem.

- Wiele lat temu złożyłem pewną obietnicę... Kiedy miałem

dziesięć lat, zmarł mój ojciec. Miał wtedy niespełna czterdzieści lat, ale okazało się, że od dawna nękał go rak jelita, a gdy się zorientował, było już za późno na podjęcie leczenia.

- Przykro mi - odezwała się Carina, chociaż pożałowała, bo czuła, że Danny miał jeszcze wiele do powiedzenia.

- Mama odeszła, gdy zaczynałem studia, i w taki sposób zostałem sam. Na krótko przed jej śmiercią poznałem swoją żonę. To była najcudowniejsza istota na tej planecie. Owocem naszej miłości jest moja córka, Suzi. Ale żona zmarła kilka lat po porodzie. Sekcja zwłok nie wykazała, co było tego przyczyną, ale dla mnie nie miało to znaczenia. Długo nie mogłem się pozbierać po jej stracie. Gdy w końcu stanąłem na nogi, przypomniałem sobie o złożonej ojcu obietnicy. Od tamtego momentu był to mój jedyny cel. Córka dorastała, teściowa pomagała w jej wychowaniu, a ja bezgranicznie oddawałem się pracy.

- Co takiego obiecałeś ojcu?

- Hmm, dobre pytanie. Tak jakby wszystko i nic.

Carina nic nie rozumiała. Wolała jednak cierpliwie czekać, aż Danny sam zdecyduje się mówić dalej.

- Moi rodzice wychowywali się w Stanach. To znaczy matka była Amerykanką, a ojciec przyjechał tu wraz z moją babcią w pięćdziesiątym szóstym. Dokładnie rok po śmierci dziadka wyemigrowali z Polski po tym, jak w ramach tak zwanej aliji gomulłowskiej ruszyła fala wyjazdów. Sporą część emigrantów przyjął Izrael, ale moja babcia wybrała Amerykę.

Carina zaczęła robić się senna; odnosiła wrażenie, że to będzie długa historia rodzinna, szybko jednak ponownie się ożywiła.

- Zanim ojciec przyjechał do Stanów z moją babcią, nazywali się Passenhauer, bo dziadek był Żydem. Urodził się w tysiąc dziewięćset siedemnastym, a w czasie drugiej wojny światowej został wywieziony do obozu koncentracyjnego przez hitlerowców. Ponieważ miał wykształcenie medyczne, został wybrany spośród więźniów jako pomocnik nazistowskich... - szukał właściwego słowa - „lekarzy”, chociaż żaden z nich nie zasługiwał na takie określenie.



To byli zbrodniarze pozbawieni jakichkolwiek skrupułów. Zanim mój ojciec zmarł, opowiedział mi to, co wcześniej usłyszał z ust swojego ojca, czyli mojego dziadka. Miałem przysiąc, że nie pozwolę ludziom o tym zapomnieć i...

Carina usiadła ponownie i oparła się o tył kanapy, trzymając kurczowo koc.

- Przysięgłem, że zrobię wszystko, by to wyjaśnić.

Cisza. Po chwili odezwała się Carina.

- Co wyjaśnić? Zbrodnie nazistów? - powiedziała to tak, jakby to było oczywiste i nie wymagało dodatkowych wyjaśnień.

- Nie. O tym już wie cały świat. Chodzi o eksperymenty, jakich dokonywano w obozach śmierci. Makabryczne.

Carina zaryzykowała pytanie.

- Dziadek wspomniał twojemu ojcu o tych eksperymentach?

Danny spojrzał jej prosto w oczy.

- Tak. A ojciec przekazał tę wiedzę mnie. I dlatego zacząłem studia na wydziale oceanografii.

- Wybacz, Danny, ale albo jestem już bardzo zmęczona, albo zupełnie nie nadążam za twoim tokiem myślenia. Co studia na wydziale oceanografii mają wspólnego z obozami koncentracyjnymi w Europie?

- Masz rację - powiedział. - Jesteś zmęczona. Jutro ci opowiem. Obiecuję. Potem pokażesz mi film i wrócimy do Seattle. Prędeż czy później i tak nas znajdą.

Płomień tlił się jeszcze długo, a rozżarzone polana trzymały temperaturę co najmniej do północy. Carina z trudem zasnęła. Postać doktora wydała jej się dość tajemnicza. Marzyła o tym, by nastał poranek, i wyjaśnił jej do końca swoją historię. Z tego wszystkiego zupełnie zapomniała o filmie. Bała się, że to już koniec, że on naprawdę zechce wracać. Musiała mu powiedzieć prawdę. W końcu zasnęła. Tej nocy śniło jej się, że spada w głąb oceanu, i choć oddycha swobodnie i bez wysiłku, opada jak kamień i nie może nic na to poradzić. W dole widzi czarną otchłań, a wokół - ludzi wyciągających do niej ręce z błagalnym spojrzeniem.

Za oknem słychać było, jak wiatr porusza jedną z okiennic.

## ROZDZIAŁ 58

Poranek był bardzo rzeński, ogień już dawno wygasł i dało się odczuć listopadowy chłód wkradający się do domku przez najmniejszą nawet szparę. Carina odczuwała silny głód, na szczęście przestało ją mdlić, tak jak to się zdarzało jeszcze kilka dni temu. Wstała z kanapy owinięta w dalszym ciągu kocem i podeszła do okna z widokiem na plażę. Zobaczyła Danny'ego, który zbiera chrust i wszystko, co nadawało się do spalenia. Podeszła do „stolika kuchennego” i zajrzała do siatki z zakupami. Były tam słodkie bułeczki bez nadzienia, mleko, dżem, jakiś krem czekoladowy i owoce. Przez dłuższą chwilę krzątała się po pomieszczeniu, szukając kubka, szklanki lub małego naczynia, do którego mogła nalać sobie mleka. W końcu natknęła się na szafkę skrywającą prawdziwe skarby: naczynia, sztucce, filiżanki, deskę do krajania, ubijaczkę do jajek i patelnię. Przekroiła jedną bułkę na pół i posmarowała obficie czym tylko się dało, a całość popiła zimnym mlekiem. Wnet zjawił się Danny z naręczem drewna na opał.

- Dzień dobry, nie chciałem cię budzić, rozpalając w kominku, ale skoro już wstałaś, to zaraz napalę i zrobi się cieplej. Smacznego.

Chciała coś powiedzieć, ale usta miała jeszcze pełne jedzenia. Przeżuła i połknęła ostatni kęs.

- Danny?

- Tak? - odezwał się, układając drewno.

- Wierzysz w teorię wodnej małpy?

Zaśmiał się.

- To tylko teoria, ale biorąc pod uwagę to, czym się zajmowałem przez co najmniej ostatnią dekadę - tak, sądzę że to prawda. A w każdym razie bardzo możliwa - odpowiedział. - Teraz twoja kolej...

- Na co?

Wyciągnął pudełko zapalek, podłożył ogień i odczekał chwilę, aż zajmą się nim wszystkie drewnienka, po czym usiadł w fotelu naprzeciw Cariny, pocierając ręce.

- Obiecałaś, że pokażesz mi cały film. Później znowu będę zajęty prowadzeniem samochodu, więc to jedyny dobry moment. Ja... muszę ci coś powiedzieć, chociaż wiem, że ci się to nie spodoba...

- Co takiego?

- Może w to nie wierzysz, ale bardzo się cieszę, że zdobyłaś taki dowód. Całą noc o tym myślałem, uwierz, jestem tym bardzo podekscytowany, ale... gdy tylko go obejrzę, będziesz musiała go zniszczyć.

Carina sądziła, że się przesłyszała.

- Zniszczyć? Chyba żartujesz? Coś, co do tej pory było jedynie przypuszczeniem, a teraz stało się faktem, mam zniszczyć? Wykluczone!

- Oni ci go i tak odbiorą...

- Oni, oni, wciąż słyszę tylko „oni”! Nikt mi niczego nie odbierze. Skąd wiesz, że nie mam kopii?

- Jeśli dobrze sobie przypominam, mówiłaś, że nie masz.

- Może kłamałam. Skąd „oni” to mogą wiedzieć?

- Posłuchaj, dopadną mnie, odsuną od obowiązków, zniszczą wszystko, nad czym przez całe życie pracowałem i w najbardziej optymistycznym scenariuszu wystawią na pośmiewisko. Jeśli znajdą ciebie wraz z tym nagraniem, to nie tylko zniszczą dowody, lecz także zadbają o to, żebyś już nigdy nie pisnęła słowa na ten temat. Każdy inny materiał, skopiowany czy też nie, uznają za mistyfikację. Sprawa ucichnie, a ty skończysz żywot w wariatkowie. To jest dla ciebie pesymistyczna wersja. Jeżeli jednak sama pozbędziesz się tego nagrania, to przesłuchają cię i stwierdzą, że nie jesteś

w posiadaniu żadnych dowodów - powtarzam - dowodów, pozyskanych choćby ode mnie, wtedy osobiście wsadzą cię w samolot do Europy i zadbają, żebyś nigdy więcej nie przekroczyła granicy tego kraju. Zastanów się, którą wersję wybierasz.

Zakończył dość długi monolog, bo widział, że Carina mięknie.

- To jak, pokażesz mi ten film w całości? Proszę...

Dziewczyna niechętnie podniosła się z kanapy. Szła powoli, szurając nogami o podłogę, jakby czekało ją odczytanie kontrowersyjnego wyroku sądowego. Sięgnęła po torebkę i po omacku odnalazła kamerkę z mocowaniem czołowym. Usiadła z powrotem i spojrzała na Danny'ego. Próbował się uśmiechnąć, ale nie rozumiał jej smutku. Gdy włączyła film, podała kamerę Danny'emu i oddaliła się w stronę okna. Czekala. Nie mógł widzieć, że płacze. Danny oparł się wygodnie o fotel i nie mógł wyjść z zachwyty. Co jakiś czas wydawał dźwięki uznania, radości, zdumienia i fascynacji. Potem jednak nastąpiła cisza, która trwała kilkanaście sekund. Carina wiedziała, co teraz ogląda Danny na ekranie.

- Co do licha! - krzyknął. - Rany boskie! Czy to...? Carina! Co to ma znaczyć, do jasnej cholery!?

Carina odwróciła się w jego stronę, cała zapłakana.

- To jest we mnie...

## ROZDZIAŁ 59

Waszyngton, biuro FBI

Wszystko zdawało się funkcjonować jak dotychczas i toczyć własnym rytmem. Jedyne w gabinecie Jamesa Clarksona, pełniącego funkcję dyrektora, panowała dość napięta atmosfera. Do przestronnego pokoju wykończonego drewnianą boazerią wszedł mężczyzna w garniturze. Był umówiony, najwyraźniej dobrze znał Clarksona.

- Co to za historia z tą portugalską studentką? - Zaczął dyrektor, usadowiwszy się wygodnie w swoim skórzanym fotelu. Oparł łokcie o lakierowane podłokietniki w kolorze ciemnego orzecha, po czym spojrzał wymownie na swojego rozmówcę.

- Myśleliśmy, że nasz bohater od podwodnych wojaży, Passrowher, odpuścił. Jednak okazuje się, że nie do końca tak jest.

- Ja mam ci mówić, jak postępować? Trzeba było to ukrócić raz na zawsze, a nie bawić się w kotka i myszkę. Teraz masz.

- Znajdę ich i dopnę sprawę na ostatni guzik - zapewnił rozmówca. - Przecież się nie rozplynęli... No chyba, że wskoczyli do oceanu, ha, ha.

Próbował żartować, ale dyrektorowi nie było do śmiechu.

- Kto do ciebie raportuje?

- Sander, jest szefem OAMO w Seattle. To jego człowiek. Twierdził, że miał go na oku, a jednak im zwiął.

- A ta dziewczyna?

- To studentka, przyleciała z Portugalii, żeby osobiście pogadać z doktorkiem.

- Co jeszcze o niej wiesz?

- Już znacznie wcześniej próbowała się z nim skontaktować, e-mailowo i telefonicznie. W końcu przyleciała. Podobno pisze pracę naukową o... wodnej małpie.

Clarkson spojrział złowieszczo.

- Czy ty, kurwa, jaja sobie robisz?

- Nie, szefie, mówię poważnie. Taka teoria istnieje. Naukowcy twierdzą, że miliony lat temu owłosiony człowiek częściowo pozostał na lądzie, a częściowo przystosował się do życia w środowisku wodnym.

- Dobra, nie chcę tego słuchać. Co z dziewczyną?

- Wydaje się normalna. Mieszka z matką na obrzeżach Lizbony, ojciec zmarł. Nie ma partnera, studiuje na wydziale oceanografii, nurkuje i dorabia w oceanarium. Mało prawdopodobne, że jest jakimś szpiegiem. To główniara. Moim zdaniem ona naprawdę chciała podpytać doktorka o tę teorię...

- Małpy?

- Tak, wodnej małpy, tak się wyrażała w e-mailu. Tylko nie zdawała sobie sprawy z tego, w jakie bagno wdepnęła.

- I co, specjalnie się tu fatygowała? Co, oni tam, w Europie, książek o małpach, kurwa, nie mają?

Dyrektor marszczył czoło i chaotycznie mierzwił długie, sumiaste wąsy. Był bardzo zdenerwowany. Właściwie nigdy nie zdarzało mu się przeklinać. W tym jednak przypadku coś śmierdziało. Nawet jeżeli portugalska studentka sama nie była szpiegiem, to mogła być wycieraczką znacznie bardziej skomplikowanego układu, w którym chodziło o przechwycenie ściśle tajnych danych oraz informacji na temat działalności rządowej Stanów Zjednoczonych. I bynajmniej nie chodziło o nielegalny połów ryb na Pacyfiku. Clarkson doskonale wiedział, nad czym od lat pracowali specje z NAVY.

- Macie ich znaleźć. Żywych lub martwych. Puśćcie to w każdej

stacji telewizyjnej i radiowej. Muszę mieć pewność, że nic nie wydobędzie się poza granice kraju.



## ROZDZIAŁ 60

- Czy to oznacza, że...?

Carina kiwnęła głową. Próbowwała przestać wylewać łzy, ale same bezwiednie spływały jej po twarzy.

- Pomóż mi, proszę - łkała.

- Ale... jak ja mogę ci pomóc, Carina? Czego się po mnie spodziewasz?

- Nie wiem, co to jest. Jak się to zachowa, jak wygląda? Boję się...

Płakała bezustannie. Danny podszedł do niej i ją objął. Nie opierała się. Już dawno nikt tego nie robił. Przestała szlochać i już tylko cichutko pochlipywała.

- Nie chcę tego. Nie chcę!

- Mówiłaś o tym komukolwiek?

- Nie. Tylko tobie. Poszłam do lekarza, żeby się upewnić. To było tydzień po zdarzeniu, a ona...

- Co za ona?

- Lekarz ginekolog. Powiedziała, że to pierwszy miesiąc. Rozumiesz? Miesiąc! To niemożliwe, to się dzieje zbyt szybko. Co ja mam robić?!

- Spokojnie, daj pomyśleć. Rozpaczaniem i paniką nic nie wskórasz.

- Danny, ja tego nie chcę! Rozumiesz?

Spojrzał ja nią, jakby nie wierzył w to, co słyszy.

- Chyba nie sądzisz, że ja... Zwariowałam?! Wykluczone! -

Zerwał się z kanapy.

- To co mam zrobić? Postaw się na moim miejscu, jestem skończona!

- Może nie jest tak źle... Może jest zupełnie jak...

- Czy ty sam siebie słyszysz?

- Przejechałaś pół świata, żeby prosić mnie o takie bestialstwo? Skoro byłaś u lekarza, czemu od razu nie usunęłaś ciąży? Jak możesz oczekiwać tego ode mnie? Nie jestem potworem!

- A gdybyś wiedział, że to jest potworem, zrobiłbyś to?

- Carina, sądzę, że postradałaś zmysły. Nie pomogę ci w tym, przykro mi. Słuchaj, powinniśmy wracać do Seattle. O mnie się nie martw, ale ty, to znaczy, w twoim stanie z pewnością pozwolą ci wrócić do kraju. Nie będą bezprawnie trzymać ciężarnej kobiety.

- Nie wrócę do kraju! Jak ja im to wytłumaczę? Spalą mnie na stosie albo zamkną w zoo.

Danny raz jeszcze podszedł i objął ją silnie ramionami.

- Nie płacz, słyszysz? Skup się... jesteś przerażona, to normalne. Wstydzisz się jak każda kobieta, na której dokonano gwałtu. Ale to mija, znam takie przypadki, to mija z czasem. Urodzisz i będziesz wolna od tego ciężaru. Zawsze możesz oddać noworodka, po latach zapomnisz, może nawet szybciej...

Oddychała ciężko i patrzyła w jego stronę z pogardą.

- Sam nie wierzysz w to, co mówisz. Zdajesz sobie sprawę, co oni robią ze mną i z nim, jak już urodzę?

- Nie wiesz tego. Musisz donosić tę ciążę. Nie masz wyjścia. Pociuszające jest to, że... przepraszam, że to powiem... może wcześniej poronisz. Taka ciąża może się nie utrzymać.

Przełknęła ślinę, zacisnęła zęby i powiedziała:

- Dobrze, poczekam. Albo poronię, albo urodzę... tutaj!

Danny próbował ponownie zaprotestować, ale mu na to nie pozwoliła.

- W dupie mam to, co uważasz. To nie ciebie zamkną w akwarium, żeby przeprowadzać jakieś makabryczne próby i testy! To nie ty staniesz się warzywkiem opryskiwanym pestycydami! To

nie ciebie będą wrzucać do wody i sprawdzać, jak długo wytrzymasz! Sam mnie tu przywiozłeś i nie ruszę się stąd, choćbyś do mnie strzelał. Rozumiesz!?

Danny chwycił się za głowę. Widział w niej determinację, której nie znał wcześniej. Już nawet przestała ronić łzy – była wściekła i nienawidziła siebie. Jego zapewne też. I miała rację, sam ją tu przywlókł bez pytania o zgodę. Żałował tego, ale sprawy wymknęły mu się spod kontroli, a teraz było już za późno na odwrót.

- Chcesz tu urodzić?

- Wolałabym, żebyś raczej wbił mi długi nóż w brzuch, bo sama nie mam odwagi. Ale jeśli nie możesz, to przynajmniej bądź tu ze mną, dopóki nie urodzę.

- Carina, to jest dziewięć miesięcy! No, powiedzmy osiem, bo pierwszy masz za sobą. Nie mamy tyle prowiantu, musimy coś jeść. Wszędzie nas szukają, kto wie, może nawet w telewizji o nas mówią. Jesteśmy uziemieni. Jak ty sobie to wyobrażasz? A twoja rodzina? Moja?

Spojrzała na niego w inny sposób. Nie było w tym już złości, jedynie błaganie o litość.

- Proszę cię. Pomóż mi tylko urodzić. Proszę...

- Owszem, przyjmowałem kiedyś poród orki i foki, ale nigdy nie asystowałem przy porodzie kobiety! To nie to samo.

- Ze mną będzie łatwiej, bo to jest mniejsze niż orka. - Próbowała żartować.

Danny był w potrzasku. Miał ze sobą spory zapas gotówki, którą wypłacił z bankomatu, zanim wyjechali z Seattle, dzięki czemu mógł z nich do woli korzystać na robienie zakupów. Jednak nie był pewien, jak długo to potrwa, czy może iść do sklepu bez obaw, że ktoś go rozpozna. Żałował, że nie miał w domku telewizora. Przypomniał sobie jednak, że było gdzieś radio, ale musiał je najpierw odszukać. Wszystko to wydawało się jakimś koszmarem. Jeżeli był ktoś, kogo należało o to obwiniać, to był nim on sam. Wizja kilku miesięcy spędzonych z tą dziewczyną w ukryciu wcale nie przypadła mu do gustu. Martwił się o Suzi i wnuka, ale

pocieszał się tym, że zdążył zadzwonić do córki z samochodu i liczył, że ona się domyśli, że to kolejna dziwna akcja, w którą wciągnięto Danny'ego. Była do tego przyzwyczajona.

# ROZDZIAŁ 61

Lotnisko Seattle-Tacoma, 9 listopada 2013, godz.  
15:50 czasu lokalnego

Z głośników na terenie całego lotniska rozległ się komunikat:

- Prosimy o uwagę! Pasażerka Carina Costa podróżująca do Lizbony proszona jest o podejście do odprawy bagażowo-biletowej. Pasażerka Carina Costa.

16:10 czasu lokalnego

- Pasażerka Carina Costa, powtarzam, Carina Costa, proszona jest o zgłoszenie się do odprawy bagażowo-biletowej. Pasażerka Carina Costa.

16:25 czasu lokalnego

- Uwaga! Ostatnie wezwanie dla pasażerki podróżującej do Lizbony. Carina Costa proszona jest o pilne zgłoszenie się do odprawy bagażowo-biletowej. Carina Costa.

Personel pokładowy zakończył przyjmowanie pasażerów przy bramce numer A45. Samolot wystartował o czasie.

## ROZDZIAŁ 62

Westport, 15 listopada 2013

Carina stała niedaleko okna, dyskretnie obserwując biegającego po plaży chłopca. Miał nie więcej niż dwanaście lat. Układał coś z kamyczków albo muszelek i rysował na mokrym piasku jakieś znaki. W pewnym momencie dźwignął głowę i spojrzał w jej stronę. Carina czmychnęła przerażona. Po chwili ostrożnie wychyliła głowę zza futryny okna i przerażona się, widząc, że dziecko idzie w stronę domku. Uciekła do drugiego pokoju i nasłuchiwała. Zdawało jej się, że chodzi po werandzie. W końcu zapukał do drzwi. Wtedy usłyszała znajomy głos.

- Mogę ci w czymś pomóc, chłopcze? - odezwał się Danny.

- Dzień dobry, myślałem że nikt tu nie mieszka, a przed chwilą widziałem kogoś w oknie i...

- Tutaj? W domku? Ha, ha! - Zaśmiał się Danny. - To niemożliwe, jestem tu sam. Przyjechałem odpocząć od miasta.

- A skąd pan jest?

Danny szybko pomyślał i skłamał.

- Z Portland.

Chłopiec się ucieszył.

- Wszyscy przyjeżdżają do nas z Portland.

- Wszyscy? Kto jeszcze?

- Niedaleko mojego domu wprowadzili się tacy państwo, też są z Portland i przyjechali odpocząć. Ta pani będzie miała dziecko,

a ten pan jest lekarzem.

- Skąd ty tyle wiesz, maluchu?

- Tata mi powiedział, tutaj wieści szybko się roznoszą.

To akurat nie było pocieszające.

- A pan czym się zajmuje? - Chłopiec nie odpuszczał.

- Jestem pisarzem, przyjechałem, bo mam tu ciszę i nikt mi nie przeszkadza - mówiąc to, spojrział nieco karcącym wzrokiem na dzieciaka.

- A co pan pisze?

- Głównie książki. Słuchaj, a może chciałbyś zarobić dolara? Jak masz na imię?

Chłopak spojrział na niego podejrzliwie.

- Dolara? Czy ja wyglądam jak ktoś, kto zarabia jednego dolara? Mam na imię Roy.

- No dobrze, Roy. Płacę piątaka, pasuje?

- Zależy, za co.

- Czuję, że muszę pisać, bo ogarnęła mnie wena twórcza. Wiesz, co to jest? Jak nie napiszę tego teraz, to zapomnę, a potrzebuję kilka rzeczy ze sklepu. Może byś mi kupił coś do jedzenia?

Zadanie nie wydawało się trudne i Roy stwierdził, że się go podejmie. I tak nie miał nic innego do roboty. Danny napisał na kartce listę produktów i wręczył chłopakowi banknot dziesięcio- i pięciodolarowy.

- Gdy wrócisz z zakupami, to dam ci piątaka. I lepiej nie uciekaj z pieniędzmi, bo cię znajdę. - Danny pogroził żartobliwie palcem.

Gdy chłopiec był już dość daleko od domku, wszedł do środka. Zdziwił się, widząc Carinę ukrytą za szafą w jego pokoju.

- Co ty robisz?

- Bałam się, że on tu wejdzie. Co to za jeden? Słyszałam, jak z nim rozmawiałeś.

- Mieszka w okolicy. Poprosiłem go, żeby zrobił dla nas małe zakupy. Nie mamy już świeżych produktów. Został tylko makaron, ryż i kilkanaście puszek rybnych, a ty musisz jeść coś bardziej pożywnego.

- Nic nie muszę - burknęła. - Niech to zdechnie.

- Carina! - krzyknął. - Jeśli masz się tak zachowywać, to od razu zrzucę cię ze skarpy.

- No dobrze już, dobrze. Z niecierpliwością czekam na to wspaniałe małeństwo. Zadowolony?

Nic nie powiedział. Zastanawiał się, co przez nią przemawiało: hormony, choroba psychiczna czy wrodzony wstręt do potomstwa. Na wszelki wypadek kazał jej się ukrywać; lepiej, żeby nikt jej tu nie widział. Na spacery postanowili chodzić tuż przed zmrokiem, by nie zostali rozpoznani. Gdy Roy wrócił z zakupami, Danny zaproponował, że jeśli chłopak chce, może za kilka dni znowu przyjść.

- I też dostanę piąta? - Ucieszył się.

- Oczywiście, że tak. Jestem zbyt leniwy i nie chce mi się chodzić do sklepu. Zresztą muszę pisać. Przyjdź w najbliższy czwartek, za tydzień.

- Jasna sprawa.

- Acha! Zaczekaj - krzyknął Danny. - Nie mów nikomu, że to dla mnie nosisz zakupy. Ludzie mogą mieć pretensje, że z lenistwa wykorzystuję dziecko.

- Dobra, nikomu nie powiem. Będę w czwartek. Do widzenia.

Carina kończyła przygotowywanie naleśników, podczas gdy Danny majstrował przy starym radiodbiorniku.

- Jak się wkurzę, to przepnę ten z samochodu. Kupa złomu.

W końcu coś zazgrzytało, zapiszczało, trzasnęło i usłyszeli głos, nawet dość czysty i wyraźny. Nie wiadomo, jaka to była stacja, ale i tak cieszyli się, że w tych ciasnych czterech ścianach będą mogli posłuchać też innych głosów. Usiedli na kanapie, na której zwykle spała Carina, i zaczęli raczyć się naleśnikami. Żaluzje w oknach były opuszczone na wypadek, gdyby ktoś zechciał ich podglądać. Odsłuchali audycji o konflikcie zbrojnym na Bliskim Wschodzie, kilku piosenek z lat sześćdziesiątych, po czym przyszedł czas na panel informacyjny. Carina omal nie udławiła się naleśnikiem, gdy usłyszała komunikat: „Na terenie całego kraju trwają poszukiwania



młodej studentki z Portugalii w wieku około dwudziestu lat, która najprawdopodobniej przebywa w towarzystwie mężczyzny około czterdziestki. Policja prosi o...”

- Rany boskie! - krzyknęła przerażona, osuwając się bezwładnie na oparcie kanapy.

- Mówiłem, że tak będzie - powiedział dość niewzruszony Danny.

- I co teraz?

- Nic, ukrywamy się, dopóki nas nie znajdą.

- A potem?

- Mówiłem ci już ze sto razy, a ty nie chcesz słuchać.

- Boję się. Ale najbardziej boję się, że urodzę.

Danny wyłączył radio. Spojrzał na Carinę.

- Stań przede mną, proszę.

- Po co?

- No, stań.

Zrobiła to, o co ją prosił, choć niechętnie. Zmierzył ją wzrokiem od góry do dołu i podszedł bliżej.

- Nie bój się, nic ci nie zrobię. Pokaż brzuch.

Nie mógł uwierzyć własnym oczom. Próbował liczyć w pamięci, ile czasu upłynęło, odkąd pierwszy raz zobaczył Carinę. To było piątego listopada, gdy przysłała do jego domu. Z jej wyjaśnień wynikało, że na tamten czas ciąża miała cztery tygodnie. Jeżeli tak, to teraz powinna mieć około półtora miesiąca, a brzuch wyglądał jak w trzecim.

- Martwię się, Carina. Nikt tego nie kontroluje. Siedzimy w tej dziurze, podczas gdy ty powinnaś regularnie się badać.

- Badać? Wiesz, jak zareagowałby lekarz, widząc obraz USG? Zamknęliby mnie w szklanej komorze i testowali jak samochód w próbach zderzeniowych.

Danny zamilkł. Z tej sytuacji nie było wyjścia. Jedyne, co mogli zrobić, to grać na zwłokę i czekać, aż w końcu ich znajdą i przechwyca. Widział, że Carina cierpi, zwłaszcza psychicznie; była wyczerpana, niewyspana i rozdrażniona. Chciał jej jakoś pomóc, bo

potrafił sobie wyobrazić poziom dyskomfortu i frustracji, jakie odczuwała.

- Dokończysz swoją pracę? - zapytał nagle.

- Jaką pracę?

- Licencjacką. Przyjechałaś tu, żeby dowiedzieć się czegoś na temat mały wodnej, czyż nie?

- Danny, ty sobie ze mnie żartujesz?

- Nie, mówię całkiem poważnie. Jestem ciekaw, co napisałaś i jakich informacji potrzebujesz. Mogę ci o tym opowiedzieć... i tak nie mamy nic lepszego do roboty. No chyba, że wolisz słuchać wiadomości w radiu? - zażartował, co wyraźnie rozbawiło Carinę. Chętnie słuchała opowiadań doktora; czuła się wtedy jak na wykładach w Lizbonie.

- Teoria wodnej mały nazywana jest inaczej hipotezą przybrzeżną, z której wynika, że gatunki z rodzaju homo pochodzą ze środowiska wodnego. To właśnie w tym środowisku ewoluowały te cechy fizyczne, które odróżniały je od innych człowiekowatych. Niegdyś uważano, że zwierzęta lądowe pochodzą od zwierząt żyjących w wodzie. Teoria ta zmieniła się nieco na przestrzeni lat, ale dopiero w roku tysiąc dziewięćset sześćdziesiątym naukowiec Hardy zaprezentował ją światu. Potem jeszcze wielu innych uczonych interesowało się tą naukową hipotezą. Zakłada ona, że przodkowie dzisiejszego człowieka rozwijali się w ciepłym i wilgotnym środowisku, w najbliższym sąsiedztwie wody, w tak zwanej strefie przybrzeżnej w rejonach afrykańskich i azjatyckich. Zachowania, jakie środowisko wymusiło wówczas na naszych przodkach - choćby ze względu na poszukiwanie i zdobywanie pożywienia - takie jak brodzenie na płycznach, pływanie czy nurkowanie, przyniosło w rezultacie szereg zmian anatomicznych i fizjologicznych w ich wyglądzie. Były nimi: skóra pozbawiona owłosienia, znacznie większa ilość komórek tłuszczowych pozwalających na dłuższe przebywanie w wodzie, zdolność do wstrzymywania na długi czas oddechu, umiejętność doskonałego pływania. Dziś wiemy, że nawet noworodki potrafią instynktownie

wstrzymać oddech i bez lęku swobodnie poruszać się w wodzie, a budowa szkliwa zębów człowiekowatych, czyli hominidów, jest zdumiewająco podobna do zębów ssaków zamieszkujących tereny podmokłe, bagienne lub środowisko wodne. – Wziął duży łyk wody, bo zaschło mu w gardle. – Jest jeszcze coś, co świadczy o tym, że pochodzimy ze środowiska wodnego.

- Co takiego? – zapytała Carina wyrwana z letargu.

- Posiadanie szczątkowej błony pławnej między palcami rąk i nóg.

Carina rozpostarła swoją dłoń, szeroko rozsuwając palce i przyjrzała się błonom, o których mówił Danny. Faktycznie, były szczątkowe.

- Co ciekawe – kontynuował Danny – ludzka krew ma prawie taki sam skład co woda morska. Ale ma tyle życiodajnych pierwiastków, że nawet w laboratorium nie można odtworzyć budowy i składu kryształków soli morskiej. Jest tam chlor, sód i około osiemdziesięciu innych pierwiastków: siarki, miedzi, fluoru, tytanu, strontu, manganu, magnezu, potasu, wapnia, cynku, żelaza, krzemu, fosforu czy jodu.

- Brzmi imponująco – powiedziała Carina.

- To nie wszystko, wyobraź sobie, że pewien francuski naukowiec był w stanie utrzymać w niej „na chodzie” czy też przy życiu, jak wolisz, serce kurczaka.

- Samo serce, bez kurczaka? – Zdziwiła się.

- Tak jest. A w czasie drugiej wojny światowej, gdy brakowało krwi do transfuzji... jak myślisz, czego używano w zamian?

- No chyba nie wody morskiej? Nie sądzisz, że w to uwierzę.

- Właśnie tak. Oprócz niemal identycznego składu, nawet poziom zasolenia jest zbliżony do tego, który istnieje w naszych płynach tkankowych.

- To brzmi jak wizja z przyszłości.

Danny się uśmiechnął.

- Moja droga, gdybyś ty wiedziała, do jakich rzeczy zdolny jest człowiek... i to nie w dalekiej przyszłości, lecz teraz, a nawet lata

temu...

- Co masz na myśli? - Zaciekawiała się Carina.

- Wiesz, dlaczego jesteśmy na celowniku rządu? Bo za naszymi plecami dzieją się rzeczy, o których nawet ci się nie śniło!

- Mam dużą wyobraźnię - stwierdziła. - Powiedz, skoro już zacząłeś.

- Przepraszam, nie powinienem był cię narażać na tę całą sytuację.

- Skoro już mnie naraziłeś, to dokończ. Obiecałeś, że mi to wyjaśnisz. Pierwszego dnia, jak tu przyjechaliśmy. I nadal nie zdradziłeś, jaką obietnicę złożyłeś ojcu. Sądzę, że po tym, co ci wyjawiałam na swój temat, zasługuję na twoją szczerość.

- Masz rację, jestem ci to winien. Czy się nie pogniewasz, jeśli poproszę, żebyśmy poczekali z tym do jutra? Przysięgam, że powiem wszystko. Ale nie dziś. To zbyt wiele dla mnie na raz.

Spojrzała na niego ze zrozumieniem. Nie wiedziała, co to może być, ale było zapewne albo bardzo drastyczne, albo ściśle tajne. Albo jedno i drugie.

## ROZDZIAŁ 63

- Eksperymenty na ludziach prowadzone były odtąd, odkąd zaczęła istnieć jako taka medycyna. Jednak zawsze spowodowane były konkretnymi przesłankami lub miały z góry określony cel. Ostatnią rzeczą, jaka przyświecała pseudonaukowcom, gdy dokonywali swoich - niejednokrotnie brutalnych i pozbawionych jakiegokolwiek humanitaryzmu testów i eksperymentów na ludziach - było dobro ludzkości. Pobocznym celem mogła być też sława, jednak zawsze chodziło o jedno: pieniądze i władzę. Żonglowanie organami i zabawa w Boga nigdy nie kończyły się szczęściem jednostki. Można by pomyśleć, że to naziści wiedli prym w tego typu bestialskich praktykach pseudomedycznych. I tak było, ale należy zaznaczyć, że nie oni jedni posuwali się do granic przyzwoitości, etyki czy samej natury. To, co najbardziej interesowało tych niby-naukowców, to przede wszystkim kwestie łączenia gatunków zupełnie odmiennych w celu stworzenia ich hybryd oraz przystosowanie człowieka do życia w środowisku wodnym. Na przestrzeni setek lat podejmowano wiele takich prób. Wodą na młyn w tych często nielegalnych procederach była ludzka fizjologia, która pobudzała wyobraźnię i dawała zielone światło do przeprowadzania takich eksperymentów. Ludzki noworodek, podobnie jak każdy inny zwierzęcy płód, funkcjonuje w łonie matki zewsząd otoczony płynem owodniowym, mimo że posiada płuca. Funkcjonują one tak samo jak rybnie skrzela. Można więc przypuszczać, że zdolność „oddychania” płynem, a więc pobierania z niego życiodajnego tlenu i wydalania

dwutlenku węgla, powinniśmy zachować nawet po przyjsciu na świat. Posiadając tego rodzaju wiedzę, rozpoczęto masowe eksperymenty na ludziach - najpierw w rozumieniu zdolności przebywania pod wodą bez ingerencji w anatomię. Były to przypadki takie jak ten z roku tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiątego pierwszego, kiedy to profesor Madafi z Kalkuty pod baczny okiem kamer był w stanie sprowadzić siedemdziesięcioletniego mężczyznę pod wodę tak, by mógł on „przełączyć” swoje płuca na tryb skrzelowy, dzięki czemu pobierał tlen z wody i mógł pozostać w zanurzeniu prawie sto pięćdziesiąt godzin. Ponieważ takie wieści szybko się rozchodzą, usłyszał o tym przypadku między innymi filipiński rybak, który z kolei pod okiem badaczy przebywał pod wodą ponad godzinę bez żadnego sprzętu nurkowego. O ile tego typu testy co najwyżej mrozą krew w żyłach i wywołują aplauz oraz zdumienie, o tyle inaczej mają się sprawy, gdy w grę wchodzi makabryczne transplantacje niezgodne z ludzką naturą, które najczęściej kończą się śmiercią. Do takich bestialskich eksperymentów dochodziło już w wieku dziewiętnastym i, niestety, są one kontynuowane do dziś, choć odbywa się to poza wszelką wiedzę społeczną. Tutaj za przykład można podać próbę wszczepienia rekinich skrzeli psom przez rosyjskiego chirurga wojskowego, kapitana Dryszkina. Zwierzęta wprawdzie były w stanie oddychać pod wodą, ale długo nie pożyły, ponieważ ich organizmy odrzuciły obcy organ. To nie tylko nie powstrzymało, a wręcz zachęciło przełożonych chirurga z Petersburga, by wykonał taki sam zabieg, tym razem na ludziach. Za króliki doświadczalne mieli posłużyć żołnierze. Wiele z nich zakończyło się śmiercią, choć środowisko wojskowe chciało za wszelką cenę kontynuować próby. Nie zgodził się na to jednak ówczesny car Mikołaj II, który kategorycznie tego zakazał, twierdząc, że wszystko, co dzieje się wbrew woli Boga, jest niebezpieczne. W czasie drugiej wojny światowej także dokonywano bestialskich eksperymentów. Naziści opracowali w swoich laboratoriach preparaty, dzięki którym człowiek mógł przebywać pod wodą prawie pół godziny. Przez

dziesięciolecia ludzie niejednokrotnie sami poddawali się takim przeszczepom. Było tak w przypadku Amerykanina Madeichikona, któremu wszczepiono sztuczne skrzela. Z informacji przekazanych wówczas do wiadomości publicznej wynikało, że mężczyzna ten przez długi czas przebywał w oceanie na głębokości trzech tysięcy metrów. Organ, jakim były sztuczne skrzela, został skonstruowany i opatentowany w roku tysiąc dziewięćset siedemdziesiątym szóstym przez amerykańskich naukowców. Gdy już zamierzano rozpocząć ich przemysłową produkcję, prawa do wynalazku przejęli Japończycy, których interesowała jedynie krew syntetyczna – sztuczne skrzela znalazły się poza ich zainteresowaniem. Podobne eksperymenty o wątpliwej etyce czy humanitaryzmie mają miejsce na całym świecie. Brytyjscy naukowcy od lat prowadzą tajne badania genetyczne na zarodkach ludzko-zwierzęcych pod pretekstem doskonalenia skuteczności leków przeciw groźnym chorobom o podłożu genetycznym. Produkuje się cybrydy, powstałe przez wszczepienie zwierzęcej komórki do jąder ludzkich komórek, chimery, czyli połączenie ludzkich komórek ze zwierzęcymi zarodkami, oraz hybrydy, gdzie zwierzęce jajeczko zapładnia się ludzką spermą. Co gorsza, eksperymentów takich dokonuje się zgodnie z tak zwaną literą prawa. Ustawa Human Fertilisation Embrology Authority zezwala naukowcom na tworzenie zarodków zwierzęco-ludzkich w procesie badań nad komórkami macierzystymi. Rządy wielu krajów chronią tajemnice dotyczące ściśle tajnych projektów, by przenigdy nie przedostały się do wiadomości publicznej. Wśród takich krajów są także Stany Zjednoczone Ameryki, które od ponad siedemdziesięciu lat prowadzą operację o kryptonimie „Charles”. Gdyby świat dowiedział się o skali prowadzonych przez amerykański rząd działań, byłby to koniec epoki, w której od stuleci ludzkość tkwi w przekonaniu, że są rzeczy oczywiste i takie, które z założenia stanowią fikcję. Gdyby prawda wyszła na jaw, fikcja zlałaby się z rzeczywistością. Wtedy nastąpiłaby epoka dantejska.

## ROZDZIAŁ 64

Ocosta, okolice plaży przy South Bay, 21 lutego  
2014

Chłód był dokuczliwy, na szczęście w okolicy nie brakowało opału, którym dało się ogrzać niewielkich rozmiarów domek. Ciepło z rozgrzanego pieco-kominka - bo tym był on dla Cariny - rozchodziło się równo, docierając do każdego kąta. Mnóstwo fragmentów drzew oraz drobny chrust zalegały codziennie na plaży. Danny wychodził z domku tylko wieczorami, aby zebrać trochę do kominka, ale Carinie stanowczo tego zabronił. Tym razem wrócił szybciej niż zwykle z zakrwawioną ręką.

- Co się stało!?! - krzyknęła przerażona dziewczyna.

- To nic poważnego, ale muszę przemyć ranę. Podaj mi, proszę, wodę utlenioną, jest w szafce w łazience.

Carina szybko pobiegła we wskazane miejsce, ale nie znalazła niczego do dezynfekcji ran. Danny tymczasem zmywał nad małym zlewem krew, która spływała po jego metalowych ściankach, mieszając się z niebieskim kolorem mydła.

- Masz fioletową krew - zażartowała Carina.

Danny spojrzał na nią z sympatią, bo mimo bardzo nieciekawej sytuacji, w której się znajdowali, miała jeszcze ochotę żartować.

- Trudno, będę musiał użyć tego - to mówiąc, sięgnął po butelkę schowaną nad zlewem, do połowy wypełnioną nieznaną zawartością.



- Co to jest?

- Sześćdziesięcioprocentowy roztwór spirytusu. - Uśmiechnął się, po czym zacisnął zęby, patrząc, jak płyn wżera się w ranę i cholernie szczypie.

- Co ci się właściwie stało? Skaleczyłeś się przy rąbaniu drewna? - zapytała Carina.

- Nie. Na plaży były jakieś dwa duże psy. Zbliżyły się do mnie na kilka metrów i nie wyglądały przyjacielsko...

- Pogryzły cię!?! - Przeraziła się.

- Carina, uspokój się, wiesz, jak bym wyglądał, gdyby mnie psy pogryzły? - Roześmiał się Danny. - Zaczęły warczeć, więc postanowiłem je przepędzić. Było ciemno i chwyciłem leżący pod nogami kij. To była jakaś deska. Cisnąłem nią z całej siły w ich stronę. Uciekły, ale, niestety, w desce tkwił spory gwóźdź i wbił mi się w rękę.

- Trzeba to opatrzyć - stwierdziła. - Mamy tu coś, co by się nadawało do tego?

- Carina, właśnie dzisiaj o tym myślałem. Jesteśmy tu uwięzieni już chyba trzeci miesiąc i brakuje nam choćby takich rzeczy, jak środki opatrunkowe czy lekarstwa. Zresztą... w twoim stanie... no wiesz, gdy to kiedyś nastąpi, co ja pocznę?

Carina spuściła głowę. Sama myśl o tym przyprawiała ją o mdłości. Danny spojrzał na jej brzuch, co nie umknęło jej uwadze.

- Wiem, co myślisz - powiedziała z odrazą.

- Nie wiesz, co myślę. Szczerze? Jestem ciekawy. Bardzo ciekawy. Myślę, że i ty powinnaś się nieco pozytywniej nastawić do tej sytuacji.

- Pozytywnie nastawić? - Oburzyła się. - Ja widzę same negatywne aspekty tej, jak to nazwałś, sytuacji.

- No, już dobrze, nie denerwuj się. Duży masz już ten brzuch. Który to miesiąc?

- Dobre pytanie...

- Nie wiesz? - zdziwił się Danny.

- Wiem, ale... w mojej sytuacji jest inaczej. Teoretycznie

czwarty.

- Niemożliwe! Moja córka miała taki brzuch, kiedy była w siódmym miesiącu. Jesteś pewna?

- Danny! Tak, na litość pańską, wiem, kiedy to się stało. Zresztą nie powinno cię to dziwić, taka ciąża może się rozwijać inaczej, a raczej na pewno inaczej się rozwija. Jako naukowiec powinieneś coś na ten temat wiedzieć, nieprawdaż?

- Wybacz, ale moje badania nie zabrnęły aż tak daleko. Niemniej jednak, jest to dość ciekawe zagadnienie.

- Nie traktuj mnie jak królika doświadczalnego - odezwała się Carina.

- Wyobraź sobie, co by było, gdybyś wpadła w „ich” ręce. Zamęczyliby cię.

Carina zdawała sobie z tego sprawę. Najgorsze było to, że prędzej czy później to nastąpi. Usiadła niepokieszona w fotelu.

- Przepraszam, niepotrzebnie cię stresuję. Nie martw się, jakoś to będzie. A zmieniając temat... muszę osobiście wybrać się po weekendzie na większe zakupy. Ten dzieciak chętnie zarobi kolejnego piątaka, ale zaczynam się obawiać, że ktoś go namierzy. Wystarczy, że rodzice zaczną się dopytywać, komu robi te zakupy, albo sam coś chlapnie i już po nas - znajdą nas w ciągu dziesięciu minut.

- A nie sądzisz, że skoro do tej pory potrafił zachować to w tajemnicy, to lepiej, żebyś się publicznie nie pokazywał? - powiedziała Carina, wyraźnie zaniepokojona tym pomysłem. - Skoro mówili o nas w radiu, to na pewno pokazują nasze zdjęcia w telewizji. Ktoś cię w końcu rozpozna, Danny...

- Dlatego zrobię kamuflaż.

Carina zaczęła się śmiać, wyobrażając sobie doktora w jakimś komicznym przebraniu.

- Obłożysz się liśćmi bambusa i założysz bananowy kapelusz?

- Bardzo śmieszne, bardzo... Przyciemnię skórę, dokleję wąsy, założę okulary, czapkę, kaptur... wszystko, co znajdę pod ręką. Pomożesz mi?

- Ja?

- No chyba masz jakieś kosmetyki w torebce? Każda kobieta nosi je ze sobą w ogromnych ilościach.

- Prawie się nie maluję, ale coś się znajdzie... No dobrze, pomogę ci. Ale jak zamierzasz dostać się do miasteczka? Chyba nie samochodem?

- I tu jest problem. O tym nie pomyślałem. Ale może wezmę duży plecak i w ten sposób przyniosę zakupy.

- Pieszko?

- A co mam zrobić? Wezwać taksówkę? - zapytał, po czym się zastanowił. - W sumie to wcale nie taki głupi pomysł. Pójdę pieszo do miasteczka, a potem zamówię taksówkę, żeby mnie podrzuciła przynajmniej do tego zakładu przetwórstwa ryb. Stamtąd pójdę już pieszo, przecież tyle wytrzymam.

Carina nie była przekonana, czy to dobry pomysł, ale nie było innego wyjścia. Chłopak, który robił podstawowe zakupy, takie jak mleko, jajka czy pieczywo, nie mógł przecież kupić kilku kilogramów mąki, makaronu, puszek rybnych, ryżu czy kilkunastu słoików, bo to już z pewnością wzbudziłoby podejrzenia. Natomiast dorosły mężczyzna, który robi większe zakupy dla rodziny, będzie wyglądał całkiem normalnie.

- Ile jeszcze mamy pieniędzy? - zapytała Carina.

- Mimo że wyjeżdżając z Seattle wypłaciłem sporą sumkę, sama widzisz, jak szybko topnieje. Jesteśmy tu już trzy miesiące i nie wiem, jak długo jeszcze zostaniemy. W każdym razie dysponuję gotówką w kwocie około tysiąca dolarów.

- Nie możesz zapłacić kartą?

- Wykluczone. Od razu mnie namierzą - powiedział stanowczo.

- Kiedyś jednak pieniądze się skończą...

Carina znowu posmutniała. Teraz głównie dlatego, że czuła się winna, że Danny wydaje na nią swoje oszczędności. Wcale nie musiał tego robić.

- Danny, ja ci zwrócę całą kwotę...

- Daj spokój, Carina. Jakbym nie chciał ci pomóc, toby mnie tu

nie było. Nie ma tematu. Chodź, pomożesz mi.

- W czym?

- Przeszukamy chałupę i zobaczymy, co się nada do mojego kamuflażu.

W zasadzie resztę wieczoru spędzili w niezłych humorach. Rozrywki dostarczały im przeróżne elementy garderoby i akcesoriów, które mogły posłużyć za strój dla Danny'ego. Carina wykonała także próbny makijaż. Rozmazała jego na twarzy krem brązujący, który służył wyłącznie do przyciemniania policzków. Omal nie pękła ze śmiechu, widząc twarz Danny'ego. Niemniej jednak metamorfoza okazała się owocna. Po godzinie przymiarek Danny stał się ciemnoskórym mężczyzną w wieku około sześćdziesięciu lat z gęstym wąsem i wielkimi okularami ze szklami o barwie żółtej. Efekt był piorunujący. Zasnęli w dobrych nastrojach.

## ROZDZIAŁ 65

- Może pojedę z tobą? - zaproponowała Elizabeth.

- Nie ma potrzeby, kupię co trzeba i zaraz wracam. Lepiej sobie odpoczywajcie.

To mówiąc, przyłożył dłoń do brzucha żony. Z każdym dniem ogarniała ich większa radość, widząc, że ciąża rozwija się prawidłowo. W zasadzie można powiedzieć, że zagrożenie poronieniem minęło. Elizabeth dotrwała do szóstego miesiąca, a dziecko nie sprawiało żadnych problemów. Nie znali płci dziecka, ponieważ od początku tak ustalili. Liz mówiła, że to może przynieść pecha i spowodować, że ponownie poroni. Płeć nie miała żadnego znaczenia, a do porodu pozostały już tylko trzy miesiące. Paul uznał, że decyzja o przyjeździe do domku na plaży była świetna. Oboje wypoczywali, choć Paul dzwonił czasem do wspólnika, aby się upewnić, czy gabinet prosperuje jak należy, czy nie ma żadnych problemów, podpytując również o stan zdrowia swoich pacjentek, które John zgodził się prowadzić w jego zastępstwie. Kolega czasem namawiał Paula, by przemówił Liz do rozsądku i nakłonił ją do powrotu. Kilka miesięcy minęło i zapewne zdążyła odpocząć, a im bliżej porodu, tym lepiej, żeby szpital był w zasięgu ręki. Paul twierdził, że ma wszystko co potrzeba przy sobie, zabrał nawet detektor tętna płodu, dzięki czemu wszystko było pod kontrolą. Poza tym tak się cieszył, widząc Liz szczęśliwą i zrelaksowaną, że nie zamierzał podejmować tematu powrotu. Ustalili, że przyjadą do Portland miesiąc przed porodem.

- Masz ochotę na coś konkretnego? - zapytał Paul. - Może zrobię chińszczyznę w wydaniu dla ciężarnej?

Elizabeth roześmiała się serdecznie.

- Może jeszcze kup wino w wersji dla ciężarnej, ha, ha!

- Czyli sok malinowy. Rozumiem. Poważnie pytam, może masz smaczka na coś wyjątkowego?

- Hmm... w zasadzie to zjadłabym tort czekoladowy. Sądzisz, że będą mieli świeży?

- W markecie raczej wątpię, ale zatrzymam się po drodze w cukierni, tam z pewnością coś dobrego dostanę. OK, zmykam. Jakby co, mam przy sobie komórkę.

Pocałował ją, założył czapkę i nałożył na plecy grubą pikowaną kurtkę. Gdy był już za drzwiami, Elizabeth krzyknęła:

- Paul! Miałam ci przypomnieć, żebyś zabrał teczkę lekarską z samochodu.

- Ach, tak, dzięki! Będę pamiętał.

Na jasnoszarym niebie pojawiło się słońce „z zębami”. Tak zwykli mawiać rodzice Liz, gdy mieli na myśli słońce, które tylko pozornie grzeje. Pod koniec lutego temperatura powoli zaczynała wzrastać, ale nadal nie był to czas ciepłych dni. Mimo często pojawiającego się słońca dało się odczuć spory chłód w powietrzu. Paul zaparkował przed sklepem. Był to niewielki market, w którym dało się zaopatrzyć jedynie w podstawowe produkty. W małej strefie premium dostępne były rarytasy znacznie rzadziej wybierane przez miejscową społeczność głównie ze względu na wygórowaną cenę. Paul dość sprawnie manewrował wózkiem między regałami, miał konkretną listę zakupów i szybko udało mu się zapełnić wózek zgodnie z wytycznymi Liz. Kilka razy minął mężczyznę, którego narodowość wyglądała na meksykańską. Na koniec podjechał jeszcze tylko do strefy premium i wybrał najlepszy włoski parmezan, dwie puszki anchois oraz ośmiorniczki w sosie własnym. Przy kasie dostrzegł, że uprzedził go „Meksykanin”. W rzeczywistości był nim Danny w przebraniu, który widząc, że ilość produktów w koszyku Paula jest znacznie mniejsza niż jego,

postanowił, że go przepuści.

- Proszę, niech pan idzie pierwszy. Ja mam nieco więcej zakupów.

Paul zdziwił się, po pierwsze dlatego, że ktoś go przepuścił, po drugie, że facet nie był Meksykaninem, a jedynie miał ciemną karnację skóry.

- Dziękuję panu, to bardzo miłe, ale może jednak...

- Nie, śmiało. Nie śpieszy mi się, i tak muszę poczekać na taksówkę.

Paul był wdzięczny nieznanemu. Wykładał swoje zakupy na taśmę, a gdy ekspedientka spakowała towar do papierowych toreb i Paul zapłacił kartą, powiedział:

- Może w ramach podziękowań mógłbym pana podrzucić z tymi zakupami do domu? Nie musi pan brać taksówki...

Danny pomyślał, że nawet świetnie się składa. Niewiele myśląc, odpowiedział:

- Poważnie? Byłby pan tak uprzejmy?

- Paul - przedstawił się, podając Danny'emu rękę. - Nie ma problemu, podrzucę cię.

Danny już miał palnąć swoje imię, ale na szczęście w ostatniej chwili ugryzł się w język.

- Robert, miło mi.

Gdy zapłacił, obaj wyszli na parking. Paul szedł do samochodu pierwszy, a Danny w milczeniu podążał za nim. Musiał się pilnować, aby nie powiedzieć za dużo.

- To tutaj - odezwał się Paul, zatrzymawszy się przy swoim samochodzie. Wyciągnął kluczyki i otworzył bagażnik.

- Śmiało, twoje torby też się zmieszczą.

Bagażnik był rzeczywiście przestronny. Następnie Paul zaproponował, by „Robert” usiadł z przodu na miejscu pasażera, a sam usadowił się wygodnie za kierownicą.

- Oj, przepraszam - powiedział nagle, widząc, że siedzenie obok jest zajęte. - Wybacz, to moja torba lekarska, zapomniałem jej ostatnio zabrać. Już ją przesuwam...

Danny'ego zaciekało to, co powiedział Paul. Postanowił dyskretnie kontynuować temat.

- Jesteś lekarzem?

- Tak, ginekologiem.

- Tu chyba niewiele dzieci się rodzi, he, he - zażartował. - Dość mała miejscina.

Paul zupełnie nie wyczuł podstępu i wyśpiewał Danny'emu sporo ważnych informacji.

- Nie, nie. Ja tu nie mieszkam. Mam gabinet w Portland. Kilka miesięcy temu przyjechaliśmy tu z żoną do domku letniskowego. Ona chciała mieć spokój przed porodem i...

- O! Jest w ciąży? Gratuluję. - Przerwał dla niepoznaki Danny.

- Tak, w końcu się udało. Żona kilka razy poroniła, ale tym razem wygląda na to, że się uda. - Uśmiechnął się.

- Będę trzymać kciuki. Który to miesiąc? Jeśli można spytać...

- Teraz już szósty. Ale za miesiąc wyjeżdżamy, bo lepiej być blisko szpitala i rodziny...

- No właśnie, wybacz bezpośredniość, nie chcę być wścibski, ale tak pomyślałem, że to odważne posunięcie. Tyle miesięcy bez dostępu do specjalistycznych badań...

Paul westchnął, bo miał takie samo zdanie na ten temat, ale mimo że tyle osób już go o to pytało, wyjaśnił raz jeszcze:

- Może to głupio zabrzmieć, ale... moja żona chyba nie wierzyła, że tym razem się uda. Była psychicznie przygotowana na kolejne poronienie. A moja matka trochę ją stresuje, zamiast wspierać, więc... po prostu chciała mieć święty spokój. No i przyjechaliśmy tu. Tak czy siak, mam wszystko, co potrzeba, na wszelki wypadek - to mówiąc, poklepał czarną torbę, którą uprzednio przeniósł z siedzenia Danny'ego.

Danny zdecydował postawić wszystko na jedną kartę i wykorzystać wylewność mężczyzny. Zapytał żartobliwym tonem:

- Rozumiem, że w tej torbie jest fotel ginekologiczny, kroplówka z morfiną i dmuchana połoźna?

To bardzo rozbawiło Paula. Wybuchnął śmiechem i zatrzymał



samochód.

- Żartowniś z ciebie, Rob - odpowiedział. - Położna by się akurat nie zmieściła, ale mam przynajmniej sprzęt do kontroli stanu zdrowia dziecka w łonie.

- Co na przykład? - zapytał trochę pośpiesznie Danny.

Paul był nieco zmęczony tą rozmową i chyba zorientował się, że zdradza zbyt wiele szczegółów swojego pobytu w okolicy, ale postanowił, że odpowie jeszcze na to jedno pytanie i dyplomatycznie zmieni temat.

- Na przykład ciśnieniomierz, termometr albo taki sprytny detektor tętna płodu. Nie będę cię tym zamęczał, to raczej mało interesujące - to mówiąc, otworzył drzwi i dodał: - Pozwól, że tylko skoczę do tej cukierni, bo obiecałem żonie tort czekoladowy. To potrwa dosłownie chwilę.

- Nie ma sprawy, poczekam.

Paul był spokojny o samochód; bez kluczyków nowo poznany mężczyzna i tak nie zdołałby odjechać. Pieniądze i dokumenty zabrał ze sobą, więc spokojnie oddalił się od auta. Zakup tortu nie był jednak taką łatwą sprawą, bo ekspedientka była wyjątkowo gadatliwa, a do tego powolna. Danny był sam w samochodzie co najmniej przez dziesięć minut. Przyszła mu do głowy okropna rzecz. Coś, czego nigdy w życiu by nie zrobił, ale w obecnej sytuacji nie miał wyjścia. Takiej okazji już nie będzie. Upewnił się, że właściciel samochodu jest jeszcze w sklepie, i sięgnął po torbę lekarską. W środku rozpoznał kilka znanych mu przyrządów i kilka takich, które z niczym mu się nie kojarzyły. Czas mijał, więc musiał szybko się decydować. Nie mógł zabrać całej torby, więc wyciągnął tylko to, co uznał za przydatne: wspomniany przez lekarza detektor tętna, ciśnieniomierz, termometr oraz jakąś gazę, bandaż i plastry. Chciał wyciągnąć jeszcze nożyczki, ale miały dość dziwny kształt i ciasno tkwiły w futerale. Odstawił więc pośpiesznie torbę na miejsce, a wszystkie skradzione rzeczy schował do kieszeni kurtki. Jedynie detektor był nieco duży - miał wymiary pudełka z czekoladkami, więc wsunął go pod sweter, który następnie wciągnął do spodni.

Upewniwszy się, że nie wypadnie, zasunął porządnie kurtkę. Udało mu się pochować wszystkie przedmioty na chwilę przed tym, jak wrócił niczego nie podejrzewający Paul. Zerknął tylko uprzejmie na Danny'ego i powiedział:

- Teraz powiedz, Robert, gdzie mam cię podwieźć?

Danny się ocknął.

- Możesz podjechać do tego zakładu przetwórstwa ryb?

- Nie wiem, o jakim zakładzie mówisz? Na jakiej to ulicy?

To pytanie całkowicie zaskoczyło Danny'ego. Nie miał zielonego pojęcia.

- Wyleciało mi z głowy...

Paul spojrział na niego podejrzliwie.

- Nie pamiętasz, gdzie mieszkasz?

Danny, próbując ratować sytuację, musiał wymyślić na poczekaniu jakąś logiczną historyjkę.

- Ja tu nie mieszkam, tak jak ty z żoną. Przyjechałem do domu znajomego, żebym mógł w spokoju pisać. On sam mnie tu przywiózł, więc nie znam nazwy ulicy...

- Ach, rozumiem. Jesteś pisarzem?

- Tak, pracuję nad dość długą powieścią.

- Chyba bardzo długą - stwierdził Paul - skoro takie zakupy dla siebie zrobiłeś.

Sytuacja zaczęła się nieco wymykać spod kontroli, ale Danny zachował zimną krew, bo tylko to mogło go uratować.

- Wiesz, jestem trochę ekscentrycznym artystą, nie lubię przebywać w tłumie i wyjście na zakupy nie należy do moich ulubionych rozrywek, ha, ha - zaśmiał się. - Dlatego nakupiłem żarcia na kilka miesięcy, żebym nie musiał co chwila biegać do sklepu. Zresztą bez samochodu... sam widzisz, jaki to kłopot.

Paul łyknął tę historię. Kiwnął głową i wyciągnął telefon, by sprawdzić adres przetwórnicy, o której wspominał „Robert”. W okolicy była tylko jedna taka; pokazał Danny'emu mapę wyświetlającą się na ekranie i spytał, czy to właściwe miejsce. Gdy ten potwierdził, ruszyli. Droga zabrała najwyżej pięć minut i w tym

czasie obaj milczeli. Danny obawiał się, że za bardzo zapląta się w tę zmyśloną bajeczkę, a Paul uznał, że to jednak dziwny człowiek i ma go już dość. Podjechali pod zakład rybny. Paul rozejrzał się wkoło i dostrzegł kilka domów; podejrzewał, że jeden z nich zamieszkuje „Robert”.

- Może podjadę bliżej? Będzie ci łatwiej z zakupami...

- Nie trzeba, sąsiedzi są wyjątkowo wścibscy. Lepiej, żeby nie wiedzieli, że podjeżdżam takim droгим i ładnym wozem - skomplementował, znowu kłamiąc.

Paul wysiadł, otworzył bagażnik i podał Danny'emu jego zakupy. Pożegnali się.

- No, to życzę stałej weny twórczej!

- Dziękuję, a ja zdrowia dla żony. Oby wszystko dobrze się skończyło.

Danny ruszył przed siebie, licząc, że Paul odjedzie. Ten, niestety, z jakiegoś powodu nadal stał w miejscu. Danny odwrócił się i zobaczył, że Paul gapi się w telefon. Sądził, że szuka w nawigacji drogi powrotnej do swojego domu. Szedł bardzo powoli, by zyskać na czasie. W końcu Paul ruszył. Danny'emu ulżyło, czego jednak nie mógł powiedzieć o torbach z zakupami. Były naprawdę ciężkie, ale musiał dać radę. Przed budynkiem zakładu rybnego skręcił w polną uliczkę utwardzoną żwirem, po której przejeżdżali z Cariną, kierując się w stronę domku. Jeszcze tylko sto metrów. Niedługo po dwunastej w południe był z powrotem.

- Szybko ci poszło. - Ucieszyła się Carina.

- Ktoś mnie podrzucił.

- Kto?

- Nie chce mi się mówić, to długa historia.

- Poczekaj, pomogę ci z tymi zakupami, a ty się rozbierz.

Carina powolutku rozpakowywała torby i umieszczała wszystkie produkty na właściwym miejscu. Danny ściągnął kurtkę i wyciągnął z niej wszystkie skradzione przedmioty. Nie chciał, żeby Carina je zobaczyła. Jeszcze nie teraz. Potem pomógł jej przy segregowaniu

produktów.

- Jasna cholera! - krzyknął Paul.

- Co się dzieje? - Zmartwiła się Liz.

- Skubany, ukradł mi połowę zawartości torby!

Kto?

- Facet, którego podwiozłem. Nie miał samochodu, a tyle nakupił, że wykarmiłby pół wojska, to się zlitowałem. No i masz...

- Co ukradł?

- Sprzęt do badania i opatrunki. Zostały tylko nożyce do pępownicy, strzykawki, igły, morfina i jeden ciśnieniomierz, drugi zabrał.

- Paul, daj spokój, przecież masz w gabinecie wszystko, co trzeba. Ile to mogło być warte? Szkoda wzywać policję dla takiej kwoty...

- Elizabeth, nie rozumiesz, tu nie chodzi o pieniądze. On zabrał detektor tętna, a to akurat cholernie ważne.

- Po co ci on teraz? Przecież dziecko jest zdrowe...

- Ale powinniśmy sprawdzać mu tętno, Liz...

- Za miesiąc wyjeżdżamy, nic się nie stanie. Proszę cię, na samą myśl, że przyjedzie tu policja, robi mi się słabo. Jest pięknie, nie psujmy tego. - Objęła Paula i ucałowała, a to zawsze skutkowało.

Na obiad Paul przygotował roladki z naleśników z nadzieniem warzywnym. Liz odpoczywała na kanapie, w jednej ręce trzymając kolejną książkę, a drugą opierając na swoim wielgachnym brzuchu.

## ROZDZIAŁ 66

Ocosta, 26 kwietnia 2014

Pod koniec kwietnia pogoda zrobiła się istic wiosenna. Można by nawet powiedzieć, że jak na kwiecień temperatury na zachodnim wybrzeżu były wyjątkowo wysokie. Nawet woda w zatoce znacznie się ociepliła. Niektórzy spacerowicze przemierzali plażę boso, brodząc po kostki w wodzie. Była to jednak niewielka garstka ludzi, głównie z uwagi na fakt, że okolice tej części wybrzeża nie należały do wyjątkowo atrakcyjnych turystycznie i przyjezdni zdarzali się tu rzadko. Z kolei lokalni mieszkańcy nie mieli zwyczaju, czy po prostu czasu, żeby spacerować beztrosko wzdłuż brzegu.

Carina była w szóstym miesiącu, ale od pewnego czasu jej brzuch przestał rosnąć. Mniej więcej miesiąc temu zatrzymał się w rozwoju i przestał powiększać. Danny badał stan ciąży na tyle, na ile pozwalały mu wiedza i sprzęt, w który się kilka miesięcy temu zaopatrzył. Carina nigdy nie dowiedziała się prawdy o tym, że Danny ukradł go lekarzowi, nie brnęła też w dyskusję na ten temat. Zawsze gdy Danny wykonywał badanie, choćby pomiar tętna, była niezadowolona. Nie chciała tego, twierdząc, że to nie ma znaczenia, ponieważ ona tej ciąży nie pragnęła i nie zależy jej na noworodku. Danny nie zamierzał jej niczego doradzać ani sugerować, bo sam nie wiedział, jak to się skończy i kto lub co przyjdzie na świat oraz czy to będzie w pełni zdrowe. Ogarniało go zmęczenie tą sytuacją, niepewność, czy rządowi w końcu trafią na ich trop, ile to jeszcze

potrwa, co będzie dalej i jakie przyniesie to konsekwencje. Jednocześnie tęsknił za córką i wnukiem, zastanawiał się, czy wszystko u nich w porządku. Czuł też ciekawość, ekscytację, a czasem nawet euforię. Każdego dnia targały nim mieszane uczucia; bywały dni, kiedy współczuł Carinie z powodu tego, co ją spotkało, współczuł też jej potomkowi, wyobrażając sobie, jak paskudne może być jego życie, choć zależało to w dużej mierze od tego, jak będzie wyglądać. Czas mijał, więc niedługo wszystko musiało się wyjaśnić.

- Nie mam dobrych wieści - powiedział, patrząc na Carinę i od razu dodał: - Skończyła mi się gotówka.

Obojgu zrzędła mina.

- Muszę pobrać pieniądze, ale to będzie koniec.

- Nic nie da się zrobić?

- Gdziekolwiek pójdę, czy do banku, czy do bankomatu, fakt wypłaty środków z mojego konta zostanie odnotowany i natychmiast uruchomią procedurę. Znajdą to miejsce, zanim zdążę pierdnąć

Carina zamyśliła się głęboko.

- A gdybyś tak pobrał pieniądze znacznie dalej od domku?

- To znaczy gdzie?

- Nie wiem, sto mil stąd. Szybko pobierzesz kasę z bankomatu, zdążysz zrobić zapasy żywności i wrócić. Zanim zjawią się przy bankomacie, będziesz już tutaj. Skąd będą wiedzieć, gdzie pojechałeś? Sto mil to dość duży rewir...

Danny'ego dopadł atak śmiechu, trochę z powodu naiwności Cariny, a trochę z faktu, że właśnie skończyła się „zabawa” i dalsze ukrywanie nie ma sensu.

- Carina, wszyscy od dawna są postawieni w stan gotowości, na bank mają moją rejestrację, sprawdzili wszystkie możliwe monitoringi, zrobili wywiad środowiskowy. Poza tym jestem przekonany, że konto też mi zablokowali. Jeśli teraz wyjadę na drogę, od razu mnie zgarną.

- Błagam, Danny, wiem, że zrobiłeś już dla mnie tak wiele,

nigdy ci tego nie zapomnę, nie umiem nawet wyrazić słów wdzięczności. Przez te kilkanaście tygodni poświęciłeś bardzo wiele dla mnie, czekając w sumie nie wiadomo na co... Ale proszę, tylko ten jeden raz, spróbuj. Błagam, ostatni raz.

Danny patrzył na nią; nie bardzo potrafił ją rozgryźć. O co mogło chodzić tej dziewczynie, co zamierzała, niby czemu miałyby to być ostatni raz? Może chce się go pozbyć i popełnić samobójstwo? Szybko jednak odrzucił te głupie myśli, bo prawda była taka, że niejednokrotnie mogła to zrobić, gdyż okazji miała wiele.

- Carina, tak szczerze... do czego to zmierza? Co to zmieni, że jeszcze raz zdobędę pieniądze i może jeszcze przez kolejny miesiąc będziemy mieli farta, że nas nie znajdą? Co ci to da?

Nic nie powiedziała. Stała przed nim i łzy leciały jej po policzkach. Wydukała z siebie tylko jedno słowo:

- Proszę...

W jej oczach było coś hipnotyzującego. Zrobił to, o co prosiła. To było jak wejście do klatki z wygłodniałymi lwami. Nie wierzył, że mu się uda, ale był zmęczony tym ciągłym ukrywaniem się. Jeżeli to miało uszczęśliwić tę biedną i skrzywdzoną dziewczynę, to był gotów wejść do tej klatki.

- Dobrze, zrobię to. Ty nigdzie się nie ruszaj. Nie wiem, kiedy wrócę.

Wyszedł się przygotować. Udał się najpierw do szopki, żeby sprawdzić stan paliwa. Gdyby miał zrobić tak, jak wymyśliła Carina, to przejechanie stu mil oznaczałoby praktycznie powrót do Seattle. Po pierwsze, było to głupie, po drugie, niemożliwe, bo paliwa starczyłoby najwyżej na pięćdziesiąt mil, a trzeba było jeszcze wrócić. Teoretycznie mógł przejechać te pięćdziesiąt mil i po wypłaceniu gotówki ponownie zatankować, ale nie wierzył, że zdobędzie te pieniądze. Chcąc jeszcze wrócić do Cariny, musiał brać pod uwagę trasę nie dłuższą niż dwadzieścia, może dwadzieścia pięć mil. Gdyby poczekał do jutra, zdążyłby się ucharakteryzować jak ostatnio, a nawet pokombinować z tablicami rejestracyjnymi. Przeszło mu przez myśl, że gdyby miał lakier, dałby

radę je przemalować. Na to jednak nie było czasu. Gdy szedł do domku po dokumenty, pomyślał o jeszcze jednej opcji: skoro już był przestępcą, bo ukradł mienie należące do lekarza i przede wszystkim ukrywał się przed rządem swojego własnego kraju, to nie robi wielkiej różnicy, jeśli ukradnie komuś tablice rejestracyjne i zamieni je ze swoimi. Im dłużej myślał, tym bardziej absurdalne pomysły przychodziły mu do głowy. Postanowił, że nie będzie kombinował, tylko zaryzykuje zgodnie z pierwszą myślą.

- Dasz sobie radę?

Carina kiwnęła głową, ale była jakaś dziwna, taka nerwowa i rozdrażniona - bardziej niż zwykle. Danny uznał, że po prostu stresuje się tym, że sprawy się skomplikowały.

- Nie wiem, kiedy wrócę, ale jeśli nie zjawię się przez całą dobę, to nie czekaj. Włącz swój telefon i zrób tak, jak uznasz za stosowne. Namierzą cię i pewnie już nigdy się nie zobaczymy, ale twoje zdrowie i życie powinno być dla ciebie najważniejsze. Wasze wspólne zdrowie. - Spojrzał na jej brzuch.

Zabrał rzeczy osobiste i ruszył w drogę.

Spotkanie zwołano w trybie pilnym. W sali wielkiej jak arena do walki z bykami, przy owalnym stole zasiadło sześciu mężczyzn. Każdy miał posępną minę i niewielkie chęci do długiej dyskusji - kolejnej w tym tygodniu. Steven Mayer był tu najważniejszy - szef Federalnego Biura Śledczego nominowany kilka miesięcy temu, tuż po nagłej dymisji swojego poprzednika. Niski, krępy, prawie całkiem łysy. Jego twarz przypominała popularnego aktora komediowego, ale ktokolwiek miał z nim do czynienia prywatnie czy służbowo, nigdy nie nazwałby go komikiem. Bezpośredni, oschły, bezkompromisowy i mało empatyczny. Rozmawiali już od ponad kwadransa.

- Przecież nie zapadli się pod ziemię - odezwał się Mayer. - Nawet jeśli siedzą w bunkrze, to czasem muszą z niego wyjść. Chyba że przez kilka miesięcy nic nie jedli i nie pili.

- Może przystosowali się do życia na otwartym morzu - palnął jeden z uczestników spotkania, lecz od razu tego pożałował.



- Jeżeli nie masz nic mądrzejszego do powiedzenia, to wyjdź.

- Przepraszam, szefie - odpowiedział i do końca spotkania nie śmiał się już odezwać.

- Zablokowaliśmy jego konto, rodzina jest cały czas pod obserwacją, telefony na podsłuchu, codziennie emitujemy w wiadomościach ich rysopisy, ale nikt nic nie wie i nikt ich nie widział.

- Może oni nie żyją? - zasugerował ktoś z drugiego końca stołu.

- A ciała?

- Utonęli? - Padła kolejna propozycja.

- Bez sensu, nie przeszukamy całego wybrzeża, żeby to potwierdzić.

- A jeśli wyjechali?

- Wykluczone, nie przekroczyliby granicy. Chyba że mieli nielegalne papiery, w co wątpię.

- Może udało im się przekroczyć granicę, zanim zgłosiliśmy, że są poszukiwani.

- Cisza! Nic, tylko „może, może, może”. Osobiście w dupie mam to, czy ich coś zezarło, czy się ukrywają w kanalizacji - wrzasnął Mayer. - Chcę znać konkrety: co wie Passrowher i jakie mogą być konsekwencje, jeśli podzieli się tą wiedzą z dziewczyną? I kim, do diabła, jest ta kobieta?

Po kolei zaczęli odzywać się uczestnicy zebrania, zgodnie ze sprawowaną funkcją i posiadanymi informacjami.

- Passrowher wie tyle, ile udało mu się dowiedzieć, zanim materiały i dowody zostały przechwycone, a on odsunięty od sprawy. Od tamtej pory mamy go nieustannie na oku i dlatego jesteśmy pewni, że nie wrócił do tego tematu.

- Potem wyemitowaliśmy film, w którym został ośmieszony. Sądzę, że ze strony medialnej nic nam nie grozi. Po tej akcji z filmem w sieci nikt nie potraktuje go poważnie, czegokolwiek by nie powiedział.

- Chyba, że schwyta coś żywcem i zaprezentuje wszystkim na środku Broadwayu.

Mayer zmarszczył czoło.

- A może coś schwytać? - zapytał w napięciu.

W tym momencie głos zabrał Corin Drakes pełniący funkcję szefa operacji morskich amerykańskiej marynarki wojennej:

- Panowie, na podstawie raportu ze wszystkich przeprowadzonych operacji hipersonicznych mogę potwierdzić, że żaden osobnik, którego dotyczy projekt „Charles”, nie ma prawa przebywać na wolności.

Mayer skrzyżował dłonie i nastąpiła cisza, którą przerwał nagły dźwięk telefonu.

- Mówiłem, żeby nam nie przeszkadzać - powiedział stanowczo przewodniczący zebrania, lecz po chwili zamilkł, słuchając tego, co usłyszał w słuchawce telefonu. - W takim razie proszę mnie przełączyć.

Po dwóch minutach niepewności wszyscy obecni na sali w napięciu oczekiwali, co powie szef Federalnego Biura Śledczego.

- Rybka sama nawinęła się na haczyk - powiedział z nieskrywanym zadowoleniem. - Raymond, przy zatoce Willapa na zachodnim wybrzeżu. Do roboty.

Carina wiedziała, że coś się zaczyna dziać. Kilka godzin przed wyjazdem Danny'ego poczuła wyraźne ruchy w brzuchu. Danny nie zauważył, że zaczęły odchodzić jej wody płodowe. Na czarnych sztruksowych spodniach nie było tego widać. Ledwo stała na nogach; teraz wszystkie wody odeszły. Musiała się położyć, dostała potwornych bóleści, z którymi trudno było walczyć, bolało tak bardzo, że omal nie zemdląca. Chciałaby zasnąć i obudzić się bez tego bękarta. Długo myślała o tej chwili, od tygodni przygotowywała się do niej, a mimo to nie potrafiła pozbiierać myśli. Trzeba było znaleźć wygodne miejsce, najlepiej z czystym prześcieradłem i coś, czym przetnie pępowinę. Z trudem doczłapała się do łazienki, odkręciła kran; woda z letniej zmieniała się w ciepłą, dopóki nie poleciał wrzątek. Szorowała ręce mydłem kilka razy, aż zaczęła boleć ją skóra od tej temperatury. Wytarła je świeżym ręcznikiem, a potem przeszła do kuchni, żeby znaleźć nożyczki.

Zacząła się robić nerwowa, bo nie mogła nic znaleźć. W końcu w jednej z szuflad odkryła niewielkich rozmiarów nożyczki do manicure; innych nie było, a te przynajmniej były ostre. Sięgnęła po butelkę, którą kiedyś Danny wykorzystał do przemycia rany, i polała nożyczki alkoholem. Traciła siły, a przed nią było dopiero najgorsze. W normalnej sytuacji każdy by spanikował, ale poziom adrenaliny i stresu, które jej towarzyszyły, były tak duże, że paradoksalnie utrzymywały ją w pełnej świadomości i bez lęków. Jedyne, czego chciała, to pozbyć się tego czegoś. Dotarła do łóżka i położyła się powoli, rozstawiając nogi. Czekala; ból raz przychodził, raz odchodził. Nic się nie działo. Nie miała pojęcia, czy trzeba przeć, czy jeszcze poczekać. Leżała tak ponad kwadrans, cicho płacząc. Nagle coś się zaczęło dziać. Poczula napięcie i zdenerwowanie. Zaciskała zęby i dźwigała się co chwilę, jakby wiosłowała na łodzi. W pewnym momencie poczula przeszywający na wskroś ból, jakby coś w niej pękło. Krzyknęła na cały głos i łzy poleciały jej jeszcze bardziej. Była cała spocona, a twarz mocno jej poczerwieniała. Czula, że odchodzą jej siły, ale nie mogła się poddać, nie teraz! Chwyciła dłońmi swoje uda i podciągnęła je wyżej, a gdy zerknęła na swoje krocze, omal nie wrzasnęła z przerażenia, wydając z siebie nic nieznaczące „Aaaah!”. To była główka, jeszcze nie cała, ale spora jej część wystawała na zewnątrz. Opadła na poduszkę i zaczęła nerwowo oddychać. Wiedziała, że nie może dłużej zwlekać, teraz albo nigdy: kilka szybkich i mobilizujących wdechów i wydechów i z całej siły parcie. Coś ruszyło. Potem znowu to samo. Gdy była w stanie zobaczyć połowę ciała, zebrała się w sobie i jednym ostatecznym pchnięciem wyrzuciła to z siebie, wydając potworny jęk. Nie patrzyła, nie chciała. Musiała uspokoić bicie serca. Nic nie słyszała; miała nadzieję, że nie żyje. Nagle rozległ się płacz. Żyło. Carina nie ruszała się; najważniejsza była ona, nic innego ją nie obchodziło. Noworodek płakał cały czas i coraz głośniej. Zaczęło ją to denerwować. Chciała się podnieść, ale była zbyt słaba. Po kilku minutach znowu coś poczula, jakby lekkie skurcze. Uświadomiła sobie, że przecież pozostało w niej łóżysko.

Poczuła obrzydzenie, ale zaczęła naciskać na brzuch. Było to niekomfortowe, ale przynajmniej bezbolesne. Pomogło. Czowała, jak powolutku wydała łożysko. Instynktownie zmusiła się do lekkich parć. Po kwadransie wszystko było już na zewnątrz. Cały czas słyszała irytujący płacz. Z wielkim trudem dźwignęła się i zobaczyła zalane krwią i obślizgłą mazią łóżko. Obawiała się, że zaraz zwymiotuje. Odszukała nożyczki i drżącą ręką zbliżyła je do pępownicy. Teraz nie było odwrotu, musiała na to popatrzeć. Skrzywiła się i zmarszczyła brwi. Było okropne, takie poczwarkowate, i choć nigdy nie widziała noworodka tuż po porodzie, była przekonana, że powinien być ładniejszy... normalniejszy. Dostrzegła jeden szczegół, który tylko utwierdził ją w przekonaniu, że go nienawidzi: między palcami rąk i nóg miało błony. Nie takie jak każdy, tylko większe. Całe ciało było obślizgłe, sino-czerwone, po prostu brzydkie. Jednym ruchem odcięła pępownicę, pozostawiając jej nieco więcej niż powinna, ale nie miała o tym zielonego pojęcia. Chwyciła za gumkę recepturkę i mocno owinęła ją kilka razy wokół pępka. Ono cały czas płakało. Teraz wiedziała, że „ono” zyskało płęć - to był on. Nienawidziła go. Zerknęła na zegarek. Od chwili, gdy Danny wyjechał, minęły cztery godziny. Mógł się tu zjawić lada chwila, nie mogła czekać. Najchętniej wbiłaby nóż w serce tego bękarta, ale nie miała tyle odwagi. Trzeba było wymyślić inny sposób, żeby się go pozbyć. Przypomniała sobie, jak to się wszystko zaczęło, przypomniała sobie o łodzi z czarnoskórym kapitanem Nandu i uznała, że owoc tego gwałtu powinien zakończyć swoje krótkie, parszywe życie tak samo, jak je rozpoczął. Owinęła go w kocyk i pozostawiła na łóżku. Przestał płakać prawdopodobnie dlatego, że poczuł wokół siebie miękkie i ciepły materiał. Carina cała brudna i pokrwawiona poszła do łazienki. Nie miała siły na nic więcej, jak tylko zamoczyć ręcznik w gorącej wodzie i otrzeć nim swoje brudne ciało. Z jeszcze większym trudem założyła spodnie - te same, czarne, które były mokre od wód płodowych, ale innych nie miała pod ręką. Potem narzuciła szeroką kurtkę i wzięła zawiniątko, chowając pod klapą

ubrania. Wcale nie chodziło jej o to, żeby nie było mu zimno, nie chciała jedynie, by ktoś je zobaczył. Wyszła z domku i powoli kierowała się w lewo. Musiała pokonać niemal pół kilometra, żeby dojść do miejsca, które przyszło jej do głowy. Na szczęście, nie spotkała nikogo po drodze, gdyż każdy z pewnością zwróciłby uwagę na stan, w jakim się znajdowała: coś pomiędzy wyczerpaniem a obłędem. Na dodatek z zawiniątka zaczął ponownie wydobywać się płacz.

Jeszcze żyje - pomyślała.

W końcu dotarła na miejsce. Zbliżyła się do krawędzi wysokiej skarpy i spojrzała w dół. Dzielilo ją przynajmniej dwadzieścia metrów, może więcej. Wiał dość ciepły, ale silny wiatr, który zagłuszał płacz noworodka, a także inne odgłosy dobiegające z otoczenia, Carina nie mogła więc usłyszeć nawoływania dobiegającego z za jej pleców. Wyciągnęła zawiniątko i gdy była już gotowa, żeby je rzucić, usłyszała wołanie. Odwróciła głowę i zobaczyła jakichś ludzi biegnących w jej stronę. Zbliżali się dość szybko. Wśród nich rozpoznała Danny'ego.

- Nie rób tego, słyszysz! - Próbował ją powstrzymać.

Carina zaczęła płakać i musiała wyglądać na naprawdę zdesperowaną. Wszyscy inni zatrzymali się w pewnej odległości, tylko Danny szedł w jej stronę, wyciągając rękę.

- Proszę, nie rób tego. Możesz je oddać, ale nie rób mu krzywdy. Carina, słyszysz mnie? Proszę, oddaj mi go, wszystko będzie do...

Zamarli w bezruchu. Nie mogli w to uwierzyć! Wyrzuciła go, tak po prostu. Potem upadła na ziemię. Wtedy wszyscy ruszyli w jej stronę. Danny pochylił się nad nią:

- Dlaczego? Dlaczego to zrobiłaś? - płakał.

Jeden z mężczyzn wydał rozkaz aresztowania obojga, przy czym Danny został zakuty w kajdanki, a Carina najpierw miała trafić do szpitala. Jeden z agentów stał przez dłuższą chwilę przy krawędzi skarpy, próbując wypatrzeć ciało niemowlęcia. Po chwili podszedł do niego drugi:

- Nie ma szans. Z takiej wysokości... zabiła go.

- I tak musimy zlecić poszukiwania. Zajmij się tym.

Istniały jasne wytyczne dotyczące Cariny i Danny'ego, o czym wkrótce mieli się przekonać.

## ROZDZIAŁ 67

Westport, 27 kwietnia 2014

Paul od rana robił porządki w przydomowym garażu. Ponieważ domek nie był przez nich często zamieszkiwany, nazbierało się po kątach sporo zupełnie niepotrzebnych rupieci, a ponieważ pogoda była cudowna, postanowił, że należy to w końcu ogarnąć. Domek Gordonów znajdował się dość daleko od innych budynków. Najbliższy ledwo było widać zza gęstego lasu porastającego tereny sąsiadujące z długą i szeroką plażą. Na swój sposób było to korzystne, gdyż dzięki temu mieli ciszę i spokój, ale gdyby wymagali pilnej pomocy, dystans mógł się okazać absolutną wadą. Był jeszcze jeden powód, dla którego Paul zabrał się za sprzątanie: cholernie mu się nudziło. Kochał Liz i wiedział, że wytrzyma jeszcze kolejny miesiąc, ale nie mógł się doczekać, kiedy urodzi się dziecko, a on wróci wreszcie do pracy. Czasami potajemnie dzwonił do Johna albo swoich rodziców, bo kilka miesięcy spędzonych na takim odludziu dawało mu się we znaki. Robił to tylko dla żony i ze względu na dziecko; cieszył się, że tym razem się udało. Teoretycznie do porodu pozostało pięćdziesiąt dni, ale liczył, że namówi Elizabeth, by wyjechali wcześniej. Od rana myślał, jakich argumentów użyje i jak powinien przeprowadzić rozmowę, aż w końcu odłożył narzędzia i poszedł z nią porozmawiać, licząc na mały cud. Zastał ją siedzącą w fotelu przed telewizorem. Miała skwaszoną minę.

- Jak idą porządki? - zapytała.

- Świetnie, garaż posprzątny, zacząłem też przeglądać graty w tej małej komórce, ale muszę chwilę odpocząć. A ty jak się czujesz?

- Nie wiem.

- Jak to nie wiesz?

- Dziwnie. Chyba się stresuję.

- Czym?

- Powrotem do Portland i porodem.

- Kochanie, wszystko będzie dobrze. Przecież nie możemy tu zostać na wieki, i tak długo wytrzymaliśmy...

- Co masz na myśli? Sądziłam, że jesteś tu szczęśliwy. Sam powiedziałeś, że urlop był ci potrzebny.

- Urlop, Liz, a nie wyprowadzka na pół roku. Zrobiłem to dla ciebie, żebyś czuła się komfortowo, ale pora wracać. Chyba nie zamierzałaś tu zamieszkać? Poza tym, mimo wszystko, powinnaś robić badania raz na miesiąc, tak jak każda kobieta w ciąży, a ty ostatnio badałaś się w listopadzie.

- Czyli cały czas mnie okłamywałaś?

- Liz, nie wygłupiaj się, wiesz, że to nieprawda. Lubię tu przebywać, ale mam już dość tego odludzia. Chcę wrócić do pracy. Teraz będzie trzeba utrzymać nie tylko nas, ale i dziecko.

- Aha, czyli jestem nierobem, którego musisz utrzymywać?

- Liz, sądzę, że twoje hormony szaleją, bo cię nie poznaję. Kocham cię najbardziej na świecie i nigdy, przenigdy nawet przez myśl mi nie przeszło, że jesteś darmozjadem. Jak w ogóle możesz tak mówić?

- To może już nic nie będę mówić.

- Liz...

Paul spróbował przytulić żonę, ale najwidoczniej sobie tego nie życzyła, bo odsunęła się od niego i powiedziała, że chce zostać sama. Paul znał swoją żonę i wiedział z doświadczenia, że gdy dopada ją foch, to wtedy najlepiej zostawić ją w spokoju. Jak zwykle, podąsa się chwilę, a potem przyjdzie się przytulić i znowu wszystko wróci do normy. Wielokrotnie mieli takie starcia,



zwłaszcza gdy chodziło o matkę Paula, której Liz nie znosiła.

- Jak chcesz, przejdę się po plaży, a ty sobie odpocznij ode mnie.

Wychodząc, założył tylko czapkę z daszkiem, bo słońce zaczynało coraz mocniej grzać. Zatrzymał się na chwilę na werandzie i spojrzał na horyzont. W oddali ledwo majaczyło rozmazane wybrzeże drugiej strony zatoki. Zszedł ze schodów i ruszył w prawo. Szedł wzdłuż krawędzi plaży. Praktycznie nie było fal, lustro wody jedynie delikatnie falowało. Paul szedł zamyślony z rękami w kieszeniach spodni. Słońce grzało przyjemnie, przebijając się przez jego koszulę. Cieszył się, że zabrał czapkę, bo gdyby nie daszek, miałby spalone na raka czoło i nos - jak zwykle działo się w jego przypadku, gdy pierwsze kwietniowe promienie dotykały jego skóry. Nie zdawał sobie sprawy z tego, jak długo spacerował, kierując się coraz bardziej na wschód. Spojrzał na zegarek i chwilę się zastanowił; wyglądało na to, że chodzi już ponad godzinę, a trzeba było jeszcze wrócić taki kawał drogi. Już miał zawrócić, gdy coś przykuło jego uwagę. Przetarł oczy z niedowierzania.

- To niemożliwe - powiedział i zaczął zbliżać się w kierunku dziwnego kształtu dryfującego na płyciźnie.

W miarę jak podchodził, oczy otwierały mu się szeroko ze zdziwienia. Zaczął biec, był już po pas w wodzie, gdy w końcu dosięgnął... dziecka. Chwycił je w pośpiechu i wyciągnął z wody. Jako ginekolog potrafił ocenić, że był to noworodek, który miał za sobą nie więcej niż kilka dni życia. Wybiegł na brzeg i położył zawiniątko na piasku. Dziecko oddychało, ale jeszcze nie potrafiło otworzyć oczu. O dziwo, wcale nie było bardzo wyziębione. Mimo to ściągnął pośpiesznie koszulę i owinął maluszka dokładnie. Był to chłopczyk. Dziecko zaczęło pojękiwać i krzywić buzię. Paul pędził co sił, żeby jak najszybciej oddać malucha pod opiekę lekarską i powiadomić o tym zdarzeniu policję. Ledwo dyszał, ale świadomość, że musi uratować chłopczyka, była bardzo motywująca. Wpadł do domu jak z procy i zaczął krzyczeć:

- Liz! Liz! Gdzie jesteście?!

Biegał z niemowlakiem po całym domu i omal go nie upuścił, gdy zobaczył żonę leżącą na ziemi. Pośpiesznie odłożył malca na fotel i podbiegł do żony.

- Rany boskie, co się dzieje, kochanie?! Słyszysz mnie? Mów, co się stało?

Słyszał, że coś próbuje mówić, ale była tak słaba, że musiał zbliżyć ucho do jej ust, aby zrozumieć.

- Wody... wody mi odeszły, to chyba już... źle się czuję, Paul, boję się...

Uchwyciła się jego kołnierzyka. Paul zobaczył, że Liz leży w kałuży własnych wód płodowych. Wziął ją na ręce i ułożył na łóżku. Nie było czasu na wezwanie karetki, a już na pewno nie zdążyliby dojechać do szpitala, bo z tego odludzia trzeba było jechać przynajmniej trzydzieści albo czterdzieści mil, żeby dotrzeć do najbliższej placówki zdrowia. Starał się być opanowany, ale to w końcu nie była jakakolwiek pacjentka, tylko jego kochana Liz. Biegał jak poparzony, szukając wszystkiego, co będzie mu potrzebne, żeby odebrać poród. W jego torbie znajdowało się niewiele po ostatniej kradzieży i z tego powodu nie mógł porządnie zbadać żony i sprawdzić, co się dzieje z dzieckiem.

- Wytrzymaj, skarbie, zaraz urodzimy. Muszę umyć ręce i już do ciebie wracam. Wszystko będzie dobrze.

Nie chciała puścić jego ręki, ale jakoś się oswobodził. Wrócił natychmiast i rozpoczął akcję porodową, jednocześnie starając się utrzymać żonę świadomą, bo miał wrażenie, że zaczyna mdleć. W głowie szybko policzył, że to ósmy miesiąc. Miał obawy. Wcześniaki z miesiący nieparzystych zawsze są w lepszej kondycji niż te z parzystych. Lepiej więc urodzić w siódmym niż ósmym miesiącu. Cały się trząsał. Żałował, że pozwolił Liz na tak długi pobyt na tej wsi i nie zadbał o jej regularne badania. Gdyby byli w Portland, nie doszłoby do tego, a szpital mieli tam dosłownie pod nosem.

- Elizabeth! - krzyczał. - Nie waż się zasypiać, słyszysz?!

Poklepał ją lekko po policzku; otworzyła oczy i kiwnęła, że rozumie. Była bardzo słaba. Musiał szybko działać. Liz starała się wypełniać polecenia, jakie wydawał jej Paul. Był zaniepokojony, dotykając brzucha żony: był twardy jak kamień. Wziął głęboki oddech i ponownie zaczął do niej mówić:

- Oddychaj spokojnie, teraz trzy porządne wdechy i wydechy i z całej siły przesz! No, dalej, maleńka!

Po kilku nieudanych próbach w końcu coś drgnęło, zaczął dostrzegać główkę. Lis potwornie się męczyła i traciła na sile. Z każdym parciem słabła coraz bardziej. Paul był przerażony. Akcja porodowa trwała niemal pięćdziesiąt minut. To był koszmar. Trzymał już w rękach prawie całe ciało, jeszcze tylko raz i wyjdzie zewnątrz.

Liz nie dała rady. Paul delikatnie wyciągnął stópki dziecka z jej łona. Niestety, potwierdziły się jego obawy. Szybko owinał noworodka w prześcieradło. Liz nawet nie miała siły się podnieść. szeptała tylko: „Paul, Paul... Paul...”

Nastąpiła cisza, którą przerwał płacz dziecka. Paul ocknął się i spojrzał na Liz; była uśmiechnięta, słysząc dziecko. Na więcej nie starczyło jej sił. Zasnęła, ciesząc się, że maleństwo jest już na świecie. Tylko to się liczyło.

## ROZDZIAŁ 68

Waszyngton, 9 maja 2014

- Dowiedziałaś się czegoś?

Mayer był wkurzony. Pozbawiony skrupułów najchętniej już teraz posłałby Carinę do rysztoła, by zamilkła na wieki. Od dnia aresztowania minęły dwa tygodnie. Carina przez cały ten czas przebywała w szpitalu, nie tylko pod okiem lekarzy, lecz także, a może przede wszystkim, była pilnie obserwowana przez władze. Nikt nie miał prawa się z nią widzieć. Oczekiwano dnia, kiedy stan zdrowia pacjentki będzie wystarczająco dobry, by przedstawić jej zarzuty. Doktor Danny Passrowher usłyszał je już wcześniej. Niewiele różniły się one od wersji, którą dawno temu przewidział. Został oskarżony o próbę zdrady stanu poprzez usiłowanie wyjawienia ściśle tajnych informacji, co godziło w najistotniejsze interesy państwa i tym samym zagrażało jego bezpieczeństwu. Proces trwał krótko i zakończył się bardzo łagodnym wyrokiem dla doktora - dostał karę pięciu lat pozbawienia wolności w zawieszeniu tylko dlatego, że nie udowodniono mu faktycznej zdrady. Właściwie jedynym przestępstwem, jakie popełnił w rozumieniu prawa, było samowolne opuszczenie stanowiska pracy, czyli zaprzestanie pełnienia dotychczasowych funkcji wobec agencji rządowej, której bezpośrednim zwierzchnikiem jest Departament Handlu Stanów Zjednoczonych Ameryki, uprowadzenie obywatelki innego kraju - mimo iż ta twierdziła, że

poddała się temu dobrowolnie, ucieczka przed władzą, świadome ukrywanie się przed wymiarem sprawiedliwości przez okres pięciu miesięcy, narażenie zdrowia lub życia obywatelki Portugalii, mimo posiadanej wiedzy o jej stanie, a dokładnie o fakcie, że była w ciąży, co zdaniem sądu było nieetyczne i narażło kobietę na szereg powikłań, fizycznych i psychicznych, w konsekwencji czego doprowadziło do tragicznego zdarzenia, jakim było odebranie życia nowo narodzonemu dziecku. Danny Passrowher został na zawsze odsunięty od swoich obowiązków i dyscyplinarnie zwolniony z pracy w trybie natychmiastowym oraz bezwzględnie zakazano mu przekazywania jakichkolwiek informacji mających choćby najmniejszy związek z uprzednio wykonywanymi zadaniami pod groźbą dożywotniego więzienia lub nawet kary śmierci. Wyrok był prawomocny, a do tego utajniony.

- Zgodnie z informacją przekazaną przez lekarza prowadzącego, oskarżona może już składać wyjaśnienia.

Mayer czekał na taką wiadomość.

- Świetnie, trzeba się teraz dowiedzieć, co dokładnie powiedział jej Passrowher. Jeśli okaże się, że niewiele, to masz osobiście doprowadzić ją do samolotu i odesłać do jej kraju z dożywotnim zakazem wstępu na terytorium Stanów Zjednoczonych.

- A jeśli przekazał jej jakieś istotne informacje?

Steven Mayer spojrzał na agenta w taki sposób, jakby ten zapytał, który z siedmiu krasnoludków najbardziej kocha Królową Śnieżkę.

- A ty od kiedy tu pracujesz? - Wkurzył się. - Zapakujecie ją do psychiatryka o zaostrowym rygorze, gdzie odbędzie swoją karę więzienia, i postaracie się, żeby nigdy nie opuściła jego murów. Proste?

- Z całym szacunkiem, szefie, kto ma za to zapłacić? To jest obywatelka Portugalii. Czemu nasz rząd ma opłacać jej pobyt i utrzymanie w szpitalu psychiatrycznym?

Mayer uśmiechnął się na swój cwany, lisi sposób.

- A kto powiedział, że będziemy ją długo... utrzymywać? Ludzie

z takimi schorzeniami psychicznymi jak ona mają silną tendencję do robienia bardzo głupich rzeczy. Gwarantuję ci, że długo nie zagości w swoim nowym „hotelu”. Jazda, sprowadź mi ją tutaj, chcę mieć to już za sobą.

Agent kiwnął głową na znak, że przyjął polecenie służbowe, a gdy już miał wyjść, chwytając za klamkę, zrobił obrót i zadał ostatnie pytanie:

- Czy powiadomić jej rodzinę?

- Zaczekajmy z tym. Gdy będzie już osadzona, zabronimy widywań z nią, oczywiście poza rodziną. Wtedy ich powiadomisz. Nie sądzę, żeby starej matce chciało się tu przyjeżdżać. Idź już i powiedz, żeby mi nikt nie przeszkadzał, mam teraz konferencję.

Podwładny ponownie kiwnął głową i wyszedł, zamykając za sobą drzwi.

## ROZDZIAŁ 69

Westport, 27 kwietnia 2014, godz. 14:00

Elizabeth zasnęła z wycieńczenia. Paul zaczął panikować; nie wiedział, co robić: czy wzywać policję, czy od razu jechać z Liz do szpitala. Co ze znalezionym noworodkiem? Co z martwym noworodkiem?

- Skąd, kurwa mać, niemowlę znalazło się w oceanie? - wybełkotał zdenerwowany. - Myśl, stary, myśl szybko...

Jeszcze chwilę szamotał się po pokoju, zerkając to na żonę, to na dwie istotki znajdujące się w stanie, który jeden określiłby jako dziwny, a drugi jako nieżywy. W końcu się opanował, wygrzebał z torby jedyny ciśnieniomierz, jaki posiadał, i zbadał żonę. Następnie sprawdził, czy aby na pewno nie gorączkuje. Stwierdziwszy, że stan jej zdrowia jest raczej stabilny, zabrał się za sprzątanie. Trzeba było wyrzucić zakrwawione prześcieradła, ale przede wszystkim umyć Liz, bo całe ciało od pasa w dół było we krwi, która zaczęła już zastygać i ciemnieć. Pobiegł po miskę z gorącą wodą z odrobiną mydła. Delikatnie ocierał jej ciało i kilkakrotnie ponownie napełniał miskę czystą wodą. Gdy skończył, wyszukał w szafie długą koszulę nocną i przebrał ją w świeże ubranie. Liz na chwilę się ocknęła, ale gdy Paul zaczął do niej mówić, że tylko ją przebiera, natychmiast zasnęła. Przygotował czystą pościel w saloniku na kanapie i tam ją przeniósł, przykrywając kocem. Spała jak kamień, musiała być wyczerpana.

Teraz najgorsze: dzieci. Zmył twarz zimną wodą i nieco się ocucił, wziął głęboki oddech i stanął na środku pokoju, który wyglądał jak istna rzeźnia. Serce podpowiadało mu, żeby zajął się najpierw zwłokami swojego dziecka, ale etyka lekarska podpowiadała mu, że powinien ratować istniejące życie. Podszedł do niemowlaka, który już tylko cichutko pochlipywał, poruszając delikatnie rączkami. Teraz mógł ocenić jego stan. Nie miał żadnej wątpliwości, że przyszedł na świat bardzo niedawno, że pępowina była odcięta nieprofesjonalnie i ktoś zawiązał ją jakimś sznurkiem lub gumką! Wziął chłopczyka na ręce i poszedł do łazienki. Umył go w odpowiednio ciepłej wodzie, żeby nie dostał szoku termicznego. Wyglądało na to, że malec całkiem dobrze radzi sobie z niską temperaturą. Nie miał pojęcia, w jaki sposób znalazł się w oceanie ani jak długo tam przebywał, ale i tak był pełen podziwu, że nie umarł z wyziębienia i... że w ogóle przeżył. Na ciałku miał jeszcze piasek i jakieś nieliczne wodorosty, które przykleiły się do skóry, gdy był w wodzie. Umył go z ogromną troskliwością, następnie musiał odciąć zbyt długą pępowinę, tak by pępuszek miał szansę normalnie się zagoić. Posłużył się specjalnymi nożycami, które na szczęście nie zostały mu skradzione z torby tamtego feralnego dnia, nałożył specjalny klips i odkaził ranę, po czym owinął chłopca we frotowy ręcznik i odłożył do dużego pudła, bo tylko ono wydało mu się wystarczająco bezpieczne, żeby maluch nie wypadł. Teraz nadszedł moment, kiedy musiał zmierzyć się z najgorszym. W swojej długiej karierze lekarskiej nie raz był w takiej sytuacji, ale nigdy nie dotyczyła ona jego potomka. Na podłodze leżało małe, sine ciałko jego syna. Znał takie przypadki. Dziecko przyszło na świat martwe i najprawdopodobniej jego serce przestało bić przed porodem. Nie mogli o tym wiedzieć, bo zaniedbali podstawowe badania. Czuł się winny, ale nic już nie mógł z tym zrobić. Stał teraz przed najtrudniejszą decyzją w życiu i musiał ją podjąć, zanim Liz dojdzie do siebie. Uklęknął nad dzieckiem i zaczął płakać. Nigdy nie był zbyt wierzący, kwestię wiary traktował raczej jako pewną formalność. Teraz po raz pierwszy pomyślał o Bogu. Wyobraził



sobie, że malutka duszyczka unosi się w stronę nieba i żegna z mamą i tatą. Płakał, tuląc zimne już ciało. Nie mógł pozwolić, żeby Liz poznała prawdę, bo to by ją zabiło. Otarł łzy i zerknął na tekturowe pudełko. Wszystko zaczęło się układać w logiczną całość, w jakiś jeden absurdalnie logiczny ciąg zdarzeń, który tylko trzeba było zaakceptować i przyjąć do wiadomości. Spojrzał raz jeszcze na zwłoki, przyłożył dłoń do jego malutkiej twarzyczki i pomyślał w duchu: „Żegnaj, aniołku”. Odszukał jeszcze jeden czysty kocyk w szafie i dokładnie zawinął w niego nieżyjącego synka. Następnie poszedł do kuchni, mijając śpiącą w saloniku Elizabeth i rozejrzał się wkoło. Pamiętał, że Liz miała taką ładną drewnianą skrzynkę, w której trzymała swoje „skarby” - wszystko, co uznała za bezcenne: kamyczki i muszelki, które znalazła na plaży, stare zdjęcia z czasów, gdy byli jeszcze narzeczeństwem, plastikową bransoletkę ze świecących serduszek, które dostała w prezencie od swojej pięcioletniej chrześnicy, i wyjątkowe książki, których strzegła jak złota faraonów. Tak, jeżeli ich syn ma spocząć na wieki, to ta piękna skrzynka była idealną trumną. Wyciągnął po cichu ze środka wszystkie szpargały, by nie zbudzić żony, i odłożył na stolik. Już miał odejść, gdy nagle jego uwagę przykuło jedno ze zdjęć skrywanych w „trumencie”. Podniósł je i uśmiechnął się. Byli na nim oboje z Elizabeth, krótko po tym, jak się poznali. Zabrał je ze sobą. W sypialni otworzył drewniane wieko i ostrożnie włożył do środka zawiniątko. Na kocyku zostawił zdjęcie.

- Spoczywaj w pokoju, zawsze będziemy z tobą.

Zamknął wieko i zapiął skrzynkę na kłódkę. Kluczyk schował do kieszeni. Następnie pozbierał brudne prześcieradła i wyniósł je przed domek blisko brzegu. Oblał szmaty benzyną z małego kanistra, po czym niezwłocznie podpalił. W mgnieniu oka pochłonął je wielki płomień. Patrzył, jak doszczętnie nikną trawione przez ogień. Wyciągnął z kieszeni kluczyk i z całej siły cisnął go do oceanu. Wrócił do środka, a Liz nadal spała. Przystawił rękę do jej czoła; na szczęście nie miała gorączki. Teraz należało pochować trumnę z dzieckiem. Nawet jeżeli Liz się przebudzi, nie będzie

miała siły wstać. A jeśli wstanie, to i tak pierwsze co zrobi, to poszuka dziecka. Znajdzie go w pudełku, sądząc, że to jej synek. Na skrzynię nie zwróci uwagi. Poszedł więc do garażu po szpadel i wyszedł na zewnątrz. Musiał dobrze wybrać; uznał, że najlepszym miejscem pochówku ich synka będzie fragment trawnika na wąskim przejściu pomiędzy domkiem a garażem; nikt nie zechce sadzić tam drzew ani roślin ze względu na to, że było to miejsce wiecznie zacienione, do którego nigdy nie docierało słońce. Od wielu lat Liz powtarzała, że co najwyżej może tu być trawnik. Starannie wybrał darni. Na szczęście trawnik nie zaczął jeszcze w tym roku się zielenić, więc nie było obawy, że ktoś zauważy przekopany kawałek trawy. Wybrał górne fragmenty podłoża i jeden po drugim układał obok; następnie przywiózł taczkę i zaczął wsypywać do niej wykopaną ziemię. Okropnie się zmęczył, ale nie było czasu na odpoczynek. Zaczęły mu się już robić pęcherze na dłoniach od długiego ściskania łopaty, ale kopał dalej. Gdy uznał, że dół jest wystarczająco głęboki, poszedł po trumienkę i usadowił ją równo na dnie dołu. Rozejrzał się wkoło; obok leżały różne kamyczki, więc podniósł jeden, który przypominał wapień. Schylił się i mocno przyciskając kamyk do wieka, narysował krzyż. Przeżegnał się, po czym podjechał z taczką na skraj dziury i wysypał jej zawartość do dołu. W ten sposób zyskał sporo na czasie. Zaczął uklepywać i ubijać ziemię, powrzucał też wiele kamieni i żwirku, żeby ziemia się nie zapadła. Zanim przysypał ostatnią warstwę, ułożył wzdłuż kilka desek. Teraz raz jeszcze udeptał wszystko i przykrył kawałkami suchej darni. Odłożył szpadel i ocenił swoją pracę. Niepokoiło go, że jakiś pies rozkopie ten fragment ziemi, zanim trawa porządnie się rozrośnie. Dał sobie czas, żeby zastanowić się, czym ten fragment przykryć. Teraz jednak musiał wrócić do niemowlaka. Jeśli nie dostanie jeść, może się odvodnić i doprowadzić do kolejnej tragedii. Gruczoły mlekowe Liz były w gotowości, ale ona jeszcze spała. Jedyne, co mógł dać maluchowi, to podgrzane mleko z kartonu. Wiedział jednak, że to może mu zaszkodzić. Musiał wziąć sprawy w swoje ręce. Bez względu na

śpiącą i zmęczoną Elizabeth chwycił ją silnie pod pachy i stojąc za kanapą, podciągnął do pozycji półleżącej. Liz zareagowała, ale oczywiście się jej kleiły.

- Kochanie, musisz nakarmić synka.

Na te słowa otworzyła oczy i uśmiechnęła się.

- Chciałam go zobaczyć, ale byłam taka zmęczona. Wiem, że się nim zająłeś...

- Już dobrze, Liz. Wszystko jest dobrze. Podam ci go, jest bardzo głodny. Potem znowu odpoczniesz.

Kiwnęła głową. Paul zdawał sobie sprawę, że jeżeli Elizabeth przyjrzy się jego rączkom, może się zaniepokoić albo nawet zestresować. Przygotował więc malca tak, żeby nie mogła ich widzieć. Pośpiesznie wyciągnął go z ręcznika i ocenił jego wygląd pozytywnie - skórka nieco mu się zaróżowiła. Ubrał go w swoją koszulę, tak że wystawała mu jedynie główka, a długie rękawy całkowicie zakryły maleńkie rączki.

- Coś ty mu założył? - Rozbawiła się Liz. - Widać, że to ja będę chodzić z nim na zakupy po ubrania, ha, ha.

- Wybacz, tylko to było pod ręką, a nie uprzedzałaś, że tutaj zamierzasz urodzić. - Odwzajemnił uśmiech.

Przyłożył malca do jej piersi, a potem ona objęła go czule. Nie miała zielonego pojęcia, co ma robić, ale natura zajęła się wszystkim sama. Chłopczyk przyssał się do sutka i pił tak długo, aż przestał pojękiwać. Paul cały czas był obok. Gdy maluszek przestał ssać i rozchylił nieco usteczka, wiedzieli, że zasnął. Paul wziął go na ręce; mimo wszystko należało go trochę ponosić w pozycji pionowej. Chłopczykowi kilka razy się odbiło, a za ostatnim razem zwrócił trochę pokarmu w postaci ściętego serka. Potem zadowolony i z pełnym brzuszkiem zasnął w mgnieniu oka. Liz też potrzebowała odpoczynku, ale obserwowała, jak mąż zajmuje się ich nowo narodzonym dzieckiem.

- No, spełniłaś swój pierwszy matczyzny obowiązek. Sądzę, że nie powinien się obudzić przez następną godzinę albo nawet dwie. Położę go, a tobie niech się przyśni, jakie będzie nosił imię.

Elizabeth nie chciała do tej pory wybierać imienia z tego samego powodu, dla którego nie chciała znać płci dziecka - żeby nie zapeszyć. Teraz jednak mogła spokojnie dać się ponieść fantazji. Zasnęła. Paul umył podłogę w sypialni; nadal były na niej ślady krwi. Gdy skończył, wyszedł na zewnątrz. Trzeba było czymś zabezpieczyć grób. Odszukał jeszcze kilka desek w szopce i ułożył je wprost na ziemi, tworząc coś w rodzaju palety. Obok garażu leżały równo poukładane cegły - kiedyś zamierzał zbudować przed domkiem palenisko, tak żeby można było na nim grillować albo piec kiełbaski nad ogniem. Postanowił, że je tu przeniesie. Uwijał się jak mrówka, ale był pewien, że wieczorem lub jutro rano nie będzie mógł się ruszać z bólu. Nie był przyzwyczajony do tak ciężkiej pracy fizycznej, a to, czego dokonał dzisiaj, przekraczało jego miesięczne albo nawet roczne pokłady sił. Po godzinie cegły były pięknie ułożone na drewnianym podeście, tworząc coś na kształt małej piramidki. To wszystko, co mógł zrobić. Pomodlił się chwilę w duchu. Później usiadł wykończony na schodach werandy i wykonał telefon.

- John, będziemy wracać z Liz. Urodziła... Tak, dobrze słyszysz, ale to długa historia. Dziecko nas zaskoczyło... Wiem, mówiłem jej to, ale się uparła. No, w każdym razie już jest po wszystkim. Co?... Ja przyjąłem poród. Oboje czują się dobrze... przyjadę najszybciej, jak to możliwe. Wiem, ale uwierz mi, padam z nóg, a i Liz cały czas śpi. Nie pojedę w takim stanie. Co? Daj spokój, nie musisz... Poważnie, zrobiłbyś to? Nie wiem, jak ci dziękować, to miło z twojej strony. John... John, słuchaj, jest jeszcze coś, ale to tajemnica. Musisz mi coś doradzić... Dziecko jest zdrowe, ale urodziło się z przerośniętymi błonami między palcami. Co?... Ręk i nóg... No wiem, że są takie przypadki, ale Liz jeszcze o tym nie wie, nie miała siły, żeby mu się przyjrzeć. Myślisz, żeby to operować? No dobra, pogadamy na miejscu. Czekam więc. Do zobaczenia.

# ROZDZIAŁ 70

Polska, Galszyna Leśna, 5 maja 2014

Wreszcie zrobiło się cieplej. Ayli nie znosiła zimy. Na spadający z nieba śnieg, który potem długo zalegał, utrudniając życie kierowcom, zwykła mawiać: „to białe gówno”. Tak więc cieszyła się, że w końcu „białe gówno” stopniało, a jedynie niewielkie kupki, brudne od spalin, piachu i błota, pochowały się w bardziej zacienionych miejscach między budynkami. W tym roku zima była wyjątkowo długa. Jeszcze miesiąc temu temperatura nie przekraczała pięciu stopni Celsjusza, a wieczorami spadała nawet do zera. Zaparzyła sobie kawę „po turecku”, która z Turcją nie miała nic wspólnego (znacznie trafniej brzmiało określenie „kawa z gruntem”), i usiadła z tyłu domu na niewielkiej werandzie z widokiem na sad, pozwalając, by promienie słońca pieściły jej twarz. Czekало ją jeszcze sporo pracy - do jutra musiała przetłumaczyć ostatnie trzydzieści stron książki, ale jak często mawiała: „są pewne priorytety”. Zazwyczaj kończyło się to nieprzespaną nocą, by zdążyć na czas z czymś, co mogła dokończyć bez pośpiechu wcześniej, no ale... były przecież inne priorytety. Kiedyś nawet próbowała z tym walczyć - na ogół miała dość restrykcyjne i zdyscyplinowane podejście do życia i ludzi, ale ostatecznie pogodziła się z faktem, że nikt nie jest doskonały. Gdy dopijała ostatni łyk kawy, zjawił się Nataliusz - jak się o nim wyrażała - dyrektor zarządzający. Zakomunikował swoje, w tym

przypadku, doskonale jestestwo, spojrział na Aylime najpiękniejszymi zezowatymi ślepiami w kolorze dojrzałego piwa, rozdziawił paszczę tak, że gałki jeszcze bardziej rozjechały mu się na dwie strony świata, po czym wskoczył jej na kolana i zionął smoczym oddechem. Ukochane kocurzyno pochodziło z adopcji, ale to nie Aylime go wybrała, lecz on wybrał Ayli. Dogadywali się bez słów, samym tylko spojrzeniem tudzież po kociemu. Nataliusz nabierał ludzkich odruchów, zaś Ayli coraz bardziej zachowywała się jak kot. Prawdę mówiąc, potwornie zazdrościła mu wszystkiego tego, w co natura postanowiła jej nie obdarować: doskonałego słuchu, wzroku i sprytu - mimo zezy - gibkiego ciała, płynnych ruchów i, nade wszystko, funkcyjnych uszu. Uszy funkcyjne w terminologii Ayli to takie, które potrafią obracać się w każdą stronę niezależnie od siebie, a dzięki licznym wibrysom, czułym na najmniejszy ruch czy szmer, zapewniają wybitnie bezbłędną czujność. Nataliusz był cętkowanym, szaroburym kocurem o długim korpusie i szczudłowatych łapach. W oczach Ayli stanowił kwintesencję piękna.

- Dobra, Nani-Nani, pańcia musi popracować - powiedziała, po czym kot natychmiast zeskoczył z jej kolan i znalazł sobie wygodną poduszkę na sąsiednim krześle.

Ruszyła w stronę wejścia do salonu. Nataliusz był jej oczkiem w głowie i miała obsesyjny strach, że mógłby uciec i przepaść na zawsze. Dlatego cały dom był specjalnie zaprojektowany pod kątem Nataliusza. Skomplikowane systemy zabezpieczające przed ucieczką, siłowniki, dzięki którym drzwi zewnętrzne nigdy nie miały prawa pozostać uchylone, kraty w oknach z dodatkowym zestawem moskitier oraz tak zwany kotołap, czyli coś, co ludzie zwykle nazywają wiatrołapem, tu spełniał funkcję pomieszczenia izolującego na wypadek przedostania się zbiega z przedpokoju. Weranda z tyłu domu także stanowiła bezpieczną strefę. Nataliusz pozostał na zewnątrz, ciesząc się rozkosznym słońcem, zaś Ayli usiadła przy biurku w gabinecie. Zamierzała kontynuować tłumaczenie, gdy dostrzegła, że w dolnym pasku ekranu poczta

zasygnalizowała dwie nieodczytane wiadomości. Kliknęła w ikonę koperty. Po temacie i odbiorcy zorientowała się, czego obie wiadomości dotyczą. Nie wiedziała, od której zacząć. Wybrała pierwszą od góry. E-mail zatytułowany: „Promocja książki” został wysłany przez redaktora naczelnego wydawnictwa, z którym Ayli współpracowała od wielu lat. Pan Domański napisał: „Szanowna pani Cavon, jest mi niezmiernie miło poinformować panią, że książka *Oszukać ewolucję* przekroczyła nasze prognozy sprzedażowe i nie tylko wznawiamy nakład, lecz także w związku z ogromnym zainteresowaniem czytelników pojawił się pomysł na tournée promocyjne. W celu omówienia szczegółów uprzejmie proszę o kontakt. Z poważaniem - A. Domański”.

- Cudownie! - Ayli nie kryła zadowolenia.

Kolejny e-mail był niemniej ekscytujący. O ile wiadomość o rewelacyjnej sprzedaży wydanej w Polsce w zeszłym roku książki był powodem do radości, o tyle jeszcze większą niespodzianką był fakt, że zdobyła ona zainteresowanie jednego z amerykańskich wydawców w Nowym Jorku. Pani Kirsten Proudy poinformowała Aylime, że zapoznała się z pierwszą częścią przesłanej powieści i że zaintrygował ją cały konspekt. Prosiła o przesłanie reszty tekstu. Jednocześnie zaprosiła Ayli do siedziby wydawnictwa Love Books Company w celu omówienia możliwości współpracy. To był zdecydowanie udany poranek! Teraz miała motywację, żeby dokończyć tłumaczenie jak najszybciej, w przeciwnym razie nie będzie mogła wysłać wydawcy reszty książki. Nie mogła się doczekać ostatecznej decyzji; oczami wyobraźni już widziała, jak podpisuje kontrakt w Nowym Jorku. Zdawała sobie sprawę, że przed nią jeszcze długa droga, ale wszystko było możliwe. Poza tym wyjazd do Stanów był doskonałym pretekstem i sposobnością, by w końcu spotkać się z Ryanem. Nagle zadzwonił telefon. Na ekranie wyświetliło się imię „Isabel”.

- Isabel! - niemal krzyknęła do słuchawki - Jak miło, że dzwonisz. Wszystko w porządku?... Cieszę się. U mnie także OK, nawet bardzo OK. Opowiem ci, jak się zobaczymy... Tak, właśnie

chciałam potwierdzić, bilet kupiłam kilka dni temu, ale dopiero teraz zaksięgowali płatność i dostałam potwierdzenie lotu... Będę w Lizbonie wieczorem dwudziestego trzeciego i wracam w niedzielę. Słucham?... Nie, nie martw się, nie chcę ci sprawiać kłopotu, zatrzymam się w hotelu. Nie mogę się doczekać, gdy zobaczycie prezent. Lurdes będzie czy wyjeżdża?... To świetnie. A co u was? Naprawdę? To straszne! Nie mówiłaś, że tak długo... myślałam, że wróciła. Matko jedyna! Czy ktoś jej w ogóle szuka? Co?... Aha... Dobrze, porozmawiamy, jak przylecę. Trzymaj się, kochana, i pozdrów Lurdes. Pa!



# ROZDZIAŁ 71

Portland, 29 kwietnia 2014

- Miło jest wrócić do domu - powiedziała Elizabeth, przekraczając próg mieszkania w Portland ku wielkiemu zdziwieniu Paula.

- Nawet nie wiesz, jak się cieszę, Liz.

- Przepraszam, Paul. Byłam egoistką i myślałam tylko o sobie. Dziękuję, że się tak poświęciłeś i... dziękuję, że uratowałeś naszego synka. - Rozpłakała się.

- Nie płacz, nie gniewam się. Kobiety w ciąży mają różne zachcianki. Ale sama przyznasz, że to było nierozsądne. Mogło się źle skończyć...

Kłamał. To nie mogło się skończyć źle, to się skończyło tragicznie, choć na zawsze miało to pozostać dla świata tajemnicą. John był tak uprzejmy, że przyjechał po nich taksówką do Westport i wrócił, prowadząc samochód Paula. Dopiero gdy zobaczył parę z dzieckiem na ręku, zrozumiał, jak bardzo byli wyczerpani. Niemniej jednak Liz należało zawieźć na konsultacje i badania lekarskie, żeby wykluczyć jakiegokolwiek powikłania po porodzie, który odbył się w warunkach domowych i na dodatek miesiąc przed planowanym terminem. Mieli także za sobą rozmowę o paluszkach Marcela - bo tak postanowili nazwać syna. Chłopczyk był w wyjątkowo dobrej kondycji fizycznej, a takie wybryki natury, jak nietypowe przerosty między palcami, zdarzały się często, tylko rzadko się o tym mówiło. Liz się uspokoiła. Postanowili, że

poczekają kilka lat, aż maluch podrośnie, i wtedy zastanowią się, czy będzie potrzebna operacja. Zgodnie z zapewnieniem lekarza, tego typu błonki zanikają w miarę wzrostu i nie są już tak widoczne i rzucające się w oczy, jak to zwykle ma miejsce w przypadku niemowlęcia, które w ogóle jest jeszcze nierozwinięte i lekko zdeformowane. Potem może się okazać, że wyrośnie na wysokiego mężczyznę o wyjątkowo dużych dłoniach i stopach, a błony przestaną być problemem, bo będą niewidoczne. Dla Elizabeth najważniejsze było to, że Marcel jest silny i zdrowy. Była najszczęśliwszą kobietą pod słońcem, cała promieniała. Paul wrócił chętnie do pracy i zaczął przyjmować dawne i nowe pacjentki. Liz cały swój czas poświęcała na wychowanie chłopca. Wszyscy mówili, że był podobny do mamy. Tylko Paul mógł się domyślać, że to raczej jego prawdziwa mama musi być podobna do Liz. Mimo że wszystko zaczęło się układać, to jednak Paul przez kolejne miesiące, a nawet lata, miał koszmary i budził się zlany potem w obawie, że prawda wyjdzie na jaw. Bał się, że ktoś kiedyś zgłosi zaginięcie dziecka, a policja odkryje miejsce pochówku ich prawdziwego syna. Nie czuł się przestępcą, nikogo nie zabił, ale przywłaszczył sobie cudze niemowlę. Noworodki nie pojawiają się znikąd jak szprotki w oceanie. Musiał z tym żyć długie lata.

## ROZDZIAŁ 72

Lizbona, lotnisko Humberto Delgado, 23 maja 2014

Zbliżała się godzina dwudziesta. Ayli napisała tylko krótką wiadomość do Isabel, że dotarła na miejsce i jedzie prosto do hotelu. Miały się spotkać dopiero rano. Isabel zaproponowała, że przyjedzie po Aylime i wyskoczą gdzieś na kawę. Aylime przemierzała halę główną sprawnie i pewnie, jakby to był jej własny salon. Uwielbiała to lotnisko, a jeszcze bardziej lubiła przemieszczać się lizbońskim metrem. Od razu wyszła głównym wyjściem i skierowała na prawo w stronę wejścia do metra. Miała ze sobą tylko niewielki bagaż podręczny. Doładowała kartę miejską i przeszła przez bramki, a widząc nadjeżdżający pociąg, podbiegła, żeby na niego zdążyć. Linią czerwoną dojechała do stacji Alameda, gdzie przesiadła się na nitkę zieloną i dojechała prawie pod sam hotel znajdujący się przy wyjściu z metra na stacji Roma. W Lizbonie czuła się jak u siebie w domu. Było późno, miała już tylko ochotę na prysznic i sen w nadziei, że rano dowie się czegoś więcej o tajemniczym zaginięciu Cariny, którą poznała pół roku temu podczas podróży na Wyspy Zielonego Przylądka.

- Przepraszam, że się spóźniłam - powiedziała Isabel na dzień dobry. - Takie są korki w mieście, że trudno przejechać.

- Nie szkodzi, czekając na ciebie, poznałam przy kawie przemiłego gentlemiana - uśmiechnęła się - swoją drogą, dziwne, że w sobotę ulice są tak zatłoczone.

- Ach! Bo ty nie wiesz...

- O czym?

- W ten weekend w Lizbonie odbywa się jakiś kongres. Stąd wielu przyjezdnych.

- Faktycznie, teraz mnie oświeciłaś. Pamiętam, że w zeszłym tygodniu mówili o tym w wiadomościach. To jest kongres klimatyczny, będą rozmawiać o problemie zanieczyszczenia mórz i oceanów.

- Czyli coś dla ciebie - stwierdziła Isabel, wiedząc, że taki temat jest szczególnie bliski Ayli.

- No patrz! Nie zaprosili mnie - zażartowała Ayline - ale mogę napisać o tym książkę, ha, ha.

- No właśnie, mów, jak tam promocja nowej powieści? Jestem ciekawa...

- Dobrze, nawet bardzo dobrze, ale w świetle tego, o czym mówiłaś, gdy ostatnio rozmawiałyśmy przez telefon, to niezbyt mam ochotę chwalić się sukcesami. Martwi mnie, co z tą Cariną. Opowiadaj!

Isabel posmutniała. Carina była poniekąd jej daleką krewniaczką, ale poza losem samej zaginionej najbardziej bolało ją cierpienie jej matki. Tym bardziej, że od czasu, gdy rozmawiały o tym ostatni raz, pojawiła się nowa informacja, która zszokowała wszystkich. Nie wiedziała, od czego zacząć.

- Zaczekaj, zaparkuję i opowiem ci, gdy usiądziemy, bo jestem taka roztrzęsiona całą tą sytuacją, że jeszcze wjadę w kogoś.

Znalazła dogodne miejsce i zatrzymała samochód. Po drugiej stronie ulicy znajdowała się jej ulubiona kawiarnia. Na miejscu czekała już Lurdes.

- Doña Lurdes! - Ayli uściskała ją mocno. - Jak zwykle elegancka i szykowna. Miło cię widzieć.

- Ty też nieźle się trzymasz - odpowiedziała po portugalsku Lurdes, która zawsze wolała komunikować się w ojczystym języku. - Usiądźmy.

Po chwili zjawił się kelner i przyjął zamówienie na dwie kawy

z mlekiem.

- Mówiłaś jej? - zapytała Lurdes, patrząc na Isabel.

- Nie, nie byłam w stanie.

- Dziewczyny, błagam, bo ja tu zaraz jajko zniosę. Umieram z ciekawości i zmartwienia. Co się dzieje?

- Powiedz po hiszpańsku, będzie szybciej - odezwała się doña Lurdes do Izabel.

Isabel zaczęła mówić powoli, próbując przekazać wszystko w logicznym porządku.

- Po tym, jak Carina wróciła z Boa Vista, podobno była jakaś dziwna. Ja tego nie wiedziałam, ale potem Gisela, jej matka, wspominała, że Carina jest nieswoja, nieobecna. Na domiar złego doszło do jakiejś niebezpiecznej sytuacji. Studenci z wydziału Cariny urządzili imprezę na plaży i ona też tam poszła, mimo że źle się czuła - podobno, bo ja to tylko słyszałam od jej matki. Gisela twierdziła, że Carina dzień wcześniej dostała okres.

- Ale co się stało? - dopytywała Ayline.

- No właśnie, tego do końca nikt nie wie. Podobno koledzy się napili, jeden chciał popływać, Carina poszła z nim do wody, a potem wszyscy widzieli, jak biegnie w stronę jezdni i niemal rzuca się pod koła samochodu. Miała całe zakrwawione krocze.

- Rany boskie! - krzyknęła Ayli.

- Przypuszczali, że to przez okres. Nie wiem, możliwe, że z roztargnienia zapomniała założyć tampon... Może faktycznie ten chłopak się do niej dobierał, ale do niczego nie doszło, bo ona mu uciekła... tego nie wiemy. Carina trafiła do szpitala i wyszła na drugi dzień.

- Powiedzieli, co jej było?

- Kto?

- Lekarze.

- Jeśli powiedzieli, to tylko Carinie. Jest dorosła i nie musi informować o swoim stanie zdrowia. Swojej mamie powiedziała, że to nic takiego, i wróciły do domu. Jednak posłuchaj tego! Niedługo po tym do mojego laboratorium trafiło zlecenie, jedno z wielu, jakie

otrzymujemy z wydziału kryminalnego, do zbadania próbki materiału genetycznego. I nie byłoby w tym nic dziwnego, gdyby nie to, że na kopercie zobaczyłam imię i nazwisko Cariny oraz krótki opis: „badania spermy - pilne”.

- Co??? - Ayli nie mogła uwierzyć; to brzmiało jak scena z filmu.

- Widziałaś te wyniki?

- Nie, bo koperta była już zalakowana i oznaczona, a my mamy procedury. Ale nieważne, cokolwiek by tam nie było, już sam fakt, że policja badała czyjąś spermę w sprawie dotyczącej Cariny, był dość niepokojącym sygnałem, nieprawdaż?

Aylime kiwnęła głową i czekała na ciąg dalszy.

- Więc umówiłam się na spotkanie z Giselą, musiałam jej to powiedzieć. Uważałam, że to nie jest zwykły zbieg okoliczności i jako matka powinna porozmawiać o tym z Cariną. Jednak gdy się spotkałyśmy, było już za późno.

- Na co za późno? - Znowu przerwała Ayli.

- Cariny już nie było. Zniknęła.

- Tak po prostu?

- Tak, dlatego wtedy do ciebie dzwoniłam, bo chciałam się dowiedzieć, czy może wiesz coś więcej, co pozwoli bliżej określić powód jej dziwnego zachowania.

- Niestety, nie była ze mną aż tak szczerą...

- Rozumiem, nie mam pretensji o to. Słuchaj dalej... Podejrzywałam, że ten chłopak, który się ponoć do niej dobierał na plaży, naprawdę ją zgwałcił. Sądziłam, że ta próbka wysłana do laboratorium należy do niego. Ale to były tylko moje domysły. Tak czy siak pewne było, że Carinę ktoś zgwałcił.

Isabel mówiła z takim przejęciem, że ani jedna, ani druga nie były w stanie pić kawy - jedynie Lurdes trzymała swoją filiżankę i sączyła powoli, przysłuchując się rozmowie, raz po raz przytakując koleżance.

- Carina zostawiła mamie list, w którym napisała, że wyjeżdża i niedługo wraca, i że ma się o nią nie martwić. Wyobraź sobie Giselę - była przerażona. Od tamtej pory czekałyśmy i czekaliśmy,

ale nie było od niej żadnych wieści. Potem jej koleżanka ze studiów zadzwoniła do Giseli, że Carina się z nią skontaktowała i jakby nigdy nic powiedziała, że niedługo wraca i przeprasza, że tak to wyszło, i że kupi wszystkim pamiątki ze Stanów.

- Żartujesz? Tak powiedziała?

- Tak. Normalnie, jakby oszalała albo jakby ktoś przystawił jej pistolet do głowy i kazał czytać z kartki! Masakra. No, w każdym razie wszyscy się ucieszyli, zwłaszcza Gisela. Nie pozostawało nic innego, jak czekać na jej powrót. No i czekałyśmy... tydzień, drugi, trzeci. Nie wracała. Minął miesiąc, drugi - bez znaku życia. Dzwoniłyśmy, gdzie się dało, zgłosiłyśmy to na policję, ale nikt nie umiał pomóc. Nie wiedzieliśmy nawet, gdzie dokładnie jej szukać. Poza tym, wiesz, ona jest dorosła i teoretycznie ma prawo nawet wyjechać na Antarktydę i tam zamieszkać bez słowa pożegnania. Nasza policja niewiele mogła zrobić w tej sprawie. Wiesz, co powiedzieli Giseli?

- Co?

- Że musi czekać. Jeżeli córka poinformowała, że wyjeżdża i ma się nie martwić, to widocznie takie było jej życzenie. A jeżeli doszło do jakiegoś wypadku czy nieszczęśliwego zdarzenia z jej udziałem, to władze Stanów Zjednoczonych informują o ewentualnej śmierci dziewczyny.

- Tak jej powiedzieli?! - krzyknęła oburzona Ayli.

- Może starali się być bardziej delikatni, ale mniej więcej taki był przekaz. To jeszcze nie koniec tej historii...

- Aż się boję - odpowiedziała Ayli, przebijając nogami pod stołem.

- W sumie nie było jej pięć miesięcy. Gisela zaczęła wariować, a ja się bałam, że robi sobie jakąś krzywdę. Było coraz gorzej.

- Wcale się nie dziwię - dodała Ayli. - Inaczej, jak wiesz, że ktoś zginął, a inaczej, kiedy nie masz pojęcia, czy w ogóle żyje i gdzie się znajduje. To musiało być okropne. Biedna kobieta...

- No właśnie. Udało mi się namówić ją na terapię u psychologa. Trochę jej to pomogło, bo nie miała ochoty wychodzić z domu

i w ogóle straciła chęci do życia. Gdyby nie ta renta po mężu, nie wiem, z czego by żyła, bo nie była w stanie pracować.

- Jej mąż nie żyje?

- Wydawało mi się, że ci mówiłam. Tak, to był, przepraszam za wyrażenie, skurwysyn. Dobrze, że zdechł, przynajmniej Gisela odetchnęła. Nie miała łatwego życia i kiedy stanęła na nogi, znowu taki cios... Ale słuchaj dalej, kiedy rozmawiałyśmy ostatnio przez telefon, nie miałam jeszcze takich informacji, ale teraz już wiemy...

- Co wiecie?

- Dosłownie dwa dni temu Gisela została oficjalnie poinformowana przez naszą lokalną policję, która została powiadomiona przez władze USA, że... - przełknęła ślinę - Carinę aresztowano, oskarżono i osadzono w tamtejszym zakładzie!

- Czekał, czekał! - pobudziła się Ayli. - Oskarżona, o co?

Isabel spuściła wzrok i spojrzała na Lurdes, która też nie wiedziała, jak to powiedzieć.

- Za zabójstwo własnego dziecka.

W tym momencie w kawiarni rozległ się trzask rozbitego szkła. Aylime wypuściła swoją filiżankę na podłogę i ani drgnęła. Podbiegł kelner i skarcił ją wzrokiem, ale miała to gdzieś. Wciąż trzymała dłonie na twarzy, zakrywając nimi usta. Chłopak pozbierał okruchy i odszedł, kręcąc z dezaprobatą głową. Nie wiedziała, co powiedzieć. W końcu przerwała milczenie.

- Czyli jednak była w ciąży...

Isabel pokiwała głową.

- Na to wygląda. Ja nie wiem, kto to zrobił, ale mam przecucie, że ten student ma z tym coś wspólnego.

- Nie sądzę - powiedziała Ayli.

- Słucham?

- Mówię, że coś tu się nie zgadza. To znaczy... ja nie twierdzę, że to nie on zgwałcił Carinę, ale jeśli tak, to musiało się to wydarzyć przynajmniej w sierpniu. Skoro teraz urodziła, to musiała zajść w ciążę gdzieś pod koniec sierpnia. Znacznie wcześniej, niż się poznałyśmy na Boa Vista.



- Faktycznie... że też nie pomyślałam. Masz rację. To może dlatego płakała wtedy, jak z nią siedziałas na tyle samochodu. Może już wtedy wiedziała...

- Nie wiem, ale coś tu śmierdzi.

- Ayli... - zaczęła Isabel - to jeszcze nie wszystko.

- Żartujesz! Co jeszcze?

- Ona została osadzona w zakładzie... psychiatrycznym.

## ROZDZIAŁ 73

Nowy Jork, 1 października 2014

Wszystko było ustalone. Propozycje umowy - wielokrotnie negocjowane i aktualizowane - w końcu nabrały ostatecznego brzmienia. Spotkanie miało więc charakter czysto formalny. W październiku pogoda w tej części Stanów lubi płać figle, ale nie tym razem. Było przyjemnie: ani ciepło, ani zimno, nie padało, w nieba nie lał się żar, nie wiało - w Nowym Jorku po prostu było. Podpisanie kontraktu okazało się nie być jedynym powodem, dla którego Ayli przeleciała cały Atlantyk. Doszły do tego jeszcze dwa: jeden przyjemny, drugi raczej przykry. Ponieważ nie chciała spotkać wyjątkowego przyjaciela, będąc w wyjątkowo podłym nastroju, postanowiła, że zaraz po wizycie w wydawnictwie spotka się z Ryanem, a dopiero następnego dnia uda się do Seattle. Obiecała to Isabel już kilka miesięcy temu. Zaproponowała, że będąc w Stanach, postara się odwiedzić Carinę w zakładzie, w którym ją przetrzymywano. Bała się tego spotkania. Taksówka zawiozła ją wprost do hotelu, gdzie miała ponad godzinę na odpoczynek i szybki prysznic. Z Kirsten Proudzy umówiła się na godzinę dwunastą. Na szczęście przez całą drogę, odkąd wsiadła do samolotu w Warszawie, udało jej się przespać ponad osiem godzin. Dzięki temu nie odczuwała aż tak dużego zmęczenia. Orzeźwiająca woda w kabinie prysznicowej dopełniła reszty. Jeszcze tylko makijaż, ulubiona sukienka ołówkowa przynosząca szczęście i za

dwadzieścia dwunasta czekała w holu na zamówioną taksówkę. Budynek wydawnictwa znajdował się w dzielnicy Midtown Manhattan niedaleko głównej siedziby ONZ. Taksówka podjechała na czas, a pięć minut przed dwunastą Aylime oczekiwała już w sali konferencyjnej na panią Proudę. Wydawnictwo zajmowało cztery piętra budynku, przy czym były to cztery ostatnie piętra. Sala, w której teraz siedziała, miała przeszkloną ścianę wychodzącą na wschodnią część dzielnicy. Rozpościerał się stąd piorunujący widok, jakby wizja dalekiej przyszłości: metal, szkło, aluminium, wieże, biurowce, łuki i dachy - mnóstwo dachów. Istny kosmos.

Do sali weszła kobieta w wieku około pięćdziesiątki, była więc starsza od Ayli o kilkanaście lat. Mimo to wyglądała niezwykle zjawiskowo. Aylime zastanawiała się, czy jest coś takiego, jak typowa amerykańska uroda, ale chyba nie potrafiła tego określić. W każdym razie pani Proudę była dość kobieca, chociaż takich łydek i bicepsów nie powstydziliby się żaden baseballista. Mimo sukienki zakrywającej ramiona aż do łokci, dało się wyraźnie zauważyć nieco muskularną budowę ciała. Na jej twarzy widać było pewność siebie i spryt, do tego pełny makijaż, elegancki zegarek i pantofle na średnim obcasie.

- Domyślam się, że pani Aylime Cavon? - powiedziała, podając rękę i ukazując śnieżnobiały uśmiech, od którego trudno było oderwać oczy.

- Dzień dobry, wszystko się zgadza, miło mi poznać. Pani zapewne jest redaktorem naczelnym?

- Kirsten. Tak, jestem tu redaktorem. Proponuję, żebyśmy przeszły na ty, skoro mamy współpracować.

- Z przyjemnością - odpowiedziała Ayli nieco zaskoczona takim powiewem luzu.

- Moja droga Ayli, przede wszystkim chciałam ci podziękować, że pofatygowałaś się do nas osobiście, chociaż mogłyśmy dopełnić formalności za pośrednictwem kuriera, no i oczywiście cieszę się, że wybrałaś właśnie nasze wydawnictwo - mówiąc to, jakby domagała się odpowiedzi na pytanie „dlaczego my?”.

Aylime uśmiechnęła się z typowym dla siebie wdziękiem.

- Przyznam, że zależało mi na współpracy z dobrym wydawnictwem w Nowym Jorku. Nie twierdzę, że inne miasta są gorsze, ale... wiesz, Nowy Jork to jednak Nowy Jork.

- Rozumiem - uśmiechnęła się - mam propozycję. Wiem, że zapoznałaś się z umową już wcześniej, ale pomyślałam, że powinnaś spokojnie przeczytać ją raz jeszcze. Nie śpiesz się i upewnij, że wszystko jest dla ciebie jasne i klarowne. Ja pozwolę sobie wrócić za jakieś pół godziny i jeżeli będziesz mieć pytania lub wątpliwości, od razu je rozwiemy. Potem porwę cię na dobry lunch. Co ty na to?

- Brzmi rozsądnie.

- W takim razie proszę...

Podeszła z czarną teczką, na której wydrukowane było złote logo wydawnictwa, i wyciągnęła dwa egzemplarze umowy.

- Gdybyś skończyła wcześniej, poinformuj asystentkę, która siedzi zaraz przy wejściu do sali. Ona mnie wezwie.

- Dobrze. Dziękuję.

Ayli została sama w ogromnej sali z czterema kartkami papieru i długopisem w kolorze srebrnym.

Restauracja, do której Kirsten zaprosiła Ayli, znajdowała się w tym samym budynku, ale nie miało to znaczenia, bo lunch, który podano, był naprawdę wyśmienity. Kirsten najwyraźniej również gustowała w lekkich daniach. Obie zamówiły sałatki, z tym że Aylime wolała krewetki, a Kirsten kawałki kurczaka. Kelner przyniósł po lampce wina, aby wznieść toast za świeżo podpisany kontrakt.

- Za owocną współpracę - powiedziała Kirsten, podnosząc swój kieliszek.

Ayli zrobiła to samo.

- To miłe z twojej strony.

- W końcu musisz z kimś świętować swój sukces. Podejrzewam, że kolejną okazję będziesz miała dopiero po powrocie do kraju.

- Właściwie niezupełnie. Jeszcze dziś czeka mnie jedno

spotkanie.

- Hmm, brzmi intrygująco. Zdradzisz, czy to mężczyzna? Sądząc po tym, jak błyszczą ci oczy, to chyba tak. - Zażartowała, widząc rozradowaną Ayli.

- Trudno to ukryć. Owszem, jest to mężczyzna, ale... dość wyjątkowy.

- Myślę, że gdyby nie był wyjątkowy, nie traciłabyś na niego czasu.

- To nie tak, w sensie... nic nas nie łączy, ale jest wyjątkowy. To skomplikowane...

- Coś ci powiem, Ayli, gdy mówisz o nim i wypowiedasz słowo „wyjątkowy”, nad twoją głową pojawiają się wirujące obłoczki, a między nimi wybuchają srebrzyste serduszka. Ha, ha! Wybacz moją śmiałość, ale nie wierzę, że nic was nie łączy.

Aylime zauważyła, że Kirsten nieco się rozpędziła. Mówiła do niej co najmniej w taki sposób, jakby się znały od dziesięciu lat i wydały wspólnie tuzin powieści. Pomyślała jednak, że nawet odpowiada jej takie podejście, więc nie miała nic przeciwko, by kontynuować rozmowę w tym samym tonie.

- Albo jesteś takim świetnym psychologiem albo to jest tak oczywiste...

- Psychologiem raczej nie, w wydawnictwie prędeej nazwaliby mnie czarownicą, ale pracując z ludźmi tyle lat, nabierasz dużej wprawy w interpretowaniu ich zachowań, a może nawet w czytaniu w ich myślach.

- No, to by już było przerażające, ha, ha.

- Jesteś okrutna, trzymasz mnie w niepewności. Nie zdradzisz, kim on jest?

- Hmm. Ma na imię Ryan...

- Amerykanin?

- Tak, ale ma polskie korzenie. Podobno jego dziadkowie urodzili się w Polsce i wyemigrowali do Stanów. Sam jednak nie zna polskiego.

- Jak więc się poznaliście?

- Właściwie to... dzisiaj spotkamy się pierwszy raz.

- Żartujesz?! Nigdy go nie widziałaś?

- Ależ skąd, oczywiście, że widziałam. Urządzamy sobie wideorozmowy. Pracowaliśmy kiedyś w tej samej firmie. To było wiele lat temu. Potem on zmienił pracę, ja też, a mimo to nadal utrzymujemy kontakt.

- Żonaty?

- Tak. Wszyscy fajni faceci są żonaci.

- Oj tam, bez przesady. Znam jeszcze kilku fajnych, którzy nie noszą obrączki. Mogę cię z nimi poznać.

- Ha, ha! Wybacz, Kirsten, ale swatanie mnie z kimkolwiek jeszcze nikomu się nie udało... i nie wyszło na dobre.

- Przeprowadź się do Nowego Jorku, a od razu znajdziesz męża.

- Przekonywała ją Kirsten.

- Rozważę taką opcję - zaśmiała się Ayli - a tymczasem spotkam się z Ryanem.

- Niech ci pokaże miasto. Koniecznie musisz poznać Nowy York.

- Obawiam się, że nie będę mieć na to czasu. Jutro lecę do Seattle - oznajmiła tajemniczo Ayli, co Kirsten chyba źle zinterpretowała.

- Mam nadzieję, że nikt nie zamierza mi ciebie „ukraść”?

- Nie, nie. Przepraszam, że tak to zabrzmiało. Nie podpisuję żadnej umowy...

- Ayli, przecież ja żartuję. Możesz podpisywać umowy, z kim chcesz. Masz do tego prawo.

- Przyznam, że gdybym nie musiała, nie leciałabym tam. Powód jest wyłącznie prywatny i nie ma związku z powieściopisarstwem - odpowiedziała. - Chociaż... ta historia mogłaby się nadać na niezłą książkę.

- Lepiej nie zdradzaj na głos szczegółów, bo nigdy nie wiesz, kto siedzi za tobą i może skraść ci pomysł. Poważnie mówię. Mieliśmy taki przypadek w wydawnictwie. W odstępie dwóch miesięcy zgłosiły się do nas dwie osoby z propozycją wydania książki o niemal identycznej fabule. Nie było wątpliwości, że różniły się

stylem i ewidentnie pisały ją dwie różne osoby, ale taki zbieg okoliczności? Potem okazało się, że jedna wyrecytowała pomysł na książkę koleżance w kawiarni z taką dokładnością, że ktoś to podłapał i bezczelnie przywłaszczył.

- Straszne.

- Ale prawdziwe.

- Cóż, nie będę więc zdradzać szczegółów, ale powiem bardzo pobieżnie, że chodzi o dziwne zaginięcie dziewczyny, która z niewiadomego powodu wyjechała do Stanów, nie informując o tym nikogo, po czym okazało się po upływie niemal pół roku, że urodziła dziecko, zabiła je i została osadzona za popełnioną zbrodnię w zakładzie psychiatrycznym, gdzie odbywa teraz karę.

- Matko jedyna, co za historia! Chcesz powiedzieć, że masz z tym coś wspólnego?

- Niestety tak. Tak się składa, że znam tę dziewczynę. Choć słowo „znam” to chyba zbyt wiele powiedziane. Poznałam ją kiedyś na tej samej wyspie, na której odbywałam urlop. No i zaprzyjaźniłam się z kimś, komu bardzo zależy na wyjaśnieniu tej sprawy, więc... jako że jestem już po drugiej stronie oceanu, zgodziłam się, że spróbuję się czegoś dowiedzieć.

- Ty wiesz, że to jest naprawdę fascynujące! Koniecznie napisz o tym nową powieść.

Ayli przełknęła ostatni kęs krewetki.

- Oby nie była to ostatecznie tragedia.

Gdy skończyły posiłek, nadszedł czas pożegnania. Kirsten zapłaciła za lunch w ramach podziękowania za przyjazd Ayli. Przeprosiła, że musi już uciekać, ale czekały ją kolejne konferencje i rutynowe obowiązki. Ayli było to jak najbardziej na rękę, gdyż chciała psychicznie i fizycznie przygotować się na wieczór. Była dość przejęta spotkaniem, a jednocześnie bardzo z tego powodu szczęśliwa.

## ROZDZIAŁ 74

Godzina 20:13

Wejście do restauracji znajdowało się od głównej ulicy, ale lokal posiadał również obszerny taras z tyłu budynku, który izolował odgłosy ruchu ulicznego: wysoki mur, który otaczał patio, oraz bujna roślinność stanowiąca element dobrze przemyślanej aranżacji sprawiały, że można się tu było poczuć jak w Toskanii, na wzgórzu otoczonym cyprysowym gajem. Ryan zerknął na zegarek. Jeszcze tylko dwie minuty. Rozejrzał się wokół, ale nie dostrzegł swojego gościa. Bał się, że nie przyjdzie. I wtedy się zjawiała. Prowadzona przez kelnera, który niczym dzielny rycerz torował jej przejście wśród tłumu poddanych, wyglądała jak prawdziwa księżniczka. Wprawdzie nie było ani rycerza, ani poddanych, za to Ayli zdecydowanie wyglądała jak królowa. Wstał i oczekiwał jej. Nie potrafił przestać się uśmiechać. Ayli miała na sobie krwiście czerwoną sukienkę z krótkim rękawkiem sięgającą lekko za kolano. Kroczyła dostojnie i elegancko w czarnych szpilkach, dzięki którym jej łydki prezentowały się niezwykle atrakcyjnie. Na ramionach miała połyskujący delikatnie, srebrzysty szal szyfonowy. Kelner uśmiechnął się i wskazał stolik, przy którym jak wryty stał Ryan, po czym zostawił ich samych. Przez chwilę oboje wpatrywali się w siebie jak dzieci, które na własne oczy ujrzwały Świętego Mikołaja. To było nawet przyjemne. W końcu Ayli przytuliła się do niego najmocniej, jak potrafiła i celowo trwała tak przez dłuższą chwilę.



Żadne słowa nie były konieczne. Musiało to jednak wyglądać dziwnie dla pozostałych gości, bo wszyscy z nieskrywaną niecierpliwością wpatrywali się w nich, zapewne zastanawiając się, jak długo będą trwać w tej pozycji. Ayli, która zawsze widziała i słyszała zbyt wiele, ocknęła się pierwsza i odpuściła.

- Ależ jesteś wysoki!

- Przepraszam, ha, ha.

- Dobrze, że założyłam szpilki. Ogromnie się cieszę, że w końcu się spotykamy.

- Mógłbym tak na ciebie patrzeć cały wieczór, bo wyglądasz zjawiskowo w tej sukience, ale może usiądziemy - zaproponował.

Już po chwili zjawił się kelner, nieco wcześniej, niżby sobie tego życzyli, ale na szczęście przyniósł tylko kartę dań. Ryan poczekał, aż Aylime pierwsza ją otworzy, po czym uczynił to samo.

- Pewnie jadłeś tu nie raz?

- Raz. - Roześmiał się.

- Pamiętasz, co wtedy jadłeś?

- Dzisiaj zapomniałem o całym świecie.

Spodziewała się, że Ryan będzie miły, ale ten komplement najwyraźniej ją zawstydził. Chciała szybko wybrnąć z tej sytuacji.

- W takim razie zaufam swojej intuicji - to mówiąc, zanurzyła nos w karcie, kokieteryjnie zakrywając nią większość twarzy, tak że mógł widzieć jedynie zerkające w jego stronę zaczepnie oczy.

Po chwili przestała się wygłupiać i na poważnie przestudiowała kartę. Ostatecznie wybrała małe naleśniczki na słono z pastą rybną i świeżą kolendrą na przystawkę, a jako danie główne wskazała pełnoziarniste penne z musem serowo-szpinakowym. Ryan skusił się na te same naleśniki oraz befsztyk z zestawem surówek. Do momentu gdy zjawił się kelner, by przyjąć zamówienie, atmosfera była dość swobodna i luźna, jednak potem zrobiła się dziwnie nienaturalna. Niby nikt się nie stresował, niby oboje się cieszyli, ale nie potrafili ze sobą rozmawiać. To znaczy potrafili, ale to, co chcieliby sobie powiedzieć, było zabronione.

- Nie sądziłam, że to będzie takie trudne - odezwała się Ayli.

- Ja również.

- Więc spróbuję przełamać ten lodowiec, ha, ha. Ryan, dziękuję ci za pomoc. Chciałabym się jakoś odwdziżyć.

- Daj spokój, nie musisz, zrobiłem to z przyjemnością. Właściwie sama przetłumaczyłaś całą książkę, ja ją jedynie przeczytałem i naniósłem drobną korektę. Ale serio, bardzo mi się podobała i uważam, że twój angielski jest świetny. Nie chcę nic w zamian.

- Wiedziałam, że tak powiesz, dlatego mam dwie opcje: albo przystawię ci pistolet do głowy i każę ci podać numer konta bankowego wraz z kwotą do zapłaty, jak przystało na prawdziwą artystkę-wariatkę - wyszczerzyła komicznie zęby - albo pozwól przynajmniej, że to ja stawiam dzisiaj kolację.

Próbował coś wyjąkać, ale Ayli od razu zareagowała.

- Ani słowa, chociaż tyle mogę zrobić. No chyba, że wolisz opcję numer jeden?

Przyznam, że jest w tobie coś szalonego, ha, ha. Zgoda, głupio mi, bo to ja cię tu zaprosiłem, ale nie chcę spędzić reszty wieczoru na przepychankach.

- Albo z nożem w plecach...

- Ayli, przestań. Poważnie, zaczynam się ciebie bać!

- Przepraszam, to był oczywiście żart.

- Który z nich? Ha, ha!

- Oba. Miewam taki czarny humor.

- Zawsze?

- Nie, tylko wtedy, gdy nie mogę być romantyczna.

Ryan zamilknął.

- Aylime...

- Daj spokój, nie jesteśmy dziećmi. Byłeś, jesteś i zawsze będziesz dla mnie kimś naprawdę wyjątkowym. Ale tak to już jest, że na świecie wszystko, co jest najbardziej wyjątkowe, jest właśnie takie, bo nie możemy tego mieć. Koniec, kropka. Powieść napisana.

Patrzył na nią z zaciekawieniem. Miała rację. To było takie proste i takie skomplikowane zarazem.

- Pamiętam, co mi kiedyś powiedziałaś przez telefon.

- Co?
- Że życie jest proste, tylko ludzie je komplikują.
- Oczywiście! Dlatego nie komplikujmy naszego spotkania.

Nie powiedziała tego oschle, raczej ciepło, ale było w tym stanowcze nie. Na tym etapie jeszcze nie był pewien, czy się bawi tą sytuacją, czy raczej stara się być w porządku. W każdym razie podziwiał jej asertywność i pewność siebie. Wtedy zjawił się kelner z przystawkami. Od tego momentu było łatwiej. Rozmawiali na tematy w stu procentach dozwolone, unikając tych niewygodnych i nie prowokując iskier. Startery były doskonałe, dania główne jeszcze lepsze. Z każdą minutą nabierali przeświadczenia, że znają się co najmniej od dwudziestu lat. Niestety, wszystko, co dobre, szybko się kończy. Ayli musiała opuścić zamek i odjechać karocą, chociaż nie zamierzała gubić na ulicy Nowego Jorku swoich ulubionych szpilek, nawet jednej. Poprosili o rachunek. Kelner przyszedł z paragonem w brązowym etui. Ayli ukradkiem zajrzała do środka, bez mrugnięcia okiem sięgnęła dyskretnie po portfel, wsadziła trzy banknoty do środka i poprosiła Ryana, by zaczekał na kelnera.

- Skoczę do toalety i będę czekać już przy wyjściu.

Nie chciała robić na koniec scen o to, kto jednak powinien zapłacić rachunek, więc sprytnie się uwinęła, by Ryan nie miał czasu na reakcję. I było po wszystkim. Dosłownie po wszystkim.

## ROZDZIAŁ 75

Seattle, 2 października 2014

- Nie może pani tak po prostu wejść. Tylko rodzina ma takie prawo. Kim pani jest dla osadzonej?

Aylime czuła, że zaraz wybuchnie. Mogłaby przysiąc, że z uszu leci jej para, a z ust toczy się biała piana. Gburowaty służbista przypominający grabarza stanowczo odmawiał jej widzenia się z Cariną. Już sam fakt, że nazwał ją „osadzoną”, doprowadzał ją do szału.

- To świetnie się składa, ponieważ pani Carina Costa jest moją narzeczoną - oznajmiła kąśliwie. - Rozumie pan? Narzeczone, partnerka, przyszła żona... rodzina.

Mężczyzna trzymał w ręku jej paszport i uśmiechał się głupkowato, co jeszcze bardziej zdenerwowało Ayli.

- Narzeczone, tak?

- Zaskakuje mnie pan! Gdzie jak gdzie, ale jeżeli w wolnym kraju, jakim są Stany Zjednoczone, nie wie się, czym jest homoseksualizm, to już doprawdy świat staje na głowie!

- Droga pani, otóż wiem, co to jest homoseksualizm, jednak mam prawo przypuszczać, że pani zmyśla.

- Absurd! W takim razie, proszę mi udowodnić, że zmyślam.

- To raczej ja oczekuję, że pani udowodni, iż osadzona jest pani partnerką.

Skrzywiła się i z pewnego rodzaju nonszalancją stwierdziła:

- Na wszystkich filmach amerykańskich pokazujecie, że w tym kraju nikt nie jest winny, dopóki nie udowodni mu się winy, nie odwrotnie. Tak więc ja jestem narzeczoną, jak pan to nazwał, osadzonej, dopóki ktoś nie udowodni, że jest inaczej.

- Proszę nie pogarszać swojej sytuacji. Jestem na służbie, a moim obowiązkiem jest wykonywać polecenia przełożonych zgodnie z procedurami. Takim zachowaniem niczego pani nie wskóra.

Miał rację. Emocje nie były dobrym doradcą. Ayli zdawała sobie sprawę, że jeśli się nie uspokoi, to może nigdy nie zobaczyć Cariny. Nagle coś jej się przypomniało.

- Chwileczkę, coś panu pokażę...

Mężczyzna niewzruszonym wzrokiem patrzył, jak Ayli grzebie w torebce. Nie trwało to długo. Wyciągnęła telefon i zaczęła wodzić palcem po ekranie. W końcu, zadowolona z rezultatu, pokazała strażnikowi ekran telefonu. Widniało na nim zdjęcie, które Ayline zrobiła rok temu na wyspie Boa Vista, kiedy to wybrała się wraz z Cariną, Lurdes oraz Isabel na wycieczkę po wybrzeżu. Na tej fotografii była tylko ona i Carina siedzące na tylnej kanapie samochodu. Przytulały się do siebie i wyglądało to dość przekonująco. W każdym razie na tyle wiarygodnie, że mężczyzna przemówił „ludzkim” głosem.

- Jak wspomniałem, mamy procedury. Będę musiał zeskanować pani paszport. Musi pani także wypełnić wniosek o widzenie.

- Wspaniale. Czy wtedy zobaczę moją partnerkę?

- Dopiero wtedy, kiedy wniosek zostanie zatwierdzony przez naczelnika.

Zatkało ją na moment.

- Jakiego naczelnika?

- Naczelnika zakładu.

- Ale to jest szpital... chyba?

- Nie, proszę pani. Przebywają tu ci skazani, których stan psychiczny nie pozwala, by odsiadali karę więzienia w normalnym zakładzie karnym, ale to nie jest szpital. Wypełni pani

ten wniosek, czy nie?

- Tak, tak, oczywiście. Po prostu mnie pan zaskoczył.

Mężczyzna podał Ayli kilka kartek, a następnie wskazał miejsce, gdzie mogła usiąść i spełnić formalności. Do tego celu zaoferował jej także długopis, ale grzecznie podziękowała, gdyż w torebce miała swój ulubiony. Udała się posłusznie do niewielkiej ławy z krzesłami i powoli zaczęła wpisywać dane. Niektóre pytania wydały jej się tak absurdalne, jak i sam fakt, że Carina znajdowała się w tym miejscu, ale musiała być grzeczna i uprzejma, by osiągnąć cel. Gdy po piętnastu minutach skończyła pisać, podeszła ponownie do strażnika, który w zamian oddał jej paszport.

- To wszystko - powiedział oschle, nawet na nią nie patrząc.

- Kiedy będzie decyzja?

Dźwignął wzrok i skarcił ją spojrzeniem, jak dyktator karci ciemiejących.

- Nie wiem, to nie jest zależne ode mnie.

Aylyme była nieugięta, chociaż należałoby użyć słowa - natrętna.

- A czy mogę wnioskować o pilne widzenie? Wie pan, bo ja... niedługo mam lot powrotny do Europy, nie przebywam tu na stałe i... to moja jedyna szansa. Bardzo proszę...

Mało go to obchodziło, ale poinformował, że zgłosi to przełożonym. I tyle. Została odprowadzona do wyjścia i zamknięto bramę. Musiała wziąć taksówkę, ale potrzebowała chwili na zastanowienie. Szła chodnikiem, zakrywając szyję wysokim kołnierzem wełnianego płaszcza. Było dość chłodno. Na jej włosach spiętych w kucyk osadzały się kropelki mżawki. Spuściła wzrok i obserwowała, jak kolejne płyty chodnika znikają pod jej nogami. Spacer dobrze na nią podziałał, ale gdy poczuła, że jej nos zrobił się wilgotny i zaczerwieniony od chłodu, stwierdziła, że pora złapać taksówkę. Droga do hotelu zajęła dosłownie kwadrans. Wzięła gorący prysznic, zamawiając uprzednio posiłek do pokoju. Nie miała ochoty nigdzie wychodzić. Gdy była już w szlafroku, usłyszała pukanie do drzwi. To obsługa przyniosła zupę krem z dyni oraz gęs

faszerowaną papryką. Najadła się do syta i to jeszcze spotęgowało uczucie zmęczenia, które towarzyszyło jej odkąd wylądowała w Seattle. Spotkanie z Ryanem nieco się przedłużyło, wszystkie te emocje dotyczące podpisania kontraktu i niekończąca się podróż sprawiały, że organizm zaczynał dopraszać się o zasłużony odpoczynek. Zasnęła.

- Kim jest ta kobieta?

- Twierdzi, że narzeczoną. Widziałem ich wspólne zdjęcie. Może faktycznie tak jest.

- Co jeszcze o niej wiesz?

- Jest obywatelką Polski. Wizę dostała na początku roku. Jest pisarką i przyleciała, żeby podpisać umowę wydawniczą.

- Sprawdziłeś to?

- Tak, wszystko się zgadza. Poza tym jest czysta. Pisze, maluje, podróżuje. Artystka. Bilet powrotny ma na piątego, w niedzielę. Zależy jej na odwiedzinach przed wylotem.

- Hmm, jeszcze tego nam brakowało.

Mężczyzna, wyglądający jak szef gangu albo jakiś narkotykowy boss, podrapał się po głowie.

- Wpuść ją, jak przyjdzie, ale dopilnuj, żeby tamta nic nie sypnęła.

- Nie rozumiem. Mam być przy rozmowie?

- Nie musisz. Postaraj się, żeby osadzona nie była w stanie rozsądnie myśleć. Przez kwadrans nic z niej nie wyciągnie, będzie tylko patrzeć, jak ślina cieknie jej z kącika ust i tępo gapi się w sufit. Masz tego dopilnować.

- Tak jest.

## ROZDZIAŁ 76

3 października 2014, piątek, godz. 10:30

Tuż po przybyciu na miejsce Ayli dowiedziała się, że jej wniosek został rozpatrzony pozytywnie, jednak widzenia zaczynają się dopiero od godziny jedenastej, dlatego trzeba było poczekać. Siedziała w dość wąskim korytarzu obok kilku innych osób. Nie wyglądały tak elegancko jak ona, a i tak starała się ubrać w miarę „normalnie”. Buty na płaskiej podeszwie, dżinsy i czarna pikowana kurtka sportowa. Nawet się nie pomalowała. Poczekałnia, lub czymkolwiek było to pomieszczenie, odbierała wszelkie chęci, żeby tu dalej siedzieć. Z każdą minutą Ayli zaczynała mieć jakieś klaustrofobiczne lęki i dziwne myśli. Bała się, że to wszystko atrapa i że tak naprawdę chcą ją tu zamknąć. Szybko jednak otrząsnęła się z tych nedorzecznych myśli i wstała z krzesła. Chodziła tak przez chwilę od drzwi do drzwi, działając na nerwy innym odwiedzającym. W końcu została wezwana.

- Aylime Cavon. Proszę za mną.

Strażnik wyglądał tak samo, jak ten wczoraj - identycznie przystrzyżony, w identycznym uniformie i z takim samym wyposażeniem. Dostrzegła kaburę z bronią, jakąś pałkę i coś, co wyglądało na paralizator. Szli szybko, mijając kolejne drzwi i przejścia. Ayli w końcu straciła rachubę; stwierdziła, że gdyby miała teraz sama wrócić do wyjścia, raczej nie byłaby w stanie. Wreszcie dotarli do jakiejś niewielkiej sali. W pomieszczeniu było



kilka stolików, a przy każdym co najmniej dwa krzesła. Wszystko odmalowane na szaro. Rozejrzała się, ale nie zauważyła Cariny. Strażnik kazał jej usiąść przy jednym ze stolików i poczekać. Tak zrobiła. Niecierpliwie zerkała na zegarek i na ludzi siedzących w drugim kącie pokoju. Po ich zachowaniu wywnioskowała, że to muszą być więźniowie, gdyż żaden z nich nie zachowywał się... normalnie. Prawie wcale nie rozmawiali. Nagle do sali wszedł strażnik, prowadząc jakąś kobietę. Ayli wyteńczyła wzrok. Próbowwała rozpoznać, czy to Carina. Pomyślała, że to niemożliwe. Stojąca tu kobieta wyglądała na czterdzieści lat, twarz miała poszarzałą i pełną zmarszczek - nie głębokich, ale widocznych. Włosy miała ciemne, ale nie czarne. Poruszała się niepewnie, tak jakby zaraz miała stracić równowagę. Ubrana była jak tych dwóch przy stoliku w kącie: w luźne spodnie i koszulę w kolorze brązowym. Była pewna, że to ktoś inny, ale strażnik prowadził ją w stronę stolika, przy którym siedziała Ayli. Boże złoty! - pomyślała.

- Ma pani kwadrans - oznajmił strażnik, po czym usunął się na bok, nie spuszczając kobiet z oczu.

Aylime spojrzała na zegarek; była jedenasta osiem. Objęła ramię Cariny.

- Co oni ci zrobili? Carina, poznajesz mnie?

Carina gapiła się chwilę na nią, po czym pokręciła głową, raz w prawo, raz w lewo. Nagle jednak Ayli dostrzegła, że mimo przeczącego gestu Carina do niej mrugnęła. Tak, wyraźnie mrugnęła okiem. Jej spojrzenie na moment wydało się takie świadome i zdrowe. Po chwili jednak znowu zrobiło się mętne.

Ona udaje - pomyślała Ayli.

- Carina - celowo mówiła głośno - poznajesz mnie? Chcesz ze mną porozmawiać?

Carina zerwała się z krzesła i ze spuszczoną głową odwróciła się tyłem do Aylime, a przodem do strażnika. Zachowywała się jak psychopatka na silnych prochach. Stała tak przez jakiś czas, dając do zrozumienia, że nie ma ochoty rozmawiać. Wiedziała, że strażnik patrzy na nią i o to jej chodziło. Nie mogła jednak zbyt

przeciągać tej chwili, bo czas leciał. Postanowiła wyjść ostentacyjnie na zewnętrzne patio. Znajdował się tam ogród, po którym osadzeni mogli się swobodnie poruszać w wyznaczonych godzinach. Ayli zrobiła zdumioną minę i spojrzała na pilnującego ich mężczyznę; udawała, że nie rozumie zachowania Cariny. Poszła za nią do ogrodu, chcąc dogonić swoją „narzeczoną”. W końcu chwyciła ją za rękę i spojrzała jej prosto w oczy:

- Co tu się dzieje? Chcę porozmawiać, mam mało czasu....  
Carina...

- Chodź za mną i słuchaj. Będę się czasem wyrwać. Inaczej się zorientują.

Prowadzenie poważnej rozmowy z kimś, kto udaje chorą psychicznie, i na dodatek trzeba za nią gnać po alejkach ogrodu, nie należało do łatwych zadań. Ale to była jedyna szansa.

- Mów, co się dzieje - zaczęła Ayli - gdzie ty się ukrywałaś? Wszyscy się martwią, twoja mama umiera ze smutku, powiedzieli jej, że zabiłaś własne dziecko. Carina, czy to prawda?

Carina robiła co chwilę uniki, tak jakby nie miała ochoty na dalszą rozmowę, dla zachowania pozorów. Wiedziała, że jest obserwowana.

- Wczoraj dali mi inne tabletki, zorientowałam się. Byłam pewna, że chcą się mnie już pozbyć. Teraz rozumiem, po co to było. Chcieli mnie tak naćpać, żebym nie była w stanie mówić.

- Carina, odpowiedz na pytanie. Proszę, muszę to wiedzieć. Czy to prawda? Zabiłaś dziecko?

Nastąpiła krótka chwila martwej ciszy. Nie mogły sobie pozwolić na dłuższą.

- Tak. Wyrzuciłam noworodka do oceanu. Nie chciałam na to patrzeć - odpowiedziała i wyraźnie posmutniała.

- Jezus, Maria! Czy to... było twoje dziecko? Mówili, że... że cię ktoś zgwałcił i porwał. Czy to prawda?

Nagle smutek minął i Carina poczuła złość. Nawet wściekłość.

- Nie chcę o tym mówić. To... dziecko nie miało prawa żyć. Nie potrafiłabym na to brzydactwo patrzeć... Nikt mnie nie porwał.

Gdyby nie Danny, pewnie wcześniej odebrałabym sobie życie... i temu dziecku też.

Teraz Ayli nie była pewna, czy Carina faktycznie jest normalna. Było w niej tyle nienawiści... i to do własnego dziecka. Nie rozumiała, jak u matki mogły brać się tak negatywne emocje do własnego potomka.

- Czemu tak mówisz? Cóż ono było winne? Kto to jest, ten Danny?

- Nic nie rozumiesz...

- To mi wytłumacz. Proszę.

- Posłuchaj, bo to już ostatnie minuty, zanim po ciebie przyjdą. Powiem to najjaśniej, jak potrafię, i nie przerywaj...

Znowu brzmiała jak ktoś zdrowy na umyśle. Ayli słuchała.

- Doktor Danny Passrowher pomagał mi przez cały ten czas. Nie wiem, co z nim zrobili, może już go zabili. Wiedział zbyt wiele. Nigdy tego nie chciałam... los mnie pokarał takim paskudztwem. Trzymałam to w rękach i widziałam tylko te płetwy...

Ayli zmarszczyła brwi. Była pewna, że teraz majaczy.

- Co ty bredzisz, jakie płetwy?

- Cicho, bo cię usłyszą i kto wie, czy nie skończysz jak ja - zabrzmiało groźnie - To coś nie było normalne, miało błony między palcami rąk i nóg, jak ropucha. Rozumiesz? Ropucha!

- Teraz ty krzyczysz. - Uciszyła ją Ayli. - Nie wiem, co tu się dzieje i dlaczego tak mówisz. Chciałabym wierzyć, że nic nie zrobiłaś, i pomóc ci stąd wyjść. Jestem pewna, że cię czymś faszerują i gadasz od rzeczy.

- Przestań! Faszerują mnie tym, czym muszą. Nie jestem w stanie poradzić sobie z tą sytuacją, nie potrafię o tym zapomnieć, nie mogłabym już nigdy spojrzeć na ocean ani wejść do wody. Nie mam po co żyć i nie potrafiłabym spojrzeć nikomu w oczy po tym, co zrobiłam. Wiem, że w to nie wierzysz, ale musisz mi coś obiecać.

Patrzyła na nią błagalnym wzrokiem w oczekiwaniu, aż się zgodzi. Strażnik już nadchodził, najwidoczniej zaniepokojony zbyt żywiołowym zachowaniem osadzonej.

- Dobrze. Mów, co mogę dla ciebie zrobić.

- Powiedz mamie, żeby się nie martwiła, ale już mnie chyba nigdy nie zobaczy. Musi się z tym pogodzić. Powiedz, że ją bardzo kocham i przepraszam. Obiecuj!

- Przysięgam, Carina. Ale ja cię stąd wyciągnę, to nie może się tak skończyć, zobaczysz, wrócę tu...

- Musi pani natychmiast opuścić zakład. Minął czas na widzenie.

Wręcz szarpnął ją za ramię, aby zrozumiała, że nie żartuje. Dostrzegła, że Carina płacze. Była pewna, że nie powiedziała jej całej prawdy. Musiała pomóc jej się stąd wydostać. Została odprowadzona do wyjścia. Zanim opuściła budynek, zwróciła się do strażnika:

- Chcę rozmawiać z naczelnikiem.

- Słucham? - Zdziwił się mężczyzna.

- Z pana przełożonym. Naczelnikiem, dyrektorem, właścicielem, nie wiem, jak mam go nazwać, bo mam ogromną trudność z doborem właściwego słowa na określenie tego miejsca ze względu na to, co się tu wyprawia. Żądam rozmowy z kimś, kto tu rządzi.

Mężczyzna zaśmiał się.

- Nie ma takiej możliwości.

- Dlaczego?

- Proszę pani, to nie jest urząd pocztowy, tu nie chodzi się od drzwi do drzwi, a naczelnik nie przyjmuje petentów. Proszę natychmiast opuścić zakład. W przeciwnym razie zostanie pani wyprowadzona siłą. Rozumie pani, co mówię?

Aylime podejrzewała, że facet myśli, że ona jako obcokrajowiec, nie rozumie wszystkich słów. Rozumiała doskonale. Nie wiedziała jeszcze jak, ale czuła, że jakoś uda jej się pomóc Carinie. Odchodząc, odwróciła się na pięcie i podnosząc palec wskazujący, zwróciła się do strażnika:

- Carina... moja narzeczona jest niewinna. Nie wiem, co się tu wydarzyło, ale się dowiem. To jest obywatelka Portugalii i powinna być sądzona w swoim kraju. Nawet jeżeli zabiła dziecko, to nie był

to obywatel amerykański. Nie myślcie sobie, że ujdzie wam to płazem.

Wyszła. W głowie dudniło jej nazwisko wypowiedziane przez Carinę: „Danny Passrowher”.

Kim, do jasnej cholery, jest Danny Passrowher? – powiedziała cicho, przechodząc na drugą stronę ulicy.

Gdy siedziała już w taksówce, wyciągnęła z torebki notes, w którym zapisywała różne myśli. Tym razem zanotowała niesłyszane wcześniej imię i nazwisko, by jej nie umknęło.

Mężczyzna siedział przy swoim biurku. Zastanawiał się. Tuż przed nim stał strażnik i czekał na decyzję. W końcu siedzący przed nim facet odezwał się stanowczym głosem:

- Nie mamy wyjścia. Pani Carinie Coście trzeba jednak... „pomóc”.

Strażnik nic nie powiedział. Kiwnął tylko głową i opuścił pomieszczenie.

## ROZDZIAŁ 77

4 października 2014, godz. 11:00

Całe popołudnie, noc i rano Ayli rozmyślała o tej sytuacji. Przeszukiwała Internet, próbując znaleźć wszelkie informacje na temat amerykańskiego wymiaru sprawiedliwości. Napotykała na szereg nieścisłości spowodowanych głównie tym, że o ile prawo było dość jednolite, o tyle w każdym stanie to samo zdarzenie mogło być inaczej interpretowane, a więc jakieś drobne różnice istniały. Sama nie była prawnikiem i cała ta terminologia również nie była dla niej w stu procentach jasna. Tak czy owak, natrafiła na materiały, z których jasno wynikało, że obywatel obcego kraju przebywający na terenie Stanów Zjednoczonych, któremu przedstawiono zarzut popełnienia jakiegoś czynu karalnego, miał prawo ubiegać się o zgodę na odsiadywanie kary w swoim kraju – o ile w ogóle udowodniono mu winę. W przypadku Cariny coś tu ewidentnie śmierdziało. Nie wiedziała, kim jest naczelnik, ale miała to w głębokim poważaniu. Była ostatnią, albo raczej jedyną deską ratunku dla Cariny. Szła w stronę wejścia z taką determinacją, że choćby miała nie wrócić jutrzejszym lotem do Europy, postanowiła pomóc dziewczynie i wyjaśnić tę sprawę. Weszła z miną dobermana, brakowało jeszcze tylko, żeby wyszczerzyła zębiska. Znany jej z widzenia strażnik podszedł i gestem ręki nakazał, by się zatrzymała. Sprawiał wrażenie, jakby na nią czekał.

- Chcę się widzieć z moją narzeczoną, Cariną Costą,

natychmiast. I niech mi pan nie daje tych formularzy, nie zamierzam ich ponownie wypełniać. Mam prawo widzieć się z partnerką. Potem chcę się widzieć z naczelnikiem. Nie obchodzi mnie...

- Naczelnik oczekuje pani w swoim gabinecie. Proszę za mną.

Ayli stała jak zamurowana. Prędkiej by się spodziewała, że zostanie powalona na ziemię, obezwładniona i zakuta w kajdanki. Z drugiej strony, dostała to, po co tu przyszła. Ruszyła pośpiesznie za oddalającym się strażnikiem. Trudno było dotrzymać mu kroku. Bynajmniej, sanatorium spacerowe to nie było. Miała złe przeczucia. Skoro nie pojмали jej przy wejściu, na pewno zrobią to w zaciszu pokoju szanownego naczelnika, bez świadków. Z takim przeświadczeniem przekroczyła próg jego sali. Strażnik zatrzymał się przy drzwiach i nawet nie spojrzął na Aylime. Była skołowana. Na środku pokoju stało biurko, a za nim siedział mężczyzna, zapewne naczelnik.

- Pani Cavon, jak się domyślam? - zapytał, nie wstając nawet ze swojego fotela.

Ayli podeszła bliżej, chociaż nie wiedziała, czy jej wolno. Zebrała w sobie odwagę.

- Tak, zgadza się. Pan jest tu naczelnikiem?

Mężczyzna nic nie odpowiedział. Zmierzył ją od góry do dołu z miną kata. Trudno było określić jego wzrost, ale sądząc po tym, jak bardzo wystawał ponad blat biurka, musiał być wielki jak drąg. Miał ciemne włosy ulizane na bok czymś, co wyglądało jakby ślina krowy. Był odrażający i całkowicie odpychający. Ayli czuła, jak w pomieszczeniu unosi się jego śmierdząca woda kolońska. Była oburzona takim zachowaniem.

- Przyszedłam tu po to, żeby widzieć się z...

- Tak, wiem - przerwał jej - z narzeczoną.

- Owszem. Pana to śmieszy?

- Nie, skąd. Spełnię pani życzenie. Może pani zobaczyć... narzeczoną. Obawiam się jednak, że rozmowa z nią będzie niemożliwa.

Ayli fuknęła ze złości, zaciskając lekko pięści, co z pewnością nie umknęło uwadze naczelnika.

- Co pan sobie wyobraża! To jest niezgodne z prawem międzynarodowym! Mam prawo przypuszczać, że Carina dostaje jakieś psychotropy i regularnie robicie jej pranie mózgu! Nie pozwolę, żeby spędziła tu resztę życia. Natychmiast chcę się z nią widzieć!

Naczelnik sprawiał wrażenie niezainteresowanego słowami wykrzyczanymi przez Aylime. Przesunął jakieś dokumenty na lewą stronę biurka, potem wygrzebał jedną z teczek i wstał. Ayli się przestraszyła. Nie wiedziała, co zamierza zrobić. Teraz miała porównanie - był tak wysoki, że prawie szurał swoją posklejaną fryzurą po suficie.

- Szczerze mówiąc, liczyłem, że się pani tu dziś zjawi. Jest pani jedyną osobą, która może potwierdzić tożsamość... narzeczonej.

Ayli patrzyła na niego mocno skołowana.

- Nie rozumiem, o czym pan mówi.

- Proszę za mną - to mówiąc, po prostu wyszedł, a zadaniem strażnika było dopilnowanie, aby Ayli poszła w jego ślady. Tak zrobiła. Szli korytarzem, który doprowadził ich do schodów w dół; oświetlone były tępym, bladoniebieskim światłem. Zrobiło się chłodniej. Bała się. Obejrzała się na idącego za nią strażnika. Facet miał głupią minę, jakby sprawiało mu to frajdę. Aylime pomyślała, że coś jej zrobią, że nigdy nie zobaczy Nataliusza, że nigdy nie zanurkuje z Kubą, że Robert już nigdy nie wycisnie z niej siedmiu potów na basenie, że nikomu nie zadedykuje żadnej książki, że...

- Czy może mi ktoś łaskawie powiedzieć, dokąd mnie prowadzicie? - odezwała się w końcu, widząc, że schodzą na coraz niższe kondygnacje.

- Do kostnicy - odpowiedział naczelnik zupełnie niewzruszony.

Ayli nagle się zatrzymała. Dotknęła zimnej ściany i poczuła, jak krew odpływa jej z kończyn. Tylko strażnik wykazał odrobinę ludzkiego odruchu i uchwycił ją pod ramię, pytając, czy chce usiąść. Nie miała wątpliwości, że do organów wewnętrznych naczelnika



krew pompowana jest przez jakieś urządzenie, bo z pewnością nie było tam serca.

- Proszę nie robić scen, nie mam na to czasu. Zidentyfikuje pani zwłoki, zanim je skremujemy. To nie potrwa długo, obiecuję.

Nie mogła uwierzyć, że to się dzieje naprawdę. Poczowała kropelki potu na skroniach. Strażnik obok dawał do zrozumienia, że musi iść za naczelnikiem.

- Chce pani zobaczyć... narzeczoną po raz ostatni czy nie? - zapytał bezczelnie naczelnik, widząc jej opieszałość.

Nie odpowiedziała, nie zasługiwał nawet na to, żeby na niego splunąć. Puściła rękę strażnika i dalej szła o własnych siłach, lecz nieco wolniej. Dotarli do wielkiej sali, gdzie było zimno i ciemno jak w lodówce. Naczelnik włączył kontakt i nagle rozbłysły wszystkie jarzeniówki. Zapalały się nierówno, jedna po drugiej, a któraś z nich migotała. W końcu pomieszczenie opanowała jasność. Miejsce to wyglądało jak archiwum. Tylko ściany z szufladami, wielkimi szufladami. Naczelnik zerknął na teczkę, a potem, wodząc wzrokiem po numerach szuflad, odszukał numer czterdzieści dwa. Włożył teczkę pod pachę, a drugą chwycił za uchwyt drzwiczek i wysunął stół. Na nim znajdowało się ciało, co łatwo było rozpoznać po kształcie, jaki przybierało na nim naciągnięte prześcieradło. Aylime zrobiła krok do tyłu. Naczelnik odsunął kawałek białego materiału i spojrzał na nią.

- Z takiej odległości nie zidentyfikuje pani zwłok.

Odczekała chwilę, zamknęła oczy, zrobiła duży wdech, jakby chciała skoczyć do basenu. Powoli ruszyła przed siebie, patrząc na wyłaniającą się głowę denatki. Im była bliżej, tym bardziej robiło się jej niedobrze. Zatrzymała się metr od ciała; nie potrafiła podejść bliżej. Przyłożyła dłoń do ust. Sama nie wiedziała, czy po to, by powstrzymać szloch, czy raczej dlatego, że coraz bardziej ją mdliło.

- Zwłoki należą do obywatelki Portugalii, Cariny Costy. Czy rozpoznaje pani... narzeczoną?

Nienawidziła tego bydlaka.

- Tak - odpowiedziała i wyszła z pomieszczenia.

Strażnik podążył za nią, ale Ayli zatrzymała się tuż za drzwiami; chciała tylko opuścić kostnicę. Oparła się o ścianę i czekała. I tak nie potrafiłaby wrócić samodzielnie. Po chwili zjawił się naczelnik.

- Za godzinę zwłoki zostaną skremowane zgodnie z procedurami. Może pani poczekać, by zabrać prochy zmarłej ze sobą. W przeciwnym razie urna ze szczątkami zostanie umieszczona we wspólnej mogile na przykładowym cmentarzu. Jaka jest pani decyzja?

Chciała się na niego rzucić i wydłubać mu oczy paznokciami. Budził w niej takie obrzydzenie, które trudno sobie wyobrazić.

- Zmarłej? - odezwała się. - Chyba raczej zamordowanej!

- Proszę się uspokoić, uprzedzam panią...

- Bo co? Bo też mnie zabijecie? Proszę bardzo, wszyscy wiedzą, gdzie jestem i po co tu przyjechałam. Cały świat się o tym dowie! To się nawet świetnie składa. Po takim skandalu moja książka będzie się sprzedawać jak świeże bułeczki! No, dalej, niech pan nie udaje, że jest człowiekiem!

Krzyczała, ale na naczelniku nie robiło to żadnego wrażenia. Wiedział, że w każdej chwili może ją spacyfikować, ale wyglądało na to, że furia, w którą wpadła Ayline, oraz jej cierpienie sprawiały mu czystą przyjemność.

- Jak już się pani wykrzyczy, to proszę poinformować mojego pracownika, jaka jest pani decyzja. Kremacja za godzinę, tak jak mówiłem. Żegnam.

Odszedł.

Ten palant po prostu sobie poszedł - pomyślała Ayli. Strażnik cały czas stał obok. To miejsce było przerażające; chciała stąd wyjść jak najszybciej. Ruszyła schodami w górę, czekając, aż funkcjonariusz wskaże jej drogę. Szli w milczeniu, przemierzając te same posępne korytarze. Gdy pokonywali ostatnie schody, temperatura wyraźnie podskoczyła. Strażnik wskazał miejsce, gdzie Ayli mogła usiąść, oraz dystrybutor z wodą pitną. Poinformował, że proces kremacyjny potrwa dwie godziny. Potem dostanie specjalne pozwolenie na wywóz urny z prochami z kraju, tak by nie miała

problemów na lotnisku. Ayli słyszała, ale nie słuchała. To była najgorsza godzina w jej życiu. Równy w południe zjawił się kolejny pracownik. Wtedy też usłyszała, że ciało Cariny umieszczono właśnie w piecu. Już nic nie dało się zrobić, w zakładzie nie było nawet kaplicy, w której mogłaby się pomodlić, modliła się więc w duchu. Wyobrażała sobie, jak płomień w temperaturze ośmiuset stopni Celsjusza trawia zwłoki dziewczyny, a jej dusza opuszcza nędzne ciało. Prosiła Boga, by wybaczył jej zbrodnię... jeśli w ogóle ją popełniła. Ukradkiem ocierała łzy. Zanim szczątki wyjęto z pieca, schłodzono i rozdrobniono na popiół przed umieszczeniem ich w urnie, wybiła czternasta. Aylime straciła rachubę czasu; przez te trzy godziny w ogóle nie ruszyła się z miejsca. Wyglądała, jakby sama umarła. Ktoś nagle położył dłoń na jej ramieniu. Ocknęła się. Jakiś człowiek podał jej dokument. Było to jakieś urzędowe pismo. Gdy się w nie wczytała, zrozumiała, że to wspomniane wcześniej pozwolenie na wywóz prochów z kraju. Podniosła wzrok. Mężczyzna miał coś jeszcze. Pojemnik. Ayli nie spodziewała się marmuru ani nawet drewna, ale żeby zamknąć Carinę w takim tandetnym, plastikowym słoiku, to już była przesada. Nic jednak nie powiedziała. Złożyła podpis jako dowód, że zabrała prochy zmarłej oraz świadectwo zgonu, i wyszła. Nie zamierzała pałętać się z urną po mieście; nastroj też miała podły. Zatrzymała taksówkę i pojechała prosto do hotelu. Zanim wjechała windą na ósme piętro, na którym znajdował się jej pokój, udała się do recepcji.

- Przepraszam...

- Słucham panią, w czym mogę pomóc? - odezwała się śliczna recepcjonistka obdarzona isticie hollywoodzkim uśmiechem.

- Czy istnieje możliwość skorzystania z osobistego schowka?

- Ma pani na myśli sejf?

- Tak, coś jakby sejf.

- Oczywiście, większość naszych pokoi posiada sejf. Czy może mi pani podać numer swojego?

- Nie rozumiemy się. Nie chodzi mi o sejf w pokoju, tylko... jakiś schowek w recepcji.

- Ah! Chodzi o przechowanie bagażu?

- Tak, bagażu lub jakiejś rzeczy osobistej.

- Pani wyjeżdża dziś czy jutro?

- Jutro, późnym popołudniem. Dlaczego pani pyta?

- Jeśli dobrze rozumiem, chciałyby pani jutro po wymeldowaniu zostawić bagaż, zanim uda się pani na lotnisko. Czy tak?

- I tak, i nie. To znaczy jutro rano z pewnością o to poproszę, ale już dziś chciałabym zostawić coś w schowku na noc. Czy jest taka możliwość?

Recepcjonistka do ostatniej chwili starała się być miłą, ale miała wrażenie, że Ayli sama nie wie, czego chce. Woląla jednak nie dolewać oliwy do ognia i spełnić owo, choć dziwne, życzenie.

- Oczywiście. Czy ma pani tę rzecz przy sobie?

- Tak.

- W takim razie zapraszam. Pokażę pani schowki z kluczem.

Tuż za recepcją znajdowała się niewielka ścianka działowa z licznymi szufladami w kształcie kwadratu. Nie kojarzyły się Ayli dobrze, ale było to właśnie coś, o co poprosiła.

- Czy może pani pokazać, jak duży jest ten przedmiot?

- Nie - odpowiedziała Aylime, po czym, widząc zmrozoną minę kobiety, szybko sprostowała swój nieco arogancki ton. - To znaczy, przepraszam, ale chciałabym zostać sama... jeśli mogę.

Recepcjonistka uśmiechnęła się najszczerzej, jak potrafiła, po czym pozwoliła Ayli na chwilę prywatności. Ta wybrała jedną z mniejszych szafek i zabrała kluczyk. Mijając ponownie recepcję, poinformowała, który numer zajęła. Następnie udała się do swojego pokoju. Nie wyobrażała sobie, że tej nocy urna z prochami Cariny miałyby stać w tym samym pokoju, w którym spała. Zamknęła drzwi i usiadła na łóżku. Nie miała na nic ochoty. Musiała się spakować, ale na szczęście jej bagaż był naprawdę niewielki, więc postanowiła, że zrobi to z samego rana. Po dzisiejszych przeżyciach zupełnie straciła apetyt; nie mogłaby niczego przełknąć. Jediną potrzebą, jaką odczuwała, było zmycie z siebie całego brudu tego dnia, tamtego miejsca, zapachu, zimnych ścian i smrodu wody

kolońskiej naczelnika, który nadal jej towarzyszył. Wzięła prysznic. Doczekała do wieczora, wciąż rozmyślając. Skorzystała z minibaru. Znalazła wódkę. Pomyślała, że to ułatwi jej sen. Wprawdzie zasnęła szybko, ale spała niezbyt dobrze; całą noc dopadały ją koszmary. O czwartej nad ranem się obudziła.

## ROZDZIAŁ 78

Ból głowy był tak uporczywy, że nawet piąta tabletki ibuprofenu nie pomagała. Ayli odczuwała też silne ssanie w żołądku. Od poprzedniego śniadania nie miała nic w ustach, prócz pigułek. W hotelu, w którym przebywała, goście mieli do dyspozycji basen, pomyślała więc, że nic nie wpłynie lepiej na jej samopoczucie, jak trzydzieści minut relaksu w wodzie. Był tylko jeden problem: strój kąpielowy. Zerknęła do walizki; jeden komplet bielizny był wystarczająco sportowy, żeby wyglądał jak kostium kąpielowy. Sprawdziła zegarek - wskazywał siódmą. Do śniadania pozostała godzina, a pokój musiała zwolnić najpóźniej o dziesiątej. Biorąc pod uwagę, że basen zajmie jej pół godziny, a suszenie włosów i makijaż kolejne tyle, do tego kwadrans na śniadanie, pakowanie walizki maksymalnie pół godziny, oznaczało, że nadal będzie miała do dyspozycji pełną godzinę zanim opuści hotel. Odświeżyła się w pośpiechu, przebrała w kostium, czy raczej sportową bieliznę, po czym, korzystając ze specjalnej windy, udała się w szlafroku wprost na poziom minus jeden, gdzie znajdowało się wejście na basen. Na dole okazało się, że jest jedynym gościem chętnym do porannej kąpieli. Uśmiechnęła się. Przypomniały jej się czasy, kiedy jeszcze uczyła się pływać. Umawiali się z Robertem na godzinę dwudziestą pierwszą - wtedy mieli cały basen do swojej dyspozycji. Zrzuciła szlafrok i weszła po drabince do wody. Oznaczenia wskazywały, że w naj płytszym miejscu było półtora metra głębokości, a w najgłębszym prawie trzy. Nie miało to jednak żadnego

znaczenia, bo od czasu, gdy Robert uczył ją stawiać pierwsze kroki w wodzie, minęło ponad pięć lat. Wtedy żartował, że sam musi brać od Aylime lekcje, bo nie miał zielonego pojęcia, jak można machać nogami i płynąć do tyłu. Gdyby ją widział teraz... Woda była wspaniała, orzeźwiająca. Już po pierwszych sekundach dała jej poczucie rzeźkości i pełnego relaksu. Sunęła po wodzie z gracją, niczym syrena. Jedną długość kraulem, potem żabką, potem plecy, potem przy dnie, a na koniec - tradycyjnie - kilka skoków na główkę. Nie kontrolowała czasu, ale gdy wyszła zerknęła na wielki zegar wiszący w sali, wyrobiła się idealnie. Dalej postępowała zgodnie z wcześniejszymi założeniami. O dziewiątej była już gotowa. Postanowiła, że położy się jeszcze na moment i przemyśli, co powinna zrobić przed wylotem. Samolot startował dopiero o siedemnastej. Nie miała bagażu rejestrowanego i nie musiała też czekać na bilety, więc wystarczyło, że zjawi się do odprawy chwilę przed szesnastą, dla pewności - piętnastą. Miała więc siedem długich godzin. Leżała na łóżku i gapiła się w sufit. Ból głowy minął jak ręką odjął. Nagle wpadła na pomysł. Było to coś, o czym nie do końca powinna decydować, ale... ufała, że serce dobrze jej podpowiada. Zerwała się na równe nogi, sprawdziła, czy spakowała wszystkie rzeczy, i zjechała windą do recepcji. Przywitał ją jakiś młody mężczyzna; ucieszyła się, że nie ma dziewczyny z hollywoodzkim uśmiechem - trochę jej było głupio. Poinformowała, że chce wyciągnąć coś ze skrytki, i udała się za ściankę recepcji. Urna, a raczej słoik, nadal tam był. Zabrała go lekko drżącą ręką i schowała do torebki. Następnie zapłaciła za pobyt, a gdy dostała potwierdzenie zapłaty, poprosiła o przechowanie bagażu do godziny szesnastej.

- Czy może pan zamówić dla mnie taksówkę? - zapytała.

- Oczywiście. Proszę usiąść, powinna zjawić się za kilka minut.

Podziękowała i wtuliła się w cudownie miękką sofę, ale tylko na moment, bo kierowca rzeczywiście zjawił się po pięciu minutach.

- Dokąd jedziemy?

- Alki Beach Park - odpowiedziała.

W części centralnej zachodniego wybrzeża miasta zatoka Elliott Bay wciniała się mocno w ląd. Jedną z ładniejszych dzielnic Seattle był dystrykt Alki. Znajdował się tu piękny park z wieloma miejscami widokowymi i długą aleją spacerową. Na końcu alei znajdowała się niewielka latarnia morska o białych ścianach i czerwonym dachu. Ayli kazała się wysadzić tuż przy Placu Statuy Wolności. Miejsce to zapewne przyciągało tłumy latem i wiosną, lecz w tak pochmurny i chłodny dzień jak dziś nie było tu prawie nikogo. Dostrzegła gdzieś w oddali kilku ludzi wyprowadzających psy, a na niektórych ławkach ustawionych wzdłuż alei siedzieli głównie emeryci. Aylime szła powoli promenadą, z twarzą zwróconą w stronę zatoki. Wiał dość silny wiatr, ale nie był uporczywy, raczej w cudowny sposób cucił i budził z porannego otępienia. W końcu dotarła do latarni. Teren na niewielkim klifie był ogrodzony ze względów bezpieczeństwa, ale od strony zachodniej siatka sięgała samego krańca stromego urwiska usypanego z ogromnych głazów. Stojąc w tym właśnie miejscu, można było dostrzec uderzające z potężną siłą fale, które szarpiąc kamienisty klif, powracały do zatoki, tworząc bezustannie pianę. Zatoki stanu Waszyngton rozlewały się po okolicy i stanowiły przedsiónek oceanu, który ze spokojem niewiele miał wspólnego. Ayli rozejrzała się wokół. Ktoś właśnie schodził z latarni i kierował się w stronę plaży. Wspięła się na samą górę i podeszła najbliższej siatki zachodniej. Obserwowała, jak fale bawią się brzegiem, drocząc się z nim i siejąc grozę. Zawsze przerażał ją, a jednocześnie fascynował ogrom błękitu. Nie po to tu przyjechała, ale mimochodem nie potrafiła powstrzymać się od wspomnienia czasu, kiedy panicznie bała się wody, zwłaszcza tej, która ujawniała, co kryje na dnie. Znowu pomyślała o Robercie. Wielu próbowało jej pomóc, ale wszyscy kończyli z podbitym okiem albo niewybrednymi wyzwiskami. Tylko Robertowi się udało. Czasem miała wrażenie, że to jemu zależało bardziej niż jej samej. W końcu powróciła do rzeczywistości. Nie bez powodu wybrała to miejsce. Być może nie powinno jej tu być. Zastanawiała się, co by było, gdyby nie przyjechała do Seattle. Może Carina nadal by żyła?



Może to właśnie pojawienie się Ayli sprawiło, że ktoś poczuł zagrożenie i postanowił pozbyć się „problemu”? Wcześniej o tym tak nie myślała, dopiero teraz to do niej dotarło. Z drugiej strony, gdyby nie przyjechała, kto wie – pewnie nikt by jej tu nie odwiedził i nikt nie dowiedziałby się prawdy. Teraz przynajmniej może przekazać jej mamie ostatnie słowa Cariny. W zasadzie był to pewnego rodzaju testament. Ostatnia wola. Może wiedziała, co się wydarzy, może sama odebrała sobie życie. Nie zapytała o to. Dlaczego? Czy to by coś zmieniło? Prawdę znała tylko Carina i ten przebrzydły naczelnik. To nie była ta sama dziewczyna, którą poznała na Wyspach Zielonego Przylądka. W ciągu zaledwie roku zyskała dodatkowe dziesięć lat! Zmizerniała, posmutniała, schudła, pomarszczyła się. Może to i dobrze, że nikt nie zobaczył jej w takim stanie. Miała czas na zastanowienie się, jak najłagodniej przekazać tę potworną informację o jej śmierci. Teraz jednak czuła, że musi uwolnić duszę Cariny i pozwolić jej odejść tam, gdzie by sobie tego życzyła. Upewniła się, że nikt nie patrzy, i wyciągnęła niewielką urnę. Ayli była wierząca, Carina też, dlatego wykonała znak krzyża, otworzyła urnę i przechyliła ją do góry dnem. Powiewy wiatru zabierały prochy niczym magiczny pył i pchały je wprost na fale, by zniknąć na zawsze w ciemnej toni. Po chwili urna była już całkiem pusta.

Jesteś już wolna, jesteś u siebie – pomyślała i nie wiadomo czemu, uśmiechnęła się. Misja wykonana; oddała Carinę wprost do oceanu, który tak bardzo kochała. Plastikową urnę zabrała ze sobą. Nie mogła wyrzucić jej do wody, nie potrafiła, bo wyobraziła sobie te tony plastiku zalegające dna mórz i oceanów lub dryfujące na ich powierzchni, przez co ginęły setki, a nawet tysiące morskich zwierząt. Schowała ją z powrotem do torebki i postanowiła, że zatrzyma się przy pierwszym napotkanym po drodze kościele i tam ją zostawi.

## ROZDZIAŁ 79

Portland, kwiecień, 17 lat później...

- Co roku wracamy do tego samego tematu...

Elizabeth była nieco poddenerwowana. Tuż po narodzinach syna wspólnie z Paulem podjęli decyzję, że nie będą ingerować chirurgicznie w ciało Marcela. Błony przestały rosnać na pewnym etapie życia i w zasadzie od dziesiątych urodzin chłopaka stawały się coraz mniej widoczne. Marcel miał palce pianisty, długie i zgrabne. Przy nich zrosty wyglądały znikomo. Rodzice od początku wysyłali Marcela do prywatnych szkół, gdzie nie było mowy o jakimkolwiek wyśmiewaniu czy szykanowaniu dziecka przez rówieśników. Dlatego wszelki dyskomfort związany ze swoją innością wynikał z jego własnego zakompleksienia. Gdy był już starszy i zaczął mieć swoje zdanie, powracał do tematu i prosił rodziców o zgodę na operację. Minęło siedemnaście lat, lada dzień sam mógł podjąć decyzję o ewentualnym zabiegu chirurgicznym, dlatego Paul jak zwykle załagodził spór.

- Nie kłóćmy się - poprosił. - Marcel, żyjesz tak kilkanaście lat i czy kiedykolwiek poczułeś się przez to gorszy?

Chłopak był szalenie przystojny. Czarne włosy kontrastujące z niebieskimi oczami wprowadzały w zachwyt nie tylko żeńską część rówieśników. Pewnego dnia Elizabeth zaczęła odczuwać obawy, czy aby spędzający z Marcelem sporo czasu kolega o imieniu Peter nie próbuje podrywać jej syna. Oczywiście

zaakceptowałyby każdą decyzję Marcela, ale tak bardzo marzyły jej się wnuki, że ucieszyła się, widząc syna na randce z niejaką Natalie. Sylwetka Marcela nie była w pełni męska, musiał jeszcze poczekać na ewentualną muskulaturę, ale koleżanki ze szkoły i sąsiedztwa wprost za nim szalały. Nigdy jednak nie dowiedziały się o problemie Marcela, bo rodzice co pół roku fundowali chłopakowi nowe, za każdym razem nieco większe, specjalne rękawiczki do złudzenia imitujące ludzką skórę. Dzięki takim nakładkom miał swobodne opuszki, a jednocześnie całkowicie zasłonięte błony zrostowe. Jeżeli w ogóle zdarzyło się, że ktoś to zauważył, miał przygotowaną szybką i dość przekonującą ripostę, która skutecznie gasiła ludzką wścibskość. Odpowiadał wtedy, że jako dziecko poparzył się wrzątkiem i jego skóra nie wygląda na dłoniach estetycznie. Dlatego zakrywa ją specjalnymi rękawiczkami. Stopy zazwyczaj miał zakryte. Problem pojawił się dopiero wtedy, gdy Marcel zaczął uczęszczać na zajęcia na basenie. Okazało się, że pływa jak delfin. Nie wiadomo, skąd brała się u niego siła, gibkość i niesamowita wytrzymałość do wstrzymywania oddechu przy nurkowaniu. Od pierwszych lekcji czuł się jak przysłowiowa ryba w wodzie. Zdobywał nagrody w szkolnych rozgrywkach pływackich i cieszył się ze swoich licznych osiągnięć. Niestety, przyszedł czas, kiedy dostał propozycję stypendium sportowego w jednej z lepszych szkół. To była szansa na zdobycie nie tylko wykształcenia w prestiżowej placówce, lecz także konkretnych trofeów w tej dyscyplinie. Problem polegał na tym, że trener zauważył rękawiczki i posądził go o oszustwo. Twierdził, że to dzięki nim Marcel ma lepszy opór wody, przez co może osiągnąć większą szybkość. Była to, rzecz jasna, bzdura i doszło do poważnego starcia między pedagogiem a tatą chłopaka, które niemal skończyło się sprawą w sądzie. Najbardziej jednak ucierpiał Marcel, któremu rękawiczki tak naprawdę tylko przeszkadzały. Wtedy po raz pierwszy zaczął poważnie myśleć o operacji. Rodzice wypisali go ze szkoły sportowej i przenieśli do innej, która miała standardowy profil nauczania, ale doskonałą renomę. Ponieważ czas szybko leciał,

Marcel coraz bardziej zbliżał się do pełnej samodzielności. Rósł jak na drożdżach i męźniał w oczach. Wkrótce miał obchodzić swoje siedemnaste urodziny. Data ta wypadła na dwudziestego szóstego kwietnia.

- Synu, w zasadzie już teraz możesz sam decydować o sobie, a za rok nie będziemy mieli w ogóle nic do powiedzenia - stwierdził Paul. - Wiem, że prosiłeś o to tyle razy, ale zawsze kierowaliśmy się jednym: twoim dobrem. Przeciągaliśmy tę sytuację do czasu, kiedy sam zdecydujesz, jaki chcesz być. Kto wie, może postanowisz nic nie zmieniać? Pomyśl o tym w inny sposób: jesteś wyjątkowy, a dla nas zawsze będziesz najważniejszy, bez względu na wszystko. Jeśli jednak zechcesz poddać się operacji, zbierzemy odpowiednią kwotę. Zastanów się i dobrze to przemyśl, to będzie decyzja nieodwracalna.

Marcel poczuł się dziwnie; słowa ojca trafiły do niego głęboko. Nigdy tak do tego nie podchodził, dopiero teraz uzmysłowił sobie, że może ojciec ma rację. Żył z tym tyle lat, dlaczego więc miałby teraz zrezygnować ze swojej oryginalności? Postanowił, że rok mniej czy więcej nie zrobi różnicy i poczeka na jakiś impuls. Temat zainteresował go do tego stopnia, że w wolnych chwilach szukał informacji o takich samych przypadkach. Pewnego razu, przeszukując Internet, natrafił na wywiad, który bardzo go zaintrygował. Była to rozmowa na temat różnych teorii rozwoju gatunku ludzkiego, a konkretnie dotyczyła książki opublikowanej wiele lat temu, a która w dalszym ciągu wzbudzała mieszane odczucia, czy nawet kontrowersje - nosiła tytuł *Oszukać ewolucję*. Co więcej, okazało się, że autorka powieści rozpoczyna w maju serię spotkań autorskich promujących zupełnie nową książkę, a na liście miast, które miała odwiedzić, było także Portland. Zanotował w kalendarzu: „6 maja, godzina 12:00, Theatre Performing Center”.

## ROZDZIAŁ 80

W Polsce wiosna zagościła na dobre. Po krótkiej, lecz ostrej zimie wszyscy spragnieni byli słońca. Od tygodnia na południu kraju panował front atmosferyczny niosący wysokie jak na ten region temperatury i bezchmurne niebo. Ponad dwadzieścia stopni w południe to już prawie lato. Aylime podeszła do okna i zamknęła drzwi balkonowe. Zrobił się lekki przeciąg, a od zacienionej północnej strony domu wiatr był znacznie zimniejszy. Nataliusz sterczał jak kamień w oknie, co mogło skończyć się dla niego przeziębieniem pęcherza.

- Koniec oglądania - powiedziała, biorąc go na rękę. - Idź do salonu, tam masz słońce.

Kocur był stary; w tym roku miał skończyć dziewiętnaście lat. To dużo. Ayli zdawała sobie sprawę z nieuniknionego, ale wolała o tym nie myśleć. Nataliusz był mieszkańcem i poza tym, że miał pogłębiającego się przez lata zęza, cieszył się końskim zdrowiem. Kiedyś myślała o skorygowaniu wzroku, ale weterynarz jej to odradził. Kot mimo dużej rozbieżności nie miał żadnych problemów z koordynacją i precyzyjnie łapał wszystko, co próbowało przed nim uciekać. Nawet w podeszłym wieku dokonywał idealnego pomiaru odległości, a poza tym znał dom już na wylot, więc nawet gdyby całkiem oślepl, potrafiłby poruszać się bez najmniejszego potknięcia. Zadzwoił telefon.

- Isabel! - Ucieszyła się. - Fajnie znowu cię słyszeć. Dokończyście album?... Aha, mnie została już tylko jedna strona,

jak się spotkamy, to wam pokażę... Co takiego?... Super! Bardzo się cieszę. Koniecznie musimy jeszcze gdzieś pojechać i zakleić ostatnie strony naszej „księgi przyjaźni”. Matko, to już tyle lat! Jak to zleciało! Lurdes zdrowa?... To świetnie. A co z Giselą?... Poważnie?... Biedactwo. Strasznie mi przykro i przepraszam, że nie byłam na pogrzebie. Ale to się stało tak nagle... Wiem, wiem, mimo to żałuję, że mnie tam nie było. To może mało pocieszające, ale... w końcu są razem. – Nastąpiło kilka sekund milczenia. – Dobrze, moja droga, porozmawiamy, gdy będę w Lizbonie. Dokładnie, w połowie czerwca, bo za miesiąc lecę do Stanów... Tak, tak, wszystko załatwione. Mam dziesięć miast do objechania, to będzie bardzo męcząca podróż. Ale czego się nie robi dla czytelników. – Zaśmiała się, lecz Isabel na koniec powiedziała coś, co ją bardzo zainteresowało. – Tak, pamiętam, nazywał się Danny Passrowher, Carina o nim wspominała. Słyszałaś o kimś takim?... Poważnie? Ale historia... więc dlatego tam pojechała. Strasznie to pokręcone. Dziękuję ci za tę informację. Trzymaj się ciepło. Pozdrów Lurdes, nie chcę jej widzieć zdołowanej... nasza kochana doña. Do zobaczenia!

Na moment wróciły wspomnienia sprzed lat. Ayli cofnęła się do dnia, w którym rozsypała prochy Cariny na skarpie, nad brzegiem oceanu. Najgorsze jednak było spotkanie z jej matką. Pamiętała, że wszyscy płakali, prawie do utraty przytomności. Giselę trzeba było cucić solami trzeźwiącymi, a Isabel płakała tak przeraźliwie, że aż się zanosila, tracąc oddech. Długo po tym łkała. Lurdes wtedy zniosła to najdzielniej, jak się jednak dowiedziała teraz, to właśnie Lurdes popadła w permanentną nostalgię po śmierci Giseli. Zdała sobie sprawę z tragedii tej historii. Poniekąd była to smutna historia bez tak zwanego happy endu. Tak jej się w każdym razie wydawało...

# ROZDZIAŁ 81

Portland, scena główna Theatre Performing Center

Zbliżała się dziesiąta. Do inauguracji pozostały dwie godziny, ale ekipa nie zdążyła na czas przygotować i sprawdzić sprzętu nagłaśniającego i dziś o poranku okazało się, że do tylnej części widowni w ogóle nie dociera dźwięk z głośników. Wszyscy biegali jak mrówki, z tą jednak różnicą, że w mrowisku wszystko odbywa się zgodnie z ustalonym harmonogramem i z niezmaconym rytmem, a tu, na scenie, pracownicy z każdą minutą wpadali w coraz większy popłoch i robiło się prawdziwe zamieszanie. Aylime była spokojna – po kilku spotkaniach w Nowym Jorku, Pittsburghu i Seattle cały program wystąpienia miała w głowie, albo raczej w jednym paluszku. Zdarzało się jedynie, że dostawała zaskakujące pytania ze strony czytelników. Myślała, że już nic jej nie zdziwi, a jednak... Na szczęście personel podołał akcji usunięcia usterek technicznych i na kwadrans przed południem sala zaczęła zapełniać się gośćmi. Rozstrzał wiekowy był tak duży, że nie sposób było określić średniej wieku przybyłych. Ayli dostrzegła małżeństwa, które z całą pewnością obchodziły już swoje złote gody, jak również rodziny z dziećmi w wieku kilku lat. Chociaż ci ostatni zawsze wywoływali u niej lekki stres – nie ma nic gorszego jak rozkrzyczane albo rozplakane dziecko w środku wykładu na temat darwinowskiej teorii ewolucji. Taki nagły wybuch emocji ze strony malucha nie tylko rozpraszał Aylime i wybijał ją z rytmu, lecz także przeszkadzał

innym słuchaczom. Raz doszło nawet do rękoczynów i pyskówki między gośćmi. Modliła się, by tym razem obeszło się bez ekscesów.

- Jest pani gotowa? - zapytał główny technik na sali.

- Tak, w każdej chwili możemy zaczynać.

- Świetnie, uprzedzę prowadzącego. Zaraz poprosimy panią na scenę.

Zniknął na moment, a w tym czasie Ayli wyciszyła telefon komórkowy i wzięła porządny łyk wody, choć i tak wiedziała, że niedługo znowu zaschnie jej w gardle. Na środku sceny znajdował się stół z dodatkową wodą oraz dwa fotele. Jeden przewidziano dla autorki, drugi dla prowadzącego, Matthew, o którym można by długo opowiadać, lecz najprościej określić jednym zwrotem: „niezłe ciacho”. Był co najmniej kilkanaście lat młodszy od Aylime, czytany i niezwykle kompetentny. W końcu wystartowali. Ayli pojawiła się na scenie zachęcona gromkimi brawami; nigdy tego nie lubiła, czuła się głupio, gdy ktoś klaskał, ale zawsze po takim wydarzeniu wspomnienie owacji na stojąco wywoływało gęsią skórę i przyjemnie łechtało jej ego. Na szczęście nigdy nie popadła w egocentryzm. Rozmowa trwała ponad godzinę, a dodatkowo goście mieli czas na zadawanie pytań. Wtedy prowadzący odgrywał bardzo ważną rolę, bo ludzie mieli tendencję do egoizmu i nie potrafili ograniczyć się do jednego pytania, czasem ktoś wchodził w słowo innemu i trzeba było stalowych nerwów, żeby towarzystwo uspokoić. Na szczęście Matthew zdawał się do tej roli stworzony. Ayli była zmęczona, dwa razy prosiła o dodatkową wodę, bo piła jak hipopotam; powietrze na sali było wyjątkowo suche, co ją nawet zaskoczyło. Wszak teatr to miejsce, gdzie aktorzy powinni mieć zapewnione optymalne warunki, by z kolei ich gardła nie zasychały na popiół w czasie spektaklu. Gładko dobrnęli do końca, teraz tylko czytelnicy zgłaszali się do niej po autograf. Niektórzy opuścili już budynek, inni chcieli tylko zdjęcie z Ayli. Zostali najwytrwalsi, którzy ustawili się w kolejkę, by zakupić nową książkę. Mimo iż na rynku sprzedażowym osiągała wysokie notowania, to jednak tu zniknęła zaledwie jedna trzecia wystawionych egzemplarzy. Fakt



ten jednak nie dziwił Ayli. Większość tu przybyłych wykazywała zainteresowanie dawną powieścią zatytułowaną *Oszukać ewolucję*, której akcja toczyła się między innymi w Portland. Istnieje pewna tendencja wśród czytelników – zawsze, gdy akcja książki dzieje się w miejscu ich zamieszkania, nabierają pewnego rodzaju sentymentu do faktu, iż ktoś wybrał właśnie to miejsce do napisania powieści. To było po prostu miłe. Kolejka zmniejszała się powoli, dlatego Aylime musiała ograniczyć indywidualne pogaduszki z gośćmi. Po trzydziestu minutach zostały już tylko cztery osoby: dziewczyna w wieku około dwudziestu kilku lat, jakieś małżeństwo i kilkunastoletni chłopak. Dziewczyna poprosiła o krótką dedykację: „Dla cioci Marii”, podziękowała i poszła – też najwyraźniej miała dość. Wtedy podszedł chłopak; teraz dopiero Aylime przyjrzała się mu z bliska. Nie była pewna, czy to jego uroda zadziałała na nią tak hipnotyzująco, czy podobieństwo do...

- Dzień dobry – powiedział mężczyzna, stojący tuż obok, prawdopodobnie ze swoją żoną. – Świetne spotkanie, gratulujemy sukcesu.

Mężczyzna podszedł bliżej i uścisnął dłoń Ayli. Podał jej świeżo zakupioną nowość i dodał:

- Wprawdzie syn nakłonił nas na przyjazd z powodu innej książki, ale mnie zdecydowanie bardziej przypadła do gustu pani nowa powieść.

Aylime uśmiechnęła się i wzięła do ręki swój ulubiony długopis.

- Dla kogo ma być dedykacja?

- Po prostu dla Paula.

- Oczywiście. – Na pierwszej stronie sporządziła stosowną adnotację.

Kobieta, która była żoną Paula, milczała, ale cały czas się uśmiechała. Ayli podejrzewała, że przyjechała tu jedynie z nudów albo zawsze wybierali się rodzinnie na tego typu wydarzenia kulturalne.

- Państwo są z Portland? – zapytała Aylime, oddając nową powieść w ręce Paula.

- Tak, od zawsze - odpowiedziała w końcu kobieta.

- Cieszę się, że państwo przyjechali, nie spodziewałam się aż tak licznej widowni - odpowiedziała skromnie Ayli.

- Właściwie to był pomysł naszego syna, bardzo zainteresował go temat, o którym pisała pani w poprzedniej powieści, i liczył, że będzie mógł chwilę porozmawiać, ale... pani z pewnością pada z nóg.

- Tak, nieustannie od dziesięciu lat - zażartowała, co wywołało uśmiechy na twarzach całej trójki. - Nie szkodzi, doceniam, że państwo tak dzielnie stali w kolejce. Chętnie posłucham, co takiego nurtuje syna...

Wyciągnęła rękę do chłopaka, a on odwzajemnił ten gest. Dopiero gdy Aylime uchwyciła jego dłoń, zorientował się, że nie założył rękawiczek. Pośpiesznie wycofał rękę i wyraźnie się speszył. Ten szczegół nie uszedł uwadze Ayli, która dostrzegła jego nietypowe przerosty.

- Miło mi, jak masz na imię?

- Marcel - odpowiedział nieśmiało.

Ojciec, widząc, że Marcel się wycofuje, spróbował uratować sytuację. W końcu po to tu przyjechali.

- Proszę wybaczyć, syn bardzo chciał dowiedzieć się czegoś więcej o swojej... wyjątkowości. Wygląda na to, że pani ma sporą wiedzę na temat przypadków nietypowej budowy ciała. Tamta książka... Marcel, śmiało, rozmawiaj z panią.

Ten szalenie przystojny młody człowiek nie pozwalał oderwać od siebie oczu Ayli, powód był jednak inny. Poczła, jak serce zaczyna jej szybciej bić i kręci jej się w głowie. Próbowwała zachować pozory i kontynuowała rozmowę rozpoczętą przez... ojca.

- Właściwie moja wiedza nie wynika z medycznego wykształcenia, a jedynie w oparciu o literaturę fachową, z którą miałam do czynienia.

- No właśnie - odezwał się w końcu Marcel - chciałem zapytać, czy jest taka możliwość, żeby pani wskazała mi konkretne książki czy inne źródła, z których dowiem się więcej na „ten” temat?

Uśmiechnęła się, chociaż miała ochotę wybuchnąć płaczem. Nie przestawała gapić się na chłopaka, aż zdała sobie sprawę, że zauważyli to jego rodzice.

- Przepraszam państwa... syn przykuwa uwagę bardziej niż zorza polarna na Svalbardzie. Zrobiłby spektakularną karierę w modelingu. Pewnie nie może odgonić się od wielbicielek - zażartowała i spojrzała na rodziców, którzy zrobili dumne miny.

- To prawda, przystojniak z naszego syna. Ma dopiero siedemnaście lat, a już takie powodzenie - odezwał się Paul, próbując w dalszym ciągu być zabawny. - Nie to co jego ojciec, ha, ha.

Żona, której imienia Ayli nie było dane poznać, najwyraźniej miała spory dystans do tego typu humoru, bo również ją to rozbawiło.

- Faktycznie, po tobie nie ma urody, co najwyżej inteligencję.

Aylime bała się to powiedzieć, ale słowa jakby same pchały się jej na usta. Miała przed sobą puzzle, które nagle zaczęły się układać, tworząc zwartą całość. Wyrecytowała:

- Proszę wybaczyć, ale do pani Marcel również nie jest podobny. To pewnie po dziadkach ta uroda...

Paul zdrętwiał i natychmiast przyjął wycofaną, nieco agresywną postawę. Najwyraźniej się spłoszył.

- Miło się rozmawia, ale nie będziemy już pani męczyć.

- Nie męczą mnie państwo, mogę podać Marcelowi kilka przydatnych tytułów z zakresu genetyki i...

- To miło z pani strony - odezwał się Paul. - Poczekajcie na mnie w samochodzie, spiszę tytuły i zaraz do was dołączę.

Dał wyraźnie do zrozumienia żonie i Marcelowi, że rozmowa właśnie dobiegła końca. Żona sprawiała wrażenie zadowolonej, tylko Marcel miał taką minę, jakby nie do końca rozumiał, skąd nagle ten pośpiech. Odeszli. Gdy byli już wystarczająco daleko, wtedy odezwał się Paul:

- Może będzie wygodniej, gdy zostawię swój numer telefonu. Może pani po prostu wysłać tytuły SMS-em. Naprawdę musimy już

uciekać.

Ayli poczuła odwagę i jednocześnie ogromną ciekawość. Rozpoczęła grę, licząc, że w ten sposób uda jej się tak poząnglować słowami, że mężczyzna wpadnie w pułapkę.

- Proszę wybaczyć, czy ja pana uraziłam?

- Nie, skąd - odpowiedział niechętnie Paul, pisząc pośpiesznie numer telefonu na kartce papieru.

- Jeśli nie uraziłam, to może przestraszyłam...

- Słucham?

- Ewidentnie wpadł pan w popłoch.

- Proszę posłuchać, nie wiem, do czego zmierza ta rozmowa, ale odnosi pani mylne wrażenie.

To mówiąc, położył kartkę z numerem, który celowo napisał niepoprawnie.

- Ja nie należę do osób, które odnoszą wrażenia. Ja dostrzegam pewne rzeczy.

- Żegnam panią. - Odwrócił się i ruszył w stronę wyjścia.

Ayli cierpliwie czekała. Wyciągnęła największe działa i wykonała strzał artyleryjski.

- Proszę pozdrowić żonę i... syna, o ile faktycznie nim jest.

Paul zatrzymał się. Strzał w dziesiątkę. Aylime założyła ręce na krzyż i dała mu chwilę, domyślając się, że zdrowy rozsądek każe mu wrócić. Podszedł do niej znowu.

- Kim pani jest i czego ode mnie chce?

Zaśmiała się teatralnie.

- Mam na imię Aylime Cavon, jestem pisarką, właśnie odbywał tournée promujące moją nową powieść... sądziłam, że pan wie, na czyje spotkanie autorskie przyszedł?

Zacisnął zęby. Jej sarkastyczny i pewny siebie ton doprowadzał go do furii.

- Skończmy tę dziecinadę. Czego pani chce?

- Sądziłam, że to pan zechce powiedzieć mi coś o Marcelu...

Ayli sięgnęła po telefon. Pewnie gdyby nie to, że wokół kręcili się pracownicy teatru, Paul rzuciłby się na nią i udusił. Chwilę

trwało, zanim znalazła to, co chciała mu pokazać.

- Zna pan tę kobietę? - zapytała. - Zaskakujące podobieństwo do Marcela, nieprawdaż?

- Ile pani chce?

- Słucham? - oburzyła się Ayli.

- Pytam, ile kosztuje pani milczenie? - zapytał wprost.

Wybuchła śmiechem.

- Pan sobie żartuje?! Każda z moich powieści sprzedaje się na całym świecie w milionach egzemplarzy. Proszę mi wierzyć, że pieniądze to ostatnia rzecz, która mnie interesuje, ha, ha!

- Co w takim razie panią interesuje?

- Prawda.

Zamilkł. Ayli wiedziała, że już ma go w garści.

- Czy potem zostawi nas pani w spokoju? - zapytał niepewnie.

- Jedna szczerza rozmowa i przysięgam, że nigdy mnie pan nie zobaczy na oczy.

- Zgoda. Nie dam rady dzisiaj, ale jutro...

- Świetnie, bo w czwartek już wyjeżdżam.

- Proszę mi dać swój numer telefonu, zadzwonię.

Zmrużyła cwaniacko oczy. Przejrzała go na wylot.

- Nie ma takiej potrzeby, to ja zadzwonię do pana. No chyba, że podał pan niewłaściwy numer...

Paul był na skraju wyczerpania nerwowego. Przerazała go ta kobieta. Wiedział jednak, że musi się z nią spotkać; nie miał pojęcia, ile prawdy zna i co z nią zrobi, ale zdawał sobie sprawę, jaka kara grozi za uprowadzenie cudzego dziecka. Chwycił wściekle kartkę, którą uprzednio położył na stole, przekreślił zapisany wcześniej numer i pod spodem napisał właściwy. Wyszedł bez słowa.

- Matko! Co tak długo? - stwierdziła zniecierpliwiona Elizabeth.

- Zastanawialiśmy się, czy nie pomdleliście tam.

Paul zmusił się do uśmiechu.

- Podała ci te tytuły?

- Nie, rozmowa zeszła na inny temat i zupełnie o tym zapomniałem. Ale nie przejmuj się, zdobędę je - zwrócił się do

Marcela.

- Na jaki temat?

- Słucham?

- Powiedziałeś, że rozmowa zeszła na inny temat.

- Ach! Wygadałem się, że jestem ginekologiem i... nie uwierzysz, poprosiła o konsultację przy okazji pobytu w Portland.

- Konsultację?

- Tak, od wczoraj dopadł ją potworny ból w podbrzuszu i boi się z tym jechać w trasę.

- Zgodziłeś się?

Spojrzał na nią jakby nigdy nic.

- No oczywiście, kochanie. A czemu miałbym się nie zgodzić? - Uśmiechnął się. - Zrobię jej USG i może dam jakiś silniejszy lek przeciwbólowy. Przy okazji poproszę o te tytuły książek.

Sprawa wydawała się jasna dla Liz. Marcel także nie był zbyt przejęty. Tylko Paul gotował się w środku i modlił, żeby Liz niczego nie zauważyła.

## ROZDZIAŁ 82

Best Café, 7 maja, godz. 11:38

Paul celowo wybrał mało uczęszczaną kawiarnię znajdującą się w najbardziej odległym rogu ślepej uliczki. Jeszcze tego brakowało, żeby Liz dowiedziała się, że wizyta ginekologiczna to kłamstwo pełną gębą. Zaczęłyby go podejrzewać o zdradę, a przecież kochał żonę ponad wszystko i nie byłby zdolny do takiego czynu. Ayli zjawiła się punktualnie za kwadrans dwunasta. Założyła przeciwsłoneczne okulary i spięła włosy w koczek. W lokalu było duszno, więc gdy tylko zjawiła się w wejściu, rozpięła sportową kurtkę. Paul zrobił wymowny acz dyskretny gest ręką, że na nią czeka.

- To było niepotrzebne, oprócz tego starszego pana i kelnerów nikogo tu nie ma - powiedziała złośliwie na dzień dobry.

- Czego się pani napije?

Bar znajdował się na drugim końcu sali, ale barman akurat patrzył w ich stronę. Ayli zahipnotyzowała go spojrzeniem i uprzejmie poprosiła:

- Czy mogę prosić kawę z mlekiem?

Mężczyzna kiwnął głową i zabrał się za parzenie.

- Cieszę się, że pan przyszedł.

- Skoro obiecałem, to jestem. Ale nie mam dużo czasu, oficjalnie jestem w gabinecie. Jeśli żona zadzwoni...

- Ale z pana pantoflarz!

- Wypraszam sobie...

- Przepraszam, ale nie mogłam się powstrzymać. Przecież nie robi pan nic złego.

- Poza tym, że okłamałem żonę... to faktycznie nic.

- W końcu nie pierwszy raz...

Paul zrozumiał, do czego nawiązuje. Na szczęście przyszedł barman z aromatyczną kawą. Ayli podziękowała.

- Kawa... tego właśnie potrzebowałam.

- Do rzeczy, szkoda czasu - niecierpliwił się Paul - czego pani ode mnie oczekuje?

Wzięła łyk kawy, która bardzo jej smakowała.

- Prawdy. Tylko tyle. Zamieniam się w słuch.

- Skąd pani w ogóle wie o Marcelu? - Zaryzykował pytaniem, bo tak naprawdę nie miał pojęcia, jaki jest poziom wiedzy Ayli na temat całej tej historii.

- Nikt pana nie nauczył, że nieładnie odpowiadać pytaniem na pytanie? Umowa była prosta: ja słucham, pan mówi. Potem rozejdziemy się i nigdy więcej nie spotkamy.

Wziął głęboki oddech i zaczął od momentu, który jego zdaniem powinien być wystarczającym początkiem. Im mniej powie, tym lepiej.

- Wiele lat staraliśmy się z żoną o dziecko, ale bezskutecznie. Kilka razy poroniła. Gdy straciliśmy już nadzieję, a żonie przestało zależeć, wtedy znowu zaszła w ciążę. Gdy doczekała trzeciego miesiąca, postanowiliśmy wyjechać do naszego domku na zachodnim wybrzeżu. Spędziliśmy tam kilka miesięcy, ale plan był taki, żeby wrócić przed porodem do miasta. Niestety, akcja porodowa zaczęła się zbyt szybko, a szpital był daleko. Nawet posiadając spore doświadczenie ginekologiczne, nie mogłem nic zrobić... dziecko urodziło się martwe... Żona była w takim stanie wycieńczenia, że od razu zasnęła po porodzie. Była pewna, że dziecko urodziło się żywe i zdrowe.

- Skąd pan wie?

- Bo nie widziała go martwego, a poza tym... usłyszała płacz



noworodka i to ją uspokoiło.

Aylime słuchała uważnie, ale zbyt wcześnie było na wyciągnięcie ostatecznych wniosków. Chciała, żeby Paul mówił dalej, bo wiedziała, że nie zna jeszcze całej prawdy.

- Tak się złożyło, że tuż przed tym zdarzeniem, to znaczy przed nieprzewidzianym porodem żony, wyszedłem na spacer. Wiem, że to zabrzmiało irracjonalnie, ale... na plaży znalazłem Marcela.

Ayli udawała, że ta informacja niespecjalnie ją poruszyła, ale było inaczej. Paul mówił dalej.

- Proszę sobie wyobrazić moją minę! Idę sobie brzegiem, a tu mi dziecko prawie z nieba spadło, choć właściwie to raczej ocean go wyrzucił. Wiem, że noworodki potrafią pływać, ale to... było dość niesamowite. Tym bardziej, że wokoło nie było żywej duszy. Ile ten maluch musiał przebywać w wodzie, żeby dobrać aż tam? No chyba, że ktoś go zostawił, licząc, że woda go porwie i dziecko utonie...

- Po co ktoś miałby to robić?

- Jak już pani zauważyła, Marcel jest inny. Niektórym mogło to przeszkadzać. Nie wiem, nie mam pojęcia, jak się tam znalazł, ale, rzecz jasna, zabrałem go ze sobą. Gdy niczego nieświadom, wróciłem do domku, żona już rodziła, sama. Dalszą historię pani zna. Koniec. Nie mam nic więcej do powiedzenia.

- Co zrobił pan ze swoim prawdziwym dzieckiem?

Paul zrobił się błydy. Ayli dała mu chwilę.

- Idealna układanka: żona rodzi przedwcześnie martwe dziecko, ale o tym nie wie, a gdy dochodzi do siebie po porodzie, pan podrzuca cudze dziecko, znalezione w przedziwnych okolicznościach na plaży. Nie ma rodziców, nikt o dziecko nie pyta. Pięknie. Ale co ze zwłokami? Chyba nie wyrzucił ich pan do oceanu?

- To już nie powinno pani obchodzić.

- Nie. Ma pan rację. Nie musi mi pan tego mówić, chyba że chce się pan pozbyć ciężącego od lat kamienia na sercu...

Paul zakrył twarz, ale ona i tak widziała, że oczy zapełniły mu się łzami.

- Nie byłbym zdolny do takiego czynu - wyjąkał cicho. - Godnie go pochowałem i codziennie się za niego modlę. Nie mogłem mu pomóc, urodziło się martwe. To nie moja wina... Tak samo nie jest moją winą, że ktoś porzucił Marcela. Teraz pani jest mi winna wyjaśnienie. Proszę mi powiedzieć, zna pani jego matkę?

Ton Paula był tak desperacko-błagalny, że gdyby nie to, że Ayli przerabiała tysiące razy tę historię w swojej głowie i przeżyła już wiele tragicznych chwil z nią związanych, pewnie też by się teraz rozplakała. Ale ona już wylała wszystkie łzy. Powiedziała spokojnie, dopijając resztkę kawy:

- Tak. Ta kobieta ze zdjęcia to prawdziwa matka Marcela. Tylko dlatego zorientowałam się, że Marcel jest jej synem, bo podobieństwo jest wręcz uderzające, sam pan przyzna.

- Czemu to zrobiła?

Nastało milczenie. Zastanawiała się, co powiedzieć.

- To dość skomplikowane i proszę mi wierzyć, nawet gdybyśmy tu siedzieli tydzień, pewnie nie zdążyłabym panu wszystkiego wyjaśnić. Powiem tylko, że ona nie chciała tego dziecka.

- Przez jego paluszki?

- Nie sądzę, aby tylko to było powodem tak desperackiego czynu. Nieważne. Obiecałam, że dam panu spokój, gdy się dowiem prawdy i dotrzymam słowa.

- Chwileczkę, zostawi mnie pani tak?

Ayli zaśmiała się.

- A czy nie tego właśnie pan sobie życzył? Myślałam, że tylko kobiety nie wiedzą, czego chcą - powiedziała ironicznie.

- Nie... to znaczy, tak. Tylko... jaką mam pewność, że dotrzyma pani słowa? Skąd mam wiedzieć, że jego matka nie zechce go odzyskać, skoro pani już wie, gdzie go szukać?

- O to proszę się nie martwić. Powiem tak: jeśli chodzi o to, co pan zrobił, musi mi pan zaufać, że nie zgłoszę tego na policję. Przypuszczam, że zrujnowałoby to panu życie osobiste i karierę. A co do samego Marcela... na pana szczęście, na świecie nie ma już nikogo, kto mógłby rościć sobie jakiejkolwiek prawa wobec niego.

- Co chce pani przez to powiedzieć?

- Jego matka nie żyje, ojca nikt nie zna, jego babcia zmarła niedawno po latach ciężkiej depresji, która zaczęła się, gdy dowiedziała się o śmierci córki. Biologiczny dziadek zmarł na długo przed narodzinami Marcela, nie ma też rodzeństwa. Ach! O mały włos bym zapomniała...

- O czym? - Zaciekawiał się Paul, pozostając nadal w głębokim szoku po słowach Ayli.

- Marcel... też oficjalnie nie żyje.

- Słucham?

- Niech pan w to nie brnie, bo wykopie pan zwłoki wszystkich tych, którzy stracili życie w tej smutnej historii. Uznajmy, że Marcel jest dla państwa darem niebios. Żegnam pana i życzę powodzenia.

Już prawie wychodziła, gdy odwróciła się nagle, i zapinając kurtkę, odezwała się po raz ostatni:

- Miałam panu podać listę książek dla Marcela, ale... jeśli mogę coś zasugerować, to proszę nakłonić syna do operacji, dla jego własnego dobra. Taki znak rozpoznawczy może sprowadzić na niego uwagę ludzi, którzy zadbali o śmierć jego matki.

Wyszła z kawiarni. Paul tego dnia nie wrócił do gabinetu. Pojechał prosto do domu, skąd poinformował Johna, że źle się czuje. Nigdy w życiu nie zobaczył już Ayli. Prawie dziesięć lat później wpadła w jego ręce książka autorstwa pani Cavon zatytułowana: *Rodinia - znowu razem*. Na pierwszej stronie przeczytał dedykację, a raczej deklarację: „Skoro to czytacie, znaczy, że już mnie tu nie ma. Moje życie było piękne, nie potrafiłabym wyobrazić sobie piękniejszego, choć wiele razy przekonywałam się, jak podły i okrutny potrafi być człowiek wobec innych istot. Wierzę, że kiedyś znowu planeta Ziemia odnajdzie równowagę, która została jej odebrana właśnie przez człowieka. Mnie już pieniądze nie są potrzebne, zatem cały dochód ze sprzedaży tej książki przekazuję na ręce trzech fundacji w następującym podziale: trzydzieści trzy procent dla „Fundacji Nowe Życie” działającej na rzecz zwierząt pokrzywdzonych przez ludzi, trzydzieści trzy procent dla Fundacji

„Czysto, czyściej, nasza planeta” zajmującej się aktywnym usuwaniem z mórz i oceanów śmieci generowanych przez ludzi i wyrzucanych do wód, oraz trzydzieści trzy procent dla „Fundacji Ocalenie”, która prowadzi prace nad utrzymaniem populacji gatunków zwierząt i roślin zagrożonych wyginięciem poprzez ich nadmierny połów, odstrzał oraz eksploatację środowisk naturalnych. Każdy liczyć potrafi, zwłaszcza pieniądze, dlatego ostatni jeden procent przekazuję na przymusową edukację tych wszystkich głupich ludzi, którzy bezmyślnie niszczą środowisko wyłącznie dla swoich zysków - niech ten jeden procent pomoże waszym mózgom zaślepionym żądzą pieniędzy otrząsnąć się i opamiętać. Fundację stworzyłam osobiście i nazwałam: Podobno mam wysokie IQ, ale lepiej, gdybym był mądry. Paul uśmiechnął się i trzymając w ręku powieść, pomyślał: „Aylime Cavon już nie żyje, dawno opędzłowały ją robaczki, rozszarpały harpie albo zjadły rekiny, które tak kochała, a mimo to, nawet po śmierci, potrafiła dowalić z grubej rury we właściwym sobie stylu. Książkę liczącą prawie osiemset stron pochłonął w zaledwie dwa dni, po czym odłożył do gablotki, w której przechowywał tylko wyjątkową literaturę. Pani Cavon nie znaczyła w jego życiu więcej niż jedna muszka owocówka, których tak nie znosił, ale to dzięki niej zrozumiał, co jest naprawdę ważne - nie dla niego samego, tylko w ogóle.

## ROZDZIAŁ 83

Seattle, 19 sierpnia 2031, wtorek

Lato powoli dobiegało końca. Ayli wreszcie miała chwilę oddechu od książek i spotkań z czytelnikami. Od jakiegoś czasu chodziła jej po głowie nowa powieść, która byłaby kolejną formą upustu nagromadzonych emocji oraz kanałem przemytniczym dla jej głębokiej ideologii. Wiedziała, co to będzie, ale nie wymyśliła jeszcze bohaterów, nie wiedziała też, jaka będzie puenta. Był to kolejny szkic, który zawsze zwykła porównywać do organizmu, w którym są organy, żyły i krew, ale nie ma pompy, która by je napędzała. Takie zombi, które śniło jej się po nocy i dręczyło, dopóki nie nadała mu ostatecznej formy i nie tchnęła w niego życia. Brakowało jej jednego ogniwa. Czegoś, co zapali lampkę, wystrzeli kulę, dokona eksplozji, wprawi w ruch, nada sens i logikę. Zwykle taki impuls nadchodził znienacka.

Siedziała po raz kolejny w samolocie do Seattle. Tamtejsze lotnisko знаła lepiej niż swoje ulubione, lizbońskie. Przeszło jej przez głowę, że już tyle razy przekraczała granicę Stanów Zjednoczonych, że powinna dostać podwójne obywatelstwo. Zdążyła się już wyspać, a teraz przebierała ze zniecierpliwienia nogami, czekając na lądowanie. Zerknęła przez okienko. Zawsze miała nieuzasadnione skłonności do fatalistycznych myśli. Bez większego wzruszenia wyobrażała sobie, że nagle samolot traci kontrolę, zaczyna spadać jak kamień albo raczej jak kilkaset ton żelastwa,

i rozwała się o ziemię. Bach! Krach! Pach! I po wszystkim. Ciekawe, czy ktoś by przeżył? A może nikomu nic by się nie stało... W myślach nucila sobie ulubioną rymowanekę: „Och, och, och, zamienimy się w proch. Ach, ach, ach, pójdziemy wszyscy w piach”.

Wbrew podejrzeniom samolot wylądował w jednym kawałku. Ayli stwierdziła, że jest już chyba stara, bo zamiast chłonać uroki życia, częściej myślała o tym, co będzie, gdy umrze. Przyjaciel doradził jej, żeby czasem poddała się takiej terapii – podobno myślenie o własnej śmierci działa oczyszczająco i sprawia, że człowiek bardziej cieszy się życiem.

Danny Passrowher – ku wielkiemu zdumieniu Ayli – był kiedyś dość popularny dzięki niezwykle interesującym projektom naukowym. Jednak ilekroć poszukiwała w Internecie stron poświęconym jego badaniom, okazywało się, że strona nie istnieje lub część treści została usunięta. Na szczęście dotarła do pewnych szczątkowych informacji o nim, które doprowadziły ją do miejsca jego wcześniejszego zamieszkania. Starsza pani, którą tam zastała, stwierdziła, że ktoś taki kiedyś tu mieszkał, ale już się wyprowadził. Ubłagała staruszkę, żeby podała jej nowe namiary. Ta, choć niechętnie, wskazała bardzo ogólnie dzielnicę i nazwę ulicy, gdzie Aylime miała pytać dalej. Potem zamknęła jej drzwi przed nosem. Na wskazanej ulicy pytała wyrywkowo o doktora Passrowhera, jednak bezskutecznie. Dopiero jakiś naiwny dzieciak usłyszał to i zaoferował, że zaprowadzi ją do pana doktora. Ayli niemal biegła za nim, gdy ten drałował na swoim rowerku. W końcu zapukała do drzwi domu wskazanego przez chłopca. Niestety, otworzyła jej kobieta i poinformowała, że pan Danny Passrowher już tu nie mieszka. Ayli zamierzała już odejść, gdy stojąca w drzwiach pani zapytała:

- Czego pani chce od ojca?

To była rzecz, na którą czekała. Niemal rzuciła jej się do stóp, prosząc, by udostępniła jej miejsce pobytu taty. Mina kobiety zdradzała mieszane uczucia: coś między zmęczeniem, zwątpieniem, smutkiem, a zdenerwowaniem i litością.

- Tata wyprowadził się dawno temu. Miał już wszystkiego dość.

Ayli nie do końca rozumiała, czego mógł mieć dość ten człowiek, ale sądząc po tym, co usłyszała kiedyś od Cariny w zakładzie psychiatrycznym, mogła się co nieco domyślać.

- Przepraszam za najście. Ja wiem, że pani nic nie musi i uszanuję to, jednak gdyby była pani tak uprzejma i powiedziała, gdzie znajdę pani ojca... mam mu coś ważnego do przekazania. Sądzę, że ta wiadomość go ucieszy.

Stojąca naprzeciw córka Danny'ego parsknęła z lekką drwiną.

- Sądzę, że ojca mógłby już tylko ucieszyć święty spokój.

- Wie pani, ja... nie znam tej całej historii, ale wiem, że wiele lat temu pani tata chciał pomóc pewnej dziewczynie...

- Tak, chciał jej pomóc, a ona sprowadziła na niego FBI i skończyło się to dla niego wyrokiem. Nie sądzą, żeby interesowało go cokolwiek, co ma związek z tą sprawą.

Ayli nie dawała za wygraną.

- No tak, wspomnienia pewnie nie należą do najprzyjemniejszych. Wiem coś o tym, bo... przy mnie skremowano zwłoki tej dziewczyny. Ona już nie żyje.

Przez moment wydawało jej się, że kobieta się przejęła. To było jednak złudne wrażenie.

- I dobrze! Zabiła swoje dziecko, więc spotkała ją należyta kara. Nie wiem tylko, dlaczego oberwało się za to mojemu tacie... - Była zdenerwowana i Ayli czuła, że jeśli nie powie czegoś bardziej przekonującego, to kobieta zamknie jej drzwi przed nosem.

- Tylko że ona nie zabiła swojego dziecka. Chłopak żyje i ma się bardzo dobrze.

Kobieta zrobiła wielkie oczy. Pewnie podejrzewała, że Ayli ją wkręca, by tylko wydobyć informacje o miejscu pobytu taty.

- To niemożliwe, coś się pani pomyliło. Zresztą, nieważne, tata z pewnością pośle panią do wszystkich diabłów. Niech pani idzie do portu. Pewnie tam jest, o ile nie wypłynął kutrem na połów.

W porcie panował spory harmider. Większe łajby zacumowano od lewej, a mniejsze podpływały z prawej strony. Niektóre

zostawały dłużej, z innych podawano załadowany towar, po czym odpływały. Było dość ciepło, dlatego w powietrzu unosił się charakterystyczny rybi zapaszek. Ayli szła po wielkiej szarej płycie, przeganiając nadbrzeżne ptactwo dobierające się do resztek jedzenia porzuconych przez rybaków. Większość ludzi ubrana była w jakieś łachmany, gumiak, koszule flanelowe zawinięte do łokci, spodnie drelichowe albo nieprzemakalne, jakby z plandeki. Nie dało się ukryć, że Ayli zwracała na siebie uwagę. Na dodatek wylała na siebie sporo ulubionych perfum, przez co wokół zlatywały się owady: osy, muchy i ważki nęczone intensywnym kwiatowym zapachem. Tutaj podobno miała odnaleźć człowieka o nazwisku Passrowher. Nie miała pojęcia, jak wygląda, ale jego córka twierdziła, że gdzieś tu przebywa. Na pytanie, czy ktoś widział doktora, każdy odwracał się i odchodził.

Matko, oni traktują go jak zombi – pomyślała wkurzona.

Niby ludzi było tu pełno, ale żaden nie był zbyt rozmowny. Miała już tego dość. Zaczęła się zastanawiać, co taka stara baba jak ona robi po drugiej stronie Oceanu Atlantyckiego w jakimś śmierdzącym rybą porcie, otoczona gryzącymi gzami? To było jak szukanie igły w stogu siana. Dała sobie ostatnią szansę; ruszyła wprost do pobliskiej knajpy rybackiej, chociaż bardziej pasowało do niej określenie „mordownia”. Był to ciasny bar, w którym serwowano jakieś tłuste, dziwne żarcie. Śmierdziało spalenizną i starym olejem, które mieszały się z dymem papierosowym. Ayli zakryła ręką usta, by przeczekać pierwszy szok. Po chwili było lepiej; oddychając, pompowała w swoje płuca unoszące się w powietrzu substancje smoliste i podejrzane wyziewy z kuchni. Zbliżyła się do baru. Barman jakiś czas ją ignorował, ale w końcu podszedł. Ayli miała to gdzieś.

- Co podać szanownej pani?

- Małe piwo i wskazówkę, gdzie znajdę Danny'ego Passrowhera  
- powiedziała dość serio, licząc, że osiągnie cel.

Barman podał jej doskonale schłodzone piwo, spojrzał na nią naiwnie i rzekł:



- Trzy dolce za piwo.

Wyciągnęła banknot pięciodolarowy i położyła na blacie.

- A za informację ile?

Zabrał pieniądze, wydał resztę i nic nie powiedział. Ayli też go zlekceważyła. Była już zmęczona - nie życiem, tylko tą podróżą. Ile razy można latać do Seattle? Wzięła porządny łyk piwa i odstawiła pokal na bar z dużym trzaskiem. Nie miała ochoty przebywać ani chwili dłużej w tym miejscu. Ruszyła w stronę wyjścia. Po chwili zorientowała się, że ktoś za nią idzie.

- Czego pani chce? - usłyszała.

Odwróciła głowę.

- Przepraszam, my się znamy?

- Podobno pani mnie szuka.

- To pan jest tym Dannym Passrowherem?

- A kto pyta, jeśli można wiedzieć?

Mężczyzna wyglądał dość poczciwie. Ayli szybko zmierzyła go wzrokiem i stwierdziła, że dobrze patrzy mu z oczu.

Więc to ten człowiek spędził z Cariną kilka miesięcy w ukryciu - pomyślała.

- Cavon. Aylime Cavon. Bardzo mi miło. - Podała mu rękę.

- Może lepiej nie będę pani witał, bo potem nawet najlepsze perfumy nie będą w stanie zetrzeć z pani skóry rybiego swądu.

- Źle mnie pan ocenia - odpowiedziała. - Czy możemy chwilę porozmawiać?

- Skąd pani mnie zna i jak mnie pani tu znalazła? - odpowiedział pytaniem. Nie znosiła tego.

- Tak długo trułam dupę pana córce, że w końcu mi powiedziała. Stwierdziła, że i tak mnie pan przepędzi. A znam pana... właściwie, to dowiedziałam się o panu od Cariny. Cariny Costy.

Wyraźnie zrzędała mu mina. Najwidoczniej nie był zadowolony z takiej odpowiedzi.

- Rozumiem, że to dalszy ciąg tej cholernej historii. Co u niej?

- Świetnie. Nie żyje. Chociaż wątpliwe, czy zmarła ze starości...

jeśli pan wie, o czym mówię.

Spojrzał na nią. Oczywiście, że wiedział, o czym mówi, ale jakie to miało znaczenie, zwłaszcza teraz, po jej śmierci?

- I czego pani ode mnie oczekuje? Współczucia? Szczerze współczuję. Czy to wszystko?

Był niemiły, ale Ayli wcale mu się nie dziwiła. Sporo przeszedł, sporo w życiu stracił, a Carina miała w tym spory udział... na to w każdym razie wyglądało. Teraz jeszcze jakaś obca baba nęka go i Bóg wie, czego chce.

- Właściwie to liczę, że dowiem się od pana prawdy. Tylko tyle.

- Jakiej prawdy?

- Carina nie żyje, jej matka zmarła na skutek głębokiej depresji po tym fakcie, ojciec dawno zginął... same trupy. Pozostali przyjaciele cały czas zastanawiają się, jak do tego doszło. Bo szczerze powiedziawszy, nikt tak właściwie nie wie, co się wydarzyło. Nie sądzi pan, że należy nam się przynajmniej prawda?

- Ha! Prawda... należy... Że też mnie nikt o to nie zapytał? Mnie też się coś należy, przynajmniej wdzięczność, że się zająłem tą dziewczyną, wydałem własne pieniądze, żeby miała co jeść, zaryzykowałem pracę, rodzinę i wszystko, co miałem, a przez nią i tak dostałem wyrok. Więc niech mi pani nie mówi, co się komu należy.

- Panie Passrowher, ja nie chcę pana oceniać, bo nie znam prawdy. Dlatego właśnie tu jestem, żeby ją poznać

- I osądzić mnie.

- Nie, myślę, że nie mam do tego prawa. Poza tym swoje pan przeszedł.

- Z tego, co pani mówi, wszystko już pani wie. Więc chyba nie mamy o czym dalej rozmawiać.

- Myli się pan, wiem tylko, co się stało po tym, gdy Carina postanowiła zabić swoje dziecko. Ale chciałabym wiedzieć, co się stało wcześniej. Ona tak nagle wyjechała, wszyscy się o nią martwili... Proszę...

- Prosta sprawa: Carina uparła się, że chce ze mną

porozmawiać, bo potrzebowała bardziej szczegółowych danych do swojej pracy naukowej, przyjechała więc do Seattle. Ja już wcześniej miałem na pieńku z przełożonymi, wbili sobie do głowy, że zdradzę ściśle tajne informacje jakiejś studentce i... w sumie mieli podstawy, żeby tak sądzić. Carina nie do końca zdawała sobie sprawę z tego, w jakie gówno wdepnęła. Niestety, wciągnęła w to także mnie. Nie było już odwrotu, zaczął się pościg, musieliśmy uciekać. Dotarliśmy do domku, który był mi dobrze znany. Pomyślałem, że już i tak mogę się pożegnać z pracą. Było późno, postanowiłem, że pogadam z nią, a na drugi dzień odwiozę. Wtedy wyznała mi, że jest w ciąży i sprawy się skomplikowały. Pokazała mi w całości film, który nagrała. Zdałem sobie sprawę z dramatu, jaki musiała przeżywać. Nie było odwrotu, ukrywaliśmy się tyle, ile się dało. Próbowałem przemówić jej do rozsądku, ale nie chciała mnie słuchać. To zabójstwo skrzętnie zaplanowała: podczas mojej chwilowej nieobecności, kiedy pojechałem po jedzenie i pieniądze, urodziła samodzielnie. Gdy zjawiłem się, by ją powstrzymać, zdążyła zrzucić dziecko z urwiska do oceanu. Potem, jak się pani domyśla, rządowi nas dopadli, postawiono nas w stan oskarżenia, szybki proces i wyrok. Niewiele mogłem jej pomóc. Może gdyby go nie zabiła... Nieważne. To wszystko, co mam do powiedzenia. Mam nadzieję, że jest pani zadowolona.

- Dziękuję, doktorze, za te wyjaśnienia. Znacznie bardziej rozjaśniło mi to sytuację.

- No, czyli zna już pani prawdę. Możemy się pożegnać.

- Nie do końca - powiedziała, widząc, że doktor ma jej już serdecznie dość. - Ja znam prawdę, ale pan jeszcze nie.

- Co ma pani na myśli?

- Dziecko żyje, Carina go nie zabiła.

- To niemożliwe...!

- A jednak. Ma na imię Marcel, wychowuje go pewne małżeństwo. Wygląda zadziwiająco zdrowo. Ma jedynie... błony między palcami. Ale jest tak szaleńczo przystojny, że raczej żadnej panie nie będą one zbyt przeszkadzać. I co pan na to?

Zaskoczony, prawda? Tak więc, jak widać, w całej tej historii mamy o jednego trupa mniej – ale proszę mi wierzyć, nie wie pan o wszystkich trupach – przyjechałam tu, bo pomyślałam, że jeśli i pan miałby umrzeć niepokodzony z myślą o tym niemowlęciu, szarpany wyrzutami sumienia, to może chociaż pana uratuję od zguby. Wprawdzie, matka dziecka oraz jego babcia nie żyją, ale jedna rzecz nie daje mi spokoju. Kim jest prawdziwy ojciec dziecka? Pan to z pewnością wie. Przebywając tyle miesięcy z Cariną, musiała to wyznać.

Doktor spojrział na nią z iskrą w oku. Chyba coś w nim ruszyło albo też chciał zakończyć ten temat, tak jak to zrobił kiedyś ojciec Marcela. W każdym razie ugiął się.

- To pani nic nie wie?

- Właśnie mówię, że nie wiem. Wszyscy myślą, że Carina została zgwałcona.

- Bo to prawda.

- Mówi pan to tak zwyczajnie. Wie pan, kto to zrobił?

- Oczywiście.

- Kto?! – krzyknęła.

- Niech się pani uciszy.

- Przepraszam.

- Nie widziała pani filmu?

- Jakiego filmu?

- Czyli jednak...

- Jednak co?

- Pytałem Carinę, czy komuś go pokazywała. Twierdziła, że nie, ale byłem pewien, że ktoś jeszcze go widział.

- Co było na tym filmie? Na litość Pańską! Niech pan mówi. Co ten film na wspólnego z gwałtem Cariny?

Cóż miał do stracenia? Nie wskrzesi już Cariny, ani jej mamy, ani tych innych trupów, o których wspominała Ayli, a o które wolał nie pytać.

- Ma pani coś do pisania? – zapytał.

- Mam. – Podała mu swój notesik i długopis.

- Niech pani przyjdzie pod ten adres dziś o dwudziestej. Tutaj nie możemy rozmawiać.

I odszedł.

## ROZDZIAŁ 84

Godzina 19:56, tego samego dnia

Malutki domek stał niedaleko portu. Było stąd widać światło latarni morskiej znajdującej się siedem kilometrów na zachód. Posesja nie była ogrodzona, ale bardzo gęsto obrosnięta krzewami i drzewami, które tworzyły szczelny żywopłot. Przed domem rósł zaniedbany trawnik. Jeszcze niebo dawało delikatny blask, przez co mimo późnej godziny nie było całkiem ciemno. Ayli dostrzegła, że ktoś się zbliża. Rozpoznała doktora. Zaprosił ją do środka.

- Nikt pani nie śledził? - zapytał.

- Żartuje pan?

- Nie, mówię całkiem poważnie.

- Skąd mam wiedzieć? Nie spodziewałam się, że ktoś może mnie śledzić.

- Nieważne. Proszę wejść do środka.

Danny dyskretnie zerknął przez okno, kryjąc się za zasłoną. W pobliżu nikogo nie dostrzegł. Upewnił się, że zamknął drzwi na klucz, zasunął starannie kotary i usiadł na starej kanapie.

- Tu pan mieszka? - zapytała.

- Hmm. Pewnie nie są to standardy typowe dla pani.

- Oj, zdziwiłby się pan. Tak czy owak, męczy mnie to „panowanie”. Może przejdźmy na ty?

- Zgadzam się, tak będzie wygodniej. Danny.

- Ayli.

Zaproponował herbatę. Mimo że chciała jak najszybciej usłyszeć prawdę, to jednak poprosiła o filiżankę. Dawno nie piła herbaty. Danny miał skromny zapas, ale ta, którą zaparzył, była wyśmienita. Widząc zniecierpliwione spojrzenie Ayli, przeszedł do sedna.

- Mogę mieć do ciebie prośbę?

- Oczywiście.

- Czy obiecasz mi, że przekażesz część dochodów ze sprzedaży tej książki na konkretny cel?

Prawie się udławiła.

- Czekaj, czekaj. Jakiej książki?

- Tej, którą napiszesz na podstawie historii, którą usłyszysz.

Zaśmiała się radośnie i szczerze.

- Dlaczego sądzisz, że zechcę cokolwiek opublikować?

- Daj spokój! Jesteś pisarką, szukasz pomysłów.

- No i co z tego?

- To będzie świetny temat. Jestem pewien, że ci się spodoba i zarobisz na tym kupę kasy.

- To się staje coraz bardziej ciekawe. No słucham, co to za historia?

- Najpierw obiecaj!

- Ach! Zapomniałam. Dobrze, jeżeli dasz mi świetny temat na książkę i sprzeda się ona z bardzo wysokim zyskiem, to przekażę część kwoty na konkretny cel. Pod warunkiem, że powiesz, jaki to cel.

- O kwotę nie pytasz?

- Nie, na tym etapie mojego życia pieniądze mało mnie interesują.

- Rozumiem. Cieszę się. Chodzi o fundację, która zajmuje się ochroną środowiska, a konkretnie mórz i oceanów.

- Brzmi doskonale. Masz to jak w banku. Chcesz to na piśmie?

Nie wiedział, czy żartuje, czy mówi poważnie.

- Nie. Ufam twojemu sumieniu.

- Ha, ha! Niektórzy mają mnie za wiedźmę, ale sumienie mam. Obiecuję.

- Dobrze. Do rzeczy. Pewnie grzebałaś w Internecie na mój temat...

Nastała chwila ciszy.

- Przepraszam, nie wiedziałam, że to pytanie. Otóż tak, ale niewiele się dowiedziałam. Byłeś pracownikiem naukowym i chyba wykładałeś na wydziale oceanografii?

- Albo tak dobrze kłamiesz, albo marny z ciebie detektyw - zażartował.

- Chyba kpisz! Dokonałam rzeczy niemożliwej - psim swędem znalazłam cię na końcu świata, nie wiedząc o tobie prawie nic. Jestem doskonałym detektywem!

Oboje się rozbawili.

- Nieistotne - znowu spowaźniał - a gdybym ci powiedział, że syreny istnieją, uwierzyłabyś?

Ayli zerknęła na niego znad filiżanki i prawdziwym belfrowskim tonem rzekła:

- Mój drogi, siedzi przed tobą pisarka, malarka, artystka i wariatka. Jeżeli jest na tym świecie ktoś, kto wierzy w syreny, trafiłeś w dziesiątkę.

- Ale ja pytam poważnie, Ayli.

- Poważnie odpowiadam. Moja zdrowo popaprana wyobraźnia jest w stanie przyjąć do wiadomości, że syreny istnieją. Nie rozumiem tylko, jaki to ma związek z Cariną.

- Ogromny. Już wyjaśniam. Skup się i postaraj nie śmiać: Carina-została-zgwałcona-przez-syrenę.

Ayli zachowała pełną powagę.

- Rozumiem. To jest ta historia?

- To dopiero początek...

- Danny, czekaj - odłożyła filiżankę. - Jeśli o mnie chodzi, to wierzę. Morza i oceany są tak paskudnie ogromne, że tylko Bóg wie, co się w nich chowa. Powiedzmy, że syreny istnieją. Teraz ty mnie posłuchaj uważnie: i-co-z-tego-że-istnieją?

Danny był zaskoczony jej obojętnością.

- Wiedziałem, wiedziałem, że nie uwierzysz. Gdyby agenci nie



zabrali filmu, pokazałbym ci, co tam się stało. Carina nurkowała i miała cały czas aktywną kamerę, która nagrała całe zdarzenie. To było okropne. Wyraźnie widać syrenę. Pewnie myślisz, że zwariowałem...

- Uspokój się. Danny... Teraz ty mi nie wierzysz. Ufam, że to, co mówisz, jest prawdą. Ale nie sądzisz chyba, że napiszę tandetną historię pseudomiłosną o tym, jak syrena, a raczej pan syrena, poczuł miętę do mojej nieżyjącej - niech spoczywa w pokoju - przyjaciółki Cariny, co zakończyło się jej ciążą, i w konsekwencji...

Zapowietrzyła się. W mgnieniu oka zrobiła się blada.

- Rany Boskie! ... Urodziło się dziecko z błonami między palcami...

- No, wreszcie dotarło. - Ucieszył się Danny. - To prawda, tak właśnie było. I teraz rozumiem, dlaczego dziecko przeżyło w tak zimnej wodzie. Ono po prostu ma to w genach.

Ayli oparła się o sofę i chwilę myślała, po czym pośpiesznie wyjaśniła powód takiego stanu.

- Danny, żebyś mnie źle nie zrozumiał. Jestem w szoku, owszem, ale bardziej dlatego, że właśnie cała ta układanka złączyła się w końcu w jeden kawałek. To znaczy jestem potwornie zaskoczona tym, co się stało, w sensie - jak doszło do poczęcia, i w ogóle że takie stworzenia istnieją.

- Przed chwilą mówiłaś, że wierzysz.

- No, wierzę, ale przecież ich nie widziałam. Powiedziałam, że dopuszczam taką myśl. Musiałabym zobaczyć to na własne oczy.

- No właśnie, a film przepadł. Kiedy pracowałem nad projektem, rządowi usunęli wszystkie niezbite dowody, które zebrałem.

- Więc to tym się zajmowałeś...

- To długa historia, nie ma teraz znaczenia.

- Danny... nie gniewaj się, ale mimo wszystko nie mogę czegoś takiego napisać, bo mnie wyśmiejają. Wiesz, to tak jakby nakręcić serial wenezuelski o Yeti, który zakochał się w dziewczynie napotkanej na górskim szlaku. Banał! Tandeta! Ja ci wierzę,

przysięgam, ale... tego nikt nie kupi. Obawiam się, że fundacja nie miałaby z tego wiele korzyści.

- Ale nie pozwoliłaś mi skończyć. To nie koniec tej historii.

- Jakakolwiek by ona nie była...

- Proszę, posłuchaj mnie do końca. Co masz do stracenia? Jesteś mi to winna.

Ayli westchnęła.

- Dobrze, ale poproszę jeszcze jedną filiżankę tej wyśmienitej herbaty.

To, co usłyszała tego wieczoru, było warte więcej niż wszystkie bestsellery na rynku wydawniczym razem wzięte. To tak, jakby dostać wiadrem zimnej wody prosto w twarz. Wydawało jej się, że jest w innym wymiarze. Wszystko to, co podają podręczniki, nabrało innego znaczenia. Wątpliwa stała się ich wiarygodność. Człowiekowi się wydaje, że wie wszystko. Nawet jeśli przypuszcza, że nic go już nie może zdziwić, nawet jeśli zobaczy latający spodek, poruszające się samodzielnie przedmioty, albo gdy ktoś przedstawi niezbite dowody na to, że Święty Mikołaj istnieje, to i tak zdarzy się coś, co zburzy jego cały światopogląd, podważy wszystko to, o czym się uczył, o czym pokątnie słyszał czy choćby podejrzewał. Stoisz sobie i myślisz: „Gdzie ja właściwie jestem?”. Co tak naprawdę się wydarzyło? Czy warto w ogóle grzebać w historii? Jakie mogą być tego konsekwencje? Bo jeśli wymuszą tylko konieczność przedrukowania części podręczników szkolnych, to mały problem. Ale jeśli prawda okaże się bardziej... inwazyjna? Jeśli pociągnie za sobą serię niekończących się zdarzeń, których nikt nie przewidział i nikt nie chciał? Czy lepiej żyć w niepewności, karmiąc umysł tanią sensacją albo wenezuelskim tasiemcem o dozgonnej miłości Yeti do pięknej dziewczyny?

Dzisiaj wszystko się zmieniło.

Karol Darwin zasłynął z teorii ewolucji człowieka. Mimo swoich kontrowersyjnych poglądów w stosunku do ówczasie panujących przekonań, znalazł wielu zwolenników głoszonych przez siebie teorii naukowych. Bez wątplenia, większość informacji i materiałów,

na podstawie których wysnuł ową teorię, pochodziła ze słynnej wyprawy w roli naturalisty na pokładzie okrętu „Beagle” pod dowództwem kapitana FitzRoya. Wiele zjawisk, zwierząt, roślin oraz skamieniałości z wykopalisk było dla niego zaskakujących. Jednak jedno odkrycie wywołało w Darwinie szczególny szok, a mianowicie to, które miało miejsce dwukrotnie: tuż na początku wyprawy na otwartych wodach dzisiejszych Wysp Zielonego Przylądka oraz – wiele lat później – na Wyspach Galapagos. Całe swoje życie krył się z tą prawdą. O ile wystarczyło mu odwagi, by opracować, spisać i opublikować teorię ewolucji, którą dobrze dziś znamy, o tyle zabrakło mu jej, by uwzględnić w pracy jeden ważny, a może najważniejszy rozdział. Pod koniec roku tysiąc osiemset pięćdziesiątego szóstego Karol Darwin skończył trzeci rozdział pracy, zatytułowany: *O możliwości krzyżowania wszystkich organizmów*. Całe dzieło wybitnego naukowca, a zwłaszcza uwzględnione w nim teorie o wyższości pewnych gatunków nad innymi oraz posiadania przez nie „lepszyc” genów, stało się pożywką dla wrogów ludzkości. Tak wypracowano darwinizm społeczny, który dla nazistów opętanych wizją Hitlera o rzekomym wyższym pochodzeniu rasy aryjskiej, był podstawą, by uzurpować sobie prawo do wymordowania milionów ludzi. Jest jednak coś, co historia przemilczała. Hitler dokonywał w obozach śmierci drastycznych eksperymentów, mając w zamyśle jeden cel – stworzenie broni doskonałej. Broń ta jednak miała być żywa. W ręce Hitlera dostały się oryginalne zapiski Karola Darwina, nigdy niepublikowane, które najpierw zostały zamurowane w skrytce znajdującej się na terenie posiadłości Darwinów, następnie odnalezione podczas generalnego remontu domu po zajęciu go przez nowego właściciela, a dalej przekazane w ręce ówczesnego władcy Anglii, który z kolei, chcąc przypodobać się Hitlerowi, przekazał oryginalny rękopis Darwina w ręce nazistów, bagatelizując przy tym ogromną wartość dokumentu. Gdy Hitler zapoznał się z jego treścią, nie miał wątpliwości, jaki zrobi z tego użytek. Posiłkując się przy tym oficjalną częścią darwinowskiej

teorii o możliwości łączenia wszystkich gatunków, wydał rozkaz odnalezienia i schwytania osobników gatunku, o którym Darwin pisał w ściśle tajnym rozdziale, po czym zarządził, by stworzyć jego hybrydę, łącząc go z człowiekiem. Hitler nakazał przepisać na maszynie tajny rozdział i natychmiast rozpocząć eksperymenty. Oryginał ukrył głęboko w podziemiach jednej ze swych kwater w czasie drugiej wojny światowej. Setki, jeśli nie tysiące niewinnych ludzi zginęło pod nożem nazistów, a eksperymenty łączenia obu istot i tak się nie powiodły. Jeden człowiek, który przeżył wojnę i wydostał się z niewoli, widział raz na własne oczy oryginalny rękopis Darwina, zanim Hitler zlecił, by go skopiować - był nim Żyd o nazwisku Passenhauer, więzień funkcyjny pełniący obowiązki asystenta lekarza w obozie zagłady Auschwitz, zlokalizowanym na terenie Polski będącej wówczas pod okupacją nazistowską. Po wojnie kopia tajnego dokumentu dostała się w ręce Amerykanów. Rząd Stanów Zjednoczonych kontynuował eksperymenty. Celem było stworzenie istoty ludzkiej, zdolnej do wykonywania rozkazów oraz do przebywania na dużych głębokościach w zimnej wodzie morskiej i oceanicznej, by - pozostając niewidoczną dla radarów należących do okrętów - skutecznie podkładać ładunki wybuchowe. Z niepotwierdzonych informacji, które dostały się do publicznej wiadomości, wynika, iż udało się w końcu stworzyć hybrydę, a nawet rozmnażać ją, zachowując wszystkie pożądane cechy. Hybrydy są pilnie strzeżone przez rząd amerykański. Jednocześnie nakazano wyeliminowanie wszystkich dzikich osobników pierwotnego gatunku, by nikt nie dowiedział się o ich istnieniu. W tym celu przeprowadzono masową akcję zorganizowaną pod przykrywką wykonywania testów broni hipersonicznej na oceanach całego świata. Na szczęście nie wszystkie osobniki zostały unicestwione. Tymczasem oryginał rękopisu Karola Darwina nadal spoczywa w ruinach podziemi jednej z głównych kwater Hitlera i czeka na swoje sensacyjne odkrycie.

KONIEC

Część opisanych w książce wydarzeń jest fikcyjna, a część oparta na prawdziwych wydarzeniach, które posłużyły jedynie za tło do stworzenia tej historii. Oznacza to, że opisane w książce sytuacje są wyłącznie tworem wyobraźni autorki. Wymyślając własną fabułę, autorka posiłkowała się wiedzą na temat życia i obyczajów Karola Darwina zaczerpniętą w dużej mierze z książki „Opowieść o Darwinie” autorstwa Irving Stone’a.